

EWA BIALOLEĆKA

ALEKSANDRA JANUSZ

IWONA SURMIK

JAKUB ĆWIEK

MACIEJ GUZEK

WITOLD JABŁOŃSKI

MARIUSZ KASZYŃSKI

KAZIMIERZ KYRCZ JR
ŁUKASZ RADECKI

DARIUSZ ŁOWCZYŃSKI

ŁUKASZ ORBITOWSKI

JACEK PIEKARĄ

KRZYSZTOF PISKORSKI

KSIEGA STRACHU



trident

Księga strachu

Tom I

Wydanie polskie

Data wydania:

2007

Projekt okładki:

Jakub Jabłoński

Opracowanie graficzne okładki:

Studio Libro

Wydawca:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

ISBN: 978-83-89595-39-3

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

Ewa Białołęcka

Drzwi do...

Klatka schodowa w tym domu była jak z obrazka.

Piotr widział kiedyś taki obraz w galerii, choć po latach nie mógł sobie przypomnieć nazwiska autora. Z pewnością nikt znany. Pamiętał za to doskonale bure światło, wylewające się wprost na widza przez wysokie, wąskie okno nad drzwiami wejściowymi. Kojarzyło się z otworem strzelniczym, tym bardziej że kąty przedstawionego na płótnie pomieszczenia ginęły w półmroku. Pędzel artysty niedbale wyłowił ze zgaszonych czerni zarys poręczy, jeden czy dwa stopnie i jakieś graty w rogu – równie dobrze mógł to być połamany parasol, jak i łapy pajęczego stwora. Ni to surrealizm, ni to zła pocztówka z pofabrykanckiej Łodzi.

Wstępując na schody, Piotr zamknął na moment oczy, by się pozbyć świetlistych kręgów, wirujących pod czaszką. Na półpiętrze czekał umówiony właściciel mieszkania.

Siedział na parapecie, kopiąc smrodliwego papierosa. Nieogolony, z tłustymi kosmykami opadającymi na uszy, jak ulał pasował do niechlujnej klatki schodowej.

– Szanowanie – odezwał się, rzucając niedopałek na podłogę i rozcierając podszwą. –

Pan mieszkanko oglądnać?

– Taa... Dzień dobry.

Indywidualizm zabręczało pękiem kluczy, wchodząc wyżej na piętro. Na drzwiach w kolorze starej musztardy wisiały dwie wizytówki.

– Tam ktoś jeszcze mieszka? – spytał Piotr dość ostro, podczas gdy facet męczył się z trzema zamkami.

– Tylko przedpokój wspólny – zapewnił tamten skwapliwie. – Wie pan, przedwojenne, dzielone. Obejrzysz pan, przypasuje – weźmiesz, nie podpasuje – to nie. Mnie tam wszystko jedno.

Rzeczywiście, za „pancernymi” drzwiami ukazał się wąski korytarzyk, służący jednocześnie za skład rzeczy niepotrzebnych. Stał tam fragment starej meblościanki, pusty kwietnik i jakieś kartony. Wyżej ściany „zdobiły” przypięte pineskami tandetne reprodukcje

– Piotr otrząsnął się ze wstrętem. Na brązowych drzwiach w głębi odcinał się wyraźnie napis K+M+B 2007, natomiast te, przed którymi stanął niechlujny facecik, pyszniły się drewnianym krucyfiksem, przymocowanym starannie taśmą klejącą.

– Pojebało babę! – warknął ze złością, zrywając krzyżyk. Zrobił ruch, jakby chciał

cisnąć nim o ścianę, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar i odłożył go na szafkę. – Durna bździągwa! – burczał. – Nic, tylko do kościoła lata i od tego pewno już do reszty ocipiała.

Sąsiedztwo fanatyczki, być może słuchającej Radia Maryja na cały regulator, zdecydowanie Piotrowi się uśmiechało, ale postanowił przynajmniej obejrzeć lokal.

Mieszkanie było kawalerką, co zgadzało się z opisem w ogłoszeniu, za to zapowiadana łazienka okazała się klitką z brodzikiem, upchniętym na siłę tuż obok klozetu, oraz odrapanym bojlerem, niby wygasłym kotłem piekielnym.

We wnęce kuchennej tłoczyły się blaszany zlew i dwupalnikowa kuchenka.

Pokój był kwadratowy, wysoki, nawet według rozpasanych przedwojennych

standardów. Wydawał się dość obszerny, być może dlatego, że umeblowanie było wręcz spartańskie. Stół, dwa krzesła, wąska szafa, stojąca ni w pięć, ni w dziewięć dokładnie pośrodku ściany, a po przeciwnej stronie nie pierwszej młodości wersalka. Parkiet skrzypiał

swojsko pod nogami.

Jednakże pomieszczenie sprawiało całkiem miłe wrażenie, może z tego powodu, że było bardzo jasne. Piotr podszedł do wysokiego okna, by sprawdzić położenie słońca. Tak jak przypuszczał, kawalerka leżała na osi wschód – zachód, co oznaczało, że będzie miał dobre światło co najmniej do południa.

– Ile? – zapytał.

– Dwie stówki na miesiąc i mieszkasz pan – zakomunikował właściciel, czując, że ryba bierze. – A ta za ścianą to nieszkodliwa. Jakby co, to dzwoń pan, opierdolę ją i się odczepi.

– Opierdolić to ja sam umiem. I to nie tylko babcię – odparł Piotr sucho, z zawołowanym ostrzeżeniem. – A świadczenia?

Dwieście złotych to było tanio. Nawet podejrzanie tanio. Gdzieś musiał kryć się haczyk, ale Piotr nie widział na razie żadnego, poza maniaczką religijną za ścianą. Na trzy i pół setki miesięcznie razem z czynszem mógł sobie pozwolić, a do prymitywnych warunków przywykł w starym akademiku. Zresztą van Gogh też nie tworzył w luksusach, a Piotr go przebił już o cztery sprzedane obrazy.

Dobili targu, pieniądze i klucze przeszły z rąk do rąk.

* * *

Lekko podgrzany lufką ziela, Piotr oswajał swoje nowe cztery kąty. W wersalce szybko znalazł wysiedziany przyjazny dołek, jakby stworzony do zajmowania go całymi godzinami, śledzenia wzrokiem smug papierosowego dymu i komponowania w głowie kolejnych obrazów. Jego skromny dobytek spoczywał na środku podłogi. Wypchany plecak, wyświechtana waliza, niewielki karton, w którym kryły się setki reprodukcji, wycinków gazetowych i pocztówek z malarstwem. Poza tym sztalugi oraz teka ze szkicami. Stare gwoździe w ścianach obciążało już kilka małych landszaftów, obok drzwi Piotr z pietyzmem zawiesił oprawiony w ramki swój rysunek z dzieciństwa. Spłowiata akwarelka przedstawiała czerwonego kota ze wszelkimi konsekwencjami straszliwego gustu

przedszkolaka. Autor, teraz starszy o dwadzieścia lat, wielokrotnie usiłował powtórzyć na swoich obrazach niesamowitą, surrealistyczną i nieco złowieszczą minę kocura. Na razie bez powodzenia.

Młotka nie było, wbił więc parę dodatkowych gwoździ za pomocą klucza francuskiego, znalezionego w szafce pod zlewozmywakiem. Zamierzał urządzić niewielką osobistą galerię.

Trzymanie obrazów w sztaplach pod ścianami jest wbrew naturze, mawiał.

W trakcie objawiła się sąsiadka. Już sposób pukania do drzwi zapowiadał pretensje, ale kiedy Piotr otworzył, kobieta – zasuszone sześćdziesięciolatka, jak zdążył dostrzec – bez słowa cofnęła się i pospiesznie zrejterowała z powrotem na swoje terytorium. Ciekawe, co ją wystraszyło bardziej: francuz w ręku nowego lokatora czy skorpion wytatuowany na jego obnażonej klatce piersiowej.

Piotr, raczej rozśmieszony tym zajściem niż zirytowany, okupował właśnie dołek na wersalce, kontemplował dymne spirale i gapił się przed siebie – a konkretnie na szafę.

Powoli dotarło do niego, że czuje dyskomfort. Szafa.

Ta landara obrzydliwie kalala białą przestrzeń ściany. Wyglądała jak wyrzut sumienia, jak kupa na obrusie. Symbol paskudnego drobnomieszczaństwa dokładnie pośrodku czegoś, co mogło być płaszczyzną pod nową „Ostatnią wieczerzę” albo choć kopię Chagalla.

– Precz mi z oczu, meblu plugawy! – rzekł Piotr z naciskiem, ale szafa oczywiście nie drgnęła.

Nie pozostało nic innego, jak wstać i naprzeć ramieniem na krnąbrny przedmiot.

Przesunął go tym łatwiej, że w środku były tylko puste półki i wieszaki.

– No tak, wszystko jasne...

Zagadka dziwaczego ustawienia szafy wyjaśniła się. Mebel wywędrował w kącie, tradycyjnie przeznaczony tego rodzaju sprzętom, a spod niego wyłonił się wielki rysunek drzwi. Widocznie odnajemca, chcąc zaoszczędzić na malowaniu, po prostu zasłonił to, co uznał za denerwujące bazgroły, obniżające wartość lokalu.

Malarz wrócił na swoje miejsce i, zaintrygowany, wbił wzrok w szkic. Nie spodziewał

się niczego podobnego. Trudno było toto nazwać freskiem – zwyczajny odręczny rysunek ołówkiem na białej emulsji, zrobiony jednak starannie, a z każdej kreski emanowała celowość. Piotr wiódł spojrzeniem wzdłuż linii. Tajemniczy rysownik nie używał linijki, lecz miał pewną rękę i doskonale wiedział, co chce stworzyć. Z dbałością o szczegóły przeniósł

na gładź ściany pokarbowane krawędzie futryny, owalne oczko sęka i gwoździe. Samo skrzydło było po staroświecku dzielone masywnymi szprosami na trzy części. Narysował

nawet klamkę w kształcie liścia akantu, z ozdobnym szyldem, nie zapomniał też o dziurce od klucza. Tylko proporcje trochę zaszwankowały, gdyż uchylone „na zewnątrz” drzwi zwężyły się zanadto,

jakby miały co najmniej cztery metry szerokości i ginęły w głębi perspektywy.

A za nimi czaiła się mleczna nicość i siwe cienie.

* * *

Sąsiadka musiała chyba czatować, przyklejona do wizjera, pojawiła się bowiem natychmiast, gdy tylko Piotr ruszył się za próg. Być może ośmielił ją brak morderczych narzędzi i to, że mężczyzna tym razem był kompletnie ubrany. Piotr odpowiedział uprzejmie na jej „dzień dobry”, choć tonem raczej chłodnym. Lepiej się nie spoufalać, bo można skończyć, wynosząc staruszce śmieci i ściągając kotki z drzewa, albo co gorsza, oglądając rodzinne fotografie przy herbatce. Spodziewał się pytań: skąd, na długo, gdzie pracuje? Ale z pewnością nie tego, co usłyszał sekundę później.

– Ten Żemła to pewnie panu nie powiedział... – wypaliła kobiecina, mierząc Piotra płonącym okiem harpii. – Bo ta dziewczyna, co tu przed panem mieszkała – zniżyła głos – to się zabiła! A ten tylko pokój wysprzątał i nic, dalej lokatorów bierze. Taki na pieniądze pazerny. Bezbożnik!

Piotr zdębiał. Miał pustkę w głowie. Nie zdobył się nawet na: „Co też pani mówi?”, zresztą kobieta chyba nie oczekiwała odpowiedzi. Uniosła godnie podbródek i ruszyła do wyjścia, mocno ściskając w garści torbę na zakupy.

– Niech pan pamięta, żeby te drzwi zamykać, bo wieje.

* * *

Myśl o poprzedniej lokatorce powracała do Piotra jak bumerang, w najmniej spodziewanych momentach. Kiedy włóczył się po galeriach, przesiadywał ze swoimi płótnami na starówce, albo gdy zalewał dla oszczędności kawowe fusy w kubku. Używała tego samego czajnika. Półki w szafie kiedyś wypełniały jej ubrania. Piotr z zażenowaniem łapał się na tym, że w absurdalny sposób podnieca go sama myśl o kobiecej bieliźnie.

Konkretnie: wyobrażenie o jej majtkach. Idiotyczne... Spała pewnie na „jego” łóżku i może tak samo jak on marnotrawiła czas, gapiąc się w ścianę. Czy to właśnie fascynująca swoją nieokreślonością, tajemnicza Ona nakreśliła obraz drzwi? Czy uciekła z życia za pomocą garści pigułek, kuląc się w przytulnym dołku, teraz wygrzewanym ciałem Piotra? Czy może, gdyby włączył w łazience tę specjalną policyjną lampę, krew dziewczyny zaczęłaby świecić upiornym błękitnym blaskiem, wciąż obecna, choć niewidzialna – jak duch spraw minionych? I dlaczego właściwie odebrała sobie życie? Jak miała na imię, jak wyglądała?

Zaczął rysować pastelowe akty. „Zwierzęce” kobiety nieco w stylu Degasa. Nagie, szczupłe blondynki o spiczastych piersiach – smarujące stopy kremem, okręcające mokre włosy zawojem z ręcznika, bezwstydnie rozkładające uda podczas czytania książki...

Nieźle, do przerżnięcia – oceniali koledzy. Wracał do siebie, otwierał musztardowe drzwi i przyczepiał do deski nowy karton. Spod drżących palców spływały kolejne eteryczne dziewczyny. A właściwie jedna... Tylko jedna, w dziesiątkach wariantów, póż i czynności.

Aż w końcu z ostatniego szkicu spojrzała mu prosto w oczy.

Zmiał kartę w nagłym ataku irracjonalnej paniki, rzucił w kąt. Wybiegł na ulicę, w biegu naciągając kurtkę. Nie pamiętał, czy zamknął drzwi na klucz. Ale co takiego mogliby mu ukraść? Farby? W ciągu pół godziny dotarł do Kariny. Nawet nie zapytała, co się stało.

Wciągnęła go za próg, wyluskała ze starej skórzanej katany jak kasztan z łupiny. Obalili we dwójkę dwa wina Komandos, a potem Piotr leczył zboląłą duszę jabłkowymi wargami Kariny i ciepłem jej ciała. Dawała to, co mogła; brała, co mógł jej ofiarować. Bez pytań, bez zobowiązań, bez pretensji. Rano obudził się na zdrowym, realnym kacu. Demony odeszły.

* * *

Był najwyższy czas zarobić na chleb. Piotr mógł, co prawda, na te swoje wynajmowane piętnaście metrów dokooptować jakiegoś kumpla, ale wolność, choćby w tak skromnym wymiarze, smakowała coraz lepiej. Wiedział, że w miarę spełniania pucharu Libertad, zobaczy jego dno, ale odsuwał tę myśl od siebie. W końcu i Gauguinowi zdarzało się chałturzyć dla potrzeb ciała, więc tapetowanie lub mycie wystaw nie było zbytnią hańbą dla artysty. Bezimienna blondynka znikła z jego myśli, wygnana fizycznym zmęczeniem.

Zagadnięty o samobójczynię właściciel kawalerki tylko wzruszył ramionami. Jedni żyją, inni umierają, co on się będzie przejmował? Nie jego sprawa. Nie chciał nawet powiedzieć, jak się nazywała tamta dziewczyna. Schował pieniądze, rzucił na odchodnym parę gromów na długi ózór baby po sąsiedzku i tyle go Piotr widział.

A teraz siedział znów przy sztalugach z sangwiną w dłoni, usiłując cokolwiek naszkicować.

– Kurwa mać, mycie okien szkodzi – mruknął.

Odłożył kredkę, by wygrzebać z kasetki jointa. No cóż, może malowanie „na Witkaca”

da jakieś rezultaty.

* * *

Ołówkowe drzwi na ścianie zapraszały do wejścia. Kusiły nieznanym ładem za progiem.

Gdyby tak można było je pchnąć... Dym skręcał się w wirujące maoryskie spirale. Gdzieś na samej granicy słyszalności rodził się niski hipnotyczny dźwięk, jakby w sąsiednim wymiarze grało aborygeńskie didgeridoo. Albo mruczał kot wielkości traktora.

Trzymając lufkę w zębach, Piotr wygrzebał z walizy pudełko z plakatówkami. Potem przyniósł wodę w słoiku i zaczął rozrabiać farbę, spoglądając na zaczęty fresk i uśmiechając się szatańsko.

Dwie godziny i dwie lufki później Piotr kładł białą temperą refleksy światła na klamce.

Dzieło było gotowe. Prawie gotowe. Nadal nie miał pojęcia, co umieścić za drzwiami, na tym

widocznym skrawku nicości czekającej na wypełnienie. Kawalek trotuaru? Wiejski

krajobraz z polną drogą kończącą się (czy też może rozpoczynającą) tuż za progiem? A może surrealistyczny krajobraz: rajski ogród w kuchni, miniaturową dżunglę w łazience lub dworzec kolejowy pod łóżkiem? Akurat w stylu Yerki... Natychmiast porzucił ten pomysł.

W stylu tego, w stylu tamtego... Najwyższy czas znaleźć własny, a nie naśladować cudze prace – cóż z tego, że genialne.

Palce nadal świerzbiały go do pędzla, więc po raz kolejny spróbował namalować zwariowanego kota, tym razem ognistoczerwoną i pomarańczową temperą na czarnym podkładzie. Wytwór sześciolatka ironicznie zezował ze ściany na swoją kopię. Kocur wyszedł świetnie, choć znów nie miał tego nieokreślonego „czegoś”, poszukiwanego przez malarza od lat. Jednak z pewnością pójdzie za ładny grosz na niedzielnym deptaku, zapewniając Piotrowi obiad i może parę blantów.

* * *

Obudził się w środku nocy, stwierdzając, że zasnął w pozycji siedzącej, kompletnie ubrany. Gardło i język miał wyschnięte na wiór. Woda z kranu smakowała chlorem, ale pił

łapczywie, oblewając koszulkę. Zakaszał, przetarł mokrymi dłońmi twarz, kierując się z powrotem w stronę łóżka. Czy warto jeszcze rozkładać pościel? Która to godzina?

Uliczna latarnia nachalnie świeciła prosto w okno światłem widmowym jak duch zmarłej mandarynki. Drzwi w ścianie otworzyły się wolno. Bardzo powoli. Na tle ciemnego drewna ukazało się białe kobiece ramię, potem jasna fala włosów i owal twarzy. Dziewczyna w czerwonej sukni wyciągała rękę przyzywającym gestem. Piotr mimowolnie zrobił parę kroków. Dotknął uchylonych drzwi, lecz zamiast zimnej ściany poczuł pod dłonią ciepłą, szorstką fakturę. Nozdrza złowiły ulotny zapach bejcy i niepowtarzalną, nie do pomylenia z żadną inną, woń starego drewna. Tak pachną strychy przedwojennych domów, szopy i schroniska w Bieszczadach. Palce dziewczyny zacisnęły się na przegubie mężczyzny.

– Nie bój się – szepnęła.

Nie, nie czuł strachu, choć może powinien. Znał tę twarz z dziesiątków szkiców. Tyle razy spływała na papier spod jego ołówka, że mógłby ją rysować z zamkniętymi oczami.

Podobnie jak ciało – w futerale cienkiej jedwabnej sukienki, pod którą nawet w półmroku odznaczały się sutki. Dziewczyna cofnęła się o krok, a mężczyzna jak zahipnotyzowany postąpił za nią. Kiedy przekraczał próg, coś niby rdzawy płomień prześliznęło mu się między nogami.

* * *

Piotr zamknął na chwilę oczy. Słyszał, jak za jego plecami z cichym skrzypnięciem zamykają się drzwi. Po drugiej stronie panował jasny dzień. Choć może określenie „jasny”

było trochę przesadne. Światło, które sączyło się z pochmurnego nieba, miało barwę delikatnej sepii,

niczym surowy jedwab. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się woda – tak spokojna, że z początku można ją było wziąć za twarde szklane zwierciadło. Jego rozległość przywodziła od razu na myśl morze lub nawet ocean, ale ta nienormalna gładkość wody pasowała raczej do jeziora. Pod stopami zachrząścił żwir.

Dziewczyna nadal trzymała Piotra za rękę. W lepszym oświetleniu widział teraz doskonale łagodny owal jej twarzy, jasne brwi i rzęsy, przejrzyste oczy ze smolistymi kropkami źrenic i niemal białe włosy. Przypominała mu pewną bladą aktoreczkę z horroru według Kinga. Tę, którą jakieś narwane szczeniaki oblały wiadrzem świńskiej krwi –

zwłaszcza w tak niewiarygodnie czerwonej sukni. Między nagimi łydkami dziewczyny kręcił ósemki karminowy kot, wielce zadowolony z siebie.

– Zwiąłeś mi z obrazka, bydlaku? – mruknął bez złości Piotr. Potem znów spojrzął na dziewczynę. – Czy to ty mieszkałaś przedtem w tamtym pokoju?

– Tak.

– Sąsiadka powiedziała mi, że popełniłaś samobójstwo.

– Może... Nieważne – odrzekła obojętnie.

Puściła rękę Piotra, by pochylić się i wolno, jakby z wahaniem pogłaskać kota.

– Jak masz na imię?

Nie odpowiedziała od razu, drapiąc za uszami tego cholernego kociambra, który mruczał jak cała orkiestra.

– Alicja.

Kogo innego można by się spodziewać w króliczej norze? Piotr obejrzał się za siebie.

Drzwi tkwiły – ni z gruszki, ni z pietruszki – w zwietrzałej skale. Wysoka faleza wznosiła się na, zdawało się, niebotyczną wysokość. Piotr zadarł głowę i zmarszczył brwi z namysłem. W

górze, na samej granicy lądu, chaotycznie tłoczyły się budynki. Sczepione ze sobą jak kępy grzybów czy walczące pająki, najeżone bezsensownymi galeryjkami, schodkami, krzywymi belkowaniami, przypominały właściwie złomowisko, ale jednak to były domy. Zrujnowane i chyba opuszczone, ale jednak kiedyś ktoś musiał zbudować tę szkaradną metropolię i mieszkać tam.

– Co to za miejsce? – spytał Piotr.

– Po prostu miejsce – odparła Alicja. – Nie ma nazwy.

– Jak się tu znaleźliśmy?

– Weszliśmy.

Piotr odetchnął głęboko. Że też musiała mu się trafić taka idiotka! Blond na zewnątrz, blond w środku. Przyjemne oszołomienie, pożądanie, które odczuwał podczas rysowania, ulotniło się gdzieś. Teraz, choć miał tę seksowną, długonogą Alicję na wyciągnięcie ręki, zaczynała go irytować swoją rybią obojętnością i płytkimi odpowiedziami. Miała w sobie akurat tyle życia co puszkowana szprotka.

Całe to miejsce zresztą wydawało się dziwnie martwe. Czyżby tak wyglądały zaświaty?

A może to po prostu sen? Całkiem możliwe. Głupia, męcząca zwała po trawie.

W spokojnej oleistej wodzie trwał wizerunek opustoszałego miasta na szczycie klifu.

Nierówny grzebień zrujnowanych domów zwisał nad przepaścią, grożąc w każdej chwili upadkiem. Piotr usiłował dostrzec w górze jakikolwiek ruch – ptaka, szczura, cokolwiek –

ale nic nie zakłócało martwoty krajobrazu. Choć wiał wiatr, gwizdzący żałobne melodie w skalnych szczelinach, nieskazitelnej gładzi bezkresnego morza-jeziora nadal nie mąciła nawet jedna zmarszczka. Piotr dotknął nieufnie wody butem. Powierzchnia ugięła się lekko i jakby niechętnie, potem drobne paciorki bursztynowej cieczy przetoczyły się przez wierzch adidasa. Piotr schylił się, by zanurzyć końce palców. Poczul chłód, a kiedy cofnął rękę, była nadal sucha. To nie woda, raczej coś w rodzaju rtęci. Powielala w lustrzanym odbiciu ten niepokojący, opustoszały świat. Ciemne oczodoły okien wpatrywały się w siebie nawzajem, z góry i z dołu, w złowieszczej walce charakterów. Tymczasem towarzysze Piotra zdążyli się oddalić, nie czekając na niego. Stanowili jedyne żywsze plamy w monotonnym pejzażu o barwie błota i zaschłej krwi. Sukienka Alicji łopotała na wietrze jak sztandar, puszysty koci ogon kolebał się u nogi dziewczyny, niczym wędrujący płomień.

Piotr zerwał się do biegu, by ich dogonić. Nie, nie chciałby zostać tu sam, za nic!

U podnóża klifu pojawiło się coś w rodzaju zarośli. Z początku się ucieszył, ale zaraz odsunął się od nich przezornie. Łodygi, wyrastające z brązowego żwiru, były karbowane jak grube robaki, rozwidlały się fraktalowo na coraz cieńsze identyczne odnogi. Dostrzegł, że zielonkawe grona, zwieńczające delikatne ażurowe baldachy, poruszają się bez przerwy –

miarowo rosnąc, to znów się kurcząc.

– Co to jest? – zapytał.

Alicja rzuciła obojętne spojrzenie w bok. Myślał, że znowu powie coś oczywistego, jak

„krzaki”, ale zdobyła się na odrobinę inwencji.

– Płucakacje.

– Paskudztwo. Co one robią?

Alicja ledwo zauważalnie wzruszyła ramionami.

– Rosną. Co innego mogą robić?

– Nie zjadają spacerowiczów?

– Tu nikt nie spaceruje.

Ten świat przypominał wszystkie filmy postapokaliptyczne naraz i przebijał nawet odjazdy po grzybkach. Czerwony kot z podniesionym arogancko chwostem truchtał naprzód, nie oglądając się za siebie. W końcu zatrzymał się i usiadł, liżąc od niechcienia łapę.

– Tędy – powiedziała dziewczyna, stając obok zwierzaka. Patrzyła w górę.

Dopiero teraz Piotr zorientował się, że surowa skała ustąpiła betonowej ścianie. Z

powątpiewaniem powiódł wzrokiem wzdłuż wąziutkiej ścieżki, biegnącej skosem w poprzek popielatego muru. W pewnym miejscu dróżka nagle zakręcała, wznosząc się w drugą stronę,

pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Wydawało się, że jest niewiele szersza niż wstążka makaronu, zygzakowała aż do krawędzi klifu mającej gdzieś na wysokości dziesiątego piętra.

– Tędy...? – powtórzył. – Dlaczego?

Kot zaczął myć się pod ogonem, unosząc tylną łapę i pozując jak model świecznika.

Piotr miał wrażenie, że zwierzak wyraża w ten sposób doskonałą pogardę dla jego ignorancji, ale pytania same wyfruwały mu z ust jak wróble z klatki.

– Wysoko. I niebezpiecznie. Nie możemy iść dalej brzegiem? – upierał się.

– Nie – odparła Alicja, a potem dodała jakby z przymusem: – Tu zaraz będzie gorzej. – I wskazała palcem na cienką linię horyzontu, gdzie pojawił się jakiś ciemny kształt. – To nadchodzi. Musimy wejść wyżej.

Nie czekając na komentarz Piotra, wstąpiła na tę parodię ścieżki. Czerwony kocur towarzyszył jej jak cień. Piotr obejrzał się jeszcze raz. Na widnokregu już całkiem wyraźnie formowało się coś ciemnego, mrocznego, jakby czarny wał burzowych chmur. Ale woda nadal była spokojna i gładka jak szkło. Raptem poczuł napływ irracjonalnego lęku. Cisza przed burzą, cisza w oku cyklonu... Cokolwiek nadciągało, niepokoiło Alicję, mieszkankę kraju-za-lustrem. Czy może raczej za-drzwiami.

Kot popatrzył na Piotra z wysoka, jakby pytając: idziesz, czy mamy sobie tobą nie zawracać głowy?

Podeszwy ześlizgiwały się po zwiertzałym betonie, więc mężczyzna, naśladowując przewodniczkę, czym prędzej zdjął buty i skarpetki. Występ miał szerokość półtorej stopy.

Męskiej. Piotr zorientował się z ulgą, że tutaj ściana jest leciutko nachylona, więc nie groziło mu natychmiastowe odpadnięcie i połamanie kości na kamienistej plaży.

Gdzieś w połowie drogi odważył się przystanąć, opierając plecy o szorstki cement.

Spojrzał przed siebie i zabrakło mu tchu.

Piaskowy przestwór nad rtęciowym morzem rozdzierał się bezgłośnie, rozgarniając obłoczne kurtyny w przeciwną stronę nieba. Pod bladym kręgiem słońca lewitował

kosmogoniczny sześcian, gotów rozpostrzeć się z jednej nieskończoności w drugą. Niżej nadciągała bezgłośnie gigantyczna ściana tsunami – śmiertelny Rumak Posejdona, niosący na grzbiecie dwa statki. Odarte z masztów i żagli pływające trumny – stare, zmurszałe, obrośnięte gąszczem glonów, jakby przez całe dziesięciolecia tułały się po morzu i dopiero teraz burza zagnała je w stronę lądu, by mogły znaleźć na brzegu ostateczny kres wędrówki.

Na oczach Piotra jeden z kadłubów rozpadł się na części, a fala, wydająca teraz głuchy pomruk jak dźwięk werbla, pochłonęła szczątki. Drugi obrócił się majestatycznie, prezentując rozlupaną rufę, jakby zbudowaną z bladoniebieskiego kamienia, oznaczoną gigantycznym krzyżem.

Znam ten statek! – coś krzyknęło wewnątrz Piotra. Znam go, widziałem go już!

Ale nim zdążył ubrać myśl w słowa, uleciała, przepłoszona ostrym krzykiem dziewczyny:

– Wyżej! Wyżej, bo cię dosięgnie!

Wchodził więc wyżej i wyżej, walcząc z wiatrem i ścigając się z falą, która mogła go rozgnieść na betonowej ścianie łatwiej niż pająka. W końcu dotarł na szczyt. Stopy mu krwawiły. Zdyszany, stał na krawędzi między żywiołem wodnym a ziemskim, pasąc oczy niewiarygodnym spektaklem. Wydawało się, że okręt widmo wielkości Titanica jest już prawie na wyciągnięcie ręki. Spękana kopuła nadbudówki chwiała się powoli i majestatycznie zaledwie kilka metrów niżej. Nareszcie fala rozbiła się o brzeg, aż zadygotała ziemia pod stopami, jak uderzona ogromnym młotem. Omszały kadłub cicho i z godnością rozsypał się niczym dziecięca układanka. Pochłonęła go głębina, jakby nigdy nie istniał.

Piotr usiadł na brzegu, zwieszając bose nogi poza krawędź. Splunąłby na dół, gdyby w ustach została mu choć odrobina wilgoci. Tsunami już się cofało. Pasek plaży w dole wyglądał tak jak przedtem, z tą różnicą, że teraz na granicy morza i lądu leżało mnóstwo olbrzymich spiralnych muszli. Nawet z tej odległości mógł dostrzec, że są w istocie skamielinami. Amonity... Przypomniał sobie nazwę. Najmniejsze z tych okazów miały co najmniej metr średnicy. Odpływ trwał. Odślaniało się dno, czarne i migotliwe, a na nim spoczywały kości morskiego potwora. I Piotr już nie wiedział, czy patrzy na ziemię, czy może na niebo z antypodów, i czy ogląda szczątki lewiatana, czy raczej potrzaskane wręgi statku, tak ludzaco podobne do wielorybich żeber.

Ani Alicja, ani karmazynowy wytwór Piotrowej imaginacji już go nie popędzali. Obu

się bez pośpiechu, zawiązał sznurowadła i dopiero wtedy zlustrował wyższy „poziom”.

Uwagę przyciągała przede wszystkim góra, wyrastająca niespodzianie pośrodku niemal całkiem płaskiej równiny. Góra czy raczej tytaniczna budowla, a może lepszą nazwą byłaby: rzeźba? Monstrualną kopułę spiralnie otaczały mniejsze kopułki, pnące się ku szczytowi.

Wyglądające jak odwrócone do góry dnem miseczki, w istocie były dachami mniejszych budynków. Piotr, osłaniając dłonią oczy, wyławiał coraz to nowe elementy: białe kolumny portyków, arkady, schody, mosty i barwne plamy malowideł albo mozaik, którym odległość odbierała kształt. Wszystko to składało się na zdumiewające miasto-statwę. Tak właśnie, gdyż szczyt wzgórza zwieńczała ogromna postać kobieca, ukazana od bioder w górę, co wywoływało wrażenie, że miasto jest jej krynolinową spódnicą. Okna, portale, tarasy i balkoniki sięgały aż do piersi, niczym zdobna koronkami suknia. Dopełnieniem surrealistycznej wizji architektonicznej były włosy figury, upięte w misterną fryzurę.

– Tam chyba żyją jacyś ludzie – odezwał się Piotr, widząc falujące na wietrze chorągwie.

– Mieszkają – poprawiła Alicja, jakby to słowo miało specjalne znaczenie.

– Idziemy?

– Można – zgodziła się, a kot już wystartował, truchtając ścieżką wydeptaną na równinie.

Dokoła rozciągała się żółta kamienista pustynia, najeżona cudacznymi tworam geologicznymi, przypominającymi kamienne grzyby. Prawie jednakowe, niskie, sięgające co najwyżej do kolan. Z wierzchołków niektórych unosiły się pasma dymu, jakby to były miniaturowe wulkany. Dopiero po jakimś czasie Piotr zorientował się, że szczyty kamiennych pachołków są zamieszkałe przez jakieś stworzenia. Istotki gromadziły się w ciemnych kręgach wokół mikroskopijnych ognisk. Kot, choć namalowany, widać poczuł

instynkt łowiecki. Zgarnął pazurzystą łapą jednego z takich potworków – i wtedy Piotr miał

okazję dostrzec, że ten jest z grubsza człekokształtny, o kosmatym kadłubku i czterech cienkich, jakby pajęczych odnóżach. Tylko łebek miał biały, ze szkarłatną plamą w miejscu ust i nosa. Oczu nie było widać. Piszcząc rozpaczliwie, zniknął w kociej paszczy. Jeszcze przez sekundę dało się zauważyć drgające łapki, po czym pająkowata istota zginęła w czeluści kociej gardzieli. Szkarłatna bestia oblizwała się z ukontentowaniem. I znów, jak w przypadku okrętu, Piotr miał wrażenie, że już spotkał podobne stwory, że powinien je znać.

Nie pamiętał jednak, czy nawiedzały go w snach, czy może coś podobnego widział w kinie.

Alicja odnosiła się do nich z niezwykłym u kobiety stoicyzmem, choć maskaronki po kocim ataku roiły się niespokojnie, jeszcze bardziej przypominając wstrętne czarne pająki.

Nim doszli na przedmieścia, miejsce kamiennych grzybów zajęły całe poletka krzywo poustawianych szafek bez drzwi – przykurzonych, brudnych i wypaczonych na skutek długiego stania pod gołym

niebem. Choć właściwie Piotr wąpił, by tu często padało.

Krajobraz wyglądał bardzo sucho. Sucho, pyliście i w nieokreślony sposób sędziwie, jak wnętrze gigantycznego strychu. Skojarzenie się pogłębiło, gdy zajrzał do jednej ze skrzynek.

Była niska, musiał zgiąć się wpół. W ciasnej przestrzeni wisiał nietoperz. Czy też może coś, co przypominało nietoperza. Z bladego kadłuba wystawały sztywno dwie łapy, uczone poziomej żerdki. Górna (a może dolna, zależy jak patrzeć) połowa stworzenia była ciasno owinięta błoniastymi skrzydłami. Tylko ruch żeber pod cienką skórą świadczył, że jest w nim jakaś iskra życia. Piotr nie żałował, że nie widać nic więcej. Nawiedziła go niemiła myśl, że owo skrzyżowanie chudego kurczaka z gackiem nagle może odsłonić krwawe ślepie i paszczę z wampirzymi kłami. Inne szafeczki-skrzynki zajmowali podobni lokatorzy, rozmaitej wielkości i w różnych stadiach zwinięcia. Od czasu do czasu poruszali się, szeleszcząc złowróźnie. Nikt chyba nie powinien przebywać tu po zmroku, dla własnego bezpieczeństwa. Tym bardziej że osobliwe „miasteczko” liczyło setki „domków”.

Nawet kot, zajrzawszy do jednej ze skrytek, zrezygnował z polowania, prychnął z obrzydzeniem i otrząsając łapy.

W murze, stanowiącym jednocześnie lamówkę sukni, była tylko jedna brama w zasięgu wzroku.

Piotr uniósł głowę. Wokół wieży, którą tworzyła talia gigantycznej statui, majestatycznie krążyły szafirowe sterowce. Dopiero po dłuższej chwili skorygował swoją pomyłkę: pękate kształty nie były pojazdami, lecz latającymi rybami o lśniących metalicznie łuskach. Jedna zniżyła lot, ciężko wiosłując złotymi płetwami. O ile Piotr dobrze ocenił odległość, zwierzę musiało mieć wielkość mniej więcej orki. Zaczynał lepiej rozumieć brak emocji u Alicji – po oddychających krzakach, kosmicznym widowisku nad oceanem czy kolonii szafkowych nietoperzy, latające karpie olbrzymi wzbudzały mniejsze zdumienie. Po prostu były jeszcze jednym elementem otaczającej rzeczywistości. Czy też nierzeczywistości.

Grecki profil rzeźby pochylał się z powagą nad miastem. To, co Piotr z daleka wziął za podwójny kok, okazało się wspaniałą parą wygiętych rogów – baranich czy może pożyczonych od muflona. Także na nich powiewały długie kolorowe wstęgi.

Budownicowie być może cierpieli na gigantomanię, gdyż brama miejska przypominała sęk. Wielki plaster spękanego drewna, z widocznymi kręgami wewnętrznych słoju, służył

za pojedyncze skrzydło, wiszące na potwornych żelaznych zawiasach. Drzewo, z którego go odcięto, było chyba baobabem – jakimś drzewnym mamutem albo dinozaurem.

Prawdę powiedziawszy, drzwi miały zawiasy z obu stron, za to nie było żadnej zasuwki, klamki, czy czegokolwiek, co by sugerowało, jak się otwierają. Piotr uniósł rękę, by zapukać, czując się przy tym niewymownie głupio.

– Nie trzeba. – Alicja położyła dłoń na jego pięści, po czym zrobiła dwa kroki i znikła we wrotach z taką łatwością, jakby zanurzała się w wodzie.

Piotr zamarł z uniesionym ramieniem. Kot skoczył w ślad za dziewczyną, jego krótkie

„mrach” zawisło samotnie w powietrzu. Mężczyzna odetchnął głęboko, po czym ostrożnie położył dłoń na pręgowanym drewnie... Może to jednak nie baobab? – przemknęła mu przez głowę bezsensowna myśl. Rozłożone palce zapadły się, nie napotykając oporu. Poczł tylko przenikliwie zimno. Cofnął gwałtownie rękę, oglądając ją z lękiem. Nic, żadnych niepokojących śladów. Z bramy, tuż przed jego nosem, wynurzyła się blada kobieca dłoń, kiwając przyzywająco palcem. Syknął przez zęby z irytacją i nie wahając się dłużej, wstąpił

w litą z pozoru płaszczyznę. Chwila atawistycznego strachu, serce przyspieszyło, po skórze przebiegło tysiąc lodowatych pajaków – i już był w środku.

* * *

Mieszkańcy spacerowali po wąskiej ulicy. Białe i różowe ściany gięły się tu i tam w cudacznej perspektywie, mając oczy. Ulica powinna biec pod górę, ale czasem zdawało się, że zakręca lub wydyma się groteskowo, jak na grafikach Eschera. Nikomu to nie przeszkadzało. Kobiety w krynolinach i kapeluszach na podobieństwo płaskich szuflad, trawników lub kwitnących krzewów dotrzymywały towarzystwa arlekinom, mężczyznom w strojach parodiujących sędziowskie togi, karłom albo istotom po części zwierzęcym. Tu i

ówdzie przemykały pasiaste wózki zaprzężone w psy i wielkie szczury. Był to pstry jarmark, pełen wzorów zodiakalnych, geometrycznych deseni i intensywnych barw krańcowo różnych od monochromatycznych krajobrazów położonych tak niedaleko. Nie brakowało też wstęg i proporców, zwisających z niemal każdego okna czy balkonu. Karminowe, zielone, fioletowe, indygo i w barwie ochry – czyste kolory. Rozbiegane oczy Piotra wyławiały z tej feerii emblematy ryby, oka w trójkącie, pentagramu... Jednak niebawem frapująca scenografia zaczęła go niepokoić. Coś było nie w porządku. Wreszcie zrozumiał – było zbyt cicho. Tłum przechodniów powinien stwarzać ogłuszający hałas, nawet przy braku samochodów. Tymczasem było słycać tylko łopot chorągwi, szelest ubrań i stukanie kółek po bruku, niekiedy pojedyncze słowo, rzucone od niechcienia. Zdawało się, że przechodnie śpią w marszu. Nikt nie pracował, nikt nie zajmował się niczym konkretnym.

Teatr, pomyślał Piotr posępnie, a to są statyści.

Jego uwagę zwrócił drogowskaz. Strzałka na lewo nosiła gotycki napis SĘDZIOWIE; ta wskazująca w prawo: PROROCY. Wiedziony ciekawością, skręcił w zaułek tak ciasny, że dwóch ludzi nie mogłoby się w nim minąć swobodnie. Po obu stronach ciągnęły się szeregi nisz. Większość była pusta, w niektórych stały krzesła – z kutego żelaza, zwykłe drewniane, zdobne misterną snycerką lub obite przykurzonym aksamitem. Piotr zauważył, że tutaj żywe, czyste kolory ustąpiły pola bardziej przytłumionym, złamanym barwom. Jedno z siedzisk okazało się zajęte przez woskową głowę lalki, stojącą na niziutkim postumencie, przykrytym udrapowanym elegancko jedwabiem. Oczy lalki były jednolicie czarne i puste. W

lustrzanym oparciu odbijały się czarne włosy, fragment pochmurnego nieba i niespokojnie miotająca się w zwierciadlanych ramach mewa.

– Niezła instalacja – mruknął Piotr. – Ja cię znam, laleczko. Jesteś od starego Beksińskiego. Okres fantastyczny. To się ktoś narobił...

Schylił się, uważnie studiując krajobraz w tle. W smolistych źrenicach lalki odbiła się jego zniekształcona postać. Jak to się wyświetla? Monitor? Ale skąd takie mechanizmy w świecie, gdzie przechodzi się przez ściany jak za sprawą czarów, a niebo okupują gigantyczne latające ryby?

Mimowolnie spojrział w przeciwną stronę, bezmyślnie szukając rzutnika, i nagle za gardło chwycił go spazm obrzydzenia. To było gorsze od pajęczaków na pustyni czy osiedla łysych nietoperzowatych potworków. Do krzesła było przykrępowane ciało kobiety –

bezglowe, bez ramion, częściowo zrosnięte z meblem, w bluźnierczym połączeniu materii żywej i nieożywionej. Żywej, gdyż chuda pierś unosiła się w nieregularnym oddechu, jakby ofiara tej kaźni cierpiała męki, nie mogąc nawet wyrazić swego bólu krzykiem. Rozłożone uda bezwstydnie odsłaniały srom, a na siedzisku rozlewał się szklisty, czerwonawy śluz.

Dygocąc ze wstrętu i grozy, Piotr cofał się, nie potrafiąc oderwać oczu od makabrycznego widoku. Głowa lalki obok powoli przymknęła powieki, z jej bezkrwistych ust zaczął się wydobywać upiorny syk.

Nie mając odwagi odwrócić się do tych ludzkich fragmentów plecami, Piotr szedł tyłem aż do wylotu uliczki, gdzie czekała na niego Alicja. Całkiem odeszła mu ochota na dalsze zwiedzanie zaułka, gdzie mógł natknąć się na hipotetycznych sędziów, którzy chyba nie byli nastawieni przyjaźnie do odwiedzających.

– To nie było zbyt rozsądne – stwierdziła dziewczyna leniwie.

Kocur rozłożył się na jej ramionach niczym futrzany kołnierz.

– Co ty nie powiesz? – burknął Piotr.

Zaczynała w nim kiełkować na razie niejasna teoria, czym w istocie jest miejsce bez nazwy, do którego trafił. Zbyt wiele widział tu znajomych lub wręcz dobrze znanych elementów! Jak choćby ten ohydny zwłok przed chwilą.

– A co z prorokami? – rzucił, patrząc na drogowskaz. – Są niebezpieczni?

– To zależy, co mówią. I czy się w to wierzy – wyjaśniła Alicja, z roztargnieniem drapiąc kota za uchem.

Piotr bez słowa skręcił w uliczkę proroków.

Znów ściany w kolorze sepii złamanej zielenią, a w nich wnęki – niektóre puste, inne zajęte przez postacie zdające się drzemać lub medytować nad czymś głęboko. Była tam kobieta o twarzy pięknej i strasznej zarazem, jakby złożonej ze skórzastych woali. W jej ogromnych oczach zachodziło słońce i czerwone kruki osiadały na bezlistnych gałęziach.

Był też człowiek bez ust, w sztywnej papierowej kryzie, patrzący wprost przed siebie ciemnymi, okrągłymi jak u sowy oczami, w których czaiło się przerażenie. Jego twarz sprawiała wrażenie, jakby naznaczyły ją wszystkie troski świata.

Piotr tylko pokiwał głową, przechodząc mimo. Zaulek kończył się ślepo. Mężczyzna bez szczególnego zdziwienia ujrzał rzeźbioną kołyskę z krucyfiksem na wezgielciu. Kołyska kolebała się miarowo, poruszana dłonią zgarbionej postaci w niebieskim fałdzistym płaszczu z kapturem. Obok poniewierały się na ziemi kawałki szkieletu. Na odrapanej ścianie wisiała obszarpana kukielka, jak perwersyjna parodia Chrystusa Ukrzyżowanego. Wyżej, na krawędzi muru przysiadły rzędem czarne ptaszyska niewiadomego gatunku, mierzące przybysza nieprzyjaznymi spojrzeciami paciorkowatych ślepek, jakby rozważały, czy wydziobać mu oczy już teraz, czy trochę poczekać. Niżej, na spękany tynku widniał napis po łacinie:

IN HOC SIGNO VINCES*

– Pod jakim znakiem? – zapytał Piotr.

Bieguny kołyski stukały na nierównym bruku. Dźwięk odbijał się echem od pustych ścian.

– Pod jakim znakiem?!

* In hoc signo vinces (łac.) – pod tym znakiem zwyciężysz.

Postać proroka uniosła głowę, ale pod kapturem była tylko ciemność.

– Każdy zwycięża pod własnym – padła odpowiedź, wypowiedziana głosem suchym i szeleszczącym, jak tasowanie pergaminowych kart.

– Tak? A jaki jest mój? – spytał Piotr gorzko. – Może ten cholerny kot, który mnie prześladowa od dziecka?

– Kot to symbol twojej pychy – odparł prorok, a jakiś ptak zaskrzeczał urągliwie.

– A dziewczyna?

Prorok milczał.

– Żądza...? – podsunął Piotr.

Tamten poruszył zakrytą głowę, jakby potakiwał i zaprzeczał jednocześnie.

– Raczej mi nie pomagasz – mruknął malarz.

W odpowiedzi usłyszał cichy syczący śmiech.

– Prorocy nie są od pomagania. Prorocy... prorokują.

– A co mnie wyprorokujesz?

– Pójdiesz za różą.

Zapadło milczenie.

– To wszystko?

Kilka ptaków sfrunęło na kukielkę i zaczęło ją dziobać od niechcienia. Cisza przedłużała się, więc Piotr zawrócił, stwierdzając, że nie dowie się niczego więcej.

* * *

Drogowskaz, co Piotr dopiero teraz dostrzegł, miał jeszcze jedno skrzydełko, wskazujące w głąb kolorowej promenady. Napis głosił: GŁUPCY.

Coś dla mnie, pomyślał, kierując się w górę ulicy. Jakkolwiek by było, jestem kretynem.

Po drodze zauważył inne tabliczki. Kapłanki, Magowie, Eremici... kiedy ujrzał

Powieszonych i Rydwany, zdał sobie sprawę, że są to nazwy związane z kartami tarota.

Przeciskał się między sztywnymi spódnicami dam, unikał wystających szpad kawalerów w barwnych toczkach, podążając za strzałkami informacyjnymi. Ostatnia wisiała na słupku, na samej krawędzi tarasu, wymownie wskazując w dół, poza barierkę. Piotr wybuchnął

śmiechem – o ile pamiętał kartę Głupiec, przedstawiony tam młodzieniec beztrósco stapał w przepaść.

– Nie, dzięki, nie skorzystam – powiedział głośno.

Z tarasu roztaczał się urokliwy widok na pobłękitniałe niebo. Gdzieś w przestworzach przewalały się złoto-szafirowe rybie olbrzymy, a dokładnie na wprost Piotra pośrodku nieba rozkwitała – niczym purpurowa chmura – niewiarygodnie wielka róża. Przez kilka minut podziwiał wspaniały krajobraz, potem rozejrzał się po tarasie. I wtedy zobaczył

w pobliskim murze znajome drzwi.

– Jest róża. No i jest wyjście! – ucieszył się, kładąc dłoń na klamce.

Ustąpiła z łatwością, więc bez namysłu przekroczył próg.

* * *

Znów stał na kamienistej plaży, teraz usianej gargantuicznymi skorupami. Obok ujrzał

dziewczynę i kota. Oboje wpatrywali się w niego jakby z oczekiwaniem. Zmełł w zębach

przekleństwo.

– Te drzwi otwierają się tylko w jedną stronę – odezwała się Alicja, stojąc nieruchomo, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

Piotr jeszcze raz szarpnął ze złością klamkę. Rozsypała mu się w rękę na drobne okruchy, miאלkie jak kolorowa kreda. Być może to była właśnie kreda.

– To są Drzwi Do. Do środka. Nie prowadzą Tam.

– Zawsze byłaś taka drętwa? – rzucił Piotr gniewnie.

Dziewczyna powoli zmarszczyła brwi.

– Tak – odpowiedziała wolno. – Bo byłam chora. I smutna. Dlatego wolałam przyjść tutaj. Tam bym była tylko duchem...

– A ja?! – wrzasnął. – A kim ja, kurwa, jestem?! Też jakimś duchem? To wszystko dookoła – zatoczył krąg ręką – to są pierdolone obrazy! Stary Beksa, Sętowski, Gracz i Bóg wie co jeszcze, czego się naoglądałem na wystawach! Ta róża – odwrócił się w stronę wciąż wiszącego na nieboskłonie absurdalnego kwiatu-giganta – to jest, Rosa meditativa! A Rosa meditativa! A to pierdolone słoneczko to pewno jakiś Frazetta czy inny badziew. Jestem we własnej głowie?! Przecież nawet ty tak naprawdę nie istniejesz, bo cię na-ry-so-wa-łem.

Alicja patrzyła ze swoim zwykłym spokojem, jak Piotr się miota.

– A co to za różnica? – spytała w końcu.

– No tak, żadna – odparł sarkastycznie. – I tak jestem udupiony. Nie mogę wrócić, nie?

– Raczej nie – odrzekła ostrożnie.

– Umarłem?

– Raczej tak.

Już się nie odezwał. Powędrował wzdłuż morza złotej rtęci w stronę przeciwną do betonowego klifu. Jeśli to było piekło malarzy, to czy istnieje raj? I gdzie? Może zdoła dotrzeć do pogodnych akwareli Larssona, pełnych jasnowłosych dzieci, drewnianych szwedzkich domów, gdzie przyjmą strudzonego wędrowca i poczęstują herbatą. Może gdzieś za mglistym horyzontem biesiadują wioślarze Renoira, a pogardzany dotąd Bouguereau wypuszcza na łąki swoje kiczowate pastreczki i pucołowatych kupidynów.

Brązowy żwir chrzęścił miarowo pod stopami malarza. Rzucił spojrzenie przez ramię.

Jego grzechy cicho szły za nim.

A róża na niebie kwitła.

* * *

Klatka schodowa była zaniedbana i ponura, z sinych ścian opadały płatki farby olejnej.

Monika pomyślała, że jeśli kawalerka wygląda podobnie, nie zostanie tam ani minuty, nawet jeśli alternatywą miałyby być dwugodzinny dojazd na uczelnię i wystawanie w korkach.

Kaśka rażno tupiała przed nią po drewnianych schodach, najwyraźniej nastawiona optymistycznie. Właściciel już czekał z pękiem kluczy w ręku, pod drzwiami koloru zapleśniałego kakao. Czy naprawdę farba zielona, słonecznikowa czy czerwona jest aż tak droga...? Czemu ludzie własnoręcznie zohydzają swoje otoczenie?

– Uszanowanie panienkom – odezwał się facet z kluczami, z rewerencją uchylając staromodnego kapelusza.

W burym płaszczu i krawacie kojarzył się Monice ze stereotypem zaniedbanego urzędnika najniższego szczebla, jakby wyszedł prosto z noweli *Szyneł*. Jednak od Gogolowskiego Kamaszkinia różnił się jakimś cwaniackim błyskiem w oku, co niezbyt się jej podobało. Kaśka oczywiście tego nie zauważyła, wdzierając się do faceta, jakby był Bradem Pittem. Monika przewróciła oczami z irytacją.

Wspólny lokatorski korytarzyk był zagracony, jak to zwykle bywa w tego typu kamienicach i blokowiskach. Właściciel z zażenowanym uśmiechem zdjął z drzwi drewniany krzyżyk, przyklepiony taśmą.

– Och, to sąsiadka – mruknął z zakłopotaniem, odkładając go na kwietnik.

– Jakaś maniaczka? – spytała Kaśka podejrzliwie. No, chociaż tyle instynktu samozachowawczego jej pozostało.

– A, nie! – Mężczyzna machnął ręką. – Nie bardzo. Poprzedni lokatorzy się nie skarżyli.

Tylko czasem zostawia jakieś kościelne gazetki na wycieracze, ale to się wyrzuci.

Pokój był jasny i na szczęście okazał się w miarę czysty, choć skąpo umeblowany.

Stolik, dwa krzesła i dwa tapczaniki – tandetne, ale za to nowe. Szafa w rogu, w drugim rogu malarskie sztalugi.

– O, matko! – wykrzyknęła Kaśka, wstrząśnięta, patrząc na ścianę po lewej stronie.

Monice zabrakło głosu.

Ktoś wymalował tam naturalnej wielkości drzwi. Barwy były intensywne, nasycone, światłocien położony tak doskonale, że wierzeje zdawały się na pierwszy rzut oka całkiem prawdziwe. Dopiero

mrużenie powodowało, że wszystko wracało na swoje miejsce, a drzwi stawały się tym, czym faktycznie były – płaskim freskiem.

Bardzo realistyczne, staroświeckie, solidne – identyczne mogłyby prowadzić do alkierza Boryny. Te prowadziły donikąd. Za uchylonym skrzydłem czaiły się siwe cienie. Tylko zza futryny wyglądała czerwona kocia mordka, z wymalowanym na niej psychodelicznym

wyrazem ni to groźby, ni to szyderstwa. Monikę przeszedł dreszcz. Istny Behemot, pomyślała.

– Paniąkom przeszkadza? – zatroskał się mężczyzna. – Jakbyście chciały tu odnawiać, to mogę opuścić z czynszu...

– Nie, nie – zapewniła szybko Monika. – Może być.

– Niesamowite – oznajmiła Kaśka tonem podziwu. – To ile?

* * *

Dokoła stały w nieładzie kartony i torby, niektóre już puste, inne opróżnione do połowy, jeszcze inne nieruszone. Kaśka poleciała po papierowe ręczniki. Monika, zamiast walczyć z przewodzkowym chaosem, siedziała na łóżku, wpatrując się w malowidło. Te drzwi były dziwnie fascynujące. Miała ochotę podejść i pchnąć je, sprawdzić, czy otworzą się szerzej.

Jedynie ślepie kota, widoczne zza futryny, łypało na nią ironicznie. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wyjęła z kosmetyczki zieloną kredkę do oczu, przyklękła na twardym parkiecie i zaczęła rysować w przestrzeni między skrzydłem a futryną. Spod jej ręki wyrastały pojedyncze źdźbła trawy. Kot zmrużył oko i zaczął mruczeć.

Monika nuciła monotonie do wtóru.

Jutro kupi farby.

Jakub Ćwiek

Krew na

moich rękach

Goosowi i Miśkowi

– towarzyszom broni

na frontach codzienności

Wszystko wskazywało na to, że z wywiadu jednak nic nie będzie. Morty raz jeszcze zerknął na zegarek. Dochodziło wpół do trzeciej, co oznaczało, że czekał tu już ponad godzinę. Długo. Nawet jak na Nowy Jork.

Rozejrzał się po niemal pustym lokalu, po czym skinął na kelnerkę i zamówił puszkę coli. Zaczynało mu burczeć w brzuchu, ale postanowił, że poczeka jeszcze chwilę. Nie dłużej niż kwadrans. A potem niech diabli porwą sierżanta Dylana Pelfreya. Stany są pełne weteranów.

Sięgnął ręką pod stół i wyciągnął z teczki wszystko, co miał na temat swojego rozmówcy. Nie było tego szczególnie wiele. Kilka zdjęć z college'u i jedno w mundurze na płycie lotniska, gdy szczerząc się jak głupi, obejmował krępą blondynkę. Ona też próbowała się uśmiechnąć, ale po policzkach ciekły jej łzy zmieszane z rozmytym tuszem.

Potem było kilka fotek już z dżungli, opinia byłego dowódcy i zaświadczenie o przyznaniu brązowej gwiazdy w czerwcu sześćdziesiątego piątego. A także list sierżanta, w kopercie zaadresowanej na redakcyjny adres Morty'ego.

Pelfrey pisał w nim, że słyszał, iż Morty pisze książkę o wojnie w Wietnamie i zbierał do niej opowiadki weteranów. *Mam dla Ciebie niezłą historię* – napisał, sugerując, że powinni się spotkać. Zdzwonili się jeszcze tego samego dnia, umawiając w tym właśnie miejscu.

Lokal prezentował się niewiele lepiej niż knajpy przy stacjach benzynowych. Były w nim stoliki z plastikowymi blatami, jednostronicowe menu ozdobione symbolem byczych rogów i szafa grająca pełna przebojów Raya Charlesa i Jamesa Browna. Potrawy również nie były wyszukane, ale dość smaczne i przede wszystkim tanie.

Na razie Morty wciąż jeszcze znajdował się na takim etapie, że podwójny obiad, nawet w taniej knajpce, mógł solidnie namieszać w jego skrupulatnie układanym tygodniowym budżecie.

Do stolika podeszła kelnerka, zgrabna niewysoka Mulatka, na oko dwudziestoletnia.

Miała sympatyczną twarz, nieco zbyt wydatne usta i zęby białe jak z reklamy pasty Colgate.

Postawiła przed nim puszkę i szklankę z logo coca-coli.

– To wszystko? – zapytała.

– Na razie tak – odparł. – Wciąż zbieram się na odwagę, by zaprosić panią na kolację, ale znając moją nieśmiałość, trochę to jeszcze potrwa.

Dziewczyna roześmiała się. Płynnym ruchem odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i założyła go za ucho.

– Raczej wątpię, czybym się zgodziła, widząc gdzie pan jada.

– Co prawda, to prawda – powiedział, udając smutek.

Gdy dziewczyna odeszła, otworzył puszkę i powoli przelał zawartość do szklanki, uważając, by nie zachlapać rozłożonych na stoliku papierów.

– Ty jesteś Botwell? – rozległ się nagle głos za jego plecami.

Morty odwrócił się i zobaczył Pelfreya – szczupłego, dojrzałego mężczyznę o pociągłej, surowej twarzy i zmrużonych oczach. Ostrzyżony po żołniersku weteran miał krótką, przetkaną nitkami siwizny brodę. Ubrany był w krótkie bojówki i pełną kieszonek kamizelkę khaki nałożoną na koszulkę z logo Stonesów. Przypominał wędkarza, którego dopiero przed chwilą ktoś oderwał od wędki.

– Dylan Pelfrey – powiedział, wyciągając rękę. – Przepraszam za spóźnienie, ale zapomniałem, jak gównianie podróżuje się w tym mieście ludziom, którzy nie przepadają za metrem.

– Mortimer Botwell. – Morty wstał i uściśnął dłoń weterana, drugą ręką wskazując miejsce po przeciwnej stronie stołu. – Proszę, niech pan siada. Zamówimy od razu, czy chce pan chwilkę odsapnąć?

– Od razu. – Pelfrey okrążył stół i usiadł. – I tak dość długo na mnie czekałeś. A młodzi przecież nie lubią czekać, prawda?

Morty pokiwał głową.

– Mówią wszak, że młodość nie wieczność. Na co pan ma ochotę?

– Zamów dla mnie to co dla siebie – powiedział. Brodą wskazał na puszkę. – Nie podają tu coli z automatu?

– Podają. – Chłopak odruchowo zerknął w stronę baru, gdzie na kontuarze stał

zamontowany dystrybutor. – Tylko ja jakoś nie mam zaufania do napojów, które nie są szczelnie zamknięte.

Pelfrey popatrzył na niego z niedowierzaniem, po czym parsknął śmiechem.

– Boisz się, że dziewczyna napluje? – zapytał. – Jeśli naprawdę będzie miała na to ochotę, raczej

wybierze jedzenie. Mogę zobaczyć tę puszkę?

– Proszę bardzo.

Morty skinął na kelnerkę i zamówił dwie porcje żeberek z ziemniakami, a do tego dwa millery, które w takich lokalach jak ten zawsze podawali w butelkach.

Przez ten czas Pelfrey przyglądał się trzymanej w ręku puszcze, jakby była jakimś niezwykłym znaleziskiem.

– Wiesz, skąd Charlie mieli swoje granaty? – zapytał w końcu.

– Kto? – nie zrozumiał Morty.

Sierżant popatrzył na rozmówcę z rozbawieniem.

– Z iloma weteranami już rozmawiałeś, synu?

– Pan jest pierwszy – odparł zgodnie z prawdą Morty. – To ważne?

– Dla mnie wcale, ale dla ciebie... – Pelfrey podrapał się po głowie. – Wiesz, piszesz książkę o Wietnamie, a nie obejrzałeś nawet „Plutonu”? Tak mówiliśmy na żółtych. To od Victor Charlie, czyli...

– Już wiem. – Chłopak wszedł mu w słowo, próbując ukryć zażenowanie. – Nie skojarzyłem w pierwszej chwili. Skąd więc te granaty?

– Robili je właśnie z puszek coli. Nie tak zgrabnych jak ta, ówczesne bardziej przypominały konserwy i nie otwierały się tak sprytnie. Charlie wsypywali do środka odłamki po bombach, wlewali roztopiony trotyl, a na górze mocowali zapalniki własnej roboty. Wyglądały jak z billboardu, ale skutecznością były nasze granaty na łeb. Do tego żółtki widziały przynajmniej, gdzie i w kogo rzucają. My zwykle celowaliśmy między drzewa i krzaki, licząc na fart.

Morty sięgnął do teczki i wyjął dyktafon.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym to nagrywał? – zapytał.

Sierżant wzruszył ramionami.

– Gdybym miał, tobym tu nie przyszedł – stwierdził. – Wierz mi, może nie zarabiam niewiedomo ile, ale stać mnie jeszcze na obiad i nie muszę go wyłudzać od dzieciaków w wieku mojego syna.

Pelfrey odstawił puszkę, ale nie mógł się powstrzymać przed wodzeniem palcem po jej obrzeżu. Wyglądało to tak, jakby koniecznie chciał zająć czymś ręce.

– Raz, dwa – rzucił Morty na próbę, odchrząknął i zaczął poważnym głosem: –

Rozmowa z sierżantem Dylanem Pelfreyem, żołnierzem pierwszego batalionu, drugiej brygady, dwudziestej piątej dywizji piechoty, weteranem odznaczonym brązową gwiazdą i purpurowym sercem...

– Nie mogłeś nagrać tego wcześniej? – zapytał Pelfrey. – Gdy cię słucham, mam wrażenie, jakby zaraz mieli mnie wpakować w skrzynkę i zakopać na cmentarzu w Arlington. – Pochylił się lekko do przodu. – Tej nazwy chyba objaśniać nie muszę? –

wyszeptał wprost do mikrofonu, uśmiechając się przy tym szelmowsko. – Bo mogę, jeśli chcesz.

– Nie trzeba. – Chłopak zaczerwienił się. Sugestia, że nie wie, gdzie się znajduje największa wojskowa nekropolia w Stanach, zabrzmiała jak obelga. Choć, z drugiej strony, sam był sobie winien i w pełni zasłużył na drwiny. Przełknął ślinę i podjął spokojnym głosem: – Sierzancie, czy mógłby pan mi opowiedzieć o swoim plutonie? A może też o okolicznościach zdobycia odznaczeń?

Weteran wyprostował się, odsunął lekko z krzesłem do tyłu i położył dłonie na kolanach.

– Wedle życzenia, chłopcze – powiedział już zupełnie poważnie. – Choć wątpię, czy będziesz zadowolony z tego, co usłyszysz.

Zamilkł, odwróciwszy głowę, i przez chwilę wpatrywał się w okno. A potem, nie odwracając się, zaczął opowieść.

* * *

– To nasi tak go załatwili? – zapytał Russo, gapiąc się na leżącego w wodzie trupa.

Wzruszyłem ramionami. Jedynym sposobem, by się tego dowiedzieć, było odwrócenie ciała. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał to zrobić, ale jakoś nie mogłem się do tego zebrać.

– Jak chcesz, to go zapytaj – rzuciłem, siląc się na wesołość. Strzyknąłem śliną i poprawiłem pasek plecaka. – Tylko najpierw wyjmij mu głowę z wody, bo usłyszysz tylko bulgot.

Russo skrzywił się, wciąż nie odrywając wzroku od ciała. Przyglądał się martwemu Charliemu z mieszaniną obrzydzenia i fascynacji. W za dużym hełmie, który opierał mu się na uszach, i z lekko zmarszczonym piegowatym nosem, wyglądał na nie więcej niż piętnaście lat. W rzeczywistości kilka dni wcześniej skończył dziewiętnaście. Chłopcy nawet urządzili mu imprezę z okazji urodzin, dokładnie miesiąc od dnia, w którym rozpoczął

służbę.

– Zachowujesz się, jakbyś pierwszy raz widział nieświeżego trupa, dzieciaku –

stwierdziłem. – Zapewniam cię, że jeszcze parę ich tutaj zobaczysz, a niektóre będą wyglądać gorzej niż ten.

Pozdrowiłem machnięciem ręki Cartera, który wyłonił się z krzaków po drugiej stronie rzeki.

Tamten w odpowiedzi pokazał mi wyprostowany serdeczny palec i wyszczerzył się w kretyńskim uśmiechu. Właściwie nie spodziewałem się po nim niczego innego.

– Ja wiem, tylko...

– Znajdź sierżanta – wszedłem mu w słowo. – Powiedz, że natknęliśmy się na zwłoki, i zaznacz, że nieszczęśliwie świeże. Ja tu zaczekam.

Chłopak pokiwał głową i zniknął w zaroślach. Wsparłem karabin o pobliskie drzewo i podniosłem leżący nieopodal drąg. Ostrożnie odwróciłem nim trupa.

Ledwie go ruszyłem, rozległo się głośnie pierdnięcie i zgromadzone w topielcu gazy wydostały się na zewnątrz. Smród, słodki jak zgniłe jabłka, był tak intensywny, że odruchowo zgiąłem się w pół.

Z przeciwnego brzegu dobiegł mnie stłumiony chichot Cartera. Wiedziałem, że śmieje się ze mnie, a z nim pewnie ukryta w krzakach reszta plutonu, ale w owej chwili zupełnie mi to wisiało. Czułem się tak, jakbym wypluwał własny żołądek.

Gdy udało mi się dojść do siebie, znowu miałem obok siebie Russo, a także sierżanta Dutcha, Kravitza, Collinsa i dwóch z uzupełnienia. Marquez i O'Turner zawsze wszędzie łazili razem i podobno mieli się ku sobie, choć nikt ich nigdy na niczym nie przyłapał.

Wszyscy oni stali w pewnej odległości, i każdy zatykał sobie nos, ale nikt oprócz mnie nie puścił pawia. Zrobiło mi się głupio, więc gwałtownie się wyprostowałem, otarłem usta rękawem i splunąłem.

– Musiał zginąć parę dni temu – powiedziałem. – Ciało jest już w zaawansowanej fazie rozkładu...

Mniej więcej w połowie zdania zorientowałem się, że bredzę, nikt mi jednak nie przerwał. Nawet Collins, mimo że był medykiem, a w cywilu podobno niezłym chirurgiem, ograniczył się tylko do lekkiego uśmiechu.

„Parę dni?” – mówił ten grymas. „W dżungli? Przy tej temperaturze?”.

– ...Oprócz tego czysto, sierżancie – zakończyłem składanie tego pospiesznego raportu.

Miałem w ustach ohydny smak i musiałem się natychmiast napić. A Carter, jak na złość, był na drugim brzegu.

Dutch skinął głową i podszedł pewnym krokiem do ciała.

Przyglądaliśmy się w milczeniu, jak się pochyla, dobywa noża i rozcina koszulę mundurową martwego Wietnamczyka. Robił to pewnymi ruchami, szybko i sprawnie. Z taką samą fachowością wydłubał z ciała kule, po czym złapał trupa za poły koszuli i wciągnął na brzeg. Diabli wiedzą po co.

– Zbieramy się – powiedział, wstając i wycierając ręce. Wyjęte z ciała kule schował do kieszeni na piersi. – Martwe żółtki nie interesują mnie tak jak żywe. Choć zawsze cieszą.

Ruszyliśmy posłusznie w głąb lasu, ale tego dnia nie spotkaliśmy już ani jednego Charliego.

* * *

Ostatnim bastionem nadziei była dla nas wiara w nietykalność bazy. Głębokie przeświadczenie, że choćby nie wiem jak strasznie było w dżungli, to w obozie, wśród okopów, umocnień z worków i stawianych naprędce drewniano-brezentowych baraków, nic nam już nie grozi. Jakby gwiazdzisty sztandar, łopoczący dumnie na wietrze, chronił swoje dzieci przed kulami i granatami wroga.

Niektórym udało się nawet zachować tę wiarę do końca służby. Nie było ich wielu i z całą pewnością nie można było o nich powiedzieć, że stanowili intelektualną elitę brygady, ale, cholera, przynajmniej się wysypiali.

Niestety, należałem do tej drugiej, liczniejszej grupy. Pewnego ranka, w drugim miesiącu służby wietnamski snajper zastrzelił mojego kumpla. Stałem wtedy może ze dwa kroki od niego i widziałem, jak w jednej chwili wyprostował się, wycierając twarz małym

ręcznikiem, a chwilę później jego głowa eksplodowała jak melon trafiony ze śrutówki. Od tamtej pory, aż do ostatniego dnia służby, ani razu nie przeszedłem przez obóz wyprostowany, a hełm zdejmowałem wyłącznie w baraku. Choć i tam niechętnie.

Chłopaki oczywiście nabijały się ze mnie i robiły głupie numery, ale miałem to gdzieś –

wolałem być żywym pośmiewiskiem niż umrzeć, rżnąć twardziela. Zresztą chyba wszyscy wychodziliśmy z takiego założenia.

* * *

Tego dnia, gdy wróciliśmy z misji, zaraz po wejściu do obozu rozkazano nam udać się do baraków i pozostać tam do odwołania. Zerknąłem na Russo. Tak jak się spodziewałem, nie zrozumiał.

– Jakiś żółtek bawi się w snajpera – powiedziałem, gdy szliśmy w stronę naszego baraku, który na szczęście stał w środku obozu i raczej nie stanowił potencjalnego celu.

Russo zatrzymał się, zamrugał, jakby dostał w twarz, po czym przełknął ślinę.

– Oni strzelają do nas... w bazie? – zapytał tak żalonym głosem, że aż zrobiło mi się go żal.

Położyłem mu rękę na ramieniu.

– Nie martw się, mały – powiedziałem. – To raczej wyjątek niż reguła. Poza tym powinieneś się cieszyć, że to nie nam każą zasuwać za nim po lesie.

– O, tak – poparł mnie przechodzący obok nas Carter. – Ganiałbyś wtedy od drzewa do drzewa, wypatrując faceta w piżamie i ze skośną lunetką. Żadna frajda.

Otworzył drzwi baraku i cisnął hełm na pryczę. Potem wyjął z kieszeni piersiówkę.

– Pij, szczyłu – powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. Kilkudniowy zarost na jego kwadratowej szczęce sprawiał, że Carter wyglądał teraz jak teksański bandyta z filmów z Johnem Waynem. – Po raz pierwszy twe serce zadrżało na myśl o śmierci wśród okopów.

Właściwie to trochę tak, jakbyś stracił dziewictwo, nie?

Podał Russo piersiówkę i wszedł do baraku.

– Tylko oddaj później – rzucił przez ramię.

Podczas gdy młody pił, krztusząc się i parszkając, jakby pierwszy raz w życiu próbował

whisky, ja patrzyłem na linię drzew w oddali i wyłaniające się spomiędzy oparów mgły zielone wzgórza. Myślałem o tym, co mówiono o naszej niezrównanej potędze, i o tym, jak w każdej chwili moglibyśmy spalić tę dżunglę i ją wyasfaltować, tworząc największe lotnisko świata.

– Więc dlaczego tego nie robimy? – burknąłem pod nosem.

– Co? – nie zrozumiał Russo.

Uśmiechnąłem się krzywo i minąwszy go, wszedłem do baraku.

– Hej, Dylan, co ty na to, żebyśmy wrzucili dziś faję? – zaproponował Carter. –

Ściągniemy Collinsa, może Kravitza i opowiemy szczeniakowi parę nowych historii. Stratę dziewictwa trzeba uczcić.

Wzruszyłem ramionami.

– Czemu nie?

* * *

Upalony Carter zawsze opowiadał „Kochasia”. I nikt nigdy nie protestował, mimo że większość słyszała tę opowieść zylion razy. Bo facet miał po prostu dar opowiadania. A gdy do tego jeszcze naśladował francuski akcent i robił miny, pokładaliśmy się ze śmiechu.

Siedzieliśmy w sześciu na barakowym klepisku: Carter, Collins, radiotelegrafista Kravitz, Marshall z batalionu chemicznego, Russo i ja. Utworzyliśmy koło, żeby nie było problemu z przekazywaniem sobie fajki. Poza tym tak było fajnie – jak przy skautowskim ognisku.

Gdy przeszła już pierwsza rundka, Carter odchylił się do tyłu i wsparty na łokciu, mrużąc oczy i uśmiechając się szelmowsko, zaczął:

– Jak naprawdę nazywał się Kochaś – mówił cicho, by zbudować nastrój i skupić na sobie naszą uwagę – zabijcie mnie, nie pamiętam. Był Francuzem, więc i tak nazywaliśmy go pierdolonym żabojadem. Bankowo pochodził z bogatej rodziny, bo stale opowiadał o swoim domu gdzieś na

południu Francji, o winnicach ojca skrzących się rosą w promieniach porannego słońca i reszcie tego gówna.

Tu Carter zaserwował pierwszą ze swych min, prezentując nam romantycznego Francuza. Wyglądał trochę jak porośnięty szczeciną karp.

– Nikt nie wiedział, jak trafił do dżungli – kontynuował po chwili. – A on sam, choć zwykle gadatliwy, w tej jednej sprawie milczał jak zakłęty. Wiedzieliśmy tylko, że miała z tym coś wspólnego jakaś kobieta. Nazywała się... Chuj wie, nieważne. Może sobie przypomnę. Dla Kochasia ta laska musiała być ważna, bo łąził z jej zdjęciem schowanym w kieszeni munduru, gadał do niej, gdy nikt nie patrzył, a czasem nawet całował. Wśród chłopaków krążyły nawet opowieści, że widzieli, jak... no wiecie. – Przyłożył rękę do krocza i wykonał posuwisty ruch ręką. – Bo co to za miłość bez seksu, nie?

Parsknęliśmy śmiechem, a Collins zakrztusił się przytrzymanym w płucach dymem.

Carter uśmiechnął się pod nosem, zaserwował kolejną „francuską” minę, po czym uniósł rękę, by nas uspokoić. Chwilę potrwało, zanim się uciszyliśmy.

– W końcu pewnego dnia Kochasiowi przeszło – podjął, gdy przestaliśmy się śmiać. –

W towarzystwie chłopaków spalił zdjęcie, poszedł na kurwy, a wieczorem, pijany w trzy dupy, postanowił, że znajdzie tu sobie jakąś panienkę, która go doceni. Najlepiej żółtą, bo one, jak twierdził, były wierniejsze od collie.

Myśleliśmy, że tak tylko pieprzy po pijaku, ale następnego dnia facet idzie na miasto i choć nie było to łatwe w tej dziurze w dupie świata, kupuje różę. Trochę się naprzekonywał

sierzanta, ale w końcu ten pozwolił mu zabrać badyła na patrol. I Kochaś szedł tak przez dżunglę, z różą przytroczoną do plecaka, jakby niósł antenę do radia jebanych hippisów.

Carter przerwał na moment, pozwalając nam to sobie wyobrazić. Załapał się na sztacha poza kolejką, po czym wrócił do opowieści.

– Ledwo weszliśmy do wioski, rzucił się do szukania odpowiedniej kandydatki. Nie zajęło mu to wiele czasu i po chwili przyprowadził przed oblicze sierżanta jakąś kupkę błota i szmat, zgarbioną i wystraszoną. Powiedział, że dziewczyna nazywa się Dang Thi Binh, i poprosił, by sierżant, w imieniu Stanów Zjednoczonych, które stały się dla Kochasia drugą ojczyzną, pobłogosławił jego związek. Sierżant patrzy na dziewczynę, na jej skołtunione włosy, ubranie ze starego worka po ryżu i różę, którą trzyma jak pałkę. Potem podnosi wzrok i mówi: „Idź ją, kurwa, najpierw umyj. Żółtego koloru z niej nie zetrzesz, ale może uda się choć twarz zobaczyć”.

I Kochaś umył dziewczynę. Poprosił nawet inne szmaciano-błotne stworki – jej rodzinę

– by dały pannie młodej coś lepszego do ubrania. Gdy przyprowadził ją z powrotem, żółtka zaczęła choć trochę przypominać człowieka.

Ceremonia trwała krótko, ale była całkiem miła, bo gdy mieszkańcy wioski dowiedzieli się, że amerykański żołnierz chce poślubić jedną z ich dziewczyn, zaraz wyleźli z chat, niosąc prezenty w postaci misek ryżu i takich tam.

Potem daliśmy młodej parze pół godzinki dla siebie i ruszyliśmy dalej. Kochaś marudził

trochę, że chciałby ściągnąć żonę do bazy, ale sierżant spojrział na niego tak, że... zaraz przestał marudzić. Wróciliśmy do bazy i przez parę dni sprawa była tematem numer jeden.

Wiecie: żarty, nowe wersje opowieści i nagle, kurwa, wszyscy zaczęli się zarzekać, że tam byli. Po tygodniu sprawa przycichła, a niedługo potem nasz pluton dostał rozkaz przeniesienia.

– Pokaż, jak wtedy wyglądał Kochaś! – zawołał Kravitz i wykrzywił się do Russo. – To moja ulubiona mina.

Carter uniósł brwi i wybałuszył oczy, zassał do środka policzki jednocześnie cofając podbródek. Następnie zamrugął gwałtownie.

Kolejny raz ryknęliśmy śmiechem i kolejny raz Carter musiał nas uciszać.

– W nowej bazie wszystko wyglądało tak samo. Najpierw nie dało się z gościem żyć, bo smęcił o żonie, potem ktoś go w końcu przekonał, że nie może się wiecznie martwić. I... nie zgadniecie! Facet idzie na bazar i kupuje różę. A potem trafiamy do wioski, gdzie znajduje sobie nową żonę. Znowu pół godzinki sam na sam, powrót do bazy i przymusowa separacja.

A potem kolejny rozkaz przeniesienia. Jak wiecie, nie było nas wtedy tak dużo, więc trochę nami rzucali to tu, to tam. W sumie, o ile dobrze pamiętam, z pięć czy sześć razy.

– I wszędzie... – zaczął Russo. – Wszędzie znajdował nową żonę?

Carter pokiwał głową.

– Wiesz, Kochaś nie był brzydki, to i nie miał z tym większych kłopotów. Poza tym te róże sprawiały, że żółte wsiurki z miejsca robiły się mokre. No, ale nie o tym miałem. Tak się złożyło, że wylądowaliśmy w Cu-Chi na jakimś miejscowym święcie. Wiecie, jak tam jest. Masa naszych, wioski pod ścisłą kontrolą, ale pozór wolności i takie tam bzdury. No i wtedy się okazało, że z okazji tego święta do miasta schodzą się delegacje ze wszystkich wiosek. Obaj z Kochasiem mieliśmy wtedy przepustki, więc ruszyliśmy w miasto. Nagle patrzymy, a tu przy straganie stoi jedna z żon żabojada, odstawiona, jakby cała wiocha oszczędzała, żeby ją ubrać. Do piersi przyczepiła ususzoną główkę róży. Już miał do niej podejść, gdy nagle dostrzegł drugą, też czystą i schludną, z główką róży wplecioną w kok.

Kochaś był wniebowzięty. Nawet się nie odwrócił, żeby mi powiedzieć, że się spóźni czy coś. Po prostu pognął do pierwszej jak zabujany szczeniak.

Pamiętam, że zazdrościłem mu wtedy, bo byłem przekonany, że tego wieczoru obkoczy obie. A kto wie, może znajdzie i pozostałe. Czekają go multum małżeńskiego seksu, podczas gdy ja mogłem

liczyć tylko na to, że nie będę stać w kolejce do jakiejś porządnej kurwy.

Carter wstał, przeciągnął się i poklepał po kieszeniach.

– Ma ktoś fajki? – zapytał. – Nie chce mi się szukać moich.

Kravitz sięgnął do kieszeni i rzucił mu paczkę lucky strike'ów.

– Policzone – zastrzegł. – Góra dwie.

– Jasne. – Carter skinął głową. Przeniósł wzrok na Russo. – Pewnie ciekawi cię, czy opowieść ma jakąś puentę, co? Otóż ma, i to całkiem niezłą.

Nad ranem ktoś zostawił Kochasia przed bramą bazy na wozie pełnym płatków róż.

Facet miał mordę zrytą jak lodowisko po play-offach, a do tego z tyłka sterczało mu sześć kolczastych łodyg. Do jednej przypięto karteczkę z wypisanym po angielsku słowem

„rozwód” i jedenastoma koślawymi podpisami żon Kochasia. Okazało się, że wszystkie zjechały wtedy do miasta i rozpoznały się po kwiatach. A może było inaczej, kto to wie? W

takich sprawach kobiety zawsze się zgadają.

Carter zsalutował, odwrócił się na pięcie i wyszedł z baraku, a my, jak to zwykle po

„Kochasiu”, przez chwilę zanosiliśmy się śmiechem.

Potem przyszła kolej Collinsa. Ponieważ opowieść o tym, jak Australijczycy pierwszy raz badali tunele, znałem chyba jeszcze lepiej niż opowiastkę o Kochasiu, postanowiłem, że tym razem odpuszczę i pójdę się przewietrzyć. Wziąłem z pryczy hełm i wkładając go, ruszyłem za Carterem.

* * *

Stał oparty o worki z piaskiem i wpatrzony w dżunglę palił papierosa. W drugiej ręce, opuszczonej i ukrytej częściowo za plecami, ścisnął piersiówkę. Być może trzymał ją tak

dlatego, że nie chciał się z nią afiszować, ale jakoś w to nie wierzyłem. Wyglądał na gościa, który wcale nie ma ochoty pić, ale czuje się pewnie, wiedząc, że w razie czego ma taką możliwość.

Podszedłem do niego, wydając z kieszeni fajki.

– Kiedy pytałem, to nie miałeś – rzucił Carter obojętnie, nawet na mnie nie patrząc.

– Nie mówiłem, że nie mam – odparłem.

Odpaliłem papierosa i zaciągnąłem się. Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

W końcu Carter przerwał ciszę.

– To nie była prawdziwa historia, wiesz? – powiedział, wciąż gapiąc się na dżunglę.

Parsknąłem.

– Nie pierdol. A taki byłem pewien, że...

Carter odwrócił się gwałtownie i popatrzył mi prosto w oczy. Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że odechciało mi się żartów.

– On je gwałcił, Dylan – powiedział głosem całkowicie wypranym z emocji. – Dawał im te róże, a potem gdzieś zaciągał i rznął aż wyły z bólu. Na koniec podrzynał im gardła albo wbijał nóż w serce. Wiedzieliśmy o tym, ale jego jebany ojciec znał się z generałem, więc sierżant przymykał oko i nam też nie pozwolił się wtrącać. Róże przed gwałtem. Jezu, kurwa, Dylan, jak chorym trzeba być, żeby wymyślić coś takiego?

Nie wiedziałem co na to powiedzieć. Stałem i patrzyłem na niego tępo.

– Pewnego razu zaginął, a gdy go znaleźliśmy dwa dni później, miał w ustach i przełyku tyle różanych płatków, że sięgały pewnie do samego żołądka. – Roześmiał się nerwowo, a gdy uniósł rękę, by się zaciągnąć, widziałem, że drży mu dłoń. – A wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? To gdzie go znaleźliśmy. Pewnej nocy po prostu położyliśmy się spać, a gdy się obudziliśmy, leżał na swojej pryczy, nagi i wypchany płatkami jak indyk na Święto Dziękczynienia. Niezłe, nie? W środku jebanej amerykańskiej bazy.

Wiedziałem, że tej nocy nie zasnę. A kto wie, może nie zasnę już nigdy. Może sprawiła to trawa, może ton Cartera, ale nagle ujrzałem Kochasia, tak jak oni mogli go widzieć tamtego dnia. Zrobiło mi się zimno.

– Próbowałem zapomnieć – kontynuował Carter. – A gdy mi się to nie udało, zacząłem przerabiać tę opowieść na zabawną historyjkę, nieraz dorabiałem happy end. Czasem pomaga... ale na krótko.

Cisnął niedopałek w błoto.

– A ostatnio na coraz krócej. – Uśmiechnął się szeroko i klepnął mnie w ramię. – To brudna wojna, Dylan. Pełna zwyrodniałych świrów i takich pojebanych historii. A jedyne, co możemy, to czasem zwierzyć się komuś i udawać, że to pomaga. Zrozumiesz, jak będziesz miał już własną opowieść. Możesz wtedy na mnie liczyć, pamiętaj.

Skinąłem głową, mając nadzieję, że nigdy nie będzie takiej potrzeby.

Pojawiła się niedługo później... ale wtedy nie było już Cartera.

* * *

Następnego dnia, zaraz po wschodzie słońca, mieliśmy się wybrać na „rutynowy spacer”. Nie wiem, co za kretyn wymyślił takie określenie i jakim cudem się przyjęło.

Łaźnienie po dżungli nigdy nie nabrało dla nas cech rutyny. Zawsze było to cholerne być albo nie być.

Gdy wyszedłem z baraku, powietrze jak zwykle było wilgotne, ale przynajmniej wciąż jeszcze przyjemnie chłodne. Wiedziałem, że to nie potrwa długo, cieszyłem się więc każdym powiewem na twarzy. Uniosłem głowę, by popatrzeć na świt.

Było coś optymistycznego w widoku lekko zaróżowionych chmur, w kremowobiałych mgiełkach nad dżunglą czy wreszcie złocistych przeblyskach wspinającego się po niebie słońca. Zwłaszcza tego dnia, po nocy pełnej koszmarnych wizji, gdzie główne role grali na przemian napęczniały żółtek z rzeki i rzygający płatkami róż Francuz, świt był jak uśmiech od Boga.

Wtedy obiecałem sobie, że ilekroć będzie to zależało ode mnie, postaram się budzić przed świtem, by oglądać to niezwykle zjawisko.

Z baraku za mną wyszli najpierw Marquez z O'Tunnerem, a chwilę później Collins, dopinający uprząż i poprawiający ułożenie ładownic. Teoretycznie, zgodnie z wszelkimi konwencjami, jako medyk mógł nosić przy sobie wyłącznie sprzęt medyczny, żadnej broni, a do tego winien być oznaczony, tak żeby go było widać z daleka. Na szczęście jednak, tak dla niego, jak i dla nas, armia odstąpiła od przestrzegania tej zasady. Jedyńm więc, do czego ograniczył się Collins, by określić swoją funkcję, było noszenie brunatnoczerwonego krzyża na plecaku z medykamentami. Niektórzy, w tym ja, uważali, że to i tak za dużo.

– Dokąd tym razem? – zapytał, podchodząc do mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Podobno dalej wzdłuż rzeki, ale kto ich tam wie. Ktoś nawet wspomniał, że...

Nie zdążyłem dokończyć, bo zza baraków wyłonił się sierżant. Poruszał się lekko i swobodnie, jakby właśnie wybrał się na niedzielny spacer, a nie na patrol, z którego może nie wrócić.

W prawej ręce trzymał karabin, a w lewej buty, które zawsze wkładał w ostatniej chwili.

Zostało mu to z czasów, gdy postanowił raz na zawsze rozprawić się z grzybicą, rezygnując z noszenia skarpetek. Jakiś czas cierpiał z powodu odcisków, ale od tamtej pory jego stopy stały się odporniejsze niż wojskowe buty. Wszyscy mu tego zazdrościli, ale nikt jakoś nie odważył się zrobić tego co on. Z dwojga złego, choć może to brzmieć niedorzecznie, woleliśmy chyba ciągle swędzenie i smród zagrzybionych stóp.

Sierżant zatrzymał się tuż obok nas i odczekał, aż pluton ustawi się w dwuszeregu.

Potem przyklęknął i zaczął wkładać buty.

– Będziemy dziś osłaniać oddział Szczurów – powiedział jakby mimochodem, skupiony na sznurówkach. – Wczoraj, gdy my urządzaliśmy sobie spacer, chłopaki Guareza znalazły parę nowych, wielce obiecujących szparek. Mamy je zabezpieczyć.

Podniósł się z klęczek i otrzepał kolana. Jego surowa twarz nie wyrażała w owym momencie żadnych emocji, ale my wiedzieliśmy, jak bardzo cieszy go perspektywa dorwania Charliego. To właśnie sprawiało, że choć ceniliśmy go jako sprawnego żołnierza, za cholerę nie byliśmy w stanie mu zaufać. Dutch chciał zabijać, my przeżyć – klasyczny przypadek konfliktu interesów.

– Macie kwadrans dla siebie – powiedział, skupiając wzrok na bladej twarzy Russo, jakby się zastanawiał, czy dzieciak podoła zadaniu. Widocznie uznał, że tak, bo zaraz dokończył: – Potem chcę was wszystkich widzieć przy helikopterach. Rozejść się!

Byłem już gotowy, więc odczekałem tylko, aż reszta plutonu się rozejdzie, a potem ruszyłem w stronę lądowiska.

* * *

Od polanki, na której wylądowaliśmy, do włączów znalezionych przez pluton Guareza były jeszcze, według koordynatów, dobre dwie mile marszu.

Szliśmy rozproszeni, unikając ścieżek i starając się patrzeć równocześnie na boki i pod nogi. Unosząca się tuż nad ziemią mgiełka dodatkowo utrudniała to, i tak niełatwe, zadanie.

Nikt jednak nie narzekał. Nawet Russo, który dość ciężko znosił skutki nocnego opalania, utrzymywał tempo i nie wyglądał już, jakby zaraz miał wyrzygać wszystkie zjedzone posiłki, z mlekiem matki włącznie. Szczerze mówiąc, uspokoiło mnie to. Nie wiedzieć czemu czułem się za niego odpowiedzialny. A i on trzymał się mnie kurczowo, pilnując, by zawsze być możliwie blisko.

Kilka kroków za nim podążał Dutch, zgodnie ze skautowską zasadą dostosowując swoje tempo do prędkości najsłabszego. Obok, taszcząc na plecach radio, szedł Kravitz.

Miałem właśnie zamiar się zatrzymać i zaczekać na nich chwilę, gdy nagle gdzieś z przodu rozległ się przerażający wrzask Collinsa.

Nie zważając na ewentualne rozpięte linki czy inne pułapki, rzuciłem się biegiem przez chaszczę, odruchowo zginając w pół i kryjąc głowę w ramionach. Zauważyłem, że Carter zrobił to samo, ale był o wiele dalej niż ja. Reszta plutonu przywarła do drzew. Z bronią gotową do strzału, wypatrywali celu wśród duchów lasu.

Przeskoczyłem kolejny krzaczek i... o mało nie wpadłem na Collinsa.

Medyk siedział na ziemi i sycząc z bólu, próbował zsunąć stopę z kawałka zaostzonego bambusa. Nie było to łatwe, gdyż kołek przebił podeszwę buta i utkwiał w ciele. Teraz każdy ruch sprawiało, że Collins związał się z bólu i tracił coraz więcej krwi.

Klęknąłem przy nim, próbując zapanować nad drżeniem rąk.

– JapierdolęCollins – rzuciłem jednym tchem. – Jak... Znaczy, mów, co mam robić.

– Pomóż mi wyciągnąć to gówno – wycedził. – Najlepiej, kurwa, jednym szarpnięciem.

Kątem oka dostrzegłem, że Carter jest już kilka kroków ode mnie, i przez chwilę rozważałem, czy nie poczekać na niego, ale uznałem, że nie ma co przedłużać tej sytuacji.

Chwyciłem nogę Collinsa na wysokości kostki i szarpnąłem gwałtownie. Przy akompaniamencie syku medyka i mlaśnięcia otwieranej rany stopa zsunęła się z kołka.

Tymczasem Carter dobiegł do nas i opadł na kolana, ciężko dysząc. Nie mogąc wydobyć z siebie słowa, wykonał gestem kółko, znaczące „otoczeni”. Nie wiedziałem tylko, czy pyta, czy ostrzega. Na wszelki wypadek mocniej wtuliłem głowę w ramiona.

– W plecaku znajdziesz zestaw foliowych woreczków i taśmę klejącą – wyszeptał

Collins. Widać było, że powoli odpływa. – Owiń mi nogę, osłaniając ranę... Nawet nie próbuj zdejmować buta.

– Jasne – powiedziałem, biorąc się do roboty.

Carter uspokoił oddech, a z krzaków wyłonił się Dutch. Oceniał sytuację i pokręcił z dezaprobatą głową.

– Daj mu morfinę – powiedział do mnie. – I weź od niego plecak. Carter, zabezpieczysz broń.

– Tak jest – odpowiedzieliśmy niemal równocześnie.

Po chwili zjawiał się Kravitz.

– Mam łączyć z bazą, sierżancie? – zapytał, łapiąc za słuchawkę. – Helikoptery pewnie nie odleciały jeszcze daleko i...

– Jesteśmy już spóźnieni. – Dutch przyglądał się krytycznie moim poczynaniom. Nie podobało mu się, że trwa to tak długo. – A poza tym Collins sam może się opatryć, gdy tylko znajdziemy się w jakimś spokojniejszym miejscu, prawda?

Medyk uśmiechnął się słabo.

– W dzieciństwie nieraz stawałem na patykach, sir – wyszeptał.

Dutch skinął głową, wyraźnie zadowolony z odpowiedzi. Podał karabin Kravitzowi, schylił się i pomógł Collinsowi wstać. Był od niego odrobinę niższy, więc medyk mógł się swobodnie oprzeć na jego ramieniu. Z czego z ulgą skorzystał. Sierżant odebrał swój karabin i dał sygnał do marszu.

Podniosłem plecak-apteczkę, przewiesiłem przez ramię i ruszyłem za sierżantem.

* * *

Gdy dotarliśmy na miejsce, potwierdziło się to, co od dłuższego czasu podejrzewaliśmy

– ktoś, Guarez albo góra, wałnął się we współrzędnych.

Nie pasowało nic. W miejscu, gdzie powinno być solidne wzgórze, nie zauważyliśmy nawet tyciego pagórka. W miejscach oznaczonych na mapie nie odkryliśmy ani jednego

włazu, brakowało też sekretnych oznaczeń na drzewach. A co najgorsze, nigdzie nie widzieliśmy rzeki, choć według planu powinniśmy się teraz znajdować niespełna sześćdziesiąt jardów od niej.

Sierżant pomógł Collinsowi usiąść pod drzewem i polecił Kravitzowi połączyć się z bazą.

Wykorzystałem ten moment, by choć na chwilę zrzucić plecak medyka. Było parno i gorąco, nawet jak na dżunglę, a poza tym okazało się, że ratując Collinsa, przypadkiem klęknąłem na mrowisku i teraz czułem wędrujące tam i z powrotem mrówki. Swędzenie i łaskotanie doprowadzało mnie do szaleństwa.

Reszta plutonu porozsiadała się pod drzewami, z karabinami na kolanach.

– Kiedyś będę musiał im opowiedzieć o jebanych bambusowych żmijkach – powiedział

Carter, wyłaniając się zza drzewa i dopinając rozpiorek. – Kiedyś, jak upierdoliła kumpla, to zgasł szybciej niż jego papie...

Ostatnie słowo zagłuszył nagły huk i w tej samej chwili twarz Cartera zamieniła się w krwawą miazgę. Zaraz potem rozległo się terkotanie kałasznikowów.

Odruchowo rzuciłem się na ziemię, odczołgując za najbliższą osłonę i przykładając kolbę do ramienia. Otworzyłem ogień.

Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe, a do oczu spływał słony pot, tak że nie widziałem nawet, gdzie strzelam. Choć i tak nie miało to większego znaczenia. Charlie potrafili ukrywać się w swoich lasach.

Po chwili opróżniłem magazynek i musiałem się przeturlać na bok, żeby sięgnąć do ładownicy na piersi. Ręce pracowały same, miałem więc krótką chwilę na ogląd sytuacji.

Dostrzegłem kilku chłopaków zgromadzonych wokół Dutcha i leżącego bezwładnie Kravitza. Sierżant wciąż usiłował nawiązać łączność, wyglądało jednak na to, że bez powodzenia.

Rozejrzałem się za Collinsem i dostrzegłem go ukrytego za niewielkim zwalonym pniakiem. Udało mu się zdobyć skądś karabin i na razie radził sobie całkiem nieźle.

Wtedy właśnie przeleciała mi nad głową puszcza coli. A potem pamiętam już tylko ciemność.

* * *

Nie, nie oberwałem, ogłuszyło mnie tylko, ale gdy się ocknąłem, miałem wrażenie, jakby ktoś nalał mi do uszu benzyny i podpalił. Na policzkach czułem zaschnięte łyzy, a ze spodni wydobywał się

smród niekontrolowanego wypróżnienia.

Byłem nieprzytomny tylko przez moment. Nad moją głową wciąż jeszcze było słyhać strzały, ale teraz zdecydowanie rozlegało się terkotanie kałachów niż serie z naszych emek –

chłopcy wyraźnie oszczędzali amunicję.

Odetchnąłem głęboko, myśląc, że skoro i tak przyjdzie mi umierać, to chyba lepiej wśród swoich.

Złapałem za pasek plecaka Collinsa i w tym momencie dostrzegłem, że ktoś mi się przygląda.

Chłopiec mógł mieć nie więcej niż sześć lat. Rzecz jasna, to wcale nie czyniło go mniej groźnym. Wiedzieliśmy, że każdy Charlie staje się niebezpieczny z chwilą, gdy jest w stanie utrzymać w dłoni kamień. A ten na dodatek wyłonił się spod ziemi, zaledwie kilka stóp od miejsca, w którym chwilę wcześniej leżałem.

Gdybym trzymał karabin gotowy do strzału, pewnie bez zastanowienia władowałbym w niego całą serię, wyrzutami sumienia martwiąc się później. Najwidoczniej jednak los chciał

inaczej.

– *Tr giúp nh ng nhu c u b tòi* – powiedział chłopiec, a ja, pomimo bitewnej wrzawy, usłyszałem to zdanie głośno i wyraźnie, jakby włożył mi je wprost do głowy.

Cóż jednak z tego, skoro nie rozumiałem ani słowa. Dzieciak musiał się domyślić, że nie rozumiem, bo wskazał głową na torbę Collinsa i łamaną angielszczyzną powiedział:

– Chora ojciec... pomóż.

Dopiero wtedy załapałem, że mały bierze mnie za lekarza. A także to, że oferuje mi szansę na przeżycie.

– Tak – powiedziałem. – Jestem lekarzem. I pomogę twojemu ojcu. Prowadź.

Chłopak rozpromienił się i zniknął w otworze tunelu, ale zanim zdjąłem plecak i odpiąłem uprząż, pojawił się jeszcze dwa razy, by sprawdzić, czy się nie rozmyśliłem.

Podczołgałem się do otworu i wrzuciłem do niego oba plecaki, swój i Collinsa, a także karabin. Wiedziałem, że tego ostatniego raczej nie uda mi się zabrać do tunelu, ale nie chciałem zostawiać go na widoku. Znajdując nadprogramowy karabin, Charlie z pewnością szybko by zrozumieli, co się stało. Wówczas nie miałbym żadnych szans.

Ostrożnie wszedłem do głębokiej na mniej więcej siedem stóp studzienki i zamknąłem za sobą klapę.

Chłopiec czekał na mnie w wejściu do tunelu, trzymając w rękach małą buteleczkę po lekarstwach, której używał jako lampki. Obejrzał dokładnie moje rzeczy, upewniając się, że zabrałem plecak Collinsa, po czym dał mi sznurek i pokazał, bym przywiązał sobie apteczkę do nogi. Również gestem

poleciał mi zdjąć hełm, ale w tej kwestii ani myślałem go słuchać, więc pokręciłem głową.

Wzruszył ramionami i wczołgał się do tunelu, zabierając ze sobą resztkę światła.

* * *

Od chwili, gdy trafiłem do dżungli, słyszałem wiele opowieści o tunelach. Część, jak tę o Australijczyku, który zaklinował się w wejściu i udusił, bo chwilę wcześniej jego kumple

włoczyli tam masę dymu, sam puszczałem dalej w obieg. Podobnie jak historię o korytarzach pod zbiorowymi mogiłami czy absolutnie kiczowatą opowiastkę o żółtkach, którzy zatracili już zdolność oddychania świeżym powietrzem i stali się obłąkanymi krzyżówkami ludzi i kretów.

Szczury Tunelowe, czyli chłopcy ze specjalnej jednostki do penetracji tuneli, którzy zjawiali się czasem w naszym obozie, dodali do tego parę własnych historyjek. Mniej makabrycznych, ale równie obrzydliwych

„Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tam cuchnie” – powiedział mi kiedyś jeden z nich. –

„Nie zliczę, ile razy zdarzyło mi się wpełznąć na gówno. Ale to i tak lepsze niż trafienie na minę, nie? Tych też jest tam od chuja”.

Pamiętam, że widząc moją minę, parsknął śmiechem i poklepał się w ramię. Miał tam, jak wszyscy jego kumple z oddziału, przyszytą plakietkę z koślawym rysunkiem szczura i napisem Non Gratum Anus Rodentum.

Lepiej nie mogli tego ująć. Stojąc wtedy w wąskiej, głębokiej na siedem stóp studziencie, mając w perspektywie pewną śmierć na gorze i wielce możliwą w podziemnym tunelu, tak właśnie się czułem – niewart szczurzej dupy.

* * *

Gdy w końcu się zmusiłem, by wpełznąć do tunelu, z zaskoczeniem odkryłem, że prócz lekko zatęchłej woni wilgotnej ziemi nie czuję właściwie żadnych nieprzyjemnych zapachów. Wbrew obawom mogłem też swobodnie poruszać się i oddychać. To by jednak było na tyle, jeśli chodzi o pozytywy. Poza tym bowiem kompletnie nic nie widziałem, a ziemia była tak mokra, że po chwili miałem już przemoczoną bluzę i spodnie. Do tego odgłos sunącego po ziemi plecaka, przywiązanego do mojej lewej nogi, przyprawiał mnie o ciarki na plecach. Kojarzył mi się ze skrobaniem w wieko trumny przez pochowanego żywcem.

Czołgałem się powoli, zastanawiając się, czy nie powinienem zawołać chłopca i poprosić go, by wrócił tu ze światłem. Z zewnątrz jednak wciąż dochodziły odgłosy strzałów i wołałem nie ryzykować. Ostatnie, czego potrzebowałem, to Charlie ścigający mnie pod ziemią. Zresztą miałem za sobą nie więcej niż cztery jardy tunelu, wystarczyło więc, by któryś po prostu wskoczył do studni i poświecił czymkolwiek w głąb tunelu. Mieliby mnie jak na cholernych pałeczkach.

Coś przebiegło mi po dłoni. Wzdrygnąłem się i błyskawicznie cofnąłem rękę. Serce waliło mi jak

oszałała, a ja w myślach przeklinałem dzieciaka, że nie zostawił mi światła.

Jeśli już, to z nas dwóch raczej on powinien poruszać się w tunelach po omacku.

Przynajmniej miał wprawę.

Zaczerpnąłem głęboko tchu i powoli popęzłem do przodu.

Pierwsze ruchy były niezwykle trudne. Ostrożnie wysuwałem rękę, gotów ją cofnąć, jeśli tylko koniuszki palców dotkną czegokolwiek. Dopiero po takim badaniu podczołgiwałem się kawałek i ponownie badałem, co jest przede mną.

Po pewnym czasie zacząłem nabierać wprawy. Strach z pewnością nie minął, ale uzmysłowiłem sobie, że im wolniej będę się poruszał, tym później stąd wyjdę. To przeświadczenie okazało się wystarczającą motywacją, by posuwać się szybciej.

Na żadne stworzenie już się nie natknąłem i powoli zacząłem przekonywać samego siebie, że równie dobrze mogła to być grudka ziemi, która spadła mi na dłoń, albo korzeń...

I wtedy właśnie w korytarzu pojaśniało.

Najpierw był to słaby rozbłysk, który zamigotał jak stara jarzeniówka na szpitalnym korytarzu, a po chwili cały tunel wypełniła delikatna szmaragdowa poświata.

Oczywiście w takich chwilach człowiek szuka najprostszyc wytlumaczeń, toteż, mimo że światło wyraźnie nie układało się w snop, uznałem, że to latarka. A to z kolei oznaczało, że ktoś się zbliżał.

Przewróciłem się na bok, by sięgnąć do pasa po pistolet, gdy nagle, tuż nad moim uchem rozległ się cichy szept:

– *Máu trẽn nh ng b́n tay t́i.*

Pojęcia nie mam, jak to się stało, ale zdałem sobie sprawę, że rozumiem to zdanie.

Zupełnie jakby ktoś podmienił mi je w głowie na angielski odpowiednik. Znaczyło: „Krew na moich rękach”.

Jak na zawołanie po ścianach tunelu zaczęła spływać gęsta, ciemna ciecz. Nie miałem wątpliwości, że gdybym zobaczył ją przy normalnym świetle, byłaby koloru bordo.

W panice zacząłem się cofać, ale zaraz poczułem opór, jakbym dotarł do końca tunelu.

Gdy się obejrzałem, okazało się, że tak było w istocie. Odcinek, który do tej pory pokonałem, zniknął, a wraz z nim studnia i właz prowadzący na powierzchnię. Zastąpiła je ściana ciemności, falująca lekko jak powietrze nad ogniskiem. Była materialna, dotykałem jej stopami, ale jednocześnie nie mogłem się pozbyć wrażenia, że zaraz wyłoni się z niej coś przerażającego – stwór z innego wymiaru, a może wietnamski człowiek kret o pokrytych bielmem oczach i dłoniach zrosniętych w

jednopalczaste szpony.

Tymczasem krew wciąż spływała i spływała, tworząc na dnie tunelu szeroki strumień, który lada chwila miał mnie pochłonąć. Czułem już, jak sięga do palców i dalej, do nadgarstków, łokci...

Zacisnąłem powieki, jak dziecko, które wierzy, że zło nie istnieje, jeśli się nie patrzy, i spróbowałem się pomodlić. Nie robiłem tego od lat i słowa jakoś nie chciały ułożyć się w mojej głowie, ale po chwili, gdy zdołałem wyrecytować kilka wersów „Ojcze nasz”, zorientowałem się, że poziom krwi przestał się podnosić. Powoli otworzyłem oczy. Nie było ani zielonego światła, ani ściany ciemności. Był tylko zwykły mrok, towarzyszący mi od początku tej wędrówki. Przyjąłem go jak błogosławieństwo.

* * *

Nie wiem, jak długo leżałem w bezruchu, przekonując samego siebie, że wszystko, czego przed chwilą doświadczyłem, było jedynie przywidzeniem, histerią zmysłów. Myślę jednak, że zostałem tam już na zawsze, gdyby nie dzieciak.

Najpierw dostrzegłem nikłe światło jego lampki, a potem on sam wyłonił się zza zakrętu. Popatrzył na mnie ze zniecierpliwieniem.

– Ojciec... chora – przypomniał. – Chodź.

Nie bez drobnych komplikacji zawrócił i pognął do przodu, zupełnie na mnie nie zważając. Poruszał się na czworakach i bardzo szybko zniknął mi z oczu.

Tym razem jednak zostawił lampkę.

Chwyciłem ją delikatnie i powoli ruszyłem przed siebie.

* * *

Po pewnym czasie tunel zaczął się zwężać. Coraz częściej natrafiałem na miejsca, gdzie dotykałem ścian równocześnie obydwojma łokciami, trafiały się i takie, gdzie musiałem przeciskać się bokiem, z rękami wyciągniętymi ponad głowę.

Mała lampka dawała akurat tyle światła, bym mógł widzieć własne dłonie i kawałek przed nimi. Nikły płomyk tańczący na knocie wprawiał w ruch cienie wokół mnie, dając pożywkę pobudzonej wyobraźni.

Widziałem więc twarze wykrzywione w niemym krzyku za wilgotną błoną ścian, szponiaste dłonie czające się w mroku, tuż poza polem jasności, i strużki krwi sączące się powoli ze sklepienia...

Do tego dochodziły jeszcze dźwięki. Ciche pluskanie spadających kropeł, osypująca się ziemia uderzająca o hełm, szuranie ciągnącego się za mną plecaka – wszystkie z osobna zupełnie normalne, ale razem składające się na odgłos niepokojąco zbliżony do szeptu, który wciąż brzmiał mi w uszach.

Máu trẹn nh ng b́n tay tòi. Krew na moich rękach.

* * *

Trudno powiedzieć, jak szybko się poruszałem. W końcu przyzwyczailem się do bólu w obtartych łokciach i udało mi się złapać solidne tempo, ale co jakiś czas mniejsza lub większa przeszkoda zmuszała mnie, bym zwolnił, a nawet się zatrzymał.

Jak wtedy, gdy mijalem dziurę, do której na moich oczach wszedł ogromny włośchaty pajak. Nie przekroczyłem tego miejsca, zanim starannie nie zasypałem otworu, ale potem i

tak, gdy nad nim przepelzałem, zdawało mi się, że czuję, jak pajak porusza odnóżami, próbując się uwolnić. A potem długo nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jednak się wydostał i biega mi po plecach.

Byłem już całkowicie przemoczony. Brzuch i nogi zdrętwiały mi, a jądra zamieniły się w dwa maleńkie kamyczki. Próbowałem nucić coś pod nosem, ale mój głos brzmiał obco i niepokojąco, więc szybko przestałem, szukając w pamięci czegoś wesołego, na czym mógłbym skupić myśli.

Przypomniałem sobie parę zabawnych wydarzeń z dzieciństwa, a nawet jedną czy dwie śmieszne scenki ze szkoły; niestety, wspomnienia z domu skończyły się szybko, wyparte przez te z dżungli. Zupełnie jakby tamto życie było jedynie dawno obejrzanym filmem, z którego zapamiętałem wyłącznie kilka najlepszych scen i motyw muzyczny.

Pomyślałem więc o Carterze. O tym, jak uczył mnie, że w dżungli papierosy Lucky Strike, które wtedy nie miały jeszcze filtrów, pali się odwrotnie, tak by zatrzeć ślad po nazwie wydrukowanej na bibułce. Dzięki temu Charlie nie wiedzieli, kto rzucił niedopałek: oni czy my.

Albo jak wpadł kiedyś do baraku, przedrzeźniając sierżanta, i robił to z taką pasją, że nie zauważył Dutcha stojącego obok.

No i oczywiście opowieść o Kochasiu, która bawiła nas zawsze do łez. Zwłaszcza mina, gdy się dowiedział, że...

„Prowokowały mnie”.

Szept brzmiał zupełnie jak szmer ziemi i wody, ale słowa były niezwykle wyraźne. Po całym tunelu rozszedł się słodki zapach. Skojarzyłem go natychmiast. Woń róż.

Nagle poczułem, że sznur, którym przywiązałem apteczkę, zaciska się. Odwróciłem się gwałtownie i...

Był tam, trzymał mnie za kostkę, skąpany w zielonkawej poświacie, która nadawała jego pociągłej, kiedyś z pewnością przystojnej twarzy, przerażający, a zarazem groteskowy wygląd.

Wrzasnąłem, a wtedy on otworzył usta, z których posypały się płatki róż. Przez moment wirowały w powietrzu, po czym rozsypywały się na popiół.

„Mówiły, że nie chcą, ale pragnęły mnie...”.

Szarpnąłem się i kopnąłem go z całej siły wolną nogą. Rozległ się cichy trzask, a zaraz po nim usłyszałem obrzydliwe mlaśnięcie, jak bym wdepnął w błoto. Uchwyt zelżał na moment. Złapałem za lampkę i nie bacząc na nic, zacząłem się czołgać, najszybciej jak potrafiłem. Cały czas czułem słodkawą woń, która z każdą chwilą stawała się coraz mocniejsza. Nie był to już jednak zapach róż. Tak śmierdzą gnijące ciała.

* * *

Gdyby zależało to tylko ode mnie, nie zatrzymałbym się aż do utraty przytomności.

Choć łokcie piekły mnie potwornie, podobnie jak bok, którym zahaczyłem chyba o wystający korzeń, nie zwalniałem ani na moment. Wciąż wydawało mi się, że słyszę cichy szept Kochasia, który pełźnie za mną, zostawiając za sobą ślad z różanych płatków.

Minąłem dwa zakręty, gdy nagle się okazało, że dotarłem do końca korytarza. Tunel, opadający w tym miejscu pod kątem trzydziestu, może czterdziestu stopni, kończył się kałużą o rozmiarze wjazdu.

Przewróciłem się na bok, by sprawdzić, czy martwy Francuz wciąż jest za mną, ale szuranie ucichło, a do mojej nogi, jak wcześniej, był uczepony tylko plecak Collinsa.

Sięgnąłem po nóż, by go odciąć. Zaraz jednak doszedłem do wniosku, że jeśli dzieciak zobaczy, że nie mam już apteczki, może nie zechceć wyprowadzić mnie na zewnątrz. O ile wciąż jeszcze o mnie pamiętał.

Doczołgałem się do kałuży i poświeciłem nad nią lampką.

Wiedziałem, skąd się tu wzięła i jaka była jej rola. Znajomy Szczur opowiadał, jak musiał się przeciskać przez wypełnione wodą syfony, by się przedostać do kolejnego korytarza. Wypełnione deszczówką, a nierzadko uzupełniane moczem, dołki z wodą zapobiegały rozprzestrzenianiu się bojowych gazów o wiele skuteczniej niż szczelne, dopasowane klapy.

Przechodzenie przez syfony nie było zdaniem Szczura takie trudne. Wystarczyło się przełamać. Nurkowało się głową w dół, potem obrót na plecy, odbicie nogami i w górę. Pod wodą tunele specjalnie robiono szersze, by ułatwić manewrowanie.

Ja jednak nie mogłem się przełamać. Bałem się nie tylko samego przejścia, ale i mroku, gdy wyłonię się po drugiej stronie. Znow byłbym zmuszony pełznąć w całkowitej ciemności.

A wtedy, pomyślałem, gdy nie ma światła, szepty stają się głośniejsze...

Wyboru dokonano za mnie. Nie wiem, czy w butelecze było za mało nafty, czy też rozchlapałem ją po drodze, ale w pewnej chwili światelko po prostu zgasło. Niemal natychmiast rozległ się cichy syk i gdzieś z głębi tunelu za mną dobiegło szuranie, jakby ktoś bardzo szybko się czołgał.

Chwyciłem za brzegi otworu, zaczerpnąłem tchu, odbiłem się i znalazłem pod wodą. Po chwili

musnąłem czubkiem głowy dno i skręciłem biodra, próbując przywrzeć plecami do podłoża. Wymacałem sklepienie podwodnego tunelu i sunąc po nim palcami, wpłynąłem do środka. Nie było to trudne, tak jak mówił Szczur. Wystarczyło nie panikować.

Po chwili wyczułem, że ręce i głowa są już po drugiej stronie. W samą porę, bo zaczynało mi brakować powietrza.

Zupełnie nie wiem, dlaczego otworzyłem wtedy oczy – może sprawił to nagły błysk światła wdzierający się pod zamknięte powieki, a może uderzenie bąbelków powietrza... W

każdym razie zrobiłem to... i spojrzałem wprost w twarz trupa znad rzeki.

Charlie wyglądał tak, jak go zapamiętałem. Policzki i węzły chłonne miał napęczniałe, oczy wybałuszone, wargi wywinięte tak, że było widać gnijące w ustach dziąsła. Różnica polegała na tym, że teraz emanował zielonym światłem... i próbował mówić.

Zakręciło mi się w głowie. Ogarnięty paniką, chciałem z powrotem wbić się do podwodnego tunelu, ale na drodze stanął mi plecak Collinsa, który ułożył się tak niefortunnie, że zablokował wylot z drugiej strony. W płucach czułem coraz bardziej palący ból i tylko sekundy dzieliły mnie od momentu, gdy odruch wymusiłby zaczerpnięcia powietrza. Zacisnąłem powieki i pięści...

I nagle poczułem, że ktoś chwyta mnie za kark i mocnym szarpnięciem wyciąga na powierzchnię.

Wynurzywszy się, kilka razy zaczerpnąłem głęboko powietrza, a potem w nagłym skurczu zwymiotowałem. Zupełnie jakby wnętrzości chciały w ten sposób podkreślić ironię sytuacji, zmuszając mnie do powtórzenia reakcji znad rzeki.

Chwilę mi zajęło, nim pozbierałem się do kupy, i wtedy właśnie zorientowałem się, że w tunelu pali się światło. Nie była to jednak zielona poświata, tylko blask maleńkiej oliwnej lampki, zrobionej z buteleczki po lekach. Pojemniczek miał inną etykietkę, ale poza tym wyglądał zupełnie jak ten, który dostałem od chłopca.

Coś się poruszyło w mroku i nad lampką pojawiła się pełna napięcia twarz Tunelowego Szczura.

– Mało brakowało – powiedział, podając mi wciąż mokrą rękę. – Jestem Pedro Ruiz.

* * *

Jak przystało na Szczura, Pedro był raczej drobnej budowy. Twarz miał pokrytą błotem, włosy ukrywał pod ciasno zawiązaną bandaną. Gdy się wycofywał, by mi zrobić miejsce, dostrzegłem, że czołganie do tyłu przychodzi mu z łatwością. Poruszał się tak nawet szybciej niż ja do przodu.

Cofnąwszy się, postawił trzymaną w lewej ręce lampkę, a prawą dłoń schował za siebie.

Pewnie nie chciał, bym zauważył, że trzyma w niej pistolet.

– Też udało ci się uciec? – zapytał Pedro, wyciągając paczkę papierosów. – Ja wyrwałem się już

jakiś czas temu, ale utkwilem w tym punkcie i ni cholery nie mogę iść dalej. Próbowałem nawet wykopać się stąd na zewnątrz, ale z każdym calem idzie coraz gorzej. Jakby to gówno odrastało.

Podsunał mi pod nos paczkę z wysuniętym papierosem. Chwyciłem go ustami i pochyliłem się, by odpalić od lampki.

– Nie rób tego – powstrzymał mnie Pedro. Znów sięgnął po coś do kieszeni. Tym razem była to zapalniczka Zippo. – Może i siedzimy w tych ich zasranych dziurach, ale to jedno, kurwa, zrobmy jak Amerykanie.

Wykonał gwałtowny ruch nadgarstkiem, otwierając i jednocześnie zapalając zapalniczkę.

– Ładna – powiedziałem, gdy już obaj odpaliliśmy. – Mogę zobaczyć?

– Jasne.

Kolejny ruch nadgarstka i zippo, już zamknięte, spoczęło na jego otwartej dłoni.

Sięgnąłem, zupełnie zapominając, że mam na sobie przemoczony mundur. Płomyk lampki trafiony kroplą z mojego mankietu zgasł z cichym sykiem.

– Spoko, zaraz to naprawię – powiedziałem, odpalając zapalniczkę. – Wybacz, że...

Urwałem. Przede mną wciąż leżał Szczur Tunelowy, ale dało się go rozpoznać jedynie po resztkach munduru. Ciało bowiem było w stanie zaawansowanego rozkładu. W przegniłej czaszce brakowało oczu, a między żebrami coś się ruszało, cicho popiskując.

Poczułem, że kręci mi się w głowie. Pamiętam, że pomyślałem: A więc tak to jest, gdy się popada w obłąd.

A potem spadła bomba.

* * *

Najpierw rozległ się ogłuszający łomot i zaraz potem poczułem się tak, jakby ktoś włożył mnie do bagażnika razem z kilkoma funtami luźnej ziemi i przewiózł po wybojach wozem bez resorów. Ściana po lewej osunęła się, a chwilę później runął kawałek tunelu tuż nad podwodnym przejściem. Wyparta woda popłynęła rzeką wzdłuż korytarza.

I to właśnie ona, chłodna i śmierdząca, wyrwała mnie wtedy z odrętwienia. Przecisnąłem się obok Pedra, czy jak on się tam nazywał, i popełziłem przed siebie.

Tymczasem na powierzchni bombardowanie trwało w najlepsze. Pecyny ziemi bębniły o hełm, fale wody tłukły po twarzy, a potęgowany echem huk spadających bomb rozrywał

bębenki w uszach.

W pewnym momencie któraś musiała uderzyć wyjątkowo blisko, bo odrzuciło mnie na boczną ściankę. Ze sklepienia znowu posypały się kamienie i grudki gliny, a ziemia rozstała się, wpuszczając do tunelu zieloną poświatę.

I wtedy, leżąc na wąskiej półce i przywierając plecami do ściany, spojrzałem w dół.

Jaskinię tak ogromną, że nie widziałem jej krańców, wypełniał tłum. Bez trudu rozpoznałem w nich ofiary trwającej na powierzchni wojny – wiele miało porozbijane głowy, a ciała innych znaczyły ślady po kulach bądź oparzenia charakterystyczne dla napalmu.

Były w różnym wieku, od niemal starców po prawie dzieci, większość jednak stanowili dorośli mężczyźni, w strzępach amerykańskich mundurów albo czarnych wietnamskich koszul, zwisających smętnie z drobnych ciał. Ręce, chude i żyłaste jak u ofiar niemieckich

obozów z czasów drugiej wojny światowej, wyciągali ku górze. W tym też kierunku wznosili swe pokryte bielmem oczy.

Wszyscy kołysali się miarowo, przedreptując w miejscu i walcząc o równowagę.

Większość poruszała ustami, mówili jednak bardzo cicho, gdyż nie docierało do mnie nic prócz cichego pomruku.

Nagle kilku rozstało się gwałtownie i wtedy dostrzegłem, że potępieńcy nie stoją na ziemi, ale na głowach i ramionach innych. Ci z dołu wyciągali ręce, próbując się wspiąć wyżej. Wyglądali jeszcze gorzej niż ci z powierzchni, ich twarze bowiem odkształciły się od ciągłego nacisku, a oczy powoli zaczynały czernieć.

Patrzyłem na nich wszystkich, na całe to przerażające kłębowisko, czując, jak wzbiera we mnie krzyk. To nie był już strach, raczej świadomość obcowania z czymś ostatecznym –

czystą, przekraczającą granice obłędu grozą. Byłem po drugiej stronie, w każdym znaczeniu.

Poruszyłem się, strącając na dół grudkę ziemi. I wtedy mnie zobaczyli.

Mały chłopiec o twarzy i torsie spalonym niemal do kości, zastygł na chwilę w bezruchu, co natychmiast wykorzystali ci pod nim, ściągając go na dół. Dzieciak wrzasnął

przeraźliwe, jego krzyk odbił się echem od ścian tunelu, powodując ich drżenie. A może to tylko ja się zatrząsałem?

Z półeczki osypała się najpierw kolejna grudka ziemi, a zaraz potem całkiem solidny jej kawałek. Wyglądało na to, że jest kwestią paru chwil, gdy półka runie, a ja spadnę wprost na wyciągnięte ręce potępionych. Jeszcze tylko moment i wrzucą mnie pod swoje stopy, byle tylko wspiąć się wyżej. Choć odrobinę...

– Ojciec... chora... szybko – usłyszałem nagle głos pełen wyrzutu.

Chłopiec leżał kilka stóp dalej, w ocalałym odcinku tunelu. Zupełnie ignorując potępieńców pod nami, wyciągał ku mnie rękę, podając obciążony kamieniem sznurek, niewiele grubszy od tego, który wciąż oplatał moją kostkę. Rzucił mi go, a ja chwyciłem mocno i owinąłem wokół nadgarstka. Poruszyłem się, by odwiązać plecak, a wtedy półka się zarwała i runąłem w dół.

Ból towarzyszący szarpnięciu był potworny, ale bardziej przeraził mnie ryk, jaki się rozległ wśród potępieńców. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że ledwie kilka cali dzieli ich dłonie od mojego plecaka. Wystarczyło, żeby któryś podskoczył i bez trudu ściągnęliby mnie do siebie.

Żaden jednak nie zaryzykował utraty równowagi. A może nie wierzyli, że się utrzymam.

Przyznam, że w tamtej chwili sam miałem co do tego wątpliwości. Mimo to podciągnąłem się i chwyciwszy linę drugą ręką, zacząłem się wspinać.

Gdy w końcu udało mi się podciągnąć i wczołgać do tunelu, stwierdziłem, że chłopiec znowu gdzieś przepadł. Nie przejąłem się tym jednak, ponieważ nie więcej niż trzy jardy przede mną znajdowała się studnia, zwieńczona włazem wiodącym na powierzchnię.

Otworzyłem właz i światło słoneczne wyparło zielony poblask. Zmrużyłem oczy i powoli wyczółgałem się na powierzchnię. W sam środek zniszczonej wietnamskiej wioski...

* * *

Pelfrey przerwał opowieść i spojrzał na stojący przed nim talerz z nietkniętą potrawą.

Dotknął palcem uduszonego cielęcego żeberka, po czym zawołał kelnerkę.

– Czy można prosić o podgrzanie? – zapytał. – Trochę się rozgadałem.

Dziewczyna skinęła głową i poprosiła, by chwilę zaczekał. Pelfrey przyglądał się jej, gdy odchodziła, po czym przeniósł wzrok na Morty'ego.

Chłopak patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, wyraźnie nie wiedząc, jak powinien się zachować. Czy wściec się, że weteran z niego kpi? A może udawać wstrząśniętego i zaskoczonego niezwykłością tej historii? Nie mogąc się zdecydować, wybrał uniwersalny w takich sytuacjach słaby uśmiech.

– Czy to znaczy, że chłopiec był duchem? – zapytał.

– Nie musisz udawać, że wierzysz choć w słowo, synu. – Głos Pelfreya brzmiał wesoło i pogodnie, jakby przez ostatnią godzinę opowiadał wyłącznie dowcipy. – Nie wiem, czy chłopiec był duchem, ale z całą pewnością znalazłem w tamtej wiosce faceta, który potrzebował pomocy. I pomogłem mu najlepiej, jak umiałem. Może przeżył, ale nie dawałbym mu zbyt dużych szans. Chciał zostać w wiosce, a dzień czy dwa po tym, jak mnie stamtąd zabrali, bombowce niemal zrównały tamto miejsce z ziemią.

Chłopak pokiwał głową. Przynajmniej opowieść znów wróciła na normalne tory. Może da się jeszcze

z nią coś zrobić.

– A co z medalem?

Sierżant wzruszył ramionami.

– Z początku chcieli mnie skazać za dezercję, ale gdy się okazało, że nasz pluton wszedł w zasadzkę z powodu złych koordynatów, wycofali się z tego pomysłu, odznaczyli mnie gwiazdą, awansowali i przenieśli do sztabu w zamian za milczenie.

Morty pokręcił z dezaprobatą głową.

– A Purpurowe Serce? Przecież musiał pan odnieść jakieś obrażenia...

– Dawali je za odciski synu – wszedł mu w słowo Pelfrey. – Przykro mi, że burzę ci wspaniałą wizję, ale żeby dostać to serduszko, wystarczyło pokazać parę zadrapań i wybity ze stawu bark. – Przeciągnął się i odchylił na krzesło, wygładzając koszulkę. – Tyle że ja odniosłem ranę. Tutaj. – Dotknął palcem czoła. – I żaden medal nie wynagrodzi mi tego, co widziałem. To była brudna wojna, synu. Pełna zwyrodniałych świrów i pojebanych historii. I moja, choć dziwna, wcale nie była najgorsza. Pytanie tylko, czy warta twojego czasu i obiadu.

– Oczywiście – zapewnił Morty, w głębi serca wcale jednak nieprzekonany. Sięgnął po portfel i wyjął dwa banknoty. Położył je na stole. – Bo to naprawdę niezwykła historia. I z całą pewnością ją wykorzystam.

Schował dyktafon i zaczął pakować notatki.

– Wybacz pan, sierżancie, że nie posiedzę dłużej, ale...

– Jasne. – Pelfrey machnął ręką. – Młodzi zawsze mają tyle do zrobienia.

* * *

Parę minut po wyjściu Morty'ego kelnerka przyniosła podgrzane żeberka. Pelfrey zabrał

się pospiesznie do jedzenia, ale dość szybko opuścił go apetyt, dopił więc piwo i wstał, kierując się ku wyjściu.

Idąc przez parking, myślał o chłopcach z plutonu. Śnili mu się niemal co noc – z wyciągniętymi w górę rękoma, stojący ramię w ramię z żołnierzami Charliego i walczący o utrzymanie równowagi. Nie był pewien, czy naprawdę ich wtedy zobaczył, ale ten obraz nie dawał mu spokoju.

Zatrzymawszy się przy samochodzie, wznosił oczy ku niebu i rzekł:

– Panie, zmiłuj się nad nimi.

Bóg nie odpowiedział.

Maciej Guzek

Adwent

Oto ostatnia ze zdumiewających cech wiary

chrześcijańskiej: jej wrogowie gotowi są walczyć z nią

każdą bronią, używając nawet mieczy, które kaleczą im palce,

czy pochodni, od których zajmują się ich własne domy.

G. K. Chesterton, Ortodoksja

Piekło to nieobecność Boga.

Ted Chiang

A wąż był bardziej przebiegły,

niż wszystkie zwierzęta lądowe, które Pan Bóg stworzył.

Pismo Święte, Ks. Rodz. 3,1

Wstęp

Muchy siedziały na parapecie maźniętym olejną farbą – teraz spękaną ze starości, peerelowską jeszcze, przyszczatą odpryskami, przyszarzałą brudem. Parapety nie stanowiły wyjątku – cały budynek był stary, jawił się jak paskudny wyprysk na zdrowym ciele lasu.

Dookoła wiatr targał śmieciami, fruwały foliowe torebki, jakich wciskają pełno w supermarketach – ładują w nie zakupy ci sami harcerze, którzy później, we wrześniu każdego roku, sprzątają z nich świat. Po nierównym betonie toczyły się puszki po żubrce i plastikowe butelki, hałasując nieprzyjemnie. Drzwi od gospodarczej przybudówki trzeszczały głośno i chrapliwie, zardzewiałe, niewidzące smaru od kilkunastu lat.

Rdzawy świadek rozkładu.

Przy ścianie drugiego budynku wzrastała sterta odpadków, przysłaniając słabo już widoczną pięcioramienną gwiazdę, która w czasach swej młodości i świetności musiała być czerwona. Wrażliwy nos wychwytywał obecny wszędzie odór zgnilizny.

Muchy czuły się w tej okolicy świetnie.

Nagle pośród owadziej ciszy zapanowało poruszenie. Wzniósł się jeden owad, drugi, po chwili parapet był prawie pusty. Została tylko szczególnie dorodna ścierwica, tak czarna, że ktoś mógłby pomyśleć, iż położono tam kawałek węgla.

Zawarczały samochody, zatrzymując się kilkanaście metrów od bloku – wyrwa w betonowych

plytach nie pozwalała dotrzeć bliżej budynku, trzeba by łazika. Paru mężczyzn wyskoczyło z radiowozów. Mucha śledziła ich poczynania spokojnie, z niewzruszoną

pewnością. I gdyby można było zwerbalizować jej myśli, kiedy spoglądała na biegnącego na czele mężczyznę, gdyby w ogóle w przypadku muchy o jakichkolwiek myślach mogła być mowa, gdyby wyodrębnić pierwsze skojarzenie owada...

Zginiesz.

* * *

– Tfu! – Paweł Świetlicki kaszlnął, splunął przez okno, prosto w suchy, zakurzony wiatr.

Kilku innych funkcjonariuszy krzątało się od godziny po pomieszczeniach, robiło zdjęcia, wykonywało obrysy ciał. Jeden z nich próbował zabić wielką, bzyzącą nieznośnie muchę.

– Ciągną tu... – mruknął, pocierając nos.

Żałował, że nie pali – papierosy zabiłyby zapach. Smród, poprawił się w myślach.

Śmierdzi jak cholera.

– Dziwne nie jest – rzucił policjant z pracowni badań biologicznych.

Na nim smród nie robił większego wrażenia. Przyzwyczajenie grabarza.

– Nie. – Paweł pokiwał głową, ukrył nos w rękawie. – Wcale nie. Namierzyliście już tego, co dzwonił?

Nikt mu nie odpowiedział. Zatem nie namierzyli. Tajemniczy informator, jeszcze jedna zagadka. Młody głos drżał. Jego właściciel był w szoku, to oczywiste. Kto by nie był?

Zapewne któryś z okolicznych dzieciaków chciał sobie na odludziu zapalić trawkę czy wypić kilka piw.

– Cholera. – Świetlicki przeczesał włosy palcami, rozglądając się po raz nie wiadomo który po pomieszczeniu.

Krew, uświadomił sobie. Te paskudne plamy na ścianach to nie są zacieki po ulewie.

A może by to wszystko rzucić, przeszło mu nagle przez myśl, jebnąć odznaką, pieprzyć szkołę policyjną i układać płytki w Irlandii? Za dwa tysiące euro.

– Paweł, tam pod szopą. Coś znaleźli. Jakiś dół. Zgniłe mięso. Stamtąd też strasznie jedzie.

Nie! Prawie krzyknął, ledwie opanował głos.

– Chyba padlina – odpowiedział ktoś z boku. – Widać resztki zwierzęcych skór.

Wzrok policjanta minął obrysy ciał, zatrzymując się bezmyślnie na wykreślonym na podłodze kręgu. Dziwne. Ten krąg... Świetlicki był gliną z powołania, a teraz to powołanie, instynkt śledczego, instynkt psa podpowiadały mu, że w tym kręgu jest odpowiedź.

I w ścianach.

W ścianach poprowadzono jakieś kable, dużo kabli – wiązki, gruzły, zbrylenia, niezbyt starannie przykryte gipsem, tynkiem i farbą, przypominające ścięgna na przedramieniu kulturysty. Specjaliści będą musieli się temu przyjrzeć.

– Paweł?! – Znów go wołali.

– Idę! – Niezadowolony ruszył w stronę kolegów.

Odetchnął, ale na krótko. Ktoś pokazywał mu workowate ubrania z wypisaną literą „O”

na plecach, ktoś inny machał ręką i krzyczał, że odkrył coś w przybudówce, dwaj funkcjonariusze spisywali wszystko, co było wypisane na murach bloku, psy szalały, a podkomisarz Paweł Świetlicki poczuł, że chce wracać do domu.

Co za gówniana sprawa, pomyślał.

Jego sprawa.

* * *

W ciszy, w samotności myśli są jaśniejsze, umysł funkcjonuje wydajniej, chłonie rzeczywistość tak, by świadomość i podświadomość mogły pracować razem, półkula w półkulę. Dlatego Świetlicki wrócił do świetlicy sam.

Wpatrywał się przez jakiś czas w wymalowany na podłodze okrąg. Patrzył na olejną farbę – bez wątplenia świeżą. Jakkolwiek można mieć różne zdanie o inteligencji Sowietów, krąg nie był ich dziełem. Śledczemu malunek skojarzył się z praktykami okultystycznymi –

wyglądał jednak zbyt oszczędnie, ascetycznie. Kiedyś Paweł rozpracowywał grupę szajbusów, którzy ubzdurali sobie, że będą przywoływać demony, i przy tym, co oglądał w tej chwili, ich twórczość prezentowała się niczym barok – esy-floresy, cyfry, symbole, figur tyle, jak gdyby uczyli się geometrii, a przy tym jakieś ornamenty, smoki, sowy, dzikie węże

– „chuje muje”. Tymczasem okrąg w postsowieckiej jednostce był inny, prosty i w tej prostocie właśnie złowrogi. Policjant nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego to miejsce przykuwa jego uwagę.

Zazwyczaj nawiedzone bywają stare domy, stylowe kamienice, siedliska arystokratów, przypominał sobie Świetlicki. Nawiedzony blok, w którym stacjonowała przed laty podrzędna jednostka radiolokacyjna Armii Czerwonej? – to brzmiało groteskowo. I kto by tutaj miał straszyć?

Pijany samogonem Wania? Iwan Iwanowicz, który zamarzył na warcie, usnąwszy po wypiciu dwóch litrów płynu hamulcowego? A może Władimir Rogow, znany w okolicy z tego, że lubił gwałcić Polki, aż od którejś zaraził się chorobą weneryczną. Nie, zbyt niepoważne, by mogło być prawdziwe.

– Dlaczego więc przechodzą mnie ciarki? – szepnął.

Okrąg nie odpowiedział.

I ta nienaturalna cisza.

Pawła naszła myśl, że takie budynki nie są stworzone do tego, by stały puste – bo wtedy, nawet mimowolnie, sprawiają upiorne wrażenie. Te korytarze długie, pełne bocznych drzwi, a za każdymi – póki ich nie otworzysz – tajemnica. Te sale, ciche, bezgwarne, z wystającymi ze ścian gołymi kablami, z rozszarpanymi wtyczkami...

Może coś jest w tym głupawym *Feng shui*, pomyślał.

Tania lampa z Ikei, podwieszona przy suficie, skrzypiała, poruszana podmuchami wiatru.

Podszedł bliżej kręgu. Czy to, co czuję, to strach, zapytał samego siebie. Aberracja?

– No dobra – zmiłgował się, zawstydził ludzkiego odruchu, dreszczu, który zawsze jest towarzyszem niepewności. – Coś tu się jednak wydarzyło. Zginęli ludzie.

I chyba sami sobie nie poderżnęli gardel.

Jeszcze krok.

Włoski na przedramionach zjeżyły się, lampa zaskrzypiała, a Paweł Świetlicki westchnął

i z zamkniętymi oczyma przekroczył okrąg.

Nagle...

Nie było żadnego nagle. Nic się nie wydarzyło.

Nic.

Policjant stał pośrodku dawnej świetlicy dla ruskich żołnierzy, w centralnym punkcie skreślonego olejną farbą kręgu, ale nic się nie działo. Niepoznane nie nadeszło, ze ścian nie wysunęły się betonowe dłonie, nie zmaterializował się skrzydlaty demon, świat nie wywinął

kozła. Jednym słowem nie nastąpiło nic, co chcieliby opisać autorzy horrorów. Nic też się nie pojawiło – z wyjątkiem wielkiej muchy, spasionej chyba na trupach, leżących w bloku przez kilka dni.

Świetlicki podrapał się w głowę. Wyglądało na to, że zaczerpnięte z fantastyki metody

rozwiązywania zagadek nie przyniosą rezultatu. Czekają go mnóstwo żmudnej, nieprzyjemnej pracy, by znaleźć odpowiedź.

Czas wracać na komendę.

* * *

Koniec sierpnia 2007 r.

– Coś mamy! – krzyczał Robert już od drzwi, wymachując papierem. – Sajgon na maksa w tej Agencji Mienia Wojskowego, same stare pryki, ryje pamiętające Gomułkę i Gierka.

Ale mam.

Paweł odetchnął. Rety, dobrze, że są jeszcze oni. Że nie muszę przerzucać tego wszystkiego sam, że nie muszę babrać się w tym gównie. Inaczej... Świetlickiego przeszły dreszcze.

Przypomniał sobie ostatnią noc. Nie, nie dręczyły go koszmary, nie widział duchów, przed oczyma nie stawały mu makabreski, które oglądał w pracy.

Po prostu nie mógł spać.

Alkohol nie działał tak, jak Paweł tego oczekiwał, nie kleił powiek, nie zasnuwał

spojrzenia mgłą – wprost przeciwnie, wobec ciemnej, jednolitej ściany pobudzał, stawał na baczność. To były godziny, w których czas zwalniał, stawał, sekundy wlokły się jak samochody w korku, niezdolnie wolno, dając dużo czasu na myślenie.

Czy to możliwe, zastanawiał się Paweł, że poza tą pustką, poza czernią przed oczyma, niczego nie ma? Jeśli tak – może jednak mają rację ci, których ścigam? Nie ma piekła, nie ma kary – czas używać, deptając głowy innych. Czy to możliwe, że kiedy zamknę powieki ten jeden, ostatni raz, kiedy aparatura pokaże spłaszczony do śmierci wykres EKG, świat –

mój świat – skończy się nieodwołalnie i nie będzie żadnego innego?

Skąd więc... skąd więc to wszystko?

Niezrozumienie rozsadzało głowę – zazwyczaj gdzieś tak koło pierwszej w nocy.

Wypijał wtedy jeszcze cztery kieliszki wódki, jeden po drugim, w odstępach pięciominutowych – ale wiedział, że i to nie jest gwarancją spokoju ducha. Wprawdzie obraz z wolna – wreszcie! – zaczynał się chwiać, lecz ciągle nie na tyle, by rozpuścić się, zamienić w błogość, w nieświadomość.

Czy to ta cholerna robota tak na mnie działa?

– Patrz! – krzyknął Robert, podsuwając mu pod nos jakiś papier, co pozwoliło podkomisarzowi Świetlickiemu otrząsnąć się z zamyślenia. – Patrz, komu tę ruderę wynajęli!

Paweł zamrugał, przetarł twarz.

– Uniwersytet? – wybąkał. – Uniwersytet Warszawski?

Kilka miesięcy wcześniej, wieczór, jedna z warszawskich restauracji

– Cold irish. – Adam Dranikowski lekko skinął na kelnerkę, wzbudzając zdziwienie, bo za oknem marcowo bębnił deszcz, a wszyscy klienci restauracji tulili dłonie do ciepłych filiżanek.

Kelnerka była wyjątkowo zgrabna, a czarna spódniczka kończyła się dokładnie tam, gdzie zaczynało pożądanie.

– I sałatka z szyjkami rakowymi z kroplą winiaku. Dużą kroplą. A dla ciebie?

Zamawiający zwrócił się do siedzącego naprzeciw kolegi w marynarce z wytartego sztruksu i rozpiętej szarej koszuli, kupionej, sądząc po tkaninie, na Stadionie Dziesięciolecia.

– Jedno królewskie. I żurek.

– Darek, Darek... – Adam pokręcił z niezadowoleniem głową, kiedy kelnerka się oddaliła. W tle szemrała stonowana muzyka, zmieszana z kawiarnianym gwarem. –

Wybrałeś najtańsze pozycje z menu, chociaż wiesz, że ja stawiam. Powinieneś wyrwać się z uniwerku, iść do biznesu albo do mediów. Inaczej ta bieda-mentalność przygnie cię do podłogi. Już przygina.

Młody mężczyzna nazwany Darkiem zachnął się.

– Sam też masz etat...

– Ja robię to dla celów marketingowych – Dranikowski wszedł mu w słowo. –

Piarowskich. Wiesz, dzięki temu biorę znacznie więcej za szkolenia czy wykłady dla klientów biznesowych. Ceny za konsultacje też mogę windować, a w korporacjach wszyscy teraz potrzebują konsultacji z psychologii społecznej. A ty... siedzisz tylko na uczelni, nosa nie wychylisz, gdy świat pędzi do przodu.

– Dla nauki – odpowiedział Darek, niby poważnie, ale w jego głosie pobrzmiwał sarkazm i gorycz.

– Nauki? – Machnięcie ręką po drugiej stronie stołu. – Te ich standardy i zasady, stek bzdur... gdyby Zimbardo i Milgram przestrzegali zasad, nie dowiedzielibyśmy się wielu rzeczy o ludzkiej naturze. Zasady...

Agresywne prychnięcie. Dezaprobata. Złość. Emocje na twarzy Adama były aż nadto czytelne.

– Czy przekroczę zasady, jeśli zastosuję NLS wobec tej laseczki? – Wskazał

podbródkiem uroczą kelnerkę. – Spójrz na nią. Nawet jeśli złamię reguły, jest tego warta.

Reguły, Darek, to nie wszystko...

– NLS, daj spokój. Bajki dla macho.

– Zdziwiłbyś się, zdziwił. Sam pisałem podręczniki.

– Żarty?

– Zobaczysz... – Uśmiech szelmy upodobił twarz Adama do lisa, który upatrzył sobie niestrzeżoną gęś.

– Stary, ty nie potrzebujesz żadnego NLS. Wystarczy, że ona spojrzy na twojego roleksa. Nie będziesz wiedział, czy działa NLS, czy twój osobisty urok.

– Instrumenty obojętne, dopóki jest szansa zaciągnąć ją do łóżka. Ale to za chwilę.

Jeszcze trochę poprzekonuję cię, żebyś spadał z uczelni.

– A właśnie, słyszałem, że dostałeś grant i będziesz prowadził badania. Coś o religii, prawda?

– Mhm. – Adam zdarł folię z paczki marlboro, zapalił, skinął głową. – O religii.

Największy ateusz na wydziale. Bez ściemy. To będzie duża rzecz.

– Uchyliś rąbka tajemnicy?

Znów skinienie, równie oszczędne jak odpowiedź.

– Rąbka tak. Unia daje hajc, są zainteresowani społecznymi i psychologicznymi uwarunkowaniami religijności. Zwłaszcza tej spod znaku świrów w rodzaju islamistów.

Albo ojca dyrektora. Wiesz, ze względu na ten burdel, jaki mają z fundamentalistami we Francji czy w Londynie. Duża rzecz.

– Brzmi super...

* * *

Paweł Świetlicki kiwnął na aspiranta, który poprosił kolejnego świadka. Łyk kawy, głębszy oddech, otarcie potu z czoła, spojrzenie na notatki, z których wyzierał chaos.

Co za gówniana sprawa!

Pukanie do drzwi.

– Wejść – burknął.

Nie miał czasu na uprzejmości. Ani ochoty. Bardziej ochoty, przyznał samokrytycznie.

Świadek był szczupły, nieco wystraszony. Okulary na nosie, marynarka z wytartymi łokciami. No tak, budżetówka, skonstatował Świetlicki. My to jeszcze możemy zastrajkować, ale kiedy zastrajkują oni, wykształciuchy z wyższych uczelni, kto się tym przejmie? Patrząc na świadka, poczuł – mimowolnie – sympatię. Bratnia dusza na publicznym garnuszku. Wystraszony, pomyślał Paweł. Tacy jak on zawsze się boją, kiedy wzywa ich „władza” – a to przecież zwykły świadek, jeden z wielu, ot, kolejny epizod. Jeden z tych z uniwerku, znalezionych przez Roberta – trzeba przesłuchać wszystkich, którzy mieli jakikolwiek kontakt z tym całym Dranikowskim.

Dranikowski, tak.

Drań.

– Aspirant Kubiak wyjaśnił już, po co pana wezwaliśmy, prawda? Niech więc pan mówi.

Najważniejsze rzeczy proszę. Dziś mam jeszcze z dziesięciu świadków... Paskudna sprawa.

– Paskudna – zgodził się skwapliwie doktor psychologii, Dariusz Wolski.

* * *

– Duża rzecz. – Szybkie spojrzenie, grymas źle skrywanej satysfakcji drapieźnika.

Co on knuje, zastanawiał się Darek, patrząc Adamowi w twarz – nerwowo rozedrganą, dumną.

Adam Dranikowski – oto wschodząca gwiazda polskiej psychologii, „kieszonkowy Santorski” – ostatnie określenie z pozoru lekceważące, ale w wieku trzydziestu trzech lat to dużo. Bardzo dużo.

– Powiem ci coś. – Adam szarpnął się w krześle, zamrugał. – Tym razem to będzie prawdziwa praca naukowa. Eksperyment zakrojony na szeroką skalę! I tym razem nie zatrzymają mnie jakieś głupie normy, zakazy czy zasady.

Wstał nagle, jakby stolik parzył, rzucając na blat stuzłotowy banknot. Niedojedzona surówka, cold irish brązowiejący na dnie szklanki, zgaszony w połowie papieros.

Rozrzutność zwycięzcy.

Darek został sam na sam ze szklanką wypełnioną piwem, a głową – wątpliwościami.

Komenda Powiatowa Policji w Międzyrzeczu

woj. lubuskie

L. dz. PGD-AW-536-66/07

z materiałów dowodowych (strony 23-32)

TAJNE

From: „ad” <dran@racjonalista.pl>

To: „Ojciec Nowak” <onowak@opoka.pl>

Sent: Saturday, July 28, 2007 7:27 PM

Subject: Re: Re: Re: sekty, tnt i inne

Witam (daruję sobie „ojca”, bo to pretensjonalne)

Od razu odpowiadam

Nie, nie ma granic. Badacz nie może się ograniczać – inaczej co mógłby zbadać (i kto miałby oceniać, jak daleko badacz może pójść? KK zapewne?).

Ja wiem, wyniki mogą być nieprzyjemne. KK straciłby resztki rządu dusz. Ale powiedzmy sobie szczerze, czy w przypadku Twojej religii nie działają te same mechanizmy jak w przypadku sekt? Oczywiście, że działają. Terror Management Theory przede wszystkim – jakoś trzeba walczyć z weltschmerzem, nie? Niebo, reinkarnacja, życie wieczne – niby skąd się bierze cały ten stuff?

Eksperyment będzie badał wszystko – bo dla mnie nie ma różnicy, czy to katolicyzm, czy sekcja jakiegoś bożka ura-bura (albo Ubu, he, he, to było dobre, ten Ubu, pożyczę sobie ;).

Być może i odpowiedź na odwieczne „dlaczego” pozostaje poza zasięgiem nauki. Ale badania pokażą, (o tym jestem przekonany), że odpowiedź wasza (tzn. KK) jest wyssana z palca. Udowodnię to, zobaczy ojciec (a, zapomniałem, miało nie być „ojciec”).

Teraz o poglądach – hmm, będę szczerzy. Nie, nie szanuję Twoich

poglądów (choć Cię, ojciec, bardzo). Nie mogę szanować konia,
mając w garażu ferrari. No way.

A.

(wojujący ateusz ;)

PS Hełmu Persingera nie zastosuję, choćby dlatego, że UE na pewno
nie da na to kasy ;-)

--- Original Message ---

From: Ojciec Nowak” <onowak@opoka.pl>

To: „ad” <dran@racjonalista.pl>”

Sent: Monday, July 23, 2007 9:07 PM

Subject: Re: Re: sekty, eksperyment i inne

> Adamie

> w poprzednim mailu dostałeś moje obserwacje – jak sekty werbują

> ludzi, jak ich urabiają, jak ważny jest wpływ grupy i otoczenia

> (izolacja, żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym). Jednak

> po Twoim ostatnim mailu odnoszę wrażenie, że zamierzasz zrobić

> z tej wiedzy użytek niechlubny. Zamierzasz zaatakować stare,

> tradycyjne religie.

> Nie dostrzegasz różnicy?

> Pamiętaj, że konstruując eksperyment uwolnisz żywioł trudny

> do opanowania – zgoda, poznasz, jak te procesy działają.

> Ale czy dowiesz się – dlaczego działają? Dlaczego powstają

> sekty?

> Persingera tak łatwo bym nie przywoływał. Słyszałeś

> o Skandynawach? Zakwestionowali jego wnioski, badanie nie
> potwierdziło, że fale elektromagnetyczne mogą wywołać mistyczne
> przeżycia. A zresztą – nawet jeśli Persinger ma rację, czego to
> dowodzi? Ty pytasz tylko – w jaki sposób? Odpowiedź na pytanie –
> „dlaczego” wciąż pozostaje poza zasięgiem nauki.
> Poza tym, o ile dobrze pamiętam, chodziło Ci o wpływ grupy na
> postawy quasi-religijne (tych od wymyślonych bożków, jakichś Ubu
> czy innych) – temu miał służyć eksperyment, czyż nie? Sekty nie
> używają „bożych hełmów”.
> Powinieneś się ograniczyć. Eksperyment nie może być tubą
> propagandową, za pomocą której głosisz swoje poglądy (które
> szanuję, choć ich nie podzielam). Ciekawe czy Ty szanujesz
> moje.
> Wygląda to tak, jak gdybyś prowadził badania „z tezą” – piszesz,
> że wnioski z eksperymentu uderzą w Kościół – skąd wiesz, jakie
> one będą? Może coś pójdzie nie po Twojej myśli?

> OO Nowak.

--- Original Message ---

From: „ad” <dran@racjonalista.pl>

To: „Ojciec Nowak” <onowak@opoka.pl>

Sent: Friday, July 13, 2007 3:11 AM

Subject: Re: Re: Re: sekty, eksperyment i inne

>> Witam Ojczy.

> Dziękuję. Przesłane dane są bardzo, bardzo pomocne – cały

- >> czas studiuję jeszcze plik (jest tego sporo), zapoznając się
- >> z działaniem poszczególnych sekt (jestem przerażony, jak można
- >> ludziom zrobić wodę z mózgu, horror). Te dane zdecydowanie
- >> pomogą mi zaprojektować badanie – zwyczajnie ludzi w sektach,
- >> zachowania, kategorie osób, które trafiają do sekt...
- >> Nie wiem tylko, czy wykorzystanie danych się Ojcu spodoba –
- >> w zasadzie wnioski z tego eksperymentu będą uderzać również
- >> w Kościół katolicki. W końcu celem jest zbadanie, skąd
- >> bierze się religijność – i co, jeśli wyjdzie mi, że bierze się
- >> z procesów społecznych, z reakcji psychologicznych,
- >> z pobudzenia mózgu falami elektromagnetycznymi (słyszał Ojciec
- >> o eksperymencie Persingera?)
- >> Cóż, mamy „age of reason” i religia nie wystarcza. Przestała już
- >> być przekonująca.
- >> Adam

* * *

Koniec sierpnia 2007, południe

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – westchnął Świetlicki, odkładając maile na obszerne stare biurko.

W klasztorze Dominikanów można było znaleźć meble wszelkiego rodzaju – począwszy od tanich szaf z Jarocina, straszących płytą pilśniową, pamiętających czasy PRL-u, aż po ciężkie biurka, zrobione z dębu, stare już wtedy, kiedy modna była Hanka Ordonówna i Eugeniusz Bodo, a teraz warte majątek.

– Nigdy się nie zastanawiałem, jacy ludzie trafiają do sekt. Mógłby ksiądz powiedzieć coś więcej? Te papiery... – Policjant spojrzał wymownie na opracowanie na temat sekt, piętrzące się przed nim. Na oko liczyło jakieś czterysta stron. Z górką.

Świetlicki czuł się wewnątrz klasztoru dziwnie, nieswojo. Krzyże na każdym kroku, obrazy świętych,

cytaty z Biblii, mnisi w habitach, „W drodze”, „Znak”, „Więź” – to wszystko było bolesnym wyrzutem sumienia. Nie pamiętał, kiedy ostatnio odwiedził kościół

– trzy lata temu? Cztery? Na pewno dość dawno – i nadal się tam nie wybierał. Niemniej czuł ukłucie winy, gdy jego wzrok zatrzymywał się na krzyżu.

Zakonnik siedzący po drugiej stronie to była nie lada sława – jeden z bardziej znanych specjalistów w Polsce jeśli chodzi o sekty. Świetlicki słyszał o nim dosyć często – stadium pośrednie między celebrity, a „jedermanem”, których tutaj było trzydzieści kilka milionów

(jeśli nie ma cię w TV i w Wikipedii – nie istniejesz, powtarzał sobie Paweł). Dlatego kiedy podkomisarz odebrał telefon, myślał, że ktoś robi sobie żarty.

– Nowak. Dominikanin – przedstawił się dzwoniący. Głos miał zmęczony,

pobrmiewały w nim dziesiątki ludzkich nieszczęść, którym przyglądał się z bliska i którym próbował zaradzić. – Ten od sekt, może pan słyszał.

Ponieważ zaskoczony Świetlicki nie odpowiedział (przekonany, że ktoś próbuje zadzwonić z policjantów), zakonnik po chwili przerwy kontynuował:

– Przełączyli mnie do pana z centrali. Czytałem w gazetach o tej tragedii, masakra w lesie, stary poradziecki blok, teraz huczy o tym cała Polska.

Paweł od razu się ożywił, odgarnął stertę wydruków, chwycił notes i długopis (obie rzeczy dostał w promocji od firmy handlującej wyposażeniem biurowym).

– Myśli, khem, ojciec, że to jakaś sekta?

– Sekta? Nie. Ale sądzę, że mam dla pana cenne informacje. Miałem styczność z doktorem Dranikowskim.

Świetlicki podskoczył. Dranikowski – ich najnowsze osiągnięcie śledcze. Ale przecież wiadomość nie poszła w świat, media jej nie dostały, skąd Nowak mógł wiedzieć?

– Niestety, będzie pan musiał do mnie przyjechać, podkomisarzu – powiedział smutno dominikanin. – Ostatnio jestem niezdrów.

Faktycznie był. Tego nie dało się ukryć, zresztą zakonnik nawet niespecjalnie starał się to robić. Zsechł i zżółkł jak liść kasztanowca. Do tego podkrążone oczy i przebiegające przez twarz co rusz grymasy bólu. Żeby to tylko nie był rak, pomyślał Świetlicki, czując sympatię do wszystkich, którzy próbowali walczyć ze świrami organizującymi sekty.

– Korespondowałem z Dranikowskim – odparł Nowak, zapytany o to, skąd wie o psychologu, wręczając jednocześnie zaskoczonemu policjantowi gruby plik kartek. – Tutaj ma pan wszystko, ale oczywiście możecie też zbadać mój komputer, sprawdzić, czy czegoś nie ukryłem. On... – zakonnik zawahał się – poprosił mnie o radę. Przygotowywał

eksperyment. Twierdził, że jego badania pomogą uratować wielu ludzi przed sektami. Nie mogłem mu nie pomóc, pan rozumie?

Twarz duchownego wyglądała teraz naprawdę staro, chociaż, co Świetlicki sprawdził w Wikipedii, zakonnik miał dopiero pięćdziesiąt lat. On jest przerażony, zdał sobie sprawę policjant, przerażony i przybity.

– Czasami myślę, że gdybym... gdybym odmówił pomocy, do tego wszystkiego by nie doszło. Że to moja wina, to w lesie.

Paweł zachnął się, pokręcił głową.

– Bez przesady. Nie znamy żadnych okoliczności. Nie wiemy, jaka była przyczyna tragedii...

Nowak nie słuchał.

– I ci wszyscy biedacy – powtarzał. – Ci biedacy, których rekrutował. Przecież to ja mu ich wydałem. Ja wydałem ich na śmierć. Na rzeź.

– Kogo ojciec wydał? – spytał znużonym głosem Świetlicki.

– Uczestników – odpowiedział duchowny, a jego twarz drgała, jakby za moment miał się rozpłakać. – Wskazałem, jak sekty prowadzą rekrutację. Powiedziałem mu, kto powinien być uczestnikiem, żeby eksperyment się powiódł!

www.youtube.com/watch?v=GwxlmGC3ifY

Added: August 09, 2007

From: dranPL

Category **People & Blogs**

Eksperyment – part 1

Obraz drga, wiatr sypie suchym kurzem, przez chwilę ekran wypełnia płowa chmura.

Kamera przesuwa się powoli, by uchwycić w kadr twarz niezbyt ładnej i niezbyt młodej kobiety.

– Cześć, jestem Aśka, pracowałam w hipermarkecie, ale rzuciłam to gównno, bo to, co mówią o siedzeniu na kasie w czasie okresu, o przerwach na sikanie i o zgniłym mięsie, które dodają do gulaszu, to wszystko prawda. Nie pozwalali założyć związku zawodowego, nie pozwalali na moment oderwać się od kasy, nie mogłam odebrać komórki, kiedy dzwoniło pogotowie, że wiozą mamę do szpitala. A najgorsza była sama robota, jak automat, raz, raz, kod kreskowy, kod kreskowy, dziękuję, proszę, życie odmierzane piknięciami elektronicznej kasy. Napatrzyłam się na to dosyć i pewnego dnia, kiedy kierowniczką –

głupia jędrza, wcześniej sama była kasjerką i narzekała na warunki, a teraz jest najgorsza ze wszystkich – no, kiedy kierowniczką mnie wku... wkurzyła, położyłam papier. Stwierdziłam

– teraz na pewno znajdę pracę, wszyscy mówią, że brakuje pracowników, bo połowa wyjechała do Anglii. Okazało się, że brakuje, ale na budowach, a nie będę przecież jeździła wózkami widłowymi, nie? Więc dwa miesiące szukałam. Dwa miesiące. I trafiłam na ogłoszenie o eksperymencie. Dlatego tu jestem.

– Cześć, jestem Norbert. – Na ekranie pojawia się ponura twarz, żółta od papierosów.

Czterdziestolatek. – Rozstałem się z narzeczoną. Czasami tak w życiu się zdarza, no nie?

Okazuje się, że wyciągnąłeś krótszą słomkę. Tę, która przegrywa. Pomyślałem: cholera, to że mną coś jest nie tak. I jak znalazłem ogłoszenie, mówię, kurde, psycholog. Może dowiem się, co ze mną było nie w porządku. Czy coś było...?

Głos mu się łamie, kamera obejmuje kolejną osobę.

– Hej! – Chłopak wręcz tryska bez troską. – Jestem Tomek. Przyszłem tutaj, gdyż nie miałem co robić. Znudziły mi się trochę imprezy, wciąż to samo, browar, zielsko, wkurwieni

kumple, uchachane foki... A kasa zawsze się przyda, co nie? Więc jestem. Tylko że będą mieli tu ze mną kłopoty. Nie lubię zasad. No, nie lubię!

Obraz drga, oko kamery koncentruje się na następnej osobie...

* * *

Początek czerwca 2007 r.

Tomek Zbirski ogłoszenie spostrzegł na uczelni, odprowadzając koleżankę na egzamin, przepychając się przez tłum zdenerwowanych młodych ludzi w garniturach i garsonkach.

Szepty, szelest kartek, nienaturalne, przesadne śmiechy. Studenckość podniesiona do potęgi.

Sam Tomek na to wszystko wzruszał ramionami, odgarniał z twarzy dredy grubości kabanosów i uśmiechał się rozlewiście, uśmiechem, jakim może obdarować tylko marihuana. Pośpiech, nerwówka, wyścig szczurów, walka o oceny – ot, katalog słów bez znaczenia i wartości. Owszem, coś tam studiował (w zasadzie – zastanowił się – co?), potrzebował kwitów, żeby zatkać nimi gęby (i wypchać teczki) koleśki z WKU, ale tak naprawdę Tomkowe życie koncentrowało się na muzyce, spotkaniach ze znajomymi, imprezach, koncertach – cóż, było kolorowo, było tak jak powinno być.

Było reggae.

Niemniej i Tomka dopadała od czasu do czasu studencka przypadłość – kasa.

Precyzyjniej zaś – brak kasy. Zdarzały się dni, że niecierpliwie przeszukiwał głębokie kieszenie

swoich spodni, a im bardziej szukał pieniędzy, tym bardziej ich tam nie znajdował.

Zdarzały się dni, w których radził sobie tylko dzięki znajomym, kilku groszom zbieranym podczas dorywczych prac, o które nie musiał się specjalnie starać – garściami korzystał

Tomek z błogosławieństwa emigracji zarobkowej. Skoro wszyscy, którzy się do czegoś nadawali, wyjechali budować Irlandię, sprzątać Londyn lub opiekować się holenderskimi starcami, to znajdowało się miejsce na rynku pracy i dla osób tak oszczędnie gospodarujących wysiłkiem jak on.

Coś dla mnie, przyszło mu do głowy, gdy spojrzął na ogłoszenie. Zostało przykryte dziesiątką innych kartek, w rodzaju: „Spokojną współlokatorkę do mieszkania w centrum przyjmę”, lecz wzrok chłopaka, wprawny w wynajdywaniu okazji do łatwego zarobku, wyłowił właściwą ofertę. Mruczając pod nosem któryś z utworów Indios Bravos (Tomek nie wiedział który, nie miał pamięci do tytułów), odgiął „Mieszkanie w centrum”, zdarł szybkim ruchem (tak by nikt nie zobaczył) „Opiekunkę do dziecka” i „Studenta anglistyki”. No, nieźle, nieźle, ocenił po przeczytaniu anonsu. Tak to już jest, że jeśli się spieszysz, jeśli

gnasz przed siebie jak ci tutaj, co wszyscy chcą być psychologami biznesu i pracować w korporacjach czy reklamie, nie zauważasz szans, które masz pod nosem. Nie zauważasz pieniędzy, które leżą na ulicy.

– Biegnijcie – rzucił przez zęby i znów zanucił Indios Bravos.

Zerwał ogłoszenie z tablicy, złożył i wcisnął do kieszeni. Skoro tyle płacą, to on może być królikiem doświadczalnym, proszę cię bardzo, doktorku.

Będzie flota na kilka wakacyjnych wyjazdów.

Pod numer widniejący na kartce zadzwonił dopiero następnego dnia – jakoś tak czas zleciał niepostrzeżenie, bezboleśnie. Zadzwonił więc – i zaraz spotkał się z naukowcem (kolejna wizyta na wydziale psychologii; zdał sobie sprawę, że bywał tu częściej niż na swojej alma mater). „Doktorek” wydawał się mocno narwany, nerwowy i przypominał

korporacyjnego klona – garnitur, fryzura na żel, zegarek, buty – wszystko pod standard, pod dress code. Miał też irytującą manierę spoglądania na rozmówcę z ledwie skrywaną wyższością. Kij ci w oko, pomyślał Tomek, zapłać za udział w eksperymencie. Zresztą, trzeba przyznać, koleś mówił interesująco.

– Badam koszyki – rzucił Tomkowi w twarz w odpowiedzi na to, czego dotyczy eksperyment.

Odczekał chwilę, ciesząc wzrok zdumieniem chłopaka i jednocześnie stawiając haczyki w odpowiednich kolumnach kwestionariusza, który miał przed sobą. Wynik wskazywał, że znalazł kolejnego dobrego kandydata. Chodziło mu o ludzi poszukujących, światopoglądowo niejednoznacznych, niezbyt religijnych, ale też nie ateistów z filozoficznego przekonania –

jeśli już, to takich, których niewiara brała się z lenistwa. Szukał ludzi wyrwanych z życiowych

kontekstów, takich, którzy nie zakotwiczyli się jeszcze domem czy monotonna pracą (jak chłopak siedzący przed nim), lub takich, którym nagły poryw burzy tę kotwicę wyrwał, uwalniając życie w chaotyczny rejs.

– Badam koszyki – powtórzył. – Kiedy spotykamy się z nagannym zachowaniem, wtedy zwykle szuka się zgniłych jabłek: sprawców. Społeczeństwo... – Naukowiec machinalnie wziął ołówek i na brulionie leżącym po jego prawej stronie zaczął kreślić okręgi. –

Społeczeństwo to jabłka. Większość jest zdrowa, lecz trafiają się i zgniłki. Spady. Tak to się postrzega, na takim założeniu jest zbudowana nasza moralność. Mnie, widzisz, interesuje koszyk, w którym się owe jabłka nosi. Czy nie jest dziurawy? Czy aby jabłka nie gniją dlatego, że koszyk ma zbyt ostre krawędzie. A może jest za ciasny? Albo odwrotnie – czy nie ma w nim zbyt wiele luzu? Krótko mówiąc, wpływ otoczenia na postawy. Najbardziej interesują mnie postawy religijne.

– Religijne? – Tomek mimowolnie zarechotał. – Stary, zależy mi na tych pieniądzach, ale chyba nie jestem odpowiednią osobą do twoich badań.

– Nie, nie... – Psycholog zamachał ręką, widząc, że chłopak chce wyjść. – Jesteś, jesteś...

* * *

Początek września 2007, noc

Dreszcze.

Czasami czujesz je bez wyraźnej przyczyny, tak jak Paweł, którym co rusz wstrząsało dygotanie, włosy jeżyły mu się nieprzyjemnie, a przedramiona szpeciła gęsia skórka. I to mimo że na zewnątrz prażyło sierpniowe słońce, a w świetlicy zaduch nie dawał normalnie oddychać.

Muchy, formujące dotąd na podłodze pomieszczenia coś na kształt czarnego ruchomego dywanu, dostrzegłszy poruszenie w drzwiach, zerwały się w powietrze. Imię ich było legion, rój, chmara – dopiero kiedy się wzniosły, Paweł mógł w ogóle dojrzeć krąg.

Zadrżał znowu.

Ludzie odczuwają strach na widok rozmaitych rzeczy – w przypadku Świetlickiego wyzwalczem była najwidoczniej czerwona olejna farba, którą wymalowano krąg na starym linoleum; za Gierka musiało ono uchodzić za szczyt luksusu. Paweł pomyślał, że kręgi działają na psychikę ludzką dziwnie – kiedy widzisz krąg, chcesz wejść w środek, stanąć tam i oczekiwać... czegoś. Kręgi hipnotyzują.

Wejdz.

Co ja właściwie tutaj robię? – zastanowił się, zdając sobie sprawę, że nie pamięta, by jechał w miejsce, w którym zdarzyła się tragedia. Tragedia, właśnie! Dopiero teraz sobie o niej przypomniał. Tu zginęli ludzie.

Naraz posłyszał dźwięk – potężne, niskie łąpienie na granicy słyszalności. Pomyślał, że coś z nim jest nie tak – ale nie, to zadrżał budynek, ze ścian sypnął się pył, szyby zadygotały.

Uniósł szybko głowę, odrywając wzrok od kręgu i przenosząc na ściany.

Ze ścian spływała pustka.

Z daleka można byłoby się pomylić, pomyśleć, że to ciemna ciecz, smoła, jakiś smar, a może skrzepła do galarety krew, jak w tanim horrorze. Paweł wiedział jednak dobrze, co to było.

Pustka.

A potem jego spojrzenie zatrzymało się na oknach, tych samych, które kilka chwil wcześniej były rozjarzone nieznośnym, sierpniowym słońcem.

Teraz otwory w ścianach ziały czernią. Jak okna prowadzące prosto w ciemność absolutną, przejmującą chłodem, niezmierną. Jak gdyby otwierały się na kosmos. Okna z widokiem na pustkę.

Na nicość.

Obudził się długo przed świtem. Pomyślał, że dzisiaj będzie w pracy wyjątkowo wcześnie. Tak. Odsunął butelkę whisky, przygotowaną na wypadek bezsenności. Tej nocy już nie zaśnie.

Nie odważy się.

* * *

Początek września 2007, poranek

– Więc woził pan im jedzenie? – zaczął Świetlicki, doskonale świadomy, po pierwsze, tego, że nie powinien zaczynać zdania od „więc”, a po drugie, że śledztwo posuwa się wolno.

Zwierzchnicy naciskali, chcąc zobaczyć wreszcie jakiegokolwiek wyniki, on zaś na razie nie mógł im niczego nowego dać. Bawił się ołówkiem i tępo patrzył w kartkę. W pokoju unosił się zapach kawy i red bulla. Oba napoje zawiodły, a na kawę nie mógł nawet patrzeć.

Barwą przypominała noc.

Podkomisarz Paweł Świetlicki usilnie starał się nie myśleć o nocy.

– Ano tak – odpowiedział korpulentny czterdziestokilkulatek, właściciel sklepu spożywczego i piekarni w pobliskim miasteczku. – Panie komendancie, dobry układ.

Zamawiali dużo i płacili od razu.

– Alkohol? – mruknął funkcjonariusz, co przypominało mu o tym, że owszem, chętnie by się napił. Wtedy przynajmniej przestałaby go boleć głowa.

Sklepikarz zaprzeczył.

– Oni byli dziwni, wie pan. Ja nie mówię, żeby koniecznie wódeczka czy coś, ale oni byli dziwni. Podczas pierwszej wizyty to i owszem, proponowałem, a oni śmiali się, żartowali, mówili, że umowa zabrania, chociaż, kiedy już wracałem, kilku z nich mnie zaczepiło i faktycznie kupili po parę puszek piwa. Jednego zapamiętałem, młody gość, z tych co jeżdżą na Woodstocki czy inne takie... Ale potem... Ha, w trakcie drugiego pobytu, kiedy wspomniałem o piwie, to aż się zagotowali. Powiedzieli, że nie pozwala im na to wiara! Że alkohol to trucizna. Jeden prawie mnie sponiewierał, pobił, wie pan, ale któryś z tych ważniejszych go powstrzymał.

– Więc był pan tam dwa razy? – zapytał policjant, z determinacją powtarzając błąd językowy. – Mógłby nam pan o swoich wizytach opowiedzieć? Ze szczegółami?

Z notesu P. Świetlickiego

(odnalezione 13 grudnia 2007 na miejscu zbrodni, zapiski ręczne)

Pierwsza relacja sklepikarza

Wyglądali na grupę hippisów, trochę o takich wiem, bo w technikum interesowały mnie podobne klimaty, Dżem, te sprawy. Jeździłem na Jarocin, ten prawdziwy, przed reaktywacją, kiedy demolowało się miasto, a znajomy punk przepuszczał denaturat przez chleb. Swoją drogą zabawna historia – zamiast przez kawałek przepuścił jagodziankę przez cały bochenek, no i, cholera, skończyło się tak, że nie wypłynęła ani kropla. Ale Świder –

mówiliśmy na niego Świder, bo potrafił się wkręcić na każdą imprezę – nie pękał. Zjadł chleb i tyle. No, to były czasy.

Że mam do tematu wracać? Pewnie, pewnie.

Już mówię, dlaczego jak hippisi. Ubrania, widzi pan. Mieli takie śmieszne peleryny czy tuniki. No, panie aspirancie, oglądało się Jesus Christ Superstar, nie? Coś w ten deseń.

I gęby im się śmiały, jak po jakimś zielsku. Wtedy chyba dopiero co przyjechali – przy wejściu stały jeszcze plecaki, pod ruderą zaparkował busik, tak na oko na piętnaście osób.

Wszyscy żartowali, przypominało to atmosferę imprezy integracyjnej, pikniku. Dziwne wydawało mi się tylko to, że się nie znali. Gromada obcych ludzi. Było widać między nimi ten dystans, niby żartowali, ale nieautentycznie. Takie wrażenie, wie pan – nie miałem okazji rozmawiać z nimi zbyt długo.

Organizator podszedł do mnie – w odróżnieniu od pozostałych wyglądał normalnie, nosił gustowną marynarkę (drogą jak diabli, oglądałem kiedyś podobną w galerii handlowej, kosztowała prawie dwa tysiące, koszmar) i rozpiętą pod szyją czarną koszulę. Odebrał

towar, który kilka dni wcześniej zamówił przez telefon, pokwitował, zapłacił gotówką i poprosił o fakturę.

– Na Uniwersytet Warszawski, Wydział Psychologii – odparł, zapytany, kto ma być odbiorcą, po czym przedyktował komplet danych. – Wie pan, muszę rozliczyć się z pieniędzy na badania.

Potem pociągnął mnie na bok, wyszperał jeszcze zwitek banknotów i szepnął:

– A to bez faktury. To poważna sprawa te nasze badania. Finansowane przez Unię, oni przystali program, zależy im na wynikach. Jest jeden minus: uczestnicy nie powinni rozmawiać z ludźmi z zewnątrz, rozumie pan? Moja prośba: niech pan trzyma dystans.

Żadnych rozmów. Żadnych poufałości. Mogą prosić o różne rzeczy, na tym polega gra. Ale pan – chciałbym, żeby to było jasne – pan będzie trzymał się z dala. Ich nie wolno rozpraszać!

Przeliczyłem. W zwitku znalazłem tyle samo kasy, ile wcześniej zapłacił za chleb, konserwy, masło i resztę towarów, które im przywiozłem. Aż gwizdnąłem. No i pomyślałem

sobie: dobra, umowa zawarta, pieniądze w kieszeni, ale o patrzeniu nic nie było. Trochę więc popatrzę. Popodglądam. No, kto by się nie zaciekawiał po takiej gadce, prawda?

I popodglądałem.

Znam okolice, sporo się chodziło, w liceum i na studiach, kiedy już ruscy wyszli i budynki stały opuszczone. Znam las. Cofnąłem samochód, zatrzymałem się kilkaset metrów od koszar i okrążając budynki, zaszedłem wąską ścieżką od strony kotłowni. Akurat wyładowywali coś ciężkiego z samochodu.

Podszedłem bliżej, kryjąc się za świerkami (dobrze, że one tam takie szerokie, zasłoniły mnie, a widać, że nie ułomek). Przyjrzałem się – wyglądało mi to na przenośny agregat prądotwórczy. Oprócz tego masa dziwnego sprzętu: płatanina kabli, ekrany, lampy, kamery oraz cała fura urządzeń, których ni cholery nie umiem opisać. Uwijali się przy tym barczyści mężczyźni – ci nie mieli nic wspólnego z eksperymentem, nosili normalne łachy, jak techniczni, którzy pomagają przed każdym koncertem. Przypomniałem sobie wtedy Z

Archiwum X. Będzie się pan śmiał, pułkowniku, ale przeszły mnie ciarki.

Stałem tak dość długo, miałem stracha, że mnie zobaczą, tyłu ich się kręciło. Czekaając, aż zrobi się luźniej, słuchałem. I wie pan, panie śledczy, co usłyszałem? Owce! No poważnie, gdzieś tam musiały być zamknięte owce, w którymś z budynków gospodarczych. Beczały.

Że mi się zdawało? No, nie wiem, nie wiem...

Ruszyłem wreszcie dalej, wzdłuż ściany kotłowni – chciałem zobaczyć, co porabiają hippisi. Wyglądało na to, że mają zbiórkę. Czworo „białych” (nazywam ich tak ze względu na tuniki mające barwę mleka) rządziło pozostałymi. Ustawiali ich, jakaś dziewczyna coś czytała – z urywków, jakie usłyszałem, wychodziło, że to chyba regulamin. Wszyscy sobie żartowali, było widać, że cała sytuacja – przebrania, odludne miejsce, fakt, że jedni rządzą drugimi – mocno ich bawi. Ze strony „szarych” leciały co chwila złośliwe komentarze, grupa co rusz wybuchała śmiechem. Mimo wszystko jednak okazywali białym posłuszeństwo

– takie musiały być zasady tego cyrku. Odszedłem, kiedy ustawili się wężykiem przed kamerą, przyniesioną w tym czasie przez badacza z uniwerku. No, tego, który wcisnął mi pieniądze. Dostrzegłem jeszcze, jak pierwsza osoba staje przed obiektywem, zaczyna mówić, skłania głowę...

A, jak wyglądali ci w białym? No, łatwo ich było zapamiętać – młody gość, z burzą dredów na głowie wybuchał ciągle śmiechem; dziewczyna o twarzy natchnionej malarki, czarnowłosa, z wielką „Anarchią” na piersiach (miała bardzo ładne piersi, wie pan?); facet koło czterdziestki, dziwny, jak gdyby już przed śmiercią chwycił go rigor mortis – taki był

sztynny i żółty; wreszcie babka, przysadzista, krępa, myślę, że nie żałowała sobie słodyczy – to są moje najlepsze klientki, na oko trzydziestolatki, uzależnione od czekolady i grześków.

Poza tym, generalnie, to wyglądali jak pajace.

P.Swietlicki

Od: „lab” <laboratorium@lubuska.policja.gov.pl>

Wysłano: 13 września 2007, 08:36

Do: „P.Swietlicki” <pswietlicki@lubuska.policja.gov.pl>

Temat: Re: nagrania

Priorytet: Wysoki

Charakter: Poufny

Cześć Paweł

w załączniku masz zapis jednej z empetrójek (nagranie czwarte),

które udało nam się odzyskać z tego rozwalonego pendrive'a,

znalezionego przez twoich ludzi w ruskiej bazie. Były straszne

szумы (ci, co prowadzili eksperyment, mieli kiepski sprzęt

nagrywający), ale coś tam nam się jednak udało działać;-).

Za kilka dni powinna do ciebie przyjść przesyłka z zapisem,

oficjalnie, wiesz, no ale po starej znajomości podsyłam to, co mam.

Pozdro

Michał Chlaski

Komenda Wojewódzka policji w Gorzowie Wlkp.

Gorzów Wlkp.

ul. Kwiatowa 10

www.lubuska.policja.gov.pl

Nagranie nr 4

Głos, zidentyfikowany jako głos Marka Wenera, l. 34 (MW)

– Wierzysz w to gównno? Chodzi mi, czy rzeczywiście...? Gównno, nic więcej. Wymyślili Ubu, mamy to na kartach, tych, które, które /niezrozumiały/ no rozdawali je na początku.

Wiesz, role. I sytuacja. Opis, no nie? Pamiętasz?

/westchnienie/

/cisza/

Głos, zidentyfikowany jako głos Lidii Wanickiej, l. 26 (LW)

– Nie wiem. Już nic nie wiem, to jakiś pieprzony *brainwash*. Ale...

MW

– Ale? Co ale? Myślisz /cisza/ co?

LW

– Czułam coś, Marek, i pieprzenie, że nie. Czułam, rozumiesz. Pokój, boję się. Wiesz który...

MW

– Wiem, wiem. Krąg, co nie? Krąg?

/cisza – 2 min/

LW

– I jeszcze wtedy. Zakaz, pamiętasz, złamałam zakaz. Musiałam, kurwa, musiałam, okres, rozumiesz, zaczął mi się, a kible, kible wszystkie... Musiałam wyjść. Były zajęte, czaisz? Więc za budynek, do lasu. Poza barierę...

MW

/śmiech, bardzo głośny/

– Nie chrzań, że klątwa...

LW

– Właśnie tak. Tak. Poczułam się /przerwa/ sama nie wiem. Dziwnie. Inaczej. Jakby...

jakbym robiła coś złego, coś naprawdę złego, a Ubu mnie widział. Widział!

MW

– Sztuczki. Kurwa, sztuczki. Potrafią przemielić psychikę, psychologowie /prychnięcie/.

Nowy człowiek, to z nami robią. Lepią golemi. Najpierw sprawdzają, czy tworzywo wystarczająco podatne. Kogo tu, kurwa, wzięli, no? Same zakręty, ludzie z problemami, ani bardzo religijni, ani ostentacyjni ateusze. Łatwiej manipulować, wiesz.

/przerwa/

LW

– Marek, a ty... ty kiedyś wychodziłeś poza barierę?

/przerwa – 2 minuty/

MW /wstydliwie/

– Nie.

* * *

Początek sierpnia 2007 r.

– Ubu?

Podłużna sala, kiedyś służąca radzieckim żołnierzom za świetlicę, rozbrzmiewała śmiechem. Rechotali wszyscy, od wesółkowego Tomka (ten od razu się wyróżniał zbitymi w dredy włosami, szerokim uśmiechem, luzackim ubiorem) do ponurego niczym pracownik

firmy pogrzebowej czterdziestolatka, Norberta Sosnowskiego, który brał udział w eksperymencie przez przypadek, on tylko przechodził, spostrzegł ogłoszenie o naborze na badania na niepozornej karteczce, przyklejonej do pleksiglasowej ściany tramwajowego przystanku, zgłosił się i go przyjęto. Jego ponurość brała się z licznych napięć i nieszczęść, jakie spadły nań w ostatnim czasie. Nieszczęścia chodzą stadami, myślał, sumując swe niedawne osiągnięcia: zwolnienie z pracy, choroba matki, utrata prawa jazdy, wreszcie rozpad związku, w który zainwestował sporo pieniędzy i czasu (zwłaszcza to było dla niego –

starego kawalera – szczególnie bolesne; z każdą nieudaną znajomością narastało poczucie straconego czasu i tego, że skraca się dystans, a śmierć przybliża się coraz szybciej).

Eksperyment z miejsca przywołał skojarzenia z myszami poddawany różnym torturom, a ponieważ pan Norbert wszystkie swe niepowodzenia – łącznie z dolegliwościami matki –

przypisywał sobie i w związku z tym nieustannie miał podły nastrój, zawsze był skory do

samobiczowania. Stwierdziwszy, że eksperyment na pewno da mu w kość i wymierzy sprawiedliwą karę, nie wahał się długo. Niemniej nawet on – ponurak – zaśmiewał się (prawda, że półgębkiem, z oporami, ale jednak), czytając program badania, zbiór zasad, słuchając wyjaśnień psychologa, czy przyglądając się dziwnym bezosobowym strojom, które mieli nosić. Szczęście, myślał, nie mogąc uwolnić się od biurowych nawyków, kiedy to strój znaczył wiele i wskazywał na pozycję w biurowej watasze, szczęście, że przypadł mi ten biały łachman. Nie jest najgorzej. Obracał w palcach pieniądź, co chwila zerkał na orzełka, który oznaczał, że Norbert będzie odgrywał rolę „Psa”.

– Ja chcę być z Owcami, chcę być tam gdzie ona! – krzyczała jakaś blada dziewczyna.

Ona też wyrzuciła orzełka, ale w odróżnieniu od Sosnowskiego nie miała ochoty zostać Psem – ciągnęło ją do koleżanki, do większej grupy.

Owce. Ci mieli stroje szare, powłóczyste. Wszyscy wyglądali w nich niemal identycznie; szaty zacierały – na ile to było możliwe – różnicę między płciami, odpychały swą pospolitością. Przygnębiały.

Cóż za głupia nazwa: Owce, pomyślał Pies Sosnowski, niemniej prawdziwe zaskoczenia miały dopiero nastąpić.

– Ubu, kurwa, Ubu! – Pies Tomek uderzył dłonią w kolano. Wciąż się śmiał. No, nie mógł, zwyczajnie nie mógł przestać.

– Ubu to bóg, którego jesteście wyznawcami. Wszyscy. – Głos psychologa, odczytującego im zasady udziału w eksperymencie, zdradzał oznaki zdenerwowania. –

Niewiele mamy o nim informacji, choć zdarzyło się kilka objawień, dlatego wiemy, czego Ubu oczekuje. Macie to, rzecz jasna, na kartkach. W naszej małej wspólnotce funkcjonuje oczywiście warstwa kapłańska. Najwyższym kapłanem, tym, który stanowi ogniwo pośrednie pomiędzy Ubu a wami, jestem ja. To tą drogą trafiły do was pierwsze objawienia, pierwsze prawdy i prawa. Stąd moja szata. – Psycholog pokazał wszystkim złotą tunikę,

która wystawnością i krojem kontrastowała z tunikami pozostałych. – I nazwa „Pasterz”. Jak każdy pasterz tak i ja potrzebuję psów. Będzie ich czwórka...

I tak się toczyło pierwsze spotkanie w świetlicy – psycholog wyjaśniał założenia, a uczestnicy, choć starali się zachować powagę (byli wszak opłacani, i to nieźle), ciągle wybuchali śmiechem. Niejeden pomyślał, że to głupota, że cyrk, zabawa dobra dla małych dzieci, w niejednej głowie zrodziła się myśl, by zrezygnować. Podpisali jednak umowy i wiedzieli, że Dranikowski, wyglądający na bezwzględного sukinsyna, nie będzie się wahał

ani chwili, by wyegzekwować odszkodowanie, obwarowane w kontrakcie, jeśli zrezygnują przedwcześnie. Wreszcie – wynagrodzenie. Przecież nikt z uczestników nie należał do krezusów, nie mogli, ot tak sobie, zrezygnować z dwóch tysięcy złotych – nie stać ich było na takie gesty.

Zatem Ubu.

Ubu.

Słowo, które będą przez nadchodzące tygodnie słyszeli nie raz. Słowo, które będą powtarzali w modlitwach, które będą pisali na murach, słowo, przed którym będą bić pokłony, które będzie przejmować grozą.

Wtedy jednak, pierwszego dnia, śmiali się; ów papierowy Ubu był jedynie wymysłem (w dodatku – mało oryginalnym) psychologa z uniesionym podbródkiem i ambicją wypisaną na twarzy. „Ubu” to było tylko słowo.

Na początku było słowo.

Komenda Powiatowa Policji w Międzyrzeczu

woj. lubuskie

L. dz. PGD-AW-536-72/07

z materiałów dowodowych (strony 47-48)

sygn. sprawy: WZ-7234-66-60-08/07

TAJNE

wyryte na ścianie jednego z pokoiów sypialnych:

/do wiadomości podkomisarza P. Świetlickiego/

Ubu.

Ochroń mnie

Najwyższy

Zachowaj mnie

Przed gniewem.

Ubu.

Ochroń mnie

Najwyższy

Odpuść winy

Bo byłam przeciwna

Tobie.

Ubu

Ochroń mnie

Najwyższy

W Tobie

Jedyna nadzieja.

13 VIII 2007

Sabina

* * *

Koniec września 2007, noc

Chłód.

Czasami czujesz go bez wyraźnej przyczyny. Gruby sweter, kurtka, spodnie, ocieplane buty – masz to wszystko, a jednak trzęsiesz się, jak gdyby lodowaty sopel był wbity prosto w serce. Tak trząś się Świetlicki, mimo że koniec września 2007 roku nie był przesadnie zimny. Za oknami zaczynała lśnić złotem polska jesień, która zachwycała wielu – zwłaszcza tych skorych do łatwych wzruszeń. W takich chwilach zwykli oni mówić, że czują Obecność, te chwile były dla nich dowodem, że Bóg – jakiś Bóg – istnieje.

Z Pawłem było odwrotnie. Jeśli, stojąc w ponurej świetlicy, cokolwiek odczuwał – to dojmującą nieobecność.

Muchy oblepiały ściany, które przez to wydawały się czarne. Owady tym razem nie przstraszyły się, kiedy wszedł do środka. Ludzie mają tendencję do personifikowania wszystkiego, co widzą, Paweł zrobił to odruchowo, stwierdzając, że dzisiaj muchy były wobec niego przyjazne.

Jego jednak pociągał krąg.

Ruszył w stronę prostego malunku i wtedy zauważył zmianę, jaka niepostrzeżenie zaszła na podłodze. Krąg wciąż tam był, lecz teraz czerwoną linią farby obramowane było nie linoleum. Wewnątrz okręgu ziała czern. Pustka.

Wejdz!

Znów targnął nim dreszcz, poczuł, że od podłogi ciągnie arktycznym chłodem, wszystko zamarza – jego oddech, krew, myśli. Krąg wołał.

Wołała go nicość.

Targnął się na łóżku, budząc śpiącą przy nim prostytutkę. To jedna z zalet bycia policjantem – dziwki miał za darmo, robiły to, żeby zabezpieczyć sobie źródło przychodów.

Dla niego stanowiło to rodzaj *fringe benefits* związanych z pracą w policji.

– Paweł! Paweł! – zawołała.

Wyglądała na mocno przestraszoną, ale on nie zwracał na nią uwagi. Dygotał. Spojrzał na zegarek. Druga.

– Nie chcę spać – szepnął. – Nie chcę spać.

* * *

Koniec września 2007, dzień

– Zobacz, co znaleźliśmy. No, zobacz! – Przemek wbiegł do jego pokoju z miną dziennikarza, który właśnie przyłapał premiera w objęciach prostytutki i na dodatek zdążył

zrobić wyraźną fotkę. Oczy miał przekrwione – płacił kosza cywilizacji. W tych przekrwieniach odbijały się dziesiątki godzin spędzonych przed monitorem.

– Czytaj!

Plik kartek (wydrukowanych w trybie Econo, policja oszczędza) trafił do rąk Świetlickiego. Ten podszedł do wydruku nieufnie – pierwsze wrażenie nie wypadło obiecująco. Jakies grafiki po bokach strony (co to, kurwa, jest? kwiatki?), pośrodku wąska kolumna tekstu, w tle księżyc i kształty przypominające serce, i cytaty, oczywiście z *Małego księcia* – wszystko rozchwiane, nieuporządkowane, przesadnie emocjonalne.

Zdigitalizowany kicz.

Czytał jednak, czując na sobie natarczywe spojrzenie Przemka i bojąc się popatrzeć w jego przekrwione, mało apetyczne oczy. W miarę czytania wyraz twarzy Pawła się zmieniał

– od lekceważenia, przez letnie zainteresowanie, aż po rozszerzone w zdziwieniu źrenice i niedowierzanie.

– Ty to znalazłeś? Stary, ty to znalazłeś?

„Mój śliczny blog”

04.08.2007

Ostatni raz przed wyjazdem?

W niedzielę po południu albo w poniedziałek z rana wyjeżdżam, ale piszę już dzisiaj ostatnią notkę, ponieważ, znając życie i mnie samą – później nie znajdę czasu ☺ .

Więc tak – to na 100% pewne – wyjeżdżam. To wiąże się z tym, że zawieszam bloga.

Kurczę, będzie mi Was brakowało (chlip, chlip). Patrzę na plecak i już wiem, że połowę ubrań muszę zostawić w domu .

Co do tego zawieszenia, to może nie być tak strasznie, bo biorę laptopa i jak się poszczęści, to będzie tam zasięg, więc będę miała dostęp do netu (blueconnect „rzondzi”), więc może się jeszcze odezwę. Chociaż powiem Wam (tylko sza!), że to trochę nielegalne ten laptop. Bo zasady eksperymentu tego zabraniają. Nie pisałam nic o eksperymencie? No to jazda!

Namówiła mnie do tego Monika, koleżanka, z którą razem chodziłyśmy kiedyś na spotkania ruchu „Światło Życie” (pisałam o niej miesiąc temu – linka). Cóż, ja przerzuciłam się na duszpasterstwo akademickie, a ona poszła w zupełnie drugą stronę i miała kilka ciężkich zakrętów. Wiecie, historie z chłopakami, z prochami i w ogóle. No, ale znowu się spotkałyśmy ☺ tylko że Monika jest w nie najlepszym stanie psychicznym. Rozkleja się. Od jakiegoś czasu jej pomagam, stara przyjaźń nie rdzewieje, no nie? I teraz, kilka dni temu ona powiedziała, że chce wziąć udział w jakimś badaniu psychologicznym. Monika ma kłopoty z forszą, a płacą nieźle. Tyle że sama nie chce jechać – bo czuje się opuszczona i smutna. No i mnie namówiła!

Sami powiedzcie, czy mogłam ją zostawić w takiej sytuacji?

No i właśnie się pakuję. Wszystko porzrucane, nie wiem, czy wziąć jeszcze jedną bluzeczkę, czy maskotkę, którą dostałam od taty (obecnie pracuje w Holandii, nie widziałam go od paru miesięcy – tak, wezmę maskotkę).

No, oczywiście będzie mi całej ekipy bardzo brakowało – i Aśki, i Seby, i Ewki – to nie fair, jeszcze nie wyjechałam, a już tęsknię. Ale wrócę za kilka tygodni.

A Wy śledźcie tę stronkę, aha! Jak będzie dostęp do netu, to napiszę to i owo o eksperymencie.

Jestem pewna, że będzie super.

Sabina

* * *

Pierwszy tydzień października 2007 r.

Komórka zabręczczała ponownie, denerwującym dzwonkiem, który w założeniach miał

przypominać skrzek żaby. Nie przypominał ani trochę, ale że wszystkie inne sygnały były jeszcze gorsze i brzmiały jeszcze bardziej głupio, Paweł pozostał przy sygnale oznaczonym jako „frog”.

Sięgnął po aparat, zerknął na wyświetlacz – tego połączenia nie mógł, niestety, zignorować.

– Jakież postępy? – Głos był szorstki, wrażenie obcości i niechęci potęgował dodatkowo fakt, że rozmowa toczyła się przez telefon. – Jakież ustalenia?

Świetlicki, przed momentem puszczający oko do kolegi zza biurka, przykrywający słuchawkę dłonią i rzucający kąśliwą uwagę: „Mulder i Scully”, sposepniał. Rozmowy z ludźmi z ABW nigdy nie były przyjemne.

„Patrz na ciebie z góry”, pieklił się Świetlicki, gdy był bezpieczny w otoczeniu kolegów, ze szklanką w ręku, kiedy nie słuchał żaden z kapusiów, a wszyscy nędznie opłacani i jednocześnie zbyt uczciwi, by brać łapówki, policjanci spotykali się na działce Michała Wosia i systematycznie anihilowali zgrzewkę lub dwie piwa kupionego w dyskoncie. „Traktują jak śmiecia, jak lokaja. >>Jakież rezultaty<<, pytają, >>postępy śledztwa, jakieś ustalenia, co, tylko tyle, a dlaczego, kurwa, tak niewiele?!<<”.

– A dlaczego tak niewiele? – zapytał dzwoniący, kiedy Świetlicki zdał sprawę z dotychczasowych ustaleń i przedstawił wnioski robocze. – Wspominałem wcześniej, co mnie interesuje, prawda? Na tym polu, widzę, niewiele zdziałaliście.

Paweł oczywiście pamiętał, co tamten powiedział mu podczas pierwszej rozmowy – nie przez telefon, rozmawiali wówczas twarzą w twarz, oficer ABW pofatygował się osobiście chyba po to, żeby zrobić na Świetlickim większe wrażenie.

Arogant. Wydaje mu się, że jest bardzo ważny. Sam pod presją. Karierowicz. Głupek! –

w tych krótkich zapiskach, jakie Paweł poczynił po spotkaniu, kryła się możliwie zwięzła charakterystyka funkcjonariusza ABW, Artura Karskiego.

Parę następnych rozmów spowodowało, że Świetlicki jedynie się w swojej opinii utwierdził.

– Wyniki badań. Czy do czegoś doszedł, czy sformułował wnioski... – Karski recytował, jak gdyby przygotowując się do rozmowy ze Świetlickim, wykuł na pamięć kilka punktów i teraz klepał je jednym tchem prymusa, czekającego wyłącznie na okazję, by udowodnić światu, jaki jest bystry. – Ta masakra, cóż, twoja broszka. Ja muszę wiedzieć, czy Dranikowski sformułował już jakieś wnioski, czy postawił tezy, choćby robocze, jakie poczynił obserwacje. Mechanizmy, badane przez tego gościa, to, cholera, ważna sprawa.

Sprawa kluczowa. Ty nie czaisz, jakie to ma znaczenie. Może mieć. Bezpieczeństwo narodowe, chwytasz? A może i nie tylko narodowe. Kurwa, to rzecz istotna dla całej naszej

sfery cywilizacyjnej! Zachód kontra Arabcy. Kurwa, jeśli niczego nie znajdziesz, urwą mi jaja! Na to naciska rząd, rozumiesz? Tak, kurwa! Więc zanim mi urwą jajca, polecisz.

Znajdź coś!

Świetlicki pokiwał głową, biorąc Artura Karskiego za nieuleczalnego megalomana. O

tym, że w słowach oficera ABW może być trochę racji, przekonał się nieco później, gdy poznał już założenia eksperymentu. Gdy porozmawiał z dziewczyną zajmującą się rozdzielaniem kasy z Unii Europejskiej.

* * *

Połowa października 2007, popołudnie

Kilkaset stron!

Świetlickiego oblał pot, poczuł, że koszula zaczyna przylepiać się mu do pleców.

Pięknie. A nie wierzył w te wszystkie żarty o biurokracji europejskiej, w miejskie legendy o prostowanych bananach, kwalifikowaniu marchewki jako owocu i armii nic nierobiących urzędników unijnych. Po raz kolejny zważył w dłoni kilkaset stron zbindowanego tekstu, przekartkował, ze strachem spozjrzał na tabele pełne liczb, na wykresy, na dziwaczne formularze.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam – powiedziała urzędniczka.

Miała zapewne mniej niż trzydzieści lat, czarne włosy, śliczną buzię i – tak, stary, no, kurwa, jakże mogłoby być inaczej? – obrączkę na palcu.

– Nigdy – powtórzyła, a Paweł, oderwawszy wzrok od jej gibkiej sylwetki, pomyślał, że to stwierdzenie mógłby odnieść również do pliku papierów, które miał przed sobą.

Wniosek o dofinansowanie.

– Zazwyczaj to my decydujemy o finansowaniu poszczególnych eksperymentów –

wyjaśniała urzędniczka. – Bruksela nie ma czasu na zajmowanie się każdym wnioskiem, dla nich takie sumy są śmieszne. Ale teraz się zainteresowali. Ten eksperyment to część większej całości, w kilku krajach prowadzą podobne badania. A wszystko jest robione po cichu, tak by nie wzbudzić zbyt dużego zainteresowania opinii publicznej. Nie będą zadowoleni z tego, co się u nas stało.

W odpowiedzi na pytanie, co to za przedsięwzięcie badawcze, wzruszyła ramionami.

– Sama dobrze nie wiem, zresztą przeczyta pan, kapitanie, wniosek o grant. Ja myślę... –

Zastanowiła się, zmrużyła oczy, a Świetlickiemu tak się w owej chwili spodobała, że po raz kolejny przeklął w myślach jej obrączkę.

A może, chwycił się irracjonalnego przeczucia, jest niezadowolona? Może jej mąż to pracoholik, a ona ma ochotę na niezobowiązujący skok w bok? Może zaproponować kawę?

Tak zacznę od kaw...

– Sądzę, że chodzi o islam – dokończyła. – Mimo że wniosek aplikacyjny nie odnosi się do tej konkretnej religii. Badania służyły temu, żeby odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób powstają grupy religijnych fanatyków, jak duży wpływ ma tutaj środowisko, otoczenie.

Sednem było zrozumienie mechanizmów psychologicznych. Wie pan, najpierw trzeba pojąć, żeby potem...

– Walczyć? – wtrącił.

To było jedyne skojarzenie, jakie przemknęło mu przez myśl w reakcji na wzmiankę o islamie.

– Tego w Unii nikt nie przyzna. Przynajmniej oficjalnie. Poprawność polityczna.

Walczymy przecież z wykluczaniem kogokolwiek, precz z wykluczającymi. Ale tam, w Brukseli, chyba też się boją. Boją się islamizacji Europy, bo widzą, że to kobiety w czadorach pchają wózki z dziećmi. Trzeba więc pojąć zasadę: jak człowiek staje się religijny, jak zaraża się fundamentalizmem...

– I to pomoże? – Świetlicki popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Pomoże, pewnie. Kiedy się jakiś proces zrozumie, można próbować go, hmm, odwrócić. Uruchomić mechanizmy, które fundamentalistów zsekularyzują, zasieją wątpliwości, wytrącą argumenty. A czy może być lepszy argument niż to, że religia to tak naprawdę wytwór naszego umysłu i produkt interakcji społecznych? Bóg urojony, wie pan.

– Ma pani sporo informacji na ten temat – zauważył policjant.

W jego głosie pobrzmiwało uznanie, ale urzędniczka, zerkając na Pawła spod długich rzęs (ma piękne oczy, zanotował w pamięci), wyglądała bardziej na zmieszaną niż na zadowoloną z pochwały. Zupełnie jak gdyby przyłapał ją na czymś niewłaściwym.

– Po tym zdarzeniu, po tragedii w lesie – powiedziała cicho – był szum w mediach, wie pan, panie pułkowniku. Cały czas jest. Skojarzyłam, że to brzmi znajomo, znalazłam aplikację doktora... i przeczytałam komplet dokumentów raz jeszcze. Z ciekawości.

Przez chwilę trwała krępująca cisza. Świetlicki, niemający bladego pojęcia o procedurach związanych z przyznawaniem grantów i dofinansowań, zaczął się domyślać, że dziewczyna, sięgając ponownie do akt sprawy, nie postępowała zgodnie z zasadami; zapewne były tam jakieś ograniczenia, klauzule poufności, ileś osób musiało zaakceptować wyjęcie papierków z archiwów. Bulszit. Nie zamierzał się tym zajmować.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się, starając się, by jego głos zabrzmiał możliwie ciepło.

Zastanawiał się, czy może dotknąć jej dłoni, powiedzieć, że bardzo pomogła i jemu osobiście, i policji. Nie, jeszcze za wcześnie. Za wcześnie. Przecież dopiero co ją poznał.

Wychodząc zapytał, czy może zaprosić ją na kawę. Odmówiła.

Jej głos był zdecydowany i nie pozostawiał cienia wątpliwości.

Komenda Powiatowa Policji w Międzyrzeczu

woj. lubuskie

L. dz. PGD-AW-536-66/07

z materiałów dowodowych (strona 61)

sygn. sprawy: WZ-7234-66-60-08/07

TAJNE

Znalezione w pomieszczeniu, w którym podczas eksperymentu przebywał dr
Dranikowski.

/do wiadomości podkomisarza P. Świetlickiego/

/kopia/

Objawienie drugie

/nadpalone/

...że protestować. Owca nie ma żadnych praw. Każda z Owiec musi przestrzegać zaleceń Pasterza oraz Psów. Każdy Pies może wydać Owcy polecenie, które Owca musi wykonać.

Psy mają możliwość wymierzania kar nieposłusznym Owcom – kara odosobnienia, medytacji, modlitwy do Ubu, kara pracy na rzecz Ubu, kara pracy na rzecz Wspólnoty.

Każda z Owiec jest zobowiązana brać udział w prowadzonych przez Psy modlitwach do Ubu.

Modlitwy będą się odbywać minimum 4 razy dziennie.

/nadpalone/

„Mój śliczny blog”

16.08.2007, g. 20:55

Owca

Dzisiaj złożyliśmy w ofierze owcę.

Czad, nie?

Na początku trochę mi było przykro, serio-serio. Owca wyglądała słodko i niewinnie.

Za pierwszym razem to ponoć nigdy nie jest takie proste. W głowie czułam ból, a w sercu niepokój, ręka lekko drżała i chciało mi się rzygać.

Za pierwszym razem, kiedy opadało ostrze, nie mogłam patrzeć. Nie czułam się dobrze.

Ale to szybko minęło.

Ubu tak chciał. Ubu, czyli Dranikowski (to przecież on to wszystko wymyślił). Strażnicy (sorry – Psy – nie mogę się przyzwyczaić do tej głupiej nazwy) zmusili wszystkich, żeby brali w tym udział. Ja trzymałam miskę na krew pod szyją zwierzęcia. Najgorzej miał Norbert, ten stary gość, który miał trzymać zwierzę od tyłu – owca wierzgała kopytami i kopnęła go w twarz, pod oko.

W sumie to on jest niehalo, dobrze mu tak.

Ale już wracam do owcy, koniec z offtopem.

To była ofiara. Krew owiec miła jest Ubu – tak przynajmniej krzyczał Dranikowski, przebrany w szaty rytualne. Nasz Pasterz. Stał nieco z dala, na jakimś murku, zostawionym przez ruskich (nie mam bladego pojęcia, do czego ten murek miał im służyć), i wygłaszał

kazanie, podczas gdy Psy, kiedy już zebrałam pół miski juchy, rozlały ją u jego stóp.

– Dzisiaj Ubu żąda takiej ofiary! – krzyczał, a ja sobie pomyślałam, że wygląda, jak gdyby wierzył w to, co mówi. – Jutro zażąda innej! Czy mu ją dacie? Czy gotowi jesteście mu ją dać?

Wtedy to się trochę przestraszyłam, że ześwirował i coś nam robi.

Ale generalnie był czad ☺ .

Sabina

* * *

Trzeci tydzień października 2007 r.

Chwile, w których Paweł żałował, że pracuje w budżetówce, zdarzały się bardzo często.

Ba, zdarzały się wciąż i wciąż, lecz kiedy o szybę dzwonił miarowy, niezmienny deszcz, a przez szczeliny w oknach budynku, mieszczącego komendę, do nieogrzewanego ciągle pomieszczenia

wcisnął się wilgotny chłód, wtedy żałował szczególnie. Chciało mu się wyć, wilk wyglądał z jego spojrzenia. Widok przełożonego działał na niego jak płachta na byka –

chłodna wściekłość (bo w tych dniach wszystko było chłodne, chłodne i mokre) rozsądzała czaszkę. Przełożeni – również zmuszeni do przebywania w placówce, która miała przyznane fundusze na ogrzewanie dopiero od listopada – bez zahamowań wylewali frustrację na głowę Pawła. A to, że w gazetach znów stoi o braku postępów śledztwa, a to, że nie panuje nad dochodzeniem, a to, że prokurator... Każdy pretekst był dobry, ale Paweł przecież wiedział –

to nieznośna, jesienna słota robiła z nich potwory.

W strukturach hierarchicznych odpowiedzią nie mógł być oczywiście wybuch niezadowolenia, rzucenie w twarz osobie wyższej rangą, żeby się odpięrdoliła, że mając kilkudziesięciu świadków i setki innych dowodów, sama miałaby trudności w opanowaniu całego materiału dowodowego. Świetlicki zaciskał więc zęby, zgrzytał i wyladowywał złość na tych, co podlegali jemu (na szczęście było ich nie tak znowu mało).

Policja – machina zinstytucjonalizowanej frustracji.

– Chryste – rzucił mimowolnie, powielając językowy uzus, bo przecież z jego katolicyzmem było jak z rzekami w Australii, a akurat nastał czas suszy. – Zaczynam zachowywać się tak jak oni.

„Oni” oznaczali ludzi mających nad Świetlickim władzę – im wyżej w hierarchii, tym bardziej – z perspektywy Pawła – należało się do „nich”, a zarazem tym mniej było się

„naszym”. „Oni” zaczynali się od komendanta powiatowego, a kończyli na premierze.

Najbardziej przeszkadzali Pawłowi jednak „oni” z ABW; kiedy rozmawiał o Karskim z przełożonymi, używał w miarę neutralnego określenia „zarozumiały bubek”, lecz gdy przyszło rozmawiać z kolegami, zwykł mawiać: „Nadęte fiuty, oto kto pracuje w ABW.”

Ostatnio chodzą jak popierdoleni, zbliżają się wybory, nie wiadomo, czy nie wylecą z roboty, kiedy inna ekipa przejmie stery. Zbyt mocno lizali dupę swoim partyjnym szefom”.

Rzeczywiście, ostatnimi czasy oficerowie ABW mocno parli, by uzyskać jakieś rezultaty; być może chcieli zorganizować następną konferencję prasową, tuż przed głosowaniem przypisać sobie kolejny sukces – cóż, kiedy sukces wciąż nie nadchodził.

Owszem, Świetlicki już zaczynał konstruować z rozsypanych puzzli w miarę spójny obraz zdarzeń, lecz dalej nie było odpowiedzi na dwa podstawowe pytania: kto zabił? I: dlaczego?

Paweł rozparł się na krześle (cholera, nawet oparcie ziębi, pomyślał), chwycił wydruk z korespondencji elektronicznej – list nie był długi, tylko kilka linków i temat: „Masakra w poradzieckiej bazie”.

Ciekawe, że przełom w tak wielu śledztwach zależy od przypadku. Ciekawe, czy to będzie przełom? I jeszcze: ciekawe, dlaczego mail był anonimowy?

Wysłany z konta założonego kilkanaście minut wcześniej, z kawiarenki w Warszawie, przez którą przetaczają się setki użytkowników. Choćbyś stanął na głowie, tego jednego nie znajdziesz. Czego informator się wstydził? Tego, że oglądał te filmiki i nie reagował? A może tego, że były zamieszczone w kategorii wymagającej potwierdzenia daty urodzenia?

Kliknął na link.

www.youtube.com/watch?v=Gwy34mGC3iIY

Added: August 17, 2007

From: dranPL

Category **People & Blogs**

Eksperyment – part 4

Obraz chwieje się i śnieży, drga, kamerę trzyma niewprawna ręka. Dźwięk nie najlepszy, lecz kiedy się wsłuchać, można wychwycić całe słowa, całe zdania.

– Nie będziemy o tym rozmawiać! – krzyczy jeden z ludzi ubranych na białą, z literką

„P” wymalowaną na plecach. – Post to droga ku lepszemu zrozumieniu. Wstrzemięźliwość od pokarmów pozwala dotrzeć bliżej źródła.

– Ja prawie mdleję! – wyrywa się dziewczynie w szarej szacie.

Tak jak wielu innych szarych, ma wyszytą literę „O”. W odróżnieniu od białych strój szarych jest znacznie skromniejszy, ubogi – mógłby się skojarzyć na przykład z ubiorem pierwszych chrześcijan. Dziewczyna zaraz jednak milknie. Podbiega do niej młodzieniec z burzą dredów na głowie – jeden z białych – bez namysłu uderza ją w twarz, raz, drugi, z obu stron, zamaszycie.

– To Przesłanie! – Głos młodzieńca jest stanowczy i jasny, nigdy dotąd nie brzmiał tak pewnie.

Oto przemawia przez niego Racja. Musi tak być, bo choć szarych jest znacznie więcej niż białych (tych ostatnich jest tylko czwórka), oznaczeni literką „O” odsuwają się z przestrachem, nie dyskutują, nie kłócą się. Dredziarz natomiast uderza po raz kolejny, dziewczyna płacze, podczas gdy młodzieniec mówi, nie, on nie mówi – on wygłasza:

– Każdego, kto podniesie rękę... – Dźwięk jest niewyraźny, kilku zdań nie można zrozumieć, lecz kamerzysta podchodzi bliżej, kieruje obiektyw na natchnioną twarz chłopaka. – ...Trud, który musicie ponieść. Wtedy być może staniecie się tacy jak ja, uzyskacie łaskę, dostąpicie Objawienia, ale teraz, kurwa, słuchać! Musicie słuchać! Sabina, ty zawsze wzniecasz bunt. Za kogo ty się właściwie uważasz? Nie dotarło jeszcze? Nie dotarło? Gatunek. Niech cię chuj, jesteś podrzędny gatunek i jeszcze wierzgasz?

– To nie jest naprawdę! – krzyczy dziewczyna i ten krzyk jest tak mocny, że rozdziera serce. – To

tylko głupia gra, wymyślona przez tego pieprzonego Drani...

Kolejne uderzenie w twarz. Dziewczyna milknie. Znów słyhać stanowczy głos chłopaka, przekonanego o oczywistości swych racji:

– Nie waz się mówić o Nim w ten sposób. I nie pierdol, że to jakaś gra, czy coś. To się dzieje naprawdę! Naprawdę! Nie rozumiesz?!

Z notesu P. Świetlickiego

(odnalezione 13 grudnia 2007 na miejscu zbrodni, zapiski ręczne)

Druga relacja sklepiarza

Wyszło kilku, inaczej niż za pierwszym razem, kiedy okrążyli mnie wszyscy mieszkańcy bloku. Teraz stanęli przed samochodem dwaj biali – czterdziestolatek, który wyglądał na nieco mniej przybitego, i chłopak z dredami. Ten sponurzał, podczas całej rozmowy nie roześmiał się ani razu. Była z nimi trójka szarych, lecz ci nie odzywali się w ogóle – jak gdyby ktoś zakazał im mówić – porozumiewali się wzrokiem, czytali sobie w oczach, reagowali na każdy gest białych, którzy – jak jakaś rasa panów – płacili za wszystko, gdy tymczasem szarzy pełnili rolę tragarzy. Chwyтали zgrzewki pasztetów drobiowych, ładowali konserwy do worków, taszczyli skrzynki z butelkami wody mineralnej, a wszystko to wykonane sprawnie, z pośpiechem i bojaźnią.

Już nikt nie żartował, kiedy któryś z białych rzucił rozkaz.

– To wszystko? – spytałem, kiedy wyładunek się kończył.

Mrugnąłem porozumiewawczo do młodego, przez te włosy wyglądał mi na takiego, który nie stroni od alkoholu. Nieznaczenie uniosłem plandekę, odsłaniając kilkadziesiąt puszek piwa. Tamten zaprzeczył, jeszcze nie niegrzecznie, ale bardzo stanowczo.

– Co, umowa nie pozwala? Doktorek zakończyłby eksperyment?

Młody popatrzył na mnie dziwnie, spojrzeniem ślepcy usiłującego czytać litery.

Potrząsnął głową, sprawiając wrażenie zdumionego, zamrugał.

– Umowa? – powtórzył i wyglądało to tak, jakby słowo „umowa” słyszał pierwszy raz w życiu. – A pan skąd... przybył? Stamtąd?

Jego oczy wciąż na mnie spoglądały, lecz nie było już w nich duszy... Nie było inteligencji, jak gdyby zapadła się w głąb, odsunęła tak, by nie słuchać tego, co mam do powiedzenia.

– Witam, witam – dobiegło z boku, a rozpoznawszy ów mocny, niezmiernie pewny siebie głos, wiedziałem, że to koniec krótkiego wywiadu. I że nie sprzedam tutaj nawet puszki.

W moją stronę szedł psycholog. Cały promieniał, biła od niego siła. Dredziarz od razu odwrócił się do nadchodzącego, i, słowo dając, uklonił się. No, normalnie, tak jak kłania się kelner, kiedy wchodzisz do restauracji. Jak lokaj kłania się swemu panu. Zaraz też odszedł, zabierając ze sobą pozostałych i resztę towaru. Psycholog czekał jakiś czas, aż znajdą się tak daleko, że nie będą słyszeli jego słów, wreszcie zaczął mówić:

– Chciałbym, żeby przyjechał pan nieco później, niż pierwotnie planowałem. Badanym nie dopisują apetyty, zostało nieco więcej jedzenia.

Skinąłem głową. Nasz klient, nasz per pan.

– Jak pan będzie jechał – mruknął i sięgnął do kieszeni, wyciągając dość długą listę –

chciałbym, żeby pan to przywiózł...

Urwał, bo spostrzegł, że zamiast na listę spoglądam na to, w co był ubrany. A ubrany był

jak cudak. Nosił szatę podobnego kroju co pozostali, tyle że ta była znacznie bardziej strojna, uszyta z wyraźnie lepszego materiału, ozdobiona szerokimi pasami złotej tkaniny, którą były obszyte także mankiety rękawów. W pasie był przewiązany czymś na kształt, bo ja wiem, pasa słuckiego?

– Badanie – wyjaśnił, chociaż bardzo się zmieszał.

Żeby pokryć zmieszanie, zaczął mówić – szybko, żargonem, urywanymi zdaniem – tak jak mówią ludzie przyłapani na jeździe po pijaku lub na oglądaniu stron erotycznych w Sieci.

– Takie są wymogi. Stosujemy metodę, można by ją nazwać „total immersion”. Przekazy muszą być spójne, żadnych nut fałszywych, żadnych szczegółów, które rozpraszałyby badanych. Dlatego prosiłem: żadnych dyskusji. Już sam pański widok – samochód, towary i tak dalej – to wszystko przypomina im o świecie zewnętrznym.

Stamtąd? Pan jest stamtąd? Przed oczyma stanęła mi wychudzona nieco twarz dredziarza. Boże, to był jeszcze dzieciak. Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić po suk... No, znaczy się, na dziewięć dziewięć siedem.

– Siedzę z nimi cały czas, ale nie jestem jednym z nich – ciągnął psycholog. – Muszę się przecież jakoś wyróżniać. W tej grze każdy ma rolę, więc moja polega na tym, by stać z boku.

No, ale muszą mnie akceptować...

– Czy oni... – zacząłem. – Czy im się coś stało?

Dłonią wykonałem gest przy skroniach. Psycholog aż podskoczył.

– Ale, ale, co to za bzdury? Mówiłem: to oszołomienie. Normalne, biorąc pod uwagę metody zastosowane w eksperymencie. Kiedy będzie pan następnym razem?

Zmieniasz temat, gnoju, pomyślałem, ale nie powiedziałem nic, niech sobie myśli, że mną manipuluje.

– Może w sobotę. Około czternastej.

– Dobrze – mrucał, pisząc datę na kartce. – Sobota, czternasta. A, nie toleruję spóźnień, rozumiemy się?

Wsiadałem już do samochodu, kiedy nagle chwycił mnie za ramię.

– Nie ma pan – chrząknął, mrugnął porozumiewawczo – jakiegoś piwa? Można uschnąć od tej wody.

Nie odjechałem daleko.

Samochód, tak jak poprzednio, zostawiłem na poboczu, dobrze skryty między niewysokimi sosenkami, i ruszyłem ścieżką okrążającą blok. Las – rety, jak ja kocham las, zielen dookoła, nie ma samochodów, warkotów, spalin, nie słyszeć szmeru rozmów... Cisza.

Właśnie, pomyślałem. Cisza.

W letnim lesie nigdy nie jest zupełnie cicho. Owszem, cywilizacja zostaje za ścianą drzew, ale są jeszcze zwierzęta. Co rusz zakrzyczy ptak, to znów trzaśnie gałązka pod nogą sarny, to zafurkoczą tabuny jakichś małych ptaków, wylatujące spośród kęp tarniny. No i las szumi – wystarczy byle jaki wietrzyk i pojawia się szum, powolny i jednostajny – a w tamtej okolicy wieje zawsze.

Tym razem było jednak cicho. Zły znak, pomyślałem. Cóż, człowiek naogląda się różnych głupot, to potem tak gada. Szedłem dalej, nie pękałem.

A co!

Nagle wydało mi się, że między drzewami miga jakaś sylwetka, może cień. To mogło być przywidzenie, bo tamta część drogi wyjątkowo gęsto zarosła. Odruchowo chwyciłem suchą gałąź leżącą na ziemi. Zważyłem w dłoni. Nieźle. Może to nie bejsbol, ale nieźle.

Niech mnie kto stąd przegoni!

Kiedy drugi raz, kilkadziesiąt kroków dalej, odniosłem wrażenie, że znów kogoś widzę, zacząłem bać się porządnie. Naprawdę porządnie. Pomyślałem, żeby zawrócić, lecz

ciekawość raz jeszcze wzięła górę. Posuwałem się bardzo ostrożnie, zatrzymując się przed każdą większą kupą krzaków, podchodząc na palcach do zakrętów, omijając z dala drzewa o grubych pniach, za którymi ktoś mógł się kryć. Mimo wzmożonej uwagi nie dostrzegłem niczego. Las był pusty.

Odetchnąłem.

– A pan czego tu szuka?

Podskoczyłem, w odruchu ślepej obrony chciałem cisnąć w mówiącego gałęzią, ale –

zbyt sucha i stara – złamała mi się w dłoni. No, zajebicie!

Byłem bezbronny.

** * **

Początek listopada 2007, noc

Szron.

Czasami pojawia się nieoczekiwanie, wcześniej niż ktokolwiek by go wyglądał.

Przymrozek ścina trawy, pokrywa liście cienką chropowatą warstwą, a kiedy człowiek nierozważnie wyjdzie na zewnątrz zbyt słabo opatulony, wzdraga się, nieuzbrojona w rękawiczkę dłoń cofa się przed mrozem, grabieżą palce, głowa chowa się w ramionach, a oddech zamienia w chłodną parę.

Świetlicki buchał więc chłodną parą, sapiąc ciężko i ścierając szron z futryny drzwi, w których na moment się zatrzymał. Już sam fakt, że w środku budynku czuł pod opuszkami palców mroźny dotyk szronu, powinien go zaalarmować albo chociaż zdziwić. On jednak zachowywał się jak zahipnotyzowany.

Za oknami straszyły nagimi gałęziami drzewa. Liście leżące na ziemi zaczynały gnić i tworzyły teraz nieprzyjemną masę, której resztki Paweł próbował strząsnąć z butów. Masa była brunatna i w niczym nie przypominała „złotego kobierca”, tylekroć przywoływanego, gdy przyszło pisać o jesieni w Polsce.

Widok zgnilizny jest bardziej na miejscu, pomyślał policjant.

Jest bardziej prawdziwy.

Znów stał w świetlicy, w której niegdyś zbierali się radzieccy żołnierze, żeby pogadać o tym, jak im się żyje na obczyźnie, w podbitym kraju. Muchy już w ogóle Pawła nie przerażały. Kotłowały nad nim, bzyczały i popychały go do przodu, wymuszając ruch w stronę, w którą i tak by poszedł.

Krąg.

Krawędzie czerwonej farby były jednocześnie granicami realności; tam, gdzie kończył

się purpurowy pas, zaczynał się koniec – koniec absolutny, uskok świata. Krawędź kręgu była krawędzią istnienia – dalej był pustkospad, czarna studnia, z której wiało mrozem, a raczej studnia, wysysająca ciepło. Paweł poczuł się tak, jak gdyby poddawano go krioterapii.

A jednak szedł w stronę kręgu. Musiał iść.

Wejdz!

Zatrząsał się, czując uderzenie chłodu, jakiego nigdy wcześniej nie doznał.

Nie! Nie! Nie! Tam nic nie ma! Nikogo! Po drugiej stronie nikt nie czeka z kolacją.

Piekło to nieobecność Boga, pomyślał, zatrzymując się ostatnim wysiłkiem woli tuż nad krawędzią.

Wejdz!

* * *

– O Boże!!!

Świetlicki usiadł na łóżku. Ręce drżały mu jak ciężko choremu na Parkinsona, spróbował nalać sobie kieliszek whisky, ale porozlewał ją tylko na pościel, więc chwycił

butelkę, wziął spory łyk, i jeszcze jeden. Gardło zapłonęło, kaszlnął, odetchnął. Serce wciąż tętniło w rytmie stroboskopu, przed oczami wciąż miał obrazy mrozące krew w żyłach.

Dłońmi objął głowę, zakołysał się, jęknął.

– Boże! Za każdym razem wygląda to bardziej realnie. Boże!

Uderzył pięściami w ścianę. Nie obchodziło go, czy sąsiedzi się obudzą, nie obchodziło go, czy właśnie robi z siebie wariata przed połową bloku. A jeśli ktoś zaalarmuje policję, cóż, miał to gdzieś, koledzy nie zrobią mu krzywdy.

– Boże! – wołał przez łzy, wpatrując się w ciemne okno.

Bóg nie odpowiadał.

* * *

Drugi tydzień listopada 2007, wczesne przedpołudnie

– Kurwa.

Przekleństwo zawisło pomiędzy Świetlickim, kilkoma innymi policjantami i niemłodym leśniczym, którego mieli przed sobą. Stary skulił się – naturalny odruch zahukanego człowieka z prowincji wobec zirytowanych przedstawicieli władzy. A przecież nie na niego

się wściekali, ich złość była złością przegranych, była złością myśliwych, którym wymykała się zwierzyna, była wściekłością obrońców, którzy przepuścili napastnika szarżującego na bramkę.

– Kurwa – powtórzył Świetlicki głucho, pieczętując porażkę i cofając się w myślach o dwa miesiące. Do leniwego wrześnieowego popołudnia.

– Brakuje kogoś. – Robert siedział w rogu pokoju, bawiąc się tanim długopisem Bic'a. –

Ten sklepikarz...

– Tak, tak.

Świetlicki był wówczas sceptycznie nastawiony do poglądów kolegi. Zeznania sklepikarza znał na pamięć, poza tym ustalił już na uczelni, że Dranikowski miał pomocnika.

– Przecież mógł się spalić, tak jak kilku innych. Albo leży gdzieś zakopany.

Zapomniałeś o dziewczynie?

Robert zaprzeczył.

– Po prostu sędzę, że on żyje. Przypuszczam. Ot, przecucie. Nie brał udziału w eksperymencie. Nie grał roli.

Istotnie, tak to wyglądało. Mieli już wtedy jaki taki obraz badania, wiedzieli, kto był

kim, w kogo się wcielał, mieli listy, zeznania, policzyli trupy, porachowali osmalone czaszki.

Świetlicki sprawdził też na uniwersytecie i wiedział, że Dranikowski nie pracował sam. A w całej tej układance miejsca dla Tomka Woźniaka, młodego doktoranta, zapatrzonego – jak opowiadali inni naukowcy, cedząc przez zęby zazdrość – w Dranikowskiego, nie można było znaleźć.

– Co by miał robić przez miesiąc? Las przeszukiwaliśmy. Psy szukały.

Robert wzruszył ramionami. Istotnie, myśl, że młody doktorant błąka się gdzieś po leśnych ostępach (co, może doszedł już do Puszczy Noteckiej?), była mało przekonująca.

Kiedy rozeszła się wieść o tragedii, okolica zarośla się od policjantów. Psy ruszyły na poszukiwania. Sprawa stała się głośna w mediach, nie tylko lokalnych, z informacjami zgłaszali się ludzie, którzy nic nie wiedzieli – jeśli zatem Woźniak pałętał się po lesie, ktoś prędzej czy później musiałby go spotkać. Zwłaszcza że mokry wrzesień sprawił, że sypnęło podgrzybkami, prawdziwkami i kozakami, za którymi przyszły tłumy grzybiarzy.

– Leży gdzieś z nożem wbitym w plecy – mówił wówczas Paweł, przekonany, że ma rację. – Przecież on za dużo wiedział, za dużo widział. I albo sam stał się członkiem tego kółka pomyślników, albo Dranikowski, metodyczny w swym szaleństwie, pozbył się niewygodnego świadka. Musimy tylko lepiej szukać. Ja sędzę, że pod ziemią.

– Może, może – potwierdzili pozostali, wyraźnie się ociągając. Ostatecznie zrezygnowano z przeszukiwania, kładąc na Tomku Woźniaku krzyżyk.

Teraz zaś, na skutek słów leśnika, trzeba było ową mogiłę, którą Świetlicki w myślach Woźniakowi usypał, rozgrzebać, krzyż wyrwać i ze zdumieniem stwierdzić, że grób jest pusty.

– Może to nie on? – bąknął Robert.

Chociaż najprawdopodobniej jego przecucie było trafne, nie cieszył się. Bo cóż to za triumf? Jedyne zwycięstwo, na jakie mógł liczyć, to zamknięcie tej przekłętej sprawy.

Zużywał się przy niej stanowczo zbyt szybko – i on, i reszta kolegów. Spoglądał raz po raz na Świetlickiego i przed oczyma stawał mu upiór. Błady i siny na twarzy, trzęsące się dłonie, oddech nieprzyjemny, spojrzenie za mgłą, mina jak u kata – ponura. Gdzie się podziały te jego uśmiechy, charakterystyczne żarty rzucane mimochodem, od niechcenia?

Leśnik wzruszył ramionami.

– Może... – mruknął. – Ja ino mówię, że były ogniska. Tak z dziesięć. No i zapalniczkę znalazłem. I tę, o, brudną szmatę. Była rozłożona tak, jakby ktoś tam spał. No, na niej spał.

– Skurwiel, uszedł taki kawał – wycedził Świetlicki, ledwie zerknąwszy na szmatę; na pierwszy rzut oka widział, że to jedna z tunik, które musieli nosić uczestnicy eksperymentu.

– Trzydzieści kilometrów będzie?

– Od ruskich? A tak. – Leśnik pokiwał głową.

– I czemu się pan dopiero z tym zgłaszasz? Wcześniej nie można było? Gazet pan nie czytasz? Telewizji w tej waszej leśniczówce, kurwa, nie macie? – wybuchnął Paweł.

– Ano nie.

Policjant spojrzał na tę naiwną, prostą twarz i z punktu się uspokoił. Szlag, to przecież był jego błąd. Jego największy błąd, bo skoro Woźniak jednak żył, stawał się w tym oto momencie głównym podejrzanym, a co najmniej – kluczowym świadkiem.

– Jak my go teraz znajdziemy? – syknął, bębniąc palcami w biurko.

Odpowiedziały mu bezradne spojrzenia.

„Mój śliczny blog”

18.08.2007, godz. 23:55

Tomek

Nie lubię go. Nie lubię! Nie lubię

Dzisiaj posłał mnie do karceru na medytacje. Za nic! Za to, że chciałam porozmawiać z Moniką!

Głupi!

Bo Monika jest teraz jedną z wybranych. Z Psów. Już tak całkiem serio, serio.

Boże, co za głupi eksperyment; gdyby mi dobrze wyjaśnili, nigdy bym się nie zgodziła.

No, chyba że sama byłabym Psem. Bo oni mają dobrze. Mogą nam rozkazywać, dzielą jedzenie, ustalają każdemu plan dnia – w tym rozkład modlitw.. My tutaj musimy udawać, że modlimy się do innego boga, boga, którego wymyślił sobie ten cholerny Dranikowski.

Ubu, tak go nazwał.

Bardzo śmieszne, co nie ?

Najgorsze, że coś dziwnego dzieje się z Moniką. Zmieniła się. Bardzo.

I Tomek – od niego zaczęłam, co? No więc on jest paskudny. Na początku to wydawał się spoko kolo, ale odwalilo mu zupełnie. Bije nas. A na mnie to się wziął szczególnie. Może bić

– tak jest ponoć w zasadach eksperymentu; ja ich już za dobrze nie pamiętam, a nie pozwalają nam ich czytać, no, ale podobno tak jest.

I tak mówi Ubu.

Rzygać mi się od tego chce – Ubu mówi, że mamy zabijać owce, Ubu mówi, że mamy służyć Psom, Ubu mówi (ustami Dranikowskiego), że mamy czcić Dranikowskiego, Ubu mówi, że nie wolno używać komórek, Ubu mówi, że nie wolno nikomu opowiadać, co się tutaj dzieje, Ubu mówi, że nie wolno rozmawiać z obcymi. Blee.

Gdyby oni wiedzieli, że wymknęłam się poza obóz i piszę bloga – no, miałabym przechlapane, naprawdę (teraz to jest w ogóle ciężko, muszę się z komputerem ukrywać i uważać, bo inne Owce donoszą Psom).

Rety, ktoś idzie, słyszę głosy.

Kończę już.

Pa, pa, do przeczytania, znikam, bo jeśli mnie nakryją, to...

Tak, słyszę głosy. To Tomek. Tomek.

Pa, Sabina.

Jeszcze się odezwę.

Sabina

P.Swietlicki

Od: „lab” <laboratorium@lubuska.policja.gov.pl>

Wysłano: 10 października 2007, 22:56

Do: „P.Swietlicki” <pswietlicki@lubuska.policja.gov.pl>

Temat: Re: Re: Re: nagrania

Priorytet: Wysoki

Charakter: Poufny

Elo Paweł

W załączniku transkrypcja kolejnej empetrójki. Ale ci kolesie byli popierdoleni.

Cze

Michał Chlaski

Komenda Wojewódzka Policji w Gorzowie Wlkp.

Gorzów Wlkp.

ul. Kwiatowa 10

www.lubuska.policja.gov.pl

Nagranie nr 6

Głos zidentyfikowany jako głos Sabiny Roszak, l. 21 (SR)

/płacz – 2 minuty/

– ...boli...

Głos zidentyfikowany jako głos Marka Wenera, l. 34 (MW)

– Niepotrzebnie. To z laptopem było niepotrzebne. Złe. Ubu...

SR

– Daj mi spokój.

/płacz/

– Nie ma żadnego Ubu!

MW

/śmiech, 30 sekund/

– Gdzie ty żyjesz, dziewczyno? Nie wchodziłaś do świetlicy? Nie siedziałaś w kręgu?

Nie byłaś w kręgu? Nie ma? Nie ma?

SR

– To boli. Bili mnie.

/płacz/

MW

– Cicho. Idą, słyszysz? Słyszysz? Po ciebie. Dziewczyno, idą. Bądź cicho.

SR

– Nie mogą przecież. To badanie. Badanie, prawda? To uniwersytet, eksperyment...

MW

– Eksperyment? Od dawna nie. Coś więcej.

/cisza – 30 sekund/

Drugi tydzień sierpnia 2007 r.

– Pom, pom! – Tomek odgarnął ciężkie dredy z czoła, błysnął wesołym spojrzeniem, którego nie mogły zmącić ani chmury za oknem, ani smród dochodzący z toalet, ani brud w korytarzach, ani odpadająca płatami farba.

– Pom, pom!

Indios Bravos, pomyślał. Nucił ich utwór którąś godzinę z kolei, nucił z radością i zachwytem. Nie mógł się otrząsnąć, to było, było jak... Zwielokrotniony orgazm? Odlot po silnych narkotykach? Skok na bungee? Nie, te wszystkie określenia były suche, płaskie i –

jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało w kontekście bungee – przyziemne.

Dusza Tomka śpiewała.

Mimo że upłynęło już ładnych kilka dni, odkąd rozpoczęto eksperyment, nie do końca wczuwał się w rolę. Jasne, starał się jak mógł (w końcu to był łatwy pieniądz, „hit and run”, trzeba tylko właściwie wypełniać obowiązki), niemniej Tomek, choć będący w lepszym położeniu niż większość uczestników, bo należący do elity, do Psów, miał wątpliwości. Czy ich zachowanie na pewno nie przekracza przyjętych granic? W stosunku do Owiec Psy były surowe, czasami brutalne – egzekwowały wszystko, co nakazywał egzekwować Dranikowski. Zamykanie w pustelni, głośne odmawianie modłów do Ubu, ganień (gnojenie?) danej osoby w obecności pozostałych – wszystko to powodowało, że Tomek odczuwał wewnętrzny sprzeciw. Nie wyłamywał się jednak, o, wprost przeciwnie – widząc swoją słabość, starał się nadrabiać opryskliwością, ale gdzieś w głębi duszy kiełkowało przekonanie, że coś jest nie tak.

Ostatnia noc wiele zmieniła. Nie tylko jeśli chodzi o ogląd eksperymentu, choć to też było ważne, ba, bardzo ważne.

Ostatnia noc odmieniła życie Tomka. Nieodwołalnie.

– Ubu.

Kiedy wyrzekł to słowo, padł na kolana i uderzył czołem o podłogę. Błuznierstwo! Czy był w potrzebie? Czy wyśpiewywał hymn? Czy nauczał? Nie, imię zostało użyte nadaremno, bez potrzeby, ot, dla zachcianki.

Uderzał więc Tomek czołem w betonową posadzkę, mocniej i mocniej, przeproszając wszystkich i wszystko, świat cały, a przede wszystkim Ubu, za to, że nie potrafi wyzbyć się złych nawyków.

– Poprzednie życie – powiedział.

Wzrok miał utkwiony w ścianie, lecz jej nie dostrzegał, cały umysł Tomka był

pochłonięty nagłym olśnieniem, skryształizowanym w dwóch wypowiedzianych dopiero co słowach.

– Poprzednie życie – powtórzył i aż wzdrygnął się z obrzydzenia, zrozumiałwszy, kim był przedtem.

Do wczoraj, uświadomił sobie. To trwało aż do wczoraj.

– Ale już się skończyło! – krzyknął, a jego głos poniósł się przez cały blok.

Narodził się na nowo.

Oto bowiem minionej nocy Tomek Zbirski uwierzył. Dlatego to, co musiał zrobić kilka dni później z Sabiną Roszak, zrobił bez wahania, bez żalu, bez zastanowienia.

Nawet się nie skrzywił.

Komenda Powiatowa Policji w Międzyrzeczu

woj. lubuskie

L. dz. PGD-AW-536-99/07

z materiałów dowodowych (strona 75)

sygn. sprawy: WZ-7234-66-60-08/07

TAJNE

wyryte na ścianie jednego z pokoiów sypialnych:

/do wiadomości podkomisarza P. Świetlickiego/

/kopia/

19 VIII 2007

Dzisiaj umarła Sabina.

Nie, nie umar /ślady sadzy, zatarta część napisu/ liśmy Sabinę.

Była moją najlepszą przyjaciółką. Nigdy, przenigdy nie zrobiłabym jej nic złego.

/ślady sadzy, zatarta część napisu/ ale obraziła Ubu, postąpiła wbrew objawieniu.

Jej śmierć upewnia mnie, że Ubu istnieje. Napraw.../ślady sadzy, zatarta część napisu/

Monika

* * *

Koniec listopada 2007 r.

– Tak, to z pewnością ona.

Twarz patomorfologa była równie nieruchoma, jak nieruchome były twarze tych, którzy do niego trafiali. Świetlicki przez moment zastanawiał się, czy to ciągle obcowanie z trupami tak bardzo wpłynęło na Mariusza Zubalę – kiedyś pogodnego człowieka z liczną gromadką dzieci. Teraz zaś od policyjnego lekarza wiało śmiercią. Świetlickiego przeszły dreszcze, bo gdy spojrzał Zubalowi w oczy, dostrzegł w nich pustkę.

Sen, cholera, to mi się tylko śniło, pomyślał.

– Że to ciało Sabiny Roszak, to powiedziałem ci już we wrześniu. – Patomorfolog mówił

głosem przepełnionym rutyną, wypranym z wszelkich emocji. Świetlickiemu ów ton skojarzył się z tonem znudzonego urzędnika, od niechcenia przerzucającego papiery. –

Ostatnie badania, to była przecież formalność. Czysta formalność.

Świetlicki westchnął.

– Jak zginęła?

Jego rozmówca zmarszczył brwi, potarł dłonią o czoło, spochmurniał.

– Nie chcesz tego słuchać – mruknął i Paweł zrozumiał, że w Zubalu wciąż jeszcze tkwią ludzkie instynkty.

Ale cóż, taka była ta praca. Trzeba odgrodzić się od swego człowieczeństwa murem, bo inaczej – zwariować, oto co pozostaje. Zwłaszcza jeśli twoja najstarsza córka jest rówieśniczką Sabiny Roszak.

– Została złożona w ofierze – raportował lekarz sucho. – Poderżnięto jej gardło, lecz zrobiono to albo bardzo niefachowo, albo bardzo okrutnie. Umierała długo.

Paweł milczał. Na kartce notatnika rysował jakieś esy-floresy, usilnie starając się odwrócić swoją uwagę od słów patomorfologa. Nie wychodziło.

– Umarła zaś nie z upływu krwi, lecz dlatego, że się krwią zadławiła.

Kształty, nerwowo kreślone na papierze, wyostrzyły się. Trójkąty? Ale ostre, zbyt ostre, agresywne. O, ci od eksperymentu mogliby wiele powiedzieć na temat kształtów rysowanych nieświadomie na kartce, w chwilach zdenerwowania, w momentach, w których świadomość jest za słaba, by kontrolować informacje, jakie wydostają się na zewnątrz.

Psychologowie, niech ich szlag.

Trójkąty?

A może rogi?

P.Swietlicki

Od: „lab” <laboratorium@lubuska.policja.gov.pl>

Wysłano: 20 października 2007, 14:39

Do: „P.Swietlicki” <pswietlicki@lubuska.policja.gov.pl>

Temat: Re: Re: Re: Re: nagrania

Priorytet: Wysoki

Charakter: Poufny

Hejka

to ostatnia transkrypcja MP3, więcej nie mamy. Mam nadzieję, że Ci się przyda. Z tego drugiego pendrive'a niczego nie odzyskaliśmy, cały był spalony. Spaliło się 95% sprzętu, który znajdował się w pokoju Dranikowskiego.

Zresztą Ty to wiesz, przecież tam byłeś.

Swoją drogą – mieli tam dziwne rzeczy, za cholere nie wiem po co; trudno to stwierdzić, bo wszystko zwęglone i popalone.

A teraz czas na obiad :-)

A, jeszcze jedno, stary. Chyba nie będzie okazji, żebyśmy się zobaczyli, więc Ci napiszę – spadam. No, rzucam policję, jeden kolo załatwił mi robotę w Holandii (Irlandia już passe, coraz trudniej znaleźć zajęcie). Co z tego, że będę tam stawiał ścianki działowe?

A w dupie to mam, płacą 3 tysiące „jurków” na miesiąc i żadnych nadgodzin. Więc do zobaczenia, stary, może i Ty kiedyś dołączysz?

Jakby co, mój numer masz.

Pozdro

Michał Chlaski

Komenda Wojewódzka Policji w Gorzowie Wlkp.

Gorzów Wlkp.

ul. Kwiatowa 10

www.lubuska.policja.gov.pl

Nagranie nr 7

Głos zidentyfikowany jako głos Moniki Janek, l. 21 (MJ)

– Coś dziwnego (.....) rozumie, no, nie rozumiem tego. Jakby jakiś prąd.

Głos, zidentyfikowany jako głos Adama Dranikowskiego, l. 33 (AD)

– Bliskość?

MJ

– Tak, właśnie, to dobre słowo. Jakby stał obok. Wielki. Ciemny.

AD

– Kto?

MJ

– No, Ubu. Tylko że ja wcale w niego nie wierzę.

AD

/śmiech/

– Naprawdę?

MJ

– Sama już nie wiem. Właściwie, to... to, no, coś jest. Jak gdyby otwierała się jakaś brama. Wtedy robi mi się zimno. Coś tam jest, ale przecież tyle lat żyłam, no, miasto, inne religie, jak to możliwe, żeby nikt o nim nie słyszał, że nie wiedzieli, skoro to Bóg, to dlaczego dopiero teraz, ludzkość tak długo istnieje, a on...

AD

– Kłamstwo. Inni go zakłamywali, przedstawiali swoje mamidła, fałszywe obrazy, kultury poronione. Wierzysz im? Kiedykolwiek wierzyłaś?

MJ

– Nie, ale.. ale myślałam, że pan mi pomoże. Pan jest psychologiem, pan prowadzi to badanie, pan wie, co się ze mną dzieje...

AD

– Nic złego, kochana, nic złego. A psycholog – cóż, to tylko zawód. Tutaj chodzi o coś więcej?

MJ

– To... to znaczy, że zdrowa? Jestem zdrowa? Nic mi się nie wydaje?

AD

– Zawsze byłaś zdrowa.

/przerwa, 45 sekund/.

– Powiedz, zakładając, że Ubu istnieje. Że Ubu, którego obecność odczułaś tam, modląc się w kręgu, naprawdę jest, powiedz, co byłąbyś w stanie dla niego zrobić?

MJ

– Wszystko.

* * *

Początek grudnia 2007, popołudnie

Zaczynała się paskudna pogoda, lepki śnieg leżący na jezdni, mrozy, skutecznie unieruchamiające rzęcha, będącego własnością Pawła. Zaczynał się czas depresyjnych chmur, zimowych opon (Paweł zawsze kupował używane, na nowe nie było go stać), czas przeziębień i zamarzeń bezdomnych.

Zaczynał się adwent – czas oczekiwania na nadejście tego, w którego Świetlicki wierzył

coraz słabiej. Właściwie to wcale, zdał sobie sprawę. Właściwie to wcale. Ale mimo swojej

niewiary czuł się od kilku miesięcy tak, jak gdyby na kogoś czekał. Nastrój ten towarzyszył

mu ciągle – i w pracy, i w domu, i kiedy przyglądał się nocnemu niebu, i wówczas, gdy wbijał wzrok w ekran komputera. Uświadomił sobie, że to trwa od chwili, w której odkrył

miejsce zbrodni.

Dziwne.

– Już adwent – szepnął, przeczesując włosy palcami.

A tymczasem śledztwo nie jest zakończone. Śledztwo – grzęznące jak samochody w błocie. Tak się właśnie czuł – koła policyjnej maszyny od pewnego czasu kręciły się w miejscu, breja przyskała na wszystkie strony, ochlapując jego kolegów. Niektórzy sądzą, że policjanci to twardziele, że wszystko po nich spływa jak po kaczce – lecz to iluzja, wyniesiona z kiepskich filmów sensacyjnych. Prawda jest taka, że chodząc po bagnie coraz bardziej się zapadasz – kimkolwiek jesteś. I tak było z nimi –

szarzy, zmęczeni, z podciętymi skrzydłami. Ta sprawa, ta brudna sprawa wykańczała. Pochłaniała energię. Nie chodziło mu już o siebie – choć te neurozy, których doświadczał, te lęki egzystencjalne, to zainteresowanie Dawkinsem i innymi, udowadniającymi, że Bóg jest tylko złudzeniem, nasiliło się od momentu, gdy zajął się „radziecką masakrą” – jak wydarzenia w radzieckiej bazie opisywała prasa. Chodziło mu o jego współpracowników. Przyjaciół.

Niechże to się wreszcie skończy, pomyślał Paweł, otwierając naradę.

W filmach policjanci przechadzają się po salkach konferencyjnych, narady prowadzą w gabinetach przypominających pomieszczenia korporacji, przestronnych, klimatyzowanych, wyposażonych w meble nieprzynoszące wstydu.

W filmach obejrzysz wiele głupot.

Wszyscy funkcjonariusze zajmujący się śledztwem (było ich w sumie pięciu plus patomorfolog) siedzieli w obskurnym gabinecie, na krzesłach organizowanych w pośpiechu, z których żadne nie przeszłoby testu „odd man out”. Trochę mały akwen, jak na *brainstorm*, przyszło Świetlickiemu do głowy.

Burza w szklance wody.

Spojrzał na twarze zgromadzonych – znużenie pracą było aż nadto widoczne. Specjalista od medycyny sądowej trwał w milczeniu, jego ponury wzrok błędził po notatkach, a dłoń bezwiednie uderzała w paczkę tanich papierosów, które – patomorfolog miał pełną tego świadomość – przybliżają go do śmierci równie skutecznie jak razy zadane tym z poradzieckiego bloku, z tą różnicą, że działają nieco wolniej. Młody funkcjonariusz – Rafał

Nita – stukał zapamiętane w klawiaturę komórki, wysyłając jednego SMS-a za drugim.

Świetlickiego ów młodzik irytował – te włosy na żel, przesadnie drogie gadzety, dobry samochód – oczywiście wszyscy wiedzieli, skąd się to brało. Rafał handlował pirackimi płytami. Mogłeś u niego dostać wszystko, zaopatrywał cały komisariat, począwszy od pornoli, poprzez wszelkie nowości, które w kinach szły po dwadzieścia kilka złotych, a u Rafała za dziewięć dziewięćdziesiąt, na specjalistycznych programach dla architektów

skończywszy. Jednym z największych odbiorców piratów był pobliski sąd – wszyscy sędziowie łącznie z prezesem, zaopatrywali się w nielegalne kopie programów prawniczych, które, gdyby nabywali je legalnie, zrujnowałyby ich domowe budżety.

Świetlicki popukał łyżeczką o szklankę pełną zmętniałej kawy, już zimnej i niesmacznej, bo śmietanka, którą mieli w komendzie, pierwszą młodość miała dawno za sobą. Wszyscy zwrócili na niego wzrok, w którym trudno było nie dostrzec niechęci.

Piątkowe popołudnie to nie najlepsza pora na naradę.

– Chciałbym podsumować – kaszlnął – dotychczasowe wyniki. Cóż, sporo wiemy.

Wiemy, że przeprowadzano tam eksperyment psychologiczny, wiemy, że wymknął się on spod kontroli, wiemy też, że zginęli wszyscy uczestnicy badania prócz jednego – Tomasza Woźniaka. Trwają jego poszukiwania. To nasz główny podejrzany, choć nie sądzę, by był

odpowiedzialny za wszystkie zabójstwa. Na nożu ofiarnym, którym zabito osiem osób, nie ma jego odcisków palców. Dalej – wiemy, że coś dziwnego stało się z uczestnikami. Po paru dniach eksperymentu w ich psychice, w ich światopoglądzie zaszła nagła zmiana. Zaczęli wierzyć w iluzję stworzoną przez Dranikowskiego.

– Ale wciąż nie wiemy dlaczego – wszedł mu w słowo Robert.

Najbardziej aktywny członek zespołu rozpracowującego zagadkę był też najbardziej sfrustrowany.

– Innych to ja jestem w stanie zrozumieć – zaczął psycholog z Poznania, zaproszony specjalnie na naradę. – Ale Dranikowski... – Zawiesił głos, popatrzył po ściśniętych w pokoju funkcjonariuszach. – Dranikowski przekroczył dopuszczalne normy – podjął. – Z

tego, co panowie mówicie, wynika, że złamał wszelkie zasady, jakie może złamać badacz.

Utożsamiał się z rolą, a to jest nie do przyjęcia!

Świetlicki zakaszał, pokrywając zmieszanie.

– Wiele mogę zrozumieć, ale tak nagła zmiana przekonań... – kontynuował psycholog. –

Przecież to było kilka dni. Kilka dni, podczas których ten ateista stał się przywódcą sekty.

Sekty! – powtórzył i spojrzał w sufit.

Ano właśnie, sekty, zadumał się Świetlicki. Szkoda, że ojciec Nowak nie może być z nami – niestety, choroba zakonnika była coraz bardziej dokuczliwa i wszystko wskazywało na to, że się już z niej nie wygrzebie. Lecz parę dni temu Pawłowi udało się porozmawiać z dominikaninem przez telefon.

– Bóg ma wielką moc. – Głos w słuchawce był słaby, ale mimo to (a może właśnie dlatego) słowa zakonnika brzmiały bardzo przekonująco. – Naiwnością byłoby sądzić, że jego przeciwnik nie ma żadnej mocy. Nie, zły może wiele, bardzo wiele...

– Ale, ojciec – przerwał wówczas Świetlicki, nieco zniecierpliwiony. – Oferuje ojciec wytłumaczenie metafizyczne, a ja muszę znaleźć łańcuch przyczynowo-skutkowy. Winnego!

Ktoś im przecież podrzynał gardła. Ktoś podpalił stosy przed budynkiem.

Nowak westchnął.

– To nie zawsze jest możliwe na tym świecie.

– Ale... – Świetlicki chciał zaprotestować, wykrzyknąć do słuchawki, że przecież nie ma żadnego

innego świata, że eksperyment dowodzi, że Bóg to wytwór ludzkiej wyobraźni, a w pewnych warunkach można człowiekowi wmówić wszystko, dosłownie wszystko, każdego Boga – Jahwe, Allacha, Isztar, Światowida – czy Ubu.

– Szatan – podjął tymczasem zakonnik – lubi się przebierać w cudze ciuszki. Szatan tkwi w stworzonych okolicznościach, w jakich znaleźli się ci nieszczęśnicy. Nie złapiesz go za rękę.

Szatan, przypomniał sobie podczas narady Świetlicki – to nie był winny, którego szukał.

Dlaczego więc uwierzyli? Dlaczego uwierzył Dranikowski?

I wtedy, kiedy wszyscy zamilkli, nie potrafiąc odpowiedzieć na najważniejsze pytanie, rozległ się świdrujący dzwonek. Świetlicki odebrał telefon.

– Z noclegowni dla bezdomnych, z Warszawy – mruknął po chwili, zasłaniając słuchawkę dłonią. – Znaleźli Woźniaka!

* * *

Początek grudnia 2007, sobotnie przedpołudnie

Człowiek, siedzący w komisariacie, vis-à-vis Świetlickiego i towarzyszącego mu w przesłuchaniu oficera ABW, przedstawiał sobą widok opłakany i w niczym nie przypominał

inteligenta, pracownika uniwersytetu, doktoranta. Opis należałoby zacząć od ubrania –

rzadko widuje się teraz takich obszarpańców i zazwyczaj spotyka się ich na dworcach lub pod mostami. Koszula brudna, nakrapiana plamami jak przepiórcze jajo, wydzielala zapach, który zmusił Świetlickiego, by sięgnąć za siebie i uchylić okno. Zapinany na zamek błyskawiczny sweter miał obszarpane rękawy, a ściągacz u dołu zeszywniał od błota –

błota, które przylepiło się również do butów w takich ilościach, że wydawało się immanentnie z tymi butami połączone, stanowiące jedną całość, rzeźbę, jakiej nie powstydziliby się niejeden współczesny artysta. O dzinsach lepiej nie wspominać – tak naprawdę Świetlicki nie był pewien, czy to w ogóle dzinsy, nie dociekłbyś ni koloru, ni faktury tkaniny – powodem znów był brud, jakieś zacieki, które przybrały fantazyjne kształty, jakieś odbarwienia. Spodnie miały nienaturalną sztywność, sztywność odzienia noszonego zbyt długo, niemającego styczności z detergentami – i sztywność ta stała w kontrapunkcie do rozdygotania osoby, która owe spodnie nosiła. Najpierw dolna warga – nie dość, że rozdarta licznymi pęknięciami, to jeszcze drgała wyraźnie, nadając twarzy

rozmówcy wyraz nieco groteskowy, nierzeczywisty. Świetlickiemu zdawało się, że siedzący przed nim mężczyzna nie kontroluje tego odruchu. Nie kontrolował również dreszczy, które co rusz przebiegały po jego ciele, nie kontrolował rozbieganych oczu przywodzących na myśl oczy sarny otoczonej ze wszystkich stron przez wilki. Dłonie rzecz jasna nie mogły się wyłamywać z ogólnego porządku – czy raczej nieporządku. Palce, bardzo brudne i także oblepione gliną (czy on gołymi rękami chciał się przekopać do Australii? – pomyślał

Świetlicki), bębniły to o kolano, to o stół, wystukując dziwaczny rytm, który siedzącym po drugiej stronie biurka nie kojarzył się z żadnym znanym rodzajem muzyki.

Przez długą chwilę trwali w milczeniu – schwytyany mężczyzna i dwóch śledczych, nieznoszących się nawzajem. Ciszę przerywały tylko arytmiczne uderzenia palców.

Tap, tap, taptaptaptap...

Oficer ABW westchnął teatralnie, zmierzył Świetlickiego wzrokiem z wyraźną dezaprobatą, to spojrzenie ponaglało: dalej, głupku, zaczynaj to swoje przesłuchanie!

Będziemy tak siedzieć i patrzeć na tego świra do rana?

Paweł tymczasem nie mógł wydobyć z siebie głosu – bo wciąż nie chciało mu się wierzyć, że schwytyany mężczyzna jest osobą, której tożsamość ujawniał znaleziony w kieszeni dowód osobisty (swoją drogą, całe szczęście, że miał już ten nowy, plastikowy, który łatwo oczyścić z brudu; gównem byśmy przeczytali, gdyby trzymał starą zieloną książeczkę i ta książeczka wpadłaby w błoto, pomyślał policjant). Jeszcze raz zerknął na leżący na biurku dokument, na zdjęcie w powiększeniu, rozmiary naturalne, jeden do jednego. Mimo zarostu, mimo zapadniętych policzków i posklejanych włosów (chłopcy, którzy robią sobie fryzury na żel, byliby zachwyceni), mimo rozmazanego w okolicach prawego ucha błota – to był on.

Tak.

– Pan Tomasz Woźniak? Pracownik Uniwersytetu Warszawskiego, Katedra

Psychologii? Asystent doktora Dranikowskiego, prawda?

Zapytany nie odpowiedział, wzdrygnął się za to, jak gdyby usłyszał coś wyjątkowo niemiłego. Mimo wszystko zareagował na wypowiedziane nazwisko, zwracając na chwilę spojrzenie na pytającego. To ostatecznie utwierdziło Świetlickiego w wyciągniętych wcześniej wnioskach.

To on.

– Wygląda na to – mówił dalej policjant – że jest pan jedyną osobą, która może nam coś powiedzieć o eksperymencie. Czy może pan opowiedzieć jego przebieg?

Mężczyzna zacisnął wargi. Jego twarz była już wystarczająco blada – nie mogła więc zblednąć jeszcze bardziej, natomiast oczy uciekły w bok, gdzieś w kierunku ściany. Na ułamek sekundy na twarzy przesłuchiwanego pojawił się wyraz nieopisanego bólu –

niemniej trwało to tak krótko, że Świetlicki nie był pewny, czy rzeczywiście cokolwiek

zobaczył, czy może było to tylko złudzenie, gra światła, zniekształcająca i tak zmalretowaną fizys.

– Eksperyment... – wyszeptał domniemany pracownik Uniwersytetu Warszawskiego, a w jego głosie pobrzmiwało niedowierzenie i lekceważenie.

Po tym stwierdzeniu zamilkł i zapatrzył się tępo w podłogę.

– Czy może nam pan opowiedzieć... – zaczął Świetlicki, lecz nie dokończył, bo przeszkoda pojawiła się ze strony, z której pojawić się nie powinna (choć nie można powiedzieć, by Paweł nie spodziewał się, że właśnie tam będą kłopoty).

– Co ty tak z tym śmieciem delikatnie? – burknął oficer ABW, dotąd tylko przyglądający się mówiącemu. – Głupka zgrywa. Że niby pojeb, to się odczepimy. A ty, chłopcze, dajesz się wodzić za nos. Brak doświadczenia. Wydaje ci się, że uniwersytety i policyjne szkoły wszystko załatwią?

Jasne, Karski, pomyślał Paweł, zaciskając dłoń na długopisie, tak że aż pobiełały knykcie. Doświadczenie, które zdobywałeś jeszcze w PRL-u, czerwona dziwko. Ale wystarczyło zapisać się w odpowiednim momencie do partii kaczorów i proszę, stanowisko znowu się znalazło, co? Nic jednak nie odrzekł, nie chciał się narażać.

– Czy może nam pan opowiedzieć o przebiegu eksperymentu? – powtórzył pytanie, głosem tak stanowczym, na jaki go było stać. – Jest pan jedyną osobą, która może to zrobić.

Jedynym świadkiem. Wszyscy inni umarli. Zostali zamordowani.

Paweł zamierzał kontynuować swoją wypowiedź, chciał powiedzieć tamtemu, że jeśli nie będzie współpracował, to sam może zostać oskarżony o zabójstwo wielu osób, chciał mu uświadomić, że to bardzo poważna sprawa, ale okazało się, że nie musiał. Słowo „umarli” to był ten kamyczek, który spowodował lawinę. Kiedy Woźniak zaczął mówić, ba, krzyżeć, miało się wrażenie, że jakiś dowcipniś przeciął sznur od worka, w którym Święty Mikołaj niesie prezenty, a one, nieuporządkowane, wypadają na podłogę. Tyle że prezenty były raczej dziwne, makabryczne, przerażające.

– Umarli, umarli, umarli... – powtarzał przez kilka chwil, po czym dodał, całkiem spokojnie. – Należało im się. Tak! – podkreślił, nie patrząc na przesłuchujących. – Należało się. Taka była wola Ubu, a oni, część z nich, chcieli się buntować. Ubu nakazał. I Ubu dostał, co chciał. Dostał płacz i zgrzytanie zębów. Dostał krew i łzy. Dostał ich życie. Tak jak zażądał.

– Jaki Ubu? Co ty pierdolisz? – Karski sprawiał wrażenie zniecierpliwionego; dryf świadka w stronę niepoczytalności powodował irytację funkcjonariusza.

ABW była zainteresowana wyłącznie rezultatami eksperymentu. A na razie niewiele wynikało z zeznań świadka. Karski nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie, zanim jednak zdążył je powtórzyć, Woźniak zerwał się z krzesła, padł na podłogę i załkał.

– Zmusił mnie! – krzyczał przez łzy. – Zmusił mnie, żebym wszedł. Do, do... do pieprzonego kręgu! „Wszyscy”, powiedział. „Muszą wejść wszyscy. Nie może zostać ani jeden normalny. Ani jeden!”

Paweł doskoczył do leżącego, szarpnął go za ramię.

– Kto cię zmusił? Dranikowski?

Po ciele Woźniaka znowu przebiegły dreszcze. Spojrzał na policjanta, jego wargi się poruszyły – najwyraźniej próbował coś powiedzieć, lecz nie mógł. Skinął tylko głową w geście odebranym przez Świetlickiego za potwierdzenie. W następnej chwili...

W następnej chwili znów krzyczał, a imię Ubu nie schodziło z jego ust. Przesłuchiwany patrzył na świat zamglonymi oczyma szaleńca.

– Pasterz – mamrotał. – Poprowadził ich, tam gdzie mieli trafić. Nie chciał uwierzyć, wiem, na początku sam się wzbraniał. Przeznaczenie. To jednak było silniejsze, nie możesz nie poddać się woli, jesteś zbyt słaby, by się przeciwstawić. Podarł notatki. Spalił komputer.

Poszedł, poszedł. Ubu. Wiedziałem, co się stanie. Mała wiara. Lepiej mi było z nimi.

Umrzeć, umrzeć, umrzeć... Z nimi. Do Ubu.

– Chujek odpływa – szczechnął Karski, uwierzywszy najwidoczniej w to, że napady szaleństwa nie są udawane.

– O nie. – Świetlicki, klęcząc wciąż przy przesłuchiwanym, trzepnął psychologa w twarz, lekko, tak by go ocucić. – Nie pozwolę. Muszę się dowiedzieć. Gadaj. Co tam się stało? Kurwa, nie mogliście wszyscy zwariować. Uwierzyć w wymyślonego bożka. To przecież Dranikowski napisał program badania, nie? Gadaj!

Woźniak zamarł, a jego spojrzenie wydało się Pawłowi spokojniejsze. Przynajmniej na chwilę, pomyślał.

– Nie masz pojęcia – wyszeptał świadek. – Wiele czynników. Zbiegło się zbyt wiele czynników. Sytuacja była zaprojektowana aż za dobrze, Adam był perfekcjonistą. Zasady, których nie możesz łamać. Religia, zdziwiłbyś się, jak dobrze napisana, korzystał ze źródeł, z mnóstwa źródeł. Bezwzględna władza Psów. Doszedł dysonans poznawczy. I wpływ grupy, bardzo silny. I jeszcze emiter.

Woźniak skrzywił się, syknął, zaciskając szczęki. Świetlicki spostrzegł, że te grymasy to odruchy, których przesłuchiwany po prostu nie potrafił powstrzymać. Bolesne wspomnienie, ślad po traumie, wbitej w jego umysł jak hufnal.

– Emiter – podjął z trudem psycholog. – Fale elektromagnetyczne. Pierdolą mózg. Zdaje ci się, że widzisz... Aaaa! Nie, muszę, muszę to powiedzieć. Muszę! Zdaje ci się, że widzisz anioły. Że widzisz Boga.

– Ubu, co? – rzucił zza stołu Karski, popełniając tego dnia kolejny błąd.

Usłyszawszy imię, psycholog aż podskoczył. Podniósł się z klęczek, lecz kiedy obrócił

głowę w stronę przesłuchujących, patrzył na nich już inny Woźniak – szalony, ten, który

wierzył w Ubu, który krzyczał, że powinien umrzeć z pozostałymi. „Ubu” było jak przycisk na panelu

sterującym, jak zakłęcie wywołujące obłąd.

– On – oznajmił głosem, w którym pobrzmiewała pewność siebie – istnieje! Widziałem.

A ty – brudnym palcem wskazał na Karskiego, który mimowolnie wzdrygnął się i cofnął – ty jeszcze pożałujesz. Widzę to! Widzę.

– Gdzie jest emiter? – zapytał Świetlicki.

W głębi duszy był przerażony. Nie Ubu, cóż, Ubu to trzyliterowy wyraz, nic więcej. Ale jak potężna siła musiała tkwić w tym badaniu? Jak potężna siła tkwi w psychologii? Co można zrobić z człowiekiem? Kurwa, czy można tak tobą zakręcić, że uwierzysz nawet w to, że mała zielona kacuszka z gumy, która pływa w wannie podczas kąpieli, to bóg? Chryste!

– chciał krzyknąć, ale uświadomił sobie, że eksperyment, którego krwawe ślady zbierał od jakiegoś czasu, może zakwestionować każdą wiarę, tę w Chrystusa również. Poczul, że robi mu się zimno. Więc wszystkie noce nieprzespane, pobudki o drugiej nad ranem, strach, który nękał go od wielu, wielu tygodni – to miałyby być prawda? Wszystko – ułudą, a po drugiej stronie co – nic? Czy właśnie dostał do ręki dowód?

Świat w oczach Pawła Świetlickiego ostatecznie zszarzał i wyblakł. Sepia, pomyślał, jest tak, jak gdybym oglądał świat przez obiektyw cyfrówki ustawionej na sepię. Wszystko straciło kolory, stało się jeszcze bardziej ponure, beznadziejne.

– Gdzie emiter? – zapytał i zdziwił się, że jego głos brzmi tak płasko, tak matowo.

– Spalił go. Adam – wyjaśnił przesłuchiwany. Odgarnął z twarzy przybrudzone kędziory. Pucółowate oblicze nabrało rumieńców, płonęło teraz prawdziwą wiarą. – To było po tym, jak Dranikowski sam wszedł w krąg. Doznał iluminacji. Zniszczył swoje notatki, komputer, płyty CD z zapisem eksperymentu. I kazał wejść w krąg mnie. Nie! – Woźniak krzyknął tak, że jego krzyk usłyszano w całym komisariacie. – Nie chciałem. Widziałem, co może się ze mną stać, widziałem innych i bałem się. Myślałem, że to manipulacja.

– A nie była? – Świetlicki zerknął z powątpiewaniem na rozmówcę.

– Zmysł... Tak, odkryliśmy nowy zmysł. I nauczyliśmy się go pobudzać, też prawda. Ale nawet jeśli – syknął, a jego oczy zwięziły się do niewielkich szparek – nawet jeśli, to zmysł

jest po to, by wykrywać coś, co istnieje. Istnieje, rozumiesz? O, Adam pomógł nam wszystkim to dostrzec. I sobie też.

Policjant pokręcił głową, coraz bardziej sceptyczny.

– Sam w to nie wierzysz, Woźniak. W to co mówisz.

– Nie? Myśl sobie, co chcesz, proszę. Proszę! Ale widziałem. Widziałem.

Świetlicki nie przejął się kolejnymi zapewnieniami.

– A może było inaczej? – zapytał. – Może eksperyment wymknął się spod kontroli?

Zginęła dziewczyna, prawda? Sabina Roszak. Zabili ją współwięźniowie. Może Dranikowski nie miał odwagi przyznać się, że to jego wina, może był tak przerażony, że wolał śmierć od kary, od osądu? Jeśli już jesteśmy przy psychologii, to z zeznań wynika, że Adam

Dranikowski był narcyzem, zawsze dążył do oczarowania innych. Nie mógłby znieść procesu, hańby i myśli, że mu się nie udało. Śmierć w tej sytuacji była wyjściem. Całkiem wygodnym.

– Uważaj, kurwa! – wrzasnął nagle Karski, zrywając się z krzesła i sięgając po broń.

Jego zachowanie było reakcją na gest Woźniaka, który gwałtownym ruchem chwycił policjanta za ramię.

– Zostaw go! – ryczał Karski, podczas gdy Świetlicki mówił:

– Spokojnie, Woźniak, nie chcesz przecież mieć kłopotów, prawda? Nie chcesz?

Żadnego niebezpieczeństwa jednak nie było. Psycholog oddychał ciężko, wpatrywał się w oczy Świetlickiego, po czym zadziwiająco przytomnie zapytał:

– Nie wierzysz mi, co? Nie wiesz, jak to jest stać w kręgu, kiedy nagle czujesz jego obecność, kiedy widzisz, jak Ubu sływa na ciebie czarnymi strugami. Myślisz, że to złudzenie, tak?

– Spokojnie – rzucił Paweł do Karskiego.

Tamten opuścił broń.

– Skoro to bóg – podjął Świetlicki – dlaczego miałby chcieć krwi? Zbrodni? Przecież to zło, zło w czystej postaci.

– A kto ci powiedział, że bóg miałby być dobry? – Psycholog się zaśmiał. – Nakładasz na niego siatkę swoich życzeń i pragnień, ale Ubu nie wygląda tak, jak ty byś chciał, żeby wyglądał. On jest ponad. Zło, dobro, gówno – ludzkie wymysły.

– Bredzisz – mruknął Paweł i zde gustowany odwrócił głowę od świadka, spoglądając na Karskiego, który odprężył się, schował pistolet i wzruszył ramionami, jakby chciał oznajmić:

„No przecież, że świr”.

W tym samym momencie psycholog zerwał się z miejsca, i, tłukąc szybę, wyskoczył przez okno.

– Jezu – szepnął Karski, patrząc na dziurę w szybie, na odłamki szkła, poznaczone śladami świeżej krwi. – To trzecie piętro.

* * *

12 grudnia 2007, wieczór

Mrok w dni takie jak ten – w dni grudniowe, rozchlapane – przychodzi wcześniej, myli tych, którzy rzadko zerkają na zegarek – bo skąd pewność, że skończyłeś pracę, że można wyjść, zatrzaskać za sobą drzwi, odetchnąć? Skąd pewność, jeśli na zewnątrz jest noc?

Paweł z niechęcią wpatrywał się w okno. Wyszła już? A może jednak odbierze telefon?

– zastanawiał się, bębnił palcami o klawiaturę komórki. Dwukrotnie wybrał jej numer, ale za każdym razem zawahał się przed wybraniem „połącz”.

Dziewczyna od funduszy unijnych.

To, co chciał zrobić, było beznadziejnie głupie – raz, że nie mógł osobom z zewnątrz zdradzać tajemnic śledztwa, dwa, że urzędniczka nie wyglądała na zainteresowaną starym kawalerem, który za trzy lata skończy czterdziestkę.

– I który cierpi na jesienną deprechę – warknął do swojego odbicia w pustej szklance.

Palec znów zawisł nad klawiaturą – a może uchwycić się tej myśli, może nie wszystko stracone, może się zgodzi? Sprawa morderstw naprawdę ją ciekawiła – opowieść z samego serca śledztwa, to mógł być niezły haczyk. Wabik. Rety, pomyślał, a gdyby jednak się zgodziła? Cisnąłbym w cholere te wszystkie Dawkinsy, Hawkingi, te Ratzingery, te wszystkie gówna, które tylko mącą mi w głowie. Za krótki na to jestem, i tak niczego nie zrozumie, zwariuję. A gdyby się zgodziła? Byłoby po co żyć. Chociaż przez jakiś czas.

A jeśli odmówi?

Palec, który już-już lądował na zielonej słuchaweczce, wyrysowanej na podłużnym przycisku, zatrzymał się w pół drogi.

Paweł westchnął, wstał z krzesła, przeczesał włosy. Na biurku leżały sterty papierów –

akta śledztwa, a na honorowym miejscu jedna kartka, na której były zapisane wnioski.

Rozwiązanie zagadki.

Nie czuł satysfakcji. Bo i kto czułby się usatysfakcjonowany tym, że odbiera światu jedyną – ostatnią – nadzieję? Bo i co to za satysfakcja, wiedzieć, że o ta wieża kościoła, jak tysiące innych wież, została zbudowana na tak kruchym fundamencie?

Impulsy elektromagnetyczne, niech to szlag. Bóg urojony.

Spojrzał w okno – śnieg sypał mokrymi płatami, ciemność wołała.

Wszedł w nią bez nadziei.

* * *

Drugi tydzień grudnia 2007, poranek

www.youtube.com/watch?v=Gwy34mGC3iLY

Added: August 18, 2007

From: dranPL

Category **People & Blogs**

Eksperyment – part 5

Powolny ruch kamery, podskakującej i drżającej w dłoni. To nie wygładzony obraz rodem z kalifornijskiej wytwórni, nie, obraz jest brudny, nijaki – jest coś takiego w amatorskich kamerach, że jakkolwiek się człowiek stara, zawsze będzie widać szwy, zawsze pojawi się sztuczność – choć to przecież zapis najbardziej prawdziwy.

I przez tę prawdziwość – przerażający.

– Tutaj. – Głos dobiega spoza kadru. – Tutaj następują objawienia.

Kamera, dotąd pokazująca jedynie część malunku, oddala się, perspektywa nabiera szerokości, teraz można cieszyć wzrok widokiem całego kręgu.

– W nocy. – To mówi inny głos, dziewczęcy, tak samo natchniony jak pierwszy. –

Prawdę dostrzegamy w nocy. Jest cicho, cichutko, tylko jakieś brzęczenie z dworu, z dala.

Zazwyczaj wtedy, gdy wysiada prąd.

– A może – to znów mężczyzna – prąd wysiada, bo przychodzi...

– Może – szepcze dziewczyna.

Milkną.

Kamera przesuwa się w górę, obejmuje ściany pokoju, blade, bez zdobień, bez napisów.

W pomieszczeniu jest ledwie kilka krzeseł, jakiś zeszyt kupiony w markecie, do połowy zapisany. Obok zeszytu stoi gruba świeca przypominająca gromnicę – nie ma jednak żadnych ozdób ani symboli. Mimo to w ascetycznym otoczeniu świeca wygląda uroczyście, przywodzi na myśl msze

święte, przywołuje skojarzenia ze skromnymi, lecz przez to bardziej autentycznymi kościółkami w górach, z ubogimi klasztorami, z pustelniami w dziczy. Knot płonie jasnym żółtym płomieniem.

Kolejny najazd na krąg.

Nic się nie dzieje.

– Nie pomyślałbym nigdy, że to może przydarzyć się mnie. – To głos faceta w średnim wieku, dobywający się z gardła przepłukanego nie raz i nie dwa polskim trunkiem narodowym, zmęczony, lecz nie przygięty do ziemi. – Nigdy nie wierzyłem w te bzdury. To znaczy, kiedyś myślałem, że to bzdury. Że nierzeczywiste jest... nierzeczywiste. Byłem inżynierem, pewnie stąpałem po ziemi, a matka zmarła na raka. Wtedy przestałem chodzić do koś...

Monolog urywa się nagle jak polska autostrada.

Kroki? Gdzieś w tle?

Żadnych kroków.

Wrzaski?

Nie, to tylko jakieś zwierzę, w lesie to nic nadzwyczajnego.

Obraz zaczyna drgać, w rogu zapala się czerwona ikona. *Battery low*. Lampka z Ikei bzyczy ostrzegawczo raz, drugi, potem gaśnie.

– Prąd – mówi dziewczyna. – Nie ma prądu.

– Nadchodzi – szepcze mężczyzna. – Nadchodzi.

– Patrz na świecę! – Dziewczyna wyciąga dłoń przed siebie, tak że widać w kadrze smukłe, blade palce.

Kamera podąża we wskazanym kierunku, kadr przesuwa się po ścianach, wreszcie, na moment, łapie świecę. Światło świecy jest coraz słabsze, lecz to nie knot się dopala, to ciemność przygniata wąły ognik, otacza ze wszystkich stron, ssie ciepło, gęsta zupa nicości, zimna i bezosobowa.

– Przyszedł – mówi mężczyzna.

Jest teraz spokojny, prawie szczęśliwy, tak jak szczęśliwy może być sługa, gdy wraca jego pan – srogi, kapryśny, niepojęty.

– Zimno – odpowiada dziewczyna, choć przecież jest środek sierpnia, nie ma prawa być im zimno, noce są równie ciepłe jak dnie, piętnaście, dwadzieścia stopni, a tu dziewczyna dzwoni zębami tak, że słychać w całym pomieszczeniu.

Kamera kieruje się w stronę mroku, który zdążył już prawie całkiem zdusić słabe światełko świecy.

Oto zaprzeczenie, antymateria, otwiera się świat ze znakiem minus. Czy pustka doskonała może przybierać kształty? Jakiegokolwiek kształty? Czy to nie złudzenie?

Obraz niknie, słysząc tylko kroki – kobieta i mężczyzna wchodzą do kręgu.

– Zrozumiemy – mówi dziewczyna i jej głos łamie się, przechodząc w krzyk.

* * *

Krzyk. Jeszcze brzmiał w uszach, gdy się obudził, stwierdzając, że dziwacznie jest zostać obudzonym przez własny wrzask.

Przetarł twarz. Która to, zastanowił się, spojrzawszy na ekran komórki, westchnął. Odstawił

butelkę wódki, choć miał ją tuż przy ustach – ale nie, została tylko godzina do wyjścia, nie mógł pozwolić sobie na taki wyskok, nie teraz, kiedy wszyscy krzywo na niego patrzą z racji przeciągającego się śledztwa.

Wyjrzał przez okno; przywitała go oświetlona pomarańczowym światłem lamp breja. Na moment zamknął oczy, próbował wyobrazić sobie, że jest gdzieś daleko, na plaży, że dookoła drinki i ciemne uda pięknych turystek, zjechał dłonią w stronę krocza, próbując się masturbować, ale nawet na tym nie mógł się skupić.

– Ten jebany film w rzeczywistości kończył się wcześniej! – krzyknął zirytowany, wracając myślami do snu.

Ta oczywista konstatacja sprawiła, że poczuł się niepewnie. Tak bywa, choć wiedział, że sny to nic innego jak przetrawione przez podświadomość strzępy realnego życia, czuł się nieswojo, nie mogąc ogarnąć swych reakcji świadomością.

– Gówno! – Trzasnął dłonią w szybę, aż zadrżała, a z parapetu odpadł kawał lepkiego śniegu.

Miał dość, serdecznie dość obsesji, które mu nie pozwalały się normalnie wyspać, dość rwanych nocy i rozdygotanych poranków, dość smętnych dni, dość irracjonalnych strachów i całkiem racjonalnego przygnębienia, wywołanego rozwiązaniem zagadki. Miał dość książek Dawkinsa, dość wątpliwości. Trzeba to przeciąć, raz na zawsze przeciąć i spojrzeć rzeczywistości prosto w oczy – jakakolwiek ona jest.

Zwlekł się z łóżka i naciągając gruby wełniany sweter, podjął decyzję.

– Jadę – wychrypiał do swojego nieapetycznego odbicia, kiedy pracowicie zdrapywał z policzków trzydniowy zarost. – Jadę!

* * *

Krajobraz dookoła przedstawiał się jeszcze bardziej ponuro niż nastrój Świetlickiego: brudne budynki, brudne ulice, brudni ludzie – wszystko to oglądane zza brudnej, a jakże, szyby. Samochód

przywitał go chłodem, a w dodatku, mimo upływu kilometrów, cholera nie chciało się rozgrzać. Starość nie radość, powiadają, a w przypadku grata ściągniętego z niemieckiego szrotu starość przychodziła zdecydowanie zbyt wcześnie.

Na siedzeniu leżała książka, którą zabrał ze sobą. *Bóg urojony*. Spomiędzy kredowobiałych kartek wystawała jedna ciemniejsza, prawie szara, naddarta po bokach.

Zakładka – strona wyrwana z „Wyborczej”. Zerknął na przycięty okładką książki tytuł artykułu; zdążył się go już nauczyć na pamięć.

„Gazeta Wyborcza”, 26 listopada 2007 r.

Wczoraj usłyszane

Rydzik czyta Dawkinsa?

Ojciec Rydzik w popołudniowej audycji znów zaskoczył. Słuchacze Radia Maryja musieli być niezmiernie zdziwieni, kiedy zasiedli przed radioodbiornikami w sobotę, około godziny siedemnastej. Osławiony ojciec dyrektor, który ma zwyczaj zwracania się do słuchaczy, nie bacząc na porę czy rozkład programu, wygłosił płomienną mowę będącą w istocie krytyką myśli zawartych w książce *Bóg urojony* R. Dawkinsa (od kilku tygodni na półkach księgarskich). Dostało się więc Dawkinsowi (znanemu „wojującemu ateście”, autorowi m.in. *Samolubnego genu*), dostało się i „Polityce”, która ma nad książką patronat.

Najlepiej jednak będzie, jeśli oddamy głos samemu ojcu dyrektorowi:

– Że Bóg to złudzenie, panie Dawkins? Złudzenie? A cud w Fatimie, też złudzenie? A Jan Paweł II też się komuś przyśnił? Nie, panie Dawkins, urojeniem jest twoja inteligencja, piękne, okrągłe słówka, za którymi kryje się szatański podszept, wodzący na manowce dobry lud boży. Pisziesz pan, że człowiek sobie Boga wymyślił? Co za bzdura. Co za bzdura! To

Bóg wymyślił sobie człowieka, nie inaczej, przecież powiada Pismo: „Stworzył Bóg człowieka na obraz i podobieństwo swoje”, ale pan, panie Dawkins, jesteś stworzony na podobieństwo szatana. Niedawno, kochani, przeczytałem, że psychologowie, tak, psychologowie z Ameryki przeprowadzali eksperymenty. Przepuszczali prąd przez głowę –

czy wy to rozumiecie, prąd przez człowieka puszczać? Hitlerowcy! I oni twierdzą, że kiedy ten prąd płynie, to człowiekowi zdaje się, że ma do czynienia z Bogiem. Zdaje się! „Bo” –

mówią oni – „w mózgu jest takie miejsce, że jak je podrażnić, to widzimy Boga”. Oj, źle się bawicie, źle się bawicie, wy Frankensteiny! A skąd wy wiecie, czy to miejsce w mózgu –

jeśli w ogóle takie miejsce istnieje, bo ja mam wątpliwości – skąd wiecie, że ono jest niepotrzebne? A może to dar, dar, który pozwala widzieć nielicznym Boga tu, na Ziemi? A może pozwala też widzieć kogoś innego, co, panie Dawkins? Kogoś pan zobaczył?

Lucyfera?

Źle się bawicie!

Komentarz Piotra Pacewicza:

„Wbrew pozorom ojciec dyrektor wcale nie zaskakuje – przyzwyczaił nas już do tego, że kiedy przychodzi do osób myślących inaczej, gubi się jego chrześcijańskie miłosierdzie.

Ojciec Rydzyk nie polemizuje z tezami Dawkinsa i z wnioskami amerykańskich psychologów – on je próbuje zakrzyczeć, wierząc, że problem zniknie. Otóż nie zniknie i nie zmieni tego choćby najbardziej gwałtowny wybuch lęku cywilizacyjnego. Poniekąd wszakże rozumiem Rydzykową furie – jeśli tezy Dawkinsa są prawdziwe, to władza nad umysłami ludzi, rząd dusz sprawowany przez redemptorystę z Torunia nie ma racji bytu. W całej tej historii jest jednak jeden budujący szczegół – wygląda na to, że ojciec Rydzyk czyta Dawkinsa. To już coś!”

* * *

Brednie, skonstatował Świetlicki, przypominając sobie wypowiedź redemptorysty.

Brednie. Prawda była taka, że nie ma żadnego diabła i żadnego Boga, że nie ma niczego, nie ma nawet demiurga, który ingeruje w sposób dla ludzi niezauważalny, nie ma Stwórcy.

Dranikowski to był prawdziwy prorok, prorok ateizmu i sekularyzacji; Dawkins się do niego nie umywa. Tylko że teraz Dranikowski nie żyje.

Fakt.

Naraz poczuł, że odnalazł cel. To będzie jego nowa misja, zadanie nadające życiu sens –

powiedzieć prawdę. Wykrzyczeć. Uświadomić. Świat musi dowiedzieć się o tym, co odsłoniło badanie.

Dodał gazu. Nie zwracał uwagi na to, że jest ślisko, że opony nie najlepsze. Gnał przed siebie. Musi zmierzyć się z prawdą! A nim zacznie głosić nowinę – nie dobrą, ale

przynajmniej nowinę prawdziwą – stanie w kręgu. Nagle wiedział, że tak właśnie musiało być, że tak należy.

Ale najpierw stanie w kręgu – musi pokonać ów lęk, ów dziwny atawizm, ów przesąd.

Wejdzie tam, wkroczy z podniesionym czołem. I nic się nie wydarzy, bo przecież aparatura została zniszczona. Teraz rozumiał; ten gest będzie miał znaczenie jedynie symboliczne, czy raczej psychoterapeutyczne.

Pokonać strach!

Krąg wzywał.

* * *

13 grudnia 2007 r., godzina 8:43, okolice bazy poradzieckiej

– Dupa blada! – Karski spojrzał z obrzydzeniem na but, zanurzony do połowy w brudnej mazi, na którą składały się brązowe liście, glina, zgniła trawa i śnieg. – Zapłaci mi pęta.

– Z roboty – zasapał przełożony Karskiego, tęgi chłop, na oko czterdziestokilkuletni.

Jego twarz była czerwona, przyzwyczajony do pracy za biurkiem, nie spodziewał się, że będzie musiał szukać Świetlickiego po jakichś wertepach. – Wypierdolimy go z roboty.

Zatrzymali się, Karski otarł czoło rękawem. Wiało mocno, a on był bez czapki – już wiedział, że katar go nie minie. Zwłaszcza że padał śnieg z deszczem.

Umówili się z Pawłem z samego rana; podsumowanie śledztwa, wnioski, dalsze informacje o eksperymencie – oto na co liczyli. Zastali zaś puste biuro i wiadomość, że Świetlickiego widziano, jak jechał w stronę miejsca zbrodni. Komórki nie odbierał, czekali jakiś czas w biurze, ale się nie pojawił. Dlatego też, podążając śladem podkomisarza Świetlickiego, pałali żądzą sprawiedliwego odwetu, przy czym za sprawiedliwy odwet uważali co najmniej pozbawienie Pawła środków do życia. Chociaż i wizja utopienia go w tym bagnie, przez które właśnie się przedzierali, a które okazało się zbyt grzaskie dla ich samochodów, cóż, taka wizja również była kusząca.

– Myślisz, że warto? – Przełożony szturchnął Karskiego, kiedy już stanęli na betonowych płytach dziedzińca poradzieckiej bazy.

Nie było tutaj tak grzasko, za to podeszwy ślizgały się po oblodzonym betonie, więc Karski byłby się przewrócił, gdyby nie łysa brzoza, w sam raz, by się o nią oprzeć.

– Bo ja wiem? Zeznania samobójcy wiele wyjaśniają. Kiedy wczoraj rozmawiałem ze Świetlickim, mówił, że wszystko teraz złożyło mu się w jeden obraz, puzzle kompletne. Ale, kurwa, mi się tu nie podoba.

– No – mruknął otyły, lustrując swoje buty kupione za, bagatela, czterysta złotych. –

Bagno.

– I po cholere on tu przyjeżdżał? – zastanawiał się Karski, spoglądając dookoła, patrząc na szare bryły bloków, na pozbawione liści drzewa, na puste okna. – Spaliło się przecież.

– Co takiego?

– E, mówiłem o tym, nie? Aparatura. No, to gównno, do robienia wody z mózgu, wiesz, widzisz anioły i tak dalej.

Tęgi pokiwał głową, przypominając sobie relację podwładnego.

– Niektórzy nie potrzebują do tego żadnej aparatury. – Mrugnął porozumiewawczo.

Roześmiali się. Fakt, że oddawali nowej władzy rozliczne usługi (tak samo jak i każdej innej władzy, byli bowiem profesjonalistami), nie oznaczał, że się z ową ekipą identyfikują.

Wprost przeciwnie – agenci pozostawali po staremu bezideowymi oportunistami, nawet nie ateistami – bo, żeby być niewierzącym, trzeba najpierw się zastanowić nad światem, jego sensem, istotą, prawami. Oni tymczasem byli na świat doskonale obojętni, impregnowani, wolni od refleksji metafizycznej. Jakiegokolwiek.

– No, dalej. Gnojek tam gdzieś siedzi. – Karski wskazał głową na ledwie widoczne ślady, bo śnieg prawie całkiem już się roztopił.

Trop prowadził prosto do wejścia.

– Trzeba będzie się tym zająć – snuł już plany przełożony Karskiego. – Ha, trzeba będzie stworzyć specjalną jednostkę, która wykorzysta operacyjnie tę wiedzę. A my staniemy na jej czele! Będziemy szkolić kapłanów laicyzacji, he, he. Stary, dostaniemy na to kasę ze Stanów, z Unii, z NATO. Awans, kochaniutki, awans jak w banku. I wypłata w dewizach!

– Nie zastanawiałaś się – Karski, tknięty wątpliwościami zatrzymał się w drzwiach budynku – dlaczego oni wszyscy zginęli? No, pomordowali się?

Zapytany spojrzął na podwładnego, wzruszył ramionami, zdziwiony, że kogoś mogą obchodzić tak mało istotne sprawy, podczas gdy przed nimi otwiera się kariera w międzynarodowych strukturach.

– No, odjechało im, nie? Zwyczajnie.

Karski nie odpowiedział. Choć budynek wydał mu się odpychający, szedł dalej, podążając za szefem, basującym na całe gardło:

– Świetlicki? Świetlicki, kurwa, nie chowaj się przed nami! Wyłaż, mamy do pogadania!

Wyłaż!

Z takimi okrzykami na ustach pułkownik Bortko przemierzał korytarze, zaglądał do pustych pokojów, otwierał drzwi, obchodził nieliczne, pozostawione w pomieszczeniach meble.

– Nie ma chuja – sapał przy każdym niepowodzeniu. – No nie ma.

– Świetlica – wskazał Karski. – Tam była ta aparatura.

Bortko rażno ruszył przed siebie, ale zatrzymał się nagle, wlepiwszy wzrok w czarną plamkę na ścianie.

– Nie, no, kurwa, muchy? Przecież jest za zimno.

Karski podszedł, przyjrzał się – faktycznie, owad siedział na ścianie. Kiedy mężczyźni się poruszyli, mucha wzbija się wyżej, siadając na suficie.

– Dziwne. – W głosie Karskiego zabrzmiało wahanie, ale jego szef tylko machnął ręką.

– A co tam! Jedna mucha nikomu jeszcze krzywdy nie zrobiła.

Pchnął drzwi od świetlicy i bez zastanowienia wtargnął do środka.

Jedna mucha nikomu jeszcze krzywdy nie zrobiła, prawda, lecz to, co zobaczyli funkcjonariusze ABW, przestraszyłoby każdego. Ściany czerniły się ciałami owadów. Całą świetlicę wypełniało nieprzyjemne bzyczenie.

– Ja pierdolę! – zaskrzeczał Bortko, zatrzymując się niezdarnie i chwytając Karskiego za ramię. – A to co znowu?

Zapytany ogarnął wzrokiem wnętrze świetlicy. Poczul, jak w jednej chwili wysychają mu usta.

– Nie mam pojęcia – powiedział. – Ale ja bym spieprzał.

– Tak, tak. – Pewność siebie emanująca dotąd od pułkownika gdzieś zniknęła, był teraz tylko otyłym czterdziestokilkulatkiem, nikiem więcej. – Tak, tak, spieprzajmy.

Odwrócili się do drzwi, lecz nie mogli przez nie przejść.

W drzwiach stał Świetlicki.

– A tu jesteś, gnoju... – wyrwało się pułkownikowi. – Mordo ty moja!

Klątwa Sowietów?

„Fakt”, 14 grudnia 2007

Wczoraj doszło do kolejnej tragedii na terenie opuszczonej poradzieckiej bazy, położonej w Puszczy Noteckiej. Prowadzący śledztwo policjant najpierw zaatakował nożem dwóch uczestniczących w postępowaniu oficerów ABW, a następnie sam popełnił (...)

* * *

Epilog

(...) Jeśli powstanie u ciebie prorok, lub wyjaśniacz snów, i zapowie znak lub cud, i spełni się znak albo cud, jak ci zapowiedział, a potem ci powie: „Chodźmy do bogów obcych

– których nie znałeś – i służmy im”, nie usłuchasz słów tego proroka, albo wyjaśniacza snów. Gdyż Pan, Bóg twój, doświadcza cię, chcąc poznać, czy miłujesz Pana, Boga swego, z całego swego serca i z całej duszy. Za Panem, Bogiem swoim, pójdiesz. Jego się będziesz bał, przestrzegając Jego poleceń. Jego głosu będziesz słuchał, Jemu będziesz służył i przyłgniesz do Niego. Ów zaś prorok lub wyjaśniacz snów musi umrzeć.

Pismo Święte, Ks. Pwt., 13, 2-6

Witold Jabłoński

Bracia

Strachy

Ach, mój słodki Walentynie...

Miłość płynie, płynie... aż zginie.

Chyba po raz pierwszy słowa klasycznego bluesowego standardu w wykonaniu genialnej białej wokalistki, Diany K., zabrzmiały w uszach Walentyna wyjątkowo nieprzyjemnie, cynicznie i ironicznie, a może nawet złowieszczo, jak fatalne memento. Zupełnie nie tak wyobrażał sobie swój imieninowy wieczór Walentyn Drużbarski, recenzent muzyczny jednego z najbardziej liczących się w Mieście dzienników.

Przygotował kolację na dwie osoby, zapalił świece i otworzył zawczasu butelkę czerwonego wina, żeby mogło odetchnąć. Przy okazji pomyślał z ironią o swoich rodakach, obnoszących przed światem historyczne nieszczęścia, którzy jednak do tej pory nie potrafili nauczyć się, że tylko białe alkohole powinny być zimne, kolorowe zaś niekoniecznie.

Dawniej wszystko podawali ciepłe, teraz wszystko chcieliby chłodzić, skonstatował z pogardą. Z zadowoleniem stwierdził, że nie musi stykać się nazbyt często z ową tłuszcza, bezpiecznie ukryty w swojej romantycznej mansardzie na rogu ulicy Wschodniej i alei Papieskiej, czyli w samym sercu tego niepojętego, okropnego i na swój sposób fascynującego Miasta, w którym mieszkał wprawdzie od urodzenia, wychował się i dorastał, ale zawsze czuł się obco, niczym turysta albo raczej przymusowy emigrant. Turystyka to często raj, emigracja może być piekłem. Walentyn nieraz odczuł to na własnej skórze. Jako dzieciak sądził, że jest wynaturzonym odmieńcem, skoro nie potrafi znaleźć wspólnego języka z kolegami ze szkoły i podwórka, o dziewczynach nie wspominając. Gdy dorósł, przeczytał takiego na przykład Witolda Gombrowicza albo Czesława Miłosza i zrozumiał, że nie ma w nim żadnej winy. Winne są ironia historii i odmienny genotyp.

Rodzina Drużbarskich przybyła tutaj po roku 1946 ze wschodnich kresów upadłej nieodwracalnie II Rzeczypospolitej, a konkretnie z Wilna. Zająła pierwsze wolne mieszkanie na strychu odrapanej, dosyć paskudnej kamienicy i rozpoczęła nowy etap biednego bytowania, pełnego wspomnień o minionej wielkości. Zwłaszcza matka celowała w owym rozpamiętywaniu, ojciec bowiem najczęściej milczał, popijając domowej roboty nalewkę, morze kawy zbożowej i wypalając mnóstwo papierosów. Czasem wieczorami słuchał BBC

albo Wolnej Europy, mamrocząc pod nosem wśród docierających z odbiornika szumów i wizgów: „Bydlaki, chamy, ścierwa... co oni z nami zrobili”. Oczywiście odnosiło się to nie do redaktorów owych radiowych rozgłośni, zasłużonych w krzewieniu na falach eteru ideałów zachodniej demokracji, lecz właśnie do nieprzebranych tłumów, przewalających się

ulicami Miasta przy każdej odświętnej okazji w rytm chóralnie ryczanych bojowych pieśni i łopotu czerwonych sztandarów. Nie wiadomo, co szybciej wykończyło ojca Walentyna: rak płuc czy osłabione serce. Najpewniej jedno i drugie. Przede wszystkim jednak przyczyną przedwczesnej śmierci na pewno była konieczność użerania się na co dzień z chłopsko-robotniczą bracią, rządzącą Miastem niepodzielnie, odkąd po zakończonej wojnie opuścili je Żydzi i Niemcy.

Matka, zawsze bardziej odporna i wytrzymała, jak to kobieta, pochowawszy męża na cmentarzu rzymskokatolickim – bez problemów, skoro oboje nie należeli do partii – przejęła ster domowych rządów i opiekę nad jedynym dziedzicem rodu Drużbarskich, który był

późnym, acz całkiem udanym dzieckiem. Miała tę przewagę nad nieboszczykiem, że nie interesowała się wielką polityką, skupiając się na bardziej przyziemnej sprawie, jaką było zapewnienie domownikom pożywienia. Wytrwale wystawała w kolejkach i „załatwiała” (w tamtym ustroju trzeba było, o czym wielu nie chce dzisiaj pamiętać, załatwiać każdą, nawet najprostszą rzecz) w miarę regularne dostawy mięsa i innych deficytowych produktów.

Chociaż bardzo starała się przystosować do absurdałnego systemu, czasami jej także wyrywały się w obecności syna niezbyt przychylne uwagi na temat „panujących stosunków”.

Choć więc nie szczędziła potomkowi praktycznych rad w rodzaju: „Nie wychylaj się”,

„Bądź zawsze pośrodku grupy”, „Siedź w kącie, a znajdą cię” i „Pokorne ciele dwie matki ssie”, niechcący zaszczepiła także w duszy chłopaka wzgardę i dystans wobec mieszkańców Miasta. Miejscowa hołota bardzo różnie reagowała na często goszczący na jego wargach ironiczny uśmiezek, dopóki więc nie nauczył się panować nad mięśniami twarzy oraz wyrazem oczu, zdarzało mu się prowokować nieprzyjemne, a nawet agresywne ataki.

Zgodnie z radami matki, najczęściej starał się jednak trzymać na uboczu, co najwyżej śmiejąc się szyderczo z głębi ciemnego kąta. Zachowując ów ironiczny dystans, pozostawał

jednak przeraźliwie samotny.

Zasiadł za zastawionym stołem, niecierpliwie czekając na godzinę umówionego spotkania. Kamila miała przyjść o dziewiętnastej. Początkowo całkiem spokojnie obserwował skwierczące, ociekające białymi soplami świece, zerkając na zegar tylko co kwadrans. Wiedział, że obecne młode pokolenie, wychowane już w wolnej

Rzeczypospolitej, w większości nie uważa punktualności za cnotę główną, zwłaszcza gdy w grę wchodzi czysto prywatne spotkanie. Czas jednak mijał nieubłaganie, jakby kpiąc sobie z niepotrzebnie rozbudzonych nadziei. Kiedy spóźnienie zaczęło urastać do rozmiarów nieprzyjętych w cywilizowanym świecie, mężczyzna zaczął naprawdę się niepokoić.

Chwycił za telefon komórkowy i wystukał podany mu wczoraj numer. Na próżno. Po długim, rozpaczliwie długim sygnale, usłyszał jedynie mile brzmiący, boleśnie znajomy głos: „Jestem poza zasięgiem. Proszę zadzwonić później”. Zagryzł wargi i ledwie powstrzymał cisnące się na usta przekleństwo. Najwyraźniej działało się coś niedobrego.

Zaczął miotać się bezsilnie po całym pokoju, puszczając z gramofonu *Koncerty*

brandenburskie Bacha na zmianę z piosenkami Diany K. Te utwory miały być kojącym podkładem muzycznym dla jego pierwszej kolacji z nowo poznaną dziewczyną. W

normalnej sytuacji przynosiłyby błogie rozmarzenie, teraz jednak tylko dodatkowo rozdrażniały. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że stał się obiektem żartu ze strony uroczej dwudziestoparoletniej panienki, która w jednej chwili potrafiła omotać i owinąć wokół

swego małego paluszka starego kawalera.

Od czasu śmierci matki nie wyobrażał sobie przez długie lata, że mógłby kogokolwiek zaprosić do swojej przyjemnie urządzonej samotni, pełnej mądrych książek i dobrych płyt.

Nie miał nawet psa ani kota. Czuł się dobrze w owej pustelni, której był jedynym panem.

Nie pragnął zmian. Kilka dni po pogrzebie rodzicielki zastąpił wprawdzie porozwieszane w całym mieszkaniu święte obrazki kupionymi okazyjnie w pobliskim antykwariacie malowidłami jakiegoś zapomnianego, chyba lekko obłąkanego malarza, które zmarła dewotka z pewnością określiłaby jako „grzeszne”, może nawet „pogańskie”. Z mrocznych głębin wyłaniały się skłębione, nagie, androgyniczne ciała słodkich aniołów i kuscielskich demonów, wijące się w mękach i ekstazie piekielnych rozkoszy. Był to spóźniony wyraz młodzieńczego buntu człowieka, który właściwie nigdy nie był młody. Dzieła te były także symbolem jego utajonych pragnień, jakby ilustracją dręczących go niekiedy nocnych koszmarów. Utrwalone na płótnie pędzlem nieznanego artysty, zdawały się okiełznane i oswojone.

Dotąd nie wyobrażał sobie, by jego matkę miała zastąpić w tym domu jakaś wymalowana i ufryzowana istota o farbowanych włosach i czerwonych paznokciach, chodząca na wysokich obcasach i mówiąca piskliwym głosem. Nie mówiąc już o nieuchronnych być może konsekwencjach takiego związku, w postaci małych, złośliwych skrzatów, burzących spokój jego sanktuarium bezustannym tupotem nówek i raniącym uszy wrzaskiem. Nie i jeszcze raz nie! Było mu dobrze z własną samotnością i nie pragnął

niczego zmieniać. Dopiero Kamila sprawiła, że zaczął nieco inaczej postrzegać zarówno swoją przyszłość, jak i obecne życie coraz bardziej starzejącego się mężczyzny.

Poznał ją parę tygodni wcześniej na noworocznym koncercie w akademii muzycznej.

Nie spodziewał się specjalnych rewelacji po świeżo upieczonych adeptach i wybrał się posłuchać dobrej klasyki z zawodowego obowiązku. Sądził zresztą dobrodusznie, że pewne niedostatki wykonania są zazwyczaj wynagradzane świeżością, wdziękiem i energią młodych wykonawców. Podobnie było i tym razem. Akademicka orkiestra wykonała na początek z zapałem i werwą, choć w pozornie minorowym nastroju, słynne *Adagio g-moll* Tomasa Albiniego. Był to jeden z ulubionych utworów Walentyna, muzyka sprawiła więc, że zagłębił się w melancholijnych marzeniach o kimś, kto któregoś poranka spłynie z błękitnego nieba niczym opiekuńczy Anioł Pocieszyciel i wypełni swą obecnością pustkę jego jałowego, pustelniczego życia. Nic dziwnego zatem, że gwałtownie ocknął się z owych niewesołych rozmyślań, ujrzawszy prawdziwego anioła, który całkiem zwyczajnie objawił

się, wychodząc zza kulis szkolnej estrady. Dziewczyna zmierzała wdzięcznym, pewnym i płynnym krokiem na swoje miejsce obok dyrygenta, ubrana w skromną, zwiewną suknię wiośnianej barwy.

Jasne włosy miała gładko zaczesane za uszy, co uwydatniało okrągłą, gładką, niemal dziecianną buzię o wielkich błękitnych oczach. Walentynowi, który lubił

klasyczne porównania, przywiodła na myśl Primaverę, przychodzącą wraz z pierwszym promieniem słońca o brzasku. Zapowiedź wiosny w środku zimy. Czystość, niewinność, delikatność – to zawsze robiło na nim wrażenie.

Jak obwieszczał wydrukowany program, solistka miała wykonać na wiolonczeli inną ulubioną kompozycję naszego bohatera, mianowicie uroczę, choć równie smętne *Largo z Kserksesa* Haendla.

Swoją drogą, dlaczego ci młodzi ludzie tak dzisiaj smęcą? – przemknęło krytykowi przez głowę. A może to raczej ich profesorowie wbijają ich w takie ponure klimaty, zazdroszcząc im pierwszych spacerów po parku z ukochaną, pierwszych zabaw w gronie wesołych kolegów, pierwszych spełnień i rozczarowań, jakie niesie ze sobą budząca się w nich dopiero dojrzałość?

Niemal parsknął śmiechem, widząc, że artystka, przytrzymując instrument spowitymi luźną materią kolanami, przybrała lekko nieprzyzwoitą pozę. Paru młodszych kolegów adeptki, siedzących obok mężczyzny, zauważyło to również i rozchichotało się bez żenady, nie bacząc na zgorzone spojrzenie starszego pana. Umilkli jednak natychmiast, kiedy Kamila Mens, jak informował program: wielce obiecująca studentka, ujęła smyk w delikatne dłonie i rozpoczęła grę pewnymi, posuwistymi ruchami, pieszcząc twarde, dziarsko sterczący w górę instrument. Wszyscy zasłuchali się w rzewne tony, płynące nad salą na podobieństwo leniwych czarnych fal *Lete*, rzeki zapomnienia. Dla Walentyna od tej chwili zaczęło się prawdziwe objawienie. Euforia pełna dzikiej trwogi. Udręka i ekstaza.

Zrozumiał, że znalazł wreszcie swego anioła.

„Jestem poza zasięgiem. Proszę zadzwonić później”. I znowu to samo. Było wpół do dziewiątej. Walentyn nigdy nie używał wulgarnych słów, nawet w samotności, lecz tym razem nie zdzierzył. Odczeka jeszcze pół godziny, a potem... No właśnie. Co potem?

„Prześliczna wio, wiolo... wiolonczelistka, la, la, la...”. Nucił pod nosem słowa starej, niegdyś popularnej piosenki, obserwując kolorowy tłumek wesołych studentów, wypełniający hol akademii – raczyli się ciekawym białym winem i krakersami, przechadzali swobodnie w grupkach lub parach, przekomarzali i droczyli z nieodpartym urokiem utalentowanej młodzieży. Kamila była, jak się zorientował, powszechnie lubiana, wiele osób płci obojga zagadywało do niej z wyraźną sympatią, na co ona odpowiadała beztróskim, szerokim uśmiechem.

W sercu Walentyna narastał słodki lęk przed nieznanym, a zarazem pożądanym. Strach jednak przeważał. Nigdy nie ośmieliłby się do niej podejść. Bał się oczywistej śmieszności, ironicznych spojrzeń i pokątnych szeptów. Jak to by wyglądało: poważny człowiek, znany

recenzent, zaczepia najładniejszą dziewczynę na roku... Czekał na cud. Modlił się o niego, zerkając niepewnie, spod oka, na swoje nowe bóstwo.

Najwyraźniej został wysłuchany Sama do niego podeszła. Wdzięcznie przechylając główkę, rozpoczęła fachową rozmowę na temat stopnia trudności wykonywanych podczas dzisiejszego

koncertu utworów. Walentyn był oczarowany. Nie dość, że piękna, to jeszcze mądra. Na jej uroczy szczebiot odpowiadał mruknięciami, spuszczać nieśmiało wzrok jak zawstydzony uczeń. Wolał nie spoglądać w lustro nad pobliskim kominkiem, by nie stwierdzić, że na pewno lekko się zaczerwienił. Przechodzący obok koledzy przerwali hałaśliwie tę konwersację, namawiając Kamilę na spacer do nieodległego pubu. Wówczas dziewczyna uśmiechnęła się promiennie i muskając delikatnie dłonią rękaw jego marynarki, szepnęła:

– Spotkajmy się jeszcze kiedyś, dobrze? Tak fajnie się z panem rozmawia... Pan jest miły i naprawdę zna się na muzyce.

Gdy odfrunęła wraz z grupką znajomych, oszalały ze szczęścia Walentyn dopiero po chwili zorientował się, że trzyma w dłoni białą, gustowną – bo surową w swej prostocie i pozbawioną ozdób – wizytówkę z imieniem i nazwiskiem właścicielki oraz numerem telefonu komórkowego. Serce starego kawalera waliło jak młotem, dłonie i czoło spotniały.

Odczuł gwałtowną potrzebę wyjścia z dusznej sali na świeże powietrze. Poczul, że nagle i nieodwołalnie coś zmieniło się w jego życiu, być może rozpoczął się nowy wspaniały etap.

Wszystko to było niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. A może tej niewinnej z pozoru dziewczynie chodziło tylko o dobrą recenzję?

Cała chmara podobnych wątpliwości zaatakowała podejrzliwy umysł pustelnika; mimo to kilka dni później zatelefonował do niej. Nie ma chyba niczego bardziej odrażającego i grzesznego niż starość, myślał, spoglądając z lekką dezaprobatą na swoje odbicie w lustrze.

Kiedy jednak usłyszał głos Kamili, wszystkie te czarne myśli pierzchły jak cień ustępujący przed słoneczną poświatą. Ucieszył się, że go pamięta i nadal chce się z nim spotkać.

Chociaż miejsce, które zaproponowała („mam czas tylko późnym wieczorem...”), zaskoczyło nieco Walentyna, sprawiając, że w jego myślach pojawił się niepokojący, ostrzegawczy zgrzyt.

Umówiła się z nim w jednym z tych dziwnych młodzieżowych lokali, jakich pełno było przy alei Papieskiej. Swoją buńczuczną, wyzywającą formą wyraźnie kontrastowały z pompatyczną nazwą głównej ulicy. Pozostawały w dziwnej symbiozie z Urzędem Miasta i wieńcząc jedną z najdłuższych w Europie alej ogromną Świątynią Bożej Dobroci, rozbudowywaną od kilku lat do piramidalnych rozmiarów, przy sporym udziale lokalnego budżetu. W swoim czasie była o to niezła chryja na posiedzeniu Rady Miejskiej, kiedy bezbożni lewicowi radni ostro protestowali przeciwko finansowemu sojuszowi prawicowych władz z kurią biskupią. Walentyn miał na ten temat mieszane odczucia. W przeciwieństwie do zmarłej matki nie był szczególnie religijny, lecz szanował tradycje, w jakich został

wychowany. Z jednej strony uważał, że pieniądze podatników – a tym razem w grę wchodziły gigantyczne sumy – lepiej byłoby przeznaczyć na nowy szpital lub szkołę, z drugiej jednak wydawało mu się, że ta monstrualna budowla, mogąca śmiało iść w zawody z rzymską bazyliką Świętego Piotra, będzie zdolna w niedalekiej przyszłości przyciągnąć do Miasta rzesze pielgrzymów, a także ciekawych turystów, jako swoiste kuriozum. W każdym razie, nie zważając na coraz mocniej

dominujące nad dachami dziewiętnastowiecznych kamienic bizantyńskie kopuły świątyni, nocne lokale egzystowały własnym życiem, pełnym grzesznych i czasem zbrodniczych ekscesów. Walentyn wyobrażał sobie, że młoda absolwentka umówi się z nim raczej w którejś ze spokojnych, kameralnych kawiarenek, jakich także w tej okolicy nie brakowało. Dlatego tak niemile zaskoczył go wybór dziewczyny.

Zaproponowała spotkanie w lokalu „Nekropolo”, znanym z tego, że zbierała się tam wielce niesforna i niepokorna młodzież płci obojga. W Mieście plotkowano, że dochodzi tam do rozmaitych ekscesów na tle alkoholowym i narkotycznym, szeptano o tajnych spotkaniach satanistów i innych dewiantów... w każdym razie pub miał bardzo złą opinię i porządni ludzie pokroju Walentyna nigdy nie bywali w „Nekropolo”. Nasz bohater jednak znał dobrze to miejsce, ponieważ bywał w nim czasami w słusznie minionej epoce. Wtedy mieścił się tam Klub Muzyków i można było odwiedzić go jedynie za okazaniem stosownej legitymacji. W czasach, gdy Walentyn był jeszcze studentem, wielokrotnie próbował wejść do tego klubu, gorąco namawiany przez kolegów na tanie wino i słone paluszki. Wejście jednak zagradzał złowrogi cerber – pękata jejmość, zwana przezeń i innych młodzieńców „Królową Kuli Ziemskiej”. Osoba ta spełniała jednocześnie funkcję portierki i szatniarki.

Władze związku powierzyły jej niezmiernie ważny obowiązek sprawdzania papierów przy wejściu i decydowania o tym, komu wolno przekroczyć wysokie progi upragnionego lokalu.

Skoro uznała, że ktoś nie jest tego godzien – a potrafiła nawet zatrzymać kiedyś w drzwiach znanego kompozytora, ponieważ przyszedł nietrzeźwy – nie było z nią żadnej dyskusji. W

razie czego potężnie zbudowana, wąsata babcia kiblowa albo nawet błyskawicznie zjawiający się na wezwanie funkcjonariusz MO stanowili dostatecznie przekonujący argument. Koledzy Walentyna próbowali na wszelkie sposoby wkraść się w jej łaski kwiatkami i czekoladkami, pochlebstwami i sprytnymi w ich mniemaniu sztuczkami.

Czasem wystarczyło oznajmić, że jest się zaproszonym do knajpy przez jednego ze stałych bywalców, przy czym należało nonszalanckim tonem wymienić odpowiednio znane nazwisko. Sposób ten nie zawsze jednak skutkował, absolutna władczyni bywała bowiem dość chimeryczna, a jej wyroki nieodgadnione. Kiedy runął miniony reżim, wraz z nim upadła też potęga zdetronizowanej w jednej chwili Królowej.

Nowi właściciele rozbudowali lokal i zaczęli doń wpuszczać długowłosych młodzieńców oraz krótko ostrzyżone dziewczyny w czarnych skórach, z ostrym makijażem i kolczykami we wszystkich możliwych częściach ciała.

Portierka stała się zbędna. Wylądowała dosłownie na ulicy. Obecnie rezydowała codziennie na chodniku przy wejściu do lokalu, handlując czosnkiem i różańcami. Upadek spowodowany kaprysem historii oznaczał dla niej stoczenie się w otchłań zupełnego szaleństwa.

Walentyn, przechodząc czasem obok niej i przyglądając się nieszczęsnej z pełnym sentymentu dla lat swej młodości współczuciem, równocześnie rozważał, jak straszliwą krzywdę wyrządził wielu ludziom socjalizm, tworzący zupełnie fałszywe, postawione na głowie społeczne hierarchie. W wielu

instytucjach rządziły przecież sprzątaczkę albo szatniarki, czasami także szofer, odwożący do domu zapijanego dyrektora, trzęsącego się ze strachu przed kolejnym wezwaniem na dywanik do Komitetu Centralnego. Podobnie jak dla, na przykład, sprzedawczyń w sklepie mięsnym, ich złote lata zakończyły się wraz z upadkiem całego systemu. Wyobrażał sobie, że wiele z nich nie mogło się pozbierać, tracąc uprzywilejowaną, cóż z tego, że sztuczną, pozycję. Sam powitał nadejście nowych czasów z uprzejmie obojętną życzliwością, w jego życiu bowiem niewiele się w gruncie rzeczy zmieniło. Zawsze był na uboczu rozgrywających się wydarzeń i tak pozostało. Choć fascynowało go obserwowanie przemian z bezpiecznego dystansu, wolał nie doświadczać z bliska pewnych aspektów nowego stylu życia. Oglądał w telewizji wiele filmów o mafii, gangsterach, gwałcicielach, narkomanach i seryjnych mordercach, zdawał więc sobie sprawę, że tego typu zjawiska są nieuchronną ceną, jaką społeczeństwa płacą za tę odrobinę wolności, jaką zapewniają im kapitalistyczne demokracje. Coś, co dawniej działo się jedynie na ekranach telewizorów lub w kronikach kryminalnych, wypłynęło nagle na powierzchnię i mogło się zdarzyć tuż obok, niemal na każdym kroku. Walentyn wiedział coś o tym, mieszkając na rogu Wschodniej, chyba najgorszej ulicy Miasta. Źle używana wolność prowadzi do degrengolady, podobnie jak słabe jednostki deprawuje stosunkowo łatwy dostęp do dużych pieniędzy. Przyjmował to jako fakt oczywisty, coś na kształt dopustu bożego, ale trzymał się z dala od nocnego życia Miasta, zamknięty w swej oazie wysokiej kultury.

Zdecydował się jednak uczynić to dla niej i umówionego wieczoru opuścił spokojny azyl. Dziwna rzecz, ale niewiele pamiętał z tej pierwszej randki. Przeżył ją w jakimś amoku, oszołomieniu. Kamila czekała na niego przed bramą kamienicy, w której mieścił się lokal.

Stała wsparta nonszalancko o niedawno odnowioną fasadę, beztrosko gawędząc z siedzącą obok, zakutaną w koce i chusty Królową. W pierwszej chwili Walentyn nie poznał

dziewczyny i omal nie wyminął jej obojętnie. Coś go jednak tknęło, gdy usłyszał jej stłumiony chichot. Wówczas zatrzymał się i przyjrzał uważniej z pozoru nieznanym istocie.

Wyglądała zupełnie inaczej niż na akademickim koncercie. Jasne włosy znikły pod kruczoczną, ściętą na pazia peruką, anielska buzia stała się niemal demoniczna pod ostrym, wyzywającym makijażem. Rozchylone niedbale poły czarnego skórzanego płaszcza eksponowały obcisłą, mocno wydekoltowaną krwistoczerwoną bluzkę i tego samego koloru szorty. Długie, zgrabne nogi opinały siatkowe rajstopy. Całości dopełniały lakierowane

trzewiczki na wysokim obcasie. Jego wiośniana, niewinna piękność wyglądała jak diva awangardowego kabaretu lub wampirzyca z japońskiego horroru. Dziwny strój jak na środek zimy. Luty był wprawdzie tego roku wyjątkowo łagodny, niemniej jednak Walentyn podziwiał odporność tej niezwyklej istoty, nie wyglądała bowiem na zziębniętą.

Zapewne musiał mieć bardzo głupią minę, gdyż jego wybranka nie zdołała powstrzymać drwiącego śmiechu i zmierzyła go od stóp do głów beczelnym, ironicznym spojrzeniem.

– To mój strój wieczorowy – oznajmiła, krzywiąc pełne, powleczone szkarłatną szminką wargi. – Moje drugie ja. Taka już jestem. Zaakceptuje to pan lub nie, pańska sprawa.

Wchodzimy?

Skinął głową, niemal bezwiednie, niezdolny wykrztusić słowa. Uznając to za znak zgody, ujęła go bezceremonialnie pod ramię i poprowadziła w mroczną czeluść bramy. Po chwili znaleźli się w buchającym gorącym wnętrzu, gdzie szalony dekorator zręcznie wymieszał resztki rzeźb i sztukaterii dawnego burżuazyjnego salonu z ultranowoczesnymi kombinacjami metalowych siatek i prętów. Ściany na parterze wyglądały jak zachlapanne krwawymi plamami mury rzeźni. Wszędzie było pełno dziewcząt i chłopców, wyglądających podobnie jak jego młoda przewodniczka. Różnice zaznaczały się wyłącznie w detalach: kształtach fryzur, rodzajach chętnie eksponowanych tatuaży na odsłoniętych piersiach, karkach i bicepsach, czy też liczbie srebrnych ozdób na całym ciele.

Kamila miała tylko skromne kółeczko w uchu, niczego wpiętego w nos albo brwi.

Walentyn odnotował to z ulgą, nie przepadał bowiem za owymi relikdami barbarzyństwa, jak to w duchu nazywał, będąc pewnym, że takiego niszczenia własnego ciała nie zaakceptowałyby przedstawiciele podziwianej przez niego cywilizacji śródziemnomorskiej, czyli starożytni Grecy i Rzymianie. Równocześnie boleśnie odczuł fakt, iż niemal wszyscy tu obecni mogliby być jego dziećmi, może nawet wnukami, gdyby odpowiednio wcześniej i ryzykownie rozpoczął życie seksualne. Tylko czy on miał kiedykolwiek, tak naprawdę, jakieś życie seksualne? Zaczął go uwierać śmieszny, niemodny paltot, takiż garniturek i stare, sfatygowane buty. Jako przedstawiciel wyższej kultury poczuł się w tym dzikim towarzystwie rarogiem i dziwołagiem.

Kamila zagadnęła wesoło siedzącego przy wejściu ochroniarza, niemłodego już, siwawego człowieka w czarnym kombinezonie, który powitał ich promiennym uśmiechem.

W tym osobniku było wszakże coś niebezpiecznego; Walentyn wyczuł to szóstym zmysłem, patrząc na świat świeżym okiem samotnika. Za pozornie radosną fasadą dobrego samopoczucia czaił się mrok, okrutna wiedza kogoś, kto poznał życie od najgorszej strony.

Facet wyglądał na byłego komandosa albo jeszcze gorzej – najemnika tajnych służb. W

pewnym sensie mógłby być symbolem Miasta, szczególnie głównej alei: od frontu jaskrawo wypacykowana fasada, a tuż za nią brud, robactwo, ruina i zło emanujące ze starych cegieł.

– Jak ty to robisz, Kuba, że jesteś zawsze uśmiechnięty i zadowolony? – spytała dość obcesowo dziewczyna.

Przyjrzał się jej pobłaźliwie, ze szczyptą politowania.

– Myślę, Kamilo – odparł – że człowiek inteligentny zawsze ma powody do zadowolenia.

Dziewczyna zaśmiała się na całe gardło, śmiechem niezbyt mądrym, i pociągnęła swego starszego towarzysza za sobą, wspinając się po wąskich, kręconych i bardzo niewygodnych żelaznych schodach. W pewnej chwili potknęła się i omal nie złamała obcasa. Zakląła przy tym wulgarnie.

Walentyn, wciąż jeszcze osłupiały z wrażenia, pozwolił się prowadzić bezwolnie, niczym jagnię na

rzeź. Jego racjonalna świadomość uciekała w głąb czaszki, skoro nie mógł

z czystym sumieniem zaakceptować tego, co się wokół niego działo. Nie na tyle jednak, by nie wyczuć nosem wieloletniego abstynenta woni co najmniej paru piw, które zapewne wychyliła wcześniej jego piękna wiolonczelistka. Skonstatował z ulgą, że przynajmniej nie cuchnęła tytoniem, tego nałogu bowiem szczególnie nie znosił. Przedziwna metamorfoza grzecznej studentki i jeszcze ten koszmarny lokal... Tego było zdecydowanie za wiele, jak na skołataną głowę poważnego człowieka. Z drugiej strony opanowała go nieodparta pokusa, żeby zanurzyć się z Kamilą w ten nieznaną świat i przeżyć pierwszą w swoim życiu przygodę. Obcość tej rzeczywistości w równym stopniu go odpychała i podniecała, jakby się znalazł w egzotycznym kraju lub zgoła na innej planecie. Zaakceptował więc w końcu nawet chmurę dymu tytoniowego, szczelnie wypełniającą górne piętro, chociaż dłuższy czas kasłał

i przecierał załzawione oczy. Gdyby się na tym znał, szybko by się zorientował, że w tym lokalu palono pokątnie znacznie bardziej zabójcze zioła... Walentyn czuł się nie tylko tym wszystkim oszołomiony, ale także jakby zahipnotyzowany. Na górze było znacznie więcej migoczących, tęczyowych światełek i rozbrzmiewała jeszcze głośniejsza muzyka, pozornie swawolna, ale dziwnie ponura w wyrazie. Panował tam też większy tłok. Co nie zmieniało faktu, że mężczyzna widział właściwie tylko Kamilę i myślał wyłącznie o niej.

Wypił tylko jedno lodowato zimne piwo (co było fatalnym znamiem nowej epoki), lecz czuł się tak, jakby do alkoholu został dodany jakiś narkotyk. Walentyn niewiele pamiętał z tego wieczoru – głównie zagłuszającą wszystko muzykę (kolejny błąd właścicieli: pub to nie dyskoteka, w cywilizowanych krajach przychodzi się do takich przybytków pogadać), którą oboje usiłowali przekrzyczeć, dyskutując o tym, czy Mozart był geniuszem, jak twardo utrzymywał Walentyn, czy też kimś w rodzaju osiemnastowiecznego Eltona Johna lub Micka Jaggera, to jest dostarczyciela muzyki popularnej dla mas, przy czym obstawała Kamila. Dym, którego się nałykał, niemal zmrożony napój i przekrzykiwanie dudniących basów sprawiły, że następnego dnia obudził się z potwornym bólem głowy, drapaniem w gardle i chrypą. Nie pamiętał, jak wrócił do domu. I to było najdziwniejsze, zważywszy niewielką dawkę stosunkowo niskoprocentowego alkoholu, jaką spożył

uprzedniej nocy. Pamiętał natomiast, jak w odpowiedzi na zaproszenie, by wraz z nim

świętowała jego imieniny, Kamila pochyliła się ku niemu z błyskiem w oczach i odpowiedziała, muskając lekko wargami jego ucho:

– Bardzo chętnie, staruszk. To będzie mój najbardziej niezwykły dzień Świętego Walentego. Stanę się twoją Walentyną. Żywa kobieta jest zawsze lepsza od kartki pocztowej. Widzisz, dziewczyna taka jak ja potrzebuje czasem opieki i wytchnienia u boku starszego, statecznego faceta. Nie masz pojęcia, jak nudzą mnie ci zarozumiali, nabuzowani testosteronem smarkacze, którzy uważają się za niesłychanie atrakcyjnych tylko z tego powodu, że mają częste erekcje. Wybacz wulgaryzm, ale tak to właśnie wygląda. Twoja wrodzona kultura stanowi dla mnie bezpieczny punkt oparcia. Przyjdę o dziewiętnastej.

Wspominając tę wspaniałą chwilę, Walentyn wzdychał z zadowolenia, uświadamiając sobie, że dzięki kaprysowi rodziców, którzy ochrztili go tak nietuzinkowym mianem, zyskał

niespodziewane błogosławieństwo w osobie patrona Dnia Zakochanych. Owo pradawne, bodajże celtyckie święto przybyło do Miasta stosunkowo niedawno ze świata zachodniego, gdzie straszliwie je skomercjalizowano, lecz mimo wszystko wydawało się starszemu panu całkiem sympatyczne. Lepiej chyba czasem świętować młodzieńczą miłość niż narodowe klęski, stwierdził z sarkazmem.

Po raz pierwszy od śmierci matki nakrył stół dla dwóch osób. Nigdy wcześniej nikogo nie zapraszał na swoje imieniny, bo i po co? Rzadko bywał w redakcji, jedynie po odbiór zaproszeń na imprezy muzyczne albo przynosząc maszynopisy z recenzjami. W ostatnich latach cud nowoczesnej techniki, jakim bez wątpienia był Internet, sprawił, że Walentyn nie musiał nawet ruszać się z domu, żeby przesłać kolejny tekst. Nie zaprzyjaźnił się zatem z redaktorami macierzystego dziennika, z trudem wręcz przypominał sobie ich nazwiska, o imionach nie wspominając. Po raz pierwszy od wielu lat miały to być imieniny inne niż wszystkie. Pod patronatem jakże sympatycznego świętego...

Stary, stojący nieruchomo w kącie niczym czarny strach, ogromny szafkowy zegar wybił dziewiątą.

Kamili ciągle nie było.

Jego ukochana nie dość, że spóźniała się już drugą godzinę, to w dodatku nie dawała znaku życia. Telefon nadal nie odpowiadał. Co się wydarzyło, u licha?! Na samą myśl, co mogło się stać z tą szaloną, najwyraźniej nierozważną dziewczyną, kark i mocno łysiejące czoło mężczyzny zrosił zimny pot. Skoro niemal każdego wieczoru szlajała się w tak podejrzanym towarzystwie... No właśnie. Pub „Nekropolo”. To był jedyny znany mu ślad.

Nic przecież tak naprawdę nie wiedział o tajemniczej wiolonczelistce: ani gdzie mieszka, ani czy w ogóle urodziła się w Mieście, czy też może przyjechała tu na studia. Trzeba pójść i rozpytać stałych bywalców. Może ktoś wygada się z czymś istotnym.

Zdeterminowany, postanowił opuścić swój azyl. Wkładając zimowe buty i długi płaszcz, czuł się trochę jak prywatny detektyw z amerykańskich thrillerów. Nie był tylko pewien, czy uda mu się zachować charakterystyczną dla takich osobników zimną krew. Niepokoilo go

również, że kiedy zbyt usilnie wsadzali nos w nie swoje sprawy, zazwyczaj im go łamano. W

najlepszym razie obrywali po głowie, budząc się potem w jakimś rynsztoku lub na policyjnym posterunku, jak to zazwyczaj bywa w przypadku bohaterów pozytywnych w opowieściach detektywistycznych. Widocznie po to są: ich zadaniem jest wzbudzać współczucie widza lub czytelnika.

Licząc się z oczywistymi niebezpieczeństwami, był zdecydowany na wszystko, mimo że owo „wszystko” wyobrażał sobie dość mgliście. Odnajdzie Kamilę, choćby miał ją wydobyć z dna piekieł. Z takim mocnym postanowieniem opuścił mieszkanie i wyruszył na nocne łowy.

Tradycyjnie, ze względów bezpieczeństwa, postanowił opuścić swoją kamienicę drogą, którą nazywał „ewakuacyjną”. O tej porze bramę kamienicy obstawiali miejscowi zombie, funkcjonujący

już jedynie dzięki sporym dawkom zażywanego codziennie taniego alkoholu.

Nieprzyjemnie było się o nich ocierać i narażać na niewybredne komentarze. Czuli się prawdziwymi panami tej kamienicy, odkąd na początku lat pięćdziesiątych „lud wszedł do śródmieścia”.

W minionej epoce ulica Wschodnia słynęła z melin dających możliwość zakupu alkoholu przez całą noc. Wraz z pojawieniem się legalnych całodobowych sklepów mieszkańcy tej okolicy mocno podupadli i powrócili do dawniejszych zajęć: małeletnie panienki do prostytucji, ich opiekunowie do złodziejstwa i rozboju. Najgorszą plagą byli jednak okupujący bramy degeneraci, których jedyne zajęcie stanowiło obecnie odstraszenie przypadkowo zabłąkanych przechodniów i opluwanie lepszych od siebie. Walentyna niby szanowali, gdyż był bądź co bądź sąsiadem, lecz niechętnie reagowali na słowo

„przepraszam” i powoli usuwali się z drogi. Zawsze mógł się także spodziewać nieprzychylnego komentarza pod swoim adresem, rzucanego szeptem, za plecami. Niby byli dumni ze swej przynależności do europejskiego narodu, lecz przy tym niezdolni nauczyć się codziennej międzyludzkiej uprzejmości, naturalnej dla mieszkańców krajów bardziej cywilizowanych. W ich oczach był „paniskiem”, co to „wyżej sra niż dupę ma”, czy coś w tym rodzaju. Miejski plebs, z charakterystyczną nienawiścią do wszystkiego, co było inne niż on sam, uważał generalnie każdego w miarę zadbanego i elegancko ubranego mężczyznę za Żyda, ubeka lub pedała.

Wszędzie jest jakiś plebs, rozmyślał pan Drużbarski, lecz ta bezinteresowna polska zawiść, połączona z codzienną niezyczliwością wobec bliźniego, jest szczególnie dojmująca.

Z tej właśnie przyczyny, zszedłszy na parter po wydeptanych przez wiele pokoleń groźnie wyszczerbionych schodach, Walentyn ominął wyjście z klatki schodowej do bramy i skierował się bocznym korytarzykiem na zaplecze antykwariatu, z którego właścicielem przyjaźnił się od lat. To właśnie u niego nabył okazjnie owe przedziwne malowidła ozdabiające jego oazę. Otworzył własnym kluczem małe drzwiczki i wkroczył do mrocznego magazynu, pełnego zakurzonych, zniszczonych książek, przedziwnych burżuazyjnych

bibelotów, wymyślnych figurek i świeczników; krótko mówiąc: szczątków minionego bogactwa i chwały Miasta, które stało się efektownie podrasowaną ruiną, miejscem ludzkiego „odpadu”, po którym grasowały szczury i łachmaniarze.

Sklep był już o tej porze zamknięty, zresztą w ciągu dnia mało kto do niego zachodził.

Właściciel, maleńki zasuszony staruszek, siedział jak zwykle na zapleczu i oddawał się swemu ulubionemu zajęciu, a mianowicie oglądaniu na niewielkim monitorze ostrych filmów pornograficznych, zazwyczaj o zabarwieniu sadomasochistycznym, które zdobywał

sobie tylko wiadomym sposobem. Podobno w ich produkcję był zaangażowany jeden z upadłych absolwentów tutejszej szkoły filmowej, finansowane zaś były potajemnie przez kilku bogatych dewiantów, notabli i biznesmenów. Trudno było je zdobyć i na czarnym rynku osiągały gigantyczne ceny, ale stareńki pan Lucek miał zawsze świeżą dostawę.

Walentyn nie gustował w tego rodzaju twórczości, mimowolnie jednak zerknął przez ramię antykwariusza. To, co tym razem zobaczył, wstrząsnęło nim do tego stopnia, że stanął

jak wryty. W jakimś słabo oświetlonym piwnicznym pomieszczeniu zwisała, podwieszona za ręce u powały, całkiem naga sylwetka, zwrócona tyłem do patrzącego. Stojący obok kamery rosły osobnik w czarnych skórkach, którego twarz również pozostawała niewidoczna, chłostał zaciekle swą ofiarę cienką szpicrutą. Plecy i pośladki kobiety były poznaczone licznymi śladami po zadanych razach; niektóre rany broczyły krwią. Pan Lucek oglądał tę scenę całkiem spokojnie, popijając cienką herbatkę i pogryzając herbatnik. Co pewien czas oblizywał się tylko, lubieżnie pomrukując. Nie żenowała go wcale obecność sąsiada za plecami.

Walentyna nie poruszyła tematyka owego filmowego dzieła, gdyż dość często nawiedzając antykwariat, widział już niejedno. Trzeba przyznać, że pan Lucek miał dość ekscentryczny i wyszukany gust. Walentyna przeraziła konstatacja, że skądś zna te szczupłe plecy i wąskie pośladki, zgrabne nogi o niezmiernie długich udach i czarną, ściętą na pazia fryzurę... Na Boga, to chyba nie jest...

– Kamila! – wyrwało mu się z ust.

Zapatrzony w ekran staruszek usłyszał go.

– Chyba raczej Kamil – mruknął pod nosem i dziwnie zachichotał.

Mężczyzna przyjrzał się jeszcze raz kołyszącej się bezwolnie na ekranie niewielkiej, widocznej jedynie od tyłu figurce. Rzeczywiście, te wąskie biodra i silne łydki mogły należeć do młodego, zgrabnego chłopca... Walentyn potrząsnął głową, jakby pragnął

odegnąć natrętą i nieprzyjemną myśl, po czym ruszył ku wyjściu. Dopiero wtedy antykwariusz oderwał wzrok od monitora. Ogarnął krytycznym wzrokiem sylwetkę sąsiada z poddasza i zaskrzypiał starczo:

– Widzę, że wybierasz się na miasto. O tak późnej porze? To całkiem do ciebie niepodobne, Walentynie. Niebezpiecznie teraz wałęsać się po ulicach. Pełno na nich wilkołaków i innych, jeszcze gorszych stworzeń...

Mężczyzna nie miał zamiaru słuchać bełkotu niemal całkiem znikowanego dziadunia, toteż nawet nie raczył zareagować na te chyba lekko ironiczne ostrzeżenia.

– Szczególnie strzeż się kobiet – mówił dalej staruszek. – Na ogół nie są tym, czym się wydają. Uważaj na ich syrenie śpiewy, bo prawie zawsze wiodą do zguby.

Walentyn uznał w końcu, że niegrzecznie będzie pominąć milczeniem przestrogi starego znajomego, bo jeśli nawet były absurdalne, to jednak udzielane ze szczerego serca.

Zatrzymał się więc i odwrócił w jego stronę.

– Wybieram się w aleję Papieską – poinformował oschle. – Tam jest w miarę bezpiecznie. Rządzą

nią bracia Strachy, a ich ludzie potrafią zadbać o spokój klientów.

– Bracia Strachy... – powtórzył pan Lucek z respektem podszytym zgrozą. – Ci są chyba najgorsi. W ciągu ostatniej dekady przejęli w centrum większość sklepów, butików, knajp, nawet miejskie szalety. Zakład Oczyszczania Miasta również jest ich. Kontrolują wszystko, co robią mieszkańcy: właściwie to oni decydują, w co się ubieramy, co jemy i pijemy, nawet gdzie wydalamy i dokąd wyrzucamy odpadki. Należą do nich także wszystkie zakłady pogrzebowe. Mają układy z pogotowiem ratunkowym. Natychmiast po wystawieniu przez lekarza aktu zgonu zjawiają się u rodziny zmarłego ich agenci, proponując godziwy pochówek w gustownej trumience. Dofinansowali Świątynię Bożej Dobroci, dbając o naszą chrześcijańską moralność i pośmiertne zbawienie. Chwalebna troskliwość! Mają na względzie nie tylko nasze grzeszne ciała, ale i dusze. A najzabawniejsze, że mało kto ich dotychczas widział, oprócz wybrańców, którzy z nimi współpracują. Podobno są bliźniakami mojego wzrostu, ale to też nie jest pewne. Krótkie nóżki i tłuste zadki. Zawsze należy się strzec nazbyt ambitnych kurdupli. Potrafią podpalić cały świat, byle tylko rozładować swoje kompleksy. Historia zna wiele takich przypadków. I co to za nazwisko: Strachy? Poprawnie nazwa firmy powinna brzmieć chyba: Strachowie. Ich nazwisko ponoć wcale się nie odmienia, pochodzą bowiem od węgierskich lub morawskich Żydów. Takie krążą pogłoski, choć oni sami twierdzą, że są „prawdziwymi Polakami”. Może jeszcze do tego katolikami i alkoholikami, cha, cha! Fakt, że imiona noszą słowiańskie: Lechosław i Jaromir. Ale to nic nie znaczy. Słyszałem, że zamierzają sięgnąć po władzę w najbliższych wyborach, wtedy być może cała społeczność Miasta ujrzy wreszcie naszych tajemniczych dobroczyńców na ulotkach, billboardach, może nawet na żywo, podczas mityngów...

– W każdym razie – zniecierpliwiony Walentyn przerwał gadatliwemu staruszkowi – idę niedaleko, do pobliskiego lokalu, nie spodziewam się więc kłopotów.

– Może do „Nekropolo”? – zasugerował domyślnie pan Lucek. – Nie powinieneś tam chodzić. To nie miejsce dla takich ludzi jak ty.

– Zgadłeś – przyznał niechętnie mężczyzna. – Mam tam kogoś...

Chciał powiedzieć „odnaleźć”, lecz w ostatniej chwili ugryzł się w język. Przyjaźń przyjaźnią, nie zamierzał jednak wtajemniczać wścibskiego, rozplotkowanego sąsiada w swoje sercowe sekrety.

– Spotkać – powiedział w końcu.

Antykwariusz pokiwał ze smutkiem głową.

– Kobieta – raczej oznajmił niż zapytał. – Może jeszcze młodziutka? Tego się obawiałem... Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. A do tej pory miałem cię, Walentynie, za spokojnego, cichego człowieka. Co też może z nami uczynić nieokiełznana żądza!

Na ekranie monitora chłostana postać obwisła bezwładnie i odwróciła się częściowo w stronę kamery... Zanim jednak Walentyn zdołał spostrzec jej twarz i ustalić płeć, staruszek jednym naciśnięciem klawisza wyłączył odtwarzanie. Spoglądał wciąż z troską na przyjaciela.

– Skoro wybierasz się w tak niebezpieczne miejsce, zaopatrz się przynajmniej u mnie w elegancką, dyskretną broń – zaproponował.

Podjechał na fotelu, do którego od dawna był przykuty, do przeszklonej szafki, w której na srebrnych haczykach wisiały staromodne, wytworne laseczki. Otworzył drzwiczki, wyciągnął nieproporcjonalnie długą rękę i wyjął laskę z pięknie rzeźbioną rączką w kształcie wijącego się złotego smoka o rubinowych ślepiach. Nacisnął jedno oko, a wówczas na końcu laski wyskoczyła cienka stalowa igła.

– Za pomocą tego szpikulca, wbitego na przykład w stopę albo jakąkolwiek inną część ciała, z łatwością unieszkodlisz przeciwnika – wyjaśnił. – Szok i nagły ból spowodują, że zdążysz uciec lub wezwać pomoc. Możesz jeszcze dla pewności przyłożyć mu w głowę gałką – dodał, gładząc smoczy łeb. Wcisnął drugie oko i igła schowała się do środka. – Co ty na to? Prawda, że przydatny sprzęt podczas nocnych spacerów po mieście? Jak dla ciebie: sto złotych.

– Za drogo – odparł oschle Walentyn. – Jak zawsze chcesz ze mnie zedrzeć ostatnią skórę. To bardzo ładna rzecz, ale, jak już mówiłem, nie przewiduję żadnych kłopotów tego rodzaju. Myślę, że właśnie bym sprowokował zło, zabierając ze sobą broń, nawet ukrytą. To tak, jakbym oznajmiał wszystkim czającym się w mroku demonom: wyjdźcie z ukrycia i atakujcie! Zmierzymy nasze siły!

– Jak chcesz – odrzekł antykwariusz, wzruszając ramionami i odkładając laskę na miejsce. – Mam na względzie tylko twoje dobro. Nie mów potem, że cię nie ostrzegałem.

Niemym świadkiem owej wymiany zdań była stojąca w rogu metrowej wielkości brązowa statuetka rogatego Dionizosa. Piękny, wyuzdany bożek stał w niedbalej pozie, wysuwając do przodu lewą nogę, zakończoną kopytem. Prawą dłonią unosił winne grono ku mięsistym, łakomym wargom. Przysłuchiwał się rozmowie dwóch śmiertelników z sardonicznym półśmieszkiem i boską obojętnością w martwych, posągowych oczach.

Walentyn od dawna pragnął, aby to dziełko ozdobiło jego salon, niestety, właściciel statuetki ani myślał ją sprzedać.

– To nie dla ciebie – mawiał podczas kolejnych pertraktacji. – Nie stać cię na to, drogi Walentyne.

Wymieniał przy tym astronomiczną sumę, tylko nieznacznie różniącą się od poprzedniej, wciąż jednak zdecydowanie nie na kieszeń sąsiada.

Drużbarski doskonale rozumiał niechęć starego dziwaka do rozstania się z piękną rzeźbą. Im dłużej antykwariusz odmawiał, tym Walentyn bardziej jej pożądał. Ostatecznie miał nadzieję, że może niesamowity staruszek zapisze mu ją w testamencie.

Na ulicę wyszedł mocno wytrącony z równowagi. Czas uciekał, robiło się coraz później i nie był wcale pewien, czy słusznie czyni, wyruszając na poszukiwanie głupiej, niesłownej panienki. Czy to możliwe, żeby porządna studentka akademii dorabiała sobie po nocach jako prostytutka i gwiazda filmów porno w stylu SM? – zastanawiał się w duchu. W pierwszej chwili pomysł wydawał się absurdalny, jednak jej ekscentryczny nocny strój, wyzywające zachowanie i szemrane towarzystwo,

w jakim się obracała, dawały dużo do myślenia. Czuł, że nie spocznie, dopóki nie wyjaśni owej zagadki.

– O, idzie ta stara ciota – usłyszał z mijanej bramy ochryply głos.

– Uważaj, jak leziesz, lalusi – zawtórował mu drugi.

Z ciemnej czeluści bramy zionęło źle przetrawionym spirytusem, uryną, wrośniętym w skórę brudem i zgnilizną rozkładających się zwłok. Typowy odór dla tych żywych truposzy.

Walentyn jak zwykle udał z godnością, że nie słyszy zaczepek, nie zdołał jednak zapanować nad ciekawością, by zerknąć w stronę, skąd dochodziły owe pijackie bełkoty.

Dwie pokraczne karykatury człowieczeństwa nie przedstawiały sobą zaskakującego widoku: obie z sinymi gębami i czerwonymi oczami, spoglądającymi na świat tępo i nienawistnie.

Młodszy mężczyzna miał rozlewający się pod lewym okiem ogromny granatowy siniec, drugi – zakrwawioną połowę twarzy i naderwane ucho. To również było typowe dla bramnego zombie, półumarłaka z ulicy Wschodniej. W zasadzie bramni truposze nie byli szczególnie groźni, jeśli chodzi o siłę fizyczną, potrafili jednak jadowicie ukąsić intruza.

Tuż za rogiem wkraczało się w całkiem inny świat – w główną aleję, pełną złudnego blichtru i tandety – który jednak pachniał i wyglądał znacznie lepiej. Trzeba było jeszcze tylko ominąć wystawione do wywózki przepełnione kubły na śmieci, przy okazji płosząc syczące ze złości dzikie koty. Pojemniki były sygnowane, a jakże, logo firmy „Bracia Strachy”, jak niemal wszystko w Mieście.

Walentyna kusilo przez chwilę, żeby zawrócić do antykwariatu, nabyć od pana Lucka morderczą laskę i rozprawić się wreszcie z wystającymi w jego bramie ludzkimi śmieciami.

Gdyby im dołożył, może by go wreszcie zaczęli szanować. Zaraz jednak pomyślał, że szacunek ze strony takich degeneratów tylko by mu uwłaczał, a zemsta na tych gnojkach miałaby gorzki smak. Nie mówiąc już o tym, że takie zachowanie nie licowałoby z godnością krytyka muzycznego jednego z czołowych miejskich dzienników, a skandal by mu tylko zaszkodził. Już widział tytuły w brukowcach: „Redaktor Drużbarski bije bezbronnych włóczęgów!”. „Znany krytyk prześladowuje żebraków!”. I tym podobne. Lepiej zrezygnować z czynnej zemsty na rzecz niezmiennie lodowatej pogardy. Poza tym

najważniejsza w życiu starego kawalera stała się w tej chwili walka o niespodziewanie zbudzone w środku zimy uczucie. O miłość, która mogła go na nowo ożywić i przywrócić mu sens istnienia. To był cel, do którego warto było dążyć naprawdę, odkładając na bok małostkowe urazy.

Aleję Papieską zdołały tego wieczoru porozwieszane wszędzie plastikowe migoczące serduszka. Nowa, świecko-katolicka tradycja... – skonstatował z ironią Walentyn. Całą długość ulicy wypełniał nieprzebrany tłum, żądny uciech i różnego rodzaju podniet.

Większość mieszkańców Miasta, a nawet przyjezdnych turystów, wyglądała jak wycięta spod jednej

sztancy: mali, brzydzy, pękaci, nisko skanalizowani, bez względu na płeć.

Klasyczna polska rasa nizinna, dzieci mazowieckich pól, łąk i mokradeł. Walentyna zawsze zastanawiała, skąd biorą te swoje ohydne szare kurtki, wybitnie nietwarzowe czapki i podrabiane sportowe obuwie. Sam ubierał się z tradycyjną, skromną elegancją, a w sklepach, w których się zaopatrywał, nie było tego rodzaju towarów. Dowiedział się w końcu od znajomego dziennikarza, że większość miejscowego plebsu odziewa się tanio od stóp do głów w gigantycznym domu towarowym, znajdującym się na przedmieściach, należącym oczywiście do koncernu „Strachy”. Nawet blokery z lumpiarskich osiedli mogli tam nabywać swoje ulubione paskudnie pstrokate dresy, w których tak lubili dumnie paradować.

Drużbarski wołał już od tego prząsnego, ludowego stylu skórzaną ekscentryczność niepokornej i niegrzecznej młodzieży, wypełniającej co noc mroczne wnętrza „Nekropolo”.

Kamila... Przy całym swoim wyzywającym nocnym image’u wybijała się jednak korzystnie na tle przeciętnych mieszkańców Miasta, nie tylko dzięki wyjątkowo długim i zgrabnym nogom. Choć ledwie ją poznał, Walentyn czuł, że dziewczyna odróżnia się od reszty także kulturą i rasą. Z pewnością miała w małym palcu wiedzę, którą tutejsza ludność przyswajała sobie z wielkim trudem w ciągu ostatnich lat: że w cywilizowanym świecie cienka szklanka służy wyłącznie do picia zimnych napojów, nie zaś do parzenia w niej kawy i herbaty; że przy wejściu do jakiegokolwiek pomieszczenia, nie wspominając już o pociągach czy autobusach, pierwszeństwo mają zawsze wychodzący; że gość będący u kogoś z wizytą nie powinien ściągać butów w przedpokoju i paradować po obcym mieszkaniu w skarpetkach; że prawdziwa kultura zaczyna się nie od bogato zdobionego salonu, lecz od sterylnie czystej toalety. Całą tę drażniącą litanię wad i codziennych przewin swych rodaków znał Drużbarski na pamięć i mógłby ją wyrecytować nawet zbudzony w środku nocy. On sam nigdy ich nie popełniał, nie tylko dlatego, że został odpowiednio wychowany. Po prostu miał to we krwi lub też, mówiąc bardziej nowocześnie, jego genotyp zawierał owe cenne, zapisane od pokoleń informacje. Był przekonany, że Kamila również je posiada. Dlatego tak dobrze się rozumieli. Najlepiej, kiedy ludzie dobierają się stylem bycia i sposobem myślenia. A jednak właśnie teraz się ośmieszał, szukając w podejrzanym miejscu tej wspianiałej, choć najwidoczniej niepoważnej lub, co gorsza, perfidnej osoby. Wolałby,

żeby tak było, żeby po prostu okazała się lekkomyślną, zapominalską dziewczyną. Bo jeśli naprawdę coś jej się stało, sprawa mogła wyglądać znacznie gorzej.

Zamierzał zacząć poszukiwania od zasięgnięcia języka od stałych bywalców lokalu.

Walentyn podszedł do przesiadującej wiecznie przed bramą zdetronizowanej Królowej, która zachwalała swój nędzny towar piskliwym, płaczliwym głosikiem:

– Panie, kup pan świeży czosnek i medalik... Na zdrowie i na wampiry... Zmory nocne boją się tego i na pewno uciekną.

– Kamila! – przerwał jej brutalnie. – Nie widziała jej pani dzisiaj?

Nieszczęsna kobiecina zaprzestała monotonnej wyliczanki i spojrzała na pytającego nieco

przytomniej. Skinęła zakutaną w chusty głową i rozciągnęła w uśmiechu pomarszczoną twarz, odsłaniając niemal bezzębne dziąsła.

– Kamila? – powtórzyła, jakby się zastanawiając. – A któżby nie znał tego huncwota, latawca. Lata to z gołym brzuchem i gołymi nogami w największy mróz i nikogo nie słucha.

Stroi się jak lafirynda i puszcza na prawo i lewo. Mówią, że wszystko zrobi za te swoje... no, narkotyki.

– Jakiego znowu Kamila? – warknął mężczyzna, zgrzytając lekko zębami. – Chodzi mi o dziewczynę, Kamilę Mens. Taką w długim czarnym płaszczu i botkach na wysokich obcasach. Mocno umalowana. Czarne włosy, to znaczy... peruka. Często tutaj bywa, jak sędzę. Widziała ją pani dzisiaj?

Królowa wytrzeszczyła mętne oczy o barwie wypłowiałego błękitu. Wydawała się wielce zdziwiona.

– Dziewczyna Kamila? – odparła tępo. – Nie wiedziałam, że ma dziewczynę. To narkoman. Jego miłością jest ta, no... jak to oni mówią... aha, koka.

– Co pani ciągle o jakimś Kamilu – zdenerwował się na całego Walentyn. – Szukam dziewczyny o imieniu Kamila. Całkiem niedawno widziałem, jak pani z nią rozmawiała.

Kobieta wzruszyła okrytymi grubym pledem ramionami.

– Ja tam nic nie wiem – odrzekła, jakby się tłumacząc – i niczego już nie pamiętam.

Kiedyś, bywało, znałam wszystkich tutejszych klientów. Komu to ja legitymacji nie sprawdzałam, ho, ho, ho! Zagranicznego artystę raz w wejściu zatrzymałam i jednego generała... Była ze mnie prawdziwa pani! Królowa Kuli Ziemskiej, tak mnie nazywano. A teraz kto wie, co tym lokalem rządzi! Strachy, strzygi, upiory... Kup pan lepiej czosnek, a i różaniec nie zawadzi przeciw złym mocom... – zaczęła znowu swoje.

Walentyn machnął ręką. Nie dogada się z tą wariatką, ofiarą minionego i nowego systemu. Należało porozmawiać z kimś bardziej sensownym. Bez namysłu wkroczył

pewnym krokiem w ciemną czeluść bramy wiodącej do „Nekropolo”.

Bez wątpienia owa determinacja go uratowała, albowiem na dziedzińcu podwórka studni natknął się na bójkę dresiarzy. Właściwie chyba raczej na egzekucję. Dwóch rośłych, łysych byczków o grubych karkach rzuciło na kolana trzeciego, wyglądającego znacznie mizerniej.

Okładali swą ofiarę po głowie, fachowymi ciosami rozbijając łuki brwiowe, rozkwaszając nos i naruszając uzębienie. Chłopak miał twarz zalaną posoką, krew płynęła chyba nawet z uszu. Nie protestował, – jęczał tylko cicho. Obok stała histerycznie śmiejąca się, najwyraźniej kompletnie pijana albo zaćpana dziewczyna. Trzymała w dłoni telefon komórkowy, którym rejestrowała całe zdarzenie, zapewne ku późniejszej uciechu sprawców.

A może to miała być dokumentacja przeznaczona dla szefów tych barczystych troglodytów?

Lub jeszcze lepiej: rozprowadzany w Internecie za odpowiednią wpłatą filmik „ostatniego tchnienia”? Słyszało się już i o takich historiach. Niektórych ludzi nic tak nie podnieca, jak cudza śmierć niemal na żywo. Odkąd cywilizacja europejska zrezygnowała z publicznych kaźni, lud stracił jedną ze swoich ulubionych rozrywek. Trzeba było dać mu jakiś ekwiwalent. Walentyn uznał w pierwszej chwili, że lepiej się nie mieszać do gier i zabaw miejscowej ludności. Po raz drugi pożałował jednak, że nie ma przy sobie paraliżującej laseczki, którą mu proponował po przyjacielsku pan Lucek. Ruszył szybkim krokiem w stronę wejścia do pubu, udając, że niczego nie zauważa.

– Ujebałeś mnie krwią, skurwielu – rzucił jeden z oprawców z wyrzutem, unosząc na dowód mocno zachlapaną na czerwono pięść wraz z przybrudzonym rdzawymi plamami rękawem dresu, bez wątpienia szczególnie dlań drogocennego.

– Ty szmato, ty cwelu – wtórował drugi. – Rozbieraj się, kurwa!

Nieszczęśnik spełnił pokornie rozkaz, ściągając drżącymi dłońmi ubranie. Cały się trząsał

jak osika. Zaczęli go kopać dla rozgrzewki w różne czułe miejsca, wreszcie chwycili pod ramiona i walili głową rytmicznie o mur, jak taranem.

– Zobacz, kurwa, jak mu fajnie łeb od ściany odskakuje – stwierdził z satysfakcją większy i tęższy łysol.

– I jak mu się jaja trzęsą – sekundował jego towarzysz z lubieżnie debilnym grymasem na kwadratowej gębie.

Dziewczyna nadal się zaśmiewała do rozpuku, niestrudzenie rejestrując pyszną zabawę kolegów.

Walentyn zatrzymał się w pół kroku. Zwykła uliczna bójka miejskiej hołoty była w zasadzie czymś normalnym, nawet w alei Papieskiej. To, czego był mimowolnym świadkiem, zmierzało jednak prostą drogą do morderstwa. Zaraz zdepczą tego nieszczęśnika na miazgę. Chociaż los owego kozła ofiarnego był mu w zasadzie obojętny, podobnie jak przyczyna, dla której był niemiłosiernie katowany, to jednak nie mógł spokojnie przyjąć do wiadomości, że na jego oczach dręczą, być może nawet zabijają człowieka. Odruchowo sięgnął po komórkę, by zawiadomić policję, odetchnął jednak z ulgą, spostrzegając w drzwiach pubu czarny kombinezon ochroniarza. Strażnik stał niedbale wsparty o framugę drzwi i przyglądał się wszystkiemu spokojnie, niemal obojętnie zmrużonymi oczyma, z ledwie zauważalnym uśmieszkiem w kącikach ust.

– Pozwala pan, żeby coś takiego działo się przed wejściem do waszego lokalu? – zapytał oskarżycielskim tonem Walentyn.

Ochroniarz Kuba szybkim gestem podniósł wskazujący palec prawej dłoni do ust.

– Niech się pan uspokoi – odpowiedział cichym, kojącym głosem. – Wszystko jest pod kontrolą. Odpowiednie służby zostały już powiadomione i zaraz tu będą. Proszę wejść do lokalu i zamówić

drinka. To jedyne, co może pan zrobić.

Walentyn istotnie czuł się bezsilny. Uspokajający ton silnego, opanowanego mężczyzny podziałał na niego. Całe Miasto mówiło, że bracia Strachy mają dobre układy z miejscową mafią, toteż lokale należące do tajemniczych bliźniaków uchodziły za względnie bezpieczne.

Wyminął usuwającego mu się z drogi strażnika i wszedł do środka. Wzdrygnął się jednak, ujrawszy krwawe bryzgi na ścianach. Poprzednim razem nie zrobiły na nim aż tak silnego wrażenia.

Ochroniarz pospieszył w ślad za nim i zajął miejsce na krzeselku przy drzwiach.

– Czy była tu dzisiaj Kamila? – zapytał Walentyn.

Tamten zmarszczył brwi, jakby w pierwszej chwili nie zrozumiał, o kogo pyta starszy pan. Po chwili twarz mu się rozjaśniła.

– Pyta pan o Kamila? – odpowiedział pytaniem. – O tego ładnego, długonogiego chłopaka, z którym był pan tutaj ostatnio? Niestety, dzisiaj go nie widziałem.

– Chłopaka?! – nastroszył się Drużbarski. – Nie znam żadnego... chłopaka. Byłem tutaj z dziewczyną, studentką akademii muzycznej. Kamila Mens, znakomita, dobrze zapowiadająca się wiolonczelistka. Ubiera się wprawdzie dość ekscentrycznie, ale to wielki talent...

– Skoro pan tak uważa – odparł układowie ochroniarz. – Musi pan jednak zdawać sobie sprawę, że dziewczęta i chłopcy w tym pubie nie zawsze są tym, czym się z pozoru wydają.

To wszystko Dzieci Szatana, a wśród nich nie ma sztywnego podziału płci.

– Co pan plecie? – zniecierpliwził się Walentyn. – Zadałem chyba proste pytanie: czy widział pan tu dzisiaj Kamilę? A może sugeruje pan, że prowadzam się z transwestytą?

– Gdzieżbym śmiał! – zastrzegł się strażnik z ironiczną skwapliwością. – Taki przystojny i elegancki mężczyzna zasługuje na najpiękniejsze kwiaty z naszego ogródka.

Niestety, dzisiaj nie widziałem pańskiego słodkiego skarbu. Ale rzeczywiście często tu bywa. Proponuję, żeby pan usiadł przy barze i wypił drinka. Proszę cierpliwie poczekać.

Może w końcu zjawi się to чудо.

Odchodząc w stronę baru, Walentyn czuł na plecach czujne, lecz spokojne spojrzenie cerbera owej otchłani grzechu. Silny, postawny facet o lekko przyprószonych siwizną skroniach miał w sobie coś ze starego, doświadczonego pytona. Wisiał po prostu na gałęzi w najbardziej ruchliwym miejscu dżungli, mając pewność, że pożywienie w końcu samo do niego przyjdzie. W przeciwieństwie do niego muzykolog był jednym kłębkim nerwów.

Przez głowę przebiegały mu tabuny całkiem szalonych myśli: albo ja zwariowałem, albo

wszyscy tutaj są wariatami. Co mają znaczyć owe aluzje i dwuznaczne uśmiešky? Czyżby Kamila była demonicznym hermafrodytą, który potrafi zmieniać na zawołanie płeć? A może kiedyś była chłopcem, który chirurgicznie przerobił się na dziewczynę? Słyszałem o takich przypadkach. Niemal płaski biust, wąskie biodra i nogi lekkoatlety...

W owej chwili zdał sobie sprawę, że sam patrzy inaczej niż do tej pory na urodę tajemniczej istoty. A najgorsze było to, że wcale nie czuł odrazy. Cóż by na to powiedzieli jego rodzice, a zwłaszcza matka, gorliwa katoliczka i słuchaczka wiadomego Radia?

Nie, to jakiś absurd, zdecydował w końcu. Natura nie mogła się pomylić do tego stopnia.

Padłem raczej ofiarą okrutnego żartu, zbiorowego spisku, do którego wyrafinowana panienska wciągnęła też Królową i ochroniarza. Zapewne teraz śledzi to wszystko z ukrycia i śmieje się z figla, jakiego mi spletała.

Nie miał jednak odwagi zaczepić żadnego z kłębiących się wokół młodych ludzi i dalej wypytywać o swoją ukochaną. Przestraszył się, że dowie się na jej temat jeszcze gorszych rzeczy, chociaż nie umiał sobie nawet wyobrazić jakich. Zamierzał wypić jednego drinka –

profesjonalny, niezwykle przystojny barman nalał mu od razu, bez pytania, fikołka, to jest wódkę z sokiem pomarańczowym – i wrócić do domu. Cała ta historia wydała mu się teraz żałośnie nonsensowna. Najbardziej żałosny Walentyn wydał się sam sobie: oto redaktor Drużbarski, człowiek w poważnym wieku, cieszący się szacunkiem kulturalnej i wykształconej części społeczeństwa, ugania się za cieniem jakiejś rozwydrzonej, zepsutej panienski... Wszystko to było rzeczywiście bez sensu. Trzeba z tym skończyć, dopóki nie jest za późno i dopóki nie wplątał się w jakąś grubszą, jeszcze bardziej kompromitującą aferę.

Wysączył alkohol do ostatniej kropli i zamierzał już podnieść się z niewygodnego barowego stołka, gdy nagle uświadomił sobie, że od co najmniej kilku minut jego uwagę przykuwa pewne dziwne zjawisko.

Toaleta w „Nekropolo” była „koedukacyjna”, czyli wspólna dla osób płci obojga, co zresztą nie miało większego znaczenia, jeśli ochroniarz mówił prawdę o biseksualnych preferencjach stałych bywalców. Walentyn, obserwując kątem oka sznureczek wędrujących w stronę kibla gości, zorientował się w pewnej chwili, że część z nich podejrzanie długo stamtąd nie wychodzi. Niektórzy pojawiali się ponownie na sali, inni zaś jakby bezpowrotnie ginęli w czeluściach kloaki. Było to dosyć intrygujące. Wrodzone cechy Walentyna –

wstydlivość, strachliwość i delikatność – powstrzymywały go dłuższy czas przed naocznym przekonaniem się o losie zaginionych, zwyciężyła jednak ciekawość. A może właśnie stamtąd obserwuje go złośliwie się uśmiechająca Kamila?

Kiedy zeskoczył z wysokiego stołka, poczuł, że kręci mu się w głowie. Nogi miał

dosłownie jak z waty. Nigdy nie pił zbyt dużo, wiedział bowiem, że ma słabą głowę, ale to już była przesada. Chyba rzeczywiście programowo dodawano coś tutaj gościom do alkoholu albo tak

działała na niego niezwykła atmosfera tego miejsca. Zatrucie spowijającym wewnątrz dymem z masowo palonych skrętów i papierosów zapewne miało też

w tym swój udział. Chwiejnym krokiem udał się do toalety, konstatuując ze zdziwieniem, że wzrok mu się także lekko zamącił.

Pchnął drzwi i wkroczył do cuchnącego moczem i środkami dezynfekcyjnymi, wyłożonego kafelkami pomieszczenia. Nie było tutaj pisuarów, tylko rozliczne kabiny, a w każdej jakaś ciekawostka. W jednej znalazł dwie całujące się i pieszczące namiętnie dziewczyny; w drugiej chłopaka zaciskającego w zębach koniec owiniętej wokół

przedramienia gumki i bez żenady wbijającego sobie w nabrzmiałą żyłę igłę strzykawki; w kolejnej dwaj chłopcy palili wspólnego skręta z marihuaną i nawzajem wdmuchiwali gryzący, upajający dym prosto w usta partnera, co wydawało się dogodnym pretekstem do delikatnego pocałunku. Nawet pobieżny rzut oka półprzytomnego człowieka wystarczył

jednak, żeby się zorientować, że w owym ustronnym pomieszczeniu nie było większości ludzi, którzy weszli tutaj kilka czy kilkanaście minut temu. Gdzie się wszyscy podziali?

Rozejrzał się raz jeszcze uważnie dokoła, na ile pozwalały mu zamglone, uparcie łzawiące oczy. Zauważył wreszcie coś, co mogło pomóc w rozwiązaniu zagadki. Pod przeciwległą do wejścia ścianą znajdowała się sporej wielkości żelazna szafa, z rodzaju tych, w których się przechowuje szczotki, wiadra, płyny do zmywania i inne środki czystości.

Kiedy podszedł bliżej, zauważył w murze po jej prawej stronie ciemną szparę. Bez namysłu wyciągnął ręce i pchnął mebel. Z pozoru ciężka szafa dała się przesunąć bez wysiłku, z lekkim wizgiem kulkowego łożyska, na którym była zamontowana od tyłu. W ten sposób odkrył wejście do kolejnego, znajdującego się niżej pomieszczenia.

Zszedł parę kroków po niewielkich schodkach, po raz trzeci żałując, że nie ma przy sobie ofiarowywanej mu przez usłużnego antykwariusza laseczki. Znalazł się w obszernej piwnicy, w ścianach której ziały sporej wielkości ciemne nisze. Słabe światło podwieszonych u sufitu czerwonych żaróweczek nie pozwalało dostrzec niczego zbyt wyraźnie i nadawało zaiste piekielny wygląd odbywającym się w ściennych wnękach igraszkom. To, co Walentyn ujrzał w owych grobowych kryptach, przypominało jako żywo sceny z obrazów porozwieszanych na ścianach jego azylu. Z mrocznych głębin wyłaniały się skłębione, nagie, androgyniczne ciała słodkich aniołów i kusicielskich demonów, wijące się w mękach i ekstazie piekielnych rozkoszy. Brakowało im tylko skrzydeł, rogów i ogonów.

Podział na płci nie był przestrzegany nazbyt ortodoksyjnie. Mężczyzna nawet nie przypuszczał, że to, co dotychczas uważał za wytwory chorobliwej wyobraźni artysty, dzieje się naprawdę, i to zaledwie kilkadziesiąt metrów od jego domu. Szalony malarz musiał tu często bywać. Walentyn nie wiedział także tego, że podobne miejsca istnieją w wielu lokalach i fachowo nazywają się *dark room*.

W pierwszym odruchu zamierzał pruderyjnie wycofać się z zamkniętymi oczami, składając hołd swej inteligentkiej bigoterii i drobnomieszczańskiej hipokryzji, w jakiej został wychowany, ale

powstrzymał go od tego nagły impuls. Otworzył szerzej oczy, gdy ujrzał w głębi piwnicy wyłaniającą się z mroku postać w krótkich szortach i obcisłym T-

shircie. Ciemne włosy były ścięte na pazia. Nogi wydawały się dłuższe i zgrabniejsze dzięki botkom na wysokim obcasie.

– Kamila – szepnął Walentyn, niezdolny krzyknąć.

Zresztą jego głos nie zdołałby się przebić przez dudniącą pod piwnicznym stropem ostrą, ponuro brzmiącą muzykę.

Widział zaledwie zarys znajomej postaci. Wszystko mieniło się i rozmazywało w jego zmęczonych oczach. Podziemny loch jakby się chwiał i kołysał wokół niego, podobnie jak betonowa posadzka pod stopami. Ruszył w stronę domniemanej wybranki, z żalem spostrzegając, że Kamila oddała się w coraz gęstszy mrok i za chwilę może całkiem zniknie mu z oczu. Nie odwracała głowy, a jednak odnosił wrażenie, że przed nim ucieka. Kiedy wszedł za nią w niemal zupełną ciemność, niedaleko przed nim rozbłysło sine światełko.

Dziewczyna otworzyła niewielkie, żelazne drzwiczki i zniknęła za nimi, pozostawiając je lekko uchylone. Chociaż każdy krok sprawiał Walentynowi coraz większą trudność i musiał

przytrzymywać się zimnych, oślizgłych ścian, wytrwale ruszył w pogoń za swoją jedyną miłością.

Wszedł do wąskiego i niskiego, wiodącego w dół tunelu, oświetlonego sinymi, mdło połyskującymi lampkami. Nie widział przed sobą dziewczyny, słyszał jedynie stukot jej obcasików. Niezdolny, by przyspieszyć kroku, włókł się noga za nogą, czując się coraz gorzej. Miał wrażenie, że schodzi w coraz niższe kręgi Inferna, wiedziony przez widmową przewodniczkę. Dotarł wreszcie do niewielkiego okienka tuż nad podłogą, z którego buchało jaskrawe światło. Zaciekawiony przyklęknął i zajrzał przez brudną szybkę.

W pierwszej chwili oślepił go blask jarzących się w obszernym pomieszczeniu jupiterów. Zamrugał kilkakrotnie i odczekał, aż przestaną mu migać pod powiekami czerwone płyty. I zobaczył...

Na dolnym poziomie znajdowało się coś na kształt studia filmowego. Ściany były zawieszane białymi, mocno przybrudzonymi płachtami. Operator uruchomił właśnie kamerę i przykucnął, by lepiej widzieć filmowany obiekt. Walentyn rozpoznał bez trudu twarz znanego reżysera alkoholika, który stał obok i półgłosem udzielał wskazówek współpracownikowi. Najciekawszy był wszakże sam obiekt. Z sufitu zwieszało się na stalowych linkach broczące krwią z licznych ran, oplecione drutem kolczastym nagie męskie ciało. Twarzy nie było widać, albowiem ofiara miała na głowie czarny worek. Nieszczęśnik kołysał się bezwładnie, być może już martwy, a może tylko omdlały.

Walentyn z trudem stłumił wyrywający się z gardła krzyk odrazy i przerażenia. Uciekaj!

– przemknęło mu przez głowę. Zanim jednak zdążył podnieść się z klęczek, poczuł bolesne ukłucie w podudzie prawej nogi. Kilka sekund później upadł na ziemię, miękko niczym szmaciana lalka. Zachował jednak świadomość i chyba to było najgorsze. Ktoś stojący za nim narzucił mu na twarz

czarną płachtę, po czym wykręcił ręce do tyłu i skuł kajdankami.

Następnie silne dłonie pochwyciły go i wlokły gdzieś długo po lodowato zimnej betonowej podłodze. Ostatecznie został rzucony na stertę czegoś oślizgłego i cuchnącego tak ohydnie, że żołądek podszedł mu do gardła. Podziękował w duchu opatrności, że szczególnym zrządzeniem losu nie zjadł tego wieczoru kolacji. Niczego nie widział, ciągle jednak słyszał, co dzieje się wokół niego. Jego prześladowca oddalił się spieszenie, a wówczas do uszu Walentyna dotarły odgłosy z podziemnego studia.

Ktoś otworzył gwałtownie i z przeraźliwym zgrzytem jakieś żelazne drzwi. Chwilę panowała martwa cisza, potem rozległ się dziwnie stłumiony, a zarazem świszczący i sepleniący głos, przemawiający ostrym, nieprzyjemnym tonem:

– Dostyc już tej zabawy, kolego reżyserze. Agencja jest na twoim tropie i wkrótce cię namierzy. Trzeba wziąć się w garść. Podjąłem z bratem decyzję zaprzestania tej produkcji.

W tych czasach stała się zbyt niebezpieczna.

– Zwłaszcza że zamierzamy startować w najbliższych wyborach – rozległ się drugi głos, niemal identyczny, a jednak w jakiś nieuchwytny sposób odmienny, zwłaszcza dla wprawnego ucha muzykologa. – Lechosław będzie prezydentem Miasta, ja zostanę przewodniczącym Rady

– Tacy jesteście pewni? – zachrypiał znany, choć upadły reżyser. – W takim razie i tak będziecie mieli w garści wszystkie lokalne służby.

– Ale także potężnych wrogów – odparł pierwszy z braci. – W tej sytuacji nie możemy pozwalać sobie na żadne słabości. Startujemy pod hasłem walki o nowe, bardziej moralne Miasto, pielęgnujące tradycyjne rodzinne wartości.

– Dlatego taki lokal jak „Nekropolo” będzie musiał zniknąć – dodał drugi. – W Mieście nie będzie miejsca na rozwiązłość, niekontrolowane życie seksualne i nielegalne aborcje.

Zamierzamy nawet zwalczać zbyt wyzywające stroje u kobiet. Propaganda

homoseksualizmu także zostanie wykluczona z naszego życia, a szczególnie ze szkół. W

końcu nie bez przyczyny wsparliśmy budowę Świątyni... Zresztą może pozostawimy ten pub w okrojonej formie jako wentyl bezpieczeństwa i azyl dla różnego rodzaju wyrzutków.

Będziemy mieli ich stale na oku. Ostatecznie mamy demokrację, nieprawdaż? Żyj sam i daj umrzeć innym, hi, hi. Zastanawiamy się ciągle z bratem...

– Rozumiem – oświadczył artysta drwiącym tonem. – Któż, jak nie wy, ma prawo nauczać mieszkańców nowej moralności. Szkoda, że kończymy nasze podziemne działania.

Miałem właśnie pomysł na film o trzynastolatce zgwałconej przez własnego ojca, która umiera przy

porodzie, ponieważ pobożny rodzic uważa, że trzeba chronić każde poczęte życie...

– Czystość, prawo i dyscyplina – przerwał mu twardo jeden z bliźniaków. – Musisz powściągnąć swą chorobliwą wyobraźnię, przynajmniej na czas kampanii wyborczej. Nie będziemy tolerować nikogo, kto nie zechce się podłanczać pod nowy nurt. Nakręcisz dla nas spot reklamowy, z którego będzie wynikało, że cała udręczona europejską anarchią mentalną ludność Miasta marzy tylko o tym, żebyśmy zaprowadzili porządek.

– I że modlą się za nas w kościołach – wtrącił drugi. – Pokażesz nas, przede wszystkim, jak całujemy krzyże i sztandary...

– I może także stópki jakiejś świętej męczennicy albo jeszcze lepiej zmarłego w cnocie prawiczka – podjął artysta, nie porzucając kpiarskiego tonu.

– Nie dokazuj, miły, nie dokazuj – zasyczał brat Strachy. – Pamiętaj, że to my wyciągnęliśmy cię z rynsztoka i utrzymujemy z naszej kasy.

– Nigdy o tym nie zapominam – przytaknął reżyser, znacznie bardziej potulnie.

– Więc rób, co ci każemy – upomniał go oschle bliźniak. – Do rana ma tu być wszystko uprzątnięte.

– W porządku – zgodził się upadły twórca. – W razie czego wezwiemy do pomocy Kubę. To pewny człowiek.

– Przeniesiemy twoje studio do podziemi Świątyni Bożej Dobroci – rzekł drugi brat Strachy. – Tam będziesz mógł się zająć bardziej budującą i moralną twórczością.

W piwnicznym studiu zaległa grobowa cisza, widocznie sponsorzy podziemnego twórcy opuścili już pomieszczenie. Walentyn słyszał tylko rumor przesuwanych sprzętów, brzęk przewracających się metalowych stelaży i ciche przekleństwa osób demontujących studio.

Nie miał pojęcia, jak długo tak leżał, stracił bowiem kompletnie poczucie czasu. Zastanawiał

się, czy pozostawią go tutaj, aż zdechnie z głodu i zgnije w zapomnieniu. Tajemnicę podziemnego studia, utrzymywanego przez dwóch świętoszkowatych, zakłamanych do szpiku kości polityków, zabierze ze sobą w zaświaty i w realnym świecie nikt się o niej nie dowie. Był gotów przysiąc, że nikomu o tym nie powie, byle tylko ocalić życie. Nikt się nim jednak nie zainteresował, mimo iż Walentyn wyczuł, że ktoś podszedł do miejsca, gdzie leżał, i cisnął obok coś miękkiego i bezwładnego. Zadrzał na myśl, że mogłyby to być zwłoki ofiary czyjejś wybujałej artystycznej wyobraźni... Zapewne jeden z licznych wyrzutków i narkomanów, nawiedzających „Nekropolo”, o którego świat także się nie upomni. Żołądek Walentyna znowu zaczął wyczyniać niemiłe mdlące harce, ale na szczęście nie miał czym wymiotować. Z workiem na głowie mógłby udusić się własnymi rzygami.

Zaiste, piękna śmierć dla kogoś, kto w oczach intelektualnej elity Miasta uchodził za wzór kultury i umiarkowanej elegancji. Potem pewnie szczury i robactwo oczyszczą szkielet niewygodnego

świadka.

Nie miał pojęcia, jak długo leżał na oślizgłym, chłodnym podłożu. Chociaż wciąż odczuwał mdłości i ból w zdrętwiałych rękach, w końcu musiał go zmorzyć sen, skoro oprzytomniał dopiero, kiedy poczuł, że ktoś potrząsa go za ramię.

Otworzył oczy, stwierdzając z zadowoleniem, że nie ma już czarnej zasłony na twarzy.

Ręce także miał wolne, roztarł więc sztywne, obolałe przeguby. Rozejrzał się wokół i zobaczył, że znajduje się w czymś na kształt wielkiego pojemnika na śmieci i siedzi na stercie zgniłych ryb i innych odpadków. To właśnie one tak straszliwie cuchnęły. Obok spoczywały okrwawione zwłoki, okręcone drutem kolczastym. Walentyn z trudem

powstrzymał kolejny odruch wymiotny. Ktoś znowu nim potrząsał. Spojrzał w górę.

Pochylał się nad nim i przyglądał mu uważnie ochroniarz Kuba.

– Jak się pan czuje? – zapytał z troską. – Może pan wstać?

– Spróbuję – odpowiedział chrapliwie Walentyn, nie poznając własnego głosu.

Podtrzymywany przez strażnika, stanął wreszcie na własnych nogach. Był ciągle oszołomiony, ale zawroty głowy minęły.

– Jeśli może pan iść, wyjdźmy stąd jak najszybciej – nalegał ochroniarz, wciąż podtrzymując pechowego klienta.

– Zamierza mnie pan zlikwidować? – zapytał rzeczowo Walentyn.

Kuba roześmiał się szczerze i z całego serca.

– Gdybym rzeczywiście miał taki zamiar, już dawno bym to zrobił. Wystarczyło pana udusić we śnie. Chcę pana wyprowadzić tylnym wyjściem, żeby jak najszybciej wrócił pan do domu. Ma pan szczęście, że natknął się na mnie, a nie na jakiegoś innego funkcjonariusza naszych szanownych braci. Wtedy nie skończyłoby się to dla pana tak dobrze.

– To pan mnie obezwładnił? – upewniał się jeszcze Drużbarski.

– Pewnie, że tak – przyznał z dumą ochroniarz, błyskając wesoło zębami. – Laseczki od pana Lucka zawsze są niezawodne. Radzę panu zaopatrzyć się w taką, jeśli znowu będzie pan chciał się wybrać na nocny spacer. Ukryłem pana w miejscu, gdzie wyrzucane są wszystkie wstydlive odpadki. Bracia tutaj nigdy nie zaglądną. Smród ich odstrasza... Ale zaręczam, że bardzo nie lubią niewygodnych świadków... No, ruszajmy, lepiej żeby nas nikt razem nie widział.

Poprowadził słaniającego się, wciąż jeszcze bardzo słabego mężczyznę przez siebie tylko znany ciąg tajemnych przejść i zapomnianych korytarzyków. Walentyn zorientował się w końcu, że przechodzą przez starą, opustoszałą fabrykę, której ruina straszyla na głębokich tyłach podwórka, przy którym

znajdował się pub „Nekropolo”.

– Sprzątnie pan później zwłoki? – zainteresował się jeszcze, chociaż nie oczekiwał szczerzej odpowiedzi.

Kuba znów się roześmiał.

– Jakie zwłoki? To zwykła filmowa kukła... Po prostu magia ekranu. Tutaj mordują na niby i torturują na niby... – dodał, trawestując ironicznie Szekspira. – Tak zwane „filmy ostatniego tchnienia” nie istnieją, to mit, klasyczna miejska legenda. Spalę manekina, żeby Agencja, jeśli nas dopadnie, nie zadawała niepotrzebnych pytań. Zresztą bracia Strachy wkrótce opanują także tajne służby i będą trzymać w garści całe Miasto. Dlatego ze szczerego serca radzę panu trzymać język za zębami. Nie wszyscy agenci mają tak subtelne sumienie jak ja. Zresztą i tak nikt panu nie uwierzy. Bracia znani są przecież ze swojej miłości do rodziny i żarliwej pobożności.

– Dziękuję panu – wybełkotał Walentyn. – Na pewno będę milczał. Choćby przez wzgląd na pana.

Nie miał najmniejszego zamiaru narażać się na wtargnięcie o szóstej rano do jego cichej pustelni funkcjonariuszy Agencji, którzy zawlekliby go bez sądu do więzienia, gdzie, jak głosiłby zapewne oficjalny komunikat, „aresztant powiesił się podczas próby ucieczki”. Nie on w końcu stworzył te czasy i nie on za nie odpowiadał. Marzył o chwili, kiedy wreszcie znowu schowa się przed złym światem w swojej bezpiecznej kryjówce.

Wyszli już na ulicę Świętego Sebastiana, równoległą do alei Papieskiej. Z tego miejsca było zaledwie kilkadziesiąt kroków do ulicy Wschodniej i kamienicy Walentyna.

– Niech pan się dobrze wyśpi i uzna po przebudzeniu, że wszystko było tylko koszmarnym snem – doradził na koniec ochroniarz. – Być może zresztą czeka na pana w domu miła niespodzianka, która pozwoli szybko zapomnieć niemiłe zdarzenia tej nocy. I zapraszam kiedyś ponownie do „Nekropolo”, gdy już pan otrząśnie się z szoku. Będzie pan u nas zawsze mile widziany. Sam czy też z... – zawahał się i dokończył z dwuznacznym uśmiechem – towarzystwem.

– Raz jeszcze dziękuję panu za wszystko – szepnął muzykolog, ściskając dłoń swego wybawcy.

Dalej poszedł sam, nie dziwiąc się specjalnie, że spieszący do pracy szarzy, smutni i brzydcy przechodnie omijają go niczym zadżumionego. Musiał wyglądać okropnie, a śmierdział jeszcze gorzej. Oślepiiony porannym zimowym słońcem, dygotał na całym ciele i mamrotał pod nosem słowa często wypowiedane w dawnych latach przez jego zmarłego ojca: „Bydlaki, chamy, ścierwa... co oni z nami zrobili”. Sprawiał wrażenie obłąkanego włóczęgi, do którego lepiej się nie zbliżać.

Chociaż droga nie była daleka, dotarł pod swój dom ledwie żywy. Antykwariat był

zamknięty na głucho, w bramie jednak na szczęście nikt nie urzędował. Po całonocnej warcie bramni zombie pochowali się wraz z pierwszym błyskiem słońca w swoich zatęchłych norach. Pośrodku tunelu pozostała po nich tylko sporej wielkości kałuża.

Walentyn nie mógł, a właściwie nie chciał rozeznaczyć: moczu czy krwi. Wkroczył cicho na klatkę schodową i szedł na uginających się nogach na swoje piętro, starając się robić jak najmniej hałasu. Stał jak wryty, dostrzegając skulony kształt na wycieraczce pod swymi drzwiami.

Ujrzał długonogą, szczupłą istotę, skrzyconą na kształt embrionu. Kamil? Nie, jednak Kamila. Wciąż miała na sobie pretensjonalny nocny strój, ale zdążyła zdjąć perukę i zetrzeć wyzywający makijaż. Okolona jasnymi włosami delikatna buzia dziewczyny wydawała się na powrót dziecięco ufna i niewinna. Kiedy dotknął jej ramienia, natychmiast otworzyła oczy. Potem zerwała się i błyskawicznie przywarła do niego całym ciałem.

– Gdzie byłeś? – zaszemrała mu wprost do ucha. – Przyszłam troszkę spóźniona...

Czekałam pod drzwiami, aż wrócisz, wreszcie nad ranem zasnęłam.

– Powiedz raczej, gdzie ty byłaś – odparł Walentyn, zdumiony obrotem sprawy i zaskoczony nieco bezczelnością dziewczyny. – Jeśli dla ciebie dwie godziny to niewielkie spóźnienie... Niepokoiłem się i wyszedłem cię szukać.

Przyłgnęła do niego jeszcze silniej.

– Niemądry staruszkę – mruzczała – mogli cię przecież napaść i zamordować jacyś szaleńcy, jakich nie brak w tym Mieście. Zamarudziłam u koleżanki na przedmieściu, a tam, no wiesz, moja sieć nie ma zasięgu... W dodatku zepsuł się jej samochód i musiałyśmy czekać na pomoc drogową. Nie mogłam zostawić w potrzebie przyjaciółki, a na dodatek nie miałam na taksówkę...

Walentyn wiedział, że dziewczyna kłamie jak z nut, ale nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia. W owej chwili liczyła się tylko jej ciepła, pulsująca gorącą, świeżą krwią obecność.

– Ale co się z tobą działo? – Teraz ona zaczęła indagować. – Wyglądasz i cuchniesz, jakbyś spędził noc na śmietniku – dodała, jak gdyby dopiero teraz zauważyła ten niezbyt przyjemny szczegół.

Odsunęła się lekko od niego z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

– I tak się czuję – odparł znużonym głosem Walentyn. – Wejźmy do środka, dziecino.

Oboje weźmiemy prysznic, potem na śniadanie zjemy zaległą kolację, a później odreagujemy jakoś tę szaloną noc. Na to, co się wydarzyło, najlepiej będzie spuścić zasłonę milczenia.

– Zgoda – odpowiedziała krótko dziewczyna, uśmiechając się słodko.

Kiedy oboje weszli do salonu, Walentyn oparł się o komodę i niechcący wcisnął guzik gramofonowego pilota. Pokój wypełniły subtelne dźwięki bluesa śpiewanego przez Dianę K.:

Ach, mój słodki Walentynie...

Miłość płynie, płynie... aż zginie.

Aleksandra Janusz

Ciasteczko

dla Lorelei

Pawła uprzedzono, że towar jest egzotyczny. Powiedziano, żeby niczemu się nie dziwił, a zwłaszcza nie przekładał powszechnych wyobrażeń i zabobonów na rzeczywistą sytuację.

W końcu nadal odkrywa się endemiczne gatunki i cuda natury, a niektóre wyjątkowo pobudzają wyobraźnię – tak jak na przykład słynny hobbit z Flores.

Tym razem znalezisko pochodziło z tropikalnej bezludnej wyspy i stanowczo nie wyglądało na wymarłe. Wstępne badania potwierdzały, że łatwo daje się oswajać, hodować, a nawet rozmnażać w niewoli. Odkrywczy wkrótce doszli do wniosku, że na handlu tymi stworzeniami można nieźle zarobić, i szybko zawarli umowę z Firmą. Przygotowano kilka kolonii na sprzedaż, a polski oddział dołożył wszelkich starań, żeby sprowadzono je między innymi do Warszawy. Na razie wszystkie szczegóły były objęte ścisłą tajemnicą handlową.

Do obowiązków Pawła należało przygotowanie kampanii reklamowej.

Magazyn pana Drosselmeyera mieścił się na obrzeżach stolicy. Otoczony żeliwnym ogrodzeniem, ze ścianami w nieprzyjaznym, ciemnoszarym kolorze i zakratowanymi oknami, przywodził na myśl więzienie o podwyższonym rygorze. Na parkingu stało kilka wysłużonych półciężarówek. Dwóch znudzonych ochroniarzy siedziało na schodkach przy głównym wejściu. Palili kiepskie papierosy i dyskutowali o polityce.

– Nie wolno im stykać się z obsługą głównej hali – wyjaśnił Drosselmeyer, otwierając drzwiczki służbowego mercedesa. – Utrzymujemy pozory kwarantanny. Nie mają pojęcia, czego tak naprawdę pilnują.

Paweł popatrzył na kierowcę, ponurego mężczyznę w ciemnych okularach i nienagannie wyprasowanym garniturze. Poczul się nieswojo. Facet okablował się zestawem słuchawkowym, a teraz rozmawiał z kimś przez komórkę. Skojarzenia z filmami sensacyjnymi nasuwały się same.

– Rozumiem, że to nie jest nowy gatunek gryzonia.

– Nie. – Pan Drosselmeyer rozciągnął wąskie usta w namiastce uśmiechu. – Nie jest.

Proszę za mną.

Wnętrze hali przypominało raczej laboratorium niż sklep ze zwierzętami. Aby się tam dostać, musieli minąć biura i kilkakrotnie użyć elektronicznego klucza. Na tle laborantów w kitlach i personelu odzianego w standardowe urzędnicze uniformy Paweł wyróżniał się jak papuga w stadzie wróbli. Modny garnitur, czerwona koszula, długie włosy przylizane pianką. Wyznawał zasadę, że dobra prezencja to w jego zawodzie podstawa. Kto w dzisiejszych czasach wierzy w powiedzenie, że szewc bez butów chodzi?

Przeszli przez śluzę – nieduże pomieszczenie, w którym obydwaj zostali zaopatrzeni w sterylne fartuchy, rękawiczki, ochraniacze na buty i jednorazowe czepki. Laborantka, która wydawała sprzęt –

młoda brunetka o drobnych, ślicznych ustach – powitała ich z tak promienną radością, że Paweł poczuł się zakłopotany. Jednocześnie przemknęło mu przez myśl, że warto by później zaprosić ją na kawę.

– Lubią tutaj pracować. – W spojrzeniu Drosselmeyera było coś wilczego.

Paweł nie po raz pierwszy zastanowił się nad jego podobieństwem do agenta Smitha albo gestapowca ze starych filmów.

Cóż. Nie wybierał zleceniodawców pod kątem ich sympatycznej fizjonomii.

Kiedy weszli do magazynu, pierwsze, co zobaczył, to rzędy małych klatek poustawianych na półkach i przykrytych szarym płótnem. Nie minęła sekunda – może dwie

– a w pomieszczeniu rozległa się cicha, łagodna melodia, ni to śpiew, ni to świergot. Paweł

poczuł, jak jego mięśnie się rozluźniają. Ogarnęły go spokój i błogość, wszystkie życiowe problemy nagle stały się nieważne lub niezwykle proste do rozwiązania.

– Przyjemne, prawda? – zagadnął go Drosselmeyer. – Działa podobnie jak medytacja.

Łagodzi negatywne emocje, relaksuje, poprawia koncentrację i jasność myślenia. Człowiek czuje się świeżo, jak po spokojnie przespanej nocy.

– No, dobrze. – Paweł w porę przypomniał sobie radę pośrednika, że niczemu nie powinien się dziwić. – Ale co to za zwierzę?

Jego rozmówca zdjął z półki małą klateczkę i ściągnął z niej płócienną osłonę. Paweł

wstrzymał oddech. Byłby wstrząśnięty, gdyby nie kojące działanie pieśni.

Elf mierzył kilkanaście centymetrów, trochę mniej niż lalka Barbie. Nie wyglądał

ludzko, co najwyżej humanoidalnie; miał czteropalczaste dłonie, małe stópki, wielobarwne skrzydełka i nieproporcjonalnie dużą głowę. Jego ciało było jasne i półprzejrzyste, przypominało figurkę uformowaną z wosku albo z plastiku, jak jednorazowe sztucce.

Wpatrywał się w Pawła zaciekawionym spojrzeniem zielonych, nieco wylupiastych oczu.

– Najlepiej sypać im karmę dla ptaków – powiedział Drosselmeyer, odstawiając klatkę z powrotem na półkę. – W poidelku woda mineralna, bo od kranówki chorują. Owoce, koniecznie świeże, mogą być warzywa. Od czasu do czasu kawałek gotowanego kurczaka, ale lepiej z tym nie przesadzać. Od nadmiaru mięsa robią się trochę pobudzone.

Paweł przyglądał się, jak elf zaciska piąstki na metalowych prętach i nerwowo trzepoce skrzydełkami.

– Są bardzo czyste, więc jeśli o to chodzi, wystarczy umieścić w kacie –

kontynuował Drosselmeyer.

– O Boże... – Paweł nie mógł oderwać wzroku od klatki. Stworzonko usiadło na ściółce z trocin, a następnie za pomocą ostrych ząbków i zręcznych dłoni zaczęło obierać pestkę słonecznika. – A co mówią naukowcy?

– Rzecz jasna, są wniebowzięci. To znacznie bardziej interesujący obiekt niż nowy rodzaj żuka gnojowca, nie sądzi pan? Zaczniemy od tego, że te... istoty nie przypominają żadnego ze znanych nauce gatunków. O ile zrozumiałem wywody znajomego zoologa, ich istnienie stawia na głowie całą współczesną systematykę. Zabawa z klasyfikacją zapewniona na następne kilkanaście lat. Może nawet ktoś dostanie Nobla. My mamy trochę inne priorytety.

– Ach... oczywiście.

Elf był zwinny i wdzięczny, humanoidalny wygląd nadawał mu pozory

człowieczeństwa. Paweł nie zauważył jednak w jego zachowaniu czegokolwiek, co świadczyłoby o inteligencji większej niż na przykład u chomika. To spostrzeżenie sprawiło, że odczuł ulgę. Gdyby było inaczej, postępowałiby przecież... jakoś tak nieetycznie.

– A organizacje ekologiczne? – zapytał.

– Opłaciliśmy kogo trzeba. Zresztą nie działamy na szkodę gatunku, można powiedzieć, że wprost przeciwnie.

– A... jeśli ktoś zacznie hodowlę?

– Nie ma obaw. Te tutaj są niepłodne. – Drosselmeyer pogładził delikatnie klatkę.

Stworzenie zaświergotało pytająco. – Robotnice. One się rozmnażają podobnie jak pszczoły albo mrówki, a królową trzymamy pod kluczem. I to jest właśnie najpiękniejsze. Nie grozi nam utrata monopolu.

Paweł poczuł, że w jego umyśle już zaczyna się kształtować zarys strategii marketingowej.

– Ciekawe, czy się przyjmą.

Pan Drosselmeyer ostrożnie zakrył klatkę płótnem.

– To już zależy od pana, panie Płocki.

* * *

Najpierw należało opracować target, co w tym wypadku było aż za proste. Piotruś Pan, Leśny Dzwoneczek, Calineczka, skrzydlate wróżki, zwierzątka w klateczkach – idealny produkt dla dzieci

w późnym wieku przedszkolnym i wczesnym szkolnym.

Zdecydował, że przy komponowaniu filmów reklamowych najlepiej obrać tę samą drogę, co twórcy współczesnych kreskówek – niby dla dzieci, a w rzeczywistości dla całej rodziny. W końcu to dorośli najbardziej skorzystaliby na uspokajających właściwościach elfiej muzyki.

Stąd rysunkowe wrózie, animowane komputerowo wrózie, biuściaste wrózie w skąpych wdziankach (nie szkodzi, że w rzeczywistości nie miały płci – seksem można sprzedać wszystko, począwszy od pasty do zębów, skończywszy na dachówkach). Urokliwe wrózie opowiadające dwuznaczne bajkowe dowcipy. Wojciech Mann rozmawiający z wrózią.

Prócz tego głosy ekspertów. Że bezpieczne. Że ekologiczne. Antyalergiczne, bo zasadniczo bezwłose, pominąwszy tę odrobinę puchu na głowie, który chyba miał tyle wspólnego z prawdziwą sierścią, co futro gąsienicy. Oczywiście w żadnych reklamówkach, broń Boże, nie byłoby mowy o gąsienicach.

Muzyka nie brzmiała tak hipnotyzująco w nagraniach, jak na żywo, więc musiał

dawkować ją umiejętnie. Nie mógł pozwolić, żeby utrwaliło się negatywne skojarzenie z kanarkami, papuzkami albo innym rodzajem zwierząt, które drą mordę przez cały dzień na okrągło. Nie sprowadzamy sobie kotów do domu dlatego, że o piątej nad ranem domagają się wyjścia na balkon, ale dlatego, że są puchate i mruczą.

Najwięcej kłopotów sprawiła mu oryginalność całego przedsięwzięcia. Ludzie pozornie lubią nowości, jednak tak naprawdę pod tą etykietką spodziewają się czegoś znanego w odrobinę zmodyfikowanym wariacie. Prawdziwych niespodzianek się obawiają. Każdy bestseller powinien osiągać pożądaną równowagę między znanym i nieznanym, zapewniać bezpieczne wrażenia, wzbudzać ciekawość jedynie w określonych granicach.

To oznaczało, że na kampanię reklamową potrzebował czasu – z wróziami trzeba publikę oswajać stopniowo. Powinien zapewnić sobie wsparcie naukowych autorytetów, przesłać darmowe egzemplarze znanym (byle nie nazbyt kontrowersyjnym – z racji targetu) osobistościom.

Klteczkę z elfem postawił na biurku. Nigdy nie wierzył we własne reklamy, toteż z początku tylko ostrożnie go obserwował. Zdumiewające, jak łatwo, jak bezstresowo pracowało się przy akompaniamencie kojących trel i świergotów. Szybko zrezygnował ze słuchania radia i zaczął odtwarzać dla niej (zdecydował, że to jednak ona – robotnica) muzykę klasyczną. Zorientował się, że elf podchwytuje i na własny sposób powtarza niektóre motywy.

Wrózia miała złote włosy (bo jak to nazwać inaczej – puch? Futerko brzmi głupio, prawie obleśnie) i pomarańczowe ślepka. Z owoców najbardziej lubiła porzeczeki. Potrafiła opchnąć całą kiść naraz, krzywiąc się przy tym i zabawnie kichając. Wcale nie była taka głupia jak chomiki, bardziej pod tym względem przypominała papuzkę albo gwarka. Kiedy wypuszczał ją z klatki, niczego nie brudziła ani nie niszczyła, zajmowała się tylko eksploracją otoczenia. Czasami siadała mu na ramieniu, zwłaszcza kiedy coś jadł. W końcu przestał zamykać drzwiczki.

Nazwał ją Lorelei.

W pracy szło dobrze jak nigdy dotąd. Paweł przestał się przejmować drobiazgami.

Impulsu twórczego miał aż nadto, wrócił nawet do zarzuconego przed laty zwyczaju pisania krótkich, błyskotliwych rymowanek. Znalazł dziewczynę, której nie przeszkadzało, że prowadził dość, hm, swobodny tryb życia. Po raz pierwszy w życiu naprawdę układało mu się w związku, a partnerka zamierzała wkrótce wprowadzić się do niego na stałe.

Oczywiście, ona też kupiła sobie elfa.

Sprzedawały się znakomicie. Ma się rozumieć, nie od razu. Starannie kreowana moda na stworzenia musiała się w końcu przyjąć w społeczeństwie. Przez całe lato mem rozpowszechniał się powoli. Pojawiały się artykuły w prasie, ludzie zaczęli polecać sobie nabytek pocztą pantoflową. Potem, gdzieś tak we wrześniu, wraz z rozpoczęciem roku szkolnego, ruszyła lawina. Oprócz produktu właściwego dobrze schodziły także gadzety okołofie: koszulki, kubeczki, powstała nawet amatorska kreskówka, którą masowo ściągano z YouTube. Jak to w Polsce, natychmiast założono też klub elfich antyfanów, co tylko wzmogło ogólne zainteresowanie.

Śpiew elfów pomagał na wszystko: na nerwice, brak koncentracji, problemy małżeńskie.

Eksperci wyrażali niejaką obawę o ryzyko uzależnienia, ale jak do tej pory nie zauważono żadnych skutków ubocznych. W kraju podniósł się poziom zadowolenia z życia. Ludzie uśmiechali się do siebie na ulicach. Spadła przestępczość i wzrósł pkb. I tylko psychoanalitycy mieli powód do narzekań.

Na ekscentryków, którzy do tej pory nie zaopatrzyli się we własnego elfa, patrzono z lekkim politowaniem.

* * *

Budzik wyrwał go ze snu o siódmej rano. Za oknem wciąż panował półmrok, jak to w listopadzie. Paweł szerzej rozsunął zasłony, żeby pierwszy blask słońca oświetlił biurko, kiedy on pójdzie się umyć i ogolić kilkuniedniowy zarost. Lorelei jeszcze się nie obudziła i nie zaczęła śpiewać; ostatnio odkrył, że potrzebowała do szczęścia więcej światła, niż można jej było zapewnić przy polskiej jesiennej pogodzie. Zaplanował kupno dobrej lampy halogenowej, już od kilku dni starannie przeszukiwał Internet, usiłując ustalić optymalną moc żarówek.

W łazience trochę przysypiał. Jako przedstawiciel wolnego zawodu nie miał zwyczaju wstawać tak wcześnie, ale tego dnia czekało go spotkanie na Woronicza. Kręcono program telewizyjny o tym, jak śpiewające elfiki zmieniają świat. Był współtwórcą ich komercyjnego sukcesu w Polsce, został więc zaproszony do studia razem z kilkoma specjalistami i panem Drosselmeyerem. Całe pół godziny w programie pierwszym, trudno wymarzyć sobie lepszą okazję do reklamy własnej skromnej osoby. Warto włożyć kolorową koszulę, błyszczącą marynarkę ze skaju, podkreślić trochę wizerunek kreatywnego bon vivanta.

Ziewając i rozgarniając palcami mokre włosy, udał się do kuchni. Tam wyjął z pojemnika na chleb dwie przedwczorajsze bułki, rozkroił je na połówki, a następnie posmarował masłem. Ich pierwsza

świeżość minęła jakiś czas temu, ale wciąż świetnie nadawały się na tosty z serem i szynką.

Położył plasterki szynki na desce i skrupulatnie odkroił otłuszczoną skórę, zmieniając jego naturalny kształt w artystyczną formę wielokąta. Po chwili usłyszał szelest skrzydełek.

Lorelei wylądowała na blacie i ćwierknęła markotnie. Paweł pogładził ją palcem po główce.

Wyglądała dość apatycznie; oczka miała zmatowiałe. Brakowało jej zwykłej energii, co bardzo go zaniepokoiło. Postanowił, że na spotkaniu w telewizji zapyta któregoś z naukowców, co ma zrobić, jakie dobrać lampy, żeby nie wyrządzić jej krzywdy.

– Co tam, mała? – zagadnął przyjaźnie. – Gdybyś piła alkohol, pomyślałbym, że jesteś wczorajsza. Pewnie chcesz bułeczkę, co? A może ciasteczko?

Lorelei przyklęknęła przy desce, obwąchując skrawki szynki.

– O, nie, nie, nie. Sio! To nie dla wrózek. Niedobre. – Odsunął ją delikatnie. –

Konserwanty, azotany, wcale nie chcesz tego jeść.

Elfik zafukał z wyraźną irytacją. Paweł podsunął mu kawałek bułki.

– Naści, małeńka.

Zamiast, jak zwykle, z wdziękiem przyjąć podarunek, zasyczała wściekle i dziabnęła go w palec.

– Au! Kurrr...! – Cofnął rękę.

Coś takiego! Jego słodkie maleństwo ugryzło go do krwi!

Korzystając z jego nieuwagi, wróżia natychmiast dopadła skrawków. Żarła jak miniaturowa bachantka, łapczywie i niehigienicznie; potem złapała w zęby okrojony plasterki, wzbijała się w powietrze i uciekła na szafkę pod sufitem.

– Jezus Maria!

Palec bolał go jak jasna cholera. Doprawdy, coś takiego, co za złośliwe stworzenie!

Trzeba pamiętać, żeby chować przed nią jedzenie. Jeszcze coś jej zaszkodzi.

Pół godziny później zbiegał klatką schodową, w wielkim pośpiechu, po drodze sprawdzając, czy upchnął wszystkie papiery w teczce i czy nie zapomniał komórki. Był, rzecz jasna, spóźniony; punktualność nigdy nie należała do jego najmocniejszych stron, a tym razem dodatkowo rozproszył go ten niefortunny wypadek. Wskazujący palec prawej ręki pulsował boleśnie. Szlag by to trafił, trudno będzie klepać w klawiaturę.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł się rozdrażniony. Lorelei nie zaśpiewała mu na pożegnanie.

Schowała się gdzieś w kącie z upolowanym plastrem szynki, nieskora do wydawania rajskich treli.

Głupie zwierzę.

Poranek był wyjątkowo ponury. Gęste chmury kłębiły się na horyzoncie, niebo nad podwórkiem przybrało jednolity kolor brudnego dżinsu. Przed klatką schodową, nie wiedzieć czemu, śmierdziało przypaloną cebulą. Ze ścian bloku odchodził tynk, śmietnik wyglądał na przepełniony (ktoś, cholera, płaci tutaj za regularny wywóz śmieci!), a sąsiadka właśnie srała psem na trawnik.

– Co też ten pani pies wyrabia! – huknął Paweł.

– Ależ proszę się nie martwić, nie ma problemiku. – Sąsiadka uśmiechnęła się promiennie. – Mam ze sobą torebkę i łopatkę, zaraz po nim posprzątam. To tylko piesek, on nie rozumie.

– A... no tak. – Zawstydział się swojego wybuchu.

Przyspieszył kroku, kierując się ku parkingowi.

Po drodze minął trójkę dzieciaków z tornistrami. Dziewczynki miały różowe plecaki z napisem: KOCHAM MOJĄ WRÓZIE. Chłopiec, młodociany fan metalu, był ubrany w czarną kurtkę, czarne wojskowe spodnie oraz plecak typu kostka, upiększony agrafkami i całą baterią naszywek. Jedna przedstawiała skrzydlatą postać z gitarą elektryczną.

Paweł jęknął. Sam wymyślił obydwie gadżety.

* * *

W ciągu ostatnich kilku miesięcy wewnątrz głównego gmachu TVP zmieniło się nie do poznania. Nadal co prawda przypominało labirynt, w którym nieuważni gubili się po kilku minutach; nadal wchodziło się przez bramki, a bamek pilnował strażnik. Rozwiała się jednak nerwowa atmosfera miejsca, w którym równie łatwo można przypadkowo zdobyć pracę, jak ją stracić.

Portier uśmiechnął się do Pawła po amerykańsku, wszystkimi zębami. Odhaczył jego nazwisko na liście, a potem sam, nieproszony, podał numer studia i wskazówki, jak do niego trafić.

Paweł minął przedsionek, mimo woli przypatrując się wystawie zabytkowych kamer i odbiorników. Nogi same go niosły we właściwym kierunku, nie potrzebował wskazówek portiera. Zanim poszedł na swoje, pracował dla telewizji publicznej. Duszno tam było.

Ludzie uważnie obserwowali, skąd wieje wiatr, podlizywali się ulubieńcom dworu, podgryzali nawzajem. Zrezygnował z radością, kiedy jego poglądy polityczne zaczęły zawadzać nowym kierownikom, a piekielko w pracy stało się nie do wytrzymania. Ale to działo się dobre kilka lat temu, zanim jeszcze nastąpiła epoka wrózek.

Na tablicy ogłoszeń wisiały kiczowate pocztówki ze świątecznymi pozdrowieniami (w końcu połowa listopada to już początek przygotowań do Bożego Narodzenia). Ktoś zamienił

czarno-białe fotografie telewizyjnych tuzów na kopie obrazów słynnych abstrakcjonistów.

Młoda dziewczyna, która przemierzała korytarz z wielkim naręczem kserówek, rzuciła Pawłowi tak ciepłe spojrzenie, że przez chwilę jego myśli krążyły niebezpiecznie wokół zdrady.

Poczuł się jakoś niewyraźnie. Dziś, kiedy patrzył na świat bez różowych okularów, to wszystko po prostu nie było normalne.

Drosselmeyera znalazł w studiu, w świetle jupiterów. Od czasu ostatniego spotkania jakby urósł, zważniał. Kupił sobie najlepszy garnitur od Hugo Bossa. Teraz cierpliwie

siedział na krzeselku pod reflektorem i uprzejmie słuchał sugestii kamerzysty. Paweł pomyślał, że brakuje mu tylko monokla.

– Ach, pan Płocki – odezwał się na jego widok. – Czekamy tutaj na pana.

Paweł uśmiechnął się półgębkiem, nieco zażenowany pewnością, z jaką tamten rządził

się w studiu. Nie ulegało wątpliwości, że wpatrywali się w niego jak w proroka – gruby kierownik techniczny, zarośnięty dźwiękowiec, zniewieściały prowadzący, mała pani reżyser, całe mrowie asystentów i asystentek. Nagle Pawła uderzyło spostrzeżenie, że wśród tych wszystkich nedorzecznie szczęśliwych ludzi tylko Drosselmeyer sprawiał wrażenie, można by rzec, trzeźwego.

– Dzień dobry, panie Płocki. – Pani reżyser, nieduża kobieta z mocno tlenionymi włosami i okularami w grubych czerwonych oprawkach, wyciągnęła rękę na powitanie. –

Magda Firlej, bardzo mi miło. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo się cieszymy z pańskiego przybycia.

Jakby dała sygnał, wszyscy ustawili się w kolejce do witania. Rozpoznał technicznego –

ten człowiek z dwoma podbródkami to nikt inny jak Michalski, Edzio „Blob” Michalski, z tym że bez swojego firmowego, wściekłego wyrazu twarzy. Paweł aż skulił się w sobie –

praktykowany przez Edzia sposób zarządzania wywoływał w pracownikach trwałe uraz.

Widok Bloba radosnego, ciepłego i usłużnego – nawet w obecnych okolicznościach – był wręcz nienaturalny.

Przez następne dwie godziny Pawła Płockiego traktowano z najwyższą atencją, jak *celebrity*. Przypudrowano mu twarz, poczęstowano wodą mineralną, a w dodatku podrywały go rozchichotane asystentki, niemal spijając słowa z jego ust. Jako człowiek od reklamy zazwyczaj pozostawał w cieniu swoich klientów, prawdziwych gwiazd towarzystwa, przeżywał więc całkiem nowe,

zaskakujące i niezwykle przyjemne doświadczenie. Dotarło do niego, że kiedy zaczną napływać honoraria z lawinowej fali zainteresowania elfami, jego życie zmieni się w sposób, o jakim nie śmiał nawet marzyć.

Nadal jednak nie mógł się pozbyć wewnętrznego niepokoju.

Tymczasem robił to, co w jego zawodzie decydowało o sukcesie lub porażce, czyli nawiązywał kontakty. Rozmawiał z ekipą i z zaproszonymi do programu naukowcami.

Doktor Śliwecki z Uniwersytetu Warszawskiego, starszy mężczyzna w okularach z bardzo grubymi szklami, przyniósł jednego elfa do ilustracji programu, ale stworzenie wcale nie kwapiło się do śpiewania i wyglądało na dość ospałe.

– Moja Lorelei również zachowywała się dzisiaj niepokojąco – wyznał Paweł. – Nie wie pan przypadkiem, co się mogło stać?

– Cóż – westchnął stary doktor. – Zauważyliśmy już wcześniej, że przy niedoborze światła i obniżonej temperaturze otoczenia robią się osowiałe. Do tej pory badania prowadzono na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii, a nie w naszych warunkach. Szczerze mówiąc, odnoszę wrażenie, że aklimatyzują się z trudnością. Mieszka pan w bloku?

– Mhm. W dodatku mam narożne mieszkanie.

– I jeszcze nie włączyli panu centralnego ogrzewania? – Śliwecki zatchnął się z oburzenia. – Trzeba powiadomić Radę Miasta, dać artykuł do prasy, przecież tak dalej być nie może. Pochorują się biedactwa.

– A lampy halogenowe? – zasugerował Paweł.

– Mogą pomóc, chociaż uważałbym z natężeniem światła. One mają dość wrażliwe oczy.

– W oświetlenie najlepiej zaopatrzyć się w sklepie akwarystycznym – wtrącił

nonszalancko Drosselmeyer. – Interes będzie się kręcił. W końcu niewiele osób kupuje teraz rybki.

Paweł, który nie dostrzegł zbliżającego się sprzedawcy elfów, wzdrygnął się, zaskoczony. Rzeczywiście, toczka w toczkę agent Smith, pomyślał i aż się zdumiał

gwałtownym przyływem niechęci, jaka go ogarnęła.

Tymczasem zadowolony Drosselmeyer krążył po studiu, pławiąc się w zasłużonej sławie i reputacji dobroczyńcy ludzkości.

W przerwie na drugie śniadanie Paweł kupił gazetę. Umościł się wygodnie na kanapie w korytarzu i zaczął czytać, pogryzając zatechłą od folii żywnościowej kanapkę z indykiem.

Powoli cierpła mu skóra. Jak mógł do tego stopnia stracić zdrowy rozsądek? Jakim cudem nie

zauważył, co się święci?

Dział publicystyki jeszcze go nie przeraził, a przynajmniej nie bardziej niż zwykle.

Wiadomości z zagranicy były w miarę normalne, chociaż Paweł nie mógł się oprzeć wrażeniu, że podlegały redakcyjnej autocenzurze. Lektura działu krajowego wzbudziła w nim już pewien niepokój. Za bardzo wyważone felietony, zbyt wiele peanów pochwalnych na cześć elfików i Drosselmeyera, ogólna atmosfera wszechogarniającej miłości bliźniego, jak w okresie przedświątecznym albo w dodatkach wakacyjnych do kobiecych czasopism.

Zmroził go natomiast dział kultury. W kinach i w telewizji królowała nijaka, bezpłciowa papka. Paweł – który uważał się za artystę i wielkiego konesera sztuki – uświadomił sobie, że od pewnego czasu nie ukazał się żaden godny uwagi film, ani jedna ważna książka czy też poruszający album muzyczny. Nikt nie miał nerwic ani dylematów moralnych. Nikogo nie dręczył ból istnienia, nikt w pocie czoła, krwi i znoju nie walczył z życiowymi trudnościami.

Nawet komedie, odwieczny sposób na odreagowanie, jakoś tak zmarniały.

– Cholera! – Przeczesał włosy palcami. – Niemożliwe.

– Co, nie śpiewało dzisiaj pańskie słonko? – zagadnął Drosselmeyer. Zbliżał się do kanapy, sącząc kawę z porcelanowej filiżanki. – Proszę się nie przejmować, taki dzień prędzej czy później każdemu się zdarza.

Paweł uniósł wzrok znad gazety.

– Na pana to nie działa – stwierdził oskarżycielsko.

– Ależ działa, panie Płocki. – Mężczyzna wykrzywił usta w minimalistycznym uśmiechu. – Jestem człowiekiem bardzo zadowolonym z życia. W dodatku zamożnym... oraz wpływowym, co też ma niebagatelne znaczenie.

No tak, szczęśliwy wilk nadal pozostaje wilkiem. W co, do diabła, myśmy się wpakowali?

– Inżynieria społeczna, piękna rzecz – dodał Drosselmeyer. – Proszę kupić lampy halogenowe, dobrze radzę. Będzie panu brakowało tej muzyki.

Po południu Paweł wybrał się do apteki, gdzie kupił zatyczki do uszu. Schował je do teczki z zamiarem użycia w bliżej niesprecyzowanym terminie. Na razie nie miał żadnego konkretnego planu działania, a dalsze postępowanie wyobrażał sobie dość mętnie. Bo co właściwie powinien zrobić? Zabić taką niewinną istotę? Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze. A jeśli nawet zdobędzie się na tak drastyczny krok, co potem? Utworzy opozycję przeciwko firmie i zacznie namawiać ludzi, żeby ukręcali wróżiom główki?

Kiedy wrócił do domu, Lorelei, słodka jak zawsze, powitała go śpiewem i jego wątpliwości natychmiast się rozwiały. Nie powinien popadać w paranoję. W końcu co w tym złego, że ludzie wreszcie poczuli się szczęśliwi?

Dryfował na granicy snu i jawy. Coś mu się śniło, ale nie wiedział dokładnie co – brnął

przez gąszcz półświadomych obrazów i niepokojących wrażeń. Widział cienie wielorekich postaci, napuchnięte ciała, wyłupiastookie głowy w chłodnych, fosforyzujących barwach.

Powietrze miało konsystencję melasy. Pachniało wilgocią.

Nagle otworzyła się pod nim przestrzeń i uświadomił sobie, że nie ma się czego uchwycić. Spadał gwałtownie, godzinami, bez końca, aż napotkał opór. Powierzchnia, w którą uderzył, pękła jak bańka mydlana.

Pościel była mokra od potu. Chyba obsłinił poduszkę. Za oknem wyła karetka albo straż pożarna – wszystko jedno, byle tylko przestała. Drżał od porannego chłodu i pilnie potrzebował pójść do ubikacji. Nie czuł prawej ręki, którą widocznie przygniótł podczas snu.

Odszukał odrętwiałe ramię, żeby zmienić pozycję i odzyskać czucie. Przesuwając lewą dłonią wzdłuż przedramienia, poczuł, że jego palce zamiast skóry dotykają mokrej, zimnej, nieprzyjemnie lepkiej substancji.

Otworzył oczy i usiadł, gwałtownie łapiąc oddech.

Przez dłuższą chwilę bezmyślnie gapił się na prawą rękę. Zawodziła go percepcja. Był przekonany, że to dalszy ciąg koszmaru.

Coś lub ktoś wykroił fragmenty skóry i mięśni na długości całego ramienia, z chirurgiczną precyzją omijając główne arterie. Otwarte rany nie krwawiły; pokrywała je zielonkawa galareta o gumowatej konsystencji.

Wrzasnął przeraźliwie. Zerwał się z łóżka i stanął pośrodku pokoju, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi. Lewą dłoń zacisnął w pięść, wszystkie mięśnie miał napięte, dotkliwie bolał go pęcherz. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie wzdłuż tułowia, jak sparaliżowana. Wciąż nie mógł opanować histerycznego krzyku.

Z oddali niósł się śpiew, a może świergot. Melodia nie przypominała niczego, co kiedykolwiek słyszał. Zmieniała tonację, wibrowała w nienaturalnych gamach, dostrajała się do jego nerwów. Umilkł niemal natychmiast, odpłynął, utracił świadomość własnego ciała.

Tępo patrzył przed siebie, usta miał półotwarte.

Frunęła w jego stronę, małeńka Lorelei, Lorelei o złotych włosach, chudych białych kończynach, z upiornie zakrwawioną twarzą. Nie mógł się ruszyć, patrzył jak wróżia wydyma policzki i pluje na poharatane ramię zielonkawą mazią. Czuł chłód biegnący wąskimi pasmami aż do szyi, ale miał wrażenie, że to wszystko przydarza się komuś innemu, jak we śnie. Leniwie zastanawiał się, jak ona może pluć i nucić jednocześnie.

Telefon.

Dzwonił.

Raz, drugi...

Wrózia się zawahała, obcy dźwięk wchodził jej w paradę.

To go otrzeźwiło, minimalnie, ale wystarczająco, żeby zadziałał instynkt przetrwania.

Odruchowo chwycił najbliższy przedmiot w okolicy, ręcznik wiszący na oparciu łóżka.

Rzucił nim w Lorelei, a przynajmniej spróbował, nie trafił. Umknęła pod sufit i zasyczała wściekle. Kolejno ciskał bluzą, książką, kubkiem po herbacie, wreszcie złapał teczkę z laptopem, zawinął nią raz, potem drugi, adrenalina dodawała mu sił. Wymachując teczką, wypadł z sypialni, instynktownie skręcił w lewo, runął do łazienki, na jasnozieloną mozaikę kafelków. Kopniakiem zamknął drzwi. Przekręcił zamek.

Ona znowu zacznie śpiewać, przemknęło mu przez myśl, zamienię się w zombie, mam przesrane. Zatycki do uszu, gdzie są te zatycki? Drżącą ręką wybebeszył teczkę z całej zawartości. Laptop, papiery i papieryska, stare wydruki, elektroniczne gadżety, kable, miętusy, garść długopisów, zatycki. JEST! Rozerwał opakowanie, pomagając sobie zębami, i natychmiast zrobił użytek z zakupu.

Przygasł szum łazienkowego wentylatora. Słuch Pawła jakby zwrócił się do wewnątrz, teraz rejestrował przesuwanie się zatyczek wewnątrz ucha, poruszanie szczęką, jakieś organiczne szумы. Drobną nieprzyjemność, zważywszy na okoliczności. Zwłaszcza na – o Boże! – zeżarte do połowy ramię, z żywym mięsem i pulsującymi żyłami na wierzchu.

Chyba tylko dlatego nie zbierało mu się na wymioty, że jeszcze nie do końca wierzył, że już nie śpi. To wszystko było takie nierealne. Niemożliwe.

Zaczął wyrzucać na podłogę zawartość szafki z medykamentami.

Wiedział, że nie jest całkiem bezpieczny. Po pierwsze, nawet zatycki nie chroniły go w stu procentach przed pieśnią; po drugie, otepiające efekty częściowo utrzymywały się nadal.

Musiał zdobyć się na wielki wysiłek, żeby przewyciężyć chęć położenia się plackiem na kafelkach i pozostania w tej pozycji. Najchętniej zamknąłby oczy i z powrotem zapadł w sen.

Plastikowa szyba w drzwiach drżała. Coś w nią uderzało, raz po raz, z regularnością zegara.

Przedostanie się, pomyślał. Zabić, ratować życie.

Uklęknął przy zlewie, odsunął kosz na bieliznę i rozgarnął butle z płynami czyszczącymi. Potrzebował czegoś żrącego. Miał taki jeden do mycia wanny, chyba z bielinką. Przegryzał się przez kamień i śmierdział chlorem, więc musiał to być niezły zajzajer.

Sprawdził działanie dyszy, przyskajając płynem do wanny. Zachichotał nerwowo.

Cytrynowy, świeży zapach.

Nie myślał, czy to zadziała, w ogóle nie myślał, nie było czasu na myślenie. Szyba wypadła z trzaskiem z framugi, pomięta jak plaster miodu, i do środka przez wąskie okienko wleciała Lorelei.

Wyciągnął rękę przed siebie i z zamkniętymi oczami nacisnął dyszę: raz, dwa, trzy razy.

Rozległ się przenikliwy wizg, jakby ktoś rysował nożem po szkłe. Poczuł ostry ból w zdrowym przedramieniu i otworzył oczy, żeby zobaczyć, jak Lorelei, wbita zębami w jego rękę, z furią usiłuje utrzymać się w powietrzu. Ciężko trzepotała skrzydełkami, a na jej białym ciałku wykwitwały czerwone plamy.

Uderzył elfikiem o ścianę. Lorelei spadła na stos brudnej bielizny. Zarzucił na nią bluzę, a potem zamordował za pomocą rączki od prysznic. Tłukł długo i z wielką zaciętością, zanim wróżia nareszcie przestała się ruszać.

Opadł na kolana. Dławiło go w gardle, i to nie miało nic wspólnego z silną wonią środka czyszczącego, która wypełniała teraz łazienkę. Powinien zająć się opatrywaniem swoich ran, ale zamiast tego ostrożnie zdjął zakrwawioną bluzę z maleńkiego, zmasakrowanego ciała.

Palcem wskazującym zamknął małe pomarańczowe oczka, po czym głośno i rzewnie zaszlochał.

* * *

Trzeba było coś robić, jakoś żyć, doprowadzić się do porządku. Zużył wszystkie bandaże na opatrunki, pociął prześcieradło, z szalika zrobił temblak. Nie odzyskał czucia w prawej ręce i nie miał pojęcia, kiedy to nastąpi. Jeżeli śluz przestanie działać, ból może stać się nie do wytrzymania. Na wszelki wypadek odszukał w apteczce pyralginę. Lepsze to niż nic.

Zakrawało na ironię, że po tym wszystkim jeszcze chciało mu się jeść. Prawdę mówiąc, kiedy tylko spadł mu poziom adrenaliny, Paweł natychmiast zaczął omdlewać z głodu.

Opierając się zdrową ręką o ścianę, powoli wyszedł z łazienki.

W kuchni czekał go wstrząs. Z sufitu na cienkich zielonych niciach, jak na pajęczynie, zwisały oblepione mazią nieduże krwawe ochłapy, łącznie pięć sztuk. Paweł zorientował się, że patrzy na fragmenty własnych mięśni. Czego Lorelei nie dała rady zjeść, skrzętnie zmagazynowała w pomieszczeniu, które kojarzyło się jej z pożywieniem.

Zasłonił usta, czując bolesny skurcz żołądka. Dla własnego dobra postanowił zacisnąć zęby i nie zwracać uwagi na wystrój kuchni. Zgarnął z pojemnika na chleb pół razowca, wydobył z szuflady pierniczki i wedlowską czekoladę, zabrał kilka leżących na parapecie mandarynek i czym prędzej wrócił do sypialni, gdzie było – mniej więcej – czysto. O

wędlinach nie mógł nawet myśleć. Zakrwawioną pościel przykrył kapą, a na dywanie rozrzucił

warstwę kserówek.

Po pewnym czasie dostrzegł, że na brzegu szafki nocnej drga telefon komórkowy. Wyjął

zatyckę z lewego ucha. Dotarły do niego pierwsze tony „Carmen”, zakłócone alarmem wibracyjnym. Odemknął komórkę. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że takie makabreski mogą powtarzać się w każdym domu, w całej Polsce. Ba, w każdym kraju, w którym wrózie stały się modne.

Muszę zadzwonić. Puls znowu przyspieszył. Do rodziców, do brata, do Moniki...

– Halo? Kto mówi?

– Pan Płocki? – Głos po drugiej stronie brzmiał znajomo, chociaż Paweł nie mógł

przypomnieć sobie rozmówcy. – Żyje pan, dzięki Bogu! Mówi Śliwecki, Ireneusz Śliwecki.

Wymieniliśmy wizytówki, pamięta pan? Proszę posłuchać, niech pan ją zabije, możliwie jak najszybciej, chodzi o pańskie życie!

– Żyję – odezwał się ostrożnie. – I już... już to zrobiłem. Ona... jak to się stało? Nic panu nie jest?

– Jesteśmy głupi, tacy głupi, panie Płocki. Żyjemy szybko, działamy szybko, nie zastanawiamy się nad konsekwencjami. Niby tacy przemyślni, cywilizowani, wyzwoleni od wszystkich praw przyrody. A tu niespodzianka! Wpadliśmy w najstarszą pułapkę świata.

– O czym pan...

– Proszę spojrzeć za okno. – Głos starego doktora drżał z nadmiaru emocji. – Proszę spojrzeć. Co pan widzi?

Paweł podszedł do okna, jednym szarpnięciem odsunął zasłonę. Nie wypatrzył na podwórku ani jednej żywej duszy. Nie świadczyło to jednak o niczym nadzwyczajnym. Z

sypialni nie było widać piaskownicy, głównego ośrodka życia towarzyskiego na gierkowskim blokowisku. Minęła już dziesiąta, a o tej porze rzadko widywało się ludzi idących do pracy. Jeżeli nawet podobne dramaty rozegrały się na całym osiedlu, na pierwszy rzut oka niczego nie dało się zauważyć.

Temperatura w nocy spadła gwałtownie; kałuże ściał mróz, trawnik pokrywała cienka warstwa pierwszego śniegu. W powietrzu gęsto wirowały posklejane płatki.

– Nic się nie dzieje – powiedział. – Nic. Pada śnieg. No, śnieg pada.

– Mamy tyle przykładów w naturze, począwszy od bakterii, skończywszy na endofitach roślinnych – kontynuował doktor, nie zważając, czy rozmówca go słucha. – Kiedy symbiont staje się w pewnych okolicznościach pasożytem. Rozumie pan, zmieniają się warunki środowiskowe, nadchodzą ciężkie czasy i bach! Przełącza się metabolizm. Nikt się nie zastanowił, czemu służy to ich śpiewanie,

omamiły nas jak mocnym narkotykiem. W

przyrodzie zawsze istnieją skutki i przyczyny, nie ma zbędnych przystosowań. Panie Płocki, kto tutaj właściwie kogo hodował?

– W tej sytuacji to już i tak wszystko jedno! – wybuchnął Paweł. – Poszarpała mi całą rękę, a ja nawet się nie obudziłem.

– To cud, że pan żyje. Mógł się pan wykrwawić.

– Wydaje mi się... – Przygładził dłonią włosy, mocno przyciskając palce do czaszki. –

Że nie chciała mnie zabić. No, przynajmniej nie od razu.

– Widocznie pana polubiła – szepnął doktor.

Paweł nagle zrozumiał, że po drugiej stronie musiało wydarzyć się coś znacznie gorszego. Na dłuższą chwilę w eterze zapadła cisza.

– Niech pan dzwoni do tego Drosselmeyera – odezwał się wreszcie Śliwecki. – I każe mu natychmiast zlikwidować królową, jeśli jeszcze tego nie zrobił. Niech się przynajmniej nie mnożą. Powiadomię kogo się da, jeszcze można to zatrzymać, zmobilizować ludzi, przecież nie wszyscy kupili... Większe ośrodki miejskie, ale nie w małych, nie na wsi, taka nowinka... Istnieją słuchawki ochronne, gaz usypiający, różne metody wabienia. Proszę działać, panie Płocki, pan go zna, pan wie, gdzie to trzymają...

I ja to pomogłem sprzedać!

– Już dzwonię.

Śliwecki się rozłączył. Paweł pospiesznie zaczął wybierać nazwiska w komórce.

Rodzice. Rodzeństwo. Dziewczyna. Wreszcie Drosselmeyer.

Tutaj telefon Anny Płockiej... Dodzwoniłeś się do poczty głosowej Michała... Abonent jest czasowo niedostępny... Zostaw wiadomość po sygnale...wiadomość po sygnale...

Bał się próbować ponownie. Wygodniej było wierzyć, że przeżyli, że starają się tylko opanować chwilowe zamieszanie, że oddzwonią prędzej czy później.

Drosselmeyer również nie odpowiadał. I chociaż zwykle Paweł w skrytości ducha życzył

mu wszystkiego najgorszego, teraz poważnie się zaniepokoił.

Co robić?

O królowych wiedział więcej niż doktor Śliwecki. Znał statystyki sprzedaży – do tej pory na rynek

trafiło prawie milion elfów. Zważywszy że z pojedynczego roju dawało się pozyskać do stu tysięcy osobników, bez wątpienia mogło istnieć nawet kilkanaście matek. Z

niejasnych uwag i napomknięć Drosselmeyera Paweł wywnioskował, że wszystkie trzymano w tym samym magazynie na obrzeżach Warszawy, w specjalnie zabezpieczonym pomieszczeniu.

Powinna się tym zająć policja, pomyślał, i wystukał numer 997. Oczywiście linia była zajęta. Wypróbował numery pogotowia, straży miejskiej i straży pożarnej, za każdym razem z identycznym skutkiem.

Chryste!

Westchnął ciężko, odgarniając włosy z twarzy. Potrzebował łomu, gazu pieprzowego, porządnego noża. I przynajmniej dwóch głębszych, bo nikt normalny nie ratuje świata na trzeźwo.

* * *

Do magazynu dotarł na wpół pijany, co w pewnym stopniu pomagało mu radzić sobie z sytuacją. Nadal dygotał wewnątrznie po tym, jak na Puławskiej o mały włos nie zderzył się z motocyklem prującym ze dwieście na godzinę. Histeria na ulicach narastała z każdą minutą.

W okolicach Stegien Paweł widział dymiący jeszcze wrak poloneza rozbitego na pokrytym graffiti murze. Tu i ówdzie dostrzegało się dezorientowanych, przerażonych, błakających się bez celu przechodniów. Niektórzy, w pokrwawionych ubraniach, wyglądali na ciężko rannych.

Wciąż, bliżej i dalej, wyły syreny policyjne, karetki. Cywilizacja działała już tylko siłą rozpędu. Program pierwszy Polskiego Radia nadawał sygnał klęski żywiołowej. Inne stacje zamilkły. Nie odzywał się prezydent ani żaden inny polityk, komunikaty powtarzał nikomu nieznanemu generał. W witrynach sklepów powybijano szyby. Ludzie, którym brakowało pieniędzy na zakup wrózi, przetrwali i teraz, we własnym mniemaniu, dokonywali aktów dziejowej sprawiedliwości.

Paweł zastał otwartą bramę, a budkę strażnika – pustą. Nieznacznie dodał gazu i przetoczył się przez podjazd, po raz kolejny dziękując w myślach człowiekowi, który wynalazł automatyczną skrzynię biegów. Niebieska toyota podskakiwała lekko na spojeniach betonowych płyt.

Dookoła panowały cisza i niczym niezmacony bezruch. Pod szarym budynkiem stały dwa niechlujnie zaparkowane tiry, nieopodal piętrzyły się puste kontenery. Z wolna przykrywała je cienka warstwa śnieżnego puchu.

Od tamtego pierwszego spotkania Paweł jeszcze dwukrotnie odwiedzał magazyn; za każdym razem oglądał tylko biuro. Wiedział, że już od dawna nie przechowywano tutaj znakomitej większości towaru. W miarę jak rozwijano sprzedaż, Firma musiała wynajmować inne pomieszczenia, zresztą nie tylko w Warszawie. Tu jednak znajdowały się laboratoria, to

miejsce regularnie odwiedzał Drosselmeyer i z czasem pojawiało się coraz więcej ochrony.

Nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić dlaczego.

Kilka minut siedział w samochodzie, obawiając się wyjść. Przez jego prawą rękę co jakiś czas przebiegały skurcze i ukłucia, jak po łagodnych wyładowaniach elektrycznych.

Mrowiły go palce, a na bandażu pojawiło się kilka czerwonych plam. Niedługo będzie musiał działać mimo bólu, więc może lepiej się pospieszyć. Poprawił temblak.

Wyciągnął ze skrytki butelkę, gołnął łyk, potem dwa. Wzdrygnął się solidnie, zazwyczaj rozcieńczał tak mocne alkohole w koktajlach albo lodem. Wetknął zatyczki, upewnił się, że są dobrze dopasowane (po dużej porcji szkockiej wszystko powinno działać lepiej), do kieszeni kurtki schował gaz pieprzowy, a z przedniego siedzenia zdjął łom.

Przed wejściem do magazynu zatrzymał się. Nieregularny, przysypany śniegiem kształt, którego z daleka nie potrafił (lub nie chciał) rozpoznać, okazał się nieboszczykiem w czarnym uniformie ochrony. Paweł po raz pierwszy w życiu, poza ekranem telewizyjnym, widział trupa, w dodatku człowieka zmarłego gwałtowną śmiercią. Ochroniarz leżał na schodkach, twarzą zwrócony ku ziemi, a dookoła rozlewała się wielka plama krwi. Pewnie zginął od przerwania tętnicy szyjnej, Paweł jednak nie miał ochoty tego sprawdzać.

Denat raczej nie był pogryziony, nie dało się jednak tego stwierdzić bez odwrócenia zwłok na plecy. W prawej dłoni trzymał jeszcze ciężki pistolet czy też rewolwer, w każdym razie dość masywną broń palną. Paweł nawet jej nie dotknął, nie zamierzał bawić się w kowboja. Taką spluwą prędzej już sam zrobiłby sobie krzywdę, zwłaszcza że miał sprawną tylko lewą dłoń.

Chyba jednak warto go obszukać. Mógł mieć przy sobie klucz, elektroniczną przepustkę czy coś takiego... Zawsze nosił po kieszeniach takie rzeczy, przynajmniej w grach komputerowych.

Trącił nieboszczyka czubkiem buta, a potem rozejrzał się wkoło z pewnym zawstydzeniem. Życie to nie gra, a on nie gustował w przeszukiwaniu zakrwawionych zwłok. Chyba za mało tej whisky wypił, skonstatował. Jeszcze mam skrupuły.

Wtem zobaczył, że drzwi są uchylone.

Chwilę później przypomniał sobie, że kluczy przeważnie należy szukać w szafkach na klucze, w tym przypadku na portierni.

Wszedł do środka, mocno zaciskając lewą dłoń na łomie.

Drugi nieboszczyk leżał tuż przy wejściu. Jego twarz, z poszarpanymi policzkami i krwawą miazgą zamiast oczu, przypominała makabryczną maskę. Paweł przestąpił nad nim bardzo ostrożnie, udając sam przed sobą, że nie zobaczył niczego nadzwyczajnego. Ruszył

naprzód korytarzem. Serce niemal wyskakiwało mu z piersi.

Przewrócone kubki obok ekspresu do kawy, papiery rozrzucone na wykładzinie.

Schludne biurka, identyczne komputery, wielofunkcyjne ksero w pokoju socjalnym. Rządek kolorowych kubków przy czajniku. Spetryfikowane życie biurowe. Żadnych ludzi. Żadnych

elfów. Żadnych trupów. Wszystko zaczęło się jeszcze nad ranem, ludzie nie zdążyli dotrzeć do pracy. Tylko nocna zmiana ochrony pozostała na posterunku.

Jakiś czas Paweł błądził po biurze. W jednym z pomieszczeń natknął się na ślady szamotaniny: przewracane krzesła, kilka zrzuconych na ziemię klatek z powyłamywanymi drzwiczkami. Wykładzina była poznaczona krwią i zielonym śluzem, Paweł nie znalazł

jednak zwłok, ani ludzkich, ani elfich. Albo przebywał tutaj tylko jeden ochroniarz, albo komuś jednak udało się uratować.

W końcu przypomniał sobie, którędy idzie się do laboratoriów. Skręcił w jasno otynkowany, wyglądający sterylnie korytarz, poszukał zejścia na poziom minus pierwszy.

Zastanowiło go, że drzwi prowadzące do części badawczej, zbrojone, z elektronicznymi zamkami, są otwarte. Coś go tknęło. Odłożył łom na ziemię, z największą ostrożnością wyjął

jedną zatyczkę z ucha, wyciągnął z kieszeni komórkę. A może i ty tutaj jesteś, Drosselmeyer?

Telefon odmówił współpracy. Nic, bunkier, brak zasięgu.

Zejść, nie zejść. Na dole – setki wygłodniałych potworów w klatkach, a kto wie, czy nie fruwać swobodnie po magazynie. Na dole – bliżej niezidentyfikowane miejsce, gdzie pod kluczem trzyma się płodne, nielotne królowe. Jeżeli są tak szczelnie zamknięte, to po co je zabijać? Niech same zdechną. Komu potrzebny ten niewczesny heroizm?

Z drugiej strony, nigdy nic wiadomo. Może są odporne na śmierć głodową? Może potrafią zapadać w stan okresowej hibernacji? Jeśli z pełną świadomością zostawi taką bombę zegarową, takie kukułcze jajo ludziom, którzy prędzej czy później odnajdą to miejsce, popełni zbrodnię. Dość już, że do spółki z Drosselmeyerem i firmą był winien ludobójstwa... Oczywiście, gdyby nie on, znaleźliby innego specjalistę, kto inny nakręciłby reklamówki, zapewne równie skutecznie – istniało wielu fachowców w branży. Ale padło na niego.

A zawsze uważał się za dobrego człowieka.

Zbiegł na dół, jakby się paliło. Zatrzymał się w korytarzu. Na prawo, na lewo – mnóstwo identycznych, pomalowanych na biało drzwi. Ta laboratoryjna biel, ta powtarzalność, ten chłód. Ostre, nieprzyjazne światło jarzeniówek.

Postąpił krok naprzód i zamarł. Jego buty lepiły się do podłogi; wzdłuż korytarza ciągnęły się nitki zielonego śluzu. Teraz zauważył niewielkie grudki mazi, poprzylepiane tu i ówdzie do ścian, przypominające galaretowate grzyby, jakie czasem można znaleźć na martwych pniach drzew. W powietrzu unosił się charakterystyczny szpitalny zapach.

Nie słyszał żadnej melodii. Nie wiedział jednak, czy to nie zasługa zatyczek i czy nie umknęły mu jakieś cichsze dźwięki. A może wrózie nie śpiewały, bo do tej pory nie miały dla kogo?

Szedł krok za krokiem w absolutnej ciszy, odrywając buty od kleistej mazi. Przyglądał

się tabliczkom na drzwiach, szukał wskazówek.

Za zakrętem natknął się na Drosselmeyera.

Sprzedawca elfów siedział pod zbrojonymi drzwiami do służby. Garnitur miał poszarpany i zaplamiony krwią, twarz zmasakrowaną. Żył jeszcze i obserwował korytarz spod na wpółprzymkniętych powiek. Z dłoni wysuwała mu się duża puszcza środka owadobójczego w sprayu. Dookoła leżało bez ruchu kilka drobnych ciałek o różnobarwnych włosach.

Uniósł głowę, wykrzywił usta w półśmiechu i zaczął coś mówić. Paweł wyjął zatyczkę z ucha, co wzbudziło w Drosselmeyerze pewne rozbawienie.

– Jest pan... przygotowany. – Z trudem wypowiadał słowa. – To... wie pan... niewiele daje.

– A jak... – Paweł wskazał trupki.

– Ja mam trochę... naturalnej odporności. – Drosselmeyer splunął krwią. – Melodia oddziałuje na emocje. Trafia do serca. – Zachichotał. – Zły... adres.

– A jednak ruszyło pana sumienie i przyjechał pan tutaj. – Paweł pokręcił z obrzydzeniem głową. – To, co Firma zafundowała ludzkości...

– Sumienie...? Ha... Nocowałem w biurze. Te małe skurwiele mnie zabiły! –

Drosselmeyer akcentował z pasją każde słowo. – Miałem je... pogłaskać po główkach?

Ludzkość? Gatunek-chwast! Najwyższa pora... żeby trafił się wróg naturalny. Ludzkości mi nie żal. Biznesu... owszem. – Skończył mu się oddech i zakasłał charkotliwie. – Te tutaj... to własność prywatna – dodał ledwo słyszalnym szeptem. – Transport jest za drzwiami.

Uruchomiłem systemy gaśnicze. Wkrótce skończy im się tlen.

– Królowe – warknął Paweł. – Gdzie są królowe?

– W cieplarni. Drzwi dwadzieścia jeden, korytarzem do końca, kod zero-osiem-dziewięć-jeden-osiem. Kartę mam w kieszeni. – Słowa zlewały się, coraz trudniej było je zrozumieć. – One nie śpiewają...

Mężczyzna oddychał płytko, niespokojnie. Paweł z pewnym wahaniem schylił się, żeby przeszukać jego marynarkę. Nagle Drosselmeyer otworzył oczy.

– Porozumiewają się za pomocą ultradźwięków – powiedział bardzo wyraźnie. – Rój to społeczność, rozumie pan? Stąd wszystkie wiedziały, że zmienia się pora roku. Teraz też...

będą wiedzieć.

Paweł nie miał siły zastanawiać się nad słowami sprzedawcy elfów. Ból w prawej ręce stawał się nie do zniesienia, kręciło mu się w głowie, odczuwał też obezwładniającą miękkość w kolanach. Zdawałoby się, płynął korytarzem, zamiast nim iść. Świetlówki migotały z drażniącą częstotliwością, ściany to się zbliżały, to oddalały od siebie.

Zatrzymywał się co kilka kroków, zbierał myśli, zmuszał się do dalszego działania. W

pewnym momencie złapał się na tym, że stoi naprzeciw tablicy ogłoszeń i mimowolnie czyta instrukcję przeciwpożarową. Litery rozmazywały mu się przed oczami.

Przynajmniej wreszcie pozbył się łomu. Zabrał za to Drosselmeyerowi puszkę ze środkiem owadobójczym, świństwo najwyraźniej było skuteczne. Miał jeszcze przy sobie nóż, chociaż wątpił, czy w takim stanie potrafiłby go skutecznie użyć.

Dotarł wreszcie do drzwi z numerem dwadzieścia jeden. Z początku nie mógł trafić kartą w czytnik, więc rozbijanie zamka zajęło mu trochę czasu. Wejście do cieplarni również zaprojektowano na zasadzie szluzu – w korytarzu, który się rozciągał za pierwszymi drzwiami, stały wieszaki z fartuchami, stolik z pudełkami osłon na buty oraz lateksowych rękawiczek w różnych rozmiarach. Dodatkowe zabezpieczenie, jak w przypadku hali. Paweł

zastanawiał się, jakim celem pierwotnie służył magazyn, bo przecież nie zbudowano go w ciągu kilku miesięcy na potrzeby firmy.

Popatrzył na rozsuwane metalowe drzwi i zawahał się. Nie śpiewają. Podobno nie śpiewają. Siedzą grzecznie w klatkach, nieruchawe i sztucznie dokarmiane. Naprawdę nie ma się czego obawiać.

Przesunął kartę wzdłuż czytnika. Zaczął wklepywać cyfry. Pomylił się, zamiast w dziewiątkę trafił w ósemkę. Na wyświetlaczu pojawił się uprzejmy napis: BŁĄD – PROSZĘ O

PONOWNE WPROWADZENIE KODU. Kropla potu spłynęła mu po karku. Wsunął kartę jeszcze raz, wcisnął cyfry powoli, jedna po drugiej.

Zapaliła się zielona lampka i drzwi rozsunęły się płynnym ruchem.

W pierwszej chwili poczuł dotyk ciepłego powietrza na skórze. Woniało trochę amoniakiem, trocinami, konwaliowym płynem do mycia podłogi. Wyłożona kafelkami w kolorze sepii podłoga lekko lśniła od wilgoci.

Wzdłuż ściany naprzeciwko wejścia rozciągały się szklane blaty. Nad nimi stały w oszklonych szafkach porządnie rozmieszczone butelki z roztworami, duże plastikowe próbówki i nieznanne Pawłowi pomoce laboratoryjne. Na szkle pozostawiono jeszcze pudełka, szalki, nawet jeden notatnik z odrywanymi kartkami, z rodzaju takich, jakie rozdaje się na promocjach. Pośrodku blatów zamontowano duży zlew. Prócz tego na biurku obok leżał dość wysłużony laptop i niewielkie urządzenie, którego przeznaczenia Paweł nie potrafił odgadnąć.

Po prawej i lewej stronie ustawiono solidne rusztowania z półkami, takimi jak w sklepie

zoologicznym. Stało tam obok siebie kilkanaście terrariów oświetlonych silnymi lampami; na pokrywach migotały diody termostatów.

W każdym terrarium znajdowało się napuchnięte, białe ciało wielkości niemowlęcia, o małej główce i nieforemnych kończynach. Dookoła, w dużych grudach galaretowatej substancji, spoczywały żółtawe, kuliste kształty wielkości moreli.

Kiedy Paweł postąpił kilka kroków do przodu, usłyszał stłumiony głos dobiegający z terrarium.

– Odwirować i wstrząsnąć.

– Sto pięćdziesiąt – dodała druga królowa. – Pora karmienia.

– Dwadzieścia mikrolitrów. Dwa pięć, sto razy stężony.

– Natychmiast sprawdź temperaturę.

– Powtórzyć sto gramów... duża porcja.

– Znowu się spóźniłeś. Przepłukać, wstrząsnąć, wirować.

Mówiły wszystkie naraz, imitując zasłyszane wcześniej głosy, włącznie z tonacją i akcentem, nawet z błędami wymowy. Paweł stał osłupiały i zastanawiał się, czy można w tych wypowiedziach odnaleźć wzór, uchwycić jakikolwiek sens, ślad rozumnej myśli. Nie mógł się zdecydować. Może próbowały dać mu coś do zrozumienia, domagały się pożywienia albo regulacji temperatury? A może traktowały ludzką mowę jak trochę bardziej wyrafinowaną melodię?

Podszedł do pierwszego terrarium z rzędu (natrętnie przychodziło mu na myśl skojarzenie z inkubatorami), odsunął pokrywę. Dokładnie opryskał stworzenie trucizną, natychmiast z powrotem zasunął wieko i czekał. Po chwili zamiast ludzkiej mowy rozległ się przenikliwy pisk. Tłuste, bezwłose ciało dygotało w konwulsjach.

Powtórzył operację ze wszystkimi królowymi. Od chóralnego wycia włosy stawały mu dęba na głowie, tego nie dawało się znieść. Z przerażeniem i z obrzydzeniem zastanawiał

się, czy jednak nie będzie musiał użyć noża.

Szamotały się dobre kilka minut, w końcu zaczęły cichnąć. Patrzył na stopniowo nieruchomiejące, całkowicie bezbronne istoty i chciało mu się płakać. Albo rzygać.

Nieistotne. Wbrew wszelkiej logice czuł się jak dzieciobójca.

Rój to społeczność, jak powiedział Drosselmeyer. Jeśli małe wrózie rzeczywiście komunikowały się z matkami, bezpośrednio lub za pośrednictwem siostr, teraz powinny całkowicie się pogubić. Paweł usiadł na podłodze. Pewnie na dłuższą metę uratował kraj, ale jedyny pomysł, jaki w tej chwili przychodził mu do głowy, to wrócić na parking i osuszyć do dna butelkę szkockiej.

Podłubał w uszach, nareszcie pozbył się zatyczek.

I wtedy usłyszał dobiegający z oddali śpiew. Jeden głos, potem drugi, trzeci, kolejny...

Odwrócił się. Bardzo, bardzo powoli. Stopniowo uświadamiał sobie, że o pozostawioną w samochodzie butelkę whisky właściwie nie musi już się martwić.

W korytarzu za jego plecami kłębiły się elfy.

* * *

Suteryna w przedwojennym budynku dawno przestała służyć celom mieszkalnym.

Gromadzono tam stare wózki, nieużywane meble, stosy czasopism, które żal było wyrzucić.

Nieduże okienko zimą zostawiano otwarte. Zdarzało się, że znajdowały tu schronienie półdzikie osiedlowe koty.

Na parapecie przysiadło małe skrzydlate stworzenie. Dłuższą chwilę węszyło intensywnie, następnie z pewną ostrożnością wfrnęło do środka. Rejestrowało przyjemne zapachy, obietnicę kalorycznego pożywienia, temperaturę, podwyższoną od gorących rur przebiegających wzdłuż ściany.

Dobre miejsce. Przy odrobinie szczęścia mogło zapewnić przewagę w wyścigu, jaki wkrótce się rozpocznie. Wszystkie sygnały wskazywały na to, że królowe zginęły gwałtowną śmiercią, a struktura roju uległa zniszczeniu. W robotnicach zaczynały się budzić nieczynne dotychczas gruczoły hormonalne. Najwyższa pora znaleźć sobie odpowiednie siedlisko i rozpocząć metamorfozę.

Kiedy nadejdzie wiosna, tylko najsilniejsze zostaną matkami.

CZY KOCHASZ

SWOJĄ WRÓZIĘ?

Mariusz Kaszyński

Przerwana

lekcja

Zbyszek stał na korytarzu i wpatrywał się w przeszklone drzwi prowadzące na zewnątrz.

W każdej chwili na doskonale przez nie widoczny parking mogła wjechać karetka. Od telefonu minęło już dziesięć, może nawet piętnaście minut, a przecież szpital nie był daleko.

– Jeszcze ich nie ma? – usłyszał słaby głos Jolki.

Odwrócił się, starając się przywołać na usta uśmiech. Nie miał zielonego pojęcia, czy sytuacja jest poważna, chyba nikt w ich grupie nie miał, ale Jolka przeżywała wszystko najbardziej. Stała blada, co chwila niespokojnie zerkając na otwarte drzwi klasy.

A wszystko przez to, że Ileana Ionete źle się poczuła. Przez ponad trzydzieści minut jak zwykle, bez żadnych oznak zmęczenia czy skrywanego cierpienia, prowadziła lekcję, a potem nagle umilkła w pół słowa. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, usiadła i chwyciła się za klatkę piersiową. Zdaniem Zbyszka, tak gdzieś w okolicach serca. Na twarzy kobiety pojawił się ból, jej rysy stężały.

Zadzwonili po karetkę prawie natychmiast, tym bardziej że Ileana siedziała w bezruchu, nie odpowiadając na pytania. Czy coś się stało? Czy źle się pani czuje? Czy coś panią boli?

Nic, nawet słowa. Co najwyżej wodziła wzrokiem po ich twarzach, a jej usta drżały. Tak jakby szeptała, ale bardzo, bardzo cicho.

– Może ktoś powinien wyjść przed budynek? – Wiktor wyrwał Zbyszka z zamyślenia. –

Tak na wszelki wypadek, jakby nie mogli trafić.

– Masz rację, chodźmy – poparła Wiktora Weronika.

Zbyszek patrzył, jak wychodzą na zewnątrz. On został na miejscu razem z Jolką i Przemkiem. Stali we trójkę na korytarzu, prawie się do siebie nie odzywając. Ileana została z Mateuszem, Agatą i Anką. To była już cała grupa. Osiem osób. Ośmiu zapaleńców mających tak posrane w głowach, by uczyć się rumuńskiego. Nie angielskiego, niemieckiego, czy wracającego znów do łask – a może raczej do mody – rosyjskiego. Nie, oni wybrali język mieszkańców Transylwanii. Rzecz jasna nie tylko Transylwanii, ale ponoć właśnie stamtąd pochodziła Ileana. W każdym razie tak mówiła. Czy tkwiło w tym choć ziarno prawdy, trudno było stwierdzić. Może jej słowa miały być jedynie chwytem marketingowym? Jeśli tak, to udało się jej. W stu procentach. Oprócz słownictwa i gramatyki liźnęli także trochę folkloru. Właściwie nie zdarzało się, by bez ważnych powodów ktoś nie zjawił się na zajęciach. A wszystko przez aurę, jaką roztaczała lektorka. Zbyszek niejednokrotnie odnosił

wrażenie, że wystarczy, by uniósł głowę, a zobaczy przed sobą posępne szczyty Karpat.

– Nic jej nie będzie? – Jolka skubała nerwowo brzeg jasnoniebieskiego swetra.

Zbyszek spojrzał na nią z sympatią. Lubił ją, nawet bardzo. Miła, inteligentna, zwykle uśmiechnięta,

tylko za bardzo się przejmowała. Jej błękitne oczy, teraz nieco przysłonięte opadającą na czoło jasną grzywką, taksowały na zmianę obu chłopaków, jakby szukając potwierdzenia, że wszystko jest – a w każdym razie będzie – w najlepszym porządku.

– Jasne, że nie – zapewnił.

Wcale nie był tego pewny. Ale co niby miał powiedzieć? Że nie wie? To zdecydowanie nie był najlepszy pomysł.

– Zajrzę do nich na chwilę – dodał.

Spodziewał się, że Jolka albo Przemek ruszą za nim, ale oboje zostali na korytarzu.

Dziewczyna chyba nawet chciała iść, ale Przemek ją zatrzymał. To dobrze, po co miała się dodatkowo stresować.

Zbyszek wszedł do klasy. Ileana leżała na podłodze, obok niej klęczeli Agata i Mateusz.

Anka stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Troje bladych kursantów i jeszcze bledsza lektorka. Co prawda co kilka minut do sali zaglądała sekretarka, pani Maria, ale teraz akurat jej tu nie było.

– Czy już przyjechali? – W jakiś sposób Anka wyczuła jego obecność.

– Nie, jeszcze nie. A jak sytuacja?

Mateusz skrzywił się i to wystarczyłoby za całą odpowiedź.

– Nadal nic nie mówi – oznajmiła Agata. – Tylko tak porusza ustami... i patrzy.

Ileana obróciła odrobinę głowę i Zbyszek pochwycił jej wzrok. Przeszły go ciarki. W jej spojrzeniu krył się ból i coś jeszcze, czego nie potrafił zinterpretować.

– Może zadzwonić drugi raz? – spytał, odruchowo sięgając po komórkę.

– Dajmy im jeszcze pięć minut – rzuciła Anka. – Na pewno już jadą.

Zbyszek wzruszył ramionami. Pewnie miała rację, dla niego jednak najgorsze było to czekanie. Beczynność – i związania z nią bezsilność – wykańczała go. Każda minuta ciągnęła się w nieskończoność. Gdyby nie miał zegarka, przysięgłby, że minęło już kilka godzin.

– Są! – dobiegł go pisk z korytarza. Głos należał do Jolki.

Cofnął się. Do sali zbliżało się dwóch mężczyzn i kobieta. Wszyscy troje w jaskrawych pomarańczowych strojach. Zbyszek rozpoznał jednego z mężczyzn. Tadeusz był

przyjacielem jego ojca.

– Tutaj! – zawołał, choć zdecydowanie było to zbyt czyste. Wiktor już wskazał drogę.

Żałoga karetki weszła do klasy, nakazując gestem, by wszyscy opuścili pomieszczenie.

Po chwili drugi z mężczyzn, ten którego Zbyszek nie znał, wrócił szybkim krokiem po nosze.

Badanie nie trwało długo. Sanitariusze ułożyli Ileanę na noszach i natychmiast skierowali się do karetki.

– To twoja nauczycielka? – ni to spytał, ni to stwierdził Tadeusz, widząc spojrzenie Zbyszka.

Chłopak skinął głową.

– Co z nią?

Mężczyzna cicho westchnął.

– Kiepsko.

– Wyjdzie z tego?

Tadeusz skrzywił się, jakby nie chciał odpowiadać na to pytanie. Mimo to zatrzymał się i pokręcił głową.

– Nigdy nic nie jest przesądzone – powiedział wyraźnie wbrew sobie.

Zbyszek nachylił się nad Ileaną. Kobieta była przeraźliwie blada. Oczy miała zamknięte i gdyby nie wciąż poruszające się usta, przysięgłby, że nauczycielka śpi. A może już umarła?

– przemknęło mu przez myśl.

Nagle drgnęła i jej powieki się uniosły. Zbyszek dostrzegł wpatrzony w siebie źrenice.

Były zwężone, na ich dnie kryło się coś tak zimnego, że aż cofnął się o krok. Przywidziało mi się, pomyślał, dygocząc, musiało mi się przywidzieć.

– Szybciej, nie ma czasu do stracenia! – krzyknął Tadeusz.

Grupa odprowadziła wzrokiem załogę karetki.

– I co teraz? – spytał Mateusz.

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, drzwi sekretariatu otworzyły się i na korytarz wyszła pani Maria.

– Pojechali – stwierdziła niespokojnym głosem.

– Przed chwilą.

– Dzisiaj jesteście już oczywiście wolni. A co do następnych zajęć... – zawahała się – ich kontynuacja będzie zależała od tego, czy uda nam się znaleźć zastępstwo. No, chyba że pani Ionete szybko wróci do zdrowia. Ale przecież jeśli nawet się okaże, że to nic poważnego, z pewnością przyda się jej odpoczynek. Dlatego mam prośbę. Chciałabym, żebyście przyszli tu jutro o szesnastej. Do tego czasu, mam nadzieję, będę wiedziała coś więcej i razem podejmiemy decyzję co do dalszych planów.

* * *

– No dobra, i co teraz? – spytał Mateusz, gdy wyszli z budynku. – Normalnie skończylibyśmy dopiero za godzinkę. Idziemy na piwo?

– Myślałam raczej, czyby nie zajrzeć do szpitala – zaproponowała Anka. – To tylko kilka przystanków tramwajem.

Zbyszek stanowczo pokręcił głową. Nie podobał mu się ten pomysł. Przypomniał sobie reakcję Tadeusza, gdy spytał go o szanse nauczycielki na przeżycie, i poczuł chłód na karku.

Jeśli miało się stać najgorsze, wolał dowiedzieć się o tym jak najpóźniej. Poza tym wciąż nie potrafił pozbyć się z pamięci spojrzenia lektorki. Najchętniej wróciłby prosto do domu, ale dziś zapomniał zabrać kluczy, a starzy mieli zjawić się dopiero za godzinę. Nie widział sensu w wystawaniu pod drzwiami. Musiał jakoś zagospodarować ten czas.

– Piszę się na browar – zdecydował.

– Idę z wami – poparł ich Przemek.

Agata skrzywiła się z odrazą.

– Jak możecie w takiej chwili...?

– Pierwszy łyk wypiję za jej zdrowie. – Mateusz roześmiał się, ale zaraz umilkł

zmieszany. Zrozumiał, że trochę przesadził. – Nie proponuję imprezy, tylko żebyśmy usiedli i pogadali przy szklance czegoś zimnego – spróbował załagodzić niezręczność.

– To może pomysł o dobrze schłodzonym soczku pomarańczowym? – dodała zgryźliwie Weronika.

– Pomarańcze szkodzą mi na żołądek.

– Jasne, w porównaniu z dobroczynnym działaniem chmielu to wręcz trucizna.

– Spokojnie, nie kłóćcie się, nie dzisiaj. – Zbyszek stanął między Mateuszem a Weroniką. – Może Ionete już... nie żyje, a wy...

Wszyscy natychmiast umilkli. Spoglądali na Zbyszka nieco wystraszeni, jakby usłyszeli coś, co nie powinno być wypowiedziane na głos.

– Nikt nie musi nigdzie iść – ciągnął. – A właściwie każdy może iść tam, gdzie chce. To proste, nie? Na razie żyjemy w wolnym kraju...

– ...który jutro będzie jeszcze wolniejszy – dorzucił Wiktor. – Ja spadam do domu, a wy róbcie, co chcecie. Do zobaczenia jutro o szesnastej.

– Ja też muszę lecieć, i tak miałam się dzisiaj zwolnić. – Jolka popatrzyła na zegarek.

– Jadę do szpitala. Kto ze mną? – spytała Anka.

Weronika i Agata stanęły bez słowa przy niej.

– A my chodźmy do tej knajpy. – Mateusz był wyraźnie zniecierpliwiony.

– Co je ugryzło? – spytał Przemek, gdy zostali tylko we trójkę.

– Boją się o Ileanę i tyle. – Zbyszek wzruszył ramionami. – Poza tym piwo dzisiaj to raczej średni pomysł.

Dotarli do przejścia dla pieszych i zatrzymali się w oczekiwaniu na zielone światło. Po jezdni sunął zwarty sznur samochodów.

– Ileana i Ileana – mruknął Mateusz – mam już tego dość. Owszem, baba jest w porządku, ale w końcu świat nie kręci się tylko wokół niej. Przeżyje, świetnie, nie przeżyje, też dobrze. Ziemia i tak będzie się obracać dalej...

– Ej, filozofie... – zaczął Przemek, ale umilkł, widząc minę Mateusza.

Twarz kumpla zastygła w dziwnym grymasie, jakby coś go niezmiernie zdziwiło lub przestraszyło. A może jedno i drugie.

Mateusz zeszywniał, po czym odwrócił się w stronę jezdni. W zamyśleniu spojrzął na czerwonego, wyprostowanego ludzika na sygnalizatorze świetlnym, a następnie, nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, zrobił krok do przodu. Wprost pod przejeżdżającego właśnie fordą transita.

– Ileana... – wyszeptał.

Zaraz potem rozległ się ostry pisk opon i prawie jednocześnie z nim głośnie, głuche uderzenie.

* * *

Zbyszek siedział na wersalce w swoim pokoju i wpatrywał się w ekran niewielkiego telewizora stojącego na szafce. Włączył go pół godziny temu i nastawił na jeden z kanałów muzycznych, ale nie wymieniłby nawet trzech piosenek, które przez ten czas nadano. Wciąż myślał o Mateuszu. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego wszedł prosto pod samochód. To nie był wypadek. Raczej samobójstwo. Przecież Mateusz rozmawiał z nimi jak gdyby nigdy nic i nagle zrobił ten jeden krok. Tak niespodziewanie...

I ten szept. „Ileana...”. Jakby wspomnienie lektorki nie pozwoliło mu żyć.

Rzecz jasna, nie poszli już na żadne piwo. Przemek może nawet nie wrócił jeszcze do domu. Był bardzo blady i wstrząsały nim takie dreszcze, że sanitariusze, którzy przyjechali do wypadku, zabrali go ze sobą. Ponoć tak właśnie objawia się szok. Zbyszek wcale się nie dziwił reakcji kolegi, widok mózgu Mateusza rozsmarowanego po asfalcie wstrząsnął

również nim. Na szczęście w jego przypadku skończyło się jedynie na dwóch pawiach.

Za drzwiami rozległo się krótkie szczeknięcie i Zbyszek odruchowo podskoczył. Przed jego pokojem stał Wigor, dwunastoletni labrador, snujący się po domu staruszek. Teraz tylko imię zdradzało jego dawny temperament. Chłopak podszedł, by wpuścić psa do środka, ale nim zdążył otworzyć drzwi, dobiegło go stłumione warczenie.

Zatrzymał się zaskoczony. W tym warczeniu brzmiała nieskrywana groźba.

– Wigor, piesku – odezwał się zdławionym głosem.

Pies nie umilkł. Zaczął skrobać w drzwi, starając się dostać do pokoju.

Chłopak ostrożnie położył dłoń na klamce. Nic z tego nie rozumiał. Wigor nigdy nie był agresywny, nawet w stosunku do obcych, a co dopiero do niego. W końcu Zbyszek znał go od szczeniaka. Od małej, włochatej, jasnej kuleczki.

Przewyciężając niepokój, uchylił drzwi i ujrzał obnażone zęby labradora. Pies wcisnął

łeb w szparę i gdyby nie jego wiek, nic nie powstrzymałoby go od wtargnięcia do środka.

Nie był jednak już ani tak szybki, ani tak silny jak dawniej. Zbyszek pchnął drzwi, zmuszając psa do cofnięcia się na korytarz.

Wigor usiadł pod drzwiami, nie przestając warczeć. Chłopak widział przez grube szkło jego zniekształconą sylwetkę. Zwierzę czekało, jakby zdawało sobie sprawę, że jego pan kiedyś musi wyjść.

– Tato! – wrzasnął Zbyszek.

Usłyszał stłumione kroki i nagle pożałował, że nie ostrzegł ojca. Wigor oszalał, a biorąc pod uwagę jego rozmiary, nawet na wpół niedołążny wciąż pozostawał niebezpieczny. Teraz w końcu ucichł, ale nie oznaczało to wcale, że przestał zachowywać się agresywnie.

– Co się stało? – zapytał ojciec.

– Wigor, wściekł się, uważaj!

Zbyszek zobaczył przez taflę drzwi, jak mężczyzna podchodzi do psa i drapie go za uchem.

– Co to za wyglupy?

– Ja... – Chłopak nie wiedział co powiedzieć.

Uchylił ponownie drzwi i wtedy labrador nagłym susem, o który nikt by go nie podejrzewał, rzucił się do przodu. Zbyszek próbował uniemożliwić mu wtargnięcie do pokoju, ale tym razem nie zdążył. Pies przepchnął się przez szparę, głośno ujadając.

– Wigor, uspokój się! – Chłopak usłyszał zaskoczony głos ojca. Sam skupił wszystkie zmysły na labradorze, i to wołanie dobiegało jakby z bardzo daleka.

– Wigor, to ja... – szepnął, cofając się w głąb pokoju. Pies zatrzymał się metr przed nim, obnażając kły. Jego intencje były jasne. Chciał zabić.

Ruszył do przodu i wtedy spadło na niego metalowe krzesło. Zwierzę zaskomlało z bólu i zaskoczenia. Przestało warczeć, ale ojciec Zbyszka nie zważał na to. Ponownie uniósł

ciężki mebel i spuścił go prosto na łeb psa. Labrador jęknął i znieruchomiał.

– Musiałem... – wysapał ojciec, nie spuszczając wzroku z Wigora, jakby się spodziewał, że zwierzę jeszcze się podniesie. – On chciał cię...

– Tato...

Mężczyzna odczytał te słowa jako wyrzut. Upuścił krzesło.

– Nie miałem nic innego pod ręką.

– Tato! – Zbyszek rzucił mu się na szyję. Nie pamiętał kiedy po raz ostatni tak przytulał się do ojca, ale bez wątplenia był wtedy jeszcze dzieckiem.

Mężczyzna w końcu ochłonął.

– Co się stało? – spytał.

Chłopak odsunął się od niego. Zbliżył się do psa i trącił go nogą. Zwierzę z pewnością nie żyło. Wokół jego głowy zebrała się mała kałuża krwi.

– On rzucił się na mnie... To klątwa...

Ojciec roześmiał się chrapliwie, bez cienia wesołości.

– Wigor był już stary... – zaczął wolno, z namysłem. – Coś mu się pomieszało w głowie... To się pewnie zdarza. Nie wiem, nie znam się, ale na pewno coś takiego się zdarza.

Oszalał ze starości. Przecież ten psiak cię kochał...

– Nic nie rozumiesz – przerwał Zbyszek. – On już jest dzisiaj trzeci. Najpierw Ileana zasłabła na lekcji, potem Mateusz wpadł pod samochód, a teraz Wigor chciał mnie zabić. To nie może być przypadek. To wszystko jakoś się ze sobą łączy...

– To przypadek... – Ojciec powiedział coś jeszcze, ale chłopak go nie słuchał.

Porwał z regału komórkę i wybiegł z pokoju. Nie potrafił spokojnie przyglądać się martwemu przyjacielowi.

Wystukał numer Anki. Przez dłuższą chwilę nikt nie odbierał, ale gdy Zbyszek już miał się rozłączyć, w słuchawce rozległ się obcy kobiecy głos:

– Halo.

– Dzień dobry, mówi Zbyszek, chciałem rozmawiać z Anią.

Zamiast odpowiedzi usłyszał stłumiony szloch.

– Ona... ona nie żyje...

Zbyszek poczuł na plecach dotknięcie lodowatej ręki. To wszystko nie mogło być jedynie makabrycznym zbiegiem okoliczności. Zaczęło się od Ileany, a potem zaczęli ginąć oni. Jej uczniowie. Mateusz, Anka, następny miał być Zbyszek, ale ojciec nie dopuścił do tego, żeby Wigor go zagryzł.

– Co się stało? – wykrztusił.

Musiał odczekać chwilę, nim jego rozmówczyni uspokoi się i będzie w stanie odpowiedzieć.

– Wyskoczyła przez balkon.

– Wyskoczyła... – powtórzył zaskoczony. – Jak to...?

– Normalnie! – zawyła kobieta. – Przeszła przez barierkę i skoczyła... na moich oczach...

Przepraszam, nie mogę rozmawiać... Ja... Ja...

– Jeszcze tylko jedno pytanie – jęknął błagalnie Zbyszek. – Czy coś mówiła? Czy coś powiedziała, zanim... – Nie potrafił dokończyć.

W słuchawce na moment zapanowała cisza.

– Tak, jedno słowo. Powtarzała jedno słowo, ale nie mogłam go zrozumieć, chyba było w innym języku, brzmiało tak jakoś dziwnie. Coś jakby Ileana albo Linelana...

Połączenie zostało przerwane, ale Zbyszek i tak nie zamierzał już o nic pytać. Zresztą nie wiedział,

czy udałoby mu się wykrztusić choć słowo. Był zbyt przerażony. Mateusz i Anka przed śmiercią wymówili to samo słowo: imię nauczycielki. Wszystko łączyło się z ich grupą. Dwie osoby zginęły, on ledwie uszedł z życiem... Musi ostrzec pozostałych. Ścisnął

mocniej telefon, po czym odłożył go zrezygnowany. Nie miał numeru do nikogo więcej. Nie byli przyjaciółmi, jedynie znajomymi z lekcji rumuńskiego. Spotkali się zaledwie siedem razy. Do tej pory nie było powodu, żeby szukać z nimi kontaktu.

* * *

Przez cały dzień nie potrafił myśleć o niczym innym. W szkole języków obcych był już o piętnastej trzydzieści. Mimo, że szedł wolno, co chwila rozglądając się na boki, by zawczasu zlokalizować ewentualne zagrożenie. Co prawda nie wierzył, że byłby w stanie naprawdę coś zrobić – z pewnością Mateusz i Anka nie rzucili się z własnej woli w ramiona kostuchy – ale nie zamierzał zaniedbać żadnych środków ostrożności. Dotarł na miejsce bez przeszkód, choć dwóch przechodniów musiało mocno trzymać smycze swych czworonogów, niespodziewanie oszalałych na jego widok. Na szczęście oba psy były małe. Zbyszek nie chciał nawet myśleć o tym, co by się stało, gdyby natknął się na rottweilera.

O piętnastej pięćdziesiąt zjawił się Wiktor, a tuż za nim Weronika. Po kilku minutach dołączyły Jolka i Agata. Zbyszek, widząc każde z nich, cicho wzdychał z ulgą. Brakowało jeszcze tylko Przemka.

– Wiecie, że Ileana poczuła się lepiej? – odezwała się Agata. – Wczoraj, chwilę przed naszym przyjściem. Mogła już mówić, nawet zaczęła się uśmiechać.

– Co jej się właściwie stało? – zaciekał się Wiktor.

– Nie mam pojęcia. Gdy wychodziłyśmy, nie było wszystkich badań. Może Anka powie nam więcej, ona została dłużej.

Zbyszek zaczerpnął tchu. A więc nie wiedzieli, no bo i skąd? Tylko on przypadkiem miał numer Anki. Kiedyś, gdy musiał wyjść wcześniej, obiecała przedyskutować mu pracę domową.

– Nie powie nam... – zaczął. Na samą myśl, że ma przekazać im tę nowinę, zrobiło mu się gorąco. Czuł pot spływający po wewnętrznej stronie dłoni. – Anka nic nam nie powie.

– Czemu? – Jolka popatrzyła na niego uważnie.

– Nie żyje – pisnął.

Choć chciał, by to zabrzmiało naturalnie, głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Jak to nie żyje?!

Zbyszek spuścił głowę, ocierając ręce o spodnie.

– Wyskoczyła z balkonu.

– Dlaczego?! – Agata zerwała się z miejsca.

– Nie tylko ona nie żyje – ciągnął Zbyszek. – Mateusz wpadł wczoraj pod samochód.

Zaledwie kilka minut po tym, jak się rozstaliśmy... Mnie próbował zagryźć mój własny pies.

– Żartujesz?

– Chciałbym. – Spojrzał Wiktorowi prosto w oczy.

– Jezu, co za popieprzony zbieg okoliczności.

– Nie rozumiecie? – Zbyszek wstał i zaczął chodzić między ławkami. – To nie przypadek. To wszystko spotkało nas z jakiegoś powodu, coś nas sobie upatrzyło. Nie wiem co i dlaczego, ale jesteśmy zagrożeni, wszyscy!

Wiktor posłał mu ironiczny uśmiech. Zbyszek z trudem się powstrzymał, by się na niego nie rzucić.

– Przesadzasz – usłyszał.

– Nie chcecie mi wierzyć, bo to nie dotknęło was. To nie wy wczoraj zostaliście obryzgni krwią Mateusza. Nie wy musieliście uważać, by nie wdepnąć w jego mózg!

Przemka aż zabrało pogotowie...

– Właśnie, Przemek, gdzie on jest? – przerwała mu Agata. – Wczoraj próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odbierał.

– Może jeszcze nie doszedł do siebie – mruknął Zbyszek.

– No dobrze, powiedzmy, że coś w tym jest. – Jolka próbowała załagodzić sytuację.

Dostrzegła powątpiewanie na twarzach Wiktora i Agaty, ale kontynuowała: – Że naprawdę musimy uważać, ale na co dokładnie?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Zbyszek wzruszył ramionami. Był wkurzony, nie spodziewał się po nich takiego sceptycyzmu. W końcu jedna czwarta ich grupy zginęła w ciągu zaledwie paru godzin. – Wiem tyle, że Mateusz wyszeptał imię „Ileana”, a później wszedł prosto pod półciężarówkę. Anka, zanim skoczyła, też ją wołała.

Nagle po plecach przeszedł mu dreszcz. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał... Nie miał na to jeszcze żadnego dowodu, ale...

– Myślałem, że to coś w rodzaju klątwy – mówił gorączkowo. – Że zaczęło się od Ileany, a następnie przeszło na nas, ale chyba się myliłem. To ona, wszystko układa się w logiczną całość. Kto wczoraj był przy niej najbliżej, gdy leżała na podłodze w klasie?

– Ja i Mateusz, nawet głównie Mateusz. Klęczał przy niej i cały czas coś mówił –

odparła Agata.

– Właśnie! A pół godziny później ginie, i to niejako na własne życzenie. Potem, tak jak mówiłaś, Anka zostaje u niej dłużej w szpitalu. Po czym wraca do domu, wychodzi na balkon i skacze! Żadne z nich nie wyglądało na potencjalnego samobójcę. Nie, coś ich do tego popchnęło. Myślę, że to Ileana. Poczula się lepiej, prawda? Tuż po śmierci Mateusza, a może nawet w tej samej chwili.

Wiktor popatrzył na niego z wyraźną kpinią.

– Oszalałeś! Jak to niby zrobiła? Czarami?

– Bo ja wiem... – Zbyszek przypomniał sobie jej wczorajsze spojrzenie. Na dnie oczu kobiety coś się kryło, coś nieprzyjemnego. – W końcu pochodzi z Transylwanii.

– Naoglądałeś się zbyt wielu kiepskich horrorów.

– Odczep się. Nieważne, jak to zrobiła, ważne, że zrobiła. Leczy się naszym kosztem.

Chłonie energię. Jak... jak... wampir.

– Wiedziałem, że do tego zmierzasz. – Wiktor roześmiał się głośno. – Wampiry, wilkołaki, strzygi i upiory. Normalna, nie? Co tydzień mam do czynienia z kilkoma takimi popaprańcami. Na szczęście wystarczy osinowy kołek albo srebrna kula. Proponowałbym załatwić ich wszystkich – kiwnął głową w kierunku sekretariatu. – Tam jest ich gniazdo.

Zbyszek zatrząsał się z gniewu, ale nic nie powiedział. Sam zdawał sobie sprawę, jak idiotycznie to brzmi. Problem leżał w tym, że to się działo naprawdę.

– A jak wytłumaczysz zachowanie swojego psa? – spytała Agata. – No, chyba że to wilk?

Chłopak prześlizgnął się wzrokiem po twarzach współuczestników kursu. Przypuszczał, że nikt mu nie wierzy.

– Labrador – sprostował zimnym tonem. – To był labrador. Naprawdę się na mnie rzucił.

Mój ojciec, broniąc mnie, rozwalił mu łeb metalowym krzesłem.

Jolka westchnęła.

– Przykro mi.

– Stary, to wszystko jest niesamowite – stwierdził pojednawczo Wiktor – ale to jedynie zbieg okoliczności. Mało prawdopodobny, owszem, ale przecież nie niemożliwy. To jak trafienie szóstki w totka, tyle że ze znakiem ujemnym. Zamiast wielkiego szczęścia, wielki pech.

– Chciałbym w to wierzyć.

– To uwierz.

Zbyszek pokręcił głową. Nie potrafił. Odwrócił się i spostrzegł, że z sekretariatu wychodzi pani Maria.

– Dzień dobry – rzuciła sucho, gdy podeszła bliżej. – Możemy już porozmawiać?

– Brakuje jeszcze Przemka... – Weronika posłała jej słaby uśmiech.

– No cóż. – Kobieta skrzywiła się, jakby właśnie przełknęła obrzydliwe lekarstwo. –

Mam dla was złe wiadomości. Przemek nie przyjdzie. Dzwoniła jego mama, wczoraj zabrano go do szpitala. Okazało się, że zapadł na jakąś rzadką tropikalną chorobę.

Przepraszam was, ale zapomniałam nazwy, była taka skomplikowana... W każdym razie nie musicie się niczego obawiać, lekarze twierdzą, że to nie jest zaraźliwe.

– Ale nic mu nie będzie? – wtrąciła Agata.

– Niestety, nie wiem, jak mam wam to powiedzieć, ale... Przemek dziś rano zmarł. –

Odczekała chwilę. – Mam też drugą złą wiadomość, choć już na szczęście nie tego kalibru.

Nie udało nam się znaleźć zastępstwa, dlatego wasza grupa zostanie rozwiązana.

– Przecież ona i tak już nie istnieje! – krzyknął Zbyszek i ruszył do wyjścia.

* * *

– Zaczekaj! – Jolka dogoniła go przed budynkiem.

– Wierzysz mi? – Odwrócił się do niej z nadzieją.

Pragnął, by ktoś przyznał mu rację. Może wtedy przestałby się czuć osamotniony.

Świadomość, że jest zdany tylko na siebie, przytłaczała go.

– Nie. To znaczy, nie zrozum mnie źle, staram się być otwarta, ale to wszystko jest takie zwariowane... po prostu niesamowite. Trudno to ogarnąć.

– Dzięki i za to – mruknął.

Dziewczyna chwyciła go za ramię i przytrzymała.

– Co teraz? – spytała.

Na usta cisnęło mu się jedno słowo. „Umrzemy”. Powstrzymał się jednak przed wypowiedzeniem go na głos.

– Nie wiem – przyznał. – Nie co dzień mam do czynienia z czymś takim.

Spróbował się uśmiechnąć, ale zabrakło mu sił. Napotkał wzrok Jolki i dostrzegł w nim niepokój. Nawet jeśli nie potrafiła mu uwierzyć, to przynajmniej nie odrzucała możliwości, że wokół nich dzieje się coś dziwnego.

– Ja nie chcę umierać – powiedziała cicho. – Mam nadzieję, że się mylisz, że to wszystko to tylko koszmarny zbieg okoliczności, ale nie chcę się dowiedzieć, że jest inaczej, na ułamek sekundy przed tym, nim na przykład rozjedzie mnie autobus.

– Albo zagryzie własny pies... – dodał ze smutkiem Zbyszek i pokręcił z niedowierzaniem głową.

Wspomnienie Wigora sprawiło, że poczuł się nieswojo. Jeśli miał rację, lektorka odpowiadała za jego śmierć. To ona zabiła mu psa.

– Właśnie. – Jolka milczała dłuższą chwilę. – Może powinniśmy spróbować ustalić, jak ona to robi?

– Nie sądzę, by nam się udało. – Zbyszek pokręcił głową. – Ma jakąś władzę nad nami...

– Nie nad wszystkimi – zaprzeczyła dziewczyna. – Mateusz i Anka popełnili samobójstwo, ale na ciebie nasłała psa. Jeśli to rzeczywiście ona, ale załóżmy, że tak. To mnie zastanawia. Bo gdyby mogła i ciebie skłonić, żebyś, bo ja wiem, podciął sobie żyły, bez wątpienia by to zrobiła. Miałaby większą pewność, że nic jej nie przeszkodzi.

– Oni byli z nią dłużej, może to dlatego...

– No dobrze, a twój pies? Dlaczego oszalał? Czy ona go kiedykolwiek widziała, jego samego lub chociażby jego zdjęcie?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Podejrzewam raczej – orzekł po namyśle – że jesteśmy w pewien sposób oznaczeni.

Jak by to powiedzieć, do odstrzału... To tak, jakbyś chodziła po szkole z naklejoną na plecach kartką z napisem: „Napłuj na mnie”. Tyle że u nas prędezej jest tam nabazgrane:

„Zabij!”.

Zbyszek usłyszał ciche popiskiwanie i zadarł głowę, by sprawdzić, skąd dochodzi.

Prosto na nich, ale celując raczej w Jolkę niż w niego, leciał mały ptaszek. Zbyszek popchnął dziewczynę i żywy pocisk musnął ją zaledwie skrzydłami.

– A teraz wierzysz mi choć trochę bardziej? – spytał, przypatrując się drgawkom, jakie wstrząsały leżącym na ziemi ptasim kamikadze. Wróbel nie zdążył wyhamować i roztrzaskał

się o chodnik.

Jolka drżała, spoglądając niepewnie to na Zbyszka, to na umierającego ptaka.

– To nie mógł być kolejny przypadek – szepnęła po chwili. – Nie mógł...

– Może lepiej nie stójmy tu dłużej. – Chłopak zerknął w niebo, ale na razie nie dostrzegł innych zagrożeń.

– Masz rację. Chodźmy. Musimy sprawdzić.

– Co?

– Jak się czuję Ileana. Jeśli chłonie życiową energię z zabitych, to chyba doszła już do siebie. Ma na koncie trzy trupy.

Zbyszek wzdrygnął się. Nie potrafił myśleć o znajomych z kursu jako o zwłokach. Dla niego Mateusz, Przemek i Anka wciąż byli żywi. Przynajmniej w pamięci.

– Chcesz ją zmusić, żeby przestała to robić? – zapytał.

– Nie zamierzam nawet zbliżyć się do jej łóżka. Chcę jedynie sprawdzić, w jakim jest stanie.

Chłopak wahał się tylko kilka sekund.

– To chyba dobry pomysł – stwierdził.

* * *

Do szpitala dotarli bez przeszkód, jeśli nie liczyć pekińczyka, który rzucił się na Zbyszka; starszce, która prowadziła psiaka, z trudem udało się uspokoić pupila.

– Zbyszek! – usłyszeli, ledwie minęli bramę.

Chłopak obejrzał się. Chodnikiem obiegającym budynek szpitala szedł Tadeusz. Ruszyli w jego stronę. To spotkanie mogło ułatwić im rekonesans.

– Dzień dobry! – zawołał Zbyszek. – Przyszliśmy do naszej nauczycielki.

– Wy jeszcze nic nie wiecie? – Mężczyzna miał zadowoloną minę.

– O czym?

– Już wyszła. Huczy o tym pół szpitala. Wczoraj przywieźliśmy ją prosto na OIOM, według mnie nie

miała szans. Jej stan był tak zły, że cudem wydawało się samo to, że przeżyła podróż. A jednak poczuła się lepiej. I to na tyle, że najpierw trafiła na normalną salę, a dziś rano wypuścili ją do domu.

– Tak szybko? Nie robili badań?

– Z tego, co wiem, wypisała się na własne żądanie. Ale faktem jest, że nie było po co jej tu trzymać. Lekarzom chodziło jedynie o obserwację. No, ale zawsze pozostaje niepewność, czy ten atak, czy co to było, nie powtórzy się. Gdy spotkacie waszą nauczycielkę, nakłońcie ją, by się porządnie przebadła. Następnym razem może nie mieć tyle szczęścia.

– W takim razie nic tu po nas. – Jolka chwyciła dłoń Zbyszka i mocno ścisnęła.

Tadeusz źle zinterpretował ten gest, bo, korzystając z nieuwagi dziewczyny, puścił do chłopaka oko i uśmiechnął się porozumiewawczo.

– A twój stary żalił mi się, że nie wie, po co wybrałaś właśnie ten język. – Pokręcił

głową, szczerząc zęby. – Dobra, muszę lecieć, robota czeka.

– I co teraz? – spytała Jolka, gdy zostali sami.

Zbyszek odetchnął głęboko. To, że Ileana opuściła szpital, mogło być zarówno złą, jak i dobrą wiadomością.

– Jeśli wyzdrowiała, może już nie potrzebuje energii – szepnął z nadzieją.

– Tak myślisz?

To było tylko przypuszczenie, ale skinął głową. Tak naprawdę podejrzewał jednak, że pasmo śmierci jeszcze się nie skończyło. Lektorka doszła do siebie na tyle, by wrócić do domu, ale na pewno wciąż potrzebowała nowych sił. A może po prostu była głodna...?

* * *

Obudził go telefon. Nim sięgnął po aparat, zerknął na budzik. Dwanaście po dziewiątej.

Kto mógł dzwonić do niego w sobotę o tak wczesnej porze? Weekend jest najszczęśliwszą częścią tygodnia, można się wreszcie wyspać, nie trzeba brać dupy w troki i pędzić do szkoły, gdzie jakiś odmóżdżony wuefista każe fikać bezsensowne koziółki.

– Halo... – rzucił zaspany do słuchawki.

– Zbyszek? Obudziłam cię?

Poznał głos Jolki i od razu oprzytomniał.

– Nie szkodzi – odparł – najwyższa pora wstawać.

Coś szeptało mu do ucha, żeby natychmiast się rozłączył. Że nie chce wiedzieć, co dziewczyna ma mu do powiedzenia.

– Mam złe wiadomości – usłyszał.

– Wal – powiedział drewnianym głosem.

Palec błędził wokół przycisku przerywającego rozmowę, ale nie użył go. Zdawał sobie sprawę, że chowanie głowy w piasek niczego nie rozwiązuje. Udawanie, że nie ma żadnego zagrożenia, wcale nie oznacza, że ono nie istnieje, że nie czyha tuż za rogiem.

– Wczoraj, nim za tobą pobiegłam, wzięłam od wszystkich numery telefonów i... – umilkła na kilka sekund – i dziś zadzwoniłam...

– Zerwałaś ich wszystkich tak wcześnie? – przerwał jej zaskoczony.

– Nie każdy wyleguje się tak długo w łóżku. – Ironia tych słów utonęła w ich posępnym brzmieniu. Jolka sprawiała wrażenie kogoś, kto sili się na żart w chwili, gdy po karku przechadza się mu jadowita tarantula. – Zresztą nikogo nie obudziłam, nie było już kogo budzić...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Doskonale wiedział. Pozostali nie żyli. Dopadł ich ten sam zdumiewający zbieg okoliczności. Główna wygrana na loterii prowadzonej przez panią Śmierć.

– Wiktor leży w szpitalu... Wczoraj wieczorem został pobity przed swoim blokiem.

Ponoć przez kumpli z podwórka. Trudno się rozmawiało z jego matką, była w strasznym stanie. W każdym razie Wiktor jeszcze żyje, ale już nigdy nie nauczy się żadnego obcego języka. Jest jak warzywo. Został podłączony do aparatury podtrzymującej życie. Śmierć mózgu, tak mi powiedziała jego matka.

Jolka była bliska hysterii, słyszał to w jej głosie. W jednej chwili pojął, że musi ją jakoś uspokoić.

– Przestań – powiedział rozmyślnie nieprzyjemnym tonem. Pocieszenie jej nie miało sensu, chciał jedynie, by zaczęła trzeźwo myśleć. Miał nadzieję, że ostre słowa sprawią, że zbierze się do kupy; czyż na filmach nie policzkuje się tych, którzy panikują? – Mogliśmy się tego spodziewać!

– Może ty się z tym liczyłeś, ja nie. Zresztą to nie wszystko. Wczoraj po dziewiętnastej Weronika wyszła z domu i do tej pory nie wróciła. Nie wzięła ze sobą telefonu. Gdy zadzwoniłam, odebrał jej brat. Oni jeszcze się łudzą, że da znak życia, ale przecież tak nie będzie, prawda? Ona też zginęła. Jakiś zboczeniec, pies, a może nawet popieprzony kanarek jej przyjaciółki załatwił sprawę, czyż nie?! Dopadł ją, bo – jak to powiedziałaś? – jesteśmy naznaczeni. Każdy z nas nosi niewidzialne piętno, znak, że pora kończyć to kiepskie przedstawienie.

– Uspokój się! – Zbyszek prawie krzyczał. Opanował się jednak i dodał już spokojniej: –

A co z Agatą?

– Nie odbiera.

– Pewnie jeszcze śpi.

– Pewnie nie oddycha!

– Nie możesz od razu podejrzewać najgorszego.

– Niby czemu nie? Oni nie żyją, wszyscy, czuję to. Zostaliśmy sami. Musimy coś zrobić, ja nie chcę umierać!

– Co proponujesz? – spytał. Sam miał w głowie pustkę.

– Zgłośmy to na policję.

– Nie uwierzą nam.

Zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie minę policjanta przyjmującego zgłoszenie.

W najlepszym wypadku wyrzuciliby ich za drzwi, w najgorszym może nawet trafiliby do

czubków. A może nie? Może po prostu facet wyciągnąłby broń i oddał kilka strzałów? Jeśli zwierzęta wariowały, kto mógł dać im gwarancję, że to samo nie stanie się z ludźmi?

– To chodźmy do jakiegoś księdza.

– I jak go przekonamy? Nigdzie nie możemy pójść, jesteśmy zdani wyłącznie na siebie.

– Więc zabijmy tę sukę!

Zbyszek zaniemówił. To rozwiązanie w ogóle nie przyszło mu do głowy. Jeszcze wczoraj nie byłby w stanie odebrać komuś życia. Dziś jednak świat wyglądał inaczej. W

kwestii: Ileana czy oni, zdecydowanie prawo do dalszej egzystencji przyznawał sobie.

– Jak chcesz to zrobić? – spytał ostrożnie.

– Spróbujmy tradycyjnie, nożem... kijem... W ostateczności przebijemy jej serce kołkiem. Sam mówiłeś, że jest wampirem. Nie zaprzeczysz.

– Powiedziałem tylko, że czerpie energię jak wampir. Przecież nie śpi w dzień i odbija się w lustrze, a na pewno w szybie. Nie sądzę też, by sobie polegiwała w trumnie i bała się czosnku. To dobre na filmach. Tak naprawdę nie wiemy, w jaki sposób można ją zgładzić.

– Ja wiem jedno. Jeśli tego nie zrobimy, możemy zacząć rozglądać się za ładnym miejscem na cmentarzu. I to w trybie ekspresowym, jutro już może być za późno.

Zbyszek musiał przyznać jej rację. Pozostawał jeden problem do rozwiązania.

– Masz choć blade pojęcie, gdzie ona mieszka?

* * *

Zbyszek przyszedł na spotkanie kwadrans przed umówionym czasem, ale Jolka już na niego czekała.

– Agata nie żyje – powiedziała, ocierając łzy rękawem. – Utopiła się podczas kąpieli.

Wczoraj.

– A Weronika?

Dziewczyna tylko pokręciła głową.

– Więc prawdopodobnie zostaliśmy sami – skwitował.

– Myślisz, że dadzą nam adres Ileany? – spytała Jolka, wskazując brodą sekretariat.

– Znają nas... Powiemy, że chcemy ją odwiedzić.

– A jeśli są z nią w zмовie?

Jego śmiech zabrzmiał jak suchy kaszel.

– To już po nas. Rozmawiałem z Tadeuszem. Dane, które mają w szpitalu, są do niczego. Sprawdziłem na planie. Nie ma takiej ulicy.

Jolka zbladła jeszcze bardziej. Z pobielającą twarzą wyglądała jak woskowa figura.

– A jeśli...

– Wystarczy tych „jeśli” – przerwał jej – za chwilę wszystkiego się dowiemy.

* * *

Odnalezienie domu nie było trudne. Okazało się znacznie łatwiejsze niż uproszenie pani Marii o adres Ileany. Ochrona danych osobowych, tak to nazwała. Gdyby Zbyszek poszedł

sam, pewnie nic by nie wskórał. To, że im się udało, zawdzięczali urokowi osobistemu Jolki.

Musiał przyznać, że pozbierała się do kupy. Uśmiech, jakim obdarzyła sekretarkę, zmyliłby nawet jego.

– To tutaj – szepnął, patrząc na mały biały budynek, otoczony zaniedbanym trawnikiem.

W zapadającym zmierzchu domek wyglądał jeszcze posępniej.

– Wydaje się opustoszały...

– Nie jest tak źle – stwierdził Zbyszek, podchodząc do ogrodzenia. – Nie widziałaś chałupy mojego wuja... Nawet szczury boją się tam mieszkać, ale nie on.

Dziewczyna go nie słuchała. Nie mogła oderwać wzroku od budynku.

– Wejdziemy furtką?

– Raczej tak. Jeśli ktoś by zobaczył, że skaczymy przez siatkę, mógłby wezwać policję.

– Idź pierwszy.

Zbyszek położył dłoń na klamce, gdy nagle zza gęstych krzewów żywopłotu wyskoczył

duży czarny wilczur. Pies nie ujadął, ale spoglądał na nich nieprzyjaźnie. W jego oczach czaiła się złowroga inteligencja. Zbyszek gotów był przysiąc, że zwierzę ocenia ich zamiary.

– Dobry piesek – szepnął. – Wpuścisz nas?

Odpowiedzią było krótkie warknięcie.

– Nie drażnij go – pisnęła Jolka.

– Nie drażnię... Mam wrażenie, że on nas rozumie. Prawda, piesku? Wiesz, co do ciebie mówię?

Stłumione szczeknięcie zabrzmiało prawie jak „tak”.

– No świetnie, i co teraz? Może powinniśmy kupić mu pętko kiełbasy?

– Nie sądzę, by to coś dało – westchnął Zbyszek. – To strażnik. Jak w horrorach. Tam wampir zawsze ma pomocników. Kogoś, kto pilnuje jego legowiska.

Pies usiadł, nie spuszczając z nich wzroku. Póki byli na zewnątrz ogrodzenia, pozornie nie zwracał na nich uwagi. Jedyne przyglądał się i czekał.

– To co robimy? – spytała Jolka.

– Możemy albo wrócić do domu, albo tam wejść.

– Co za różnica, w obu przypadkach skończy się to dla nas tak samo.

– No właśnie.

Zbyszek zrzucił plecak i zaczął w nim grzebać. Wyciągnął średniej wielkości toporek.

Zważył go w dłoniach.

– Widzę, że się przygotowałeś. – Wargi dziewczyny ułożyły się w grymas, który od biedy można było uznać za uśmiech.

– Miałem przeczucie, że nie zostaniemy zbyt ciepło przyjęci.

Chłopak podszedł do furtki i pchnął ją mocno. Metalowe drzwiczki otworzyły się na całą szerokość. Tuż za nimi siedział wilczur. Cicho powarkiwał, gotów natychmiast zaatakować.

Przez moment człowiek i pies spoglądali na siebie wyczekująco.

Zbyszek poruszył się pierwszy. Zrobił dwa szybkie kroki do przodu i zamachnął się toporkiem. Ostrze przecięło powietrze i opadło w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się łeb zwierzęcia. Trafiło w pustkę. Pies cofnął się błyskawicznie, a następnie, niemal w tej samej sekundzie, skoczył i chwycił zębami prawe ramię Zbyszka.

Chłopak krzyknął z bólu i wypuścił toporek. Zrozumiał, że nie ma szans w starciu z wilczurem.

– A żeby cię szlag! – wrzasnęła Jolka i podbiegła do nich.

Wyciągnęła rękę przed pysk zwierzęcia i trysnęła mu czymś prosto w ślepią. Pies od razu puścił ramię Zbyszka. Przypadł do ziemi, cicho skomląc, i wtedy dziewczyna uderzyła go w łeb krótką metalową pałką. Zwierzę sprawiało wrażenie oszołomionego, ale jeszcze nie pokonanego.

– Na co czekasz?! – krzyknęła Jolka.

Zbyszek oprzytomniał. Podniósł toporek i nie zważając na ból, jaki towarzyszył

każdemu ruchowi ręki, z całej siły spuścił go na łeb wilczura. Ostrze zagłębiło się w czaszce, rozłupując ją niemal na pół. Chłopak spojrzał na martwego psa i zwymiotował. Przed oczami stanął mu Wigor.

– Chyba powinienem ci podziękować... – powiedział, gdy poczuł się nieco lepiej. – Skąd to wzięłaś?

– To rzeczy brata. Miał jeszcze gruby łańcuch, ale okazał się strasznie ciężki, więc dałam sobie z nim spokój.

– Nie chciałbym spotkać się z twoim braciszkiem w ciemnej uliczce.

Jolka nie odpowiedziała. Ruchem głowy wskazała biały budynek.

– Chodźmy, zanim ktoś się zainteresuje, co tu się dzieje.

Przenieśli truchło psa w zarośla, by nie było widoczne z drogi, i podeszli do domku.

Wejście znajdowało się z tyłu, od strony niewielkiego ogrodu. Zbyszek szarpnął za kłamkę.

Ku jego zaskoczeniu drzwi nie były zamknięte. Widocznie Ileana całkowicie polegała na swoim psie. A może czuła się tak silna, że nie bała się intruzów? To przypuszczenie sprawiło, że włosy zjeżyły mu się na głowie. Już niczego nie był pewien. Nie wiedział, czy Ileana była wiedźmą, czy raczej udającym człowieka stworem. Pewne było tylko to, że żywiła się ich energią, a oni właśnie sami pchali się w jej łapy.

– Zapal światło – szepnęła Jolka.

Wnętrze domu tonęło w mroku. Zbyszek posłusznie sięgnął ręką ku włącznikowi, ale żarówki nie rozbliły. Albo były przepalone, albo w budynku w ogóle nie było prądu.

– Masz latarkę? – Jolka spytała tak cicho, że Zbyszek z trudem wychwycił słowa.

O tym nie pomyślał. Zabrał nóż, linę, podpałkę do grilla w płynie, dwa pudełka zapalek, no i oczywiście toporek, ale nie przyszło mu do głowy zaopatrzyć się w coś, czym mógłby sobie wygodnie przyświecić.

– Tylko zapalaki.

Wyciągnął z kieszeni pudełeczko. Błady płomień nie zdołał rozświetlić całego pomieszczenia. Wystarczył jedynie, by zorientować się w otoczeniu. Stali w niezbyt dużym przedpokoju. Wszystkie prowadzące z niego drzwi były zamknięte. Mogli iść na lewo, w prawo lub przed siebie.

Zbyszek wskazał drzwi na prawo i upuścił szerniałe drewnienko. Płomień zaczynał już mu lizać palce. Jolka ścisnęła jego ramię, jakby zamierzała dodać mu odwagi, po czym delikatnie go popchnęła. Zrozumiał. Miał iść pierwszy.

Pokój, do którego weszli, okazał się całkiem spory. Ciemności jeszcze spotęgowały to wrażenie. Sprawiały, że wydawał się pełen dogodnych kryjówek, z których lada moment ktoś mógł na nich wyskoczyć. Ktoś lub coś...

– Mieszka raczej normalnie – stwierdziła Jolka, gdy Zbyszek zapalił kolejną zapalarkę.

– Zachowuje pozory... Chyba nie sądziłaś, że natkniemy się na otwartą trumnę.

– Przecież mówiłaś, że ona nie śpi w trumnie. Że to tylko wymysł scenarzystów...

– Skąd mogę wiedzieć, gdzie śpi Ileana? Może ma wygodne łóżko, a może jamę w piwnicy? Nie mam nawet pewności, czy ona w ogóle sypia.

Pomieszczenie było puste. Nie znaleźli też nikogo w pokoju obok.

– Sprawdźmy drugą stronę domu – zarządził Zbyszek.

Kiedy wrócili do przedpokoju, dobiegł ich stłumiony hałas. Dochodził zza drzwi naprzeciwko

wejścia. Chłopak pchnął je lekko. Nie zobaczyli nic. Mrok był tu gęstszy niż w innych częściach domu.

Zbyszek zapalił zapałkę. Przed nimi znajdowała się łazienka. Pusta. Chłopak już miał zawrócić, gdy jego wzrok padł na klapę opartą o ścianę. Wejście do piwnicy, otwarte, było zaledwie krok od niego. Jeden nieostrożny ruch, a wpadłby tam niczym do wilczego dołu.

Zbyszek nachylił się nad ciemnym otworem i natychmiast się cofnął. Usłyszał gniewnie wypowiedziane słowa, których nie potrafił zrozumieć.

– Chyba tu idzie – szepnął do Jolki, ściskając mocniej toporek.

To była okazja, która mogła się nie powtórzyć. Musiał załatwić Ileanę jednym uderzeniem, gdy tylko wystawi głowę z piwnicy.

Przyklęknął, gotowy do zadania ciosu. Czuł jednocześnie strach i dziwną euforię. Miał szansę, musiał tylko trafić. Zdawał sobie sprawę, że w ciemnościach, mogło to się okazać wyjątkowo trudne.

Zastygł w oczekiwaniu. Minęła minuta, dwie, po czym ukazała się blada poświata.

Drżący poblask wskazywał, że Ileana niesie świeczkę. Zbyszek poczuł, że jego ręce pocą się niemiłosiernie. Baba musiała zginąć od pierwszego uderzenia, drugiego ciosu mógł już nie zdążyć zadać.

Nareszcie zobaczył jej przyprószone siwizną włosy i opuścił ostrze. W tej samej chwili stojąca za nim Jolka wydała z siebie krótki okrzyk. Ileana drgnęła i lekko się obróciła, by sprawdzić, z kim ma do czynienia. To wystarczyło, by toporek chybił celu. Prześlizgnął się tuż obok głowy lektorki i z impetem wbił w drewnianą podłogę.

– To wy? – zapytała kobieta po polsku; wyglądała na zupełnie zaskoczoną. – Co wy tu...?

Zbyszek wyszarpnął toporek. Kątem oka dostrzegł, że Ileana wypuszcza z rąk świecę i coś jeszcze, coś okrągłego, co potoczyło się po stopniach schodów. Słyszał głucho pacnięcia, gdy przedmiot uderzał w kolejne deski. Chłopak odniósł wrażenie, że to głowa – głowa Weroniki – ale nie był tego pewny. Pomieszczenie ponownie ogarnął mrok, a on przede wszystkim skupił się na broni. Równie dobrze upuszczonym przedmiotem mogła być główka kapusty.

Zamachnął się toporkiem, ale Ileana zdążyła się skryć w piwnicy.

– Co się stało?! Czego chcecie?! – krzyknęła na wpół zrozumiale.

– Nie uda ci się nas zabić! – syknął Zbyszek, starając się wymacać prowadzące w dół

stopnie.

Zszedł do piwnicy. Za nim ostrożnie podążała Jolka. Nie widział jej, ale słyszał ciche kroki na schodach. Był przerażony, ale i wściekły. Wszelkie wątpliwości już go opuściły.

Niezależnie od siły Ileany nie było odwrotu, musiał się z nią zmierzyć.

– Wyłaż, wiedźmo! – krzyknął, gdy znalazł się na dole.

Mrok wydawał się tak gęsty, że Zbyszek miał wrażenie, że jest w stanie go dotknąć.

Nauczycielka mogła się kryć wszędzie. Nie mógł nawet zapalić zapalki, gdyż wymagałoby to odłożenia broni.

– Jolka – powiedział.

– Jestem.

– Zapalki są w przedniej kieszeni spodni.

Poczuł pacnięcie w tyłek, a następnie dłoń dziewczyny, trzymając się materiału jego spodni, prześlizgnęła się na przód. Chwilę błądziła tam w poszukiwaniu kieszeni. W innych okolicznościach ten dotyk mógłby go rozbawić lub zażenować, teraz jednak myślał

wyłącznie o tym, by odnaleźć Ileanę.

Jolka wyszarpnęła pudełko i potarła zapalką o draskę. Wnętrze pomieszczenia rozświetliło się, ale na krótko, zapalka niemal od razu zgasła.

– Szybciej – jęknął błagalnie.

Słyszał szept Ileany, jakieś niewyraźne słowa. Zdawał sobie sprawę, że musi natychmiast zatłuc lektorkę albo zginie. Być może z własnej ręki. Po tym, co stało się z

Mateuszem i Anką, nie mógł tego wykluczyć. Najpierw rozpląta czaszkę Jolce, a potem przeciągnie ostrzem toporka po swojej szyi.

Dziewczyna wyciągnęła drżącymi dłońmi kolejną zapalkę. Tym razem się udało.

Płomyk zadrżał i zmalął, ale nie zgasł. Zbyszek mógł nareszcie przyjrzeć się wnętrzu piwnicy.

Ileana stała zaledwie dwa metry od niego, nieco na lewo, za dużym drewnianym stojakiem.

– Zostawcie mnie! – krzyknęła, widząc, że jej kryjówka została odkryta. – Nic wam nie zrobiłam.

– Nie zdążyłaś... – szepnął Zbyszek. – Ale do wieczora pewnie uporałabyś się i z nami, co?

Kobieta się cofnęła, ale za sobą miała tylko murowaną ścianę. Znalazła się w pułapce.

– Nie rozumiem, o czym mówisz!

Zbyszek nie zamierzał z nią dyskutować. Przyskoczył i zamachnął się toporkiem.

Kobieta uchyliła się i ostrze zamiast na głowę, opadło na jej rękę. Wrzask Ileany rozbrzmiał w małym pomieszczeniu.

– Poczekaj, spróbuj najpierw tym. – Jolka rzuciła mu pojemnik z gazem.

Chłopak złapał go. Nie zastanawiając się, nacisnął dozownik. Natychmiast tego pożałował. Ileana z krzykiem zasłoniła twarz dłońmi, ale gaz podziałał również na niego. Do oczu napłynęły mu łzy. Prawie nic nie widział.

Zapałka trzymana przez Jolkę zgasła.

Gdy zapłonęła kolejna, uderzył. Trochę na pamięć, trochę kierując się mozaiką jasnych i ciemnych plam, w jaką zamienił się świat dookoła. Trafił. Poczł jak toporek wbija się w coś twardego, co jednak ustąpiło pod wpływem siły, jaką włożył w cios. Krzyk nauczycielki urwał się, ale dla pewności Zbyszek zamachnął się raz jeszcze.

Światło zgasło i usłyszał, że Jolka wymiotuje. Jemu także zrobiło się niedobrze.

– Trzeba jeszcze... poświecić... chwilę... – sapnął z wysiłkiem. – Muszę... odciąć jej łeb...

– Co...?

– Kołek nie jest pewny. Wyczytałem w Internecie, że najlepiej odciąć głowę. Trochę się bałem szukać w Sieci, by monitor nie eksplodował mi prosto w twarz... Ale udało się, znalazłem, co chciałem... Trzeba uciąć głowę, a ciało powinniśmy spalić... Deski tu są... z domu zabrałem podpałkę do grilla...

* * *

Zbyszek z Jolką szli ulicą, co chwila oglądając się za siebie. Nie dostrzegli jednak ani blasku ognia, ani dymu. Okolica wydawała się nadzwyczaj spokojna. Nic nie wskazywało,

że w pobliskim domku, a dokładniej w jego piwnicy, płonie coś na kształt stosu pogrzebowego. Odrąbana głowa leżała między nogami zwłok, niedaleko wyjętego z klatki piersiowej serca. Członki, także oddzielone od ciała, zostały skrzyżowane i obwiązane drutem, żeby nawet po tym, jak płomienie strawią ciało, wciąż pozostały w tej pozycji.

Chcieli mieć pewność, że obracająca się w popiół istota już nie wstanie. Nie ożyje ponownie, by szukać zemsty.

Biały domek zniknął z pola ich widzenia, gdy Zbyszek wreszcie się odezwał. Były to jego pierwsze

słowa od momentu, gdy podpalili stos.

– Właściwie nie było tak trudno – mruknął, starając się zasłonić plecakiem i w miarę czystą kurtką czerwone plamy na ubraniu. I on, i jego towarzyszka byli umazani krwią, która w mroku wydawała się jedynie czarnymi wzorami. – Te wampiry są stanowczo przereklamowane...

Jolka uśmiechnęła się blado i wyciągnęła komórkę. Przez chwilę w zamyśleniu obracała ją w palcach.

– Zamierzasz gdzieś dzwonić? – spytał Zbyszek.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Myślałam o mamie Anki – przyznała.

– I co jej powiesz? Że pomściliśmy jej córkę? Uznałaby nas za czubków albo nawet powiadomiła policję.

Jolka niepewnie pokiwała głową. Zamierzała schować telefon, gdy ten niespodziewanie zadzwonił.

– Słucham – rzuciła lekko schrypniętym głosem.

Po plecach Zbyszka przebiegł dreszcz. Przez moment miał wrażenie, że dzwoni Ileana.

Że to, co zrobili, wcale jej nie powstrzymało. Co najwyżej ją rozbawiło, a teraz nadeszła kolej na nich. Zatelefonowała, by powiadomić ich, że wkrótce umrą.

Jolka zatrzymała się i dłuższy czas nic nie mówiła. Wreszcie wykrztusiła do aparatu kilka krótkich słów.

– Dzwoniła Weronika – wyjaśniła, gdy się rozłączyła.

Zbyszek pomyślał o przedmiocie, który wypadł z ręki Ileany, gdy wychodziła z piwnicy.

Co to było? Głowa innej ofiary, a może naprawdę kapusta? Wszystko działo się w takim pośpiechu, że nawet gdy wyeliminowali lektorę, zapomniał tego sprawdzić.

– Powiedziała, że była u Agaty, gdy ta brała kąpiel. Agata... – Jolce na parę sekund głos uwiązł w gardle – ponoć kręciła z Przemkiem. Gdy zmarł, bała się, że i ona coś złapała.

Dlatego szorowała się jak oszalała, po prostu nie chciała wyjść z wanny. Weronika zostawiła ją samą, a po dłuższej chwili znalazła martwą z rozbitą głową. Pewnie Agata poślizgnęła się i uderzyła o kant. To by znaczyło, że one obie nie są ofiarami Ileany

– A inni? A zwierzęta?

– Może inni też mieli pecha, może psy się wściekały, bo nosisz na sobie jakiś drażniący je zapach,

może to tylko najbardziej popapwany w historii tej planety zbieg okoliczności? A my... od razu ucieliśmy głowę babie od rumuńskiego.

Zbyszek milczał. Na usta cisnął mu się śmiech, który nie miał nic wspólnego z wesołością.

* * *

Mały prawosławny cmentarzyk ginał w potokach ulewnego deszczu. Za przemokniętym kapłanem i niewielką trumną podążało, bezskutecznie kryjąc się pod parasolami, zaledwie parę osób. Nikt nie płakał. Każdy marzył tylko o tym, by już znaleźć się w domu.

Tuż za trumną szła Maria. Według jej wiedzy Ileana nie miała nikogo bliskiego, ani tu, ani za granicą. Na pogrzeb przyszło jedynie kilku pracowników szkoły języków obcych i wysoki, chudy mężczyzna, którego Maria kiedyś już widziała w towarzystwie Ionete.

– To straszne, taka śmierć... – powiedział mężczyzna, podchodząc bliżej.

Maria uznała, że te słowa są skierowane do niej.

– Nie znaleziono sprawców – odparła.

Akcent jej rozmówcy zdradzał, że mężczyzna pochodzi z Rumunii.

– Byłem jej przyjacielem, chyba jedynym. Prywatnie należała do osób wyjątkowo skrytych. Pewnie nie powiedziała pani, że długo chorowała? Cała ona. Było z nią bardzo źle, ale niespodziewanie nastąpiła cudowna poprawa. Nikt nie potrafił tego wytłumaczyć, ani specjaliści, ani Ileana. Lekarze aż nie mogli w to uwierzyć...

– Długo pan ją znał? – przerwała mu.

Mężczyzna chwilę milczał.

– Mam wrażenie, że całe wieki.

– To straszne, co się dzieje z tym światem. – Maria westchnęła. – Ludzie mordują się jak zwierzęta.

– Gorzej.

– Ma pan rację. Słyszałam, że jej zwłoki zostały zbezczeszczone. Kto mógł dopuścić się takiej potworności...?

Mężczyzna spojrzał na Marię. Jego twarz wydała się jej strasznie blada. Naciągnięta skóra upodabniała ją do wyszczerzonej posępnie czaszki.

– Dla nas najważniejsza jest tradycja – oznajmił cicho. – Teraz, gdy kości Ileany powróciły do ziemi, ułożone tak, jak nakazuje wiara przodków, wierzę, że wszystko będzie dobrze. Winni zostaną ukarani. Tak, na pewno zostaną ukarani.

Kazimierz Kyrz jr

Łukasz Radecki

Pan

Promienie słońca wśliznęły się przez prześwity w zasłonach, tańcząc na piegowatym, zadartym nosku dziewczynki. Paulinka mruknęła coś przez sen i przewróciła się na drugi bok. Jej powieki drgały delikatnie. Można było przypuszczać, że dziecku coś się śni, a sądząc po uśmiechu na twarzy, z pewnością było to coś miłego.

Marianna, jakby przygnieciona niewidocznym ciężarem, cofnęła się do przedpokoju i zamknęła drzwi. W ten sobotni poranek nie było sensu budzić małej, zwłaszcza że dzięki temu mogła wreszcie spędzić trochę czasu sama. Usiadła przy nakrytym wyblakłą ceratą stole, zamieszała herbatę w szklance i swoim zwyczajem zapatrzyła się w widok za oknem.

Wspomnienia napłynęły ciepłą falą i w tym momencie prowadząca do ich domu furtka otworzyła się gwałtownie. To jej znajomi z klasy przyszli całą grupą na pomaturalną imprezę.

Koledzy przywitali się z nią wylewnie, dziewczyny z mieszaniną fałszu i zazdrości. Nie chodziło o to, że nie była lubiana, wprost przeciwnie. Fakt, że już posiadała własny dom, choć nieduży i zaniedbany, powodował, że życie towarzyskie kręciło się wokół niej. W

połączeniu z figurą i urodą Marianny dawało to zabójcze rezultaty. Każdy chłopak z klasy, i nie tylko, chciał się z nią umówić, każda dziewczyna chciała być jej przyjaciółką.

Drzwi do kuchni uchyliły się z cichym zgrzytem, wyrywając ją z zadumy. Na progu ukazała się drobna postać sześciolatniej Paulinki. Proste, nieco zmierzwione jasne włosy, ładna buzia. Jej szczupłe ciało okrywała sprana pizama z misiem Colargolem. Na stopach miała stare, pocerowane kapciuszki.

– Dzień dobry, mamó – powiedziała zaspanym głosem, tuląc ulubionego pluszowego pieska Łatka.

– Hej – odparła kobieta, bez powodzenia próbując zatrzymać umykające resztki wspomnień. – Hej...

– Co dziś na śniadanie? – spytała Paulinka, trąc piąstką oczy.

– Umyłaś zęby?

– Nie... – zaczęła dziewczynka.

– To zrób to natychmiast – ucięła Marianna, wracając do obserwacji furtki za oknem.

Mała spojrzała z lekkim wyrzutem na mamę, ale posłusznie podreptała do łazienki.

W tamtych czasach nie marzyła o jakimś jednym chłopaku, podobało jej się wielu i co najważniejsze, mogła w nich przebierać.

Podczas tej imprezy koledzy z klasy postanowili zabawić się na całego – zadbali zarówno o dobrą muzykę, jak i o odpowiednią ilość alkoholu. Wskazała im lodówkę i

popędziła z koleżankami do dużego pokoju, gdzie urządziły sobie prowizoryczną salę taneczną. Przemek włączył nową płytę Republiki i wszyscy ruszyli do tańca. Płasała razem ze wszystkimi, starając się wygospodarować dla siebie jak najwięcej miejsca na tak małej przestrzeni. Kątem oka dostrzegła, że Zbyszek i Piotr, najwięksi przystojniacy w klasie, sączą piwo i patrzą na nią. Tylko na nią!

– Mamo! Co z tym śniadaniem? – Głos Paulinki znów przywrócił ją do rzeczywistości.

– Już, już... – powiedziała, wstając z ociąganiem i podchodząc do szafki.

Drzwiczki dawno się wypaczyły, ale nie miała sił ani chęci, by zająć się ich naprawą.

Przytrzymała je, żeby nie spadły na podłogę, i szybko wyjęła płatki kukurydziane. Paulinka skrzywiła się.

– Znowu płatki z mlekiem? – burknęła. – Kiedy będzie coś innego?

– Nie marudź! Jutro zrobię ci pyszną jajecznicę – obiecała Marianna, wysypując płatki na talerz.

– Zawsze tak mówisz – westchnęła dziewczynka, sadowiąc się na krześle.

– Jutro jest niedziela – stwierdziła z niepotrzebną stanowczością, zalewając płatki mlekiem z kartonu. – W wyjątkowym dniu wyjątkowe danie.

– No dobrze – zgodziła się mała i zabrała się do jedzenia. – Zimne! – Skrzywiła się.

– Takie jest najlepsze.

– Wiesz, mam, miałam dziś niezwykły sen – przypomniała sobie Paulinka.

– To ciekawe – odparła Marianna, obserwując furtkę z takim natężeniem, jakby wierzyła, że otworzy ją siłą woli.

Tamtego wieczoru zanosilo się na to, że jej wizja przyszłości zaczyna się krystalizować.

Zbyszek pocałował ją, co prawda tylko w policzek, ale trzymał w objęciach trochę dłużej, niż jest to przyjęte wśród znajomych. Piotrek stał w progu i śpiewał wymyśloną na poczekaniu serenadę.

– ...Byłam w parku i spotkałam tam cudowne stworzenia...

Obaj żartowali, że staną do pojedynku o jej rękę. Wtrącił się Michał, który upierał się, że nigdy nie będą jej godni.

– ...Jednorożec zaprowadził mnie do królewskiego ogrodu i wiesz, kogo tam spotkałam?

– spytała podekscytowana dziewczynka.

- Kogo? – Wyprany z emocji głos matki świadczył niezbicie, że pyta jedynie dla świętego spokoju.
- Elfy! – wykrzyknęła uradowana Paulinka. – Biegały po całym ogrodzie i śpiewały, i tańczyły...
- Świetnie – przerwała jej Marianna. – Ale nie powinno się mówić przy jedzeniu.
- Już zjadłam – zauważyła dziewczynka. – Mogę iść do parku i pobawić się z elfami?
- Oczywiście. Tylko ubierz się ciepło.

* * *

Dupencja wypięła pośladki najmocniej jak potrafiła. Irlandczyk z naganiaczem wielkim niczym rura od odkurzacza wbił się w jej szparę z energią wybuchającego wulkanu.

Rudzielec wchodził w nią raz za razem, bezwzględnie i finezyjnie niczym młot pneumatyczny. Dziewczę mimowolnie zagryzło wargi, ale widocznie przypomniało sobie, gdzie jest i zaraz uśmiechnęło się do kamery. Podjęło koci koncert polegający na wydawaniu niby to zachęcających jęków – trudna sztuka, której opanowanie kosztowało ją mnóstwo samozaparcia.

Tymczasem ogarnięty żądzą rudzielec brutalnie przewrócił dziewczynę na plecy i rozchylając jej nogi z taką łatwością, jakby były źdźbłami trawy, zaczął lizać jej łechtaczkę z wprawą Kojaka, nigdy nierozstającego się z lizakiem.

– Ja! Ja! Jaaguud! – krzyknęła dla urozmaicenia dziewczyna, popisując się znajomością języków obcych.

Tego było już za wiele. Pan nacisnął przycisk pilota, przerywając to żenujące widowisko. Podniósł się niechętnie z fotela, wyjął płytkę z czytnika odtwarzacza DVD i schował ją do pudełka. Niepotrzebnie kupował tę kiszkę. Chwilę się wahał, wreszcie wrzucił

film do kosza. Sam się sobie dziwił, że ogląda takie rzeczy, ale cóż, skoro czuł się samotny i niekochany...

Aby odciągnąć swe myśli od ponurej rzeczywistości, postanowił się przespacerować.

Liczył na to, że kiedy przewietrzy płuca i trochę się zmęczy, będzie mu łatwiej zasnąć. No, a przy okazji spali kilka zbędnych kalorii.

Włożył koszulkę przedstawiającą Jasona z *Piątku trzynastego*, na bose stopy wsunął

sandały i wyszedł z domu. Zastanawiając się nad plusami i minusami zastosowania nowej diety, zapuścił się aż na drogę wylotową za miasto. Minał stary żydowski cmentarz i trochę już zmęczony wędrówką skręcił do parku.

Asfaltowa alejka, na którą wkroczył, wyglądała jak koc rzucony byle jak na ziemię –

pofałdowana, brudna i brzydka. To jednak mu nie przeszkadzało. Przysiadł na pierwszej lepszej ławce i odetchnął. Spokój, cisza... No, prawie cisza, bo akurat napatoczyła się jakaś dziewczynka, która podeszła do wiekowego dębu i z wielką uwagą zaglądała do znajdującej się w nim dziupli.

Apetyczna mała, pomyślał na widok jej patykowatych nóg, słomkowej barwy włosów i zabawnego, jakby ptasiego przekrzywania głowy.

– Hej, coś ci pokażę, laleczko – zagadnął, sięgając do kieszeni.

Przez kilka sekund dziewczynka zastanawiała się jak zareagować. W końcu ciekawość zwyciężyła. Zaintrygował ją również dziwny, niski głos mężczyzny. Podeszła do ławki, na której siedział.

– To moje ukochane córki – wyjaśnił, podstawiając jej pod nos plastikowy prostokąt, na którym wydrukowano zdjęcie dwóch nastolatek.

– Nieładnie kłamać – zauważyła poważnie dziewczynka, odsuwając się od niego. – To zwykła karta telefoniczna. To nie mogą być pana córki.

– Masz rację, panienko – to jest karta telefoniczna. Ale ja nie kłamię. Obie są moje.

Mam bardzo wiele dzieci.

– A gdzie mieszkają? – spytała dziewczynka.

Mężczyzna jakby nie dosłyszał pytania.

– Ta okrągła na buzi ma na imię Dolores, a ta druga Amelia. A ty jak masz na imię?

– Paulinka.

– Zagram ci coś, Paulinko – bardziej oznajmił, niż zaproponował i zamaszystym ruchem, nie wiadomo skąd, wyjął drewnianą fletnię.

Przyłożył instrument do ust i wydał policzki. Parkowymi alejkami popłynęła cicha, ni wesoła, ni smutna melodia. Dziewczynka słuchała jej z uwagą, a wyobraźnia podsuwała jej bajkowe wizje – przemykające wśród drzew elfy, pasący się na polanie jednorożec...

– Wystarczy. – Mężczyzna schował instrument do kieszeni krótkich spodenek i wytarł dłonią zwilgotniałe usta.

– Szkoda – westchnęła Paulinka. – Podobała mi się ta melodia...

– Naprawdę?

– No pewnie. Każdemu by się spodobała.

– Niekoniecznie – zauważył z przekąsem grajek. – Ludzie są bardzo różni. Widziałem nawet takich, którzy wyjadali sobie miód z uszu. Nie sądzę, by moja muzyka przypadła im do gustu.

– Oni byli chorzy?

– Niektórzy tak uważają. Ja się na tym nie znam, ale myślę, że raczej nie.

Paulinka zmarszczyła z powątpiewaniem brwi.

– To dlaczego tak robili? Byli głodni?

Mężczyzna gwałtownie wciągnął powietrze i zaczął wydawać urywane dźwięki – coś jakby skrzyżowanie śmiechu z rapowaniem. Opanował się z trudem.

– Wiesz co, Ptysiu... Pozwolisz, że będę cię nazywał Ptysiem, a nie Paulinką?

– A dlaczego?

– To będzie taka zabawa, sekretne imię, które będziesz znała tylko ty i ja.

– A pana jak mam nazywać?

– Pan. Po prostu Pan.

* * *

Paulinka zanurzyła widelec w parujących pierogach z serem. Mama jak zwykle była na diecie, więc zamiast jeść razem z nią, zajęła się nakładaniem makijażu. Robiła to starannie, z namaszczeniem wodząc szminką po ustach.

– Wiesz, mamó – zaczęła ostrożnie dziewczynka. – Poznałam dzisiaj miłego pana.

– To ciekawe – odparła Marianna, zmazując nadmiar pomadki palcem.

– Był bardzo miły i pięknie grał na flecie.

– Cieszę się. – Matka najwyraźniej znów pogрузzyła się w świecie wspomnień.

– Myślisz, że mogę się z nim przyjaźnić?

– Oczywiście, skarbie. – Kobieta odstawiła lusterko i wyjrzała przez okno.

– Bo wiesz, mamó, on jest dużo starszy i w ogóle...

– Słucham? – Do Marianny dopiero teraz dotarło znaczenie słów córki. Odwróciła się gwałtownie. – Jaki znowu pan?

– Po prostu Pan – odparła dziewczynka. – Taki trochę starszy. Ma śmieszna koszulkę z potworem,

krótkie spodenki i flet.

– Chciał coś od ciebie? – spytała z przerażeniem kobieta.

– Nie. – Mała uśmiechnęła się z odrobiną wyższości, uśmiechem zarezerwowanym dla dorosłych, którym trzeba tłumaczyć najprostsze sprawy. – Tylko zagrał mi taką piękną melodyjkę. Bardzo ładną. Ale mówił, że nie wszyscy ją lubią.

– Byli tam inni ludzie? – Matka chwyciła dziecko za rękę.

Dziewczynka drgnęła przestraszona.

– Oczywiście – odparła spokojnie. – Jak to w parku. Ciągłe ktoś przechodził koło naszej ławeczki.

Kobieta puściła rękę córki i pogłaskała ją po głowie.

– Lepiej nie rozmawiaj więcej z tym panem. A już pod żadnym pozorem nie zgadzaj się na jego propozycje. I zawsze siedź i baw się tak, by inni cię widzieli, dobrze?

– Mamo... – jęknęła dziewczynka.

– Obiecasz mi, czy mam się martwić? – naciskała matka.

– Obiecuję, że nie musisz się martwić – odrzekła sprytnie dziewczynka. Po chwili dodała. – A będę mogła iść do parku, jak zjem?

– Ale pamiętasz, co obiecałaś?

– Tak.

– No to możesz – zgodziła się kobieta i znów spojrzała na furtkę z nadzieją, że odwiedzą ją starzy, dobrzy znajomi.

* * *

Zegar nad łóżkiem wybił północ. Wstał machinalnie, by zerwać kartkę z kalendarza. Nie stawiała oporu. Po chwili trzymał w dłoni trzynasty dzień czerwca. Nareszcie! Jeszcze tylko

kilka godzin i znów zobaczy się z Paulinką. Sam nie wiedział, kiedy ta dziewczynka stała się mu bardzo bliska, czuł się w jej towarzystwie tak dobrze, że nie potrafił sobie wyobrazić, żeby te ich spotkania mogły się kiedykolwiek skończyć. W tym wypranym z magii świecie ona jedna pozostawiała mu nadzieję na przetrwanie. Tylko ona przypominała mu dawne dni.

Niczym chłopak wybierający się na pierwszą randkę, zastanawiał się, co jej powie, o co spyta, co będą wspólnie robić. Pogrążony w tych pół planach, pół marzeniach, zapadł w końcu w drzemkę, płytką niczym grób bezdomnego.

Budził się i zasypiał, za każdym razem z coraz większym bólem głowy.

Wreszcie o szóstej rano zwał się z łóżka, z ponurym postanowieniem, że zajmie się czymś pożytecznym. Włączył telewizor, ale o tej porze – jak łatwo się domyślić – nie było niczego ciekawego. Sięgnął po gazetę, przekartkował ją, po czym odrzucił ze wstrętem.

Cokolwiek robił, czuł się niekomfortowo. Wszystko go swędziało, jakby nie kąpał się od tygodnia lub miesiąca. Prawdziwa katorga. Rozebrał się, wszedł pod prysznic, ale gdy tylko odkręcił kurek i na ramię spłynęły pierwsze strużki ciepłej wody, zmienił zdanie.

Wychodząc spod prysznica, pośliznął się, omal nie przyplacając nieostrożności upadkiem. W ostatniej chwili wsparł się na szafce, przy okazji rozcinając sobie palec na leżącej tam żyletce. Zlizał krew. Miała paskudny smak. Zdegustowany, ubrał się w te same ciuchy, które kilka minut wcześniej zdjął, i ruszył do kuchni. Może by coś przekąsić? Albo wypić mocną bezkofeinową kawę?

Nie, to nie miało najmniejszego sensu.

Bezwolny jak niesiony wiatrem liść, ruszył do drzwi. Łomotanie pod potylicą nasiliło się, ale nie zwracał na to uwagi – najważniejsze, że wkrótce zobaczy się z Paulinką.

Pomyśleć, że kiedyś sływał z tego, że potrafił zasnąć zawsze i w każdych okolicznościach, a teraz sen z powiek spędza mu ta mała...

Tego dnia dziewczynka była dziwnie osowiała, jakby wyczuwała nie najlepszy humor Pana. Ją chyba też coś gryzło.

– Miałam piękny sen... Taki bajkowy...

– Opowiedz mi o nim.

– Nie, nie chcę... – Paulinka przygryzła dolną wargę, z trudem powstrzymując się od płaczu.

– Czemu, Ptysiu? Czy coś się stało?

– Bo... bo... mnie się bardziej podoba, jak śpię... A kiedy się budzę, to jest mi smutno i...

Nie powinienem tego robić, pomyślał Pan. Nie powinienem mieszać się do spraw zwyczajnych ludzi. Już kiedyś to zrobiłem i co z tego wynikło? Przeinaczyli wszystkie symbole, przekręcili wszelkie znaczenia. Teraz zamiast bawić się z innymi siedzę sam i oglądam te kiczowate filmy. Zbratałem się kiedyś z nimi i oto jaką formę mi narzucili! A mój dawny wizerunek? Nacechowali go negatywnie, utożsamili ze złem. Wygnali z lasów,

odebrali pastwiska. Ale... mogę to zmienić... Przecież jeśli pomogę tej małej... Muszę jej pomóc...

– Słuchaj, Ptysiu! – powiedział szybko, by się nie rozmyślić. – Mogę spełnić jedno twoje życzenie, coś, czego naprawdę pragniesz.

Paulinka zmarszczyła brwi – co dziwne, nawet przez moment nie przyszło jej do głowy, że Pan może żartować. Skoro zaproponował pomoc, na pewno jest gotów jej udzielić.

– A czy mogę oddać to życzenie swojej mamie? Ona bardziej go potrzebuje... no i chyba lepiej wie, co dla nas dobre.

– Dobrze. Skoro tak mówisz, skoro tak chcesz... – odparł Pan, głaszcząc swą kozią bródkę.

* * *

Paulinka wbiegła do przedpokoju, zdjęła sandały i bosy pognąła do kuchni. Z radości zupełnie zapomniała, że mama będzie krzyczeć, że znów niszczy rajstopki. Zajrzała niepewnie do pomieszczenia i ujrzała Mariannę płaczącą przy stole, na którym leżały jakieś papiery. Dziecko nie wiedziało jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi, ale mama nieraz mówiła, że są to jakieś „rabunki”, które trzeba płacić, inaczej zabiorą im dom. Bardzo się tego bała, bo już kiedyś zabrali im telefon i telewizor, a czasem zabierali prąd i w nocy było ciemno. Mała podeszła do zapłakanej, skulonej postaci i położyła jej rękę na ramieniu.

– Nie płacz, mamó – powiedziała łamiącym się głosem. – Wszystko będzie dobrze...

– Nic nie będzie dobrze! – wybuchła Marianna.

Paulinka wystraszyła się jej spuchniętej, mokrej od łez twarzy, a przede wszystkim wzroku. To spojrzenie, tak podobne do wzroku zaszczutego zwierzęcia, przeraziło ją.

– Mamusiu... ja... – W oczach dziewczynki pojawiły się łzy. Kobieta opamiętała się w jednej chwili. Przygarnęła do siebie córkę.

– Spokojnie, kochanie... jakoś sobie poradzimy. Najwyżej sprzedamy dom – powiedziała, tuląc ją z całych sił.

– Mamó, ja naprawdę mogę ci pomóc... – wyszeptała Paulinka.

Kobieta odsunęła córkę, by otrzeć łzy, najpierw jej, potem sobie.

– Wiem, kochanie, że bardzo byś chciała – powiedziała spokojnie. – Ale nie dasz rady.

Cieszę się, że się starasz, ale na razie nie możesz. Jesteś jeszcze bardzo mała i nie masz pojęcia, jak skomplikowane może być życie.

Paulinka słuchała ze skupieniem, starając się zrozumieć każde słowo.

– Mamusia nie zdążyła zrobić w życiu wielu rzeczy, przez co teraz jesteśmy biedne –

kontynuowała matka. – I choćby zabrali nam wszystko, zawsze będziemy razem, prawda?

– Żałujesz, że mnie urodziłaś? – spytała z niepokojem dziewczynka.

– Nie, głuptasku. – Marianna pokręciła głową. – Ale urodziłam cię za wcześnie.

Powinłam była najpierw skończyć studia...

– Żeby być bogatą?

– Nie, skarbie – odparła matka. – Nie chodzi o to, by być bogatym, tylko żeby żyć godnie. I być kochanym.

– Ja cię kocham – powiedziała dziewczynka.

– Ja ciebie też, maleńka. – Kobieta uśmiechnęła się z przymusem. – Ale to nie jest takie proste.

– A gdybyś miała życzenie, które na pewno się spełni – drążyła Paulinka – to czego byś sobie zażyczyła?

Matka już chciała udzielić jakiejś banalnej odpowiedzi, ale napotkawszy inteligentne spojrzenie córki, zrozumiała, że ta oczekuje szczerego wyznania.

Zastanówmy się... Wszystkie jej problemy zaczęły się tak naprawdę od narodzin małej. I choć pojawienie się dziecka, szczególnie tak cudownego jak Paulinka, było dla niej czymś niezwykłym, brutalność świata skutecznie gasiła związaną z tym radość.

Kiedy zaszła w ciążę, straciła większość znajomych, a to, że nie była pewna tego, kto jest ojcem, stało się przysłowiową kropką nad „i”. Wiedziała, że albo Zbyszek, albo Piotrek, ale nie mogła tego sprawdzić i wygzekwować należnych jej pieniędzy. Żyła z zasiłku dla samotnej matki, bez możliwości podjęcia pracy. Z trudem wiązała koniec z końcem, wiodąc egzystencję, którą jedynie niepoprawny optymista mógłby określić mianem udanej.

Wtedy, po maturze, wszystko wyglądało tak różowo. Miała dom, odziedziczony po przedwcześnie zmarłych rodzicach, szansę na lepsze wykształcenie, powodzenie u chłopców... Teraz pozostała jej tylko Paulinka. I choć był to jej promyczek szczęścia, wiedziała, że gdyby urodziła ją kilka lat później, wszystko ułożyłoby się znacznie lepiej.

– Chciałabym – powiedziała, patrząc w oczy córki – żeby można było cofnąć czas.

Żebyś się nie urodziła...

I zanim zdążyła poprawić niewłaściwe sformułowanie, wyjaśnić wszystko dziecku, dom zadrżał. Obie popatrzyły na kołyszący się żyrandol. Za oknami gwałtownie pociemniało, przez kuchnię przetoczył się pomruk grzmotu. Paulinka wrzasnęła przeraźliwie. Matka doskoczyła do niej, ale zatrzymała się, zdjeta strachem. Całe ciało dziewczynki pulsowało, jakby w jej wnętrzu zagnieździła się kolonia robaków. Oczy nabiegły krwią, usta wypełniła gęsta piana. Dziewczynka upadła na podłogę i zwinęła się w konwulsjach. Jej kości kurczyły się z przerażającym chrzęstem, skóra pomarszczyła się. Klatka piersiowa zapadła się niczym balon, z którego uszło powietrze, rajstopy

zawisły na żałośnie zdeformowanych nóżkach.

Włosy wychodziły całymi garściami. Jedno oko z nieprzyjemnym mlaśnięciem zostało wessane do oczodołu.

Walcząc z lękiem i obrzydzeniem, kobieta upadła na kolana, by podnieść Paulinkę.

Miała takie wrażenie, jakby trzymała w ramionach worek pełen małych żyjątek, które za wszelką cenę starają się wydostać na wolność.

Zęby dziewczynki wbiły się w jej dziąsła, jakby szukając w nich schronienia. Paulinka zmniejszyła się do rozmiarów noworodka i wtedy Marianna poczuła ból i pulsowanie w piersiach. Oderwała wzrok od cierpiącego dziecka, by spojrzeć na swój biust. Rósł

gwałtownie i pęczniał. W jednej przerażającej chwili kobieta zrozumiała wszystko. Nie da się cofnąć czasu, można jedynie odwrócić pewne procesy.

Ryknęła z bólu, gdy maleństwo wbiło się w jej łono i zaczęło wpychać się do kanału rodnego. Upadła na ziemię, miotając się w odwrotności tego największego cierpienia, jakiego dotąd zaznała. Spomiędzy jej rozwartych, zakrwawionych nóg wystawała już tylko maleńka główka. Najgorsze miało dopiero nadejść. Jej brzuch napęczniał, gdy płód Paulinki zagnieździł się w macicy, upodabniając go do torby na kulę do kręgli. Skóra wokół pępka zbielała, wywołując linie rozstępów. Nagle nadwreżone mięśnie nie wytrzymały naporu i brzuch pękł, eksplodując fontanną krwi. Kobieta zawyła nieludzko. W ranie rozdartego brzucha widać było malejącą macicę i kurczący się płód, który przekształcił się w coś na kształt fasolki, zygoty, by wkrótce zniknąć całkowicie.

Siedzący na parkowej ławce Pan poczuł nagle, że stało się coś złego. Przez chwilę wróciły odczucia podobne do tych, jakie nachodziły go, gdy jako pasterz stracił swoje ulubione jagnię. Ale to nie było to. Nie mógł w żaden sposób przypomnieć sobie co, tak jakby część jego pamięci eksplodowała. A potem przeszłość obróciła się w popiół, pozostawiając mu szarą, beznadziejnie szarą ścieżkę, którą musiał kroczyć aż do końca...

Dariusz Łowczynowski

Kto sieje

wiatr...

– Jasiek! – rozległ się głos w sąsiedniej izbie.

Janek uniósł z wielkim trudem powieki i nieprzytomnym wzrokiem omiół wyłaniające się z ciemności kontury sprzętów codziennego użytku. Usiadł na łóżku, zastanawiając się, dlaczego matka budzi go w środku nocy.

– Rusz się, serdeńko, zaraz będzie świtać – ponaglała.

– Już, matulu, już wstaję – mruknął, ziewając i przeciągnął się leniwie, by rozprostować kości.

Po omacku przeszedł przez izbę. Drewniana podłoga zaskrzypiała pod jego ciężarem.

Janek był bardzo wysokim, szczupłym siedemnastolatkiem – zupełnie niepodobnym do swych rodziców, ludzi o krępej budowie. Musiał się pochylić, by przejść przez drzwi do kuchni, a i tak omiół framugę gęstą kruczoczną czupryną. W chwilach pijackiej słabości ojciec wielokrotnie zarzucał mu, że jest podciepem podmienionym przez mamunę. Janek starał się nie okazywać, ile bólu sprawiają mu te słowa. Wystarczyło, że musiał znosić pogardliwe spojrzenia starszych kobiet, przytyki rówieśników oraz chłodne spojrzenia dziewcząt, nieczułych na jego umizgi.

– No, mosz sam tobołek ze śniadaniem i ruszej w drogę. – Matka wcisnęła mu w dłonie pakunek sporych rozmiarów.

– Idźże już, synku, coby cię po drodze nie spotkał ociec, jak będzie wracać z lasu –

dodała życzliwie i z czułością ucałowała go w policzek.

Jadwiga odprowadziła syna rozmarzonym spojrzeniem. Ilekroć na niego spoglądała, widziała w nim odbicie swego kochanka sprzed lat i wracały wspomnienia upojnych chwil spędzonych z czarującym nieznanym. Choć po wsi krążyły plotki na ten temat, Jadwiga nigdy nie wyjawiała nikomu prawdy, że Janek nie jest synem jej męża. Nigdy też nie żałowała tego grzechu, a dziecko kochała całym sercem.

Stojąc w progu chaty, pomachała Jankowi, który wyciągał ze stodoły płachtę z króliczymi skórami.

– A ino dobrze się targuj z paniskami! – krzyknęła matka. – I niech cię rynka boska broni, jak przefurtasz pieniądze!

– Bodajby mnie lichy porwało! – Janek roześmiał się i poszedł na jarmark do pobliskiego miasta.

* * *

Słońce chyliło się już ku zachodowi, a Janek wciąż nie wracał. Jadwiga co rusz wybiegała z chaty, wypatrując powracającego z miasta syna. Z lękiem obserwowała nadciągające od południa burzowe chmury. Gdy przez pociemniałe niebo przetoczył się grzmot, ukradkiem nakreśliła na piersiach znak

krzyża.

– Uspokój się, babo – warknął z wnętrza chałupy jej mąż, Antek. – Diobły go nie weznom, najwyżej dyszcz zlyje... A jak wróci, to już jo mu skóra przetrzepia!

Nagle zerwał się silny wiatr, podrywając z ziemi tumany pyłu i słomy leżącej przed stodołą. Niebo przeszyła pierwsza błyskawica i za chwilę zawtórował jej ryk gromu. Jadwiga zamarła z przerażenia: pomiędzy drzewami w sadzie zobaczyła widmową postać swego kochanka sprzed lat.

– Jadźka, zawrzyj drzwi! – krzyknął Antek zajęty struganiem zabawki, która miała wkrótce dołączyć do pokaźnej kolekcji drewnianych figurek. – Zawieraj i chodź do chałupy, bo jeszcze tu jaki usraniec wleci.

Zaniepokojony brakiem odpowiedzi, odłożył dłutko, podniósł się z ławy i wyszedł przed dom. Już otwierał usta, by zwymyślać żonę, gdy słowa uwięzły mu w gardle. Jadwiga klęczała na podwórku. Kwiląc słabiutko jak dziecko, złobiła rękami głębokie bruzdy w suchej ziemi.

– Jadźka, co ci? – Antek podbiegł do żony i oderwał jej ręce od ziemi. – Jadziu, co się stało?

Jadwiga uniosła zakrwawioną dłoń i odwróciła głowę w stronę sadu. Zawyla przeraźliwie niczym potępiona dusza. Antek poczuł, jak skóra cierpnie mu na karku, a w żołądku wije się lodowaty wąż. Przytulił mocno żonę i nie wypuszczał z objęć.

– Zabroł go. – Szlochała spazmatycznie. – Zabroł Jaśka.

– Kto, Jadwisiu? – zapytał szeptem Antek.

– Dioboł! – krzyknęła. – Dioboł odebrał mi Jaśka.

Na wysuszoną ziemię spadły pierwsze krople życiodajnego deszczu. W bruzdach wyrytych palcami Jadwigi deszczówka zabarwiła się na czerwono.

* * *

Zbliżało się południe, gdy Nędzowa – postawna kobieta o słusznej wadze – wychyliła nos z chaty. Jak co dzień ruszyła przez wieś od chałupy do chałupy. Jak za dawnych czasów, tak i dziś krążyła po wsi niczym południca, zaglądając ciekawie przez okna do chat sąsiadów. Kiedyś kobiety często wychodziły do niej i długo gwarzyły przy płocie. Teraz, choć baby nadal były skore do plotek, miały dość starej Nędzowej i na jej widok uciekały do domów, wymawiając się robotą. Swego czasu Jadźka Antkowa, doprowadzona do furii przez złośliwy język starej plotkary, wylała na nią wiadro pomyj, gdy ta przyszła z sąsiedzką wizytą. Od tego dnia śmiertelnie obrażona Nędzowa nie przepuściła żadnej okazji, by

dogryźć Jadwidze i jej rodzinie, a temat do plotek pozostawał ciągle ten sam. Zwłaszcza odkąd Janek zaginął, a Jadwiga postradała zmysły.

Nędzowa kroczyła zwawo przez wieś, co rusz rzucając spojrzenia na boki. Oczy miała bystre, jakby

widziały przez ścianę i jak żadne inne we wsi potrafiły dostrzec to, czego nie powinny. Specjalizowała się w publicznym praniu cudzych brudów, zwłaszcza intymnych, a każda taka nowinka roznosiła się po wsi lotem błyskawicy.

Dziś humor dopisywał jej szczególnie i już nie mogła się doczekać, kiedy się podzieli nowymi wieściami, ale jak na złość nikogo nie mogła dojrzeć. Nagle uśmiechnęła się od ucha do ucha. Wypatrzyła słuchacza. Radosna jak skowronek, zaczęła cichutko śpiewać pod nosem:

Tante Ana juk do siana,

Wykopała wasermona,

Wasermon się zlenk

Na kolana klenk,

*Tante Anie pempek penk!**

– Cie choroba, idzie ku nom ta zło krew – jęknęła Michałowa.

Pogodzona ze swym sędziwym wiekiem drobniutka staruszka siedziała przed chatą na wygodnym drewnianym krześle, wygrzewając się w wiosennym słońcu. Niegdyś była znaną, szanowaną znachorką i akuszerką. Mawiano, że za młodu pobierała nauki w gimnazjum, co raczej nie mogło być prawdą, ale uważano tak z tej racji, że jako jedna z nielicznych we wsi była piśmienna. Odnoszono się do niej z wielkim szacunkiem, bo pomimo przeżytych dziewięćdziesięciu sześciu wiosen nadal zachowała bystry, sprawny umysł i niejednokrotnie służyła ludziom pomocą i mądrą radą. Starość jednak jej nie oszczędziła, bo choć Michałowa była w pełni władz umysłowych, straciła wzrok i poruszała się z wielkim trudem. Dlatego przygarnęła do siebie Anielę, młodą, piękną i uczynną dziewczuszkę. Okrutny los zabrał

dziewczyńce rodziców. Pozbawiona własnego miejsca na ziemi, tułała się od wsi do wsi.

Pewnego dnia zapukała do drzwi Michałowej. Staruszka zlitowała się nad losem pokrzywdzonej dziewczyny i przyjęła ją do siebie. Aniela pokochała ją szczerze. Z

wdzięczności za ofiarowane miejsce pod strzechą pracowała z wielkim zapałem w gospodarstwie, starając się staruszce przychylić nieba. Michałowa, która też szczerze pokochała dziewczynę, uczyła ją wszystkiego, co wiedziała o ziołach, prawach natury, a nawet wprowadzała ją w arkana wiedzy tajemnej.

– Zgiń, przepadnij! – Aniela zerwała się przestraszona znad robótki. – Kaj ciotko? Nie widzę jej!

* Wierszowanka z okolic Kędzierzyna-Koźła [w:] „Wielka księga demonów polskich”, Barbara i Adam Podgórcy, Wydawnictwo KOS, Katowice 2005.].

– Choćem ślepo, jak tyn kret, to już z dala słyszę jej gynganie. – Staruszka zarechotała.

– Odprawię ją. Powiem, że drzemiecie. – Dziewczyna spojrziała czule na Michałową.

– Zostaw – mruknęła. – I tak tu wlezie.

– Szczyńść Boże – pozdrowiła ich Nędzowa, po czym nie czekając na odpowiedź, ruszyła przez podwórko.

– Daj Boże – odpowiedziała Michałowa.

Aniela udawała, że nie widzi natrętnego gościa i tylko wzdychała, znacząco wpatrzona w robótkę.

– Sprawdź, dziółcha, czy cię w chałupie ni ma – rzuciła niedbale Nędzowa, zbywając dziewczynę machnięciem ręki. – A i przynieś nom tu młyka – dodała, uśmiechając się paskudnie.

Dziewczynie ze wzburzenia krew zawrzała w żyłach, ale ze względu na Michałową ugryzła się w język i nie odezwała ani słowem. Nędzowa odprowadziła ją wzrokiem aż za próg.

– Przepyńdź te przybłynde, wujenko – syknęła ściszym głosem. – Lyń i pyskoc, to jakie czarcie nasinie być musi. Mówię ci, odegnaj to od dom, bo jaką bidę ci tu sprowadzi.

– Głupoty pleciecie, Nędzowa – oburzyła się Michałowa. – Godojcie lepiej, jakie to wieści mocie, bom słyszała, jak wam ozór o zymby dzwoni.

Kobieta się skrzywiła, jakby jej ktoś dał w twarz, ale nie odważyła się odpowiedzieć złośliwością. Nawet ona czuła respekt przed starą Michałową.

– We wsi ludzie godojom, że wczora wieczorem Antek sproł Jadźkę aż do krwi –

zaczęła konspiracyjnie starucha. – Od kiedy tyn podciep Jasiek poszedł w świat – no bydzie już ze pięć roków – a Jadźce bies we łbie pogmerał, to chłopisko się strasznie z żalości rozpiło. Z baby żadnego pożytku w gospodarstwie czy w łózk ni ma. W łózk, he, he, he, to nigdy uciechy z niej ni miał, bo dogodzi kto takiej, co bękartą z diobłem spłodziła?

– Nędzowa! – Michałową aż zatrzęsło z gniewu.

– A co, a co – oburzyła się. – Nie łażiła po wsi, nie godała, że diobeł odebrał, co jego?

No co, nie godała? To co się dziwić chłopu, że ją pierę.

– Jadwiga zmysły postradała, bo jej matczyne serce z żalości pynkło – nie wytrzymała Michałowa. – Jaśka kochała ponad wszystko. A chopok na schwał był, tylko wyście onemu i Jadźce żyć nie dawali. Wasz to źmijowy jęzor jad sączył w ten dom i rodzinę, świntości żadnej nie szanując. I wiary dać nie dam, że Jasiek w świat poszedł, pryndzej go jakie licho zwiodło i w lesie zadusiło, abo świecorz na bagniska sprowadził. A wom radzę dziób zawrzyć i nie mącić więcej!

– No co wy, Michałowo... – Nędzowa aż języka w gębie zapomniała i pewnie by prędko mowy nie odzyskała, gdyby nie to, że nagle coś innego przykuło jej uwagę.

Od strony Białych Morgów do wsi zmierzał Francik. Nędzowa zerwała się prędko i podeszła do płotu. Na jej widok chłop skrzywił się, jakby na zmię w trawie nastąpił, i już chciał skrócić i czmychnąć za stodołę Pielesiaków, gdy doścignął go głos Nędzowej.

– Francik, a poć sam ino ku nom! A co to już starej ciotki nie poznajesz, ja? Od roboty w polu w oczach ci się pociemniło?

– Pochwalony, cioteczko, pochwalony – warknął chłop.

– Chwalić to robotę, kie słońce zańdzie. – Kobieta się zaśmiała. – A ty co, już z pola schodzisz?

– Ciepłem robotom, bo Bioła Pani z lasa nos wyściubiła. Wlazła w pole i stoi jak tyn chochoł, tom co miał robić? – Chłop rozłożył bezradnie ręce.

– A tak chycić się nazod roboty! – rozdarła się Nędzowa.

* * *

Tymczasem z chaty wyjrzała Aniela, zaciekawiona wrzawą na podwórku. Michałowa przywołała ją do siebie gestem dłoni.

– Anielu, pójdz zaraz do Jadwigi i zobacz, czy jej jakiej pomocy nie trza. Ponoć Antek obił ją bardzo – powiedziała półszepem, by czasem Nędzowa nie usłyszała.

– Dobrze, cioteczko. – Dziewczyna skinęła głową i wróciła do chaty po zioła i maści.

Po chwili wyszła z niewielką płócienną torbą przewieszoną przez ramię. Nachyliła się nad staruszką i ucałowała ją serdecznie.

– Dacie sobie radę, cioteczko? – zapytała z troską. – Wrócę tak prędko, jak będę mogła.

– Nie martw się, dziecko, dam ja sobie rady – zapewniła Michałowa.

– ...A robić ni ma komu! – Nędzowa nie odpuszczała Francikowi, lecz kątem oka dostrzegła zmierzającą w jej stronę Anielę. – A mlyko kaj?

– U krowy – odcięła się dziewczyna, wskazując na odchodne na pasącą się na łące krasulę.

* * *

Zmierzchało już, gdy Aniela wychodziła z domu Jadwigi i Antka. Niestety, prawdę mówiła Nędzowa, z Jadźką było bardzo źle. Pijany Antek pobił ją tak dotkliwie, że nie mogła wstać z łóżka. Kojące ból maści i ziołowe okłady poradziły sobie ze stłuczeniami i opuchlizną. Anielę niepokoił jednak brzuch kobiety. Był nabrzmiały, a jednocześnie twardy jak deska. Obawiała się, że któryś z organów może być uszkodzony i Jadwiga ma krwotok wewnętrzny. W tym wypadku dziewczyna mogła tylko złagodzić ból i sprowadzić sen, podając chorej wywar z maku. Chciała szybko dotrzeć do domu, zajrzeć do Michałowej i wrócić do Jadwigi. Bała się, że chora nie przeżyje nocy. Na pomoc Antka

nie miała co

liczyć. Z tego, co rozumiała ze słów majaczącej Jadwigi, mąż poszedł do lasu, szukać diabła.

Niebo przeszła błyskawica. Aniela wzdrygnęła się przestraszona. Nawet nie zauważyła, że nadciąga burza. Od południa zerwał się porywisty wiatr, a drzewa w pobliskim lesie zatańczyły niespokojnie. Niespodziewanie lunął rześisty deszcz. Dziewczyna skuliła się i przyspieszyła kroku. Gospodarstwo Antka było nieco oddalone od wsi, więc do domu pozostało jej jeszcze sporo drogi. Kolejny piorun rozerwał zachmurzone niebo i uderzył

wprost w drzewa na skraju lasu, tuż nieopodal przechodzącej Anieli. Impet uderzenia powalił ją na ziemię. Dźwignęła się nieporadnie z trawy. Wciąż dzwoniło jej w uszach.

Nagle serce zamarło jej w piersiach. Z miejsca, gdzie piorun powalił drzewo, wyłoniła się świetlista postać. Ku Anieli zmierzał nienaturalnie wysoki mężczyzna. Gdy się przed nią zatrzymał, dostrzegła wszystkie upiorne elementy jego fizjonomii. Twarz o surowych, topornych rysach była biała jak zwiewne płótno, w które był odziany. Jego oblicze okalały długie kruczoczarne włosy, które tańczyły w podmuchach wiatru jak żywe. Najbardziej przeraziły ją jego czarne oczy, przepastne niczym otchłań bez dna. Mężczyzna ujął twarz dziewczyny w swoje wielkie dłonie i zajrzał jej głęboko w oczy.

– Jak cię zwą? – Jego szept zabrzmiał niczym szelest wiatru w wysokich trawach.

– A-a-a-aniela. – wyjąkała przerażona.

Wpatrywał się w nią z nieukrywaniem zaciekawieniem. Przekrzywił głowę niczym niesforny psiak i pogładził dziewczynę po policzku długimi smukłymi palcami.

– Nie znam cię. – Uśmiechnął się upiornie, obnażając równe białe zęby, a w jego mrocznych oczach zapłonęły dwie maleńkie iskierki.

– Trzy wiosny temu przygarnęła mnie Michałowa. Jestem sierotą – wykrztusiła, nie mogąc opanować drżenia.

– Nie lękaj się. – Głos mężczyzny zabrzmiał jak kojący szmer górskiego strumyka. – Nie zrobię ci krzywdy – dodał, po czym przyciągnął ją do siebie i namiętnie pocałował.

Anielę przeszył nieznany do tej pory błogi dreszcz, przebiegając po kręgosłupie i rozchodząc się po całym ciele. Żar pocałunku docierał do każdego jego zakamarka. Fala za falą. Nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie i przeszywający ból, który umiejscowił się tuż za jej oczami. Straciła przytomność i osunęła się na trawę.

* * *

Odurzona naparem z maku Jadwiga trwała w niespokojnym półśnie. Zdawało się jej, że w sadzie płaczą jabłonie, w strugach deszczu za oknem pływają radośnie polne rusałki, a ktoś znajomy woła ją po imieniu z chmur.

– Miły mój – szepnęła. – Przyjdź po mnie.

– Wołałaś mnie? – Usłyszała chrapliwy głos, który zmroził jej krew w żyłach. – Ckliwa żonka, nie ma co. – Antek zaśmiał się złowieszczo.

Zaskoczona Jadwiga uniosła się z wielkim trudem na posłaniu. W otwartych drzwiach zobaczyła krępa sylwetkę męża. Antek delikatnie zamknął drzwi i ruszył przez sień.

Zatrzymał się przed dębowym stołem, gdzie zwykł przesiadywać wieczorami, strugając swoje figurki. Bębniąc palcami o blat stołu, zdradzał oznaki wielkiego napięcia.

– Kim on jest? – zapytał nienaturalnie spokojnym głosem. Przerażona Jadwiga nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa. Rozglądała się tylko wokoło, jakby szukając ratunku.

– Z kim się gziłaś, hadro?! – ryknął. – Czyj to bękart?!

Kurczowo zacisnął dłoń na leżącym na stole przedmiocie i odwrócił się do żony. Za oknem uderzył piorun. Drewniane okiennice i fragmenty stłuczonego jasnobrązowego muskowitzu wpadły z głośnym trzaskiem do środka, a ze stropu obficie posypały się drzazgi i słoma ze strzechy. Trawiony wewnętrznym ogniem Antek nawet tego nie dostrzegł. Rzucił

się na żonę i zamachnął, by zadać cios.

– Kocham cię, Jadźka, ale możesz być ino moja! – krzyknął rozpaczliwie i wbił rzeźbiarskie dłuto prosto w jej serce.

Trzy razy.

Jadwiga nie zdążyła krzyknąć. Spojrzała tylko przez wyrwę w dachu na fragment pochmurnego nieba i uniosła drżącą rękę. Uśmiechnęła się błogo i wydała ostatnie tchnienie.

Antek spoglądał na nią z niedowierzaniem, nie mogąc się pogodzić z tym, co przed chwilą zaszło. Przegrał. Kolejny raz odebrano mu żonę. Nawet śmierć nie mogła jej powstrzymać przed zdradą. Nie usłyszał, jak ktoś wyłonił się z mroku sieni.

– Ojczy? – rozległ się głos, uderzając w Antka niczym podmuch mroźnego wiatru.

Odwrócił się i niemal zderzył z pochylającą się nad nim upiornie bladą twarzą syna. Z

wrażenia upuścił zakrwawione dłuto, które, upadając, wbiło się w drewnianą podłogę. Nie umknęło to uwadze Janka, który szerzej otworzył zdumione oczy. Omiótł wzrokiem całą izbę i zatrzymał spojrzenie na zamordowanej matce. Na dworze natychmiast zapadła cisza, jak makiem zasiał, jak gdyby natura wstrzymała oddech wraz z nim. Chłopak otworzył usta w niemym krzyku. Temperatura w chacie obniżyła się gwałtownie o kilkanaście stopni.

Antek stał jak sparalizowany. Mnóstwo myśli kłębiło mu się w głowie, a jednak nie potrafił znaleźć

odpowiednich słów, którymi mógłby wyrazić to, co czuje. Po twarzy ciekły mu łzy; nawet nie starał się ich powstrzymać. Na policzkach poczuł piekący ból. Dotknął

bolącego miejsca i syknął. W palce wbiły mu się ostre kryształki lodu. Mroźne powietrze zamieniło łzy w sople. Tego było już za wiele! Więcej nie był w stanie wytrzymać! Zaczął

przeraźliwie wrzeszczeć.

Janek spojrzał na niego z pogardą i nieskrywaną nienawiścią. Zaciśnął pięści.

– Morderca! – ryknął, a wicher porwał jego okrzyk i poniósł po całej okolicy.

Zawtórowała mu seria gromów, które bezlitośnie chłostały ziemię wokół chaty. Pioruny rozerwały na strzępy wszystkie jabłonki rosnące w sadzie, dach stodoły uniósł się, poderwany gwałtownym podmuchem wiatru. Nieziemskie wycie przeszło uszy wszystkich mieszkańców wioski. Chmury tuż nad gospodarstwem Pielesiaków zaczęły wirować w zawrotnym tempie, opuszczając na ziemię lej kotłujących się mas powietrza. Rycząca trąba opadła wprost na stodołę, rozszarpując ją zupełnie. Deszcz drewnianych drzazg zasypał całą okolicę.

Antek nie przestawał wrzeszczeć. Zewsząd smagały go bicze mroźnego wiatru i wirujące po chacie odłamki połamanych sprzętów domowych. Klęcząc nad martwym ciałem matki, Janek szlochał jak dziecko.

– Synku – usłyszał zachrypnięty głos.

Odwrócił się i spojrzał na ojca. Włosy na głowie i brodzie Antka zlepily się, tworząc maleńkie sople lodu, a siną twarz pokryła pajęczyna bruzd, wyżłobionych w poszarpanej martwej skórze. Choć Antek kurczowo trzymał się życia, był już trupem.

Janek wyciągnął przed siebie rozczapierzoną dłoń i przeszył go nienawistnym spojrzeniem.

– Nie waż się mnie tak nazywać – syknął, a z jego palców trysnęły pojedyncze wiązki formującej się błyskawicy.

Piorun sięgnął celu, trafiając mężczyznę prosto w serce.

* * *

Nędzowa nie mogła usiedzieć w jednym miejscu. Kręciła się niespokojnie po chałupie, chodząc od okna do okna. Większość mieszkańców wsi pouciekała z domów i schroniła się w ziemiankach, ale nie ona. Uparta kobieta została w chacie. Tylko tutaj czuła się bezpiecznie i tylko z tych okien mogła obserwować szalejącą na zewnątrz wichurę. Gdy piorun uderzył w stojącą nieopodal domu sędziwą gruszę, Nędzowa zatoczyła się do tyłu, oślepiona błyskiem. Oparła się o krzesło. W uszach jej dzwoniło, przed oczami wirowały kolorowe iskierki. Gdy tylko zmysły powróciły do normy, ponownie zbliżyła się do okna.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, był szybujący w stronę okna konar drzewa.

Gdy półprzytomna, ślaniająca się na nogach Aniela dotarła do chaty Michałowej, zastała staruszkę siedzącą jak gdyby nigdy nic na krześle za dębowym stołem. Uśmiechnęła się, rada z tego, że Aniela dotarła w końcu do domu.

– Cioteczko, musimy uciekać! – Dziewczyna podbiegła do niej. – We wsi szaleje jakaś nieczysta siła. Ja sama dioboła spotkałam, gdym od Jadźki wracała.

– Nic nom tu nie grozi – odparła ze stoickim spokojem staruszka. – W każdym rogu chaty wiszą wiązki leszczyny, a i żadna z nas nie rozgniewała płanetników. Siednij tu przy mnie, Anielu.

Dziewczyna posłusznie usiadła i delikatnie ujęła pomarszczoną dłoń. Bliskość ukochanej staruszki zawsze działała na nią kojąco.

– Wiedziałam, że kiedyś nadejdzie ta chwila i tak się to skończy – Michałowa rozpoczęła swą opowieść. – Gdy pomagałam przyjść na świat Jankowi, jużem wtedy przypuszczała, że to dziecię jakiego stworza, a nie Antków. Niemowlę było za duże, o wiele za duże. Żebyś ty, dziolcha, wiedziała, jak Jadźka cierpiała, wydając je na świat. Ledwom ją przy życiu utrzymała. Choć tera zdaje mnie się, że to miłość do tego dzieciątka nie pozwalała jej zgasnąć. Jak łona je kochała... Janek rósł jak na drożdżach, a im większy był, tym mniej do rodziców podobny. Antoś zaczął miarkować, że to może być nie jego, a Nędzowa i inne baby tylko go w tym utwierdzały. Głupie kwoki. Długom nie była pewna, że pod Antkową strzechą chowa się mały płanetnik, choć czasem zdawało mi się, że żywioły słuchają dziecka, a pogoda szła w parze z jego humorami. Gdy pięć років temu Janek nie wrócił nazad do dom, a Jadźka w szaleństwie godała, że diobol odebrał, co jego, jużem była pewna. Potem Antek się rozpił i zaczął prać żonę, ino czekać było jak ściągnie na nas gniew płanetników.

– Ciotuniu – szepnęła przerażona Aniela. – Jam go widziała, tego Jaśka, on... – Nie skończyła.

Zaczęła rozglądać się wokół niespokojnie. Puściła rękę Michałowej i podeszła do okna.

Na zewnątrz wciąż szalała burza, błyskawice rozpruwały niebo, przez co na dworze było jasno jak w dzień. Nagle dostrzegła Janka. Płanetnik unosił się w powietrzu na wprost ich chaty.

– Anieeeluuu! – zabrzmiało w jej uszach słodkie wołanie.

– Dziecko, odejdz od okna! – krzyknęła donośnym głosem staruszka.

– Ciociu, to on – oznajmiła rozmarzonym szeptem dziewczyna. – Janek przyszedł po mnie.

Jak zahipnotyzowana ruszyła w stronę drzwi.

– Anielu, stój! – rozpaczliwie prosiła Michałowa, próbując wstać z krzesła. – Nie słuchaj go, nie wychodź!

Lecz ona już nie słyszała. Wiedziona uwodzicielskim szeptem, przekroczyła próg chaty.

Nagły podmuch wiatru uniósł ją wprost w ramiona planetnika.

Łukasz Orbitowski

Strzeż się

gwiazd,

w dymie

się kryj

Żyjemy wielokrotnie, wychodząc po drabinie z piekła ku chmurkom. Reinkarnacja jest bzdurą, nie odradzamy się, pawian wróci pawianem, księżniczka – księżniczką. Pewien człowiek na przykład wiódł swoje trzecie życie – od maleńkości wiedział, kiedy umrze, a przynajmniej, kiedy powinna umrzeć jego matka i ile będzie miał młodszego rodzeństwa.

Mógł też rodzeństwo pomnożyć, matkę zabić, ocalić, znał bowiem siebie i zdarzenia, które staną się jego udziałem; z jaką kobietą będzie mu dobrze, jaka go zdradzi, w czyje ręce złożyć swój los, kogo unikać, co zrobić z pieniędzmi, pić, palić albo odpuścić. Myślał, że jest mądry z tego powodu, lecz kiedy umierał, stary, bogaty, otoczony przez bliskich, miał

łzy w oczach, za sprawą błędów, które popełnił. Zmarł spokojny, wiedząc, że zamknawszy powieki, otworzy je w nowym, tym samym, czwartym już życiu.

I tak to trwa, utracamy pomyłkę za pomyłką, wychodząc na prostą, ku szczęściu – to wiedza, zwielokrotniona znajomość każdej chwili sprawia, że jesteśmy szczęśliwi bez końca, jakbyśmy żyli nie w kalejdoskopie, ale w lunaparku. Wychodzimy z ciemności, chaosu, ku światłu.

To jest historia mojego pierwszego życia.

* * *

No i zgarnęli mnie. Dobrze, że stary ochroniarz nie wezwał policji, tylko postraszył i puścił – jak mnie zobaczy tu ponownie, to i ja zobaczę swoje. Myślę jednak, że we mnie ujrzał prawdę, wie, że powrócę, będzie czekał. Poczekamy na siebie, jego oczy są słabe, przejdę w ich cieniu, wślizgnę się w ciemność, zejść i znajdę to, czego szukam, choćbym miała rozkuć cały szpital. Mówią, że życia na to nie wystarczy, ale to nieprawda. Życia akurat mam dosyć.

Zatem prowadzi mnie z piwnic na górę, przez niski korytarz pełen rur – blaszane jelita tego potwornego miejsca. Trzyma mnie mocno, jak facet faceta, jutro rano pewnie będę miała sińce wokół ramienia. Oglądam się i widzę rozkutą przez siebie ścianę, kawałki cegieł, mrowiska czerwonego pyłu, w tym wszystkim kilof, młotek, i znów można by rzec: kobieta nie uniesie. Strażnik sapie, śmierdzi potem i czymś jeszcze. Dochodzimy do zakrętu i opadam na schody, wyślizguję się z jego uchwytu i leżę, zupełnie nieruchomo, z twarzą przyciśniętą do stopni. Jestem bezwładna, ochroniarz myśli, że zasłabłam, więc nachyla się ostrożnie. Boże, on nie wie! Naprawdę nie wie, więc mogę być nieprzytomna przez chwilę, nim mnie podniesie z tą męską, seksualną litością. A ja przytykam ucho do zimnej wylewki

i, rany boskie, znów to słyszę, rytmiczne, mocne, jak bardzo to żyje, uderza – serce, ukryte przed diabłem.

Ochroniarz podnosi mnie, wsadza ręce pod pachy i szarpie ku górze; idę z trudem, kolana mam jak z waty i wcale nie muszę udawać, najchętniej runęłabym znowu, oddając ziemi zmęczenie. Ale idę, on

coś pieprzy; niech gada, myślę sobie, słowa nie boją, o słowach można zapomnieć, a nawet sobie je wsadzić gdzieś. Niech mówi, niech wyniesie mnie na zewnątrz. Teraz patrzy i pyta, czy wszystko w porządku. Potrząsa mną, nie złośliwie, widzę w nim troskę. Co z tobą, dziewczyno, słyszę, jesteś młoda przecież, dobrze się czujesz, czemu tu przychodzisz każdej nocy i kujesz mury? Wiem, że to ty. Co z tobą? Jesteś chora?

Tak, jestem.

* * *

Gdy pomyślę o moim pierwszym życiu, wychodzi na to, że było mieszaniną miłości i żartu, a nawet gorzej – mam wrażenie, że wrzucono mnie w ten świat dla hecy. Być może jestem zimną suką, lubię tak myśleć o sobie, przynajmniej nikt mi nie powie, że tak naprawdę, ciesząc się życiem, szukałam ciepła. Bo nie szukałam, a życiem cieszyć się nie sposób, chyba że przyjmiemy radość za pochodną rozpaczy.

Baśka twierdzi, że mam chorą duszę. Chorą. No, może i mam. Siedziałyśmy wtedy u niej, w tym ascetycznym pokoju, wyczyszczonym ze wszystkiego, na co można by się nadziać, i mówię jej, jak się czuję, że najchętniej to w ciul z tym szajsem. A ona, że mam chorą duszę. Że chorą duszę trzeba leczyć. No, leczyć, jasne, próbowałam – miłością, seksem, alkoholem, narkotykami, Bogiem, rysowałam, malowałam, pisałam nawet, uprawiałam sporty, nie pomogło. Baśka na to spoważniała, zapaliła vougue'a i odparła: „W

takim razie nie jest dobrze, laska, bo twoja dusza jest chora śmiertelnie”. Dwa tygodnie później dowiedziałam się, że jestem w ciąży.

Poczułam się wtedy jak w paskudnym filmie o tematyce społecznej, takim jakie kręcą za państwowe pieniądze, o aborcji albo molestowaniu, potem obwożą po festiwalach i zgarniają nagrody. Oglądałam się, sprawdzając, czy nie ma kamer. Dziwne. Bo w moim życiu było miejsce na wszystko, tylko nie na dziecko. Nie rozumiałam, jak mogło do tego dojść – jeśli moje ciało jest sprzęgnięte ze światem, to powinno być odporne na plemniki. Nie było.

Zatem jestem przeciw światu moim własnym ciałem.

Mam trzydzieści dwa lata i wciąż jestem ładna. Do niedawna pytano mnie o dowód, gdy kupowałam wino na wieczór – butelka do snu, zawsze gdy jestem sama – ścinam się na krótko, prawie po męsku, tak wygodniej, moje usta podobają się mężczyznom, oczy maluję mocno, za mocno, mam szczupłe dłonie i stopy jak dziewczynka. Uczę niemieckiego w szkole prywatnej, dorabiam korepetycjami i gdy patrzę, patrzyłam, na młodych ludzi, czuję przepaść, tę samą, której mogłaby doświadczyć babcia, rozmawiając ze mną. Są zimni i

puści, gniewni chęcią posiadania – ja nie wiem, po co ludzie pragną mieć lub nie mieć –

kiedy podrosną, rozszarpia mnie. Rozszarpia nas wszystkich.

Ludzie mówią, że dziwka ze mnie, ale spałam tylko z trzynastoma facetami i nawet mogę uwierzyć w

pechowość tej liczby. Trzynastu facetów od pierwszego razu, jeszcze w liceum, kiedy seks kojarzył mi się wyłącznie z zabawą. Myślę, że niepochlebne opinie o moim kurestwie wypływają od Romka, który nie radzi sobie z porzuceniem, skuczy i szczeka na przemian, choć grzbiet ma przetrącony. Sprawiedliwość mu oddam.

Być może drudzy bywają trzynastymi – historia mojego zaciążenia do niedawna wywoływała salwy śmiechu. To dobrze, myślałam, przynajmniej nikt mi nie współczuje.

Zatem tu opowieść jest prosta, zupełnie niekobieca. Bo ja się już nie czuję kobietą. Ale kiedyś byłam, bardzo długo, i spotykałam się z Romkiem, jeszcze na studiach. Trafiliśmy do jednej grupy. Jakoś przypasowaliśmy sobie, był wesoły, miał duszę artysty i typowo germańską fantazję – wszędzie widział tylko tancbudy i volkswageny. Teraz myślę, że to była pierwsza poważna rzecz w moim życiu.

Spotykaliśmy się kilka miesięcy i od października zamieszkaliśmy razem. Wówczas wynajem był jeszcze tani, uwiłam nam gniazdko i myślę, że przez jakiś czas było nam dobrze, tyle że on odklejał się bardziej i bardziej, a ja chciałam skracać dystans, otworzyć się i mówić mu o wielu sprawach. Chyba go nie kochałam, bo nie mogłam, przełamywałam wstręt, próbowałam dawać, mimo obrzydzenia, aż wreszcie powiedziałam: „Nie Kocham cię.

Przykro mi”. I poszłam, na ciepły, upatrzony grunt.

Romek szarpał się trochę, ale raczej dusił gniew w sobie, zaciskał usta, ja płakałam i rzeczywiście było mi przykro. Okazało się, że zniknął, całkiem, z uczelni, z Warszawy, kamień w wodę, zostawił tylko łzawy list, przypięty do tablicy na uniwersytecie – będzie na mnie czekał w ukryciu, telefonu nie zmieni, za to swoje życie owszem, i ma nadzieję, że kiedy zadzwonię, będzie już zupełnie innym facetem. „Świat, w którym nie można Cię kochać, jest piekłem”, tak zakończył. Myślę, że napisał ten list wyłącznie po to, żebym poczuła się źle.

Przez lata wszystko się ulotniło, a gdy spotkaliśmy się niedawno, zupełnym przypadkiem, wystarczyło nam sił na pogwarzenie w knajpie, urznięcie się i pójście do łóżka. Czego się dowiedziałam? Romek podróżował po świecie, a jeśli natrafił na strzępy mądrości w Tybecie, Chinach, Australii, to z pewnością nie wrócił z nimi do Polski, podobnie jak sztukę kochania pozostawił w Indiach. Pamiętam jego tors, unoszący się nade mną, ponure pchnięcia, wysłużone jęki, aż się zsunął, wyszedł, lecz zarazem został we mnie.

Tak.

Rozmawialiśmy trochę. Romek to inteligentny człowiek, lecz ta inteligencja nie ma w sobie brutalności; mnie to drażni i męczy na przemian, pozwoliłam mu odfrunąć, na co przystał z chęcią, w każdym razie z ulgą, jakby rzeczywiście wierzył, że karteluski sprzed dekady wciąż obowiązują. Wychodził spokojny, trochę dumny, myślał chyba, że zaznaczył

swoją własność, teren w kobiecym ciele, jak pies. Wykąpałam się i znów byłam niczyja, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Informacja, że jestem w ciąży, była mocna, niespodziewana, nade wszystko zaś ponura w swej banalności. Lekarz powiedział, że dzieciak jest chyba silny jak sam diabeł, te ślubne często się traci, z wpadki trzymają się życia, moje chwyciło się mnie. Nie chciało puścić. Ale jaja, myślałam sobie w tężejącym przerażeniu, to typowe aż do hecy, przypadkowy człowiek, ot, jednorazowy wyskok, a teraz kłopot. Gdybym była młodą, durną osiemnastką, mogłabym czuć się skrzywdzona, a przecież to ja chciałam krzywdzić.

Nie wyobrażałam sobie tego, ani życia, ani bólu, ani rzeczy prozaicznych, na przykład odstawiania kadarki co wieczór, płuc bez papierosowego dymu, bólu zęba bez ibuproenu na obiad i gardanu na kolację, bez kawy i czekolady, knajpianego smrodu, a przede wszystkim

– braku nadziei. Stałam naga w oku lwa, wszystko się skończyło. Siadłam więc w swej wynajętej garsonierze, między książkami, laptopem na łóżku, popielniczką z kiepami zabrudzonymi szminką, zaczęłam ryczeć i wrzeszczeć na przemian, przeklinając własną naiwność i ślepy los. Prozaiczny kłopot – zasnąć na trzeźwo to zupełna nowość. Siedziałam, jęcząc nad sobą do drugiej, niezdolna do myślenia, co dalej. Płacz mnie tak zmęczył, że zasnęłam, przyłożywszy głowę do poduszki, by obudzić się czterdzieści minut później, wybita ze snu, jak po trzech kawach. Gapiłam się w sufit, na skrzeczące w cieniach twarze.

Śmiertelnie przerażona, widziałam całe swoje życie – wakacje na koloniach, kiedy topiłam się po raz pierwszy, trupa dziadka o sinych już palcach, pierwsze miłości, jeśli były to miłości, studia, wyjazdy, kolejnych facetów, z którymi byłam po dwa, trzy lata, po czym szliśmy w diabły, oboje. I co teraz? Sylwia, co ty ze sobą zrobisz? Teraz jesteś obca.

Zacząłam się snuć.

Znalazłam trzy pocieszenia – moja historia była jak z powieści albo filmu, nad którymi schylają się inteligenci, co wydawało mi się śmieszne i straszne zarazem. Praca w szkole, nawet prywatnej, daje korzyści, trochę grosza. „Poza tym, babo”, mówiłam sobie, „teraz nie rodzi się pod płótnem, nie idzie później z sierpem na pole, mamy cywilizację, wiek dwudziesty pierwszy”. Trzecim, choć marnym pocieszeniem był Romek, a raczej jego oszałała ze strachu morda. Powiedział: „Jedź do Czech i usuń, zapłacę, potem wyjedziemy razem odpocząć, będę się tobą opiekował. No, co cię to wali, przecież w Boga nie wierzysz”.

Ja na to: „Owszem, jasne, dziecko to tylko część mnie, kochany, a ja się nie dam rozdrapać na części i trzeba było myśleć wcześniej”.

Powiedział, że rozumie i się poczuwa, że coś wymyśli. Poszedł – mógłby świecić w ciemności tymi przerażonymi oczyma – no i się zaczęło. Dzwonił w nocy i lamentował: jeszcze nie jest gotowy, powinnam wszystko przemyśleć, przecież mu życie zmarnuję, nie można myśleć tylko o sobie, o rany boskie, jak żart może się skończyć poważnie. Ja na to kręciłam głową: rób, chłopie, co chcesz, mięczaka mi nie trzeba. On na to, że uparłam się urodzić, żeby mu zrobić na złość, z kurestwa.

* * *

Mieszkam w Woli Gradkowskiej, miasteczku zbyt dużym, żeby nazwać je dziurą, i zbyt małym, by

dotarło do nas cokolwiek poza pierwszymi jaskółkami cywilizacji. Mamy multipleks i galerię handlową, stary młyn, kilkanaście knajp, renesansowy ryneček i romańską basztę, sterczącą samotnie między kamienicami. Ludzie są tu nudni i smutni.

Wielu wyjechało. Na ulicach widuję głównie licealistów, staruszków i zagubionych pięćdziesięciolatków; ci ostatni mają miny niczym turyści, którzy wysiedli na nie tym przystanku co trzeba i nie mają pojęcia, gdzie są. Najgorzej jest w święta, kiedy przyjeżdżają studenci i młodzi pracownicy z Poznania. Co za świat, myślę wtedy, żyłam sobie w Nowym Jorku, w Warszawie, teraz jestem tutaj.

Oprócz Baśki mam Centa i Snupa. Mieszkają razem z oszczędności i nieustannie odpierają zarzut o homoseksualizm. W istocie, Cent ma dziewczynę, z którą planuje się ożenić, gdy tylko dorobi się na handlu spodniami, Snupek zaś szaleje za dwie renty. Pierwszą dostaje po rodzicach, którzy zginęli w wypadku w dzień jego osiemnastych urodzin, i drugą, ponieważ rozum go opuścił. Nie znam ich prawdziwych imion. Coś musiało im się przestawić, wierzą bowiem, że są 50 Centem i Snoop Dogiem. Nigdy nie dowiedziałam się, czy mówili poważnie, czy żartowali. Jeden z nich mnie kochał, ale nigdy nie zdołałam się domyślić który.

Powiedzieli mi to samo: „Dziewczyno, to nie koniec, lecz początek życia, będziesz cierpieć i będzie ci smutno, to ból jak cholera i zmiana wszystkiego, ale wystarczy ta jedna chwila, gdy lekarz położy ci małego na piersiach i zapomnisz, zobaczysz światło, które cię nie opuści. Macierzyństwo jest jak życie, bolesne i bardzo piękne, więcej, macierzyństwo jest prawdziwym życiem”. Kiedy Cent poszedł, Snupek przycisnął mnie do muskularnej piersi i powiedział:

– Ech, Sylwi, Sylwi, duża dziewczyna z ciebie, a nawywijałaś jak nastolatka. I jeszcze dobro sprowadzisz na świat.

Powiedziałam mamie. Bałam się tego, co mogę usłyszeć. Mama pokiwała głową, powiedziała, tym swoim głosem cierpiętnicy, że dobrze się stało i na pewno znajdę u niej pomoc. Odkąd pamiętam, była przerażona moim życiem i w dziecku, tak myślę, dostrzegła szansę na przywrócenie mi spokoju, mapy celów i sensów.

– Każdy musi porządkować bałagan wokół siebie – tak mi powiedziała. – Jeśli sama sobie tego nie poukładasz, życie zrobi to za ciebie. Nawet twoje ciało domaga się ładu. –

Pocałowała mnie w czoło, objęła tak mocno, jak tylko matce wypada. – No, nie martw się, Sylwuś, przecież dla ciebie zaczyna się coś pięknego.

Długo tak mnie trzymała. Wyglądała na bardzo szczęśliwą, a ja klęłam w duszy, że znajduje światło w moim nieszczęściu. Pogadałyśmy chyba do pierwszej o tym, jak to było

cudownie, gdy byłam mała i nikt się nie spodziewał, że kruszynka przerodzi się w cholere.

Jej oczy błyszczały. Powiedziała, że mogę zostać w pokoju gościnnym, rozłożyła mi kanapę, jeszcze raz pocałowała w czoło, naciągnęła kołdrę; jej oczy się śmiały: „Moja mała dziewczynka”, powiedziała jeszcze i poszła do siebie. Słyszałam, jak upada, strącając karafkę z wodą do kwiatków.

Runęła wprost na pośluzzone szkło, a gdy znalazłam się przy niej, prawą ręką usiłowała wskazywać lewą, nieruchomą. Wywracała oczyma i kopała jedyną sprawną nogą, w ustach pękł bąbelek śliny. Nie mogłam z początku jej podnieść –

mama od dawna nie dbała o siebie i bardzo utyla. Chwyciłam ją pod pachy i szarpnięciami, jęcząc i płacząc, usadziłam na fotelu, potem przycisnęłam ręce do twarzy. Matka jeszcze próbowała coś mówić lub pokazać. To potworne, widzieć jak ktoś cierpi, prosi o pomoc i nie rozumieć, czego chce.

Szpital w Woli jest ogromny i pozostaje w fazie nieustannego remontu. Ma wiele rozgałęzień i załomów, otacza go park, przeobrażony czasowo w plac budowy. Odkąd pamiętam, po szarych ścianach pięły się rusztowania; teraz, gdy zajechałyśmy tam z mamą karetką, zauważyłam, że rusztowania zniknęły. Wciąż jednak stała zielona buda z narzędziami robotników, obok piętrzyły się rzędy pustaków. Sanitariusze popędzili z mamą, a ja zwyczajnie znieruchomiałam, coś odjęło mi siłę w nogach i sercu. Patrzyłam na oddalające się nosze i przerażałam samą siebie – pomyślałam bowiem, że lepiej dla mamy, żeby umarła, niż żyła ze sparaliżowaną połową ciała. Nie dam rady zaopiekować się dzieckiem i nią.

Zapaliłam, choć wiedziałam, że mi nie wolno. Mały mi wybaczy tego jednego. Cisnęłam papierosa na trawę i nagle ogarnął mnie chłód – stałam w samej bluzce, o drugiej w nocy, zimną jeszcze wiosną. Pobiegłam do wejścia, a chłód podążał za mną.

Lekarz – facet z siwą brodą i wielki jak niedźwiedź – powiedział, że matka miała wylew, poszedł tętniak, połowę ciała ma sparaliżowaną. Trzeba czekać, sprawdzać, czy można operować, czy jest dojscie. Zastanawiałam się co odpowiedzieć, jeśli dojsčia nie będzie.

Mama, nieprzytomna – popatrzyłam na nią – leżała w dwuosobowym pokoju, na plecach, miała zamknięte oczy. Dotknęłam jej piersi, oddychała szybko. Przyłożyłam głowę do jej ramienia.

– Będzie żyła – usłyszałam za sobą.

Odwróciłam się. Na łóżku obok siedziała stara kobieta. Zapadniętą, niemal wklęsłą twarz otaczał wielki kołtun siwych włosów, wargi cofnęły się ku bezzębnym dziąsłom, z żółtej skóry na przedramionach odchodziły kroplówki.

– Ja zawsze poznam, ha, widzę, że będzie dobrze. Ciężko, ale dobrze, nie bój nic. Ja tu długo siedzę. Wiesz co, mogę wskazywać palcem: ten umrze, ten będzie żył. To nie jest trudne, wystarczy rozpoznać, kto chce walczyć, a kto nie.

Nic nie odpowiedziałam, ucałowałam nieprzytomną mamę i poszłam ku wyjściu.

Starucha, wiem to, złośliwie czekała, aż stanę na progu, by podzielić się ze mną kolejną mądrością.

– Będzie dobrze! – powtórzyła i wybuchnęła serdecznym śmiechem. – To chłopiec, prawda? Od razu widać! Będzie duży i silny, jeszcze mamę na rękach ponosi! Zobaczysz!

Tylko się nie bój!

Wybiegłam, a ona wołała za mną:

– Leć, leć, leć!

* * *

Wróciłam po ręczniki, piżamę, trochę bielizny, jakieś kosmetyki, wrzucałam do torby wszystko, co przyszło mi do głowy, soki i wodę kupię w szpitalnym sklepiku. Szłam przez miasto, ludzie dziwnie patrzyli – oto środkiem drogi pędzi trzydziecioletnia udająca nastolatkę, z torbą przewieszoną przez ramię, w rozsznurowanych butach, z wielkimi, wytrzeszczonymi oczyma, rozmazanym tuszem – wiem, widziałam się w szybach samochodów.

Niebo nad szpitalem wyglądało jak przydymione szkło. Matkę zastałam nieprzytomną, nikogo przy niej nie było, ale na szafce przy łóżku pojawiła się metalowa płytka miska, obok stał stojak na kroplówkę, a jeszcze dalej przepierzenie, oddzielające żywych od umarłych.

Zajrzałam. Pokręcona staruszka, która stroiła sobie ze mnie żarty, kpiła już na tamtym świecie. Wydawała się o połowę mniejsza niż za życia. Miała palce jak dziecko, tyle że pomarszczone.

Wyszłam stamtąd. Zwaliłam plecak przy nieprzytomnej matce i powlokłam się przed siebie, bez celu, korytarzem spowitym trupim światłem. Mijający mnie lekarze mieli woskowe twarze, poważne, szkliste oczy, a pacjenci, leżący w otwartych pokojach, odwracali się, unikając mojego spojrzenia. Wpadłam na pielęgniarkę, która gnała gdzieś z kubkiem kawy, ofuknęła mnie, a ja odskoczyłam. Jej ciało, gdy je dotknęłam, było chłodne.

Nie lodowate. Chłodne.

Przystanąłam przy wyjściu. Rozbolał mnie brzuch, zaczęłam wyć. Musiała być siódma, bo pojawili się robotnicy, było ich około dziesięciu. Zwaliści, mrukliwi, podpici i śmierdzący, weszli bocznym wejściem i dalej, w dół, po schodach.

– Dobudowują nam poziom w piwnicy – wyjaśnił młody lekarz, który wyszedł przed budynek na papierosa. – Będzie tam oddział dziecięcy, przeniesiemy ten ze skrzydła. –

Przesłał mi dziwne spojrzenie. – Nie zimno pani? Długo pani tu czeka?

Chciało mi się wymiotować. Toaleta na parterze była zajęta albo zamknięta. Nowo poznany doktor skierował mnie na pierwsze piętro i stał, obserwując, jak idzie mi wspinanie się po schodach. Szło świetnie, ale ledwo skręciłam, znikając z jego pola widzenia, osunęłam się na kolana i zwymiotowałam. Bolało, zamroczyło mnie, próbowałam złapać oddech i

zwymiotowałam znowu. Przed oczyma wirowały płatki sadzy, czułam też zapach smoły i ciemności, tak, w tamtej chwili byłam pewna, że ciemność cuchnie mokrym mięsem.

– Dobrze się pani czuje? Halo! Halo! Co pani jest?

– Nie, na pewno nie czuje się dobrze.

– Skąd wiesz?

– Jeśli ktoś wymiotuje na półpiętrze, z reguły nie ma się najlepiej.

– Ale mamy dziwne czasy. Więc może to i dziwna dziewczyna. Jak gwiazdy.

– Gwiazdy i dym.

– Co dalej?

– Wybacz, ale naprawdę nie wiem. Dobrze się pani czuje? Halo! Halo! Co z panią?

Uniosłam głowę, płatki sadzy uleciały do sufitu. Na półpiętrze przede mną znajdowały się otwarte drzwi, a w drzwiach stało dwóch facetów w lekarskich kitlach, podobnych i różnych zarazem. Pierwszy miał starannie przystrzyżone włosy, gładziutką twarz i smukłe, prawie kobiece dłonie. Drugi wysmarował się brylantyną – półdługie kudły opadały na kark

– miał kilkudniowy zarost, a pod oczyma głębokie cienie. Uśmiechnął się.

– Chodź do nas – powiedział.

– No, już, już – ponaglił drugi.

– Naprawdę nie ma się czego bać.

– Jestem doktor Ciało – powiedział ten nieogolony i wskazał na drugiego – a to doktor Krew.

Próbowałam wstać, ale osunęłam się po ścianie na spoconych dłoniach. Tamci patrzyli na mnie uważnie. Zawołałam więc, żeby przyszli i mi pomogli; potem pójdę z wami, gdzie chcecie, kochani doktorkowie, Ciało i Krew.

– Nie da rady. Nie możemy stąd wyjść, ale możemy przyjąć cię u nas, jeśli tylko zrobisz parę kroków – powiedział doktor Krew.

Popęzłam na czworakach, omijając plamę wymiocin, i zasmuciłam się myślą, że nawet to mi w życiu nie wyszło. Sadza powróciła, tym razem opadając mi na płuca; bardziej się czołgałam, niż pełzłam. Gdy wbiłam paznokcie w próg, Ciało i Krew pochwycili mnie jednocześnie. Jeden starannie otarł mi twarz, drugi poklepał mnie po ramieniu.

– No i widzisz, dziewczyno? Wszystko będzie dobrze. Dalej, dalej, pokażemy ci twój pokój.

– Najpierw do mnie, do mnie mówię – złościł się doktor Krew.

Wyzwoliłam się z uścisku, wyrwałam Ciału chusteczkę i sama wytarłam sobie usta.

Wyglądali jak para błaznów. Tak, już wiem, to dom wariatów. Mają tu oddział dla szalonych; ci dwaj są pacjentami.

– Chwila, chwila. Wydaje mi się, że nie jesteście żadnymi lekarzami. Czemu nie możecie wychodzić? Może jakiś prawdziwy lekarz wam zabronił?

Ciało się skrzywił, a Krew roześmiał.

– Chodź. Zobaczysz, niedługo dowiesz się wszystkiego.

– Nie masz racji. Pokaż jej – wtrącił się Ciało.

Doktor Krew poprawił okulary.

– Jeśli nie mam racji, to ty jej pokaż.

Dreszcz przeszedł po twarzy doktora Ciało i zaraz zmienił się w cierpki uśmiech. Ciało odsunął kolegę w głąb korytarza – korytarz był pomalowany w pastelowe kolory, na ścianach wisały widoczki w ciasnych ramach – przesunął mnie, tak by zrobić sobie miejsce.

Zacisnął dłoń w pięść, polizał knykcie i szybkim ruchem przyłożył do podłogi na zewnątrz.

Rozległ się syk. Doktor Ciało oderwał rękę, podsunął mi pod nos. Wyraźnie widziałam szybko ciemniejące bąble po oparzeniach. Korytarzem już pędził doktor Krew z miską zimnej wody.

– Nie możemy stąd wychodzić, bo spłonimy żywcem. Świat nas podpali. – Doktor Ciało robił dobrą minę do złej gry. – Chodź z nami. Może, powtarzam: może jakoś cię tu uleczy my.

– Gwiazdy i dym, gwiazdy i dym – powtarzał doktor Krew.

* * *

Obaj urzędowali w przestronnym gabinecie przy końcu korytarza. Okno wychodziło na park i osiedle Lenartowicza, za to sam pokój wyglądał na najzwyklejszy pokój, który ktoś usiłował przerobić na gabinet lekarski, w pięć minut i najtańszym kosztem. Ściany pokrywały postery o zdrowym odżywianiu i dziwacznych lekarstwach, na regale stały skoroszyty, rzekomo poświęcone historii pacjentów, ale wszystkie były puste, a na biurku doktora Ciało płaski monitor; nie był podłączony. Sam Ciało siedział z zabandażowaną dłonią i patrzył na mnie z mieszaniną ulgi i wyrzutu.

Doktor Krew usadowił się za biurkiem, gdzie każda kartka, gazeta i długopis miały ściśle określone miejsce, oparł się łokciami o blat i zaczął pytać, notować i pociągać nosem.

Odpowiadałam niechętnie. Co go obchodzi, jak wspominałam podstawówkę, kiedy pierwszy raz się zakochałam i czy jestem w ogóle do zakochania zdolna, czy lubię prowadzić samochód i czemu nie chcę innego modelu niż czarny golf, jak, do cholery, dogaduję się z matką, jak dogadywałam się z nią, gdy była przytomna, wreszcie, gdzie boli najbardziej, gdy budzę się, raz na jakiś czas, ogarnięta niezrozumiałym przerażeniem? Mazał coś w kajeciku, gryzł wargi i ołówki, aż wreszcie nie wytrzymał i zapalił papierosa, stając przy oknie. Pytał

dalej: o kim myślę, kiedy rano wstaję, czego nie umiem, po co właściwie jestem i czy naprawdę musi

być tak, że Sylwia, germanistka i matka, jest tylko naroślą, hubą na świecie.

Ciało w tym czasie oprzytomniał i zaczął wokół mnie tańczyć – przyniósł kolejno wodę, herbatę i koniak, wrzasnął na pielęgniarkę, żeby szykowała salę i podała obiad. „Stąd nie można zadzwonić po pizzę, ale powinnaś wiedzieć, że możesz wyjść i wrócić w każdej

chwili” – tak mi rzekł, a potem jął mruzczyć pod nosem o gwiazdach i dymie. Zaraz wjechał

obiad, zupełnie nieszpitalny: młode ziemniaczki i parujący kotlet z najpyszniejszą kapustą na świecie. Zjadłam, nim się obejrzałam, niemal dławiąc się wodą.

Krew dalej pytał i pytał, a z czasem do rozmowy włączył się także Ciało, rzucając sentencje zza moich pleców.

– Ludzie wszystko pojmują opacznie – powiedział na przykład, gdy wyznałam, że do kościoła chodzą jedynie na śluby i pogrzeby. – Tyle się mówi, czego Bóg od nas wymaga, interpretuje się każde słowo z Biblii na dziesiątą stronę, nie wiem po co. Chrystus dał

świadeństwo, nic więcej. A mianowicie takie, że nie powinniśmy żyć dłużej niż 33 lata. Po prostu, zbytek łaski, za wiele radości, nic już nie ma sensu i nie zdarzy się już nic ciekawego.

– Powiedz lepiej, ile sam masz lat – rzucił Krew zza biurka i zaraz zwrócił się do mnie:

– Wybacz, on tak już ma. Jak sobie nie pogada, jest nieszczęśliwy. A nikt nie powinien być nieszczęśliwy.

– Nie w tym miejscu – dodał Ciało.

– No, nie w tym. Bo widzisz, Sylwio, w naszym szpitalu nie leczymy ciała ani głowy, tylko dusze.

– Wiem! Już wiem! – wykrzyknął doktor Ciało, masując sobie czoło. – Urodziłem się w Kartaginie, w roku jej zburzenia.

Doktor Krew westchnął i wziął się do notowania.

– Mówiłem ci. On tak zawsze. Nie myśl, że próbujemy być zabawni czyimś kosztem.

Zwyczajnie, po prostu próbujemy. Nieodmiennie wychodzi na to, że nie warto.

* * *

Pokazali mi mój pokój, nieznośnie szpitalny, a zarazem cudny. Ledwo weszłam, zrobiło mi się cieplej, jakbym wystawiła głowę z zimnej nory na nasłonecznioną łąkę. Stało tam białe łóżko na kółkach i obok drugie, mniejsze, osłonięte z trzech stron drabinką – dla dziecka. Wyżej wisiał na ścianie sfatygowany obrazek Matki Boskiej, taki, jakie rozdają księża na kolędzie, a pod nim rząd dziecięcych malunków, zostawionych przez malców, na pamiątkę. Był też zlew w kształcie wanienki i osobna łazienka z prysznicem.

Doktor Ciało wskazał na szafę w rogu.

– Tutaj są ubrania. Drobiazgi. Trochę kosmetyków.

– Nie powinnaś się brzydzić – dodał doktor Krew – każdy pacjent ma tu rzeczy tylko dla siebie.

Chciałam zapytać, o jakich pacjentach mowa, skoro wędrując korytarzem, widziałam puste sale, łóżka płaskie, bez jednej zmarszczki, przypominające groby, ale kiedy się odwróciłam, doktorzy już sobie poszli. Tylko ich kroki brzmiały na korytarzu. Coś mówili.

Śmiali się. Ucichli.

Oparłam się łokciami o parapet. Zieleń za oknem pozwalała zapomnieć, że jestem w mieście, gdzie tylko mignął mi samochód, w oddali majaczyły bloki. Z lewej dobiegały odgłosy robót, ale trawnik przed szpitalem był czysty, jeśli nie liczyć blaszanej budy, w której robotnicy trzymali narzędzia, pili piwo i klęli tak barwnie, że na moment o wszystkim zapomniałam. Otworzyłam okno szeroko. Do pokoju, niczym niewidzialna piłka, wpadła wiosna. Na brzegu swego życia usiadłam i zapłakałam.

Przyjrzałam się dziecięcym obrazkom i doszłam do wniosku, że jeden malec ściągał od drugiego. Malunków było siedem, każdy na kartce z bloku, przyszpilony do drewnianej listwy na ścianie. Na jednym rekin płynął nad wulkanicznym dnem, obok szczęśliwa rodzina wędrowała w stronę arcykolorowego domku, był jeszcze piesek, kula ziemską, statek, samolot. Wszędzie w tle błyszcząły punkty naniesione żółtą kredką, nad psem, domem, a nawet pod wodą, pod płetwą rekina. Szare kłęby odrywały się z rogów obrazków, z komina domku, z uszu psa. Gwiazdy i dym, powiedział doktor Ciało w mojej głowie.

Nie okłamali mnie. Aż jęknęłam ze zdziwienia i radości, kiedy w szafie, zgodnie ze słowami doktora Krwi, znalazłam rzeczy tylko dla siebie – ukochane sukienki, dzinsy z fabrycznym przetarciem na udzie, które kupiłam nie dalej niż trzy miesiące temu, czerwoną bluzeczkę, w której wyglądam cholernie seksownie, nawet kolczyki, majtki, ulubiony ręcznik barwy nieba, odtwarzacz empetrójek, wypełniony tym co lubię, książki, zgromadzone na górnej półce; znałam w nich każde zagięcie, a miejscami – każde słowo.

Wzięłam prysznic, w wysokim lustrze obserwowałam swoje zmienione ciało. Po raz pierwszy wyraźnie dostrzegłam lekkie zaokrąglenie brzucha, powiększone piersi, pociemniałe sutki, mocne ramiona; cholera, pomyślałam, tyłek masz dalej zgrabny, bije życie w tobie, Sylwus moja, jesteś taka piękna. Otuliłam się w ręcznik, porwałam książkę, runęłam na łóżko, było ciepło, dobrze, czytałam powoli, a wokół zniknął czas i świat.

* * *

Obudziłam się w nocy. To było jak cios w głowę: oto śpię i nagle coś wyrzuca mnie na zewnątrz – ląduję w ciepłym i przemienionym pokoju. Był dwukrotnie większy, zniknęły łóżeczko dla małego i szafa. Leżałam w nowoczesnym, skromnie urządzonej mieszkanie, pełnym mebli o opływowych kształtach. Zapaliłam fikuśną lampę – widziałam parkiet, półkę z bajkami, zabawki. Usiadłam na łóżku. Tak, wszystko się zmieniło, tylko obrazki pozostały te same: rekin, domek, pies.

I nagle znalazł się obok, i nagle trzymałam w ramionach jego jasną głowę. Był chyba zaskoczony, nie spodziewał się, przywarł mocno do mnie i powtarzał:

– Mamo, mam. Boję się spać.

Aż zabolalo w srodku, jakby ktos przejechał lancuchem od brzucha po gardlo. Czulam rdze na jezuku.

– Zapal światło. – Głaskałam go po głowie. – Przecież nie musisz spać przy zgaszonym.

Nie wiedziałam, co mówić, nie umiem rozmawiać z dziećmi, coś wewnątrz mnie po prostu tak powiedziało. Mały – Boże, jak on miał na imię? – wysupłał się z mojego uścisku i siedział przede mną, nad wiek poważny. Miał może cztery lata, okrągłą buzię, oczy moje, tyle że bystre, cały drobniutki, małe dłonie; musiał się uderzyć, świeży strupek szpecił

podbródek.

– Ja nie boję się ciemności. Boję się spania.

Pocałowałam go w czoło, w oczy, po kolei.

– Co strasznego jest w spaniu?

– Wtedy mnie nie ma – rzekł, bardzo skupiony, z trudem dobierał słowa. – Jest jasno, jaśniutko jak w bajce. Ale siebie nie mogę znaleźć.

To dziecko nie powinno tak mówić. Jest za małe. Znów zniknął w moich ramionach; pewnie, że ciebie nie ma, skąd masz być, jesteś drobiazgiem, skrawkiem genu w moim brzuchu, człowieczkiem czasu niedokonanego, teraz patrzymy na siebie. Czym odurzyli mnie Ciało i Krew? Przytuliłam go jeszcze mocniej, pociągnęłam ku sobie. Śpij, proszę, śpij.

To właśnie jest sen, pomyliłeś się, maleńki, istniejesz we śnie, na jawie cię nie ma. Przecież to uluda, ręce mam wciąż młode, byłyby inne po czterech latach.

Ale on pachniał strachem i potem.

– Śpij tutaj – przesunęłam się na łóżku, odchyliłam kołdrę, oddałam mu swoją poduszkę, ugniotłam ją – tu na pewno przyśni ci się coś dobrego. Przyśnisz się sam sobie.

Ułożył się, nie bez protestu. Zgasiałam światło i w półmroku widziałam białka oczu; bał

się je zamknąć, ale w końcu to uczynił. Oddech mu się wyrównał, znalazłam w nim spokój, ale sama nie mogłam zasnąć aż do świtu. Patrzyłam na mojego synka, przerażona, że ocknę się koło trupa.

* * *

Czasem mam wrażenie, że nakładam na siebie cudze życia, że jest jakaś szafa, długa na pół świata, którą odwiedzam – coś odwiedza – w półśnie. To coś nakłada na siebie skórę, z kieszeniami pełnymi

pragnień, uraz, z drzazgami zadr wbitymi w buty i wędruje przez świat.

Czasem targam ze sobą walizy ze skórami, zmieniam je w biegu albo w ubikacji i nie wiem nawet, po co mi one – przecież należały do kogoś innego. Skóra matki, kochanki, nauczycielki, licealistki z fiu-bździu w głowie, dziewczyny sennej, dziewczyny roześmianej.

Słuchajcie, mam tu wszystko!

Czasem leżę w bezdźwięczności nocy, trochę już człowiek, trochę tylko coś, i zastanawiam się, kim byli ci wszyscy, których życia donaszam, czy jeszcze żyją i co robią w sobotnie popołudnie. Czy wiedzą, że ich skóry są komuś potrzebne? Myślą niekiedy o nich?

I nagle przychodzi niepokojąca refleksja, że to nie cudze skóry, ale moje, które odrzuciłam

niczym wąż i zamiast wywalić w cholere, zagrzebałam, schowałam, pewna, że nadal mogą się przydać.

Rano przyszli lekarze.

Wiedziałam, że mój syn ma na imię Michał.

Miał teraz osiem lat, siedział po turecku przed telewizorem, nie widząc świata poza grą na konsoli. Prosiłam, żeby dał sobie spokój, zajął się czymś sensownym, spytałam, czy jadł i czy się mył. Nie mówił nic o snach.

– No i jak cudnie – ucieszył się doktor Ciało.

Za to doktor Krew sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Krążył po pokoju, niby przyglądał się książkom, zerkał na ekran i na mnie, jakbym ja także była wyświetlana.

Naprawdę interesował go tylko szum maszyn dobiegający zza okna. Robotnicy pracowali intensywniej niż zwykle, cały szpital się trząsał. Zamknięcie okien trochę pomogło – warkot zmienił się w buczenie.

– Gdzie jestem? – zapytałam.

– Tam gdzie wczoraj. W szpitalu. – Doktor Ciało wzruszył ramionami. – Przecież niewiele mogło się zmienić przez jedną noc.

– Długo mam tu zostać. Wyleczycie mnie?

Doktor Krew parsknął śmiechem. Dziąsła miał czarne, policzki przecinały bruzdy, nagle wydał mi się straszliwie stary. Usiadł przy mnie, na brzegu łóżka, oparty o szafkę, pięść zagłębiła się w materacu.

– Córku, czy ty myślisz, że my tutaj cuda czynimy? Możemy sobie z Ciałem ręce po łokcie urobić, maleńka, i nic z tego, nie damy rady. Trzeba było myśleć, kiedy zaczęłaś psuć swoją duszę. No, nie rób takiej miny! Kłamać mam? Przecież nikt nie chce dla ciebie źle.

– Daj spokój – poprosił doktor Ciało.

– Co daj spokój? Dziewczyna ma prawo wiedzieć. Może ci się, maleńka, polepszyć, możesz czuć się świetnie, ale coś w tobie zawsze już będzie potrzaskane. Jeszcze raz: my tu niczego nie załatwimy, coś tam się naprawi, poskleja butaprenem, ale, rany boskie, dziewczyno, jeśli znów coś rozdrapiesz, to będzie tak samo. To jest jak wódka, maleńka, jak wychodzenie z chlania, zawsze będziesz lubić wódkę, mieć przeźrocyste sny.

Doktor Ciało zmarszczył brwi, usiłował na mnie nie patrzeć – za oknem znalazł coś ciekawszego. Oto kłęb ptaków uniósł się w powietrze, głośny i wściekły.

– Krew upiera się, że chora dusza jest czymś przyjemnym dla chorującego – powiedział.

– Bo i wódka jest fajna – cieszył się doktor Krew. – Widzisz, moja maleńka, kochana Sylwio, dla której został stworzony świat, brylantowa łezko, skarbie, córko wszechświata, to sposób najprostszy i najtańszy: rozgrzebujesz coś w sobie, rozwłóczasz niczym ścierwo i oto wiesz, że masz w sobie jakąś głębię, wrażliwość, że życie cię dotyka. Czulaś się inna, moja maleńka, taka wyjątkowa, szlachetna przez cierpienie, zagubienie, rozpacz. Mogłaś więc

chlać i szaleć po knajpach, młodość sobie przedłużać, kochana, skarbenku, bo przecież dusza chora, musisz jakoś sobie radzić. Bania, bania? Nie tak było?

Zerknęłam na Michałka, cudownie obojętnego, półrocznego malucha – spał w drabiniastym łódeczku, czerwonym jak wóz strażacki. Ssał paluch i nie miał pojęcia, że istnieje świat, dusze, zagubienie i ptaki.

– Są też padlinożercy – syknęłam wściekła, bo doktor Krew rzeczywiście mnie uraził –

którzy babrają się w tych flakach, kochaniutki, żrą je. Nazywają to pomaganiem, a siebie przyjaciółmi lub nawet doktorami.

Opamiętałam się za późno, słowa zostały wypowiedziane. Doktor Ciało zmartwiał, posmutniał, jak człowiek, któremu za dobro odpłaca się kopniakiem w kość ogonową. Za to Krew zerwał się z mojego łóżka, trupio blady, przygryzł wargi, aż mu posiniały. Zaciskał

pięści. Wymienili spojrzenia. Już chciałam rzucić coś pojednawczego, w czym zawsze byłam świetna. To Ciało pierwszy zmiękł, krew napłynęła mu do twarzy, policzki doktora Krwi raptem się nadeły, usiłował zaciskać usta, na próżno, najpierw syknął, potem zarechotał. Ciało śmiał się dźwięcznie i życzliwie, Krew natomiast aż rżał z radości, czerwony, z rękami przyciśniętymi do brzucha, jak człowiek, który się cieszy, gdy bliźni wpadają w wilcze doły lub wybijają sobie zęby na ślizgawce.

Ciało uklęknął i ujął moje dłonie.

Krew poklepał mnie po ramieniu i dał przyjacielskiego buziaka.

– No widzisz, maleńka! – wykrzyknął radośnie. – Zaczynasz wreszcie chwytać, o co w tym szajsie

biega!

Tak zadomowiłam się w szpitalu doktora Ciała i doktora Krwi.

* * *

Trudno mi powiedzieć, jak mijały dni – zlewały się w jedno wielobarwne zdarzenie. Nie pamiętam, o której wstawałam i o której kładłam się spać, pokój zmieniał się zbyt szybko, a z nim moje dziecko. Było dorosłe, a za chwilę maleńkie. Złościło się, stało w kącie i kochało mnie. Czekałam, słuchajcie, przed budynkiem uniwersytetu, gdzie Michał zdawał na medycynę; cholernie trudna sprawa, wiedziałam, że chciałby być sam – to przecież głupie, że matka odprowadza starego konia na egzamin. Siedziałam w samochodzie zaparkowanym w cieniu, przed Akademią Medyczną – nie pamiętam, co to za miasto – filując, z jaką miną wyjdzie, no i czy nie za wcześnie. Pojawił się w grupie, twarz miał markotną, słuchał, jak koledzy przerzucają się opiniami, więc markotniał bardziej i bardziej, ale krok zachował

sprężysty, trzymał się prosto, ech, dobrze, że najgorsze za nim. Byłam pewna, że poszło mu świetnie.

Albo przychodził do mnie – siedziałam w szpitalnym pokoju, przemienionym teraz we wnętrze domku letniskowego. Przez okno wpadało słońce, widziałam też góry, nie wiem

jakie, pewno niepolskie. Wszedł Michał, zasmarkany, i powiedział, że dostał w zęby.

Popatrzyłam, przerażona. Nie tylko w zęby, pod okiem ciemniała śliwa, warga była rozbita, przedramię rozharatane. Musiał upaść na beton, gdy zwiewał.

Miał jakieś dziesięć lat, w tym wieku umie się już nie płakać, choć to trudna sztuka.

Oglądałam więc to pobojuwisko jego ciała, próbowałam obmyć jodyną zadrapanie. Michał

zesztywniał, zacisnął usta, pociekła łza. Powiedział, że nie boli, ale szczypie, i ten płacz właśnie stąd.

– Co to za chłopak? – zapytałam. – Już ja pogadam z jego rodzicami.

– To moja sprawa. – Połknął łzę, stłumił płacz, cały się trzęsąc. – Daj spokój, nie rób nic. Moja, moja, moja.

Powiedział to głosem małego rewolwerowca.

Na drugi dzień poszłam, znalazłam rodziców. Ojciec miał brodę niczym prorok i łapy jak do przerzucania węgla. Mówiłam, a on wymruczał, że pomyśli. Za to matka – szczapa, na którą nadziano szopę jasnych włosów – jęła trajkotać, że powinnam sama pilnować swojego szczyła, a w ogóle to gdzie jest jego ojciec.

Właśnie w tej chwili pojawił się syn tych miłych państwa, w potarganej koszulce, z nosa szła mu jucha, dopadł mamy, zapłakał i pokazywał na mnie palcem. I jaka skarga! Że był

grzeczny, a tak dostał w zęby. No to ojciec wsiadł na mnie z mordą, matka w płacz: „Ty suko! Weź, pilnuj swojego kutasa. Kto ci go, kurwo, wsadził?!”.

Wściekła, odpowiedziałam coś o tym, że ja świetnie wiem, kto jej wsadza, i to wcale nie jest budujący przykład. Trzasnęłam drzwiami i popędziłam do Michała. Tym razem prawie nie oberwał. Opieprzyłam go strasznie, zakazałam mu niemal wszystkiego, zabrałam konsolę. Idź i kontempluj w ciszy tę prostą prawdę, że przemoc nie jest rozwiązaniem.

Wrzeszczałam. Słyszałam, jak cicho kokosi się w swoim kącie, i tak słuchając, prawie się popłakałam – dzielny chłopak, nie ma co. Mój synek, krew z krwi, szkoda, że jaj nie dziedziczy się po dzieciach.

* * *

– Mamusiu, co robiłaś, jak byłaś młoda? – zapytał mnie siedmioletni Michał.

– Studiowałam sobie – odpowiadam.

Był cudowny wieczór, siedzieliśmy na tarasie, mały z koktajlem domowej roboty, ja z piwem imbirowym w rękę i książką na kolanach. Słońce zatapiało się powoli w koronach drzew wokół szpitala. Było ciepło, słodko. Kiedyś bym powiedziała: mdłość aż w lukier poszła.

Pies, Kali, kudłaty niczym wielki kłęb kurzu, usadowił się przy mnie, wyciągnął łeb, żeby go podrapać.

– Wiem, ale co robiłaś po studiach? – Wyszczrzył się, choć dla takiego smyka studia zaczynają się za tysiąc lat.

Co miałam odpowiedzieć: mamusia po prostu szukała ciepła, a najgoręcej było w knajpie; to, co było zaledwie wczoraj, wróciło jak dawne wspomnienie. Boże, ale miałam cudowne, popaprane życie, przecież nie umieram, ale wciąż mam przed oczyma tamte miejsca, tamtych ludzi.

– Nic, synku. – Pocałowałam go w czoło. – Byłam w śpiączce, a potem wyjechałam na wakacje.

– Długie to były wakacje, mamusiu?

Mały łajdak, skarb, rozumiał. Gdzieś z głębi ojciec krzyknął coś o szaszłykach.

– Wakacje czasem są bardzo długie – odparłam. – Od trzech do pięciu lat.

* * *

U nas w domu zawsze ja robiłam pranie, prasowałam też koszule dla Romka, w których, wiedziony nieomylnym instynktem handlowca, jechał sprzedawać kable i światłowody całej Polsce południowej. Z Michałem toczyłam nieustanne spory o bajzel w kieszeniach: bilety, paragony, dziesięciozłotówki, aż dałam spokój – dobrze, synu, co przepadnie, twoja strata.

Sprawdzałam tylko, czy nie zostawił czegoś ciężkiego, kluczy albo portfela. Kiedy wyjmowałam jego kurtkę z pralki, coś zachrząściło w kieszeni. Najpierw myślałam, że mi się zdaje – robotnicy pracowali w podziemiach szpitala i warkot był niezmierny – ale nie. W

kieszeni wałały się drobinki szkła i gdyby je złożyć, wyszłaby szklana lufka jak ta lala. Szkło było czarne, czyli opalone.

Powinam z nim porozmawiać. Myślałoby mi się jaśniej, gdyby nie hałas z dołu. Zaraz trzeba mi iść – przecież, Michałku, masz szesnaście lat, a palisz zioło i to żenione, od byle kogo z ulicy, w kiblach i parkach, na pewno na lekcje przychodzisz upalony. Przecież na tym można by przejechać całe życie.

Wyobraziłam sobie Michała, jak stoi i czeka pod ratuszem dwudziestą minutę, wreszcie dzwoni i słyszy: „Do godziny będę”. Wchodzi więc do knajpy i siedzi, cały w nerwach.

Wreszcie tamten przyjeżdża, pyk-pyk, pieniądze, pyk-pyk, zawiniąteczko, a w zawiniąteczku wyschnięte ziele skropione muchozolem, unurzane w świństwach, trujące. Co zrobić? Jak powiedzieć: „Nie pal”?

Wzięłam go na stronę, rozłożyłam resztki szklanego drobiazgu. Zapytałam, co to takiego. Zrobił głupią minę i odparł:

– Miałem aromat do pieczenia w kieszeni.

Spojrzał na mnie, zorientował się, że w życiu mu nie uwierzę. Milczał, a ja powiedziałam, że wiem, co to jest; szkło od aromatu nie bywa opalone. A jemu wzrok rozblęsnął, wyszczerzył się bezczelnie i zapytał:

– A skąd ty, mamó, na tym się znasz?

No i zamilkłam. Tyle wystarczyło, by przegrać, rozłożył mnie na amen, jego uśmiech stawał się coraz szerszy, musiałam się zarumienić, w końcu się roześmiałam. Myślał wtedy, że mu odpuszcza.

– Wszystko jest dla ludzi, ale nie wszystko im służy – powiedziałam. – Jak cię jeszcze raz przyłapię, jak poczuje zapach od ciebie, nogi z dupy powyrywam. Chcesz palić? A pal sobie, ale później. To rozwala ci pamięć. Weź, rany boskie, chociaż zdaj maturę, a potem psuj sobie głowę.

Przytaknął bez przekonania.

Zapadła chwila ciszy.

– Napiłbyś się dykty? – zapytałam. – Denaturatu?

Gwałtownie zaprzeczył. Nie, denaturatu, skąd!

– A jakieś paskudztwo palisz. Wiesz, czym to kropią? Ja nie wiem i nie chcę wiedzieć, wystarczy, że ta zbita lufka zalatuje chemią. – Wskazałam na drobinki szkła. – Musisz palić?

To poczekaj, zdaj na studia i posadź sobie coś, ale teraz truć ci się nie pozwolę. Jak jeszcze raz cię złapię, to dopiero się zdziwisz.

Pewności nie mam, ale przypuszczam, że od tamtej rozmowy raczej nie zapalił.

* * *

Czasem budziłam się w zwykłym szpitalnym pokoju, w którym położyli mnie kochani doktorzy. Michał tu nie mieszkał, ale wpadał po szkole, zobaczyć, jak mama się miewa.

Czasem z Romkiem. Czasem sam.

Ciało i Krew dotrzymywali mi towarzystwa. Doktor Ciało opowiadał, jak ciężko było kiedyś prowadzić szpital: pod biczem cesarów, w ogniu rodzącej się Ameryki, w czasie strasznej wojny, kiedy krzyżowcy utopili we krwi Jerozolimę. Jego bramy przekraczali kaci, rycerze i królowie, zostawiając za sobą zakrwawione łany, próbując wyciszyć ryk mordowanych, wciąż brzęczy w ich głowach. Doktorzy pomagali ludziom w stalinowskiej Rosji i w Słowacji księdza Tiso, szukali nadziei w cieniu Czerwonych Khmerów, budowali namioty dla ojców pustyni, schodzili do więzień i katakumb – w porównaniu z tym, co było dawniej, praca w naszych czasach to bułka z masłem.

Doktor Krew zerkał nerwowo na boki i pytał, czy chcę się nauczyć grać w karty.

„Karty”, mówił „to jedyny sposób spędzania czasu, który pozwala zapomnieć”. Być może.

W istocie Krew nie chciał o czymś pamiętać, o czymś, co miało związek z tajemnicą za oknem albo robotnikami pracującymi na dole. Kiedy o nich pytałam, obaj milkli.

Być może zaczynałam popadać w obłąd albo kalejdoskop życia odebrał mi zdolność widzenia – gdzie jestem, co robię – niepokój doktorów stał się też moim udziałem. Śmiali się. Byli ciepli, nie jak kluchy, lecz jak ludzie, jednak, w pewnych chwilach, działało się z

nimi coś niedobrego. Wracając do świata z przeszłości, przyszłości, stawałam w oknie i patrzyłam. Coś się nie zgadzało.

* * *

Nie przebywałam cały czas w szpitalu, sam Krew powiedział, że powinnam wychodzić tak często, jak tylko mogę, bo nie ma nic gorszego niż utrata kontaktu z bliskimi. Rzekł to zresztą w swoim stylu, cmokając, burcząc i wkręcając przynajmniej trzy świńskie żarty.

Więc poszłam.

To była przedziwna zmiana – opuścić oddział na półpiętrze, zejść po schodach i dziwić się, że istnieje nie tylko zwykły świat, ale i moje ciało. W szpitalnym pokoju, w przeskokach między prawdą i pragnieniem, czułam się błogo. Gdy wychodziłam, dopadała mnie fizyczność. Miałam mdłości i zawroty głowy, coś ścisnęło żołądek albo i bolało, jakbym najadła się tłuczonego szkła. Raz prawie zemdlałam. Świat się wówczas zwęził, skurczył do kolorowego punktu. Głowa również

szwankowała; czaszka wydawała się za mała, a poza tym miałam nieustanne wrażenie, że ktoś wędruje za mną i liże miejsca, po których przeszłam.

Zerknęłam w podziemia – robotnicy pracowali po polsku, we trzech obsługując jedną łopatę, śmierdziało papierosami i tanim alkoholem, wszędzie leżały poszarpane folie po kiełbaskach i wędlinach, walały się konserwy, nie zauważyłam co prawda ani jednej butelki, za to robotnik wrócił z sześciopakiem – oddawali więc surowce. Patrzyli na mnie dziwnie, bo i widok był niecodzienny: blada kobieta na progu budowy. Wołali, żebym do nich przyszła, więc uciekłam, już przy schodach obejrzałam się. Z ciemności korytarza, daleko za robotnikami, przyszła fala chłodu. I syk: „Wezmę cię”.

Pokłóciłam się z matką. Niewiarygodne, jak szybko dochodziła do siebie. Jej chora głowa pulsowała krwią, więc powiedziałam: „Mamo, czy ty zawsze tak musisz? Ile w tobie siedzi złości, przecież cały ten wylew to heca. Już nie umysł, ale twoje ciało obraca się przeciwko mnie. Naprawdę, nie mogłabym mieć trochę oddechu, przestrzeni dla siebie? Ja sama będę mamą, a ty co? Padasz i cześć. Ja wiem, że to nie twoja wina, że może chcesz dobrze, lecz nawet choroby nie biorą się bez przyczyny. Wywołałaś ją, żebym o tobie nie zapomniała, a może wychowawczo: »Nie lamentuj, mała, mam gorzej od ciebie, bo mi coś pod czaszką pękło. Dostrzeż mnie. Nie zniknęłam przecież, skoro właśnie tutaj leżę i potrzebuję ciebie, zwłaszcza teraz, póki nie masz dziecka«”.

Matka zrobiła wielkie oczy, zapytała, jak ja mogę tak mówić, skoro ona taka chora. Za pół roku na pewno jej podziękuję, kiedy będzie trzeba opłacić lekarza, zawieźć na porodówkę, potem zostawać z małym, przecież nie ojciec, co nawet imienia nie ma.

Wiedziałam, że dam sobie radę. Mogłam mówić, co czuję, i czułam każde swoje słowo, jakby było żywe.

Z Romkiem też nie poszło łatwo, nie chciałam go stracić, w przeskokach szpitalnych był

tylko cieniem i snem – ale go śniłam. Przyszłam. Trząśł się i w tej trzęsawce wydukał swoje pomysły, jak to mieszkanie wynajmiemy, jak będzie dbał, popracuje sobie. Pocałowałam go w policzek, dałam mu się objąć i powiedziałam: „Dziękuję. Dobrze, że jesteś, bo bardzo cię potrzebujemy. Oczywiście wolałabym, żebyś wyrósł dla mnie z marzenia, był tym jedynym, którego wypatrywałam przez knajpiany dym, bądź jednak ze mną, stańmy się dla siebie niełatwi i sobie konieczni”.

No i Baśka, Baśka, kiedy potrzeba drugiego człowieka, po prostu jest. Powitała mnie informacją, że wyglądam jak gównno, oprócz oczu; nie, moje oczy nie były gówniane.

Usiadłyśmy u niej wieczorem i gadałyśmy tak długo, jak tylko baby potrafią. Opowiadałam, że widzę swoje życie jasno i wyraźnie, mogłabym wziąć je w dłonie i wyliczyć, co będzie dzień po dniu. Nie ma niczego cudowniejszego niż brak wątpliwości, wszystko czego się bałam, raptem okazało się nieistotne. Wystarczyło spojrzeć. Wsadzić paluch w ranę przyszłości.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – pytała.

Powiedziałam jej o szpitalu. Nie wszystko, doktor Ciało z kolegą Krwią wydali mi się zbyt dziwni, żeby to pojęła. „Ale, Basia”, mówiłam „jest miejsce, gdzie mogę poczuć się dobrze, i słuchaj, co za ironia, to nie dom ani łóżko supermena, tylko zwyczajny szpital z niezwykłym pokojem. My, to znaczy, pokój i ja, poznajemy się lepiej z każdym dniem”.

– Poszłaś do psychiatry? Terapia? Nie dajesz sobie rady? Czy lekarstwa nie zaszkodzą dziecku? Naprawdę się leczysz?

Tak, leczę.

* * *

– Co się dzieje? – zapytałam doktora Krwi.

Siedział u mnie na parapecie, machał nogami i nieustannie zerkał za siebie. Robotnicy musieli przyspieszyć prace, rzadziej chodzili do sklepu, na trawniku stanął też drugi blaszak z narzędziami.

– Nic się nie dzieje – rzekł mi doktor Krew – lekarz też człowiek.

– Martwisz się nimi?

– Robotnikami? Skąd.

Kłamał. Kiedy Krew łże, cały się trzęsie.

– To czemu zerkasz za okno?

Roześmiał się.

– Świat jest ciekawszy niż szpital.

– To co cię złości?

Westchnął, zrezygnowany. Miał takie zmęczone spojrzenie i cienie pod oczami.

– W czym kłopot? – zagadnął. – Mądrość to umiejętność przyzwyczajania się.

Gdziekolwiek przyjadę, zaraz są też robotnicy. Ryją, ryją, aż się doryją. I masz historię.

Według mnie chodzi o to, że zdaniem niektórych każdy szpital musi pozostawać w nieustannym remoncie. To znak, że nie ustajemy w szerzeniu dobra. Niedługo – cmokał i mlaskał, wsuwając orzechy, które obierał do białości długimi paznokciami – cały świat będzie jednym wielkim szpitalem, a wszyscy ludzie doktorami.

Nie oszukał mnie, jego spokój był podszyty strachem, jakby miał nóż na gardle.

Powiedziałam mu to, odłożył więc orzech i palcami przejechał po nosie. Westchnął znowu, popatrzył

na mnie łagodnie i tak dziwnie, jakby naprawdę mnie kochał.

– Mamy potężnych przeciwników, Sylwus. Dlatego nigdzie nie zostajemy zbyt długo.

Nie bój się. – Ucałował mnie w powieki. Cuchnął papierosami i koniakiem. – Prędzej umrę, niż dam ci zrobić krzywdę.

Odwracał twarz od okna i zarazem na nie wskazywał.

Nie musiałam gapić się specjalnie długo, by zrozumieć. W rzeczy samej, pojęłam prawdę w jednej upiornej chwili. Jeszcze kilka dni temu nad drzewami wokół szpitala widziałam bloki, teraz bloki zniknęły. Na wysokości twarzy miałam grube pnie, wyżej wiatr wił się w gałęziach. Zerknęłam w dół – mogłam wyskoczyć wprost na trawę, nie czyniąc sobie krzywdy.

Niesłychanie powoli, niezauważalnie budynek szpitalny zagłębiał się w ziemi. Być może miną tygodnie, zanim ugrzęźnie po dach. Ale do mojego piętra brakowało już naprawdę niewiele.

Odwróciłam się, przerażona.

Za mną nie było już doktora Krwi. Zostały tylko łupiny i zapalniczka.

* * *

– Dokąd idziesz, mamó? Nie zostawisz mnie tutaj samego?

Miał jakieś cztery lata. Nie musiał rozumieć, by się bać.

– Tylko na chwilę. – Objęłam go mocno. – Nie zostawię cię na długo.

– Nie mogę iść z tobą? – Pociągnął nosem.

Dzieci czasem mają oczy dorosłych, więcej nawet, są dorosłe aż po szaleństwo. Tak na mnie patrzył. „Nie mogę iść z tobą?”. Dobre pytanie, zobaczyłam nagle sama siebie, jak opuszczam oddział i szpital, biegnę z Michałem na rękach, a on się rozpada – dłoń zamienia się w popiół, kark nie może unieść głowy. Nim krzyknę, wiatr unosi pył między drzewa, resztki mojego dziecka przelatują przez palce. Coś we mnie zawyło. Nie, spokojnie – Michał

był wciąż obok.

– Nie możesz. Wrócę niedługo. Obiecuję. Czekać i nie bój się nic a nic.

Nie rozumiem, jak ludzie mogli tego nie dostrzec – parter szpitala znajdował się w całości pod ziemią, która przesypywała się przez nieszczelne okna, piętrząc się przy ścianie niczym mrówcze kopce. W ostrym świetle szpitalnego korytarza widziałam wyraźnie nie tylko korzenie drzew, ale także zagrzebane puszki, mięknące niedopałki, kości ludzi i zwierząt. Nikt nawet na to nie spojrzał, a jeden lekarz – z pewnością nie taki mądry jak moi doktorzy – otworzył okno, ziemia posypała mu się na twarz, a on w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Odszedł, z brudnymi policzkami i czymś paskudnym

na wardze.

Drzwi się otworzyły i wszedł robotnik, właściwie, wygrzebał się z błotnistego mułu i podreptał schodami w dół, pozostawiając za sobą brunatny ślad. Szłam tym tropem, na budowę, uważając, żeby mnie nie dostrzegli. Z dołu dobiegał warkot maszyn, szkło uderzało o szkło, ziało chłodem i trupem. Postęp prac wprowadził mnie w osłupienie. Zeszli nisko, w gołą ziemię, podpierając ją konstrukcją z drewna i ścięgien. Łypały w niej płaskie twarze, bez ust lub oczu, o poczerniałych policzkach, czołach pociętych do kości, z ćwiekami w uszach i brodzie. Były też dłonie o połamanych paznokciach, obcięte stopy, a ze ściany na półpiętrze, metr nad zaimprovizowanymi schodami, sterczał sam brzuch, tłusty i bielutki.

Firanki skóry zwisały swobodnie, z pępka zerkało przekrwione, zagrzebane w ziemi oko.

Robotnik, za którym poszłam, położył się płasko na plecach, zachrząściły stawy i niesłychanie powoli obróciły się w ten sposób, że palce u stóp, kolana i łokcie celowały w ziemię. Za nimi przekreśliła się głowa. Robotnik obserwował świat spomiędzy własnych łopatek. Za to zyskał na żywotności, uniósł się i popędził w głąb pomieszczenia. Na brzuchu, wprost z ubrania, wyrosła mu druga gęba. W oczodołach intensywnym żółtym światłem zapłonęły cyklopie oczy. Robotnik, czy też to, co było robotnikiem, pognął w głąb podziemi.

Inni wyglądali podobnie, powykęceni, brudni, ryli w ziemi, osłabiając fundamenty szpitala.

Przy podłodze snuł się bury dym, jakby kurz. Nadciągał z dalszego korytarza. Gdzieś, daleko, migotały niebieskie punkty, odległe, jakby tkwiły na drugim końcu świata. Gwiazdy, pomyślałam, gwiazdy i dym. Uciekłam, nim mnie spostrzegli. Dopadłam pierwszego lepszego lekarza i mówiłam, krztusiłam się: „Zobacz pan, co jest na dole, tylko zerknij, trzeba coś zrobić, powiedziec ludziom, ratować szpital”. Spojrzał na mnie zaniepokojony, lecz chyba szczerze się przejął.

– Coś się komuś stało na dole? Pani jest od nas?

Pobiegł, zaaferowany, do robotników, do tych istot, w które się zmienili. Tak straciłam go z oczu i zaraz pomyślałam, że zrobiłam głupotę. Złapią go i zabiją, będzie kolejną twarzą w ścianie. Długo go nie było. Stałam z ręką przyciśniętą do ust, mokre od potu włosy lepiły mi się do twarzy. Ludzie patrzyli dziwnie, podobnie jak doktor, który wyczłapał z podziemi.

Najpierw wydało mi się, że trzyma na ramieniu upaprany worek. Kiedy worek się poruszył, wzięłam go za małpę. Nie, to było paskudne stworzenie rozmiarów małpiatki, z ludzką bezwłosą twarzą i członkiem długim jak ogon. Z czoła stworzenia sterczały krótkie

rogi. Rozchyłało usta i mogłam zobaczyć, że nie ma ani pół zęba, tylko gładkie dziąsła, jego język wieńczyło krótkie żelazne ostrze. Stworzenie obejmowało doktora za szyję.

– Powiedz jej, że wszystko jest w porządku. Nic tam nie ma, nic a nic – skrzeknęło mu w ucho.

Lekarz kiwnął głową.

– Coś się musiało pani pomylić. Nic się nikomu nie stało. Robotnicy pracują – powiedział.

– Ach tak?

– Zagroź jej. Niech tam więcej nie schodzi – szeptał demon – ostrzeż ją. Przyjdziemy najpierw po dziecko, potem po nią. Niech wie i niech się boi.

– Może zajrzy pani do mnie? Nie wygląda pani najlepiej.

Doktor świetnie udawał troskę.

Stwór skakał mu na ramieniu z ukontentowania. Nie domyślał się, że go widzę.

Wrzasnęłam ile sił w płucach: „Od ciebie pomocy mi nie potrzeba”. Pomknęłam na górę, przecież nie wybiegnę przez drzwi, są zasypane; myślałam, że ruszy w pościg, lecz stał

tylko, zdezorientowany. Demon na jego ramieniu wskazywał mnie paluchem, skrzeczał i podskakiwał. Z rozpędu minęłam swój oddział na półpiętrze, dopadłam pierwszego lepszego okna i wyskoczyłam, odprowadzana przez pisk przerażonej pielęgniarki. Spadałam dłużej, niż się spodziewałam, wylądowałam jednak miękko, na nasłonecznionej trawie.

* * *

Mogłam pójść do Baški, do Snupa i Centa albo do Romana. Baśce ufałam aż po duszę, ale niestety, to dziewczyna, a dwie baby w tej aferze były niepotrzebne. Snup i Cent to najśłodsze, najbardziej zwariowane głuptasy o wielkich sercach, jakich znam. Jeśli wzięliby mnie poważnie – w co wątpiałam – do sprawy podeszliby jak do kosmicznej przygody, widzieliby lasery i miecze świetlne. Nie tego było mi trzeba. Roman... Nie wierzyłam w ani jedno jego słowo. Był jednak ojcem.

– Wyglądasz jak fura smarków – przywitał mnie i wpuścił do środka.

Klitka, którą zajmował, przypominała świątynię poświęconą bóstwu wszystkich kawalerów. Zlew pełen garów, na stole kubki i talerze klejące się do blatu, na podłodze kłęb ubrań. Do maleńkiego pokoiku zdołał wcisnąć dwa fotele, szafę przysadzistą jak Rosjanka, kilkanaście pudeł z kompaktami, popielniczki, majtki, butelki. Usiadłam między niedopałkiem i skarpetką, dostałam kubek czekolady. Boże, jak mi przedramiona schudły!

Przeczuwając, że nie przychodzę z zaproszeniem do tańca przy księżycu, powiedział

zaraz, jak to bardzo martwi się tym, co mówiłam mu ostatnio, jeszcze bardziej moim aktualnym wyglądem, ale jest mężczyzną, więc to zniesie, a nawet pomoże. Ponoć poukładał

sobie wszystko w głowie i teraz uważa, że życie lepiej mu przebiec nie mogło. Otóż mogło, kwiatuszku, odparłam, mogło jak cholera.

Piłam czekoladę i opowiadałam wszystko po kolei – jak trafiłam na niezwykle oddział, kim są doktorzy Ciało i Krew, co zobaczyłam w podziemiach, kim naprawdę są robotnicy, jaka zmiana nastąpiła w lekarzu. Doszłam do najważniejszego: „Tam jest nasz synek, w różnym wieku, widuję też ciebie, ale to nieistotne, ważne, jakie grozi mu niebezpieczeństwo”.

– Musimy wrócić tam oboje – zakończyłam – będziemy czuwać na zmianę i uratujemy nasze dziecko.

– Rozumiem – odpowiedział i zamilkł.

Ja na to:

– Chodź, nie mamy czasu do stracenia.

– Powinnaś się przespać, odpocząć. Spędzić noc poza domem. Jutro razem pojedziemy do szpitala.

– Jutro! Czy ty mnie słuchasz? Jutro będzie za późno, jutro szpital, a przynajmniej moje piętro, może zniknąć! Co wtedy! Co z naszym dzieckiem?

– Dziecko masz w sobie – rzekł.

Ujęłam jego dłonie i przycisnęłam sobie do brzucha. Mówiłam? Nie, coś przemawiało przeze mnie.

– Nasz synek, owszem, jest we mnie. Ale nie tylko. Przecina czas i przestrzeń za sprawą szpitala. Robi to dla mnie, więc i ja, my, musimy zrobić coś dla niego. Ciało i Krew nie zdołają go ocalić. Nie rozumiesz? Teraz jest we mnie, ale tam, w szpitalu, żyje we wszystkich czasach razem z nami, jesteśmy dobrym małżeństwem. On żyje, słuchaj mnie, proszę. Żyje – szepnęłam – w gwiazdach i w dymie.

Długo nie mógł znaleźć odpowiedzi, zamknął się w ubikacji i tam pisał coś do kogoś w telefonie – wiem, bo jak tylko wyszedł, dostał dwa albo trzy esemesy. Czytał je i uśmiechał

się głupio, a kiedy skończył, ktoś już dobijał się do drzwi. No to przyszli fałszywi przyjaciele

– Baśka, Snup, Cent, otoczyli mnie jak zwierzę. I mówili, mówili, a mnie ogarniał strach, którego nie mogłam okazać – nie wiedziałam przecież, co w szpitalu, co z Michałem.

– Dzwoniłem do twojej mamy. Bardzo się tobą martwi. Wspominała, że byłaś u niej i zachowywałaś się jak nie jej córka. Patrzę na ciebie i mogę w to uwierzyć. Skarbie, co się z tobą stało? Gdzie jest moja mała Sylwia? – pytał Roman.

– Wszyscy bardzo cię kochamy. Wiem, że czujesz się samotna i skrzywdzona. Przykro patrzeć, jak się miotasz, szarpiesz. Los bardzo cię skrzywdził. Postaraj się w zamian nie krzywdzić nikogo. – To Baśka zabrała się do pocieszania.

– Nie bój się, siostruchna, nic a nic!

– Tylko nie wydziwiaj. Nie szalej nam tutaj.

Snup z Centem gadali jeden przez drugiego, głosy mieli ochryple, twarze pobladłe, a oczy wypełnione nudą.

I tak w nieskończoność. Proponowali różne cuda: może do księdza, on pomoże, do psychiatry (leki zapisze, będzie superspoko, radował się Cent), albo i szpitala, takiego prawdziwego, gdzie nie panoszą się doktorzy o dziwnych nazwiskach. Próbowałam wyjść, nie dali.

– Kocham cię – powiedział Romek, sadzając mnie na krześle.

Więc siedziałam, umierając z niepokoju o małego, ale przecież nie mogłam walczyć z całą czwórką. Mówiłam w kółko to samo, coraz słabiej i słabiej, rozmyślałam swoje słowa i z rozmysłem zdradzałam siebie. Pozwalałam mojej głowie opadać, pozorując zmęczenie, przymykałam oczy, wreszcie, poprosiłam o kawę. Mocną.

– Może pójdziesz spać? Tutaj, wszystko przygotuję – padło. I zaraz zachęcające spojrzenia. – Śpij, Sylwi, odpocznij, to dobrze ci zrobi.

Rozłożyli mi łóżko, poszłam do łazienki, nie rozpoznałam siebie w lustrze, aż musiałam się ochlapać, nie wierzyłam, że woda po prostu po mnie spłynie. Potem, pozwoliłam się położyć, przytulić każdemu po kolei. Został tylko Romek. Objął mnie i głaskał po twarzy.

Udawałam, że płaczę, udawałam, że śpię.

Nie wiem, jak długo tak leżałam, ścięta przerażeniem o los Michała i niepewna własnych sił, by już ruszyć. Za oknem umilkły samochody, pogasły światła w bloku na przeciwko, jedynie latarnie świeciły, ćmy wirowały wokół nich. Wyśliznęłam się z pościeli, zapaliłam światło w łazience, żeby Romek, jakby co, pomyślał, że tam siedzę. Po cichutku, spodnie-bluzka-buty, już miałam wychodzić, gdy Romek ocknął się, uniósł głowę, wrzasnął

tak po swojemu:

– Ej! Gdzie ty?!

No gdzie ja, zawróciłam, wpadłam do pokoju. Akurat podnosił się z pościeli, cudownie bezradny, jak tylko facet bezradny być może, w szarych bokserkach, bosy, z zapadniętym torsem, kopnęłam go, dostał w oko, jęknął, chwycił się za twarz. Wybiegając, zerknęłam na niego, próbował wstać, oko ocalało. Jego krzyk odprowadzał mnie, gdy gnałam po schodach.

* * *

Widziany z daleka, szpital skojarzył mi się z pradawnymi ruinami, jakie czasem oglądamy w filmach dla młodzieży – szeroka fasada, rozłazące się odgałęzienia, anteny na dachu i kominy wyglądały na naprędce wycięte z tektury. Wiał wiatr, ale drzewa pozostawały nieruchome, podobnie jak latarnie, świecące trupio bladym światłem. Żwir chrzęścił pod moimi stopami.

Światła na korytarzach szpitala powinny palić się nawet w nocy, tymczasem budynek był czarny jak hip-hopowy teledysk ze Stanów. Coś przemieszczało się w pobliskich

krzakach, łopotały wielkie skrzydła, zabrzmiały kroki – spojrzałam przez ramię, za mną nikogo nie było, wirował pył. Coś szepnęło z trawy, szurała ziemia, trzasnęła gałąź, banalność strachu aż wyła i w tym wrzasku zabrzmiał drugi, urwany – Michałek wył w szpitalu. Pobiegałam ku czarnym drzwiom.

Otworzyły się z szelestem, jak papier trący o papier, i stanęłam w ciemnym korytarzu.

Znalazłam kontakt, ale rząd jarzeniówek u sufitu, zamiast świecić, migotał, zamykając mnie w półsekundowych kloszach, mrok i blask, mrok i blask. Czasem zdawało mi się że widzę nagie, chude ciała pełzające po podłodze, czasem znów było pusto i brudno. Mignął mi doktor, ten sam, który zszedł do podziemi, wytrzeszczał na mnie oczy i wywalał język – to demon dusił go ogonem. Lekarz padł na kolana i wyciągnął do mnie błagalne dłonie. Z ręki wysunął mu się telefon komórkowy.

Tylko ta komórka przypominała, że mamy wiek dwudziesty pierwszy. W jarzeniowych błyskach widziałam białoszare ściany pokryte plamami, brudne, nieszczelne okna, popękane kafelki, łóżka na korytarzach, paskudne plakaty ukazujące szare, szczęśliwe rodziny. Takie szpitale znałam z dzieciństwa, w podobnym leżałam na zapalenie ucha, gdy miałam pięć lat.

Droga w dół postarzyła to miejsce. Kto wie, przeraziłam się, może jak się jeszcze obniży, to z Polski Ludowej parter zmieni się w chałupę, gdzie baba odbiera porody, kowal wyrywa zęby, z sufitu zwisają święte zioła, skrzeczy kot, maści lśnią w garnkach. Niech zjeżdża, ile chce, mnie trzeba do góry, do mojego dziecka.

Popędziłam na półpiętro, schody były śliskie, same usuwały się spod stóp, a gdy chwyciłam za poręcz, ta przemieniła się w wielki ogon, bardzo ukrwiony, miałam wrażenie, że lekko nacisnę i tryśnie krew. Próbował owinać się wokół mojej dłoni. Cofnęłam ją ze wstrętem.

Zamiast drzwi prowadzących do oddziału na półpiętrze ujrzałam wielką wyrwę o postrzępionych brzegach, jakby framugę wraz z kawałkiem ściany wywaliła jakaś straszliwa siła, ta sama, która zrobiła wgniecenie po przeciwległej stronie. W korytarzu nie było prądu, bałam się iść w ciemność, użyłam zapalniczki – ogienek sparzył mnie w palec. Wokoło walały się reklamy lekarstw, część zwinęłam w rulon, podpaliłam. Resztę schowałam do kieszeni.

W migotliwym świetle widziałam rozorany sufit, klepki zerwane z podłogi, dym snujący się u moich stóp. Drzwi do pokoi były zdewastowane, potrzaskane w drzazgi, progi wygięte, jakby je rozgrzano i zdeformowano. Wnętrze ziało ciemnością i chłodem. Pognałam dalej, do siebie, tam gdzie leżałam przez ostatnie tygodnie. Tu drzwi ocalały, jeśli nie liczyć dziury wielkości pięści pośrodku. Wisiały krzywo na jednym zawiasie. Pchnęłam je; runęły, wzniecając tuman kurzu. Jęknęła drewniana podłoga, zarezonowało podwójne okno.

Z mojego łóżka został tylko metalowy szkielet, wygięty w środku. Na sterczące druty nadziano resztki pościeli, która – o mój Boże – była czerwona. Jeszcze mokra. Dziecinne gryzmoły nadpalono, zniknął święty obrazek, na jego miejscu widniała moja własna, stara

twarz, odciśnięta głęboko w murze. Moje usta otworzyły się miękko i coś do mnie powiedziały.

Cofnęłam się – nigdzie śladu Michała; to zwykle, zdewastowane pomieszczenie, puste pudło po

marzeniach. W szafie zamiast moich książek i ubrań, wisały ludzkie skóry.

Wołałam mojego synka i dobrych doktorów, na przemian, i to dosłownie, raz mój głos był

płaczliwy, raz nieulekły, odbijał się echem od wymarłych murów. W tle zabrzmiało coś jeszcze: miarowe kapanie wody z kranu w pokojowej łazience.

Papiery w ręce już się wypaliły, zmieniałam je na nowe, czerwony blask padł na umywalkę, kafelki i doktora Ciało, który leżał w brodziku i trzymał sine dłonie na wyprutych flakach. Wzrok miał pusty, nogi rozrzucone, w ogóle leżał bardzo dziwnie, jakby nigdy nie był człowiekiem, powykręcany, sztywny. Ukłękłam przy nim, bez sensu dotknęłam szyi –

był lodowato zimny, aż się sparzyłam. Skórę też miał inną, oczy jak blaszane gwiazdy, wytrzeszczone, z ust szedł dym.

Zwędrowałam resztę oddziału – nic, tylko ruiny, osmalone ściany, potrzaskany sprzęt, puste butelki, błyszczący skalpel tkwił w biurku, przy którym jeszcze niedawno siadywał

doktor Ciało. Stałam, bezradna, cisnęłam papiery, rozsypując płatki żaru. Wkrótce zgasły i otoczyła mnie ciemność. Z tej ciemności wyszedł doktor Krew.

Właściwie wypełził – schował się za przepierzeniem, zauważył mnie, wiedział, że nie jestem groźna. Poruszał się na czworakach, zostawiając ślad niczym ślimak, za to szeroki i czerwony. Twarz miał usmarowaną krwią, przedramiona pocięte, bosa, napuchnięte stopy.

Opadł na podłogę, tylko głowę unosił, jak małe dziecko, i oczy też miał takie wielkie, bezrozumne.

Dopadłam do niego, odwróciłam go na plecy, na ułamek sekundy zdołałam zapomnieć o Michałku – rany doktora Krwi, tego wesołego, dobrego faceta, nie dawały nadziei na dobroć i wesołość: spod zdartej skóry wychodziły żebra, brzuch był rozszarpany, można by pomyśleć, że przeciągnięto przez niego jakiś hak.

– Uszy do góry, koleżanko – powiedział, nie bez wysiłku – to zawsze kończy się w ten sposób.

Dostrzegł pytanie w moich oczach, pytanie, które bałam się wypowiedzieć.

– Ukryłem go dobrze. Nie znajdą. Córka, nie dostaną go. – Przymknął powieki, krew poszła spod nich, tak, doktor Krew był krwią w istocie, już żebra mu kruszały, ich drobinki zmieniały się w czerwonawy syrop. Oczy były czarne. – Nie dostaną go – powtórzył – jeśli tylko się pospieszysz.

Jego głowa miękła, w dotyku przypominała mokrą gąbkę.

– Na dole – chlusnęło mu z ust – schowałem go na dole, w ścianach. Tam nie przyjdzie im na myśl go szukać. Kuj w ścianach, płytko, znajdziesz, weźmiesz, będziecie razem. Nie bój się. To głupcy. – Splunął, policzki spłynęły gładko. – Nie bój się, zawsze tak jest.

– Czy mogłabym...?

– Nie. Leć już! Przecież mówię, tak jest zawsze, i tyle. – Próbował się uśmiechnąć tym, co mu pozostało z ust. Słowa ginęły w chlupocie. – Słuchaj jeszcze, córeczko, on nie jest w jednym miejscu, od razu by go znaleźli. Szukaj osobno ciała, osobno krwi i dodatkowo serca. Musiałem tak zrobić. Nawet jeśli znajdą ciało i znajdą krew, to bez serca nic a nic, rozumiesz? Trzy rzeczy. Ciało. Krew. Serce.

– Rozumiem – powiedziałam.

I była to prawda, w tej chwili wszystko stało się jasne. Delikatnie odłożyłam głowę doktora Krwi. Obrócił ku mnie rozmokłe oczy.

– Gwiazdy i dym, pamiętaj o tym. Strzeż się gwiazd, w dymie się kryj.

Już go nie było.

* * *

Przed schodami do piwnic zatrzymałam się na chwilę. Wokoło nie było nikogo, tylko szpital straszyl peerelowską szarzyzną, koszmarnymi rysunkami dzieci, brunatnożółtą kredką. Mogłam pobiec natychmiast – pod stopami czułam leciutkie drżenie, echo Michałowego serca. Przecież nie dodrapię się doń gołymi rękami, nie przegryzę muru.

Na dworze panował chłód, buty zaraz mi przemiękły. Musiałam się namęczyć, nim otworzyłam blaszaną budę robotników – nie strzegły jej żadne czary, lecz zwykła zardzewiała kłódka, którą mogłam podważyć byle pręt. Prętów na szczęście nie brakowało. Kłódka puściła z traskiem. Bałam się, że coś skoczy na mnie z mrocznego wnętrza, ale gdzie tam, butelki skakać nie potrafią. Zabrałam łom i młotek. Uginając się pod ciężarem młota pneumatycznego, zaplątana w kabel, zesłam do podziemi i tam akurat było całkiem ciemno.

Nawet najmniejsze światło nie dochodziło już na półpiętro – idiotka, targałam ze sobą kompletny zestaw do wyburzania szpitali, a latarki nie wzięłam. Szłam więc przy ścianie, co nie było przyjemne, poręcz wiła mi się w dłoni, nieustannie umykała, mur zaś był ciepły, napuchły czymś gęstym, a kiedy wymacywałam twarz lub dłoń weń wepchnięte, te rozpaczliwie próbowały cofać się przede mną.

Do piwnic trafiłam z hukiem, upadając na twarz z ostatniego stopnia, zadzwonił łom, głucho rąbnął młot pneumatyczny. Lizałam pył. Szczęście w nieszczęściu, pod sobą czułam kabel, znalazł się i kontakt, czerń przeszła w paskudny półmrok. Światło płynęło z gołych żarówek, rozmieszczonych na kablu w kilkumetrowych odstępach. Ciągnął się po ziemi i zwisał z rusztowania, wściekle żółty. Światła tworzyły niewyraźną drogę, poprzecinaną ciemnością – część żarówek była utłuczona – nie poszłam nią, uznałam, że mnie zwodzi.

Blisko ściany.

Ciało. Krew. Serce. Tylko tyle, aż tyle, może o czymś zapomniałam? Przyłożyłam ucho do ściany. Potem dłoń. Nic. Tu w ogóle ściany nie były takie jak przy schodach, prace

ruszyły, wzniesiono już konstrukcję, rodzaj metalowego szkieletu wypełnionego ociepleniem, z puszczoną instalacją elektryczną. Nie, przez to nic nie wyczuję! Chwyciłam łom i ledwo odgięłam jedną belkę. Złapałam za ocieplenie, szarpnęłam, porwało się, poszło za trzecim razem, masa błyszczących drobinek zawirowała w powietrzu, gęsto. Dotknęłam ściany. Nic. Zrobiłam trzy kroki – liczyłam, by zachować rytm – i znów zdarłam ocieplenie.

Zaszczypało mnie w twarz, ręce bolały od ostrych drobinek, ból nieważny, ważne, że złapałam trop. Za czwartym razem poczułam słabe ciepło bijące zza ściany, znak, że gdzieś w pobliżu Krew skrył ciało mojego chłopca.

W górę? W dół? W bok? Dalej, wrywałam ocieplenie, drobiniki już wpadły do ust, drapały w gardło, schodziły w przełyk, bolało, nic to, trzeba szukać – zrywałam ocieplenie, drobinek robiło się więcej i więcej. Twarze, uwolnione spod ucisku, oddychały gwałtownie.

Znalazłam ciepłą linię wzdłuż ściany, szła ukosem, ku górze, dotarłam do gorącego miejsca, na wysokości mojej głowy. Przycisnęłam do niego policzek i czułam się prawie tak, jakbym tuliła mojego synka. Wystarczyło mi rozsądku, by w tym nie zatonać, zawróciłam po narzędzia. Musiałam przejść przez gęsty obłok kłujących drobinek. Kaszlałam. Widziałam gorzej. Może coś złego z piwnicy mamilo moje oczy, może pył się w nie wgrzyź albo żarówki się przepaliły. Mięśnie miałam mocne, raz-dwa biłam w ścianę, najpierw poszły okruszki, potem łupki, wreszcie połówki cegieł. Wzięłam się na sposób, zaczęłam podważać

– zaprawa była miękka, wszak doktor Krew skończył swoją pracę niedawno. Już odrzuciłam łom, gołymi rękami wyszarpywałam kawałki ściany, pot zalewał mi oczy, a przez ciało, od brzucha do gardła, przeszła fala ostrego bólu. Nawet ciało się przeciw mnie obróciło nieznośnym ostrzem. Nic to, nic dla mnie, wszystko dla niego.

I było! Skryte bezpiecznie, ciało mojego synka, nie większe od zaciśniętej pięści, wciąż ciepłe, oczekujące moich rąk. Chwyciłam tę kruszynkę, tak delikatnie, bałam się, że to powietrze, że przeleci mi przez palce; znów skurcz, gorszy od poprzedniego. Kurwa mać, Sylwus, nie syp mi się teraz, nie w tej piwnicy, z ciałem synka przy piersi, z własnym ciałem sobie wrogim, w poszukiwaniu krwi.

Nie mogłam się cieszyć zbyt długo, schowałam ciało pod bluzkę – ból już został ze mną, przycupnięty nad krocem – popędziłam w głąb budowy, na oślep, ku przeciwległej ścianie.

Zaplątałam się w kabel – może ożył i szarpnął mnie za stopę? – poleciałam na twarz, próbując chronić ciało Michałka. Przy drugiej ścianie tak łatwo nie poszło, musiałam przejść przez pół pomieszczenia, nim natrafiłam na choćby letni kawałek muru, powietrze jeszcze zgęstniało od ostrego pyłu, miniaturowych noży, siarki w oczach i gardle.

Wreszcie jest, ciepły punkt i gorętsza już linia, garście ocieplenia poleciały w powietrze, przejechałam tak kilkanaście metrów, aż znalazłam bijące, gorące źródło. Tu łom nie pomógł, kochany doktor ukrył krew głębiej, musiałam znaleźć kontakt w żółtym kablu i podpiąć młot pneumatyczny. Spróbowałam go unieść, jęknęłam tylko. Zalewał mnie pot, miednica nabrzmiała bólem, uda były wilgotne. Szarpnęłam ponownie, przycisnęłam wiertło

do ściany całym ciałem. Zaburczało, omal nie wypadło mi z rąk. Wierciłam z zamkniętymi oczyma, młot podskakiwał w moich dłoniach. Wreszcie poszła pierwsza cegła. Dalej było już łatwo, wystarczyło podważać, aż powstał otwór wielkości mojej głowy. Rozległy się głosy.

Przyszli po mnie. Kroki dudniły na schodach.

Porwałam krew z wyrwy, popłynęła mi po dłoniach, po brzuchu, aż po kolana, próbowałam ją chronić, przycisnęłam więc do ciała Michałka, schowanego pod bluzką, głęboko, na wysokości pępka, słyszałam jak witają się ze sobą, łączą i stają się jednym.

* * *

Prześladowcy – robotnicy, demony, lekarze przez nich zniewoleni – zbiegali po schodach. Drogę ucieczki miałam odciętą. Krew połączyła się już z ciałem, trzeba było tylko serca, by tchnąć życie. Oceńłam swoje szanse i pokrzepiona tą mądrością, zamieniłam młot pneumatyczny na łom. Dobrze leżał w dłoni. Tamci biegli, jeszcze ich nie widziałam, ale w moich uszach brzmiała ich diabelska mowa.

Wyraźnie przyspieszyli, kiedy łomem stłukłam żarówkę. Palilo się ich w piwnicy kilkadziesiąt, wszystkich bym nie stłukła. Przypomniła mi się choinka i światełka –

wystarczyło zepsuć jedno i drzewko ciemniało. Chwyciłam więc młot oburącz i waliłam w kabel, zaciskając zęby. Boże, jak bolało! Najpierw poszła żółta izolacja, potem coś we mnie pękło i zaraz pogasły żarówki. Zapadła ciemność.

Wycofywałam się bezgłośnie w głąb piwnicy, aż poczułam ścianę za plecami. Zatem to miejsce miało swój koniec. Przycupnęłam, ukojona ciepłem, które niosłam przy sobie. Tup, tak zabrzmiało, cichuteńko – gdzieś, w szpitalu biło serce mojego dziecka. Tamci dotarli na dół, próbowali włączyć światło, rozległy się bulgoczące przekleństwa. W pomieszczeniu rozszedł się dziwny dźwięk, zawodzenie, w którym kryło się moje imię.

Ich cyklopie oczy zapłonęły na zimnoniebiesko, ich światło z trudem przebijało się przez obłoki drobinek po ociepleniu. Ledwo powstrzymałam krzyk, chłód objął moją głowę, nogi, brzuch – oto zimne gwiazdy zmierzały ku mnie, przebijając się przez kolczasty dym. Jak dzieci nuklearnego nieba, gdy śmiertcionośne obłoki spowijają domy i ludzi w tych domach, zimne światła wędrowały w moim kierunku szeroką falą, błyskały i gasły, przedzierając się przez maleńkie ostrza. Słyszałam warknięcia i wściekłe jęki, dym wgryzał się gwiazdom w oczy, szarpał ich płomienie, na próżno. Spróbowałam się przesunąć, nie widzieli mnie jeszcze. Szłam, nisko pochylona, z łomem w dłoni, licząc, że dym mnie obejmie, ukryje, że zniknę dla oczu gwiazd.

Spostrzegły mnie jednak. Gwiazda po gwiazdzie obracały się w moją stronę – więc tym jesteście, skurwysyny, nie ludźmi, nawet nie demonami, lecz zimnym światłem psów

gończych, posłanych po wszelkie życie. Poderwałam się, zamachnęłam, straciłam pierwszą gwiazdę, jęknęła i poleciała ku ziemi. Wypowiedziałam więc swoje życzenie. Szlag z wami!

Biłam dalej, gwiazdę po gwiazdzie, spadały, lecz krąg się zacieśniał, lodowate dłonie chwyciły mnie za ramiona, szarpnęłam się, kopnęłam, odzyskałam wolność. Na krótko.

Gwiazdy dopadły moich oczu, pochwyciły dłonie, wytrąciły łom, więc drapałam i gryzłam, aż całkiem osłabłam, osunęłam się na kolana, tylko gryzłam, lecz gwiazdy nie chciały już spadać, tylko pochylały się nade mną.

Już brzmiały ich głosy, niby ludzkie, lecz gwiazdy to łgarze.

– ...Mamy ją! Mamy! – wołano w stronę schodów.

– ...Biedna dziewczyna!

– ...Już ci biedna! Ale mnie uzała!

– ...Moja głowa!

– ...Latarka! Wytrąciła mi latarkę z ręki!

– ...Tutaj! Tutaj, panie doktorze!

Spomiędzy moich ud wypływała struga krwi.

* * *

Teraz mówią, że to moja wina.

– Powaliłaś trzech rosnących chłopów, dziewczyno – rzekł Romek ze smutkiem. Siedział

przy moim łóżku. To było inne łóżko i inny szpital, wojewódzki. – Zrobiliśmy wszystko, co się dało, ale płodu – tak, użył tego słowa – nie zdołaliśmy uratować. Dziecka. Tam w piwnicy.

Akurat, gadaj sobie zdrów.

Mam jego ciało, mam krew, tylko serce wciąż bije w podziemiach. Jęczy w ścianach z tęsknoty. Wrócę i je zabiorę.

Wiem, że to pierwsze życie. Drugiego, dziesiątego, setnego – może nie spapram.

Powrócę w tej samej roli, pamiętając poprzednie doświadczenie, tak jak nieustannie odzywają doktor Ciało, doktor Krew, przerażający robotnicy, ryjący termitiery dla dusz pod szpitalem. Będę szukać, krążyć, naprostowywać swoje życie w nieustannych próbach. Teraz, kiedy mnie odciągają, szarpną, rozumiem ironię tego procesu, odrodzeń w tym samym ciełe.

Wiem też, czemu ludzie nie mogą być szczęśliwi. To ostatni szczebel drabiny, stanę kiedyś tam – może – z Michałem i ze wszystkim, życie będzie gorące, całe takie jak mój pobyt w szpitalu. Nie ma już wyższych szczebli, to będzie ostatnie życie, umrę, zniknę, a świat popędzi dalej, jakby nigdy nie

było żadnej Sylwii.

Jacek Piekara

Mój

przyjaciół

Kaligula

Cudowny jest dotyk palców syryjskiej niewolnicy. Kiedy go czuję, wyobrażam sobie, że tak właśnie można by delektować się muśnięciem morskiej piany, z której narodziła się Afrodyta. Kiedy dziewczyna masuje mi skronie, mam wrażenie, jakby odganiała wszystkie troski codziennego życia. Jakby pod opuszkami jej smagłych, smukłych palców ginęły wszelkie kłopoty. Nawet ten kłopot, który leży na blacie inkrustowanej złotem sekretery.

Właśnie ten kłopot zapieczętowany cesarską pieczęcią. A przecież to tylko list od mego szczerego druha i przyjaciela Gajusza Juliusza Cezara, nazywanego często Kaligulą. Mojego władcy i boga. A przynajmniej kogoś, kto za mojego władcę i boga chciałby się uważać.

Wiem, co znajduje się w liście. Wiele zapewnień o miłości oraz opis radosnych chwil, które mieliśmy szczęście dzielić. Potem pojawiają się coraz ostrzejsze zdania, coraz więcej wyrzutów i coraz więcej smutku. Na samym końcu mój przyjaciel wyjawia, że z całą pewnością rozumiem, co powinni uczynić ci, którzy zawiedli zaufanie cesarza. Tak, zaprawdę powinienem być mu szczerze wdzięczny, iż nie wysłał po moją głowę cuchnącego winem i cebulą centuriona. Albo, co gorsza, zgorzkniałego Kasjusza Cherei, który tym razem, przynosząc mi rozkaz cezara, odnalazłby wreszcie powód do radości. To w końcu nikt inny tylko ja nakłaniałem Kaligulę, by wyznaczał mu hasła, takie jak: „Daj buziaka” lub

„Wypijmy kielicha”. Nieszczęsny Kasjusz musiał je potem powtarzać pełniącym służbę pretorianom, próżno starając się obniżyć swój kobieco piskliwy głos. Zawsze lubiłem jego towarzystwo, gdyż zbliżając się w naszą stronę, wprost pulsował nienawiścią, odrazą i strachem. Wyborna mieszanka!

Oczywiście jestem też wdzięczny Kaliguli, że nie zdecydował się przesłuchać mnie w tych samych lochach, w których tak wspaniale wspólnie się bawiliśmy. W ten sposób otrzymałem w prezencie kilkanaście godzin, a to więcej niż mi potrzeba.

– Wezwij Pallasa – rozkazuję ciemnoskóremu niewolnikowi, pełniącemu straż przy drzwiach.

Kiedy widzę, jak się rusza, aż czuję coś w rodzaju estetycznego bólu. Gdy był

nieruchomy, przypominał posąg wyrzeźbiony dłutem najznamienitszego z mistrzów, a zaraz potem stał się tylko człowiekiem. Wspaniale zbudowanym, lecz jedynie człowiekiem.

Wzdycham, bo przypomina mi to o tezie, mówiącej, że prawdziwe piękno znika z chwilą, kiedy uzmysławiamy sobie jego istnienie.

Pallas, który pojawia się w mojej komnacie, nie jest pięknym mężczyzną, lecz ma bystre oczy i chytry grecki umysł.

– Usiądź i przeczytaj list od naszego najdroższego cesarza – nakazuję.

Spod przymrużonych powiek obserwuję, jak Grek zdejmuje cesarską pieczęć. Nie wyczuwam w nim obawy ani nawet zaniepokojenia. Prawdopodobnie sądzi, że Gajusz Juliusz zaprasza mnie na

przyjęcie. Ostatnio chodzą słuchy, iż cesarz znowu wybierze się na wojnę z Germanami. I tego chyba najbardziej obawia się Pallas. Że będzie musiał opuścić wygodny Rzym, jeżeli Kaligula zechce, bym towarzyszył mu w wyprawie nad Ren. Potem czyta. Słucham uważnie i jestem pełen podziwu dla Pallasa, który najmniejszym drgnieniem głosu, gestem czy wyrazem twarzy nie zdradza się z tym, jak bardzo jest zdumiony i przerażony. Syryjska niewolnica również rozumie wypowiedziane tu słowa. Czuję, że zaczynają drżeć jej palce, więc odganiem ją szybkim gestem i pokazuję, by zajęła się rozmasowaniem mi stóp.

Pallas kończy lekturę i odkłada pergamin na sekretkę. Jest bledszy niż zwykle i spogląda w posadzkę, jakby dostrzegł na niej nad wyraz ciekawy wzór mozaiki.

– Grzeczność wymaga, by odpowiedzieć na taki list – mówię, uśmiechając się. –

Napiszmy go po grecku, bo któż jak nie nasz uwielbiany cesarz powiedział, iż jedynie greka potrafi prawdziwie oddać kunszt poetów oraz aktorów.

Pallas rozkłada pergamin i szykuje pióro. Nie muszę się zastanawiać nad treścią pisma.

Już dawno przewidziałem podobną sytuację, więc słowa spływają z moich ust lekko i radośnie. Ku coraz bardziej widocznej trwodze Pallasa.

– Czy naprawdę mam napisać „ojcobójca”? – pyta. Jego lęk zdradza tylko ledwo zauważalne drżenie podbródka.

– Wiem, że Tyberiusz nie był ojcem Gajusza, niemniej uduszenie poduszką starca, który go adoptował, możemy chyba uznać za ojcobójstwo? – odpowiadam pytaniem. – A poza tym sam chwalił mi się, że czarami doprowadził do zguby Germanika.

Dyktuję pismo, które nie przejdzie do historii. Kaligula zapewne je podrze lub ciśnie w ogień. Treść przetrwa jednak w pamięci cesarza. Wykpiwam jego brak gustu i talentu, drwię z łagodności, która każe mu oszczędzać senatorów, opowiadam o tym, iż nienawidzą go wszyscy, nawet ci, których obdarzył łaskami. Przytaczam kilka powtarzanych przez niewolników historyjek dotyczących nie tylko witalności cesarza, ale również wielkości jego przyrodzenia. Opowiadam o Druzylli i o tym, jak często mnie odwiedzała. W tym momencie pióro zaczyna drżeć w dłoni Pallasa...

* * *

– Gdybyż Senat miał jedną głowę – zasyczał Kaligula – z jaką rozkoszą bym ją ściał!

– Boski cesarze – odpowiedziałem – ponieważ często mam radość cieszyć się twoim towarzystwem, więc wiem, że jupiterska strona twojej nieśmiertelnej natury walczy z merkuriąską. Ty jako Jupiter kazałbyś porazić Senat niebiańskim gromem...

– Cóż bym uczynił jako Merkury?

Pochwyciłem bystre spojrzenie Kaliguli i usłyszałem ciekawość w jego głosie.

– Upokorzyłbyś ich, o boski! Tak bardzo, że każde posiedzenie Senatu zdawałoby im się torturą.

– Powstrzymałem się przed tą myślą z przyrodzonej mi litości – westchnął szczerze Kaligula – ale skoro tak sądzisz, Marku...

– Boski cesarze! – zawołałem. – Okaż jednak miłosierdzie. Nie powołuj Eutychnona do grona senatorów!

Zaśmialiśmy się obaj. Eutychon był ulubionym woźnicą Kaliguli. Niedawno otrzymał od niego dwa miliony sesterców w nagrodę za udaną gonitwę.

– Może powinienem mianować jego konia! – prychnął Kaligula.

– Cesarze – rozłożyłem dłonie i schyliłem głowę – nie wiem czy bardziej cenić twój dowcip, kunszt aktorski, czy taneczny talent. Powinieneś mnie ukarać, o boski. Kiedy bowiem usłyszałem, że chcesz mianować senatorem konia, pomyślałem, iż wolę słuchać twych żartów niż oglądać cię na scenie. Ale wiem też, że kiedy zobaczę cię na scenie, to wtedy twój niezwykły talent każe mi zapomnieć o subtelności twego dowcipu.

– Rzeczywiście powinienem cię ukarać, Marku – rzekł z namysłem Kaligula – lecz rozumiem ułomność ludzkiej natury, pozwalającej ci w jednej chwili podziwiać zaledwie jeden aspekt mej boskości. Kara cię jednak nie minie – pogroził mi palcem – w przyszłym roku zostaniesz konsulem. Do pary ze stryjkiem Klau-Klau-Klaudiuszem. A Incitatus będzie znakomitym senatorem.

Wybuchnął śmiechem i obrócił się w stronę Klaudiusza, który leżał obok nas, zapijając strach winem. Stryj cesarza miał mętne oczy, z kącika ust spływała mu strużka śliny.

– Czym się teraz zajmujesz, Klaudiuszu? – zapytał dobrotliwie Kaligula.

– Piszę historię E-e-e...

Czekaliśmy, aż pokona jąkanie.

– ...trusków – dokończył.

– Czyż to nie dziwne, Marku, że brat mojego ojca zajmuje się nudną przeszłością, miast opiewać chwałę dzisiejszych chwil? – Na wysokim czole Kaliguli pojawiły się zmarszczki. –

Czy czas, kiedy dumny Rzym jęczał w niewoli Etrusków, wydaje mu się ciekawszy od tego, w którym moje imię jest rozślawiane na całym świecie?

Mogłem zabić Klaudiusza jednym zdaniem. Ale przecież byłoby to banalnie prostackie i niegodne chluby. Nie przyniosłoby mi również satysfakcji, gdyż Klaudiusz i tak dzień w dzień jest otoczony aurą strachu. Postanowiłem więc go uratować.

– Czyni tak tylko z szacunku dla ciebie, boski Jupiterze – wyjaśniłem – gdyż sam Homer stanąłby bezradny, gdyby miał opisać twoje dokonania. Znam jednak autora, którego lotność myśli, talent

poetycki i geniusz sprostałyby tak imponującemu zadaniu.

– Któż to taki? – Kaligula uniósł się z miejsca.

– To ktoś, kto nie może poświęcić życia opisywaniu historii, gdyż bogowie wybrali go, by sam ją tworzył. Nie każ mi wypowiadać jego imienia – pochyliłem głowę – gdyż zmusiłbyś mnie tym samym, bym zawstydził jego skromność.

Gajusz opadł na poduszki i westchnął dramatycznie.

– A więc zachowaj to imię w tajemnicy, Marku. Wiedz jednak, że autor, o którym myślisz, boleje tak jak i ty nad tym, iż nie zawsze może rozsypać przed ludzkością perły swojego talentu. – Przez chwilę leżał z opuszczonymi powiekami. Potem spojrzął na Klaudiusza. – Zezwalam ci nadal prowadzić badania nad Etruskami – obwieścił łaskawym tonem – i jednocześnie rozkazuję, byś przestał właśnie na Etruskach.

Do komnaty weszła Druzylla. Nigdy nie była piękna, lecz rozsiewała wokół siebie czar tak potężny, że każdy mężczyzna, patrząc na jej twarz, marzył tylko o tym, by spijać z jej ust czule westchnienia. Druzylla mnie nienawidziła, pomimo że byłem wobec niej więcej niż uprzedzająco grzeczny. Posyłałem jej piękne prezenty i kunsztownie ułożone listy, a w towarzystwie Kaliguli mówiłem o niej wyłącznie z pełną uwielbienia miłością i szacunkiem.

Wiedziałem, że Druzylla wie. Wiedzę tę zawdzięczała kobiecej intuicji, każącej jej sądzić, iż gram jedynie pewną rolę. Nie do końca jednak rozumiała, jaka jest to rola, i tak długo nie zażąda mego życia, dopóki się tego nie dowie. Wtedy starała się grać tak samo jak ja.

Uśmiechnęła się i pocałowała mnie prosto w usta. Kiedy jej wargi dotknęły moich, wyczułem, że Druzylla jest brzemienna. Pod skórą jej brzucha rodziło się nowe życie, któremu dał początek brat i zarazem kochanek. On o tym jeszcze nie wiedział i ona o tym jeszcze nie wiedziała. Ja już wiedziałem i cieszyłem się na samą myśl, jak wiele sprawię im cierpienia.

– Postanowiłem mianować Incitatusa senatorem! – wykrzyknął Kaligula. – Marek twierdzi, że trzeba ścierać senatorów, ale czyż nie lepiej po prostu upokorzyć Senat i wystawić go na drwiny plebsu?! Już widzę miny senatorów, kiedy koń będzie przemawiał!

Druzylla uśmiechnęła się.

– Jesteś zbyt łagodny i miłosierny, Gajuszu.

– To prawda. – Kaligula ponownie zmarszczył czoło. – Może ty powinieneś zostać cesarzem, Marku?
– Obrócił ku mnie twarz.

Słowa Kaliguli dały mi do myślenia. Już wiem, że kiedyś zażąda mego życia. Nie dziś i nie jutro. Kiedyś...

– Chyba tylko po to, by lud Rzymu przeklinał chwilę, w której zastąpiłem uwielbianego władcę. – Wybuchnąłem szczerym śmiechem. – A poza tym, któż mógłby zastąpić boga?

Kaligula przepił do mnie z uśmiechem na ustach. Być może wypowiedzianym zdaniem kupiłem sobie rok życia. A może kupiłem sobie zaledwie kilka dni. A może rzeczywiście zostanę konsulem, dzieląc ten zaszczyt z nieszczęsnym półgłówkiem Klau-Klau-Klaudiuszem.

Przypuszczałem, że Druzylla znowu odwiedzi mnie tej nocy. Uwielbiałem spijać jej nienawiść zmieszaną z pożądaniem i leciuteńko przyprawioną strachem. Dobrze wiedziała, że Kaligula kazałby zniszczyć nas oboje, gdyby doniesiono mu o igraszkach, jakim się oddajemy. A gdyby poznał słowa wypowiedziane przez Druzyllę w chwilach, kiedy rozkosz rządzi rozumem, zapragnąłby zamienić swoje upokorzenie w nasz ból.

* * *

Dyktuję Pallasowi uwagi na temat germańskiej kampanii i rozbawia mnie samo wspomnienie tej zdumiewającej wojny. Przypominam sobie też o Kasjuszu Cherei, lecz nie zamierzam ostrzegać przed nim cesarza. Mam graniczące z pewnością przeczucie, że Kasjusz odegra wyjątkową i ważną rolę w nadchodzącym dramacie, gdyż zawsze, kiedy się zbliża do Kaliguli, mogę wręcz pławić się w jego nienawiści.

Kaligula pragnął być wodzem. Zwycięzcą na miarę Juliusza Cezara czy Germanika.

Marzył, by legioniści uwielbiali go tak samo jak jego ojca. Nie rozumiał jednak istoty wojny i nie pojmował, jak bardzo jest ona skomplikowana. Kwestie związane z żołdem oraz zaopatrzeniem kwatermistrzowskim były w jego oczach zbyt zawiłe i niegodne uwagi.

Wydawało mu się, że sama obecność cesarza natchnie żołnierzy zapałem i wolą walki.

Pamiętam naszą wielką wyprawę przeciwko Germanom. Kaligula był nad Renem bezradny. Miał przeciwko sobie nie tylko daleki rzymski Senat, nie tylko tchórzliwych arystokratów, drżących na sam widok germańskiej gwardii przybocznej, ale także własną armię. Armię, która nie chciała nurzać się w zdradzieckich leśnych ostępach, gdzie za każdym drzewem czaiła się zasadzka. A drzewa w germańskich kniejach przypominały szarozielonych olbrzymów, pochylających sękatę dłoń nad czarną, grząską ziemią. Minęło już wiele lat od pogromu legionów Warusa, lecz nadal dobrze pamiętano tę straszliwą klęskę i utratę trzech orłów. Pamiętano też, że w puszczach Germanii nie ma bogatych miast, a kobiety są zbyt dzikie, by zostawić je przy życiu po pierwszym nasyceniu się rozkoszą.

Wtedy cesarz zapragnął powtórzyć dzieło Cezara i zdobyć Brytanię. Ale armia nie chciała płynąć poza granice znanego nam świata. Armia nie chciała walczyć z Brytami, o których sile, męstwie i liczności krążyły zatrważające wieści. Bo tam nawet kobiety walczyły niczym wściekłe wilczyce chroniące swój miot. A legiony stacjonujące nad Renem były legionami już tylko z nazwy. Zabiją swego cesarza jedynie po to, by sami nie musieli zginąć. Wszyscy o tym wiedzieli. Kaligula znajdował się pośród oficerów oraz żołnierzy i był tam tak samo bezpieczny jak okulawiona mysz ciśnięta przed koci pysk.

Dlaczego uratowałem cesarza? Czemu pozwoliłem mu zamienić hańbę lub śmierć w oszalały triumf? Bynajmniej nie z przyjaźni. Uznałem to po prostu za wyzwanie.

– Bogowie nie walczą z ludźmi – oznajmiłem w czasie narady wojennej – i nasz cesarz nie przybył tu, by pokonać Germanów lub Brytów. Jacyż to marni byłiby przeciwnicy dla

boskiego majestatu! Czy hołdy śmierzących barbarzyńców są tym, co rozweseliłoby serce cesarza? Tu, na galijskich brzegach, możemy dokonać czegoś, o czym kronikarze będą wspominać za tysiące lat. Tu pokonamy samego Neptuna i wyrwiemy z niego daninę! Tu olimpijski bóg zamiecie swą szmaragdową brodą pył pod stopami naszego cesarza!

Kaligula posłuchał i wysłał oddziały na przybrzeżne płycizny. Kazał żołnierzom ciąć fale mieczami i zbierać muszle jako trofea. Potem ogłosił wielkie zwycięstwo nad Neptunem. Legioniści byli zachwyceni. Nie dość, że ocalili życie, to jeszcze mieli niezłą zabawę. Widmo buntu zniknęło bez śladu. Senatorowie w Rzymie zmuszeni byli wychwalać morską wiktoryę oraz podziwiać skrzynie pełne muszli, które przywieźliśmy jako łup odebrany Neptunowi. Kaligula pokazywał im również zeschnięte kępy wodorostów i kazał

wierzyć, że są to kłaki, które własnoręcznie wyrwał z boskiej brody Jowiszowego brata.

Świetnie się przy tym wszystkim bawił. Ale pojmował, komu zawdzięcza tron, a ja wiedziałem, że nigdy mi tego nie wybaczy.

* * *

Każę zapisać Pallasowi zdania zasłyszane od niewolników. Zdania kompromitujące męskość Kaliguli. Zapewne niewiele w nich prawdy, ale to przecież nie ma znaczenia.

Przymykam powieki i przypominam sobie pewien wieczór.

* * *

Lubię miłość fizyczną. Rozkosz, jaką z niej czerpię, nie ma jednak nic wspólnego z płcią. Syryjska niewolnica, ćwiczona w wyrafinowanej sztuce miłości, oferuje mi czasami znacznie mniej doznań niż prosty numidyjski gladiator, między uda którego wbijam się niczym retarius znajdujący wyłom w obronie myrmillona. Czasami zresztą bardziej podniecające jest stanie obok. Któż nie pamięta zaślubin Gnejusza Pizona z Liwią Orystellą?

Jakże pięknie wyglądała wtedy panna młoda!

– Aż żałuję, że nie jestem na miejscu Pizona – wymruczał mi do ucha Kaligula.

– Jestem pewien, że byłby zaszczycony, wiedząc, iż boski cesarz pragnie opromienić swym blaskiem jego żonę – powiedziałem. – A czyż dla niej samej mogłoby istnieć większe szczęście?

– Tak sądzisz?

– Ja to wiem, o boski! Któż pożałowałby śmiertelnika, skoro może dzielić łożę z Jowiszem i Herkulesem w jednej osobie? Która kobieta pragnęłaby czegoś więcej niż obcowania z bogiem?

Kaligula skinał głową.

– Masz rację, Marku. Uczynię im tę łaskę w ślubnym prezencie.

– Nie wahaj się spryskać swym boskim nasieniem każdego otworu jej ciała – poradziłem szeptem.

Cesarz zbliżył się do Liwii. Odprowadził ją do komnaty obok, a ja stanąłem blisko Pizona. Po pewnym czasie obaj usłyszeliśmy przeraźliwy krzyk kobiety i obaj wiedzieliśmy, że Kaligula zabawia się z Liwią niczym z greckim młodzieńcem. Pizon płakał. Jego ból, upokorzenie i nienawiść zdawały mi się niebiańską ambrozją powoli sączącą się w żyły.

Podobnie czułem się, kiedy tresowałem brytońskiego chłopca, którego matkę kazałem wcześniej, na jego oczach, zaćwiczyć różgami.

Ale pamiętałem również, iż posiadanie niewolników jest zobowiązaniem. Wobec siebie samego i wobec Rzymu. Dobry Rzymianin nie dręczy niewolników bez potrzeby. Takie podejście do życia oraz taki stosunek do powinności nieco mi przeszkadzały, lecz zazwyczaj starałem się być sprawiedliwym panem w rzymskim rozumieniu tej sprawiedliwości.

Zazwyczaj. Kiedyś niewolnica wypuściła z dłoni amforę z winem, a ta uderzyła o poręcz łoża, rozbiła się i ostry okrucieństwo przecięła mi skroń. Togę miałem całą zbryzganą winną czerwienią. Niewolnica była młodą dziewczyną. Wtedy zamarła w miejscu, niczym skamieniała Nike rozpaczająca nad swą dolą. Jej niebieskie oczy były pełne łez. Wezwałem zarządcę, a ona, drżąc, czekała na los, jaki jej wyznaczę. Mogłem kazać ją biczować albo zesłać do prac rolnych. Mogłem sprzedać ją do Ostii czy Neapolu, do jakiegoś burdelu dla marynarzy, w którym po paru miesiącach zapomnieliby, że jest człowiekiem. Zamiast tego powiedziałem, by nauczono ją zgrabnie chodzić i umiejętnie usługiwać uczującym.

– Pięć batów – rozkazałem. – Tylko nie naruszcicie skóry.

Kiedy wychodziła z komnaty, była napełnionym po brzegi kielichem. Jej wdzięczność i miłość piłem niczym najlepsze wino. Potem kazałem ją przyprowadzić do sypialni, gdzie oddawała mi się z entuzjazmem bijącym na głowę artystyczny kunszt kurtyzan.

Z drugiej strony, czasami dawałem się ponieść emocjom. Jeden z niewolników doniósł

mi, że nowo zakupiony Numidyjczyk, pomiędzy jędrnymi pośladkami którego odnajdywałem kilka razy chwilę uciechy, chwalił się przed kobietami wielkością przyrodzenia oraz niespożytymi siłami witalnymi. Rozkazałem, by go przyprowadzono i przywiązano do łoża, a potem poleciłem wszystkim, by odeszli. Zacząłem masować jądra Numidyjczyka, później pochyliłem się i ustami oraz językiem zamieniłem jego członek w czarny, pulsujący słup, który rozwartym okiem wpatrywał się w napięte mięśnie klatki piersiowej. Kiedy niewolnik był już gotów, wyjąłem z zanadza tępy nóż o ostrzu przypominającym kształtem piłę. Zacząłem odkrawać mu przyrodzenie przy samej nasadzie.

Wolniutko. Przeraźliwe wycie Numidyjczyka i tryskająca wkoło krew były niczym pierwszy kielich wina. Lecz kiedy podstawiłem mu pod oczy oderżnięty kawał mięsa, wiedział, że zostanie

pośmiewiskiem kobiet i nigdy nie zazna już spełnienia między ich udami. A to, co wtedy czuł, sprawiło, że przemieniłem się w Dionizosa pojonego przez roześmiane bachantki.

* * *

Druzylla nie zakochała się we mnie. Kobiety takie jak ona nie są zdolne, by kochać kogokolwiek prócz samej siebie, i trzeba przyznać, że w tym wypadku jesteśmy w pewien sposób do siebie podobni. Siostra Gajusza na pewno czerpała rozkosz podczas nocy, które spędzaliśmy razem, lecz wiem, że bacznie mnie obserwowała. Wiem również, że szczerze mnie nienawidziła. Byłem bowiem i jestem jedynym człowiekiem, który nie boi się gniewu ani niełaski Kaliguli.

– Masz dłonie kapłana, Marku – powiedziała, całując moje palce – takie białe i delikatne.

Uśmiechnąłem się, a ona natychmiast podniosła wzrok.

– Ale masz też oczy bestii. Myślisz, że tego nie dostrzegam? – Przyglądała mi się dłuższą chwilę. – Gajusz jest jedynie obłąkanym komediantem... – szepnęła.

Zapewne spodziewała się po mnie nieszczerych protestów, więc tylko skrzywiłem usta.

Druzylla odpowiedziała uśmiechem i w tej chwili została między nami zadzierzgnięta nic porozumienia.

– ...ty jednak przypominasz amforę, która zamiast winem jest wypełniona otchłanią.

Jesteś gorszy od niego, Marku...

Nie do końca zgadzałem się z tym spostrzeżeniem, chociaż Druzylla znalazła się zdumiewająco blisko poznania mojej tajemnicy. Przyznam też szczerze, iż nigdy nie podejrzewałbym jej o tak wyszukane sądy.

– Wszyscy jesteśmy obłąkani – odparłem spokojnie – cały świat jest obłąkany.

Przytuliła się do mojej piersi.

– Zabijesz mnie, Marku? – wyszeptła i o dziwo usłyszałem w tym pytaniu słodką nutę nadziei. Nadziei, iż tak się nie stanie.

– Przysięgam na Jupitera, że cię nie skrzywdzę – odrzekłem z mocą.

– Przecież nie wierzysz w naszych bogów. – Druzylla uniosła się i spoglądała gdzieś ponad mnie i poza mnie. – Cóż więc warte są twoje przyrzeczenia?

To również było zastanawiające spostrzeżenie. Wszak towarzyszyłem Gajuszowi w czasie ofiar oraz wróżb i nigdy najmniejszym gestem lub słowem nie wyraziłem swego powątpiewania w istnienie naszych olimpijskich patronów.

– Przysięgam na własne życie – powiedziałem szczerze.

Złożyłem obietnicę bez obawy, że jej nie dotrzymam, nigdy bowiem nie skrzywdzę Druzylli. Po prostu pozwolę, by skrzywdził ją ktoś inny. Ale nie o to pytała, prawda?

– Zabij go, Marku – szepnęła gorączkowo, poruszając ciepłym tchnieniem włosy na mojej piersi – zabij go i ożeń się ze mną. Tylko ty masz serce cesarza... Ty i ja, Marku... Ty i ja... I Rzym u naszych stóp...

Nie powiem, że nie rozważałem wcześniej podobnej ewentualności. Mógłbym zabić Kaligulę. Zapewne mógłbym również zostać nowym imperatorem. Władcą, panującym od Galii po Syrię i Egipt. Ale byłem już zmęczony i naprawdę pragnąłem jedynie odpoczynku.

Druzylla pochyliła się, a jej język szybko wędrował od kiści po ostrze mej włóczni.

– Bądź cesarzem... bądź... we mnie...

Spełniłem jej drugie życzenie, a później stłumiłem skowyt pocałunkiem. To dobrze, że stałem się dla niej kimś ważnym, gdyż cierpienie, jakiego niedługo dozna i którego będę świadkiem, okaże się tym słodsze.

* * *

– Marku, mój przyjacielu... – Kaligula stał w pozie Jupitera Kapitolińskiego i przemawiał tonem tak uroczystym, jak nigdy przedtem.

– Panie...

– Jesteś człowiekiem, którego wybrałem, by obwieścić światu, że bogowie Rzymu poczęli potomka.

– Czyżby Jowisz pogodził się z Herą? Nie, nie, nie... – machnąłem szybko dłonią, jakbym odpędzał sprzed twarzy uprzykrzone muchy. – Przecież to zaledwie bóstewka, a nie bogowie! Godne co najwyżej pełnić rolę odzwiernych w świątyni poświęconej twemu majestatowi...

– Kiedyś zaszczycałem Herę, spędzając z nią noc – Kaligula wzruszył ramionami – ale zapewniam cię, Marku, nic szczególnego. Za małe piersi, za wąskie biodra... Masz jednak rację: nie miałem na myśli Jowisza i jego żony.

– A więc... – słowa ugrzęzły mi w ustach – czyżbyś ty i Druzylla? – Opuściłem głowę w geście pełnym pokory.

– Właśnie tak! – W głosie Kaliguli wyczułem prawdziwą dumę.

– Nigdy nie spotkało mnie większe szczęście niż dzisiaj, auguście! – krzyknąłem. –

Kiedy wiem, że mogę obwieścić światu, iż z lędźwi boga i łona bogini narodzi się nowy bóg!

Jakżeż będzie on potężny!

Gajusz uśmiechnął się z satysfakcją, lecz potem jego usta zacięły się w cienką kreskę.

Bo cesarz, cokolwiek by o nim powiedzieć, nie był głupcem i doskonale pojął właściwe znaczenie wypowiedzianych przeze mnie słów.

– Potężny, mówisz? – Usłyszałem w jego głosie ton, którego się spodziewałem, ale który i tak mnie rozbawił.

– Owoc miłości dwojga bogów? Jakżeż mogłoby być inaczej, Herkulesie?!

– Sądzisz, że będzie silniejszy ode mnie?

Zagryzłem nerwowo wargi.

– Nigdy, Jowiszu! – zapewniłem tak samo szczerze, jak kupiec zachwalający eunucha żadnej przygód damie.

– Taaaak. – Kaligula opuścił wzrok i zabębnił palcami po udzie. – Taaaak – powtórzył.

Czekałem w milczeniu na jego następne słowa.

– Postanowiłem, Marku, byś na razie nie ogłaszał światu tej szczęśliwej nowiny – zdecydował. – Kto wie, co się jeszcze wydarzy...

– Jaka szkoda, że jesteś wszechmocny, ojczyźnie bogów – westchnąłem.

– Co masz na myśli, przyjacielu?

– Gdybyś wchłonął jestestwo nowego boga, zanim on się narodzi, to cała jego moc spłynęłaby na ciebie. Ale ty tego przecież nie potrzebujesz, boski.

Kaligula bardzo długo się nie odzywał. Zerwał winne grono z leżącej na złotej paterze kiści i rozgryzł je w ustach. Potem posmakował drugie, trzecie i czwarte.

– Jeśli jesteś przyjacielem, bądź u mnie o północy, Marku – powiedział w końcu.

Tylko głupcy lub martwi mogą lekceważyć polecenie cezara. Dlatego pojawiłem się w jego sypialni punktualnie o północy. Spostrzegłem Druzyllę, leżącą nago na łożu. Zmięte prześcieradło okrywało jedynie lewą rękę i połowę uda. Siostra Gajusza głośno chrapała, a ja czułem w jej oddechu odór nieprzetrawionego wina. Wyraźnie widziałem wzdęty płodem brzuch, który wcześniej maskowały obszerne suknie.

– Pomóż mi ją związać, Marku – rozkazał Kaligula.

Tak naprawdę cesarz nie potrzebował mojej pomocy. Potrzebował towarzysza, który utwierdziłby go w słuszności podjętej decyzji oraz słuszności postępowania. Gajusz bowiem, mimo całego swego szaleństwa, zdołał zachować jeszcze resztki rozsądku oraz resztki moralnych skrupułów.

– Jest pijana. Nie będzie jej bolało – zapewnił bardziej samego siebie niż mnie.

– Jak zwykle masz rację, boski – odpowiedziałem. – A poza tym, któż nie złożyłby w ofierze swego bólu na twoim ołtarzu?

Wtedy przypomniałem sobie dni, kiedy Kaligula ciężko zachorował, a lekarze nie potrafili ustalić, czy przeżyje. Rzym drżał wówczas od pokornych modłów, a w niebo wzbijały się dymy całopalnych ofiar. Jeden z senatorów ślubował, iż poświęci życie w zamian za zdrowie cesarza. I kiedy Gajusz wyzdrowiał, nie omieszkałem mu o tym ślubie donieść.

– Nie sądzisz, że powinien dotrzymać obietnicy złożonej przed obliczem bogów? –

spytałem. – Złamanie takiego ślubu mogłoby przynieść nieszczęście i tobie samemu, i Rzymowi...

– Masz rację, Marku – rzekł Kaligula i spojrzał na bladego z przerażenia senatora. –

Dziękuję ci – poklepał go po ramieniu – sam wiesz, co robić...

I poszliśmy na ucztę.

Ale to wydarzyło się wiele miesięcy temu. Teraz pomagałem cesarzowi pętać ręce i nogi siostry. Później on wyjął z zanadru długi nóż o wypolerowanym ostrzu. Widziałem, że się zawahał.

– Lękam się, cesarze – powiedziałem, a on obrócił na mnie pytające spojrzenie. – Lękam się, że kiedy dokonasz tego czynu, staniesz się zbyt potężny. Co będzie, gdy spopielisz Rzym lub nawet cały świat, niczym słońce, które opadłoby na ziemię?

Przymknął oczy, jakby wizja podpalenia świata aurą własnego majestatu wydała mu się więcej niż rozkoszna.

– Sądzisz, że nie potrafię kontrolować swej mocy? – zapytał z urazą w głosie. – Nie zamierzam niszczyć świata. Przynajmniej... na razie.

To, co działo się potem, było pełne krwi pulsującej szkarłatnymi fontannami i rozdzierających wrzasków Druzylli. Otrzeźwiała w jednej chwili i w jednej chwili zrozumiała, co Kaligula chce z nią uczynić, a później mogła obserwować, co czyni za pomocą ostrego niczym brzytwa noża. Mogła też dostrzec mnie, jak stoję obok i się uśmiecham.

* * *

– Tylko ciebie kocham, Marku – wyznał Kaligula. – Teraz, kiedy bogowie odebrali mi Druzyllę, jedynie ty zostałeś, by utulić mnie w nieszczęściu. Czuję, jakbyś był moim bratem.

To złe uczucie. Gajusz Cezar kazał bowiem zabić swojego przyrodniego brata. Trudno jednak nie robić dobrej miny do z góry przegranej gry.

– Jesteś bogiem, cesarze – rzekłem – i Jowisz mógłby się chlubić na pełnym bóstw Olimpie, że uznałeś go za równego sobie. Każdy człowiek, nie wyłączając mnie, jest przy tobie niczym prosty wieśniak wpatrujący się w koronę słońca.

– Niełatwo być bogiem – westchnął ze szczerym smutkiem Kaligula. – Czy wiesz, że słyszę wszystko? Wszystko co się dzieje na świecie? Nawet łopot żagli statków płynących po oceanie. Czasem... – przetarł oczy dłońmi – czasem nie mogę tego już znieść.

– To wina twojej ludzkiej postaci, ojczyźnie bogów.

– Taaaak – westchnął znowu. – Poświęcam się dla mych poddanych. Bo cóż byście poczęli, gdybym wzbił się na Olimp, zostawiając was samych?

– Równie dobrze mógłbyś pozbawić świat słońca, auguście. Uschnęlibyśmy, nie mogąc grzać się w twym blasku.

Milczał długą chwilę.

– Oskarżają mnie, że jestem szalony – powiedział spokojnym, twardym i beznamiętnym tonem, nie patrząc mi w oczy. – Myślisz, że o tym nie wiem? – prychnął ze złością. –

Sądysz... że naprawdę jestem obłąkany? – spytał zaraz potem.

– Jesteś bogiem – odparłem. – Czy ktokolwiek ze śmiertelników mógłby osądzać boga?

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. – Usłyszałem w jego głosie złość, która rodziła się niczym szare opary bijące z krateru Wezuwiusza.

– Czy wschodzące słońce rozpędzające blaskiem granat nieba jest szalone? Czy świt budzący do życia wszystkie żywe istnienia jest szalony? Jeśli tak, to i ty jesteś szalony, cesarze.

Kaligula odetchnął głęboko.

– Świt... – rzekł z namysłem – nie sądzisz, że Różanopalcu Eos nie spełnia już właściwie swej roli?

Dostrzegłem, że ożywia się, gdyż najwyraźniej znów w jego głowie pojawiła się któraś z obłąkanych myśli.

– Nie możesz jej zastąpić, o boski – stwierdziłem z przekonaniem.

– Czemu tak przypuszczasz, Marku? – W jego głosie zabrzmiało rozzalenie, które rychło mogło się przerodzić w gniew.

– Gdyż wtedy nazywano by ją Rumianą Eos, od płomienia palącego wstydem jej policzki.

Nastąpiłoby to w chwili, kiedy ujrzałaby ciebie wieszczącego świt i zrozumiała, jak sama była w tej roli nieporadna.

Gajusz Juliusz objął mnie czule.

– Nie martw się o innych bogów, Marku – wyszeptał mi do ucha – gdyż zamierzam zabić ich wszystkich...

Pochyliłem się do jego kolan.

– Oto słowa boga jedyne i prawdziwego.

* * *

Zastanawiam się, jak długo jeszcze będzie żyć Kaligula, gdyż to, że go zamordują, wydaje mi się więcej niż pewne. Nie dlatego, że jest okrutnikiem, również nie dlatego, że opróżnił skarbiec Rzymu z oszczędności, pieczołowicie ciułanych przez Tyberiusza, i teraz chwytą się wszelkich sposobów, by ten skarbiec napełnić. Kaligula zostanie zabity nie dlatego, że wszyscy go nienawidzą, lecz dlatego, że wszyscy nim pogardzają i wszyscy boją się jego nieobliczalności. Gajusz traktuje świat jak teatr, a ludzi jak aktorów, którym może dowolnie rozpisać role, tak jak mu to nakazuje fantazja. Uwielbia zastraszać wszystkich wokół siebie, gdyż nie rozumie, że paniczny lęk często rodzi bezbrzeżną odwagę. I w końcu nadejdzie dzień, kiedy któryś z tych drżących ze strachu senatorów pchnie go nożem lub mieczem. Spiskowcy zapewne będą powoływać się na republikańskie ideały i chlubić tym, iż zabili tyrana. Nic bardziej mylnego! Zakłują go tylko dlatego, że napełnił ich serca grozą.

Niektórzy pewnie będą marzyć o budowie nowego, lepszego świata. Bez okrutnych i

szalonych cesarzy. Bez lęku towarzyszącego każdemu nadejściu świtu i bez paraliżującego strachu, kiedy słyszy się głośniejsze stukanie do drzwi. Nie doczekają się realizacji swej wizji. Po Kaliguli przyjdą kolejni cesarze. Kolejni szaleńcy, tyrani oraz mordercy. Gajusz Juliusz pozostanie w pamięci jako jeden z tego pocztu. A w mojej pamięci pozostanie jako człowiek, dzięki któremu życie stało się na pewien czas całkiem zabawne.

* * *

Potrzebuję teraz całej mocy, jaką mogą mi dać moje zdolności. Wzywam wszystkich niewolników do atrium, a oni stają tam zatrwożeni i niepewni swego losu. Lecz ich trwoga wynika jedynie z faktu, że stugębna plotka rozniosła już wieści o cesarskiej niełasce (zapewne spora w tym rola Pallasa). Być może niektórzy dostrzegli również patrol pretorianów czuwający przy bramie. Sądzą więc, że wydam ostatnie dyspozycje i wyzwolę ulubieńców. Lękają się jednak, gdyż nie wiedzą, czy zemsta Kaliguli nie dosięgnie także ich samych.

Wypowiadam słowa i czynię gesty, powodujące, że niewolnicy zamierają niczym śmiałkowie, którzy odważyli się dotrzeć do leża Gorgony Meduzy. Ale widzą wszystko, słyszą wszystko i mogą myśleć.

Kiedy rozrywam szyję najbliższej stojącej kobiety, czuję, że moje zęby zmieniają się w najostrzejsze

brzytwy. Spijam jej krew i jednocześnie chłonę to, co czują niewolnicy, bezradnie obserwujący tę scenę. Ale tym razem potrzebuję nie tylko emocji. Muszę dostać czysty, żywy strumień, bijący z pulsujących żył i tętnic. Wiem, iż pozostawię za sobą pokiereszowane ciała, ale nie jestem tym zmartwiony. I tak wszystko spadnie na głowę Kaliguli, gdyż z całą pewnością nikt nie uwierzy, że to nie on kazał zmasakrować moich niewolników. Piję, nurzając się w purpurze i upajającym zapachu, kiedy nagle dostrzegam coś, co mnie zdumiewa. A mianowicie, że jedna osoba nie poddała się sile mego głosu i wzroku. To niewolnica, której darowałem życie, kiedy stłukła amforę. Z przerażeniem przygląda się temu, co dzieje się wokół niej, lecz widzę, że może się ruszać i może mówić. A jednak nie ucieka. Zauważa moje spojrzenie i klęka.

– Zabierz mnie ze sobą – prosi.

Gdyby błagała o życie, nie zawahałbym się rozedrzeć własnymi kłami jej białej szyi. Czemu jednak sądzi, że dokąś zmierzam? Wyciągam dłoń i wpatruję się w szpony, które wyrosły z moich palców. Podchodzę do dziewczyny i rozcinam pazurami żyły na przegubie prawej ręki.

– Pij – rozkazuję.

Niewolnica skłania głowę i szkarłatna struga spływa prosto w jej usta. Daję jej dar z części własnego życia. Daję jej taki sam dar, jaki niegdyś ofiarowano mnie samemu. Teraz przypominam sobie bardziej niż wyraźnie podróżnego, którego gościła w domu moja rodzina. Przypominam sobie, jak stałem oniemiały, kiedy rozrywał na strzępy mego ojca,

matkę i siostry. Ale prócz przerażenia czułem też coś jeszcze. Czułem jakąś zdumiewającą więź łączącą moją duszę z duszą tego mordercy. I on musiał doznać podobnego uczucia, skoro uczynił mnie tym, kim jestem dzisiaj.

Dziewczyna upada na posadzkę nieprzytomna. To nic. Tak musiało być. Ocknie się za kilka godzin lub kilka dni napełniona... Jak to powiedziała Druzylla? Napełniona otchłanią.

Ha! Przynajmniej nikt już nie zrobi jej krzywdy i będzie spacerować po świecie niczym dziecko w ogrodzie pełnym kwiatów. Dziecko, od którego kaprysu tylko zależy, które rośliny zerwać, a które pielęgnować.

Nie potrafię stać się niewidzialnym, lecz napełniony mocą życia umiem kroczyć między ludźmi w taki sposób, że ich źrenice mnie nie dostrzegają. Strażnicy czuwający przy drzwiach mego domu być może przypomną sobie jedynie cień, który rychło zlał się w jedno z mrokiem rzymskich zaułków. Nawet na torturach przysięgną, że nie widzieli Marka Wibusza, choć przemknąłem tak blisko nich, iż poczułem muśnięcie płaszcza centuriona.

Muszę opuścić Rzym i znaleźć spokojne miejsce, w którym zapadnę w krzepiący sen, wiodący mnie w stronę następnych wieków. Może będzie to jaskinia w górach Kalabrii, może dno jeziora w słonecznej Ligurii, albo po prostu głęboki dół wykopany wśród leśnej gęstwiny... Poznałem już, że zawsze mam szczęście odnajdywać bezpieczny azyl. Intuicja ciągnie mnie ku Kampanii, gdzieś na południowy wschód od Neapolu, tam, gdzie z oddali słychać huk młotów, dochodzący z kuźni boskiego Wulkana.

Czy zastanawiam się nad własnym życiem? Nad tym, jak bardzo różni się ono od życia innych ludzi? Oczywiście, że tak. Czasami usiłuję przypomnieć sobie młodość. Ale niemal nic nie pamiętam, a wizje dawnych dni powracają na podobieństwo strzępów mgły gnanych wiatrem. Nikną zbyt szybko. Wiem tylko, że będę żył dłużej niż Kaligula i ktokolwiek, kto po nim zostanie cesarzem (nawet gdyby miałby nim być zabawny Klau-Klau-Klaudiusz).

Prawdopodobnie będę żył tak długo, że dla współczesnych mi ludzi imię Kaliguli stanie się jedynie pustym dźwiękiem. Albo tematem okrutnej baśni z minionych lat. Mógłbym rzec, że tylko bogowie wiedzą, kiedy się obudzę, lecz wiem, że bogów nie ma. A chciałbym w nich wierzyć. W Jowisza, Ozyrysa, Baala, Jahwe, Astarte, czy w kogokolwiek innego.

Wiem, że będę żył na tyle długo, że poznam wiarę w bóstwa wymyślone przez przyszłe pokolenia. Ludzie będą się do nich modlić i składać im ofiary (czasem nawet z własnego życia). Wszystko na próżno, bo gdyby bogowie istnieli, ja bym przekonał się o tym pierwszy. Gdyby uznali, że czynię zło, zesłaliby na mnie Furie i skazali na wieczne męki Tartaru. Gdyby uznali, że czynię dobro, pozwoliliby mi chociaż błędzić po Polach Elizejskich. A co ja sam myślę o moralnych wyborach, których przyszło mi dokonać? Czy jestem w stanie zmierzyć mą duszę, kierując się kategoriami zła lub dobra? Nie, nie jestem.

Pompejusz, Juliusz Cezar, boski Oktawian czy Tyberiusz kazali zabijać całe narody.

Mordowali mężczyzn i brali w niewolę dzieci oraz kobiety. Tysiącami. Dziesiątkami tysięcy.

Łez, które przelano z ich powodu, Danaidy nie przeniosłyby do końca świata, nawet gdyby zamiast sit dano im garnce o litych dnach. Rzymscy wodzowie uśmiercali, dręczyli i upokarzali ludzi, by zapewnić chwałę Imperium. Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku umierają niewolnicy. Na gladiatorskich arenach, w kamieniołomach, przy osuszaniu bagien i budowie miast. Ja zabijam i dręcę, wtedy bowiem krew zaczyna żywiej pulsować w moich żyłach i czuję słodkie oszołomienie. Czy w związku z tym jestem gorszy od żołnierzy, generałów i cesarów? Od namiestników, gubernatorów i prokuratorów? Czy bardziej od nich zasługuję na potępienie lub pogardę? Przecież zgładziłem mniej ludzi niż jedna karna ekspedycja wysłana w lasy Germanii! Czemu więc mam współczuć swym ofiarom, skoro ich krew jest jedynie kroplą w niezmiernym oceanie wylewanym przez wszystkie narody znanego nam uniwersum? Ale nie zamierzam się usprawiedliwiać, gdyż na całym świecie nie ma nikogo, przed kim mógłbym to uczynić.

Zamykam oczy i kulę się niczym dziecko spoczywające w matczym łonie.

– Żegnaj, Marku Wibiuz – szepczę do samego siebie, a potem wypełnia mnie noc, która nie jest ani gorzka, ani słodka, lecz zrasza me usta kroplami niesionymi znad leniwych toni Lete.

Krzysztof Piskorski

Złamani

Osiemnastego dnia ucieczki Tyc stracił nadzieję. Jego oczy widziały już tyle zamarzniętych trupów, zapadłych twarzy, tyle czarnych, odmrożonych kończyn i zropiałych ran, że te obrazy prześladowały go nawet wtedy, gdy przymknął powieki.

Wielu jego towarzyszy trzymała przy życiu nadzieja, że w Smoleńsku czekają posiłki i zapasy; że jeszcze się zatrzymają, przegrupują, stawią opór. Tyc był zbyt doświadczony, by w to wierzyć. Wiedział, że nie może być mowy o dalszej walce. Niejeden batalion skurczył

się do kilkunastu ludzi. Artyleria nie miała armat. Kawaleria – koni. Dezerterów i maruderów było kilkakrotnie więcej niż zorganizowanego wojska. A cesarz, ten bóg wojny, który podeptał wszystkie trony Europy, zmienił się w widmo. Niby wciąż jechał z armią, niby co dzień widziano jego kolosę, regularnie pisywał też nowe biuletyny, lecz żołnierze i oficerowie nie czuli tej krzepiącej aury, którą zwykł roztaczać Bonaparte. Zupełnie jakby jego nadnaturalna moc, owa tajemna władza nad ludzkimi umysłami, teraz ulotniła się ze szczętem. I choć ludzie tacy jak Davout, Ney czy Poniatowski wciąż walczyli, dobywając resztek sił, by ocalić Wielką Armię, Stanisław Tyc miał już dość.

Wieczorem, gdy jego kompania stanęła w opuszczonej wiosce, ruszył, by znaleźć kogoś, kto ma jeszcze garść pistoletowych kul. Swoje wystrzelał do ostatka w potyczce z kozakami, a duże pociski z karabinów nie nadawały się do pistoletu. Na szczęście wśród kompanii znalazł się zagubiony ułan, który straciwszy konia, przystał do pieszych fizylierów, byle nie zostać w tyle i nie przepaść w morzu maruderów i cywili, ciągnących za armią i zostawiających za sobą szlak wybrukowany tysiącami skostniałych zwłok.

Kupiwszy proch za ostatnią kwartę wódki, Tyc zamknął się w starej chacie, gdzie miał

kwaterę. Wyprosił adiutanta. Powoli nabił pistolet: natłuszczona kula, proch, filcowa przybitka, pobończyk, zamek, kapiszon. Każdą czynność celebrował z przesadną pedanterią, nie wiedząc, czy to dlatego, że ma oddać najważniejszy strzał w życiu, czy też dlatego, że podświadomie próbuje odwlec nieuniknione.

W końcu jednak nie zostało już nic do zrobienia. Tyc uniósł broń i przyłożył do skroni.

Lufa była przyjemnie chłodna.

Powoli ściągnął palec, jakby delektując się oporem spustu.

Huknęło.

Przez otwarte drzwi wdarł się do środka lodowaty podmuch. Tyc aż podskoczył.

Błyskawicznie odłożył pistolet, jak dziecko przyłapanie na zabawie monoklem ojca. W

wejściu stał szaser w wyświechtanym mundurze.

– Słucham – rzekł ochrypłym głosem Tyc.

Sylaby z trudem przechodziły przez gardło, jakby do ciała kapitana nie dotarło w pełni, że jeszcze

żyje.

– Kapitan Stanisław Tyc?

Skinął głową.

– Mam pilne wezwanie ze sztabu. Do pana oraz do pułkownika.

Wstał powoli, walcząc z zawrotami głowy.

* * *

Kwadrans później był przed namiotem Karwińskiego, szefa batalionu. Chrząknął głośno.

– Wchodź, właśnie gotuję się do drogi – dobiegł ze środka przyjemny baryton.

Tyc, wciąż jeszcze rozedrgany, wziął kilka głębokich oddechów, uspokoił nerwy. Bał

się, że Karwiński, z którym znał się od lat, wyczyta z jego twarzy, co właśnie zaszło. Na szczęście, gdy wszedł do namiotu, gruby pułkownik stał pochylony przy lustrze, zbyt skupiony na brzytwie, którą skrobał grdykę, by poświęcić mu choć jedno spojrzenie.

– I co o tym wszystkim sądzisz? – spytał.

– Sam nie wiem.

– Kiedym zobaczył pieczęć, myślałem, że ktoś w sztabie sobie pofiglował. Ale nie. To jego pismo, Stanisławie. Pamiętam, bo kiedyś pod Raszynem osobiście sporządził dla mnie rozkaz.

– Myślałem... a raczej miałem nadzieję, że jest już daleko. Przy cesarzu.

– To człowiek honoru. Za nic nie zostawi korpusu.

– Myślisz, że dlaczego nas wzywa?

– Coś się pewno święci. Może Ney postanowił wreszcie odgryźć się Kutuzowowi? Kto wie, jeśli dopisze nam szczęście, wkrótce pójdziemy w bój. – Wytarł twarz lnianym ręcznikiem.

– Najwyższy byłby czas – mruknął Tyc.

Od tygodnia mróz i głód dziesiątkowały ich co noc. Wroga bali się przeto znacznie mniej niż bezkresnych zimowych przestrzeni.

* * *

Poniatowski czekał przed namiotem. Zgarbiony i otulony płaszczem, siedział przy ażurowym stoliku, na którym dymiły trzy filiżanki kawy. Złocona porcelana kłuła w oczy na tle poszarpanego odzienia księcia. Nieopodal stał ordynans o bladej, zmarniałej twarzy, zawinięty w futro, zdarte pewnie z

jakiegoś bojara. W dłoni ścisnął kurczowo złoty imbryczek.

Książę wyrwał się z zamyślenia, gdy dwóch oficerów stanęło przed nim na baczność.

Dopiero teraz Tyc zdał sobie sprawę, jak żałosny przedstawiają widok. On sam był raczej wysoki, dobrze zbudowany, lecz będąc już miesiąc o suchym chlebie, wychudł tak, że wyglądał jak tyka. Karwiński zaś, niegdyś gruby i jowialny jegomość z krzaczastymi bokobrodami, stracił tyle sadła, że skóra wisiała na nim jak wór.

– Pan Karwiński, pan Tyc?

– Tak jest. – Pułkownik zsalutował. – Waszmość książę raczył nas wezwać?

– A owszem. Siadajcie, panowie, częstujcie się. Antoni dopiero co zaparzył kawę.

Zajęli miejsca. Karwiński, który od dwóch dni nie miał nic w ustach, wsypał do filiżanki tyle cukru, że zażenowany Tyc odwrócił wzrok.

Książę jednak jakby tego nie widział, skupiwszy się na lustrowaniu twarzy oficerów.

– Powiedz pan, panie Karwiński, jak tam regiment? Bo pamiętam, że to dzielni ludzie.

Tak się pod Witebskiem sprawili, że serce mi rosło z dumy. Davout, który szturm widział, przysłał mi potem list z gratulacjami...

– Nie za dobrze, mój książę. Nie ma prowiantu, prochu tyle co nic.

– Jak wszędzie – zbył go Poniatowski. – Ale nastroje dobre?

– Tym nas Bóg pobłogosławił, że chłopcy to dzielne, pod komendą się jeszcze trzymają.

Wielu wszelako od mrozu pomarniało, wielu zginęło pod Winkowem. Został nas już tylko jeden batalion, a i w tym dwie kompanie rozwiązałem, by inne miały pełny etat. Mamy teraz jakichś trzystu ludzi, ale do walki słabo zdadni...

– A grenadierzy?

– Siedemdziesięciu – odparł Tyc. – Trzymają się jeszcze.

Błada twarz księcia Józefa rozjaśniła się nieco.

– Wyśmienicie, to właśnie chciałem usłyszeć. Bo widzicie, panowie, niewiele zostało nam zdatnych do boju batalionów. Nie mówiąc o pełnych regimentach, takiego bowiem już nie uświadczysz; w wielu ledwie jedna kompania. No i oficerów brak, szczególnie takich, co jeszcze się złamać nie dali zimie i wrogim podjazdom.

Tyc wspomniał, jak ścigał już spust pistoletu, i omal nie spłonął ze wstydu.

– Tymczasem mam pilne zadanie – kontynuował książę. – I tak sobie myślałem, że wasz pułk może się tu sprawić najlepiej.

– Zrobimy co w naszej mocy, by nie zawieść książęcego zaufania – odparł nieco zbyt gorliwie Karwiński.

Właśnie wtedy Tyc poczuł nieprzyjemny odór. Rozejrzał się niepewnie. To ordynans, ściskając imbryk między odmrożonymi dłońmi, nie poczuł nawet, że gorący metal przypala mu martwicę na końcach palców. Dopiero gdy spostrzegł, że Tyc patrzy mu na ręce, z zażenowaniem odstawił imbryk. Na polerowanym boku zostało pięć ciemnych smug.

– Słyszał który z was o Borniczyźnie? – zapytał Poniatowski. – O szwadronie huzarów tam straconym?

– Jakieś plotki krążyły, mości książę. Ale ludzie tyle okropności rozpowiadają, że trudno się domyślić, co prawda, a co fałsz.

– To akurat prawda, niestety. Pięćdziesięciu wzięto z zaskoczenia, porżnięto i wypatroszono jak wieprze. Adiutant, co ich potem znalazł, całkiem stracił mowę. Cesarz dwa razy kazał doniesienie sprawdzić, bo wiary dać nie chciał. I ja nie chciałem. Wiem, że Rosjanie nas nienawidzą, a prości chłopci z widłami za armią ciągną, byle tylko kilku maruderów ubić. Ale to co innego. Tych ludzi torturowano w okrutny sposób, rwano na sztuki, obwiązywano własnymi trzewiami. *On dirait, que le monde entier a perdu la tete!**

Karwiński pobladł. Odsunął od ust filiżankę przesłodzonej kawy.

– Myśleliśmy, że to dzieło jakichś pijanych z nienawiści szaleńców. Sam zapewniłem cesarza, że to jedynie niefortunny wypadek i nic podobnego się nie powtórzy. Ale powtórzyło się. Nie raz.

– Jak to? – Tyc uniósł się z miejsca. – Przecież nic nie słyszeliśmy!

– Tylko dlatego, że sztab działał prędzej. Trupy grzebano natychmiast, świadków nie było. – Poniatowski wskazał kartę leżącą przed nim. – Dwudziestego ósmego września pod Drabnowką wyrznęli kompanię francuskich saperów. Trzydziestego schwytali i wymordowali ariergardę pułku ułanów. Trzeciego listopada, kiedy zaczęły się te przekłete mrozy, zaatakowali bawarską półbrygadę podczas przeprawy. Stu ludzi potonęło, skopywali ich z brzegu jak psy, wprost do lodowatej wody. Przeszło czterdziestu zmasakrowano. Ich wnętrzności, jak szkarłatne girlandy, rozwiesili w pobliskim zagajniku. Przekłęci oprawcy.

– *Mon dieu* – szepnął pułkownik. Filiżanka zatrzęsała mu się w dłoniach.

– To nie koniec. Było jeszcze pięć ataków, ale nie zdręczajmy się szczegółami.

– I nikt nic nie zrobił, żeby temu przeciwdziałać?

– Proszę nam wierzyć, pułkowniku. Próbowaliśmy. Moi ułani chwyтали jeńców na spytki, patrolowali tyły, wielu zaginęło bez wieści i boję się myśleć, co mogło im się stać. W

końcu dowiedzieliśmy się, że to wszystko sprawka ledwie jednej sotni kozackiej. Dowodzi nią niejaki Woronienko, ponoć szaleniec. Krąży wokół nas jak wilk, szarpiąc to z jednej, to z drugiej strony. Nawet jego rodacy się do niego nie przyznają. Inne sotnie unikają Woronienki jak ognia, a Barclay de Tolly, ten marszałek-najemnik, co wysługuje się carowi, skazał sotnika na stryczek, za to, że lekce sobie waży wszelkie rozkazy. Wolałbym już mieć przeciw sobie jakąś bestię, jakiegoś potwora z rosyjskich borów, o którym zaczęli ludzie bajać.

Poniatowski zamilkł, upił łyk kawy, roztarł zgrabiące dłonie. W obozie rozłożonym u stóp namiotu medyk właśnie zaczął obchód. Jego pomocnicy krążyli po obozowisku, szukając zamarzłych trupów. Nieśli je potem na wzgórze, by zrzucić w dół, na stertę, z dala od reszty regimentu. Tyc zadrzał. Ten upiorny korowód, zimne stalowe niebo, złoczone

* Można by rzec, że cały świat stracił głowę.

filiżanki i pudrowane loki księcia mieszały się w jeden mącający zmysły, nierealny obraz. W

końcu Poniatowski podjął:

– Posłałem już za Woronienką dwa szwadrony ułanów. Przeszło sto koni, wielki wydatek dla korpusu, gdzie większość jazdy została z samymi jeno siodłami. Mimo to kozak wciąż się wymykał, mylił tropy, by zaraz potem uderzyć zniemacka wiele mil dalej. *C'est r' devenir folle**. Tymczasem straty rosna, ludzie zaczynają szemrać... Cesarz cały czas powtarza: „Nikt nie jest pokonany, dopóki nie uzna się za pokonanego”. Rozumiecie to?

Jeżeli wrócimy do Księstwa w ordynku i pod sztandarami, nie będziemy pobici. Odepchnięci

– tak, przetrzebieni – tak, ale nie pobici! Wszakże gdy odwrót zmieni się w beładną ucieczkę, gdy ludzie się zbuntują, sztab straci panowanie nad pułkami, wtedy koniec. Wielka Armia zostanie unicestwiona. Dlatego to nie może dłużej trwać, panowie. Sam cesarz przykazał mi zakończyć sprawę, a ja powierzam to wam. Ubijecie mi Woronienkę.

– Ale jak, skoro nawet ułani go nie złapali? To jakby za wiatrem po polu gonić!

– A tak, że zostaniecie za armią. Wystawicie mu się na atak, prowokujecie. Potrzeba mi pozorantów, którzy odegraliby rolę pobitej, złamanej grupki maruderów, w rzeczywistości będąc doborowym wojskiem. Nie da się wilka schwytać, to podrzucmy mu trutkę. Kąsek, przy połknięciu którego musi się zadławić!

– Jezusie Nazareński! – Karwiński przeżegnał się. – Toć to pewna śmierć! Jeśli zostaniemy w tyle, zaraz awangarda Płatowa nas osaczy. Przecie Rosjanie postępują ledwie kilkanaście mil z tyłu! Chce nas ksiązę jako ten ochłap przed psy rzucić?

– No, no! Miarkujcie słowa, pułkowniku. Pewien jestem, że Woronienko przed Płatowem was dopadnie, dla niego będziecie kąskiem nie do wzgardzenia. Ale on sobie na tym kąsku zęby połamie, już ja o to zadbam. Dostaniecie prowiant z rezerw gwardii, prochu i kul ile trzeba. No i powiększymy batalion. Dojdzie wam nowa kompania, Westfalczyki, co nimi dowodziłem pod Borodino.

Woronienko to tchórzliwy pies, wygrywa dzięki zaskoczeniu. Musicie się tylko dobrze odgryźć i będzie po nim. Więc jak, panowie? Mam pisać rozkaz? Bo wiecie, że nie chcę tego robić bez zgody. Zostać za armią to rzecz niebezpieczna, wolałbym słać ochotników.

Tyc i Karwiński spojrzeli po sobie. Wiedzieli, że zadanie jest śmiertelnie niebezpieczne, dzikiego sotnika bali się jak ognia, ale z drugiej strony tylko w ten sposób mogli nakarmić swoich ludzi i dać im cel. Nadzieję na cokolwiek poza głodową śmiercią wśród śniegu.

– A piszcie, mości książe – odparł wreszcie Karwiński.

– Zuchy! Takich mi zazdrozczą Murat z Neyem. Ubijcie mi Woronienkę, a przedstawię was do awansu. Regiment dostanie tyle krzyży, że ludzie będą obwieszani jak Stara Gwardia. *Ma parole d'honneur!*†

* Można od tego oszaleć.

† Słowo honoru!

Pułkownik aż się wyprostował i zaczerwienił na te słowa, ale Tycowi przeszły mimo uszu. Nie szukał awansu czy orderu. Szukał śmierci – chwalebniejszej od konania z głodu.

Choć chciał to ukryć zarówno przed Karwińskim, jak i księciem, był już złamany. Mróz i strach wypaliły w jego duszy wszystko oprócz gorącego pragnienia, by ten straszny odwrót dobiegł wreszcie końca.

Przymknął powieki, a wtedy przed oczyma stanęła mu okropna twarz owrzodzonej kobiety.

„Niewielu was wróci”.

„Nie rozumiesz Rosji, kapitanie”.

* * *

Powrót do pułku zajął Tycowi i Karwińskiemu przeszło pięć godzin. Za Barnikowem trafili na wielotysięczny tłum, który ciągnął się za armią. Musieli go ominąć szerokim łukiem. Wiedzieli, że ludzie rzuciliby się na nich przy pierwszej okazji, by zabrać im konie i sprawdzić, czy nie mają prowiantu. Objechawszy nieszczęśników galopem, starali się nie patrzeć na kobiety, które desperackim gestem wyciągały w ich stronę swoje dzieci, oraz na mężczyzn, którzy wiedli za nimi zawistnym wzrokiem. Zarówno błagania, jak i przekleństwa litościwie stłumił wicher.

Ledwie godzinę później, przekraczając jar o stromych zboczach, natknęli się na rosyjski podjazd. Szwadron kozaków stanął w zagajniku po drugiej stronie. Tyc z Karwińskim przyłgnęli do ośnieżonego stoku, modląc się, by konie nie wydały żadnego odgłosu. Tkwili tak długie minuty, nasłuchując wroga. Wreszcie Rosjanie odjechali.

Wyziębione zwierzęta z trudem wspięły się po zboczu. Po godzinie byli już w obozie pod Darniówką. Wartownicy patrzyli na nich ciekawie, nie mogąc się doczekać nowych rozkazów.

Choć obaj byli śmiertelnie zmęczeni, nie rozeszli się do kwater – miast tego pułkownik wezwał resztę oficerów na odprawę. Przy mapie ustalono szczegóły jutrzejszego marszu.

Batalion ruszał na północny zachód, by zostać za główną częścią korpusu. Westfalczyki mieli dołączyć w drodze.

– Trzeba nam ich sięgnąć, dopóki wiemy, gdzie są – rzekł jednak Tyc. – Kto wie, dokąd jutro pomaszerują. Pojadę.

– Pewien jesteś? – spytał z obawą Karwiński. – Z konia nie spadniesz? To daleka droga.

Kapitan uchylił tylko kapelusza i wyszedł. Skrzyknął dwóch podoficerów, po czym ruszył na pustkowie.

Zima otuliła go niby całun. Nie czuł zmęczenia, tylko niezwykły spokój, ulgę – jakby już nie żył i sunął przez śnieżną krainę jako duch, dla którego ludzkie sprawy są odległe i mało istotne.

* * *

– Czemu nie rzekłeś im prawdy, mości księżę?

Generał patrzył nań z głębokim wyrzutem. Poniatowski skurczył się pod szubą. Dłonie mocniej ścisnęły pióro.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł, patrząc w bok, ponad jego ramieniem.

– Dlaczego nie powiedziałeś im o poprzedniej zasadzce? Dlaczego kłamałeś, że nie zostawił świadków? Przecież wiesz, z kim mają do czynienia...

– Nie mamy pewności.

– Mamy, mówiłem ci już. Ślesz ich na śmierć.

– Być może. Ale nie upadłem jeszcze tak nisko, by wierzyć w upiory i czarną magię.

Woronienko jest człowiekiem i jak każdą ludzką istotę da się go usieć. Jesteśmy pobici, słabi, rozżaleni – w tej sytuacji umysł płata różne figle, chwytny się każdej możliwości, żeby się ratować. Ale nie, generale. Ja nie zapominam: przybyliśmy tu nie tylko walczyć o Polskę. Wielka Armia to siły postępu, cywilizacji. Któż przeciw nam staje? Skostniałe monarchie, ciemny lud? Nowe i tak nadejdzie, zmiecie wszystkich, którzy staną na drodze.

– Naprawdę wierzysz w chore rojenia Korsykanina?

– Więcej szacunku, generale.

– Co byłem mu winien, już krwią spłaciłem.

– Wiedz, że to nie tylko marzenie cesarza, ale i moje.

– Wybornie! W imię filozofii poświęcić chcesz cały batalion? Ile jeszcze trupów padnie, nim mi uwierzysz?

– Nie zwykłem słuchać rad nieboszczyków, *monsieur*.

Generał Fiszer roześmiał się tylko i rozpląnął w powietrzu.

* * *

Znaleźć Westfalczyków nie było trudno. Zaraz za Kowienienkami Tyc natknął się na szeroki szlak wydeptany w ziemi przez kilkudziesięciu ludzi. Znaczony porzuconymi zniszczonymi butami, szmatami i chłopskimi siermięgami ciągnął się aż po horyzont, żłobiąc w śniegu brzydką szramę. Tyc ruszył jej środkiem, wiedząc, że jednostka musi być niedaleko. W tych warunkach żołnierze nie pokonywali więcej niż osiem mil dziennie.

Minął dwa wzgórza, skutą lodem rzeczkę, nad którą kamienny most zawalił się w połowie. Wjechał w brzozowy zagajnik. Pochłonęła go martwa cisza, jakiej nie zaznał nigdy wcześniej. Wiatr wiązał gdzieś w koronach drzew, a ciężkie od śniegu i lodu gałęzie nawet nie drgały. Zwierzęta i ptaki tkwiły głęboko w kryjówkach. Tylko czasem gdzieś rozlegał się trzask, po którym kark Tyc zraszał się zimnym potem. Ale nie były to strzały ani

nawoływania leśnych duchów. To żywica, zamarzając w pniach drzew, rozsadzała je od środka.

Opuściwszy zagajnik, dostrzegł regiment. W świetle księżyca czerniała na śniegu plama stłoczonych żołnierzy, pogrążonych w niespokojnym śnie. Ów złośliwy, ciemny guz na gładkim krajobrazie z daleka bił strasznym fetorem. Tyc nie zauważył wartowników. Widać fizylierom było wszystko jedno, czy skonają z zimna, czy zginą zarznięci we śnie jak barany.

Mimo to zostawił poruczników z tyłu, a sam zbliżał się ostrożnie, by jakiś wyrwany ze snu żołnierz nie posłał mu kuli. Nie dostrzegli go jednak, nawet gdy był parę kroków od pierwszych ciał. Ci, którzy nie spali, tkwili w nieprzytomnym transie – w ohydny połączeniu głodu, wyziębienia i skrajnego wyczerpania. Wojsko w takim stanie Tyc widział

po raz pierwszy, właśnie tu, podczas rosyjskiej kampanii.

Wszedł między ludzi, lecz po ciemku, na ziemi okrytej warstwą obszarpańców, próbujących ciepłem własnych ciał zastąpić brak zimowych płaszczy, znalezienie oficera graniczyło z cudem. Chwilę kręcił się bez celu, po czym zatrzymał się i trącił stopą jednego z żołnierzy.

– Westfalczyk? – spytał po francusku.

Spojrzenie wojaka, z początku mgliste, nieco oprzytomniało, gdy zobaczył nad sobą oficera w porządnym mundurze.

– Westfalczyk? – powtórzył.

– Tak jest! Siedemnasty Regiment Strzelców Reńskich.

Fizylier spróbował stanąć na baczość, ale skostniałe nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Pokaż mi tylko drogę do pułkownika. – Tyc uspokoił go ruchem ręki.

– Pułkownik... Pułkownik nie żyje.

– Podjazd? Spotkaliście awangardę Płatowa?

– Nie.

– No to gadaj, co się stało?

– Tyle że ja nie mogę. To sprawa honoru regimentu.

– Honoru, powiadasz? Regiment może swój honor zyskać lub stracić tylko w walce. A ja właśnie przychodzę do was z bojowym zadaniem. Jeśli nie powiesz mi, gdzie dowódca, będę musiał wrócić do sztabu z niczym, misja przypadnie komuś innemu.

Na policzkach fizyliera pojawił się rumieniec. Bojowe zadanie! To była szansa, że dostaną trochę prowiantu i amunicji.

– *Monsieur* Schwarzenfeld oddalił się wczoraj po południu wraz z adiutantem – rzekł szybko.

– I? – Kapitan ponaglił żołnierza, bo ten zamilkł, jakby szukając odpowiednich słów.

– Poszli do wioski, ukraść trochę chleba...

– Mów dalej.

– Zobaczyła ich rosyjska chłopka i zatłukła kłonicą. Obu.

Tyc aż sapnął. Cesarski oficer zabity przez wieśniaczkę podczas ordynarnej kradzieży?

Wielka Armia nie mogła upaść niżej.

– Ale daliśmy im za to popalić – zapewnił gorąco strzelec. – Gdy tylko doszły nas wieści, porucznik kazał otoczyć wieś. Chłopi nawet się zbytnio nie bronili. Zerwaliśmy im strzechy, porąbaliśmy stodoły. Były we wsi trzy duże piece chlebowe i wkrótce każdy tak buchał żarem, że aż śnieg wokół chat topniał. No i potem wszystkich dorosłych, zaczynając od tej baby, zaczęliśmy prażyć. Hyc, i do pieca. Aż przestali krzyżeć. Reszcie kazaliśmy stać wokół i słuchać tych krzyków, dopóki nie przysła ich kolej. Dla wszystkich jednak nie starczyło miejsca. Widzi pan, kapitanie, przekłete piece zaczęły pękać od żaru, kiedy tłuszcz, co się z rusków wytopił, zapłonął w popielniku...

Na samo wspomnienie twarz strzelca rozjarzyła się taką radością, że Tyc aż poczuł mdłości.

– Dość – przerwał. – Kto teraz dowodzi?

– Porucznik Witte.

– Prowadź.

Witte okazał się najwyżej dziewiętnastoletnim młodzieńcem o pociągłej, bladej twarzy.

Wysłuchał rozkazów, skwapliwie przytakując. Patrzył przy tym na Tycę z taką miną, jakby miał nadzieję, że kapitan zwolni go z dowództwa.

Chwilę potem Tyc wskoczył na konia i ruszył w drogę powrotną, przez równiny, skąpane w lodowatym świetle księżyca. Zmęczony i zmarznięty, przysypiał w siodle, lecz za każdym razem, gdy tylko przemykał oczy, widział pod powiekami okropne owrzodzone oblicze...

„Niewielu was wróci”.

* * *

Twarz się wykrzywiła. Usta wypowiadały jakieś słowa, ale Tyc potrząsnął głową, aby przegnać majak.

– Dobrze się czujesz, Stanisławie? – Karwiński klepnął go po ramieniu.

– Tak. Zasłabłem tylko.

– A mówiłem, żeś się wczoraj niepotrzebnie forsował. Spałeś cokolwiek tej nocy?

– Niewiele.

Stali na wzniesieniu, obok maszerowała długa kolumna batalionu. Niemal trzystu ludzi, sześć kompanii. Z przodu wołtyżerowie pod dowództwem Stępińskiego – ponurego Mazura o wiecznie zmrużonych oczach. Dalej liniowa piechota Łozy, Garłowa, Puckermana, Wittego. Na końcu grenadierzy Tycy, weterani, którzy dzięki wysokim bermynom górowali nad resztą piechurów.

– Cały czas odnoszę wrażenie, że coś cię martwi... – drażył Karwiński.

Traktował go niczym ojciec – i nic w tym dziwnego. Po pierwsze, jako przyjaciel jego matki czuł się za Tycę odpowiedzialny. Po drugie, służyli razem od wieków, pnąc się wspólnie w służbowej hierarchii; Tyc zawsze o krok za Karwińskim. W 1806 Piotr był

porucznikiem, Stanisław młodziutkim podchorążym. W 1809 Karwiński dostał oficerskie szlify, Tyc awansował na porucznika. W 1812 pierwszy był już pułkownikiem, drugi kapitanem. Gdy regiment

Karwińskiego posłano na pierwszą linię pod Borodino, pułkownik miał tylko jedną prośbę: żeby Stanisław Tyc objął dowództwo grenadierów i został jego zastępcą.

– Pozwolę sobie zauważyć, że wysuwamy się za bardzo na północ – zmienił temat Tyc.

– Co racja, to racja. Nie chcę jeszcze spotkać przednich straży Płatowa. Myślisz, że ten Woronienko w ogóle nas znajdzie? Front ciągnie się dziesiątkami mil. Skąd zwykły kozacki watażka może wiedzieć, że tam – wśród pustkowi – został w tyle jeden batalion?

– Jeśli to, co o nim mówią, jest prawdą, dowie się niezawodnie.

Karwiński nie wiedział, czy ma się z tego cieszyć.

– Posłuchaj no, Stasiek – rzekł po chwili milczenia. – Chciałem cię o coś poprosić. Tak na wypadek, gdyby mnie wreszcie kostucha siekła.

– Daj spokój... Głupie gadanie!

– Nie przerywaj, tylko słuchaj uważnie. Jeśli mnie braknie, tobie zawierzam batalion.

Doprowadź ludzi bezpiecznie do Księstwa. Nie nadstawiaj karku, kieruj daleko od huku armat. Nie przerywaj! Zrozum, tu nie o wojnę już idzie, wojna przegrana. Teraz każdy walczy o siebie. Batalion trzeba ocalić, każdy żołnierz będzie dla Księstwa na wagę złota.

Bo ja, Stasiek, czuję, że oni nas zostawią. Że jeśli sami się nie obronimy, nikt nam nie pomoże. Nie bądź więc skory, żeby na skinienie Francuzów poświęcać swoich. Niech oni łby pod topór kładą, ich był pomysł Moskwę zdobywać. Pojąłeś? Dobrze. Widzisz, tobie muszę ten ciężar złożyć na barki, bo tyś jeden głowy całkiem nie stracił. Potrzeba mi oficera, który się nie złamał. Takiego, co będzie sobą do końca.

Tyc prychnął. Gdyby pułkownik wiedział, co się stało w opuszczonej chacie zaledwie dwa dni temu!

– Do tej pory fortuna nas oszczędzała – kontynuował Karwiński. – Popatrz, jak ciężkie straty ponieśli inni, jak małe my. Ale Bóg daje, Bóg odbiera. Za wszystko przyjdzie zapłacić.

Więc co, będziesz ojcem dla tych ludzi, gdyby mnie kula dosięgła?

– Będę.

– Pamiętaj, Wielka Armia jeszcze nie została pokonana. Rosjanie mogą nas kasać na flankach, ale nie wystarczy im sił, by nas rozbić. Odrobina szczęścia, a wyjdziemy stąd w porządku i pod sztandarami.

Był ósmy listopada. Od Niemna dzieliły ich jeszcze dwa miesiące drogi przez wyludnione pustkowia.

* * *

Dziewiątego batalion się podzielił. Zarówno oficerowie, jak i prości szeregowcy chcieli odwlec tę chwilę jak najdłużej, ale gdy wreszcie znaleźli się za ariergardą korpusu, trzeba było zarzucić sieć. Od rana poszczególne kompanie opuszczały obóz, każda w innym kierunku, jak siewcy, którzy się rozeszli po polu.

Pogoda im sprzyjała. W ten cichy, mroźny dzień powietrze było tak niezwykle przejrzyste, że pojedynczego człowieka dało się dostrzec z wielu mil. Mimo to żołnierze żegnali się z towarzyszami, oficerowie salutowali sobie na odchodnym. Wiedzieli, że jeśli sotnia kozacka dopadnie samotną kompanię, odsiecz może przyjść za późno.

Tyc powiódł swoich starym traktem. Co chwila lustrował okoliczne zagajniki za pomocą lunety. Wolał zachować ostrożność, choć teoretycznie jego grenadierzy byli bezpieczni. Szli w samym środku sieci, tak by w razie ataku szybko dotrzeć na każde ze skrzydeł. Żołnierze byli na tyle pewni siebie, że parę razy musiał ich ganić, bo śpiewali za głośno i maszerowali zbyt rażno, by uchodzić za zwykłych maruderów.

Po południu kolumna Tyc spotkała szwadron ułanów. Trzy tuziny konnych w mundurach Księstwa gnało przed sobą kilkudziesięciu Rosjan. Tyc podjechał do siwego rotmistrza, uchylił kapelusza.

– Dalekoście z tyłu zostali – rzekł.

– Taki los, panie kapitanie. Jenerał kazał jeńców trzymać, a psiekrwie tak już są wycieńczone, że nie chcą iść.

Stanisław skinął głową. Wiedział, dlaczego pojmani Rosjanie byli dla sztabu tak ważni, że ich trzymano, choć armia się cofała. „Nikt nie jest pokonany, dopóki nie uzna się za pokonanego”. Jeńcy stanowili żywy dowód zwycięstw Wielkiej Armii. Byli konieczni, jeśli miała odgrywać pozory uporządkowanego odwrotu.

Po chwili Tyc znów się odezwał:

– Płatów ledwie parę mil za nami. Nie straszno wam tak odstawać?

– O nas niech się kapitan nie martwi. Jak tylko rosyjski podjazd na horyzoncie zoczyemy, jeńcom w łeb się da i w nogi. Konie wypoczęte, cały czas jeno drepcą, to się wyrwiemy.

Gorzej z wami. – W głosie ułana słyhać było autentyczne zmartwienie. – Pieszko trudno będzie uciec. Poblądziliście, czy jak?

– Książę kazał tyłów strzec.

– A jak tak, to co innego. Służba nie drużba.

Dalej jechali już w milczeniu. Jeńcy co jakiś czas spoglądali błagalnie na grenadierów, jakby w nadziei, że dadzą im choć kawałek chleba.

Po godzinie kolumna trafiła na świeże pobojuwisko. Małe wzniesienie było usłane trupami tak gęsto,

że z daleka wyglądało tak, jakby je usypano z ciał. Francuscy strzelcy liniowi leżeli tam przemieszani z załogą dwóch baterii armat, pułkiem petersburskich

kirasjerów oraz litewskimi szaserami. W bladym zimowym słońcu błyszczały zbryzgane krwią kirysy, rozłupane czaka. Okropne rany parowały jeszcze, a tam i ówdzie rozlegał się błagalny jęk konającego. W nozdrza wciskał się ciężki zapach posoki.

Gdy oddział mijał pobojuwisko, rotmistrz spojrzał po swoich jeńcach i skinął głową Tycowi.

– Pan wybaczy, kapitanie. Ci biedacy zaraz mi skapieją. Nie da rady, trza się zatrzymać na popas. – Następnie machnął ręką na swoich ludzi i krzyknął: – No! Dajmy się ruskim napaść.

– Pasać ich, chłopaki, pasać! – rozeszło się wśród ułanów.

Kopniakami i razami batów pognano jeńców na pobojuwisko. Rosjanie nawet nie próbowali szukać czegoś do jedzenia. Wiedzieli, że obu stronom na nim nie zbywa, więc te resztki, które mogli mieć przy sobie martwi, dawno zostały ukradzione. Nie marnując czasu, od razu się rzucili na końskie trupy. Rwali prosto z ran parujące jeszcze mięso, pchali je garściami do wykreconych głodem gęb. Ci, którym nie udało się dopchać do zwierząt, pożerali ludzi. Rotmistrz patrzył na to dobrotliwie.

Tyc otworzył usta. Chciał coś powiedzieć, zaprotestować, ale grenadierzy wokół śmiali się, widząc, jak jeńcy rozdzierają ciała gołymi dłońmi albo ułamkami bagnatów. Tylko garstka młodszych stażem pobladła, jeden zgiął się w torsjach. Kapitan zacisnął więc zęby i zmilczał.

Gdy chwilę potem zostawili ułanów w tyle, ani razu nie spojrzał za siebie.

Na parę godzin przed zmierzchem spostrzegł gońca, który pędził w ich stronę, poganiając konia ostrymi sieknięciami szpicruty.

* * *

– Uszczypnij mnie, bo chyba śnię. – Karwiński z niedowierzaniem obserwował rosyjski obóz i własnych ludzi, którzy powoli zacieśniaли pierścień.

Tyc nie odpowiedział. I on nie wierzył, że mają tyle szczęścia.

Przygotowania szły podręcznikowo, jak na manewrach w szkole oficerskiej.

Wołyżerowie podkradli się tyralierą na samą krawędź lasu. Kozacy, którzy rozbili obóz kilkadziesiąt kroków od drzew, nawet nie przeczuwali, że zza gęstych, suchych chaszczki patrzą w ich stronę dziesiątki jednookich luf. Tymczasem grenadierzy i dwie kompanie liniowej piechoty podpełzły do parowu, który podkową otaczał biwak od południa. W kilka chwil sotnia została otoczona ze wszystkich stron, złapana między ścianę lasu a naturalny okop, w którym roiło się od strzelców.

Tylko raz zaniepokojone konie uniosły głowy, jakby węsząc niebezpieczeństwo. Jeźdźcy uspokoili je, by wrócić do kart.

Nagle z parowu gruchnął strzał – znak dla reszty batalionu. Po równinie przetoczył się huk gorszy od gromu; było go słyhać wiele mil dalej. To trzy setki karabinów wystrzeliły niemal równocześnie, otaczając obóz ścianą dymu.

– Ładuj! Strzelać do woli! – padły komendy.

Kozacy poderwali się, dopadli koni, wskakując z podziwu godną zręcznością na siodła.

Potem jednak krążyli w kółko gromadą, szukając drogi ucieczki. Kilku strzelało z krótkich karabinków, a dwóch nawet próbowało odprzodkować polową armatkę, lecz ciągły ogień niweczył wszelkie próby obrony. Jeźdźcy padali gęsto, konie waliły się w śnieg, ryjąc go kopytami w agonalnych podrygach.

W końcu sotnik zdołał zapanować nad tą masą ludzi i zwierząt. Kozacy zwrócili się w stronę parowu i natarli z krzykiem.

– Ładuj!

Karwiński wiedział, że to ostatnia salwa. Chcąc, by odniosła największy skutek, czekał

do ostatniej chwili i liczył w głowie odległość. Siedemdziesiąt stóp. Widać już szczegóły mundurów. Pięćdziesiąt stóp – rysy twarzy.

Adiutanci patrzyli na Karwińskiego błagalnym wzrokiem. Oblicza wszystkich kapitanów były zwrócone w jego stronę. Cały batalion czekał na jeden ruch jego ręki.

– Jeszcze nie, jeszcze nie – mamrotał, ni do siebie, ni do oficerów.

Skrupulatni jak zawsze Prusacy przeprowadzili w 1767 roku badania polowe; postawili płot wysokości i długości pieszej kompanii, a potem kazali prac w niego piechocie liniowej z różnych odległości. Liczba trafień rosła dramatycznie w okolicy czterdziestu stóp, a bliżej nie zmieniała się już zbytnio.

Wreszcie widać szczegóły twarzy. Czterdzieści stóp! Ale Karwiński nadal czeka, wie że jego ludzie mają zmarznięte, niepewne dłonie... Trzydzieści stóp. Widać oczy, guziki.

– Pal!

– Pal! – Tyc, Łoza oraz Puckerman powtórzyli komendę swoim kompaniom.

Grzmot i ogniste błyski przebiegły wzdłuż szeregów, spowijając je na chwilę w dymie.

Niemal cała pierwsza linia kozaków zwała się na ziemię, ranne konie podcinały nogi biegnącym za nimi.

– Bagnet na broń!

Dłonie fizyliarów drżały, gdy pospiesznie zatykali bagnety, mając wroga ledwie o kilkanaście kroków. Niektórzy nie zdążyli. Niektórzy, majstrując przy lufie, nie spostrzegli lancy, która mierzyła im w twarz.

Kozacy wpadli na nich z takim impetem, że wielu uderzonych przez konie przeleciało na drugą stronę jaru lub spadło na dno, gruchocząc sobie kości. Także wielu jeźdźców nie zatrzymało się na czas i ześlizgnęło w dół po zboczu.

Rozgorzała desperacka walka. Rosjanie liczyli ledwie pół setki, byli to jednak ludzie urodzeni w siodle. Z wprawą opędzali się od bagnetów, celnie kłuli lancami. Walczyli do

końca. Tyc widział nawet, jak jeden – z pogruchotanymi nogami – podpełzł do młodego grenadiera i dźgnął go nożem w kolano, niebaczny, że przypłaci to życiem. W odwadze przodował otyły brodac, który za sprawą ciemnych kołtunów i czarnego żupana wyglądał

jak szalony pop. Siekł szablą tak wściekle, że trzeba było aż trzech grenadierów z pałaszami, by obalić go na ziemię.

Walka była gwałtowna, gwałtownie też się wypaliła. W pewnym momencie Tyc spostrzegł, że zostało już tylko kilkunastu wrogów, każdy otoczony mrowiem piechoty.

– *Pomiłujcie!* – dobiegły go krzyki.

– *Pomiłujcie, gospodiny!*

Jednak ludzie, pewni, że mają przeciw sobie słynnych oprawców, dźgali bez opamiętania. Nawet gdy kozacy już nie żyli, wciąż kłuto ich bagnetami, dla czystej przyjemności.

– Dość! – zarządził w końcu pułkownik.

– Dość, zostawić ich! – rozkrzyczeli się sierżanci.

Zaczęto zbierać na kupę trupy, przetrząsać odzienie, liczyć straty. Te okazały się niewielkie. Ledwie szesnastu zginęło, rannych było aż czterdziestu. Większość konała w bólach i było pewne, że nie dożyją wieczora. Rosjanie używali większych kul niż Francuzi –

wyrywały one w ciałach krwawe, poszarpane dziury.

Do Tycy zbliżył się siwy sierżant Donicz. Zasalutował.

– Melduję, że w kompanii trzech padło, pięciu rannych ciężko, paru pokiereszowanych.

Co z rannymi?

– Jak to co? Na nosze.

– A nie lepiej tak, choćby tym co się zgodzą, kolbą przez łeb? Ulga dla nich i dla nas.

Trzeba będzie teraz dołączyć szybko do armii, a z noszami...

- Nikogo nie zostawimy.
- Inne kompanie zostawiają.
- Ale nie nasza! Dopóki żyję, każdego bierzemy na nosze.
- Przecie medyk o dobre dwa dni drogi!
- Nie pytać! Wykonać!

Grenadier mruknął coś i odszedł. Tyc pokręcił głową. Dowodzenie weteranami było zaszczytem, ale i trudnością. Wielu z nich służyło już dziesięć lat i myśleli, że są mądrzejsi od oficerów.

By dopilnować, czy ranni dostają należną opiekę, Tyc przeszedł się po poboju.

Stał dopiero przy wielkim kozaku, nad którym właśnie pochylał się Karwiński ze Stępińskim.

- Sądzicie, że to on? – spytał Tyc.
- Zdałoby się. Z fizjonomii wypisz wymaluj szaleniec i okrutnik.
- Ale takich pewnie wielu wśród kozaków.
- No, cóż innego mogę powiedzieć, Stanisławie? Na wojnie pewności nigdy nie ma, ale myślę, że to nasz człowiek. Ot, znów się poszczęściło.
- Za dużo już tego szczęścia, sam żeś wczoraj mówił.

Karwiński tylko wzruszył ramionami. Tyc zaś nie drażył tematu, bo czuł, że byłoby teraz nie na miejscu odbierać ludziom oraz pułkownikowi tę skromną nadzieję. Zresztą i on wolał

żyć nią choćby przez chwilę.

* * *

W nocy rozpalili wielkie ogniska, niebacznym na to, że przednia straż Płatowa może być tuż-tuż. Pili gorzałkę zdobytą na kozakach i radowali się. Tylko Tyc już po półkwarcie dostał

majaków. Zdawało mu się, że po drugiej stronie ognia widzi straszną, owrzodzoną twarz.

„Nie rozumiesz Rosji, kapitanie”, mówiła. „Rosja nieraz cię jeszcze zaskoczy”.

* * *

Nim nad mroźnym pustkowiem zaświeciło słońce, zerwał się wichur tak potężny, że aż podrywał ciężkie płachty namiotów. Obóz zwijano mozolnie, walcząc z podmuchami, które niemal przewracały

ludzi. Kolumny sformowały się dopiero dwie godziny po świcie, a szły tak wolno, że do południa pokonały dwie mile. Na dodatek z minuty na minutę wiatr unosił

coraz więcej śniegu. Wkrótce biały tuman skrył cały batalion.

Ludzie zbili się w kupę. Oficerowie pobledli, bo dobrze wiedzieli, że taka zawierucha przynosi więcej strat niż walka z najgroźniejszym przeciwnikiem. Zimno przy takim wietrze było znacznie groźniejsze, z łatwością przesywało nędzne mundury i płaszcze.

Wkrótce Karwiński przedarł się po kolei do każdej kompanii, by ustalić z oficerami dalsze plany. Niemal jednogłośnie zdecydowano jak najszybciej znaleźć schronienie. Szpicę objął Świerdowski. Ponieważ w zawiei było widać tylko na kilkanaście kroków, jego wołyżerowie rozsypali się na przodzie kolumny, badając teren.

Polacy szli tak niemal godzinę, wymacując drogę jak zagubiony ślepiec. Z każdą chwilą słabli, ledwie powłóczyli nogami.

Wtem z lewej dobiegł przeraźliwy trzask, jakby się rozstała ziemia.

I tak też było w istocie.

Tyc, odwróciwszy się gwałtownie, zobaczył, jak pół kompani Puckermana osuwa się w ciemną szczelinę.

– Lód!

Nieszczęśni żołnierze kotłowali się moment w przerębli, ale wkrótce zaczęli iść po kolei na dno. Ci, co osłabli pierwsi i osunęli się w głębinę, chwyтали towarzyszy za pasy i nogi,

ciągnąc ich pod powierzchnię niczym kotwica ze splecionych topielców. Za chwilę wiatr się wzmógł i miłosiernie zaciągnął nad tą sceną białą kurtynę.

– Do brzegu marsz! – Karwiński próbował przekrzyczeć wicherę.

– W tyralierę! – rozkazał swoim Tyc. – Do brzegu, szybko.

Powoli narastało w nim złe przeczucie.

Gdy uszli ledwie kilkanaście kroków, daleko z prawej gruchnęły strzały. Ludzie zamarli w pół kroku.

– Kto strzela?

– Prawe skrzydło, Witte.

– Oszalał chyba...

Przez ryk wichru przebiło się coś jeszcze. Dziki krzyk, od którego zadrżał lód. Ludzie rozpoznali go

natychmiast – tyle razy prześladował ich we śnie i podczas niekończących się zasadzek.

– Kozacy!

– Jezu Chryste!

– Czworobok formuj!

– Kapitanie, łód się załamie!

– Czworobok!

– Mają nas, jak Boga kocham!

– Zamknąć mordy!

– Czworobok, twoja mać!

– Równaj tam, równaj!

– Chryste Panie!

– Równaj!

Wkrótce stali zbici w gromadę, mierząc w pustkę. W śnieżycy nie widzieli jednak, co dzieje się z innymi kompaniami. Słyszeli tylko głosy – a te były straszne. Rżenie koni, wrzaski rannych, pełne nienawiści krzyki żywych, strzały, szcęk metalu. Na dodatek, zmieszane z wiatrem, dochodziły jakby zewsząd, tak że nie sposób było ocenić, czy walczy jedna kompania, dwie, czy też cały batalion, z wyjątkiem ludzi Tyca. Nie wiedzieli, w którą stronę iść na wroga, a w którą stronę się wycofywać.

Krzyki na chwilę przycichły, by wybuchnąć z nową siłą, tym razem blisko.

– Biorą nas grupa po grupie – szepnął Tycowi porucznik.

– Kto tam szedł?

– Łoza chyba.

Ludzie wpatrywali się w wirującą biel. I choć czasem dało się z niej wyłowić jedną czy dwie sylwetki, kazano nie strzelać, by nie razić swoich. I tylko raz pojedynczy kształt wyłonił się z zawieruchy.

Była to ucięta głowa. Dotoczyła się do nich, sikając krwią. Znieruchomiała tuż pod nogami pierwszego szeregu, ukazując żołnierzom okropne, wykrzywione strachem oblicze.

Tyc drgnął, jakby to był jakiś tajny znak.

– W formacji marsz! – Jego szabla błysnęła, wskazując stronę, z której przytoczył się czerep.

– Kapitanie, ale tam...

– Naprzód, powiedziałem!

Najeżony bagnetami czworobok ruszył po trzeszczącym lodzie. Z każdym krokiem zasłona śniegu rzedła. Tyc wysilał wzrok, próbując ocenić, czy ma jeszcze szansę ocalić zaatakowaną kompanię. Rzucić się na bagnety czy gotować do salwy? Od tej decyzji zależało życie i jego, i jego ludzi.

W śnieżnych obłokach tańczyły splątane sylwetki. Zdało mu się jednak, że widzi tam już tylko wysokie postaci konnych. Nie miał czasu do namysłu.

– Rozwinąć linię!

Doświadczeni grenadierzy pamiętali ów manewr tak dobrze, że mogli go wykonać z zamkniętymi oczyma, nawet pod ostrzałem karabinów, nawet prażeni morderczym ogniem artylerii. Sprawne przejście z kolumny w szereg różniło elitarne wojsko od poborowych. Kto na czas nie rozwinął przed wrogiem ściany luf, ten przegrywał.

W kilka chwil linia była gotowa.

– Ognia!

Huk niemal ich ogłuszył. Wicher miotnął kapitanowi w twarz duszący prochowy dym.

– Na bagnety!

Tej komendy nie trzeba było powtarzać. Grenadierzy runęli z rykiem do przodu, by zemścić się za towarzyszy, rozbić i zniszczyć ogłuszonego salwą wroga – i przede wszystkim, by ze stanu strachu i niepewności, z wielkiej niewiadomej, jaką niosła ze sobą śnieżycą, przejść w stan dobrze im znany, w stan niemal naturalny. W krwawą walkę.

Wpadli na kozaków z niesamowitą furją, dźgając bagnetami, waląc kolbami. Łamali koniom nogi, rozbijali głowy ludziom. Tyc, walcząc obok chorążego kompanii oraz porucznika, siekł szablą i próbował nie patrzeć na ziemię. Bał się, że dostrzeże tam Polaków konających od kul, które sam kazał posłać.

Walka trwała długo. Kozacy dorównywali determinacją Polakom. Bili się jak w transie, nawet ranni, nawet pokłuci bagnetami. Ludzi Tyca powoli ogarniał strach na widok twarzy przeciwników, wykrzywionych w nieodgadnionym wyrazie, pokrytych siatką tatuaży tak osobliwych, że nikt wcześniej podobnych nie widział.

Diabły z odległych stepów uległy w końcu przewadze i sile grenadierów. Powalonych rozłukiwano kolbami na miazgę, bo wciąż się ruszali, uparcie trzymając się życia. Wreszcie na polu bitwy zostali tylko Polacy – umazani krwią, spoceni, zdyszani. Krążyli w milczeniu

po poboju, sprawdzając, czy przeżył ktoś z kompanii Łozy. Większość leżała jednak przeszyta

kozackimi lancami. Kilku miało ślady po kulach.

Tyc chodził między nimi, łapiąc haustami lodowate powietrze. Starał się usprawiedliwiać, tłumaczył sobie, że gdyby nie rozkaz, obie kompanie byłyby martwe.

Wtedy zobaczył Karwińskiego.

Pułkownik leżał pośrodku poboju, na wpół zagrzebany w trupach, tuż obok zdeptanego i poszarpanego sztandaru. Dyszał ciężko, z każdym chrapnięciem tocząc z ust karminową pianę. Mundur na jego piersi przesiąkł krwią z poszarpanej rany.

Od kuli.

Tyc poczuł, że nogi uginają się pod nim. Po karku przeszedł dreszcz, w uszach miał tylko dziwny szum. Nachylił się do pułkownika, a ten chwycił go za dłoń, kurczowo, boleśnie. Chciał coś powiedzieć, lecz z gardła dobyło mu się tylko miarowe charczenie.

Charczał tak chwilę, przesywając Tyca spojrzeniem półprzytomnych oczu. A kapitan czuł się tak, jakby się znalazł w sennym koszmarze. Modlił się o to, by zaraz obudzić się gdzieś daleko, w swoim łóżku. Przebudzenie jednak nie nadeszło.

Karwiński wyprężył się i skonał. Bańka krwi na jego wargach urosła, a następnie pękła, wraz z resztkami powietrza, uchodzącego z płuc.

Czy to była jawa, czy sen? Czy może wtedy, w chacie, jednak strzelił, by teraz cierpieć we własnym, osobistym piekle? Czy to była kara za samobójstwo?

W tym momencie Tycem ktoś potrząsnął. Kapitan pozostał w bezruchu. Dopiero po drugim szarpnięciu odwrócił się i spojrzał w pomarszczoną twarz sierżanta Donicza.

– Wracają, na Boga! Nie słyszy pan, kapitanie? Wracają! Teraz dopiero wyłowił z wichury tętent kopyt. Oto zbliżały się odwody sotni.

– Czworobok! Czworobok! – krzyknął Tyc zachrypłym głosem i stanął na nogi.

Grenadierzy zebrali się w mgnieniu oka. Ciężko rannych porzucono, lżej rannych siłą wciągnięto w szereg i ustawiono prosto. Grenadier miał bowiem obowiązek stać niewzruszony, nawet jeśli w ciele nosił pocisk. Za to dostawał żołd większy, niż gdyby służył w piechocie liniowej; odbierał honory, jakby miał stopień wyższy niż w rzeczywistości.

Grenadierzy Księstwa należeli do najlepszych.

Wkrótce ściana bagnetów jeżyła się na spotkanie wroga. W samym środku formacji jakiś stary wiarus uniósł sztandar regimentu ze złotym cesarskim orłem na końcu drzewca.

Zasłona śniegu rozerwała się nagle, ukazując kilkudziesięciu jeźdźców, szarżujących po lodzie na złamanie karku. Wielu grenadierów poczuło, jak strach chwyta ich za gardło.

Kozacy niemal dorównywali im liczbą, a za sprawą luźnego szyku i wierzchowców zdawali się wręcz hordą w porównaniu ze stłoczoną garstką piechoty.

– Ładuj!

Zdrętwiałe dłonie zaczęły nabijać broń.

– W konie! Pal! – zakomenderował Tyc.

Ludzie Woronienki potrafili wytrzymać straszne rany, ale ich wierzchowce nie były tak odporne na ból. Tymczasem kozak wysadzony z siodła stawał się ledwie lekkim piechurem, który nijak nie mógł dorównać znacznie większym, silnym jak tury grenadierom. Życie koni było w tej sytuacji zupełnie nieważne, nawet dla Tyca, który, jak wielu jego rodaków, bardzo je kochał.

Strona czworoboku stojąca naprzeciw jeźdźców bluznęła ogniem. Kilkunastu kozaków zważyło się w śnieg. Reszta wyminęła ich zręcznie – z gardeł wydarł się groźny bojowy krzyk.

Wtedy Tyc go zobaczył. Sotnik hordy pędził w pierwszym szeregu. Był wielki. Tak wielki, że wierzchowiec niemal się pod nim ugiął.

– Po koniach dźgać! – rozkazał sierżant. – Potem ich brać na pałasze!

Zwykle kozacy po osaczeniu piechoty krążyli wokół niej, strzelając z pistoletów, próbując szarpać boki. Jednak ludzie Woronienki, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, uderzyli wprost na front formacji. Może liczyli, że rozbiją ją tak łatwo jak poprzednie, zaskoczone kompanie? A może po prostu byli niespełna rozumu, o czym mogły świadczyć ich wykrzywione wściekłością twarze?

Tyc uniósł pistolet, spokojnym ruchem odciągnął kurek, usztywnił ramię. Ciężka lufa mierzyła w szybko zbliżającego się konia sotnika. Strzelił. Pod ogierem załamały się nogi, Woronienko jednak wyskoczył zręcznie z siodła i bez szwanku przeturlał się po ziemi.

Chwilę potem biegł już między konnymi towarzyszami, kręcąc nad głową bułatem.

Pierwszy szereg kozaków opuścił lance.

Grenadierzy nawet nie drgnęli, choć będąc doświadczonymi wojakami, wiedzieli, że każdy z błyszczących grotów to czyjś wyrok śmierci. Stali prosto i dopiero, gdy kozacy byli ledwie kilka kroków od nich, spróbowali uniknąć ostrzy. Paru się udało, reszta została przeszysła na wylot. Jednak mgnienie oka potem ich zabójcy wpadli na ścianę bagnatów.

Przebite konie stawały na tylnych nogach, padały w śnieg. Strzelcy odskakiwali, kozacy spadali z siodła. W jednej chwili pierwsza linia zmieszała się i skłębiła. Ci grenadierzy, którym impet zderzenia nie wyrwał karabinów, cisnęli je w śnieg i chwycili krótkie pałasze.

Zaczęła się rzeź. Ślizgając się na krwi i lodzie, ludzie nie dawali sobie pardonu. Ci, co upadli, byli zaraz dobijani. Tyc cofnął się za trzeci szereg, na miejsce, które według regulaminu miał zajmować podczas starć. Wtedy zobaczył, jak w środek linii wbija się barczysta, wysoka postać. Ataman rąbał wściekle piechurów, próbując się przebić na tyły.

Ludzie padali kolejno pod ciosami jego bułatu.

– Nabij. – Tyc podał pistolet porucznikowi, a potem wyciągnął szablę i rzucił się wprost na sotnika.

Przecisnął się między dwoma grenadierami z trzeciego szeregu, którzy starali się utrzymać Woronienkę na odległość bagnetu. Ciął. Sparował ledwo, uginając się. Ciął znowu.

Z bliska Woronienko wydawał się jeszcze straszniejszy niż z oddali. Jego brodatą twarz okrywały niezliczone blizny, na czole miał płaskie wgłębienie, jakby po kuli. Oczy błyskały mu tak nieprzytomną nienawiścią, taką żądzą mordy, że Tyc zaczął wątpić, czy ma do czynienia z człowiekiem. Zmagał się z nim chwilę, unikając potężnych cięć. Dwa czy trzy razy jakiś bagnet sięgnął boku sotnika, lecz ów nic sobie z tego nie robił, odpędzał tylko grenadierów jak natrętne muchy, skupiony na kapitanie.

– Chryste! – rozlegało się wokół.

– To diabeł, diabeł wcielony!

– Gińże wreszcie!

Chwilę potem, gdy ostrza bagnatów zwały się nad głowami, sotnik rąbnął Tycę barkiem. Ten runął ciężko na lód. Woronienko rzucił się, by go dobić, lecz drogę zagrodzili mu strzelcy. Jeden zaraz przyplącił to życiem, dwaj pozostali zaczęli się powoli cofać...

Tyc podniósł się ciężko, odkaszlnął. Już zamierzał ruszyć ponownie w zwarcie, gdy nagle z lewej dobiegł go głos:

– Kapitanie, pistolet!

Porucznik wyciągał w jego stronę znajomą, wyslizganą palcami kolbę. Tyc jednym płynnym ruchem podniósł broń i wypalił. Kula z głośnym plaśnięciem wbiła się w pierś Woronienki. Dopiero teraz olbrzym przystanął. Sapnął, zgiął się. Grenadierzy zaraz przyskoczyli do niego. Uderzył i Tyc. Ciął sotnika w łeb tak mocno, że szabla zagłębiła się w kości.

Z twarzą zalaną krwią ataman roztrącił kłębiących się wokół żołnierzy, zrobił kilka kroków do tyłu. Rozejrzał się jednym, jeszcze niezalany krwią okiem. W tym momencie spostrzegł, że walka już dogasa. Czworobok się nie rozerwał, kozacy natomiast mocno się wykrwawili, próbując sforsować ścianę grenadierów. Wielu cofało się w nieładzie ku brzegowi rzeki.

– *Nazad! Nazad, sobaki!* – ryknął Woronienko.

Sam wyrwał się z okrążenia i zaczął uciekać.

– Ładuj! – zakomenderował Tyc.

Grenadierzy wyrównali linię i zaczęli pospiesznie nabijać karabiny. Lecz nim skończyli, kozacy już zniknęli w śnieżycy.

– I jak, kapitanie? Opuścimy? – spytał sierżant.

– Prędzej bym zdechł – syknął przez zęby Tyc.

Zostawili kilku ludzi, by zajęli się rannymi oraz znaleźli niedobitków. Następnie ruszył z pozostałymi w zawieję, szkarłatną ścieżką, która wiła się śladem ludzi Woronienki.

* * *

Było ich już wtedy ledwie dwudziestu trzech. Za mało na kompanię, w sam raz na wilczą watahę. Na podobieństwo wilków szli więc za ranną ofiarą, nie odstępując jej na krok, mimo zawiei, zimna, zmęczenia. Co jakiś czas napotykali rannego, który zwałił się w śnieg, utraciwszy siły. Roznosili go na bagnietach i szli dalej.

W końcu burza zaczęła cichnąć. Daleko z przodu zobaczyli ciemne pasmo lasu – kozacy wbiegali właśnie między drzewa. Sierżant Donicz przystanął na chwilę, złapał oddech.

– Czy to aby nie pułapka? – spytał.

– Nie sądzę – odparł Tyc. – Raczej chcą ratować skórę i rozproszyć się w zaroślach.

Mimo to strzelcy zwolnili nieco, zacieśnili szyk. Wkrótce otoczył ich ciemny sosnowy las. Ku zaskoczeniu Tyca ślady wciąż były skupione. Wszyscy kozacy uciekali w tym samym kierunku – na północ, w stronę serca boru.

Strzelcy zwolnili jeszcze bardziej, jak gdyby mroczna gęstwina wysysała z nich odwagę.

Wtedy poczuli TO.

Owionął ich ciepły, stęchły podmuch. I choć zginął zaraz, rozproszony wiatrem, to po chwili wrócił. I jeszcze raz. I jeszcze. Tyc zadrżał. Wyglądało to, jakby wyschły, martwy bór oddychał, owiewając im twarze pulsującym odorem, rodzącym się gdzieś w jego czarnych trzewiach. Ogień, który w ludziach wzniciła walka, wygaszał powoli. Czoła bledły, dłonie zaczynały się trząść. Strach ogarniał nawet starych wiarusów.

– Nie idźmy dalej, kapitanie. Zawróćmy już – rzekł łamiącym się głosem porucznik.

– To tylko przekłeta zawieja coś niesie – mruknął Tyc. – Smród pojawia się, gdy wiatr zmienia kierunek i dmie z północy.

To wyjaśnienie jednak nie uspokoiło nikogo. Im dalej szli, tym intensywniejszy był

zapach, tym ciemniejszy las. Teraz musieli już przedzierać się przez splątane, suche krzaki.

Trzask łamanych gałązek niósł się daleko i powracał zwielokrotniony echem, niczym strzały odległej bitwy.

W końcu między drzewami zaczęło coś prześwitywać. Tyc gestem nakazał uformować linię. Gdzieś z przodu rozlegały się co chwila głosy kozaków.

W miarę jak kolejne szczegóły obozu wyłaniały się spomiędzy gałęzi, Tyc przestawał dowierzać własnym oczom. To nie mogła być prawda! To koszmar, jeszcze głębszy i bardziej nierealny niż śmierć Karwińskiego czy walka wśród śnieżnej zawiei.

– Jezusie Nazareński... – szepnął Dunicz.

Okrągłe zbiorowisko namiotów, które rozbito na niedużej polanie, okalał upiorny las drewnianych rusztowań. Rozwieszono na nich zwłoki, dziesiątki zwłok. Wszystkie obdarte z odzienia, czasem i ze skóry. U podnóża tych konstrukcji leżały sterty odrąbanych kończyn i poszarpanych wnętrzności, od których wionął ów ohydny smród, który wyczuli z daleka.

Nieco z boku stały klatki. W nich siedzieli żywi. Wszyscy, co do jednego, z wyłupionymi oczyma, odciętymi uszami. Stłoczeni i powiązani razem pełzali w swym

więzieniu jak robaki, starając się wcisnąć pod dogorywających towarzyszy, by schronić półnagie ciała przed straszliwym zimnem.

W samym środku obozowiska ustawiono rząd stołów. Do każdego były zamocowane żelazne kajdany na dłonie i stopy, a ziemia pod nimi była aż ruda od krwi. Na jednym wisiał

jeszcze człowiek, rozkrzyżowany i rozwłóczony jak zwierzę, na którym ciekawski zoolog dokonał wiwisekcji.

Kozacy tymczasem krzatali się po obozie, ładując coś szybko na sanie. Z dużego namiotu wyszedł Woronienko – taszczył stertę grubych ksiąg. Poganiał ludzi gromkimi przekleństwami.

Tyc nie patrzył na to długo. Natłok okropności znieczulił go, umysł osunął się nagle w dziwne przytępienie. Kapitan przestał się zastanawiać nad czymkolwiek, istniała już dla niego tylko jedna myśl. Zabić sotnika.

– Naprzód – rzekł.

Jego ludzie nie reagowali, wgapieni w koszmar.

– Naprzód! – krzyknął ile sił w płucach, nie zważając na to, że ostrzeże kozaków.

Dopiero teraz grenadierzy otrząsnęli się z szoku. Wszystko wróciło na znane im dobrze tory: „naprzód”, „formuj linię”, „ładuj”, „cel” – to mogli robić bez zastanowienia, jak dobrze naoliwiony

mechanizm. Lata walki nauczyły ich wyłączać umysł, gdy nie był potrzebny – na pierwszej linii, pod ostrzałem, na krwawym poboju.

Ruszyli. Gdy wyszli spośród drzew, między wrogów wdarło się zamieszanie. Było widać, że nie spodziewali się, że ścigający pójdą za nimi tak daleko. Nawet Woronienko przystanął zmieszany.

Choć było ich tylko dwudziestu, grenadierzy szli jak pełny świeży batalion – z bronią na ramieniu, w idealnej linii, odmierzonym *pas de route**. Nawet nie obracając głów, minęli okropne rusztowania. Bez słowa przeszli obok klętek ze zmasakrowanymi jeńcami.

Kozacy wciąż się wahali, czy uciekać, czy atakować. Woronienko nie miał jednak wątpliwości. Choć pokrywały go rany, a oczy zalewała krew, chwycił pałasz i rzucił się do przodu. Za nim poszły niedobitki sotni.

– Cel. – Tyc wyciągnął szablę w stronę nacierających.

– W watażkę – dodał Dunicz, podnosząc kolbę do policzka.

Mierzyli chwilę.

– Pal!

Huknęło. Pięć kul trafiło Woronienkę, miotając nim w tył. Paru kozaków padło.

– Na bagnety!

Z krzykiem, jakiego nikt nie spodziewałby się po dwóch tuzinach ludzi, strzelcy rzucili się na spotkanie wroga. Zderzyli się z impetem, zawrzała błyskawiczna walka. Bez atamana,

* Marszowe tempo francuskiej armii, 90 kroków na minutę.

garstkę jeźdźców zakłuto jednak w mgnieniu oka. Piechurzy stali chwilę, zmieszani nagłym zakończeniem potyczki.

Tyc zbliżył się do Woronienki, jakby nie do końca wierzył, że wielki brodacz zginął.

Istotnie, sotnik ruszał się jeszcze. Bełkotał, próbował unieść się na drżących rękach.

Grenadierzy cofnęli się, przerażeni tak niespotykaną żywotnością. Tyc jednak się nie dziwił.

Po prostu spuścił mu ostrze na łeb z całą siłą ramienia. Szabla wbiła się z tępym pacnięciem w czaszkę kozaka. Bluznęła jasna krew. Kapitan kopnął sotnika w twarz, by uwolnić ostrze.

Chrupnęło, wielkolud runął w śnieg i już się nie poruszył.

Niespodziewanie grenadierzy znaleźli się sami w cichej krainie grozy, która roztaczała się wokół. Zbici w gromadkę patrzyli bojaźliwie na obóz. Tyc wytarł szablę, schował ją do pochwy, po czym

podszedł do papierów, które sotnik rzucił pod namiotem. Roztrącił je czubkiem buta, jakby się brzydził schylić.

Księgi były zszyte z grubych, niekształtnych płatów skóry. Ludzkiej skóry. Pismo w niczym nie przypominało cyrylicy, ryciny przedstawiały jakieś przedziwne schematy i wzory, tak skomplikowane, że oko grzęzło w nich i ginęło.

„Nie rozumiesz Rosji, kapitanie”.

„Staną przeciw wam rzeczy starsze i potężniejsze”.

* * *

Było to trzy miesiące wcześniej, pod Witebskiem – tuż po pierwszej wygranej bitwie.

Wielka Armia liczyła wtedy niemal trzysta tysięcy ludzi, samych oficerów były tysiące. Na kwatery dla nich przeznaczono większość domów w dopiero co zdobytym mieście. Tycowi przypadł pokój w starym drewnianym dworku, stojącym poza murami, tuż pod lasem.

Kupiecka rodzina, która tam mieszkała, uciekła na wieść o zbliżających się Francuzach.

Został tylko stary bojar, który był gotów ryzykować życie, byle zadbać o majątek, paru zastraszonych służących oraz jego córka.

Dziewczyna miała twarz tak zniszczoną przez wrzody i czyraki, że cały czas nosiła muślinową zasłonę. Unikała ludzi, chodząc po domu wyłącznie nocą. Jej stan tak wzruszył

oficerów, że naczelny lekarz korpusu oferował staremu bojarowi pomoc, ten jednak odmawiał raz za razem, tłumacząc enigmatycznie, że „za wszystko w życiu trzeba płacić, inaczej łatwo ściągnąć gniew boży”.

Raz Tyc zasnął przypadkiem w kącie sali kominkowej i zbudził się dopiero, gdy córka bojara weszła po północy do pokoju. Siedząc w bezruchu, obserwował ją z cienia. Gdy się nachyliła, by zdmuchnąć kaganek, światło płomienia przedarło się przez zasłonę, na krótką chwilę opromieniając oblicze, tak jak słońce opromienia księżyc, który dzięki temu wybija się z ciemności niebios. Tyc zobaczył wtedy czerwonosiną, bezkształtną masę, pełną

ropiejących wągrów i krótkiej szczeciny. Tylko para zielonych oczu świecących pośród tej potworności zdawała się być ludzka.

Sapnął cicho. Dziewczyna spojrzała w jego stronę, ale wbrew oczekiwaniom nie uciekła spłoszona. Długo mierzyła go wzrokiem.

„Niewielu was wróci z Rosji, kapitanie”, rzekła w końcu. „Ten skrawek wolności, który był wam dany, stracie. Nie rozumiecie nas, staliście się ludźmi Europy, zapomnieliście o magii dzikich stepów, głębokich borów, nieskalanych uroczysk. Nie rozumiesz Rosji, kapitanie. I nie wiesz, że gdy wkroczycie w nią butnie i zbrojnie, stanie przeciw wam nie tylko armia, car i lud, ale i rzeczy

starsze, potężniejsze. Bezkresna Ruś ma swoją duszę. A dusza ta nie ścierpi buciorów białych barbarzyńców – tych, co odrzucili Dawne w imię tak nieistotnych pojęć jak rozum czy równość. Paląc i mordując, rozbudzicie zło, które was pochłonie. Nie rozumiesz Rosji, kapitanie”.

* * *

Tyc otrząsnął się. Powiódł wokoło półprzytomnym wzrokiem. Kompania wciąż stała zbита w gromadę. Choć nie było widać żadnego wroga, żołnierze nabili karabiny i mierzyli nimi wokół, jakby krwawy koszmar obozu widziany ponad czubkiem lufy był mniej przerażający, łatwiejszy do przyswojenia.

Do Stanisława zbliżył się Dunicz. Wskazał głową stoły wokół namiotu sotnika, po czym rzekł:

– Nic z tego nie pojmuję. Po co? Dlaczego coś takiego robili, kapitanie? By ukarać tych nieszczęśników? Dla zabawy? Przecie nawet największy okrutnik szybko się taką zabawą nasyci, a oni oprawili tu dziesiątki ludzi!

– To dzicy, Pawle. Azjaci – odparł Tyc. – Myśleli pewnie, że z trzewi ludzkich da się wyczytać przyszłość, czy coś takiego. Barbarzyńskie brednie.

A jednak. Czyż nie dzięki temu Woronienko mógł tak łatwo przewidywać ruchy wroga?

Z trzewi wróżył, gdzie i kiedy zaatakować, atakami zaś zdobywał jeńców na następne wróżby.

Tyc drgnął. Niemożliwe! Bzdury!

Tymczasem zbliżył się do nich porucznik.

– Skąd to się wzięło, kapitanie? – spytał słabym głosem.

– O czym mówisz?

– O złu. Skąd to ogromne zło, tak niepojęta nienawiść w Rosjanach?

Tyc nie odpowiedział.

Owszem, to wszystko wydawało mu się straszne – ale niepojęte? Wprost przeciwnie!

Zdał sobie sprawę, że wrażenie wywołane u niego przez widok ofiar sotni jest dziwnie

znajome. To samo lepkie, oślizgłe odczucie, od którego miesza się w głowie, a trzewia się skrecają, miał ostatnio przy kilku okazjach.

Przed oczyma mignęły mu obrazy prażonych w piecu wieśniaków, karmionych trupami jeńców, dobijanych rannych. Zło było nie tylko w Rosjanach. Zło rozpanoszyło się po obu stronach, zdradliwie pęczniało w umysłach nawet najlepszych ludzi.

Zło go oplątało. Osiadło na nim jak pajęczyna i przysiągłby, że na zszarganych mundurach swoich żołnierzy także widzi jego ciemnoszare, ciągliwe smugi.

Kim więc był Woronienko? Demonem, który przybył do tego piekła na ziemi, by nakarmić swe oczy ohydą i zbrodnią? Może szaleńcem, co widział o jedną rzeź za dużo?

Może mścicielem, który odpłacał za krzywdy, jakie wyrządzili jego rodzinie najeźdźcy? A może po prostu wszechobecne zło tej wojny skryształizowało się i skupiło, przyciągając tak, jak wzajemnie przyciąga się cała materia wszechświata, aż wreszcie powstał on? Te symbole, zwoje, okaleczone zwłoki mogły kryć odpowiedź. Tyle że nikomu nie będzie dane jej poznać.

– Spalcie wszystko – rozkazał Tyc. – Ciała, namioty, sprzęt: wszystko na stos.

– Jeńcy? – Dunicz wskazał głową klatki, w których pełzali okaleczeni nieszczęśnicy.

– Czyń wedle uznania – odparł zimno kapitan.

Potem siadł na krawędzi zakrwawionego stołu, ukrył twarz w dłoniach i zamarł.

Rozpacz po Karwińskim, strach i obrzydzenie wreszcie wzięły w nim górę, mieszając się razem w paraliżujące uczucie, którego nie potrafił nazwać.

Godzinę później wyszli z lasu, by połączyć się z niedobitkami batalionu. Kolumna tłustego dymu za nimi wznosiła się do chmur, jak czarny wąż z pogańskich legend pragnący pożreć słońce.

* * *

Z całego batalionu przeżyło czterdziestu siedmiu. Oprócz dwudziestki Tyca ocalała garstka wołyżerów, tuzin strzelców Łozy i sam Łoza, który stracił rękę. Śmierć jednak jeszcze się nie nasyciła. Cały czas pracowała wytrwale, przy każdej sposobności uszczuplając ich szeregi. Czterech wkrótce zmarło od ran. Trzech z wycieńczenia, bo dwa dni maszerowali bez przerwy w trzaskającym mrozie, by dołączyć do korpusu. A na koniec dwóch grenadierów postradało zmysły. Podczas wichury uciekli w biel, zataczając się w opętańczym śmiechu.

Jedenastego nad ranem zobaczyli wreszcie ogromny tłum wybiedzonych obszarpańców, który się rozciągał na horyzoncie. Choć byli wyczerpani, przyspieszyli kroku. Już z daleka dobiegły ich krzyki i wiwaty. To polski pułk postępujący w ariergardzie witał ich gromko.

Na chwilę twarze grenadierów rozjaśniły się, niektórzy ocierali kąciki oczu.

Tyc również nie potrafił powstrzymać łez radości. Szedł, czując, jak z każdym krokiem plecy mu się prostują, a z ramion spada ciężar ostatnich dni. Myśli, dotąd czarne i splecione, rozświetliła niezwykła jasność. Spełnił zadanie. W tym piekle cierpień i nienawiści dokonał

czegoś ważnego. Teraz, nawet gdyby przyszło mu zginąć z głodu czy zimna, wiedział

przynajmniej, że był w tym wszystkim sens. Chociażby najmniejszy, chociaż najbardziej ukryty.

Szli ku armii, myśląc, że oto kończy się niezwykła, krwawa przygoda. Że teraz będzie już dobrze.

Przed nimi był jednak Smoleńsk, Krasne, Berezyna...

Iwona Surmik

Szkic w czerni

i szkarłacie

Dom stał na podmurówce z szarych kamieni, które kontrastowały z poczerniałymi deskami ścian i zielonymi okiennicami. Na ażurowy ganek prowadziły nierówne stopnie, z okien wychylały się rażące jaskrawą czerwienią pelargonie. Sztachety okalającego ogródek płotu porastał powój. Delikatne kwiaty rozkwiwały wczesnym rankiem, a gdy dosięgało je słońce, stulały się w pączki, jakby ze strachu przed dniem. Grządki były starannie wypielone, jabłonka miała biały od wapna pień.

Majce nie podobał się ani dom, ani ogród. Spodziewała się willi, takiej jak na zdjęciach w kolorowych tygodnikach, a nie wiejskiej chałupy z warzywnikiem zapełnionym marchwią i cebulą. Okolice też wydała się jej mało ciekawa – miasteczko położone w niewielkiej dolince otoczonej lesistymi wzgórzami, skupione wokół ryneczku domy i krowie placki na drodze.

Wybrała się na zwiedzanie późnym popołudniem, kiedy słońce schowało się za stokami.

Najpierw szła zwirową szosą, potem trafiła na ulicę obramowaną zarośniętymi trawą chodnikami. Grubo żłobione podeszwy gładów pozostawiały wyraźne ślady w rozmiękłym asfalcie. Mijane domy były podobne do tego, w którym sama mieszkała: stare, z zielonymi okiennicami i pelargoniami.

Na rynku stała fontanna. Pucułowaty amerek miał loki upstrzone gołębimi odchodami i złamane skrzydełko, z wydętych usta nie spływała nawet kropla wody. Wokół betonowej cembrowiny rosły szałwie, na chodniku ustawiono drewniane ławki. Okupowali je staruszkowie w wyszmelcowanych kapeluszach, śmierzący potem i starością. Pocierali szczecinę na brodzie, postukiwali laskami i wodzili wyblakłymi oczami za paradującą przed nimi dziewczyną. Kto wie, co myśleli o nienaturalnie czarnych włosach, twarzy pokrytej grubą warstwą makijażu, jaskrawoczerwonych ustach, krótkiej spódnicy i siatkowych rajstopach?

Majka przystanęła przed ratuszem, jedynym obok kościoła murowanym budynkiem.

Zadarła głowę, podziwiając dzwonnice, potem zajrzała do sklepu.

Tu spotykały się kobiety w chustkach zamotanych wokół czerstwych twarzy, przepasane kwiecistymi fartuchami. Opowiadały o liszkach zzerających kapustę, orzechach w spirytusie dobrych na żołądek, łamaniu w kościach. Na widok czarno odzianej nastolatki zamilkły w pół słowa.

Dziewczyna kupiła colę i siadła na schodach przed sklepem.

– To wnuczka starego Brugera.

– Matko przenajświętsza, patrzajcież na nią... – szeptały, ale Majka i tak słyszała.

Przełknęła resztę napoju, oddała butelkę i odeszła.

– Zła krew, zła – dobiegło ją już na chodniku.

Odwróciła się i uśmiechnęła, rozciągając szeroko przesadnie wymalowane usta. Gapiące się na nią kobiety uczyniły znak krzyża.

Wracała po ciemku. Ostatnia latarnia oświetlała miejsce, gdzie kończył się asfalt, a zaczynała szosa z poboczem zarośniętym chwastami.

Coś szeleściło i poskrzypywało, chrzęścił żwir. Na tle rozgwieżdżonego nieba było widać skrzydlaty kształt – sowy albo nietoperza, ponad krzakami unosiły się drobnutkie światełka, niczym zimne iskierki niewidocznego ogniska. Majka miała uczucie, jakby ktoś za nią szedł, ale nie wystarczyło jej odwagi, żeby się odwrócić. Przyspieszyła, potem pobiegła. Wpadła do domu zdyszana, spocona.

– Gdzie się Marysia po nocy włóczy? – powitała ją Madejowa, gospodyni dziadka, która po jego śmierci opiekowała się domem.

– Nigdzie – burknęła dziewczyna i łomocząc ciężkimi butami, poszła na górę.

Sama wybrała sobie pokoik ze spadzistym sufitem i małymi lukarnami. Okazał się ciemny i duszny, a ona wiecznie obijała się o niską powałę. Sprężyny łóżka z mosiężną poręczą skrzypiały, materac był twardy, a pod najwyższą ścianą piętrzył się stos gratów, z których przy najlżejszym poruszeniu wzbijały się tumany kurzu.

Majka rzuciła się na pościel, zostawiając brudne smugi na poszewkach. Wzdrygnęła się, bo coś z szelestem otarło się o jej włosy. Podniosła wzrok i zobaczyła zawieszony nad łóżkiem wielki wianek czosnku. Skrzywiła się. To była obsesja gospodyni; w kuchni, w każdej izbie, nawet w kurniku wisiał czosnek. W dzień, kiedy okna były otwarte, dziewczyna nie czuła jego zapachu, ale nocą wypełniał dom nieznośnym odorem, od którego kręciło ją w nosie. Zaraz po przyjeździe zdjęła wianek i wyniosła do spizarni, ale widać Madejowa zawiesiła go z powrotem.

Dziewczyna zerwała go ze złością i wyrzuciła przez okno. Słyszała, jak suche główki toczą się po dachówkach i spadają na ziemię.

– Kolacja! – krzyknęła gospodyni.

Majka powlokła się do kuchni. Wypiła herbatę i niechętnie zamieszała łyżką w gęstym grysiku, rozrywając mleczny kozuch.

– Nie jestem głodna – burknęła.

– Wygląda panna jak trzy ćwierci do śmierci, chuda, blada. Na słoneczko trzeba wyjść i dużo jeść – pouczyła ją kobieta.

– Nie jestem głodna – powtórzyła Majka i wstała od stołu.

Już w łazience dobiegł ją głos Madejowej:

– A niech Marysia okna nie zapomni zamknąć.

Majka całe życie spędziła w dużym mieście, gdzie ciemność rozjaśniały latarnie i neony, i nawet gdy zostawała sama, miała świadomość obecności innych tuż za ścianą. Słyszała ich

głosy, dźwięki muzyki, zbyt głośno włączony telewizor. W domku na skraju miasteczka było zupełnie inaczej – samotnie i strasznie. Madejowa chrapała w izbie na parterze, a tymczasem podłoga skrzypiała, jakby ktoś chodził wokół łóżka, rury rzeziły, od strony spiętrzonych gratów dochodziły delikatne chroboty i postukiwania. Dlatego dziewczyna zasnęła z kołdrą naciągniętą na głowę.

Obudziła się spocona, z suchymi ustami. Sięgnęła do wyłącznika lampki, ale ciemność nie ustąpiła. Opuściła stopy na podłogę i poczuła szorstkość sznurkowego chodnika.

Wymacała kłamkę, otworzyła okno. Powietrze pachniało maciejką i sianem, chłód niósł orzeźwienie.

Musiała majaczyć na krawędzi jawy i snu, bo zdawało się jej, że coś czai się w mroku, że widzi blask księżycy, odbijający się w nieprawdopodobnie wielkich oczach.

* * *

Kościół był ogromny, wybudowany w czasach, kiedy wierni wypełniali go po brzegi, a na ślub czy chrzciny czekała długa kolejka chętnych.

Majka wsunęła się do środka tuż za Madejową. Zapatrzona w witraże, przez które wpadało zabarwione światło i wmurowane w ściany pamiątkowe płyty, przeoczyła chrzcielnicę ze święconą wodą. Siadła w ostatniej ławce, a gdy zerknęła na usadowionych z przodu ludzi, ich głowy zgodnym ruchem odwróciły się ku ołtarzowi. Pokazała język zgarbionym plecom i przymknęła oczy. Pod powiekami pojawił się obraz twarz pradziadka.

Wyglądał jak zaszuszone śliwka – drobny i pomarszczony. Był ubrany w czarny garnitur, z kieszonki marynarki wystawały ciemne okulary. Biała, wykrochmalona koszula podkreślała trupią bladość. Kiedy się pochylała, by pocałować zimny policzek, leżąca na powiece moneta zsunęła się niespodziewanie. Płomyk wiszącej na długim łańcuchu lampy sprawił, że oko wypełnił mroczny blask. Nie potrafiła oderwać wzroku od twarzy, która nagle przestała być nieruchomą maską i ożyła w czerwonym świetle wiecznej lampki.

– Módlmy się – zaintonował ksiądz i Majka otrząsnęła się ze wspomnień.

Kazanie ciągnęło się w nieskończoność. Kapłan nawoływał do pobożności, straszyl piekłem, przywoływał postacie męczenników.

Dziewczyna nie słuchała. Patrzyła na szczura, który wychynął z jakiejś dziury i przycupnął obok konfesjonau. Marszczył nos i ruszał wąsami, jakby oceniał, ile jest prawdy w wywodach księdza. Potem umknął wystraszony dźwiękiem organów. Na chwilę przy ołtarzu zrobił się tłok, bo wierni przyjmowali komunię. Tylko Majka pozostała na swoim miejscu. Ostatnio jej wiara w Boga i Jego miłosierdzie była mocno nadwyrężona.

Rzucane z ukosa, pełne potępienia spojrzenia rozdrażniły ją.

To nie wasz interes! – chciała krzyknąć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Madejowa nie wybaczyłaby jej awantury w kościele.

* * *

Wieczornej ciszy miasteczka nie zakłócał najmniejszy hałas. Nie było słycać szumu przejeżdżających aut, muzyki, pokrzykiwań biegających za piłką chłopców, chichotu dziewcząt, dlatego dźwięk silnika zabrzmiał jak zgrzyt – najpierw daleki, ledwo słyszalny, potem coraz bliższy i głośniejszy. Wreszcie przed okaleczonym amorkiem zatrzymał się motor. Staruszkowie zwrócili ku niemu swe blade oczy, kobiety wychyliły się ze sklepu.

Majka, która codziennie uparcie dreptała zakurzoną drogą tylko po to, żeby napić się coli, zsunęła ciemne okulary na czubek nosa.

Zatkało ją na widok młodego mężczyzny, który wyglądał jak wyjęty z reklamy –

wysoki, opalony, ze śladami ciemnego zarostu na brodzie.

Zdjął kask, niedbale rzucił na siedzenie skórzaną kurtkę, założył przydymione szkła.

Majce zabrakło tchu, kiedy przeszedł obok. Z biciem serca słuchała niskiego głosu zamawiającego zgrzewkę piwa, czuła zapach wody toaletowej, gdy znów ją mijał.

Kobiety wyrzekające na zarazę, od której padały kurczaki, zamilkły na chwilę, a potem zaczęły jazgotać.

– W czepku się urodził. I bogaty, i piękny.

– Żeby nie ojciec, nic by z tego majątku nie było...

Dziewczyna zapomniała o butelce, którą powinna oddać. Wstała i wolnym krokiem przeszła przez ulicę. Kołysała biodrami, wypinała drobniutkie piersi. Minęła szykującego się do odjazdu mężczyznę i ruszyła do domu. Motor dogonił ją po chwili.

– Podwieźć cię, mała? – Kask tłumił głos, który wydał się bardziej bezosobowy niż parę minut wcześniej.

Majkę kusilo, żeby usiąść za plecami przystojniaka, ale ostatecznie zabrakło jej śmiałości. Pokręciła głową, bo z emocji nie potrafiła wydusić słowa. Przegazowany silnik zawył i motor ruszył, sypiąc żwirem spod kół.

* * *

– Ktoś nowy przyjechał – rzuciła od niechcienia przy kolacji. – Młody facet na motorze.

– Syn Nawrota, Adam – mruknęła Madejowa. – Co roku zjeżdża tu na parę dni.

– Aha.

Majkę rozpierała ciekawość. Chciała zapytać, gdzie Adam mieszka, czym się zajmuje, czy ma dziewczynę albo żonę, ale gospodyni nie była w nastroju do pogwarek. Głośno zbierała talerze, chlapała wodą.

– Okno niech panna zamknie! – krzyknęła ze złością, gdy Majka szła na górę.

Na przekór, zostawiła szeroko otwarte okiennice. Patrzyła na sierp księżyca, słuchała grania świerszczy i marzyła o przystojnym Adamie.

Przez sen słyszała chrobot i skrzypienie. I oddech, dziwnie zadyszany, podniecający i odpychający jednocześnie.

* * *

Słońce skryło się za szarymi chmurami, zanosilo się na deszcz. Majka od rana włączyła się po okolicy, zajrzała na rynek, potem znalazła zachwaszczoną drogę, która niespodziewanie skończyła się obok zrujnowanego dworu. Kiedyś musiał być przestronny i wygodny, teraz straszyl wybitymi oknami, krzywymi kolumnkami podtrzymującymi taras i zawaloną wieżyczką. Na wyblakłej tablicy można było odczytać słowa: Pensjonat Stokrotka.

Majka chciała zajrzeć do środka, ale pod oknami rosły pokrzywy, a drzwi zabito deskami.

Ruszyła z powrotem, zgrzana, zmęczona. Musiała pomylić rozwidlenia, bo szła i szła, minęła zarośnięty rzęsą staw i potok, który wąziutką strugą spływał po kamieniach, aż wreszcie stanęła za żelaznym ogrodzeniem cmentarza. Nie chciało jej się wracać niewygodną dróżką pod górę, więc postanowiła przejść między grobami do głównej bramy.

Stamtąd miała już blisko.

W tej części mogiły były stare i zaniedbane. Nikt nie przycinał trawy, nie sadił

kwiatów. Majka zaczęła odruchowo odczytywać wyblakłe tabliczki – Ania Walotek, lat trzynaście, Estera Hausner, lat dziewięć, Heidi Tropp, lat piętnaście – wszystkie powiększyły grono aniołków. Po drugiej stronie leżeli chłopcy: Bruno, Krzyś, Johan... Spojrzała na daty śmierci – 1937, 1936 i znów 1937.

– Jakiś wypadek albo epidemia? – zapytała przybitego do krzyża Chrystusa, lecz on milczał, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal.

Poprawiła przekrzywiony wieniec, wyrwała parę chwastów i poszła dalej, zamyślona.

Zatrzymała się dopiero przed grobowcem Brugerów.

Kwadratowy budynek wyglądał na wiekowy. Szare ściany ubarwiały plamy mchu, wąskie okienka zasnuwały pajęczyny. Majka stanęła na schodku i zajrzała przez kratę.

Znów napłynęły wspomnienia: połysk dębiny odcinającej się jaskrawo od murów, odór stęchlizny, tłumiony nieco przez zapach świerczyny, szelest papierowej szarfy z czarno-złotym napisem „Ostatnie pożegnanie”. Do grobowca wszedł tylko ksiądz i matka, ona musiała moknąć na zewnątrz. Krople deszczu spływały jej po twarzy, wiatr szarpał spódnicą.

Liście tańczyły swój jesienny taniec śmierci, ze sztucznych kwiatów kapiała farba. Boleściwy Jezus jęczał w wiecznej udręce.

– Szukasz śladów wampira? – usłyszała zabarwiony kpina głos.

Odwróciła się gwałtownie i zaczepiła dłonią o ostry zadziór żelaznego krzyża. Krew spłynęła szkarłatnymi kropelkami na zakurzoną podłogę.

Za nią stał Adam, ubrany jak na wycieczkę, z plecakiem i w butach na grubych podszwach. W rękę trzymał bukiet polnych kwiatów – maków, chabrów, stokrotek –

pomieszanych z rozłożystymi liśćmi paproci.

– Nie chciałem cię przestraszyć – powiedział skruszony, kiedy zobaczył, jak dziewczyna ssie ranę. – Jestem Adam.

– Majka – powiedziała niewyraźnie. – Dlaczego wampira?

– Nie wiedziałaś, że stary Franc Bruger to nasz Drakula?

Miał zniewalający uśmiech, lewy kącik unosił się lekko w górę, a wokół ust i oczu tworzyły się delikatne zmarszczki.

– Podobno sprowadził zarazę i plagę szcurów. Wojna, wysiedlenia, to wszystko jego sprawa.

– To mój pradziadek.

– O cholera! – zakłopotał się Adam. – Przepraszam.

– Widziałam go tylko raz, w trumnie. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Dla kogo te kwiaty?

– Na grób matki. Przejdziesz się ze mną? To niedaleko.

Mogiła znajdowała się po drugiej stronie cmentarza, w nowszej części, oddzielonej od reszty rozłożystymi wiązami. Piaszczysta, świeżo wykopana ziemia tworzyła żółte łąty na wydeptanych drózkach. Majka naliczyła trzy nowe groby, obłożone zwiędłymi kwiatami.

Kiedy je minęli, mężczyzna położył bukiet na okazałym marmurowym pomniku.

– Jak ci się podoba okolica? – zagaił, kiedy minęli bramę.

– Ładnie tutaj, tylko...

– Nudno? Fakt, przyjeżdżam tu co roku, ale po tygodniu chce mi się wyć.

Adam przyglądał się spod okularów dziewczynie – była ubrana w długą czarną suknię, na głowie miała kapelusz z absurdalnie szerokim rondem, rzucającym cień na twarz.

– Idę w góry. Może poszwendamy się razem? – zaproponował po chwili.

Majka zapomniała o pragnieniu i bolących nogach. Skinęła głową, ze wszystkich sił powstrzymując cielecy uśmiech.

Zeszli z szosy Adam prowadził ledwie widocznymi ścieżkami. Dziewczyna sapała, rondo kapelusza opadało jej na oczy, a powłóczysta suknia zaczepiała o gałęzie. Zatrzymali się na polance, która przypominała łysinę pośród gęstej czupryny lasu.

Widok okazał się niewart wysiłku. Na tle wiszących nisko chmur domy, rzeka, czepek z czerwonej dachówki, wieńczący kościelną wieżę, sprawiały posępne wrażenie. Jakby były przysypane popiołem, martwe.

Adam sięgnął do plecaka, wyjął blok i ołówki, po czym usadowił się na trawie.

– Co to?

– Wybrałem się, żeby zrobić parę szkiców – mruknął. – To chałtura, ale takie landszafty nieźle się sprzedają.

– Jesteś malarzem?

– Studiuję w akademii sztuk pięknych. Bardziej interesuje mnie rzeźba, ale z czegoś trzeba żyć. Staruszek, chociaż dziany, nie szasta forszą.

Majka przysiadła obok i gapiała się na powstający rysunek – budynki, kościół, most. Co prawda Adam nie zwracał na nią uwagi, lecz ona nagle poczuła się głupio, jakby podglądała cudzy intymny świat. Ogarnęło ją też zupełnie inne uczucie, tak silne, że zakręciło jej się w głowie, a na policzki wypełzły krwiste rumieńce. Bardzo chciała dotknąć mężczyzny, wtulić się w jego ramiona, przeczesać włosy, spleść palce z jego palcami.

Nigdy wcześniej nie doświadczyła tak obezwładniających erotycznych emocji. Na pożegnalnej imprezie pozwoliła się obmacać Piotrkowi, ale niezdarne, wilgotne pocałunki i pieszczoty nie wzbudziły podniecenia, tylko niesmak. Teraz drżały jej kolana i brakowało tchu, a nabrzmiałe sutki odznaczały się pod sukienką. Zawstydziała się i przestraszyła, że Adam domyśli się wszystkiego i ją wyśmieje. Wołała uciec.

Zerwała się i wspięła wyżej. Na skraju polany rosły dzikie jeżyny. Dojrzałe owoce wyglądały jak krople krwi zastygłe na gałęziach, miały smak słodki i gorzkawy jednocześnie. Majka zdjęła kapelusz, garściami zrywała i wsypywała do niego czerwone kuleczki. Było ich tak dużo, że wypełniła go po brzegi i zaniosiła Adamowi.

Mężczyzna odłożył szkicownik, ułożył się w trawie. Majka oparła się o pniak, na którym wcześniej siedział. Oboje raz po raz sięgali do kapelusza.

– Opowiedz mi o dziadku. Dlaczego uważają go za wampira? – szepnęła dziewczyna, byle rozproszyć zbyt intymną ciszę.

– To przecież brednie.

– Proszę.

– Przed wojną Brugerowie byli bogaci, mieszkali na wzgórzu, w lesie. Potem ich dom został przerobiony na pensjonat, dziś to ruina. – Adam zamilkł na chwilę, a Majka pomyślała o ruderze z wybitymi oknami i zawaloną wieżyczką. – Żona Brugera, Katia – podjął

opowieść – była znacznie od niego młodsza. Ciągnęło ją do towarzystwa, lubiła bale i podróże, a Franc okazał się odludkiem. Zabrała więc dzieci i uciekła z kochankiem, jakimś oficerem. Bruger chciał się zabić, ledwo go odratowali... Później strasznie zdziwaczał, przegonił służbę, wychodził tylko po zmroku, plątał się po cmentarzu, sprowadzał jakichś okultystów, wtedy panowała taka moda. Potem przyszedł nieurodzaj, plaga szczurów i wreszcie zaraza. Marły przeważnie dzieci... Ludzie szukali winnego i znaleźli. Bruger nie miał spokoju, ktoś próbował go nawet zamordować. Podobno zanim wyjechał, przeklął to miasteczko. Może coś w tym jest? Zauważyłaś pewnie, że zostali tu sami emeryci. Nikt nie wie, co się potem działo z Brugерem. Wrócił parę lat temu i zamieszkał w tej chałupie na uboczu. Dawnych mieszkańców wysiedlili, ale plotki o wampirze jakoś przetrwały, chociaż staruszek prawie nie wychodził i mało z kim rozmawiał.

– Biedny dziadek – szepnęła Majka. – Matka nigdy o nim nie wspominała, dopiero kiedy umarł...

Usta miała czerwone od soku, w kącikach oczu zebrały się łzy. Przez chwilę drżały na rzęsach i wreszcie pojedyncza kropla spłynęła po policzku. Adam znów sięgnął po szkicownik i ołówek.

– Nie ruszaj się – szepnął.

Najpierw pojawił się zarys trójkątnej twarzy, z wystającymi kośćmi policzkowymi, dużymi oczami, prostym nosem i nieco zbyt szerokimi ustami. Potem sylwetka, za chuda, z wyraźnie zarysowanymi obojczykami, którą Adam wydobywał prostymi kreskami.

– Dasz mi go? – spytała Majka, kiedy odłożył papier.

– Jeszcze nie skończyłem – mruknął. – Chcesz już wracać?

– Nie, tutaj jest tak przyjemnie.

Nie wiedzieli, kiedy zmorzył ich sen. Obudzili się nagle, spłoszeni jakimś trzaskiem czy głośniejszym skrzypnięciem gałęzi. Powietrze było duszne i nieruchome. Pachniały sosny, brzęczały trzmielce. Przez chmury przebiło się słońce. Ukośne promienie wyłatały żdźbła traw, rozświetlały drobinki kurzu, które wyglądały jak tańczące motyle.

Adam poczuł ukłucie w szyję. Podrapał się, odgarnął włosy. Palce trafiły na lepłą wilgoć.

– Co jest? – mruknął i spojrzał na dłoń.

Była pokryta czymś czerwonym i kleistym.

Zerwał się gwałtownie. Na koszulce miał krwiste plamy, włosy zlepione. Popatrzył na Majkę. Leżała w trawie rozluźniona, z przymkniętymi oczami i lekkim uśmiechem na twarzy. W kąciu jej ust zakrzepła strużka czerwieni.

– Rany boskie! Majka? Co ty...?

Otworzyła oczy, przeciągnęła się.

– Mmm... Pachniesz jeżynami – wymruczała.

– Jeżynami?

Adam zaśmiał się nerwowo. Dłoń zabłądziła do kapelusza z reszką rozgniecionych na dnie owoców.

– A już sobie pomyślałem, że ty...

– Co, ja?

– Nic takiego. Wstawaj, wracamy.

Zebrał swoje przybory i ruszyli z powrotem. Zatrzymali się tuż przed szosą, po której drobna kobiecina przeganiała krowę.

– Nie możesz się tak pokazać – mruknął Adam.

Dotknął jej ust i starł czerwone ślady, a potem musnął wargi w przyjacielskim pocałunku.

– Teraz lepiej.

Majka weszła na ganek na uginających się nogach.

Tylko się nie odwracaj, myślała, jednocześnie spanikowana i szczęśliwa. Niech nie myśli, że mu na tobie zależy. Nie odwracaj się...

Madejowa patrzyła podejrzliwie na błyszczące oczy i wypieki, ale na szczęście o nic nie zapytała.

Pocałował ją, pocałował!

Majkę raz po raz przechodziły podniecające dreszcze. Spojrzała do lustra. Zmatowiałe szkło znaczyły ciemne plamy, odbicie było zamazane, jakby odległe, nierealne. Spodobał jej się ten obraz – ze lśniącymi oczami i zarumienionymi policzkami.

– Jesteś wampirzycą – powiedziała do dziewczyny po drugiej stronie. – Jesteś piękną, seksowną wampirzycą. Strzeż się, Adamie, bo wysę ci krew, ukradnę duszę.

Położyła się rozgorączkowana, drżąca. Okno było szeroko otwarte, a ona wodziła opuszkami palców po skórze, obrysowywała spierzchnięte wargi.

Śniła o bólu, który wywoływał rozkosz, oczekiwaniu, zaspokojeniu. Dłoniach, raz delikatnych, to znów szorstkich, wilgotnym języku, przesuwającym się po jej ciele z obezwładniającą powolnością, drażniącym zapachu, przygniatającym ją ciężarze...

* * *

– Jak też panna Marysia wygląda! – Madejowa załamała ręce, a Majka rzuciła się do lustra.

Twarz i szyję miała pokrytą czerwonymi plamami, wyraźnie odbijającymi się od bladej cery, na ustach wykwitła paskudna opryszczka. Właściwie nigdy nie znikwała, ale można ją było zatuszować pudrem i mocną szminką. Na dodatek w nocy podrapała się do krwi, bo na szyi zastygły dwa brzydkie strupy.

Złapała lusterko i rzuciła nim o podłogę, aż rozprysnęło się na kawałki, a potem się rozpląkała.

– No, co też Marysia... Tak nie można. I lusterko się potłukło, a to nieszczęście na siedem lat. Kwaśnego mleka ze spiżarni przyniosę i okład zrobię.

Zakrzętnęła się wokół rozpaczającej dziewczyny, pozbierała szklane okruchy.

Szczęśliwym zrzędzeniem Adam przyjechał po zmierzchu. Cmoknął Madejową w rękę i podał jej reklamówkę z niemieckim nadrukiem.

– To maść, o którą pani prosiła. Nie, nie wezmę ani złotówki, rozliczy się pani z ojcem.

Potem siadł z Majką na skrytej w cieniu ławce. Gospodyni przyniosła im herbaty z malinowym sokiem, słodkiej, pachnącej latem.

– Moi starzy się rozwodzą – opowiadała dziewczyna, siląc się na obojętność. – Kłóć się o telewizor, pieniądze z lokaty, nawet o psa. Matka chce się tu sprowadzić na jesieni i otworzyć kancelarię. Na co komu w tej dziurze kancelaria podatkowa?

– A ty?

– Bo ja wiem? – Majka wzruszyła ramionami. – Tu nie ma szkoły, więc musiałabym mieszkać w internacie. Z ojcem jeszcze gorzej, chce się ożenić z panienką młodszą o dwadzieścia lat. Tylko bym im przeszkadzała. – Po raz pierwszy w jej głosie dało się słyszeć niepewność i rozgoryczenie. Adam objął ją opiekuńczym gestem.

– Takie jest życie, mała. Nie łam się.

– O psa się kłóca, a mnie nawet nie zapytali o zdanie. – Dziewczyna pociągnęła nosem i szybko otarła łzy, które niespodziewanie pojawiły się w kącikach oczu. – Czasem myślę, że byłoby lepiej...

...gdybym umarła, dokończyła w myślach. Może wtedy by mnie dostrzegli, zrozumieli, że byłam ważniejsza od Napa i tej głupiej kurewki...

– Co?

– Eee, takie tam głupoty. Muszę już iść. Dobranoc.

Wstała. Na ganku paliło się światło. W blasku nagiej żarówki na twarzy paskudnie odznaczały się czerwone plamy.

– Co ci się stało? – spytał zaskoczony mężczyzna.

– Nic. To uczulenie na słońce.

* * *

Adam nie pokazywał się już drugi dzień. Majka była na przemian zrozpaczona i zadowolona. Nie chciała, żeby oglądał ją oszpeconą, litował się nad jej nieudany życiem.

Ale tak bardzo pragnęła go zobaczyć, usłyszeć głos. Tylko jemu się zwierzyła, a on potraktował ją zwyczajnie, bez złośliwości, bez idiotycznych zapewnień, że wszystko dobrze się skończy. Katowała się myślami, że mężczyzna więcej nie przyjdzie, doprowadzała się do łez i czerpała z tych emocji jakąś przewrotną przyjemność. Wreszcie usłyszała pukanie do drzwi.

– Cześć, mała. Zjechało do mnie paru kumpli, robimy imprezę. Dołączysz?

– No, nie wiem... – przeciągnęła Majka. Nie chciała, by sobie pomyślał, że jej zależy. –

Mam czas dopiero wieczorem.

– Okej. Wpadnę po ciebie o ósmej. – Lewy kącik ust powędrował nieznacznie w górę.

Całe popołudnie spędziła przed lustrem. Próbowwała zatuszować pudrem i szminką obrzydliwe strupy, upinała włosy, przymierzała jedną kieckę po drugiej.

Właściwie wszystkie są jednakowe, doszła do wniosku, czarne, długie... Niech to szlag!

Dlaczego inne dziewczyny mogą pokazywać ramiona i opalone nogi, a ja muszę być blada jak trup? I mieć płaskie piersi? Magda nosi trójkę... Szlag, szlag!

Wreszcie włożyła sukienkę z wysoką stójką, a włosy rozpuściła. Siadła na stołku w kuchni, skąd widziała szosę, i słuchała narzekań Madejowej.

– Kto to widział, żeby cukier tak podrożał? Buraków skup nie przyjmuje, bo magazyny zapchane, a w sklepie kilo po cztery złote. A chleb? Toż to trociny nie chleb, suche, przesolone. Matka chlebuś potrafiła upiec... W całym domu pachniało i przez tydzień świeży był. Czemu Marysia tak w okno spogląda? Może na deszcz się zbiera? Nie? Zboże całkiem wyschło, same puste kłosa. A to co?

Pod domem hałaśliwie zatrzymał się motocykl, zahuczał klakson. Majka gwałtownie odsunęła się od szyby.

– On po Marysię przyjechał? – zdziwiła się gospodyni. – Niech panna uważa, nie wiadomo, co mu do głowy może strzelić. Chłopy wszystkie jednakie.

– Wrócę późno – rzuciła dziewczyna i wybiegła na dwór.

Włożyła kask, siadła z tyłu i objęła Adama.

– A cóż jemu do takiej siksy? – wymamrotała pod nosem Madejowa, kręcąc głową.

* * *

Stojąca na wzgórzu willa była piękna. Zbudowana z surowych kamieni, z tarasem ozdobionym kwiatami w donicach. Na podjeździe stał zakurzony jeep. W przejrzystej wodzie basenu odbijały się ostatnie błyski zachodzącego słońca. Na leżakach wylegiwała się trójka opalonych mężczyzn w wieku Adama i długonoga kobieta ubrana w skąpe bikini.

Majce na jej widok zrobiło się smutno. Zawsze chciała tak wyglądać – z pełnym biustem, skórą opaloną na ciemny brąz i blond włosami, a nie jak blady i chuderlawy strach na wróble.

– To jest Majka – przedstawił ją Adam. – Iwona, chudzielec ma na imię Michał, długowłosa Wojtek, i Kuba.

– Cześć – mruknęła dziewczyna.

Miała ochotę zapaść się pod ziemię, bo wszyscy jak na komendę zmierzili ją taksującymi spojrzeniami. Już żałowała swojego przyjazdu. Lepiej było zostać w domu z Madejową niż poddać się takiej ocenie. Tym bardziej że gospodarz, dokonawszy prezentacji, zniknął w domu.

– Siadaj, napij się – zlitowała się Iwona i podsunęła Majce puszkę piwa. – Mieszkasz tutaj?

– Jestem na wakacjach – wymamrotała dziewczyna i przysiadła pod parasolem. Nie chciała ryzykować pojawienia się nowych strupów. – Mama odziedziczyła tu dom po dziadku.

Michał wskoczył do basenu. Bryzgi wody ochlapały rozebraną Iwonę i zapiętą po szyję Majkę.

– Nie kapiecie się?! – zawołał.

Długonoga kobieta wsunęła się do wody z syrenią gracją. Majka burknęła:

– Nie.

Z każdą chwilą czuła się gorzej. Towarzystwo najwyraźniej znało się od dawna; pewnie razem studiowali, bo rozmawiali o zaliczeniach, imprezach, werniksie i jakiejś Ance, która zdobyła wyróżnienie w zagranicznym konkursie. Na Majkę nikt nie zwracał uwagi, nie próbował wciągnąć w rozmowę. Zresztą o czym miałyby gadać z tymi dorosłymi ludźmi? O

zawalonych testach do liceum, Piotru z osiedla, w którym się podkochiwała od podstawówki, rozpadzie rodziny? Spalającym ją niepokojem i buncie przeciwko wszystkim i wszystkiemu, szczególnie rodzicom? Oboje tak bardzo ją zawiedli, że nie dociekała, po czyjej stronie leży wina, nie chciała słuchać żalów i oskarżeń, nie zamierzała zaprzyjaźnić się z narzeczoną ojca, podobną do Iwony – młodą, piękną i pewną siebie – ani być powiernicą matki.

Żal i upokorzenie sprawiły, że Majka zerwała się z leżaka, gotowa uciec. Do domu miała kawał drogi, ale wolała samotnie błąkać się po wertepach niż czuć się śmieszna i niepotrzebna. Bez słowa przekroczyła rozsunięte szklane drzwi. W środku panował mrok.

Nie potrafiła znaleźć wyjścia, więc skierowała się w stronę światła.

Trafiła do kuchni. Błat zastawiono puszkami, słoikami i pojemnikami. Adam rozmawiał przez telefon. Na widok gościa skończył rozmowę i odłożył słuchawkę.

– Przyszłaś pomóc? Łap się za koreczki, ja pokroję chleb.

Nachmurzoną dziewczynę ogarnęła błogość. Adam był taki fajny, bezpośredni. I pocałował ją przecież, pocałował... Odetchnęła głęboko i zaczęła nadziewać na szpikulce korniszony, papryczkę i oliwki.

– Jak tam mój portret? – spytała przymilnie.

– Jeszcze nie jest gotowy. Cierpliwości, mała.

Wzięli tace i wrócili na taras do rozleniwionego towarzystwa. Kanapki i przekąski zniknęły w jednej chwili.

Kiedy się ściemniło, Adam włączył muzykę i zapalił świece. Postawione na stolikach i podłozie wyznaczały świetlisty prostokąt tarasu. Zrobiło się nastrojowo i przytulnie.

Spłoszone papierosowym dymem komary trzymały się z daleka, ćmy krążyły wokół

płomieni, przez niezbyt głośne dźwięki przebijało się ćwierkanie świerszczy i rechot żab.

Skryta w półmroku Majka wreszcie poczuła się swobodniej, bo zniknęło uczucie, że wszyscy się na nią gapią. Teraz sama mogła ocenić towarzystwo.

Kuba, w koszuli z kołnierzykiem, okrągłych okularkach na nosie i równo przystrzyżoną grzywką, przypominał kujona. Mówił najgłośniej ze wszystkich i sypał dowcipami. Jakby dla kontrastu, Wojtek prawie się nie odzywał, palił tylko papierosa za papierosem. Długie jasne włosy miał zaplecione w warkocz związany kolorową frotką, pod nosem równie jasny wąsik. W wyciągniętym podkoszulku, bermudach i sandałach wydawał się rozluźniony, może senny. Kiedy wstał, żeby sięgnąć po piwo, okazało się, że ma prawie dwa metry wzrostu. Michał nawet w zarzuconym na ramiona swetrze wyglądał na niedożywionego, chociaż pochłonął większość poczęstunku i dorobione nadprogramowo kanapki. Ubrana w kusą sukienkę Iwona skubała pomarańczę. Świadomie lub nie, eksponowała wszystkie swoje atuty: długie nogi, idealną figurę, włosy opadające miękką falą. Majka wolałaby wierzyć, że dziewczyna jest równie ładna jak głupia, ale, słuchając jej ciętych ripost, pozbyła się złudzeń.

W duchu przyznawała, że odstaje od towarzystwa, nie tylko wiekiem. Mimo że ich ubrania nie wyglądały świeżo, z pewnością nie pochodziły z bazaru, ale z drogich markowych sklepów, tak samo jak zegarki, telefony i bransoletka z białego złota na nodze Iwony. Majka miała na sobie kieckę z lumpeksu i „supermodny” naszyjnik kupiony razem z gazetą. Mimo to imponowało jej, że siedzi z zamożnymi studentami na nocnej imprezie przy basenie i chichocze z dowcipów Kuby.

Przybywało pustych puszek i niedopałków w popielniczkach, rozmowa toczyła się coraz głośniej. Iwona i Adam gdzieś zniknęli. Majce kręciło się w głowie od piwa wydudlonego niemal jednym haustem i skręta, którego Wojtek puścił w obieg.

Znała zapach trawki, śmierdziały nią szkolne toalety, ale nigdy wcześniej nie dała się skusić. Kiedyś rodzice pokazali jej koczujących na dworcu narkomanów – brudnych, śmierdzących, kołyszających się na ugiętych nogach w rytm niesłyszalnych dla innych tonów muzyki. Ten obraz utkwiał jej głęboko w pamięci i tłumił ciekawość. Widać nie był do końca prawdziwy, skoro dorośli, inteligentni, dobrze sytuowani ludzie nie mieli żadnych oporów i częstowali marihuaną ledwo poznaną nastolatkę.

Zaciągnęła się.

Nic się nie zmieniło. Rozmowa przycichła, więc siedziała, gapiąc się na nocne niebo.

Gwiazdy świeciły mocniej niż zazwyczaj; nawet kiedy zamknęła oczy, widziała ich blask pod powiekami. Na tle tych rozbłysków majaczył kształt nietoperza, który krążył nad tarasem; w ślepych oczach odbijały się miniaturowe płomyczki zapalonych świec. Z mroku dobiegał dziwnie zadyszany oddech i szept zachęcający do... Nie wiedziała do czego.

– Zawsze jesteś taka ponura? – zagadnął ją siedzący najbliżej Kuba.

– Wnuczce wampira nie uchodzi nadmierna wesołość – odpowiedziała.

Wymawiała słowa bardzo starannie, bo język jej zdrętwiał. I dziwiła się, skąd jej przyszły do głowy takie wyszukane zwroty. Pewnie zapamiętała kwestię z jakiegoś filmu.

Zainteresowanie dodało jej pewności siebie i poczuła nagłe ożywienie.

– Mój dziadek sprowadził na to miasteczko zarazę i plagę szczurów, a przed śmiercią je przeklął, dlatego życie tu zamiera. Młodzi uciekają, nie rodzą się dzieci – ciągnęła tajemniczym szeptem. – A teraz przekazał dziedzictwo mnie. Popatrzcie.

Odchyliła stójkę i zaprezentowała strupy na szyi.

– Rany! – Kuba zacmokał.

Oczy mu błyszczały, na górnej wardze zebrały się kropelki potu.

Majkę ogarnęła euforia. Już nie siedziała z boku, nie czuła się gorsza, niepotrzebna, a trzech dorosłych facetów słuchało jej z wypiekami na twarzy.

– Gospodyni obwiesiła czosnkiem cały dom, na noc zamyka okna. Ale ja i tak słyszę przez sen, jak ktoś chodzi po pokoju, czuję, że mi się przygląda...

– A gdzie jest twój dziadek?

– W dzień odpoczywa na cmentarzu.

Śmiech był podszyty nutką napięcia. Każdy przypomniał sobie jakąś historię o wampirach, znaną z filmów, książek albo gier, i koniecznie musiał ją opowiedzieć. Najlepiej pamiętano Lestata – szalonego i bezwzględneho, a jednocześnie dysponującego niewyobrażalną potęgą.

– Książęta ciemności, ubrani w długie peleryny i koszule z koronkami – mówił

melancholijnie Wojtek zapatrzony w mrok – sypiają w trumnach, żyją wiecznie. Mają moc i charyzmę. To kuszące...

– Ugryź mnie, wampirzyco – napraszał się Kuba. Jedną ręką obejmował Majkę, druga błędziła w stronę drobnych piersi. – Będę twój na wieki.

– Złożmy mu wizytę.

– Chcesz jechać na cmentarz? – zapytał Michał, chichocząc nerwowo.

– Czemu nie? – Z głosu Wojtka zniknęła melancholia. Zastąpiły ją tęsknota i zdecydowanie.

– Właśnie, dlaczego nie? – poparła go Majka.

Czuła rozpieszczającą ją radość i energię, jakby miała się unieść w powietrze. Kolory wydawały się jaskrawsze, zapachy intensywniejsze. Każde słowo i gest prowokowały do śmiechu. Nie

przeszkadzały jej coraz śmielsze pieszczoty Kuby, przeciwnie – czuła podniecenie, serce waliło, oddech przyśpieszył. Propozycja nocnych odwiedzin na cmentarzu współgrała z tym nastrojem, była równie szalona jak ta noc.

– Jedźmy! Jedźmy odwiedzić wampira! – darł się Michał.

Jeep miał otwarty dach, wiatr rozwiewał włosy, łomotało techno. Z wariacką prędkością zjeżdżali po stromej, wąskiej drodze. Piszczwały hamulce, długie światła wyławiały z ciemności krzaki i pnie drzew.

Zatrzymali się przed cmentarnym ogrodzeniem. Brama była zamknięta, ale przy samochodowych reflektorach cała czwórka bez kłopotów sforsowała niskie żelazne

sztachety. Majka zostawiła na szpikulcu strzęp sukni, potykała się o pomniki, ocierała o kamienne i żelazne krzyże. Wreszcie stanęła przed starym grobowcem.

– To tutaj. Jak wejdziemy do środka?

Światło nie sięgało starej części cmentarza. Wojtek pstryknął zapalniczką i przypalił

znicz zabrany z jakiejś mogiły, Michał potrząsnął kratą. Kuba, który zabrał łyżkę do opon, podważył kłódkę. Drzwi uchyliły się z przeraźliwym wizgiem i grób stanął otworem.

Gnieżdżąca się pod sufitem sowa zwróciła na intruzów złote ślepia, zahukała oburzona, że zakłócili jej spokój, i wyfrunęła przez wąskie okienko.

W małym pomieszczeniu cztery osoby stworzyły tłok. Mężczyźni przepychali się, Majka wcisnęła się w kąt i trzymała wysoko znicz. Osłonięty czerwonym szkłem, rzucał

krwawą poświatę na twarze, malował cienie na popękanych ścianach, potęgując nastrój niesamowitości.

Wnęki z trumnami były zamurowane. Z najświeższej sypała się niedbale położona zaprawa. Wystarczyło puknąć parę razy i wyjąć obluzowaną płytę, by zobaczyć jaśniejszą plamę dębowej trumny.

– Ciągniemy, raaaz!!! – zakomenderował Wojtek.

Trumna wysunęła się z niszy w tumanie pyłu. Ozdoby i papierowe koronki były zakurzone i poszarpane. Kiedy Kuba załomotał w wieko, przyklejony na wierzchu krzyż odpadł.

– Nie odpowiada... Może wybrał się na łowy? Właśnie w tej chwili wbija kły w białą szyję dziewicy? – błaznował.

– Sprawdźmy.

Podważone wieko ustąpiło razem z mocującymi je śrubami. W twarze pochylonych buchnął potworny

smród. Michał zakrzusił się i wypuścił deskę. Spadła z głuchym łomotem i rozpadła się na połowy. Wcale nie była dębowa. Połysk nadawała okleina, spod niej wystawała zwykła pilśniowa płyta.

– Rany boskie – jęknął Kuba, który pierwszy zajrzał do trumny.

Wojtek pochylił się nad nieboszczykiem z chorobliwą fascynacją, zielony na twarzy Michał wybiegł. Majka odstawiła znicz i wcisnęła się na jego miejsce.

Twarz Franca Brugera wyglądała inaczej, niż dziewczyna zapamiętała z pogrzebu – była pełniejsza, mniej pomarszczona i wcale nie blada, lecz rumiana. Na dłoniach, z których wypadła Biblia, widniały jaśniejsze plamy, jakby świeżego naskórka, poczerńnięte palce sprawiały wrażenie pobrudzonych ziemią.

– To prawda. Jesteś księciem ciemności – wybełkotał Wojtek. Ukląkł obok trumny i złożył ręce w błagalnym geście. – Ukąś mnie, przemień. Będę ci służył, zrobię wszystko, wszystko...

– Zabijemy go – zdecydował Kuba. – Potrzebujemy osinowego kołka i krzyża.

Majce zrobiło się niedobrze, jakby dopiero teraz dotarło do niej, gdzie jest i co widzi.

– Czyście powariowali?! – krzyknęła załamującym się głosem. – Zostawcie go w spokoju!

– Błagam cię, błagam... – Wojtek płakał, kołysząc się w przód i w tył. – Chcę być wampirem, żyć wiecznie, latać.

– Gdzie tu rośnie osina?

– Neeee! Wynocha stąd, precz!

– W samochodzie mam nóż, wystarczy zastrugać...

– Co myśmy zrobili? To wstrętne, złe – zawodziła dziewczyna.

Tusz rozmazał się pod oczami, szminka zeszła, odsłaniając zerwany strup, łyzy wyżłobiły bruzdy w grubej warstwie pudru. Klęczący Wojtek uczeplił się jej nóg.

– Jeśli nie on, ty mnie przemień – zaskomlił.

– Jesteś pieprzonym wariatem! – wrzasnęła Majka i kopnęła go z całej siły.

Podeszwy glanów zostawiły pasiasty ślad na nieogolonym policzku.

Przepchnęła się do wyjścia i uciekła.

– Spadajmy stąd. Słyszycie, idioci? Uciekajmy.

To był Michał. Wyglądał upiornie, ze zmierzwionymi włosami, wilgotnymi ustami i grymasem

obrzydzenia i strachu na twarzy. Dygotał.

– Nie zabijemy wampira? – Kuba skrzywił usta w podkówkę niczym zawiedzione dziecko, któremu odebrano nową zabawkę.

– Nie, nie chowajcie go! – wył rozpaczliwie Wojtek. – Mój księżę, obronię cię przed tymi ignorantami.

Michał wszedł do środka, nakrył trumnę pękniętym wiekiem i wsunął do niszy.

Zarażony jego zdenerwowaniem Kuba włożył płytę i byle jak upchnął w szparach trochę gruzu. Wywlekli zawodzącego Wojtka, przymknęli drzwi grobowca, przeleźli przez ogrodzenie i odjechali.

* * *

Majka zataczała się na zwirowej szosie. Pokrzywy chłostały ją po nogach, o sukienkę zaczepiały gałęzie krzaków. Oślepią łzami potknęła się i upadła. Otarła kolano, żwir przykleił się do spoconej skóry. Nie czuła bólu. Podniosła się i biegła dalej, poganiana strachem, przytłoczona poczuciem winy, zbrukana.

Drzwi domu nie były zamknięte na klucz, w kuchni paliło się światło. Dziewczyna nie zajrzała tam, tylko od razu weszła na górę. Nie chciała się tłumaczyć przed Madejową, nie potrafiłaby spojrzeć jej w oczy.

Zasunęła zasuwkę i w ciemności rozebrała się do naga. Miała wrażenie, że skóra, ubranie, nawet buty przesiąkły odorem rozkładu i śmierci. Najchętniej wykapałaby się pod prysznicem, ale w domu dziadka była tylko wanna w łazience na parterze. Nie mogła tam

zejść niezauważona przez gospodynię. Otworzyła lukarny, żeby choć w części uwolnić się od wszechobecnego smrodu, i wsunęła się pod kołdrę.

Zdawało się jej, że nie śpi, bo przed oczami wciąż przesuwały się upiorne obrazy: pęknięte wieko z obluźowanym krzyżem, różowa, wygładzona twarz Franca Brugera, Biblia, która spadła za wyściółkę trumny, klęczący na betonowej podłodze Wojtek...

Dziadek pochylał się nad nią, oczy błyszczały mu nienaturalnym blaskiem, z ust wystawały kły.

– Zawiodłaś mnie – szepnął tonem, od którego Majkę przeszedł dreszcz.

– Nie chciałam... Wybacz mi, dziadku – płakała. – Tak mi wstyd. Jak mogę odkupić swoją winę?

Potem obrazy się zamazały i pozostały tylko barwy – czarne, przytłaczające oraz rozlewające się na nich plamy czerwieni, mocne i duszące zapachy, a także ogarniające całą jej istotę uczucie śmiertelnego przerażenia i obezwładniającej niemocy.

W tym śnie-nie śnie Majka miotła się na łóżku, krzyczała, szlochała.

Od strony drzwi dobiegał łomot, który odbijał się echem pod czaszką.

– Niech Marysia otworzy! Słyszysz Marysia?!

W pokoiku było widno, na sznurkowym chodniku leżała skołtuniona sukienka i buty.

Pościel znaczyły ciemne smugi tuszu i czerwone plamy. Czy to krew?

Majka ledwo się zwlokła. W ustach czuła wstrętny smak, jakby starej ścierki, ostrej i cuchnącej. Ruchy miała nieskoordynowane, oczy piekły, niczym zasypane piaskiem.

– Już otwieram – wychrypiała.

Wepchnęła ciuchy pod łóżko, włożyła długi podkoszulek, w którym zazwyczaj sypiała, i trzęsącymi dłońmi otworzyła zasuwkę.

Madejowa miała minę jednocześnie gniewną i zatroskaną.

– O której Marysia wróciła? – wybuchnęła.

– Mówiłam, że będę późno. Nie trzeba było czekać – odpysknęła Majka.

– Nie trzeba, nie trzeba – jazgotała gospodyni. – A jak by się co złego panie przytrafiło, czyja byłaby wina, jak nie moja?

– Niech Madejowa nie krzyczy. Głowa mi pęka i światło tak razi...

– Światło razi – powtórzyła z podejrzliwą miną kobieta. – A kto okno otworzył?

Mówiłam, że ma być zawarte. Niech no się Marysia bliżej pokaże.

– Muszę się wykapać, wczoraj mi się nie chciało.

Majka wyminęła gospodynię i zbiegła na dół. Zamknęła się w łazience i gapiła na brunatną wodę spływającą do wanny. Nie spojrzała do lustra. Bała się tego, co mogłaby zobaczyć.

W gorącej wodzie zapiekły wszystkie otarcia i zadrapania. Świeży strup na kolanie rozślimaczył się tak samo, jak ten na szyi. Dziewczyna siedziała w wannie dobrą godzinę, zmywając z siebie koszmar poprzedniej nocy. Na emalii pozostał szary osad brudu, ale wspomnień nie dało się zetrzeć najostrzejszą gąbką.

Majka sięgnęła po telefon. Od początku pobytu w miasteczku zadzwoniła do matki tylko raz. Potem wyłączyła komórkę. Nie chciała słuchać o spotkaniach z adwokatem, kłótniach o srebrną zastawę ani

wzajemnych oskarżeń. Odcinając się od rodziców, postanowiła ich ukarać, sprawić, by się martwili i szukali z nią kontaktu. Teraz zapragnęła usłyszeć ich głosy, znowu poczuć się kochana i bezpieczna.

Podświadomie oczekiwała, że poczta będzie zapchana wiadomościami, tymczasem znalazła tylko jedno połączenie i SMS-a. Magda pisała, że nad morzem jest „cool”, a ojciec informował ją, żeby nie dzwoniła przez następne dwa tygodnie, bo zabiera Basieńkę na urlop do Tunezji.

Majka się poryczała. Kiedy jeszcze tworzyli rodzinę, wyjeżdżali do starego ośrodka wczasowego w Bieszczadach. Kempingi były obskurne, stołówka kiepska, a do najbliższego sklepu kawał drogi, ale Majka nie śmiała narzekać. W domu się nie przelewało, matka więcej siedziała na zasiłku, niż pracowała i jedna pensja nie wystarczała na luksusy. A teraz ojciec, mimo że obciążony kosztami rozwodu i alimentami, zabiera narzeczoną do Afryki!

Kompletnie zdołowana wystukała numer do matki.

– Co tam u ciebie, córeczko? – usłyszała. – Jesteś zdrowa?

– Tak – burknęła do słuchawki.

Miała tak wiele żalów do wylania, że nie wiedziała od czego zacząć.

– Bardzo się cieszę, że dobrze się bawisz i jesteś z dala od tego wszystkiego. Gdybyś wiedziała, co ja tu przeżywam!

– Mamo, zrobiłam coś okropnego...

– Ojciec nie raczył oddzwonić, więc wszystko spadło na moją głowę. Na szczęście ustalono już termin rozprawy...

– Mamo...

– Dasz mi Madejową do telefonu? Albo sama jej powiedz, że przelew trochę się opóźni.

To wina ojca, zapomniał o alimentach. Pa, Majeczko. Zadzwoń niedługo i znów sobie pogadamy.

– Pogadamy? O czym?! O dziadku wampirze, zbezczeszczonym grobie, czosnku i zamkniętych oknach? Czy o twoim nieudanym życiu?! – krzyknęła Majka do głuchej słuchawki. – Nic cię nie obchodzi! Nienawidzę cię! Nienawidzę!

Rzuciła telefonem i padła na łóżko. Skuliła się, objęła rękoma – drobna figurka w czerni na tle białych poszewek – samotna i nieszczęśliwa.

Nie, nie powinna tak myśleć. Przecież jest Adam. Cudowny, wspaniały Adam, który naszkicował jej portret i pocałował ją na pożegnanie. Jeśli nie może oczekiwać wsparcia od rodziców, poszuka go u Adama. On ją zrozumie, ochroni przed złymi myślami i upiornymi wspomnieniami, ukołysze, szepnie, że tamto się nie liczy i że bardzo, bardzo ją kocha. A potem zabierze do Tunezji albo na Seszele. Stamtąd, na złość, wyśle ojcu pocztówkę.

Po raz pierwszy tego dnia Majka nieco się rozpogodziła, a strach zelżał. Niewiele osób zaglądało na stary cmentarz. Mogą minąć tygodnie, nawet miesiące albo lata, zanim ktoś odkryje wyłamana kłódkę do grobowca. Ślady zatrze deszcz i nikt nie skojarzy jeepa, trzech naćpanych studentów i nastolatki, którzy chcieli obejrzyć wampira.

W opiekuńczych ramionach Adama wspomnienia zblakną, a wreszcie wywietrzeją, tak samo jak wstrętny zapach, który ją prześladowuje.

* * *

Zbliżał się zmierzch. Wielka słoneczna kula zawisała na moment między łagodnymi stokami i zniknęła, rzucając ostatnie złote błyski. Majka usłyszała warkot motoru, więc wyszła przed furtkę. Serce było jej coraz szybciej i mocniej.

– Cześć, mała. Przyjechałem sprawdzić, jak się miewasz, i przywiozłem portret.

Wszystko w porządku? Tak nagle wczoraj zniknęliście. Nie było kogo zapytać, bo kumple zwinęli się o świcie.

– Tak, wszystko gra – wykrztusiła Majka.

Kocha mnie, kocha, śpiewało jej w duszy. I naprawdę się o mnie troszczy. Tylko po co przywiózł ze sobą tę dziewczuchę?

Siedząca za Adamem Iwona zdjęła kask, na ramiona opadły rozjaśnione słońcem włosy.

Króciutkie szorty odsłaniały opalone na ciemny brąz nogi. Przywitała się ze stojącą na ganku Madejową i z uśmiechem podała Majce wielką szarą kopertę.

– Adam skończył go dziś po południu.

– Pamiętasz Iwonę? Zaręczyliśmy się i jutro wyjeżdżamy, najpierw prosić staruszka o błogosławieństwo, a potem do Egiptu. Iwonka zawsze marzyła o piramidach.

– Gratuluję.

Tylko na tyle się zdobyła. Na jedno jedyne słowo wypowiedziane bezbarwnym głosem.

Nie musiała sobie powtarzać, żeby się nie odwracać. Nie chciała się odwracać, widzieć uśmiechu Adama ani jego jasnowłosej piękności. Wszystko się skończyło.

– Co też Marysia dostała? – zainteresowała się Madejowa.

Majka bez słowa podała jej prezent. Gospodyni zerknęła na rysunek.

– W imię Ojca i Syna... – wyjąkała.

Dziewczyna podniosła wzrok. To był szkic, który Adam zrobił na polanie. Starannie wykończył wszystkie kreski, uzupełnił szczegóły. Grafitowa czerń ołówka mocno kontrastowała z bielą kartki. Delikatną twarz częściowo przesłaniały włosy, powłóczyste rękawy sukni wyglądały jak skrzydła. Wzrok przyciągała jedyna barwna plama.

Usta były nierówno obrysowane, lśniące szkarłatem, nabrzmiące. Może poplamione krwią, a może jeżynowym sokiem.

– Jakże tak można? Tfu, tfu... Wygląda Marysia jak...

– Wampirzyca – dokończyła wpatrzona w portret Majka.

Madejowa zacisnęła usta.

– Tak czy nie?! – krzyknęła dziewczyna.

– Bajdy...

– To po co ten czosnek, te zamknięte okna? Dlaczego muszę się chować przed słońcem, a ludzie na mój widok żegnają się i szepczą „zła krew”? – wrzeszczała histerycznie Majka.

Wyszarpnęła szkic z rąk gospodyni, podała go na strzępy i pobiegła na górę. Trzasnęła drzwiami, aż zakółsał się żyrandol, i padła na łóżko.

– Niech szlag trafi tę zapyziałą dziurę i tych cholernych staruchów! Niech szlag trafi Adama i jego dziewczuchę! – krzyczała, aż ochrypla.

Płakała najpierw gwałtownie, a potem coraz bardziej żałośnie, niczym skrzywdzony psiak. Wreszcie zasnęła.

Sen był pełen dźwięków: szelestów, szeptów, błagań. Potem dźwięki zostały zastąpione barwami: czernią, bielą i szkarłatem.

Szła przez mrok, lekka, cicha, niewidoczna. Pościel lśniła bielą, tak jak koronki koszuli, jak skóra. Krew miała smak i zapach jeżyn. Dotyk był jak pocałunek, lzy jak pieszczota.

Całe ciało pulsowało jednym rytmem – serca, krwi, pragnienia... Ogarnęła ją rozkosz, upajająca jak życie, ostateczna jak śmierć. Stało się to, co miało się stać i nie było odwrotu.

Majka otworzyła oczy. Nieprzenikniona czerń nocy już nie budziła w niej lęku, gwiazdy były jej przyjaciółkami, księżyc przewodnikiem.

Pod powałą trzepotał skrzydłami nietoperz, wytrzeszczał ślepe oczy, nawoływał niesłyszalnie.

Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę. Umknął przez okno, ale widziała jego kształt na tle bladej

tarczy księżycy. Miała uczucie, że zaprasza ją do wspólnego tańca, kusi.

– Poczekaj na mnie – szepnęła.

Wstała, przemknęła korytarzem i wyszła po drabince na dach. Otulił ją nocny wiaterek, orzeźwiający, cudownie chłodny. Rozwiał jej włosy, ukoił. Uśmiechnęła się, rozłożyła szeroko ręce i ześlizgnęła się w mrok.